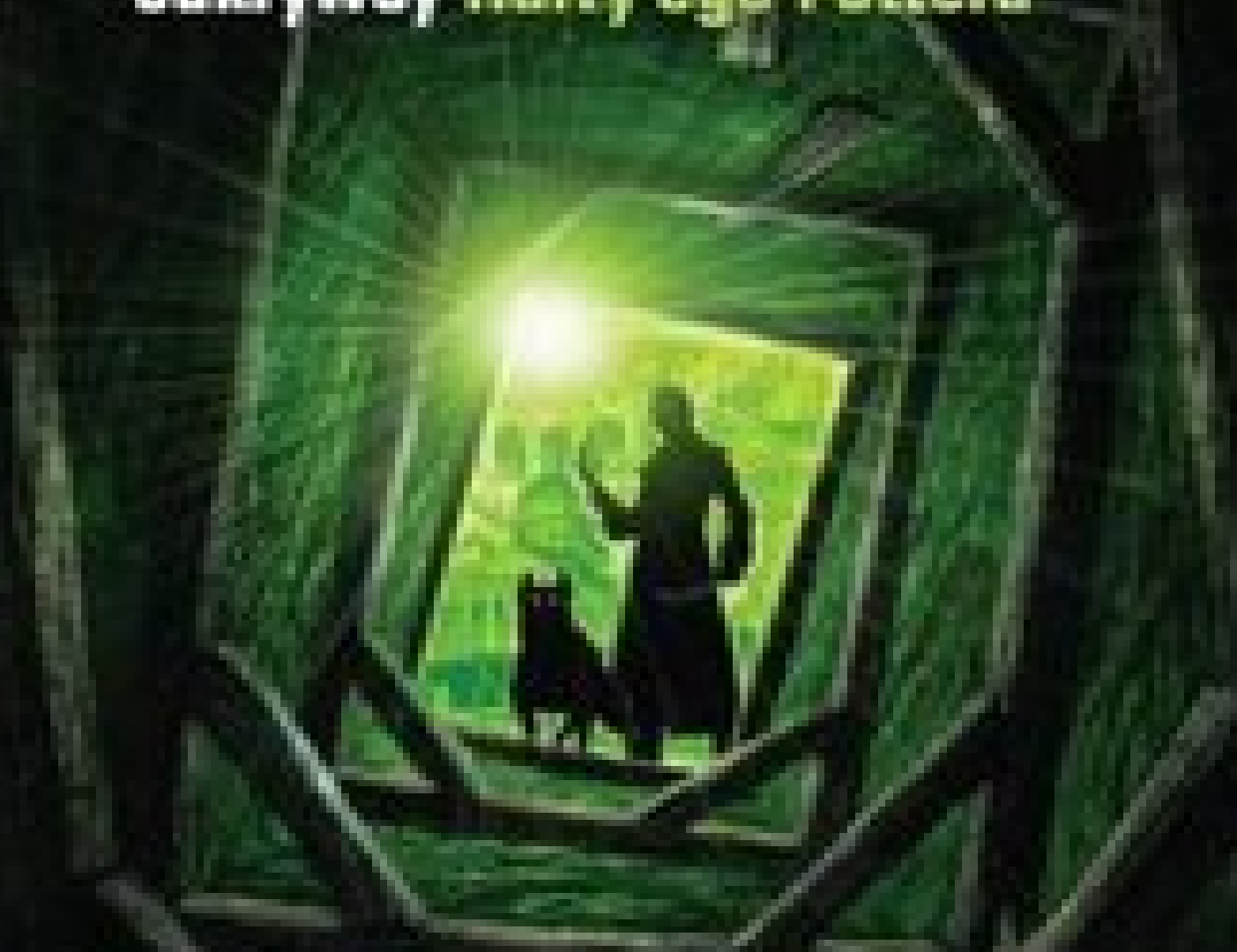


NOWY BESTSELLER B. Cunninghama
odkrywczy **Harry'ego Pottera**



TUNELE

Robert Jordan i Brandon Sanderson

Roderick Gordon

Brian Williams

Tunele

Pierwszy Tom

Przekład Janusz Ochab

Wszystko, co nieznane, budzi wątpliwości.

Anonim

CZEŚĆ PIERWSZA

Zdobywcy podziemnego świata

Rozdział 1

ŁUP! Kilof wbił się w ziemię, zazgrzytał o niewidoczny kamień ukryty w grubej warstwie gliny i zatrzymał raptownie z głuchym odgłosem.

– Will, to może być to!

Doktor Burrows podczołgał się w głąb ciasnego tunelu. Zdyszany i zlany potem, wbił palce w ścianę i zaczął gorączkowo wybierać ziemię rękami. W miarę jak na dno tunelu opadały kolejne garście gliny, w kłębach pary wydobywającej się z ust doktora i świetle latarki zamocowanej na jego kasku ukazywała się coraz większa powierzchnia starego przepierzenia z wysmołowanych desek.

– Podaj mi łom.

Will pogrzebał w torbie, znalazł krótki niebieski łom i podał go ojcu, który ani na moment nie odrywał wzroku od drewnianej ściany. Stękając z wysiłku, doktor Burrows napał z całych sił na żelazny drąg i wcisnął jego tępe ostrze między dwie deski. Używając łomu jako dźwigni, zaczął odciągać go na boki. Deski zaskrzypiały i zajęczały żałośnie, odrywane od zardzewiałych mocowań, wreszcie wygięły się i pękły z głośnym trzaskiem. Will odsunął się nieco, gdy z ciemnego otworu odsłoniętego przez doktora Burrowsa wypłynął strumień parnego powietrza.

Oderwali jeszcze dwie deski, powiększając dziurę na szerokość ramion, i zamarli na chwilę w ciszy. Ojciec i syn spojrzeli na siebie, uśmiechając się porozumiewawczo. Ich twarze, oświetlone blaskiem czołówek, naznaczone były smugami ziemi przypominającymi barwy wojenne.

Znów zwrócili się w stronę otworu i przez moment patrzyli w zachwycie na lśniące drobiny kurzu, które wirowały powoli na tle ciemnej otchłani, tworząc coraz to nowe, nieznane konstelacje.

Doktor Burrows ostrożnie wsunął się w otwór. Will także przecisnął się do przodu i zatrzymał obok ojca, wyglądając mu zza ramienia. W blasku latarek ukazała się powierzchnia zakrzywionej, wyłożonej płytkami ściany. Smugi światła przesunęły się dalej, odsłaniając stare plakaty o zwisających smętnie, odlepionych od ściany brzegach, które kołysały się powoli niczym wodorosty poruszane silnym prądem na dnie oceanu. Will uniósł nieco głowę, penetrując przestrzeń jeszcze głębiej, aż natrafił na emaliowaną tabliczkę. Doktor Burrows spojrział w to samo miejsce, a promienie ich latarek połączyły się, oświetlając napis na tabliczce.

– Highfield & Crossly North! To tutaj! Will, znaleźliśmy to!

Podeksycytowany głos doktora Burrowsa odbił się echem od wilgotnych ścian porzuconej stacji kolejowej. Poczuli na twarzach lekki podmuch powietrza, jakby coś przemknęło wzdłuż peronu i na tory, przerażone tym nagłym wtargnięciem do zamkniętych od dziesięcioleci i zapomnianych katakumb.

Will kopał z całej siły w deski u podstawy otworu, wyrzucając w górę fontannę drzazg i kawałków spróchniałego drewna, aż nagle ziemia pod jego stopami zapadła się i osunęła w dół. Chłopiec przecisnął się przez otwór, po drodze zabierając ze sobą łopatę. Jego ojciec skorzystał z tego samego przejścia i po chwili obaj szli już po twardej powierzchni peronu, słuchając echa własnych kroków i omiatając światłem czołówek mroczne wnętrza.

Doktor Burrows zdmuchnął z twarzy jedną z gęstych, ciężkich pajęczyn zwisających z sufitu stacji. Kiedy rozejrzał się dokoła, promień latarki oświetlił na moment jego syna, który w tej chwili wyglądał dość osobliwie – szopa niemal białych włosów wystawała spod sponiewieranego kasku niczym żdźbła wyschniętej słomy, a bladoniebieskie oczy płonęły w ciemnościach zapałem. O ubraniu Willa można było powiedzieć tylko tyle, że miało ten sam jasnobrązowy kolor i taką samą fakturę co glina, w której przed chwilą pracował. Warstwa lepkiej ziemi okrywała chłopca aż po szyję, upodabniając go do rzeźby, w którą ktoś cudownym sposobem tchnął życie.

Sam doktor Burrows był umięśnionym mężczyzną średniego wzrostu – nikt nie nazwałby go wysokim ani też niskim, plasował się gdzieś pomiędzy tymi określeniami. Miał okrągłą twarz o brązowych oczach, które patrzyły przenikliwie na świat zza grubych szkieł okularów w złotej oprawie.

– Will, spójrz tam, w górę! – zawołał, kiedy promień jego latarki natrafił na tabliczkę zawieszoną nad otworem, przez który właśnie przeszli. Widniał na niej duży czarny napis: WYJŚCIE. Obaj włączyli latarki ręczne, a ich światło w połączeniu z blaskiem słabszych czołówek ukazało oczom odkrywców cały peron. Z sufitu zwisały korzenie, a ściany pokryte były wykwitami i smugami białego wapienia, znaczącymi miejsca, gdzie przez szczeliny przenikała wilgoć. Z dala dobiegał szmer ciekącej wody.

– To się nazywa odkrycie, co? – powiedział doktor Burrows, ogromnie z siebie zadowolony. – Pomyśl tylko, nikt nie postawił tu stopy, odkąd w 1895 roku zbudowano nową linię Highfield. – Burrows oświetlił wlot tunelu zasypanego zwałami ziemi i gruzu. – Po drugiej stronie będzie to samo – powiedział. – Na pewno zamknęli oba korytarze.

Ruszyli powoli wzdłuż peronu, rozglądając się uważnie dokoła. Na ścianach widać było popękane kremowe płytki w zgniłozielonych obwódkach. Co kilka metrów z chodnika wyrastały latarnie gazowe o szklanych osłonach, na których widniał numer peronu.

– Tato, tato, spójrz tutaj! – zawołał Will. – Widziałeś te plakaty? Napisy są jeszcze całkiem wyraźne. To chyba jakieś ogłoszenia o sprzedaży ziemi, czy coś takiego. O, ten jest niezły... „Cyrk Wilkinsona... zaprasza wszystkich na plac... 10 lutego 1895”. Jest nawet rysunek – ekscytował się chłopak, kiedy ojciec zbliżył się do niego. Wilgoć nie zniszczyła afisza, dzięki czemu widać było zarys wielkiego czerwonego namiotu i stojącego przed nim mężczyzny w cylindrze. – To też jest dobre – mówił dalej Will. – „Jesteś za gruby? Weź pigułki doktora Gordona!” – Nakreślony grubą kreską obrazek przedstawiał tęgiego brodacza, który trzymał w dłoni mały pojemnik.

Podjęli przerwany marsz wzdłuż peronu, omijając stertę gruzu, który wysypywał się z bocznego korytarza.

– To zapewne było przejście na drugi peron – powiedział doktor Burrows do syna.

Przystanęli, by przyjrzeć się zdobionej żeliwnej ławce.

– Będzie pasowała do ogrodu. Wystarczy ją trochę przeszlifować i położyć kilka warstw lakieru – mamrotał do siebie doktor Burrows.

– Tato, czy na twoim planie nie ma tu przypadkiem jakiegoś biura? – spytał Will, wodząc smugą światła po powierzchni ciemnych drewnianych drzwi ukrytych w mroku.

– Biuro? – zdziwił się Burrows. Sięgnął do kieszeni i po krótkich poszukiwaniach wyjął z niej

pomiętą kartkę. – Sprawdźmy to...

Nie czekając na odpowiedź, Will napał ramieniem na drzwi. Doktor Burrows natychmiast przestał interesować się planem, schował go do kieszeni i pośpieszył synowi z pomocą. Wypaczone drzwi tkwiły mocno w futrynie, w końcu jednak ustąpiły pod naporem mocnych ramion. Doktor Burrows i Will wpadli do wnętrza niewielkiego pomieszczenia. Osypujący się kurz pokrył ich twarze, a spływające strumienie mułu i szlamu głowy i ramiona. Kaszląc i ocierając się z brudu obaj przedzierałi się przez zasłonę gęstych pajęczyn.

– No, no... – mruknął Will podekscytowany. Na środku pokoju stało krzesło i biurko przykryte grubą warstwą kurzu. Chłopak podszedł bliżej i odzianą w rękawiczkę dłonią ściągnął ze ściany płataninę pajęczyn, odsłaniając wielką, wyblakłą mapę sieci kolejowej.

– To mogło być biuro naczelnika stacji – stwierdził doktor Burrows. Kiedy zgarnął kurz z blatu biurka, ich oczom ukazały się karty otwartej księgi lub dziennika, na którym stała brudna filiżanka do herbaty. Obok znajdował się mały, zielonkawy przedmiot, zlewający się w jedno z burym blatem. – Niesamowite! Autentyczny telegraf kolejowy, na pewno mosiężny.

Wzdłuż dwóch ścian ciągnęły się półki zastawione butwiejącymi tekturowymi pudłami. Will sięgnął po jedno z nich i przeniósł je szybko na biurko, przekonany, że lada moment rozpadnie mu się w dłoniach. Odchylił wykrzywioną pokrywę i gwizdnął głośno z podziwem, ujrawszy pliki starych biletów. Wziął do ręki jeden z nich, lecz zbutwiały gumowy pasek rozpadł się pod dotykiem, a bilety rozsypały się na biurku niczym konfetti.

– To czyste blankiety, nigdy ich nie zadrukowano – zauważył doktor Burrows.

– Masz rację – skinął głową Will, przyglądając się uważnie jednemu z biletów i podziwiając po raz kolejny ogromną wiedzę ojca. Lecz doktor Burrows nie słuchał go. Przyklęknął i ściągnął z najniższej półki jakiś przedmiot owinięty w płótno, które rozsypało się pod jego dotykiem.

– A oto – odezwał się Burrows, gdy Will odwrócił się do niego i spojrzał ze zdumieniem na urządzenie przypominające staromodną maszynę do pisania z wielkim uchwytem – maszyna do drukowania biletów, jeden z pierwszych modeli. Trochę zardzewiała, ale myślę, że sobie z tym poradzimy.

– Chcesz zabrać ją do muzeum?

– Nie, do mojej kolekcji – odparł Burrows. Zawahał się na moment, po czym przemówił do syna z powagą: – Posłuchaj, Will, nikomu nie wspomnimy o tym ani słowem. Jasne?

– Co? – Will obrócił się w miejscu i zmarszczył brwi. Żadnemu z nich nie przeszło nawet przez myśl, by rozpowiadać na prawo i lewo, że w wolnym czasie prowadzą zakrojone na szeroką skalę wykopaliska – zresztą i tak pewnie nikogo by to nie interesowało. Ta wspólna pasja, wspólna fascynacja ukrytymi pod ziemią skarbami była ich tajemnicą, czymś, co zbliżało do siebie ojca i syna, wzmacniało łączącą ich więź.

Stali tak przez chwilę w bezruchu, a światło czołówek oświetlało ich twarze. Jako że Will nie odpowiedział w końcu na uwagę ojca, ten przybrał surową minę i mówił dalej:

– Nie muszę ci chyba przypominać, co stało się w zeszłym roku z tą rzymską willą, prawda? Pamiętasz na pewno tego zarozumiałego profesorka, który przyjechał tu nieproszony i przypisał sobie

wszelkie zasługi. Ja odkryłem to miejsce, a co dostałem w zamian? Małą wzmiankę w tym jego żalnym opracowaniu.

– Tak, pamiętam – odrzekł Will, wspominając frustrację i wściekłość, jaką wzbudziła w ojcu cała ta sytuacja.

– Chcesz, żeby to się powtórzyło?

– Nie, oczywiście, że nie.

– I dobrze, ja też nie chcę, by łączył mnie z tym miejscem tylko jakiś nieistotny przypis. Wolałbym raczej, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Nie odbiorą mi tego, nie tym razem. Zgoda?

Will pokiwał głową, a krąg światła rzucany przez jego czołówkę zatańczył gwałtownie na ścianie. Doktor Burrows spojrział na zegarek.

– Powinniśmy już wracać.

– Jasne – mruknął Will niechętnie.

Ojciec wyczuł, co kryje się w tonie głosu syna.

– Hej, nigdzie się nam nie śpieszy, prawda? Możemy tu wrócić i kontynuować jutro wieczorem.

– Tak, masz rację – odrzekł chłopiec bez przekonania i ruszył do wyjścia.

Gdy wychodzili, doktor Burrows poklepał syna po kasku.

– Świetna robota, Will. Warto było męczyć się przez te wszystkie miesiące, prawda?

Wrócili tą samą drogą do otworu, którym dostali się na dworzec i, spojrzawszy raz jeszcze na pusty peron, wczłgali się z powrotem do tunelu. Sześć metrów od wejścia korytarz rozszerzał się na tyle, że mogli iść obok siebie, lekko tylko pochylając głowy.

– Musimy wzmocnić stemplowanie – stwierdził doktor Burrows, spoglądając na deski pod sufitem tunelu. – Trzeba ustawiać słupy co metr, a nie co dwa, jak robiliśmy to do tej pory.

– Jasne. Żaden problem, tato – odparł Will bez entuzjazmu.

– Musimy też wynieść gdzieś to – kontynuował doktor Burrows, trącając nogą pryzmę gliny usypaną na dnie tunelu. – Nie chcemy chyba się tu podusić, co?

– Jasne, że nie – mruknął Will, choć w rzeczywistości nie zamierzał nic z tym zrobić. Podniecenie wywołane niezwykłymi odkryciami sprawiało, że często lekcewał zasady bezpieczeństwa, które próbował narzucić mu ojciec. Jego interesowało przede wszystkim kopanie i nie zamierzał zaprzętać sobie głowy „porządkami”, jak nazywał to doktor Burrows. Poza tym ojciec Willa sam rzadko pomagał mu w tego rodzaju pracach i pojawiał się na miejscu wykopalisk zazwyczaj dopiero wtedy, gdy dzieło bliskie było już zwieńczenia.

Pogwizdując cicho, doktor Burrows zwolnił kroku, by przyjrzeć się bliżej stercie starannie ułożonych wiader i desek. Potem ruszył ponownie w górę wznoszącego się łagodnie tunelu. Przystawał jeszcze kilkakrotnie, oglądając drewniane stemple i wzmocnienia po obu stronach korytarza. Uderzał w nie otwartą dłońią, a wygwizdywana melodia zamieniała się wtedy w nieznośny pisk.

Tunel wrócił wreszcie do poziomu i wyprowadził ich do sporego pomieszczenia, w którym stał stół na kozłach i dwa zniszczone fotele. Doktor Burrows i Will zostawili część ekwipunku na stole i ruszyli w dalszą drogę, pokonując ostatni odcinek tunelu prowadzący do wyjścia.

Dokładnie w chwili, gdy miejski zegar wybił siódmą, w rogu parkingu przy Temperance Square nad powierzchnię ziemi uniosła się płyta z blachy falistej. Była wczesna jesień, a słońce dopiero chowało się za horyzont, gdy ojciec i syn, upewniwszy się, że w pobliżu nikogo nie ma, otworzyli szerzej klapę, odsłaniając wyłożony deskami otwór w ziemi. Wystawili wyżej głowy, jeszcze raz rozejrzeli się dokoła, po czym wyszli wreszcie z tunelu. Gdy płyta leżała już z powrotem na miejscu, Will zgarnął na nią trochę ziemi i suchych liści.

Ogrodzenie okalające plac kołysało się lekko w rytm podmuchów wiatru, jakaś gazeta toczyła się po ziemi niczym wielka papierowa piłka, gubiąc po drodze pojedyncze strony. Blask zachodzącego słońca oblewał czerwienią okoliczne magazyny i odbijał się od wyłożonej płytkami fasady kamienicy Peabody Estate, gdy Will i doktor Burrows opuszczali powoli parking, zmęczeni lecz dumni, niczym poszukiwacze skarbów, którzy udają się na zasłużony odpoczynek tylko po to, by wkrótce wrócić po swą zdobycz.

Rozdział 2

Po drugiej stronie Highfield niejaki Terry Watkins, zwany przez kolegów z pracy Wywrotką, stał w łazience przed lustrem i mył zęby, ubrany jedynie w spodnie od piżamy. Był zmęczony i marzył o kilku godzinach odprężającego snu, lecz jego myśli wciąż krążyły wokół tego, co zobaczył minionego popołudnia.

To był okropnie długi i pracowity dzień. Terry wraz ze swą ekipą rozbiórkową burzył starą wytwórnię bieli ołowianej, na której miejscu miał powstać nowy biurowiec. Nie marzył o niczym innym jak o powrocie do domu, obiecał jednak kierownikowi, że przejdzie się po piwnicach i sprawdzi, jak rozległe i grube są fundamenty budynku. Firma nie mogła sobie pozwolić na przekroczenie zakładanych kosztów prac, co często zdarzało się w tego typu leciwych budowlach.

Oświetlwszy miejsce pracy przenośnym reflektorem, Terry uderzył w ścianę wielkim dwuręcznym młotem, rozbijając stare, ręcznie robione cegły, które rozbłysły świeżą czerwienią niczym wnętrzości wypatroszonego zwierzęcia. Uderzył ponownie, rozrzucając odłamki cegieł i zaprawy po pociemniałej podłodze piwnicy. Klął przy tym pod nosem, gdyż konstrukcja fabryki była aż nazbyt solidna i wytrzymała.

Po kilku kolejnych uderzeniach przerwał na chwilę, czekając, aż opadnie obłok kurzu. Ze zdumieniem stwierdził, że w miejscu, które zaatakował, ściana wykonana jest tylko z jednej warstwy cegieł. Tam, gdzie powinny być znajdować się kolejne warstwy, tkwił arkusz grubej stalowej blachy. Terry uderzył w nią kilkakrotnie, na co blacha odpowiedziała jedynie głuchym łoskotem. Wyglądało na to, że będzie musiał się z nią namęczyć. Dysząc ciężko, Terry rozbijał kolejne cegły zasłaniające powierzchnię stalowej płyty, by przekonać się po chwili, ku wielkiemu zaskoczeniu, że jest ona zaopatrzona w zawiasy, a nawet w coś, co przypomina klamkę.

To były drzwi.

Przerwał na chwilę, zastanawiając się, dlaczego ktoś chciałby budować wejście do czegoś, co powinno być jedynie fragmentem fundamentów.

Potem popełnił największy błąd w swoim życiu.

Używając śrubokręta, wysunął z powierzchni drzwi klamkę, a właściwie pierścień z kutego żelaza, który obrócił się w jego dłoni z zaskakującą łatwością. Pchnięte butem drzwi otworzyły się do środka i uderzyły w ścianę po drugiej stronie. Echo metalicznego huku nie milkło przez długi czas. Terry sięgnął po latarkę i oświetlił nią mroczne pomieszczenie. Przekonał się, że ma ono kształt koła o średnicy co najmniej sześciu metrów.

Przekroczył próg, stawiając stopę na kamiennej powierzchni tuż za drzwiami. Kiedy jednak zrobił drugi krok, jego stopa natrafiła na pustą przestrzeń. Przepaść! Zawisł na moment na skraju czeluści, wymachując rozpaczliwie rękami, aż wreszcie złapał równowagę i się cofnął. Oparł się plecami o futrynę i przez chwilę dyszał ciężko, próbując ukoić nerwy i przeklinając swój pośpiech.

– No już, bierz się do roboty – powiedział głośno, zmuszając się do działania. Obrócił się i powoli przesunął do przodu, oświetlając podłogę latarką. Przekonał się, że rzeczywiście stoi na kamiennej półce, za którą otwiera się nieprzenikniona, złowroga otchłań. Pochylił się do przodu,

próbując przebić wzrokiem ciemność, wydawało się jednak, że przepaść pod jego stopami nie ma dna. Znalazł się w olbrzymiej ceglanej studni. Kiedy podniósł głowę, okazało się, że nie widzi również sklepienia – ściany studni niknęły w mroku, którego nie był w stanie rozproszyć promień niewielkiej latarki. Płynący z góry silny powiew wiatru chłodził mu spocony kark i plecy.

Terry omiótł okolicę snopem światła i zauważył, że od skalnej półki, na której właśnie stał, odchodzą wąskie schody ciągnące się wzdłuż ściany i opadające wąską spiralą w dół studni. Postawił nogę na pierwszym stopniu, by zbadać jego wytrzymałość. Upewniwszy się, że nic mu nie grozi, ruszył ostrożnie w dół, bacząc, by nie poślizgnąć się na warstwie kurzu, źdźbeł słomy i drobnych gałązek przykrywających betonową powierzchnię. Przytulony mocno do ściany studni, Terry schodził coraz głębiej i głębiej, aż rozświetlone blaskiem reflektora wejście nad jego głową zmieniło się w maleńki biały punkt.

Wreszcie schody się skończyły, a Terry stanął na wyłożonej kamiennymi płytami podłodze. Rozejrzał się dokoła i znieruchomiał na moment, gdy w świetle latarki ukazały się liczne metalowe rurki, pnące się po ścianach w górę niczym jakieś olbrzymie organy. Powiódł światłem wzdłuż jednej z nich i przekonał się, że łączy się z szerokim lejkiem lub kominem przypominającym przewód wentylacyjny. Jednak tym, co przykuło jego uwagę, były drzwi z niewielkim okienkiem, przez które sączyło się białe światło. Terry był przekonany, że dostał się przypadkiem do pomieszczeń technicznych metra, szczególnie że słyszał jednostajne buczenie jakiejś skomplikowanej maszyny i czuł na twarzy podmuchy powietrza zstępującego z góry szybu.

Powoli podszedł do drzwi i nachylił się, by spojrzeć przez okrągłego okienko z grubego, zmatowiałego ze starości szkła. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. To, co działo się po drugiej stronie, przypominało scenę ze starego, czarno-białego filmu. Terry widział ulicę i ciągnące się wzdłuż niej budynki. W blasku kul wypełnionych płynnym, wirującym powoli ogniem przechadzali się ludzie. Ludzie o przerażającym wyglądem. Anemiczne widma w staromodnych ubraniach.

Terry, który nigdy nie był szczególnie religijny, a do kościoła chodził tylko przy okazji ślubów i pogrzebów, przez moment zastanawiał się, czy nie trafił do przedsionka piekła, a przynajmniej do czyśćca. Oskoczył od okna i przeżegnał się, mamrocząc pod nosem nieskładne zdrowaśki, po czym, ogarnięty paniką, wbiegł na schody i zabarykadował drzwi prowadzące do szybu, by żaden z demonów nie ruszył jego śladem.

Nie marnując ani chwili, opuścił budynek starej fabryki i zamknął główną bramę. Wciąż oszołomiony wsiadł do samochodu i ruszył do domu, zastanawiając się po drodze, co powie nazajutrz szefowi. Bez końca odtwarzał w umyśle scenę, której świadkiem był przed momentem. Nim dotarł do domu, sam już nie wiedział, czy cała ta historia nie jest wytworem jego wyobraźni.

Nie potrafił oprzeć się chęci opowiedzenia o wszystkim rodzinie. Musiał z kimś o tym porozmawiać. Jego żona Aggy oraz dwaj nastoletni synowie uznali, że nieźle sobie popił i wykpił go. Raz po raz wybuchali okrutnym śmiechem, udając, że podnoszą do ust niewidzialne butelki i opróżniają je kilkoma haustami. Terry umilkł na chwilę, nie mógł się jednak powstrzymać i po jakimś czasie znów podjął dręczący go temat, aż Aggy kazała mu się przymknąć i nie wspominać więcej ani słowem o białowłosych potworach i piekielnych kulach ognia, bo przez to jego paplanie nie mogła spokojnie obejrzeć serialu w telewizji.

Stał więc w łazience i szorował zęby, zastanawiając się, czy piekło naprawdę istnieje, gdy rozległ się krzyk, który jego żona zazwyczaj wydawała z siebie, ujrzawszy mysz lub wielkiego

pajaka. Krzyk ucichł jednak, nim zdążył przerodzić się w ogłuszający wrzask.

Przejęty nagłym strachem Terry obrócił się w miejscu i ruszył do drzwi, jednak w tej samej chwili światło w łazience zgasło, a świat wokół niego zawirował, gdy jakaś potężna siła chwyciła go za stopy i obróciła do góry nogami. Ta sama siła unieruchomiła mu nogi i przycisnęła ręce do boków, nie dając najmniejszych szans na obronę. Potem ktoś owinał jego ciało grubym materiałem, ułożył je w poziomie i wyniósł niczym grubego dywan zwinięty w rulon.

Krzyk nie wchodził w grę; gruba tkanina przylegała ściśle do głowy Terry'ego, tak że z trudem oddychał. W pewnej chwili miał wrażenie, że słyszy głos jednego z synów, jednak dźwięk był tak przytłumiony i niewyraźny, iż nie miał pewności, czy się nie pomylił. Nigdy wcześniej nie był tak przerażony i niespokojny o losy rodziny. Ani tak potwornie bezradny.

Rozdział 3

Muzeum Highfield było prawdziwą graciarnią – składem zbędnych przedmiotów, które dzięki przychylności losu nie trafiły na miejskie wysypisko. Mieściło się w budynku dawnego ratusza, który przystosowano do nowej funkcji, stawiając w opustoszałych salach przeszklone gabloty, równie stare jak ich zawartość.

Doktor Burrows usiadł na fotelu dentystycznym z przełomu wieków i ułożył kanapki na gablocie mieszczącej szczoteczki do zębów z początku XX stulecia. Odpowiednie wymiary i kształt sprawiały, że gablota doskonale służyła jako stół. Doktor rozłożył „Timesa” i pogrążył się w lekturze, od czasu do czasu podnosząc do ust kanapkę z salami i majonezem. Wydawało się, że w ogóle nie zauważa ułożonych w gablocie oblepionych brudem szczoteczek, które okoliczni mieszkańcy podarowali muzeum, zamiast wyrzucić je do śmieci.

W pomieszczeniach sąsiadujących z główną salą, w której siedział teraz doktor Burrows, znajdowały się podobne kolekcje ocalonych od zniszczenia przedmiotów. W kątku zwanym Kuchnią Babci mieściła się imponująca kolekcja tandetnych trzepaczek do jaj, wydrążaczy do jabłek i sitek do herbaty. Nieopodal stały dwie zardzewiałe wiktoriańskie maglownice, obok nich zaś Old Faithful Electric – niedziałająca od dziesięcioleci pralka elektryczna z lat pięćdziesiątych, która zrzucała z siebie rdzawe płyty mniej więcej w takim samym tempie, w jakim niegdyś pochłaniała płatki mydlane.

Równie fascynujący obraz miernoty i nijakości przedstawiała sobą Ściana Zegarów. Owszem, był tu jeden przedmiot godzien zainteresowania – wiktoriański zegar z malowanym na szkle obrazem przedstawiającym rolnika orzącego pole – jednak niestety szkło pękło, a z obrazka wypadł istotny fragment, na którym znajdowała się głowa konia. Wokół tego eksponatu wisiały zegary ściennie różnych rozmiarów i maści, elektryczne i sprężynowe, pochodzące głównie z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Żaden z nich nie działał, gdyż doktor Burrows nie znalazł jak dotąd czasu, by zająć się ich naprawą.

Highfield, będące jedną z mniejszych podmiejskich dzielnic Londynu, miało bogatą przeszłość. Powstało jeszcze w czasach rzymskich jako mała osada i rozrosło się raptownie za sprawą rewolucji przemysłowej. Niestety, ta bogata przeszłość nie znajdowała odzwierciedlenia w zbiorach muzeum, a sama dzielnica zamieniła się w skupisko nijakich osiedli mieszkaniowych i zapyziałych sklepików, których właściciele nie było stać na opłacanie czynszu w bardziej centralnych częściach miasta.

Doktor Burrows, kustosz, był jedynym pracownikiem i zarazem zwiedzającym, z wyjątkiem sobót, kiedy to w progach muzeum pojawiały się tłumy znudzonych codzienną egzystencją emerytów. Doktor zawsze miał przy sobie skórzaną teczkę, w której nosił fachowe czasopisma, podręczniki i powieści historyczne, czytanie bowiem stanowiło główną treść jego życia. Odrywał się od czytania tylko po to, by uciąć sobie drzemkę lub zapalić fajkę w Zbiorach – wielkim magazynie zastawionym pudłami pełnymi widokówek i portretami rodzinnymi, które ze względu na brak miejsca nigdy nie miały trafić do muzealnych gablot ani na ściany.

Schowany między zakurzonymi witrynami i starymi biblioteczkami z mahonią, doktor Burrows czytał całymi dniami przy akompaniamencie muzyki płynącej ze starego radia tranzystorowego, które

jakiś pełen najlepszych intencji emeryt oddał do zbiorów placówki. Prócz szkolnych wycieczek, które czasem zaglądały do muzeum, gdy paskudna pogoda uniemożliwiała im spacerowanie po mieście, mało kto pojawiał się w jego progach, a jeśli już to uczynił, nigdy tu nie wracał.

Doktor Burrows, jak wielu innych, wykonywał pracę, która miała być tylko krótkim przystankiem w drodze do dalszej kariery. Nie brakowało mu wykształcenia, by karierę taką realizować: ukończył historię, potem archeologię, a później jeszcze zrobił doktorat. Mając jednak na utrzymaniu małe dziecko i niewielkie szansę na posadę akademicką na którymkolwiek z londyńskich uniwersytetów, postanowił wykorzystać pierwszą nadarzącą się okazję i, wypatrywszy w „Highfield Bugle” ogłoszenie o pracy w muzeum, wysłał podanie.

Zaproponowano mu posadę kustosza, a Burrows przyjął ją, obiecując sobie, że w niedalekiej przyszłości poszuka bardziej satysfakcjonującego zajęcia. Podobnie jak wielu innych dał się jednak uwieść poczuciu bezpieczeństwa, które daje regularna płaca, i nim się obejrzał, upłynęło dwanaście lat, a wraz z nimi wyparowały marzenia o lepszej pracy.

Siedział więc tutaj, wraz ze swym doktoratem z greckiego antyku, i patrzył, jak kurz osiada powoli na zwyczajnych i przeciętnych eksponatach, boleśnie świadom, że ten sam kurz okrywa także i jego. .

Kończąc kanapkę, doktor Burrows zwinął papier śniadaniowy w kulkę i rzucił w stronę pomarańczowego kosza na śmieci z początku lat sześćdziesiątych, ustawionego w kącie kuchennym. Kulka odbiła się od krawędzi plastikowego kubła i wylądowała na podłodze. Doktor Burrows westchnął ciężko, rozczarowany, sięgnął do teczki i grzebał w niej chwilę, aż wreszcie wyciągnął baton czekoladowy. Zamierzał zachować przysmak aż do późnego popołudnia, by umilić sobie jakoś ten szary, zwykły dzień. Czuł się jednak wyjątkowo samotny i przybity, chętnie więc uległ słabości do słodyczy. Jednym ruchem zdarł papier z batonika i odgryzł potężny kęs mlecznej czekolady.

W tym samym momencie zabręczał dzwonek przy drzwiach i do muzeum wszedł, kuśtykając, wsparty na dwóch laskach Oscar Embers. Ten osiemdziesięcioletni emerytowany aktor teatralny zapałał wielką miłością do muzeum i pojawiał się tutaj niemal w każde sobotnie popołudnie. Szczególnie po tym, jak przekazał do archiwów placówki swoje opatrzone autografami portrety ze „Spotlighta”.

Ujrawszy staruszka zmierzającego w jego stronę, doktor Burrows próbował w pośpiechu przełknąć czekoladowy przysmak, szybko zrozumiał jednak, że przecenił swoje możliwości; żwawy pan Embers zbliżał się do niego w zadziwiająco szybkim tempie. Doktor zastanawiał się przez moment, czy nie uciec do gabinetu, było już jednak za późno. Siedział więc nieruchomo, z wypchanymi do granic możliwości policzkami, niczym wielki chomik, i próbował uśmiechać się przyjaźnie.

– Witaj, Roger – przywitał go radosnym tonem Oscar, grzebiąc jednocześnie w kieszeni płaszcza.
– Gdzie to się podziało?

Doktor Burrows wydał z siebie nieartykułowane chrząknięcie i pokiwał energicznie głową. Podczas gdy Oscar zmagał się z kieszenią, doktor zdołał przeżuć i przełknąć dwa kęsy. Po chwili jednak staruszek uniósł wzrok, wciąż nie zaprzestając walki, jakby płaszcz stawiał opór. Embers znieruchomiał na moment i omiół spojrzeniem ściany i przeszkłone gabloty.

– Nie widzę nigdzie tej koronki, którą przyniosłem ci w zeszłym tygodniu. Zamierzasz ją w ogóle

wystawić? Wiem, że miejscami była trochę przetarta, ale to naprawdę świetna rzecz, mówię ci. – Doktor Burrows milczał, więc Oscar odezwał się ponownie, z większym naciskiem. – Więc jednak jej nie wystawisz?

Doktor próbował wskazać głową drzwi magazynku. Zdumiony tak długim milczeniem kustosza, Oscar przyjrzał mu się uważnie, później jednak rozpromienił się raptownie, odnalazłszy wreszcie to, czego szukał od kilku chwil. Wyjął swój skarb z kieszeni i, trzymając go w mocno zaciśniętej dłoni, podsunął Burrowsowi pod nos.

– Dała mi to starsza pani Tantrumi, wiesz, ta Włoszka, która mieszka przy samym końcu High Street. Gazownicy to znaleźli, naprawiając coś w jej piwnicy. Leżało w ziemi, a jeden z nich kopnął to przypadkowo. Myślę, że zasługuje na włączenie do zbiorów.

Doktor Burrows jęknął w duchu, przekonany, że za moment wzbogaci się o kolejny bezwartościowy minutnik lub pudełko zniszczonych stalówek, był więc kompletnie zaskoczony, kiedy Oscar gestem magika otworzył dłoń, pokazując mu małą, nieco tylko większą od piłki golfowej kulkę, która emanowała łagodnym białym światłem. Kulka zamknięta była w metalowej klatce w kolorze zmatowiałego złota.

– To wspaniały egzemplarz lampy... lampki... czegoś takiego... – Oscar zamilkł na moment, wreszcie przyznał z niechęcią: – Cóż, prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co to właściwie jest.

Doktor Burrows wziął od niego tajemniczy przedmiot. Był nim tak zafascynowany, że, zapominając o obecności Oscara, który bacznie mu się przyglądał, przeżuł do końca wypełniającą usta czekoladę.

– Widzę, że dokuczają ci trochę zęby, mój chłopcze.

– Oscar pokiwał głową ze zrozumieniem. – Też tak zgrzytałem, kiedy nie mogłem już wytrzymać. Paskudny ból; wiem dobrze, co teraz czujesz. Mówię ci, bardzo się cieszę, że w końcu pozbyłem się ich raz na zawsze. Wcale nie jest tak źle, wystarczy tylko przywyknąć do tego – stwierdził staruszek, sięgając do ust.

– Och nie, nie mam żadnych problemów z zębami – zapewnił go pośpiesznie doktor Burrows, który wcale nie miał ochoty oglądać sztucznej szczęki Oscara Embersa. Przełknął głośno ostatni kęs batona. – Trochę mi tylko zaschło w gardle – wyjaśnił, pocierając szyję.

– Powiniennem więcej pić.

– Oj, lepiej uważaj, mój chłopcze, to może być początek cukrzycy. – Oczy Oscara zasnuła na moment mgła wspomnień. – Kiedy byłem małym chłopcem, Roger, niektórzy lekarze sprawdzali smak... – ściszył głos i spojrzał na podłogę – cieczy, jeśli wiesz, co mam na myśli; czy nie jest za słodka, i czy pacjent nie choruje przypadkiem na cukrzycę.

– Tak, słyszałem o tym – odparł automatycznie doktor Burrows, zbyt zaintrygowany świecąca kulą, by zwracać uwagę na ciekawostki medyczne Oscara. – Bardzo dziwne. Ośmielam się przypuszczać, że pochodzi z dziewiętnastego wieku, przynajmniej ta metalowa osłona... szkło to z pewnością ręczna robota... ale nie mam pojęcia, co jest w środku. Może to jakaś fosforyzująca substancja – wystawiał ją pan dziś rano na światło, panie Embers?

– Nie, trzymałem w płaszczu od wczoraj, odkąd dała mi ją pani Tantrumi. To było tuż po

śniadaniu. Wybrałem się wtedy na poranną przechadzkę, to mi pomaga na jelita...

– Ciekaw jestem, czy to radioaktywne – przerwał mu doktor Burrows. – Czytałem, że w niektórych muzeach sprawdzali radioaktywność eksponatów z czasów wiktoriańskich. Podobno w Szkocji znaleźli promieniotwórcze kryształy, które musieli zamknąć w skrzynkach z ołowiu. Były zbyt niebezpieczne, by je wystawić.

– Och, mam nadzieję, że to nie jest niebezpieczne – powiedział Oscar, cofając się pośpiesznie o krok.

– Nosilem to w kieszeni przy biodrze, moim nowym biodrze – wyobraź sobie, że mogło coś stopić...

– Nie, nie sędzę, żeby miało aż taką moc. Jestem pewien, że panu nie zaszkodziło, na pewno nie w ciągu doby. – Doktor Burrows wpatrywał się w lśniąca kulę jak urzeczony. – To naprawdę niezwykle, we wnętrzu tej kuli porusza się jakiś płyn... Wiruje niczym wzburzone morze podczas sztormu... – Doktor umilkł na chwilę, potem pokręcił głową z niedowierzaniem. – Nie, to na pewno ciepło mojej dłoni wprowadziło ten płyn w ruch... wie pan... jakaś reakcja termiczna.

– Cóż, cieszę się, że cię to zainteresowało, Roger. Dam znać pani Tantrumi, że chciałbyś zatrzymać znalezisko na jakiś czas – powiedział Oscar, robiąc kolejny krok do tyłu.

– O tak, z pewnością – pokiwał głową Burrows. – Muszę to dokładnie zbadać, nim włożę do gabloty, tak na wszelki wypadek. Ale wcześniej chciałbym też podziękować pani Tantrumi za ten dar, w imieniu muzeum. – Sięgnął do kieszeni marynarki po pióro, ale nic nie znalazł. – Proszę sekundkę poczekać, panie Embers, a ja pójdę po coś do pisania.

Opuścił główną salę i przeszedł korytarzem, potykając się po drodze o kawał starego drewna, który kilku nadgorliwych mieszkańców dzielnicy wydobyło rok wcześniej z okolicznych bagien w przekonaniu, że jest to prehistoryczne kanu. Doktor Burrows otworzył drzwi opatrzone napisem „Kustosz”, wymalowanym na matowym szkle. W gabinecie było ciemno, gdyż okno przesłaniała sterta ustawionych pod ścianą skrzynek. Szukając niemal po omacku włącznika lampy, doktor rozprostował nieco palce, w których trzymał kulę. To, co zobaczył, wprowadziło go w osłupienie.

Wypływająca z kuli poświata, jaką widział w głównej sali, zmieniła się teraz w intensywne, jasnozielone światło. Mógłby przysiąc, że światło to z każdą chwilą nabierało mocy, a płyn uwięziony w kuli wirował coraz szybciej.

– Niebawem! Jaka substancja staje się tym jaśniejsza, im ciemniejsze jest otoczenie? – mrucał sam do siebie. – Nie, to niemożliwe, musiałem się pomylić. Po prostu w ciemnościach ten blask jest bardziej widoczny.

Jednak kula naprawdę świeciła mocniej; nie musiał nawet włączać lampki na biurku, by odszukać pióro, gdyż zielony blask wypływający z dziwnego przedmiotu był niemal równie intensywny jak światło dzienne. Wychodząc z gabinetu i zwracając się z powrotem ku głównej sali, trzymał kulę przed sobą. Bez wątplenia, gdy tylko znalazł się na lepiej oświetlonym korytarzu, kula przygasła.

Oscar chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz doktor Burrows przebiegł obok niego bez słowa i wypadł na ulicę. Słyszał, jak Oscar krzyczy za nim: „Chwileczkę, poczekaj!”, był jednak tak pochłonięty obserwowaniem kuli, że całkowicie go zignorował. Kiedy podniósł tajemniczy przedmiot do światła, przekonał się, że wypływający z kuli blask niemal całkiem zniknął, a zamknięty

w niej płyn pociemniał, przybrał szaroburą barwę. Im dłużej pozostawał na zewnątrz, trzymając kulę w pełnym blasku słońca, tym ciemniejszy stawał się płyn w jej wnętrzu, aż zrobił się niemal zupełnie czarny, wyglądał jak olej.

Doktor Burrows wrócił do muzeum, nie opuszczając dłoni z tajemniczą kulą. Ani na moment nie odrywał wzroku od wypełniającej szklany obiekt cieczy, która znów zaczęła wirować i emanować dziwnym zielonkawym blaskiem. Oscar czekał na niego w głównej sali, wyraźnie zatroskany.

– Fascynujące... fascynujące... – mruzczał doktor Burrows.

– Myślałem, że dostałeś waporów, mój chłopcze. Czemu tak wybiegłeś, może zrobiło ci się duszno? Masz zawroty głowy?

– Nie, nic mi nie jest, panie Embers, naprawdę. Chciałem tylko coś sprawdzić. Proszę mi podać adres pani Tantrumi, jeśli pan łaskaw.

– Ogromnie się cieszę, że tak ci się to spodobało – powiedział Oscar. – Jak już mówimy o adresie, to przy okazji podrzucę ci telefon do mojego dentysty. Musisz zająć się tymi zębami, mój drogi, i to migiem.

Rozdział 4

Will stał oparty o kierownicę swego roweru przy wjeździe na połąć niezagospodarowanej ziemi otoczonej drzewami i krzewami. Po raz kolejny spojrzął na zegarek i postanowił, że da Chesterowi jeszcze pięć minut i ani sekundy więcej. Czekaając, tracił tylko cenny czas.

Rozciągające się za nim pustkowia nie różniło się niczym od zaniedbanych i zapomnianych placów, jakie można znaleźć na obrzeżach każdego miasta. Fakt, że jeszcze nikt nie zdecydował się na zbudowanie tu osiedla mieszkaniowego, można było tłumaczyć bliskością miejskiego wysypiska śmieci i obecnością hałd różnego rodzaju odpadków, wznoszących się i opadających na tym obszarze z przygnębiającą regularnością. Miejsce to, ze względu na liczne doły i dziury znaczące jego powierzchnię, nosiło miano Czterdziestu Dołków i często było areną bitew toczonych przez miejscowe gangi nastolatków – „Klan” i „Klikę”, których członkowie wywodzili się z najbiedniejszych osiedli Highfield.

Było to także ulubione miejsce spotkań dzieciaków jeżdżących na rowerach górskich oraz cmentarzysko skradzionych motorowerów, porzucanych tu przez młodocianych złodziei. Czarne szkielety spalonych mopedów wały się głównie na obrzeżach placu, pośród krzewów i chwastów obrastających ich spalone koła i silniki. Nieco rzadziej dochodziło tu do aktów bezmyślnego okrucieństwa, których sprawcami byli młodzieniaszkowie czerpiący przyjemność z dręczenia ptaków i żab: biedne zwierzęta ginęły w męczarniach, torturowane przy akompaniamencie sadystycznego śmiechu. Tu i ówdzie nawet można było znaleźć ich żałosne szczątki, nadziane na naostrzone patyki.

Gdy Chester wyszedł zza rogu i ruszył w stronę Czterdziestu Dołków, jego uwagę przykuł jasny, metaliczny błysk. Słońce odbijało się od wypolerowanej łopaty Willa, którą ten nosił przewieszoną przez plecy niczym samurajski miecz.

Uśmiechnął się i przyspieszył kroku, przyciskając do piersi zwykłą ogrodową łopatę. Zamachał radośnie do widocznej w oddali samotnej postaci o niezwykle jasnej cerze, z czapką bejsbolową na głowie i ciemnymi okularami przesłaniającymi oczy. Will w ogóle wyglądał dość osobliwie: miał na sobie strój roboczy, składający się z luźnego rozpinanego swetra ze skórzanymi łatami na łokciach oraz starych sztruksów okrytych patyną zaschniętego błota; nie pozwalała się ona domyślić, jakiego były koloru. Jedyne rzeczy, które Will utrzymywał w nienagannej czystości, były jego ukochana łopata i metalowe czubki roboczych butów.

– Czemu tak późno? – spytał Will, kiedy w końcu Chester do niego dotarł. Will nie potrafił zrozumieć, jak cokolwiek mogło zatrzymać przyjaciela, jak cokolwiek mogło być ważniejsze od spotkania.

Spotkanie to było kamieniem milowym w życiu Willa, gdyż po raz pierwszy zamierzał pokazać komuś ze szkoły – a właściwie i spoza niej – jeden z realizowanych przez siebie projektów. Nie był pewien, czy podjął właściwą decyzję; nie znał jeszcze Chestera zbyt dobrze.

– Sorki, złapałem gumę – wydyszał Chester. – Musiałem wrócić do domu, żeby zostawić rower i przybiec tutaj, a w tym upale to wątpliwa przyjemność.

Will zerknął kątem oka na słońce i się skrzywił. Nie przepadał za taką pogodą; nawet najśłabsze

promienie mogły poparzyć jego pozbawioną pigmentu skórę. Albinizm sprawiał również, że włosy wystające teraz w nieładzie spod krawędzi czapki były niemal śnieżnobiałe, a oczy zerkające niecierpliwie w stronę Dołków – bladoniebieskie.

– No dobra, chodźmy wreszcie. I tak straciliśmy już sporo czasu – burknął Will. Nacisnął mocno na pedały i wystrzelił do przodu, nie oglądając się nawet na Chestera, który ruszył za nim biegiem. – Szybko, tędy – ponaglał zostającego w tyle kolegę.

– Jak to, myślałem, że to już tutaj! – zawołał za nim Chester, z trudem łapiąc oddech.

Chester Rawls – niemal równie szeroki jak wysoki i silny jak wół, zwany w szkole Sześcianem lub Chesterem Komodą – był w tym samym wieku co Will, najwyraźniej jednak lepiej się odżywił albo odziedziczył po ojcu posturę atlety. Jedno z mniej obraźliwych graffiti w szkolnej ubikacji przedstawiało jego ojca jako trzydrzwiową szafę, a matkę jako komodę.

Choć wydawało się niemożliwe, by między chłopcami zrodziła się przyjaźń, tym, co zbliżyło do siebie Willa i Chestera, była dokładanie ta sama rzecz, która sprawiała, że w szkole wszyscy trzymali ich na dystans – skóra. Chester miał egzemę, chorobę objawiającą się wykwitami skórnymi i łuszczeniem się naskórka. Przyczyną tej dolegliwości, jak się dowiedział, choć w niczym to nie pomogło, mogła być jakaś bliżej nieokreślona alergia lub napięcie nerwowe. Niezależnie od przyczyny, całkowicie bezradny Chester musiał znosić drwiny innych uczniów, którzy obrzucali go wyzwiskami w rodzaju „paskuda” i „dupa węża”. W końcu nie mógł już tego dłużej znieść i zaczął odgrywać się na prześladowcach, skutecznie wykorzystując przewagę fizyczną, jaką obdarzyła go natura.

Z kolei Will ze względu na swą niezwykłą bladość, nazywany był przez bezlitosnych szyderców Białasem i Siwym Bałwanem. Bardziej porywczy niż Chester, pewnego zimowego wieczora Will stracił cierpliwość, gdy w drodze do miejsca wykopalisk został nagle osaczony przez grupę prześladowców. Wywiązała się krótka walka, podczas której Will z wielkim powodzeniem użył łopaty, wybijając kilka zębów i łamiąc co najmniej jeden nos.

Nic dziwnego, że po tych wydarzeniach szkolni oprawcy na jakiś czas zostawili w spokoju Willa i Chestera, traktując ich z wymuszonym respektem, niczym wściekłe psy. Obaj chłopcy odnosili się jednak nieufnie do wszystkich szkolnych kolegów, przekonani, że jeśli choćby na moment uspią czujność, prześladowania zaczną się od nowa. Nie licząc udziału sprawnego fizycznie Chestera w treningach kilku szkolnych drużyn, obaj byli autsajderami: samotnikami, którzy zawsze trzymali się na uboczu. Pozostając we wspólnym odosobnieniu, nie odzywali się do nikogo i nikt nie odzywał się do nich.

Minęło wiele lat, nim zaczęli ze sobą rozmawiać, choć od dawna darzyli się wzajemnie czymś w rodzaju podziwu i szacunku za sposób, w jaki stawiali czoła szkolnym dręczycielom. Całkiem nieświadomie zaczęli ciążyć ku sobie; w szkole spędzali razem coraz więcej czasu. Will już od dawna był samotny i pozbawiony znajomych, że wręcz pragnął towarzystwa jakiegoś rówieśnika, nawet jeżeli nie przyznawał się do tego otwarcie. Z drugiej strony wiedział, że jeśli jego przyjaźń z Chesterem ma się utrzymać, wcześniej czy później będzie musiał podzielić się z nim swą wielką pasją i pokazać mu wykopaliska. Teraz właśnie nadszedł ten czas.

Will przejechał między porośniętymi trawą pagórkami, dołami i hałdami śmieci i zatrzymał się niemal po drugiej stronie placu. Zsiadł z roweru i schował go w dole ukrytym pod karoserią

porzuconego samochodu, zardzewiała i pogięta do tego stopnia, że trudno było odgadnąć, jakiej marki był pojazd.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył, kiedy Chester wreszcie go dogonił.

– Tu będziemy kopać? – wydyszał Chester, patrząc na ziemię pod ich stopami.

– Nie. Cofnij się trochę – polecił mu Will. Chester odsunął się o kilka kroków, przyglądając się koledze z konsternacją.

– Zamierzasz zacząć nowy tunel?

Zamiast mu odpowiedzieć, Will ukląkł na ziemi i przez chwilę szukał czegoś w trawie. Gdy wreszcie odnalazł to, o co mu chodziło – kawałek grubego sznura – podniósł się i pociągnął go mocno. Ku zdumieniu Chestera na powierzchni ziemi ukazała się najpierw wąska szpara, a potem gruba drewniana płyta przysypana warstwą piasku. Pod płytą otwierał się mroczny tunel.

– Czemu to tak schowałeś? – zdziwił się Chester.

– Nie chcę, żeby ta hołota kręciła się po moich wykopaliskach – odparł z oburzeniem Will.

– Chyba nie będziemy tam wchodzić, co? – spytał Chester, podchodząc bliżej i zaglądając do wnętrza tunelu.

Tymczasem Will zaczął się już opuszczać do wąskiego otworu, który na głębokości jakichś dwóch metrów zamieniał się w szerszy, opadający ukośnie korytarz.

– Dla ciebie też mam taki – powiedział Will z głębi tunelu, wkładając na głowę żółty kask i włączając umocowaną na nim lampkę. Blask czołówki oświetlił Chestera, który spoglądał niezdecydowanie na wejście do podziemi.

– Idziesz czy nie? – spytał Will zniecierpliwiony. – Nic ci się nie stanie, masz na to moje słowo. Te zabezpieczenia wytrzymają nawet trzęsienie ziemi.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście – odparł Will, poklepując ostentacyjnie najbliższy wspornik i uśmiechając się z przekonaniem do przyjaciela. Nawet nie drgnął ani nie przestał się uśmiechać, kiedy w mroku, poza polem widzenia Chestera, wąską stróżką posypała się z sufitu ziemia. – Sto procent bezpieczeństwa. Naprawdę.

– Cóż...

Kiedy Chester znalazł się we wnętrzu, był tak zdumiony, że przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Opadający w ciemność tunel miał kilka metrów szerokości i tyle samo wysokości, a jego ściany wzmocnione były rozstawionymi gęsto podporami ze starego drewna.

Chester pomyślał, że wygląda to dokładnie tak, jak kopalnie w starych kowbojskich filmach, które pokazywali w telewizji w niedzielne popołudnia.

– Niesamowite! Nie mów, że sam to wszystko zrobiłeś, Will, nie uwierzę!

Will uśmiechnął się lekko, zadowolony z siebie.

– Jasne, że sam. Pracuję nad tym od zeszłego roku. Ale nie widziałeś jeszcze wszystkiego. Chodź

tędy.

Will opuścił klapę, zamykając wejście do podziemi. Chester przyglądał się temu z mieszanymi uczuciami, żegnając wzrokiem ostatni skrawek błękitnego nieba, który zniknął za drewnianą płytą. Potem ruszyli razem w dół korytarza, mijając po drodze sterty desek i belek ułożonych w nieładzie pod ścianami.

– Nieźle – mruknął Chester, kiwając głową z podziwem.

Zdumiał się jeszcze bardziej, kiedy korytarz zamienił się nagle w całkiem sporą komnatę, z której wychodziły kolejne dwa, nieco już mniejsze tunele. Na środku pomieszczenia stało kilka pustych wiader, stół na kozłach i dwa stare fotele. Deski zabezpieczające sufit podparte były dwoma rzędami metalowych stempli o regulowanej wysokości, pokrytych grubą warstwą rdzy.

– Nareszcie w domu – westchnął Will.

– To jest... to jest... niewiarygodne – oświadczył Chester z niedowierzaniem, po czym zmarszczył brwi. – Jesteś pewien, że możemy tu bezpiecznie przebywać?

– Oczywiście. Tata nauczył mnie, jak odpowiednio zabezpieczać ściany i budować wzmocnienia; to nie jest mój pierwszy tunel... – Will przerwał raptownie, ganiąc się w myślach. Jeszcze chwila, a powiedziałby Chesterowi o stacji kolejowej, którą odkryli niedawno z tatą.

Chester przyglądał się podejrzliwie przyjacielowi, kiedy ten zakasłał głośno, by ukryć zmieszanie. Will obiecał ojcu, że dotrzyma tajemnicy, i rzeczywiście nie zamierzał zdradzać jej nikomu, nawet Chesterowi. Odchrząknął raz jeszcze i odezwał się ponownie: – Wiem też dokładnie, którędy należy prowadzić podziemne korytarze. Lepiej nie kopać pod budynkami; trzeba wtedy używać znacznie wytrzymalszych wzmocnień. Jeszcze gorsze są podziemne strumienie, bo woda może podmyć całą konstrukcję.

– Tutaj nie ma żadnej wody, prawda? – spytał szybko Chester.

– Tylko ta. – Will sięgnął do tekturowego pudła stojącego na stole i wręczył przyjacielowi plastikową butelkę z napojem. – Odsapnijmy trochę.

Usiedli na starych fotelach i przez chwilę popijali w milczeniu chłodną wodę. Chester przyglądał się z ciekawością sufitowi i dwóm korytarzom wychodzącym z drugiej strony pomieszczenia.

– Tak tu spokojnie, prawda? – westchnął Will.

– Tak – odparł Chester. – Bardzo... eee... cicho.

– Nie tylko cicho, lecz także ciepło i przytulnie. I ten zapach... Można by powiedzieć, że poprawia człowiekowi humor, uspokaja, co nie? Tata mówi, że stąd pochodzimy – wiesz, jaskiniowcy i tak dalej – no i że wszyscy tu kiedyś trafimy, to znaczy do ziemi. Pewnie dlatego czujemy się tu tak swobodnie, jak u siebie w domu.

– Pewnie tak – przytaknął Chester bez przekonania.

– Wiesz, kiedyś myślałem, że kiedy człowiek kupuje dom, jest też właścicielem wszystkiego, co p o d nim.

– Co masz na myśli?

– Pomyśl, twój dom stoi na wydzielonej działce, tak? – mówił Will, dla większego efektu tupiąc nogą w podłogę jaskini. – I wszystko, co jest pod tą działką, do samego jądra ziemi, także należy do ciebie. Oczywiście, im bliżej jesteś środka, tym ten twój kawałek robi się mniejszy, aż całkiem znika.

Chester skinął powoli głową, nie wiedząc, co ma właściwie powiedzieć.

– Zawsze wyobrażałem sobie, że można kopać w tym swoim kawałku ziemi, coraz głębiej i głębiej, setki, tysiące mil, zamiast siedzieć na samej górze, na powierzchni ziemi – tłumaczył Will rozmarzonym głosem.

– Rozumiem – ucieszył się Chester. – Gdybyś tak kopał, miałbyś własny wieżowiec, tyle że skierowany w dół, a nie w górę. Jak włos wrosnięty w ciało.

– Bezwiednie podrapał egzemę na skórze.

– Dobre porównanie, nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. Ale tata mówi, że nawet jeśli ktoś kupi działkę, to ziemia pod nią nie należy do niego; rząd może tam budować metro, kłaść rury i zrobić cokolwiek zechce.

– Aha – mruknął Chester, zastanawiając się, dlaczego właściwie o tym rozmawiają.

Jakby czytając w jego myślach, Will zerwał się nagle z miejsca, mówiąc:

– No dobra, bierz kilof, cztery wiadra i taczki i chodź za mną. Mam tu pewien problem ze skałą – dokończył, wskazując na jeden z ciemnych tuneli.

Tymczasem na powierzchni doktor Burrows maszerował rażnym krokiem do domu. Chodził do pracy na piechotę, bo lubił po drodze rozmyślać o różnych sprawach, a przy tym oszczędzał też na biletach autobusowych.

Minąwszy kiosk z gazetami, doktor Burrows zatrzymał się raptownie, cofnął o krok, obrócił w miejscu i wszedł do środka.

– Doktor Burrows! Już myślałem, że pan o nas zapomniał – odezwał się mężczyzna za ladą, podnosząc wzrok znad otwartej gazety. – Albo że wybrał się pan w podróż dookoła świata czy coś w tym rodzaju.

– Ach, nie, niestety – odparł doktor, starając się nie patrzeć na rozliczne batony i czekoladki ułożone na ladzie.

– Mamy tu wszystkie pana zamówienia – powiedział sprzedawca, pochylając się nad kontuarem i wyciągając stertę czasopism. – Proszę. „Wykopaliska”, „Miesięcznik Kustosza” i „Dziennik Archeologiczny”. Niczego nie brakuje, mam nadzieję?

– Nie, nie, wszystko gra – odparł Burrows, sięgając po portfel. – Byłbym niepokieszony, gdyby oddał je pan komuś innemu!

Sprzedawca uniósł lekko brwi.

– Zapewniam pana, że te tytuły nie cieszą się tutaj szczególnym wzięciem – powiedział, przyjmując od doktora banknot dwudziestofuntowy. – Widzę, że nad czymś pan ostatnio pracował – stwierdził, spoglądając na dłonie Burrowsa. – Był pan w kopalni?

– Nie – odparł doktor, kontemplując zaschnięty brud pod swoim paznokciami. – Majsterkowałem

trochę w piwnicy. Dobrze przynajmniej, że ich nie obgryzam, co?

Doktor Burrows otworzył drzwi kiosku zaopatrzonego w całą stertę czasopism, które usiłował upchnąć w bocznej kieszeni aktówki. Wciąż zmagając się z opornymi papierami, wyszedł na chodnik i wpadł prosto na mężczyznę przemieszczającego się z ogromną prędkością wzdłuż ulicy. Odbiwszy się od tego niskiego lecz krępego człowieka, doktor Burrows krzyknął z przestachem i upuścił aktówkę wraz z czasopismami. Nieznajomy, który wydawał się równie ciężki i solidny jak lokomotywa, kontynuował marsz, jakby w ogóle nie zauważył Burrowsa. Doktor, zakłopotany i zirytowany jednocześnie, próbował wołać za mężczyzną, by go przeprosić, lecz ten, nie zwalniając kroku, poprawił tylko okulary i obrócił lekko głowę, posyłając mu szyderczy uśmiezek.

Doktor Burrows tkwił w osłupieniu. To był człowiek w kapeluszu. Ostatnio coraz częściej dostrzegał wśród mieszkańców Highfield osobników, którzy wydawali się... inni, choć nie na tyle, by wyróżniać się szczególnie z tłumu. Burrows, który zawsze lubił przyglądać się ludziom, kilkakrotnie już zastanawiał się nad tym fenomenem i doszedł do wniosku, że osoby te muszą być ze sobą jakoś spokrewnione. Jednocześnie zauważył ze zdumieniem, że nikt prócz niego nie zwrócił do tej pory uwagi na te dziwne postacie w płaskich kapeluszach, czarnych płaszczach i bardzo grubych ciemnych okularach.

Gdy zderzył się z mężczyzną, przekrzywiając nieco jego ciemne jak noc okulary, doktor Burrows po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się z bliska typowemu okazowi tego intrygującego gatunku. Nieznajomy miał dziwnie pociągłą twarz z wydatnym czołem, rzadkie białe włosy i jasnoniebieskie oczy, ledwie widoczne na tle bladej, niemal przezroczystej skóry. Jednak tym, co zaintrygowało doktora najbardziej, był dziwny zapach unoszący się wokół mężczyzny. Zapach stęchlizny, kojarzący się z walizkami pełnymi starych, zapleśniałych ubrań podrzucanych nocą przez nieznaną darczyńców na schody muzeum.

Burrows przyglądał się uważnie nieznanemu, oddalającemu się równym krokiem w dół High Street. Nagle jakiś przechodzień na moment przesłonił doktorowi widok, a człowiek w kapeluszu zniknął, jakby rozpułnął się w powietrzu. Kustosz przez chwilę wodził spojrzeniem wzdłuż ulicy, lecz choć na chodnikach panował stosunkowo mały ruch, nie mógł odszukać tajemniczego osobnika w ciemnych okularach.

Doktor Burrows pomyślał, że być może powinien był podjąć wysiłek i śledzić nieznanego, by sprawdzić, dokąd ten zmierza. Będąc jednak osobą z natury łagodną, unikającą sporów i konfrontacji, szybko wytłumaczył sam sobie, że nie byłby to najlepszy pomysł, gdyż człowiek w kapeluszu wydawał się doń wrogo nastawiony. A przecież w dowolnej chwili mógł zbadać, gdzie mieszka zarówno ten mężczyzna, jak i, być może, cała rodzina podobnych mu kapeluszników. Tak, zrobi to, gdy będzie w bardziej wojowniczym nastroju.

Tymczasem pod ziemią Will i Chester zmagali się w pocie czoła ze skałą, w której Will rozpoznał piaskowiec. Ku ogromnemu zadowoleniu chłopca okazało się, że Chester ma prawdziwą smykałkę do tego rodzaju prac. Młody Burrows obserwował z niemym podziwem, jak przyjaciel z ogromną siłą uderza kilofem w ścianę, a gdy w skale otwiera się szczelina, wie dokładnie, gdzie podważyć poluzowane fragmenty piaskowca, które on sam ładował później do wiader.

– Chcesz sobie zrobić przerwę? – spytał, widząc, że Chester zaczyna słabnąć. – Chodź, odsapniemy trochę. Przyda nam się odrobina świeżego powietrza – dodał, świadom, że w głębi korytarza, w miejscu oddalonym o ponad sześć metrów od głównej sali, panuje ogromna duchota.

– Jeśli przedłużę ten tunel o kolejne kilka metrów – mówił do Chestera, gdy obaj pchali przed sobą wyładowane taczki – będę musiał wydrążyć szyb wentylacyjny. Nie cierpię tego robić, zwłaszcza kiedy pomyślę, że w tym samym czasie mógłbym kopać tunel...

Dotarli do głównej komnaty i usiedli w fotelach, zaopatrzeni w butelki z wodą.

– Co zrobimy z tym wszystkim? – spytał Chester, ugasiwszy pragnienie. Głową wskazał na wypełnione odłamkami skał wiadra stojące na taczkach.

– Wyniesiemy na powierzchnię i wyrzucimy do rowu.

– Nikt się nie przyczepi?

– Jeśli ktoś się będzie czepiał, powiem, że przygotowuję okopy do gry wojennej – odparł Will. Napił się wody i przełknął głośno. – Kogo to zresztą obchodzi? Dla dorosłych jesteśmy tylko bandą przygłupich dzieciaków z łopatami i wiadrami – dodał lekceważąco.

– Na pewno zaczęłoby ich obchodzić, gdyby zobaczyli to; zwykłe dzieciaki nie budują takich rzeczy – stwierdził Chester, omiatając spojrzeniem obszerną salę. – A dlaczego właściwie to robisz, Will?

– Spójrz tutaj.

Will ostrożnie podniósł z podłogi plastikową skrzynkę i położył ją na kolanach. Potem wyjął z niej kilka przedmiotów, umieszczając je starannie na stole, jeden obok drugiego. Były wśród nich butelki po Codswallop – napoju bezalkoholowym z epoki wiktoriańskiej – o dziwnie wygiętych szyjkach, w których kryły się szklane kulki, oraz całe mnóstwo różnych rozmiarów i kształtów butelek po lekarstwach. Wszystkie pokryte były matowym nalotem, pozostałością po wielu latach spędzonych w ziemi.

– Zobacz też to – dodał Will z nabożną niemal czcią, wyciągając wiktoriańskie słoiki z ozdobnymi przykrywkami i napisami ułożonymi z fikuśnych, pełnych zawijasów liter, jakich Chester nigdy dotąd nie widział. Wydawało się, że chłopiec jest naprawdę zainteresowany tymi przedmiotami, brał do ręki każdy po kolei i wypytywał Willa o ich wiek i przeznaczenie. Ośmielony Will wyciągał kolejne znaleziska i układał je na stole. Wreszcie wyprostował się i obserwował reakcje nowego przyjaciela.

– Co to takiego? – spytał Chester, dźgając palcem niewielką kupkę zardzewiałego metalu.

– Gwoździe. Prawdopodobnie osiemnasty wiek. Jeśli przyjrzesz się im z bliska, zobaczysz, że każdy jest inny, a to dlatego, że były ręcznie robione...

Jednak Chester pochylał się już nad innym przedmiotem, który przykuł jego uwagę.

– To jest naprawdę niezwykle – powiedział, podnosząc i obracając w dłoni buteleczkę po perfumach. Promienie światła tańczyły na kobaltowych i fioletoworóżowych ściankach flakonu. – Aż trudno uwierzyć, że ktoś to tak po prostu wyrzucił.

– Zgadza się – przytaknął Will. – Możesz to sobie wziąć, jeśli chcesz.

– Naprawdę? – zdumiał się Chester zaskoczony propozycją.

– Tak, jasne, mam w domu taką samą.

– Super... dzięki – odparł Chester, przyglądając się butelce z takim zachwytem, że nie zauważył nawet szerokiego uśmiechu na twarzy przyjaciela. Will żył właściwie wyłącznie dla tych chwil, kiedy mógł pokazać ojcu najnowsze zdobycze. To jednak było o wiele lepsze – ktoś w tym samym wieku co on wydawał się szczerze zainteresowany owocami jego pracy. Spojrzał na znaleziska ułożone na blacie stołu, a serce przepełniała mu duma. Często wyobrażał sobie, jak sięga w przeszłość i wrywa te drobne fragmenty odrzuconej historii. Przeszłość zawsze wydawała mu się miejscem o wiele ciekawszym i miłszym od ponurej terażniejszości. Westchnął i zaczął wkładać eksponaty z powrotem do skrzynki.

– Nie znalazłem jeszcze żadnych skamieniałości... czegoś naprawdę starego... ale nigdy nie wiadomo, co kryje się pół metra dalej – powiedział, zerkając tęsknie w stronę tuneli. – Właśnie to jest w tym najlepsze.

Rozdział 5

Doktor Burrows maszerował różnym krokiem, gwizdząc pod nosem jakąś melodię i wymachując do rytmu aktówką. Jak każdego dnia dokładnie o 6.30 skręcił za róg i ujrzał swój dom. Był to jeden z wielu segmentów upchanych wzdłuż Broadlands Avenue – ceglany klocek dostosowany do potrzeb maksymalnie czteroosobowej rodziny. Jedną z jego niewielu zalet był rozciągający się z okien widok na otwartą przestrzeń błoni położonych po drugiej stronie ulicy, co rekompensowało nieco fakt, że widok ów można było podziwiać z pokoi niemal zupełnie przestrzeni pozbawionych.

Gdy doktor Burrows wszedł do środka i przystanął w przedpokoju, by wyjąć z aktówki stare książki i czasopisma, jego syn zbliżał się już do domu. Pędząc na złamanie karku, wjechał w Broadlands Avenue, oblany pomarańczowym światłem zapalonych przed momentem latarni. Zręcznym slalomem ominął białe pasy wymalowane na środku drogi, położył rower w ostrym zakręcie i przejechał przez otwartą bramę, zatrzymując się wreszcie z piskiem opon pod wiatą dla samochodu. Zeskoczył z roweru, przypiął go i wszedł do domu.

Will należał do tych chłopców, którzy potrzebują przestrzeni, dlatego też w domu bywał rzadko, zazwyczaj tylko nocą i w porach posiłków. Podobnie jak wiele dzieciaków w jego wieku traktował dom niemal jak hotel. Sytuacja Willa była o tyle trudniejsza, że ze względu na niezwykle jasną karnację i uczulenie na promienie słoneczne musiał szukać ciemnych, zacienionych miejsc, najlepiej pod powierzchnią ziemi. Oczywiście Will nie miał nic przeciwko takiemu rozwiązaniu.

– Cześć, tato – rzucił w stronę ojca, który stał teraz w salonie, zastygły w dziwacznej pozie. Wciąż trzymał w dłoni otwartą aktówkę, a jednocześnie wpatrywał się w telewizor.

Doktor Burrows był bez wątpienia osobą, która wywierała największy wpływ na zainteresowania i życie Willa. Rzucona od niechcienia uwaga lub strzęp informacji mogły zainspirować młodego Burrowsa do rozpoczęcia zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań, które zazwyczaj polegały głównie na kopaniu nowych tuneli. Ojciec zawsze zjawiał się na miejscu prowadzonych przez Willa wykopalisk, jeśli tylko sądził, że może tam znaleźć coś naprawdę wartościowego, większość wolnego czasu spędzał jednak na czytaniu książek, które trzymał w piwnicy, swojej piwnicy. Tutaj mógł uciec przed monotonią życia rodzinnego i zanurzyć się w świecie wspaniałych greckich świątyń i olbrzymich rzymskich amfiteatrów.

– Ach, tak, cześć Will – odparł po chwili doktor Burrows, wciąż zaprzątnięty tym, co działo się na ekranie telewizora. Will przeniósł wzrok na matkę, która również pochłonięta była bez reszty oglądaniem telewizji.

– Cześć, mamó – powiedział i wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

Oczy pani Burrows śledziły w napięciu wydarzenia rozgrywające się w Oddziale ratunkowym.

– Witaj – odrzekła wreszcie, choć Willa nie było już z pokoju.

Rodzice Willa poznali się na uniwersytecie, kiedy pani Burrows była pełną życia studentką medioznawstwa, marzącą o karierze w telewizji.

Niestety, teraz telewizja wypełniała jej życie z zupełnie innych powodów. Oglądała ją z

fanatycznym niemal oddaniem, ślęczała przed telewizorem całymi dniami, a kiedy jej ulubione programy nakładały się na siebie, nagrywała je na wideo (na wszelki wypadek zawsze miała do dyspozycji dwa magnetowidy).

Gdyby Will miał przywołać w pamięci obraz matki, pierwsze skojarzenie, które pojawiłoby się w jego umyśle niczym zdjęcie w gazecie, byłoby zapewne obrazem kobiety leżącej na boku w ulubionym fotelu, z równiutkim szeregiem pilotów na oparciu, i stopami wspartymi na podnóżku, na którym piętrzyła się również sterta wyrwanych z gazet stron z programem telewizyjnym. Siedziała tam dzień w dzień, tydzień w tydzień, otoczona stertami kaset wideo, zastygła w migotliwym blasku małego ekranu. Od czasu do czasu poruszała tylko lekko nogą lub zmieniała nieco pozycję, dając w ten sposób znać innym domownikom, że wciąż żyje. Salon, jej królestwo, umeblowany był sprzętami, które lata świetności już dawno miały za sobą. Stały tam krzesła z kilku różnych kompletów, pomalowane farbami o dziwnych odcieniach fioletu i różu, dwa różne fotele przykryte wyblakłymi, ciemnoniebieskimi narzutami i sofa z przetartymi oparciami.

Wszystkie te meble pochodziły z darów, jakie otrzymywał przez lata doktor Burrows.

Jak co wieczór Will skierował się do kuchni, a dokładniej rzecz biorąc – do lodówki. Otwierając drzwiczki, odezwał się głośno, nie patrząc nawet w stronę osoby, do której się zwracał:

– Cześć, siostrzyczko. Masz coś dobrego? Umieram z głodu.

– Aha, potwór z bagien powraca – mruknęła Rebeka. – Miałam dziwne przeczucie, że lada moment się tu zjawisz.

Zatrzasnęła drzwi lodówki, nie pozwalając bratu gmerać w jej wnętrzu, a nim Will zdążył zaprotestować, wcisnęła mu w dłoń puste opakowanie.

– Kurczak na słodko-kwaśno z ryżem i warzywami. W supermarkecie była promocja dwa w cenie jednego.

Will spojrzał na zdjęcie na opakowaniu i bez słowa oddał je siostrze.

– Jak idzie kopanie? – spytała, kiedy kuchenka mikrofalowa wydała z siebie charakterystyczny brzdęk.

– Nie najlepiej. Trafiliśmy na warstwę piaskowca.

– Trafiliśmy? – Rebeka zerknęła z zaciekawieniem na brata, wyjmując naczynie z mikrofalówki. – Chyba się nie przesłyszałam, prawda? Chcesz powiedzieć, że tata kopie z tobą?, Chyba nie robi tego w godzinach pracy?

– Nie, pomaga mi Chester, kolega ze szkoły. Rebeka włożyła właśnie drugie danie do mikrofalówki i omal nie przycięła sobie drzwiczkami palców, kiedy usłyszała te słowa.

– Chcesz powiedzieć, że naprawdę poprosiłeś kogoś o pomoc? To coś nowego, bez dwóch zdań. Myślałam, że nikomu nie ufasz.

– Bo tak jest, ale Chester to wyjątek, jest naprawdę fajny – odparł Will, nieco zaskoczony tym nagłym zainteresowaniem ze strony siostry. – Bardzo mi pomógł.

– Prawdę mówiąc, niewiele o nim wiem, prócz tego, że nazywają go...

– Wiem, jak go nazywają – przerwał jej ostro Will. Młodsza od Willa o dwa lata dwunastoletnia Rebeka stanowiła jego zupełne przeciwieństwo; w odróżnieniu od krępego, solidnie zbudowanego brata była szczupła i drobna, nawet jak na swój wiek. Miała też ciemne włosy i śniadą karnację, dzięki czemu nie musiała obawiać się słońca, nawet w najgorętsze dni lata, podczas gdy skóra Willa już po kilku minutach przebywania na słońcu czerwieniała i pokrywała się bąblami.

Choć oboje tak bardzo się od siebie różnili, nie tylko wyglądem, lecz także usposobieniem, na co dzień zachowywali coś w rodzaju długotrwałego rozejmu; starali się nie wchodzić sobie w drogę i okazywali tylko powierzchowne zainteresowanie poczynaniami drugiej strony.

Rodzina Burrowsów nigdy nie wybierała się na wspólne wycieczki lub chociażby spacer, a to dlatego, że pan i pani Burrows mieli zupełnie odmienne gusta. Tylko Will z ojcem podejmowali od czasu do czasu wyprawy, których celem było zazwyczaj południowe wybrzeże – najczęściej Lyme Regis – gdzie razem szukali skamieniałości.

Za to Rebeka sama organizowała sobie regularne wyjazdy – Will nie wiedział dokąd ani w jakim celu, wcale go to zresztą nie obchodziło. Z kolei pani Burrows prawie nigdy nie wychodziła z domu, a jeśli już, to tylko po to, by powłóczyć się po sklepach w West Endzie lub obejrzyć najnowsze filmy.

Tego wieczoru, jak co dzień, Burrowsowie siedzieli z talerzami na kolanach i oglądali telewizję – powtarzany co jakiś czas serial komediowy z lat siedemdziesiątych, do którego doktor Burrows miał szczególną słabość. Wszyscy milczeli podczas posiłku, raz tylko pani Burrows mruknęła pod nosem coś w rodzaju: „Dobre... naprawdę dobre”, choć trudno było określić, czy miała na myśli danie z mikrofalówki, czy też zakończenie kolejnego odcinka sitcomu.

Pochłonawszy porcję kurczaka, Will wyszedł z pokoju bez słowa i zostawił naczynia przy zlewie w kuchni. Wbiegł na schody, trzymając płócienną torbę wypełnioną najnowszymi znaleziskami. Jako następny salon opuścił doktor Burrows, porzucając naczynia na kuchennym stole. Choć Rebeka nie skończyła jeszcze posiłku, wyszła do kuchni za ojcem.

– Tato, trzeba zapłacić kilka rachunków. Czeki leżą na stole.

– Mamy dość pieniędzy na koncie? – spytał doktor Burrows i podpisał чеки, nie spoglądając nawet na wypisane na nich kwoty.

– Mówiłam ci już, że w zeszłym tygodniu załatwiłam zniżkę na ubezpieczenie domu. Zaoszczędziliśmy trochę na składce.

– Jasne... bardzo dobrze. Dziękuję – powiedział doktor Burrows, biorąc do ręki naczynia i odwracając się w stronę zmywarki.

– Zostaw je przy zlewie – powiedziała Rebeka odrobinę za szybko, blokując własnym ciałem dostęp do zmywarki. W zeszłym tygodniu przyłapała ojca na tym, jak próbował zaprogramować jej ukochaną mikrofalówkę, dźgając zaciekle przyciski bez ładu i składu, jakby próbował złamać jakiś sekretny kod. Od tej pory przed wyjściem z kuchni Rebeka wyciągała niemal wszystkie wtyczki z gniazdek.

Kiedy doktor Burrows opuścił już kuchnię, dziewczynka wsunęła чеки do kopert i usiadła przy stole, by sporządzić listę zakupów na następny dzień. Choć miała zaledwie dwanaście lat, była siłą napędową domu Burrowsów, jego sercem i mózgiem zarazem. Zajmowała się nie tylko zakupami,

lecz także przygotowywała posiłki, nadzorowała pracę sprzątaczk i wykonywała niemal wszystkie inne czynności, za które w normalnym domu odpowiadają dorośli.

Stwierdzenie, że Rebeka była skrupulatna, byłoby dużym niedopowiedzeniem. Lista wywieszona na tablicy w kuchni obejmowała wszystkie produkty, których dziewczynka mogła potrzebować w ciągu najbliższych dwóch tygodni. W jednej z kuchennych szafek przechowywała starannie posegregowane i opisane teczki z rachunkami i aktualnym stanem finansów rodziny. Cała ta doskonale zaprojektowana i prowadzona machina zaczynała zawodzić tylko wtedy, gdy Rebeka wyjeżdżała. Wówczas cała trójka – państwo Burrows oraz Will – żywiła się jedzeniem pozostawionym przez Rebeke w zamrażarce, sięgając po nie wtedy, kiedy tylko przyszła im ochota, z regularnością i subtelnością stada wilków. Po tych krótkich okresach nieobecności Rebeka po prostu przywracała wszystko do porządku, i to bez słowa protestu, jakby pogodziła się z myślą, że jej życiowym zadaniem jest sprzątanie po pozostałych członkach rodziny.

Gdy pani Burrows, która ani na moment nie opuszczała stanowiska przed telewizorem, sięgnęła po pilota, by rozpocząć conocny maraton oper mydlanych i talkshow, Rebeka sprzątała w kuchni. Około dziewiątej uporała się z porządkami. Chcąc dokończyć pracę domową, zasiadła przy stole zastawionym do połowy pustymi słoikami, które doktor Burrows już od tygodni obiecywał uprzątnąć. Uznawszy wreszcie, że czas położyć się spać, wzięła pod pachę starannie złożone czyste ręczniki i weszła z nimi na górę. Przechodząc obok łazienki, zatrzymała się na moment przy otwartych drzwiach i zajrzała do środka. Will klęczał na wyłożonej płytkami podłodze, podziwiał najnowsze znaleziska i czyścił je z ziemi szczoteczką do zębów doktora Burrowsa.

– Spójrz tylko! – powiedział z dumą, podnosząc małą skórzaną torbę, z której sączyły się krople brudnej wody. Ostrożnie odchylił przegniłą klapę i wyjął ze środka kilka glinianych fajek. – Zwykle można znaleźć tylko fragmenty... kawałki, które wyrzucili robotnicy rolni. A tutaj wszystkie są całe, dokładnie takie, jakie były w dniu, gdy je zrobiono... pomyśl tylko... tyle lat... osiemnasty wiek.

– Cudowne – odparła Rebeka głosem pozbawionym choćby cienia zainteresowania. Poprawiwszy włosy wzgardliwym gestem, podeszła do szafki, gdzie schowała czyste ręczniki, a potem udała się do swego pokoju i starannie zamknęła za sobą drzwi.

Will westchnął i ponownie zajął się czyszczeniem znalezisk. Po jakimś czasie zebrał je na poplamioną błotem matę łazienkową i przeniósł do swojej sypialni. Tutaj ułożył starannie fajki i wilgotną torebkę obok innych skarbów, które tłoczyły się na długich półkach, zakrywających całkowicie jedną ścianę pomieszczenia – nazywał to miejsce swoim prywatnym muzeum.

Pokój Willa znajdował się na tyłach domu. Zbliżała się druga w nocy, kiedy obudził go dziwny dźwięk dobiegający z ogrodu.

– Taczki? – mruknął do siebie, nim jeszcze otworzył oczy. – Załadowane taczki?

Wygramolił się z łóżka i podszedł do okna. W blasku półksiężyca dojrzał niewyraźną postać pchającą taczki po ścieżce. Przetarł oczy i wytężył wzrok.

– Tata! – zdumiał się, rozpoznawszy ojca po okularach, w których odbiła się na moment poświata księżyca. Zaintrygowany obserwował, jak doktor Burrows dociera do końca ogrodu, przesuwa się przez otwór w żywopłocie i wychodzi na błonia. Kilka sekund później ciemna sylwetka doktora zniknęła za drzewami.

– Co on kombinuje? – zastanawiał się Will, szepcząc sam do siebie. Doktor Burrows zawsze kładł się późno – wysypiał się potem w pracy – lecz taki poziom aktywności fizycznej był dla niego czymś niezwykłym.

Will przypomniał sobie, jak kilka miesięcy wcześniej pomagał ojcu obniżyć podłogę w piwnicy niemal o metr, a potem wylać nową, betonową posadzkę, powiększając tym samym przestrzeń życiową w suterenie. Po paru tygodniach doktor Burrows wpadł na nowy pomysł: postanowił wykopać wyjście z piwnicy bezpośrednio do ogrodu i wstawić tam drzwi, jakby uznał, że potrzebuje dodatkowej drogi dostępu do swego sanktuarium w podziemiach. Will był przekonany, że na tym skończyły się prace budowlane na najniższym poziomie domu, ale ojciec bywał czasem nieprzewidywalny. Chłopiec poczuł się nieco dotknięty – dlaczego tata prowadził jakiegokolwiek prace w tajemnicy przed nim, dlaczego nie poprosił go o pomoc?

Zaspany i zmęczony, Will postanowił nie zaprzętać sobie tym na razie głowy i wrócił do łóżka.

Rozdział 6

Nazajutrz, po lekcjach, Will i Chester podjęli na nowo pracę w tunelu. Will opróżnił właśnie wiadra i wrócił z taczkami wyładowanymi pustymi pojemnikami na koniec korytarza, gdzie Chester walił kilofem w warstwę kamienia.

– Jak idzie? – spytał Will.

– Bez zmian – odparł Chester, ocierając rękawem spocone czoło i znacząc przy tym twarz smugą błota.

– Poczekaj, rzucę na to okiem. Ty zrób sobie przerwę.

– Dobra.

Will oświetlił czołówką powierzchnię skały, przyjrzał się uważnie brązowo-żółtym wzorom i westchnął ciężko.

– Powinniśmy chyba przystopować na chwilę i zastanowić się, co dalej. Nie ma sensu walić głową w mur z piaskowca! Chodź, napijemy się.

– Tak, to dobry pomysł – odrzekł Chester z wdzięcznością.

Przeszli do. głównej sali, gdzie Will wręczył Chesterowi butelkę wody.

– Cieszę się, że chciałeś ze mną popracować. Ta robota naprawdę wciąga, co? – mówił Will do wpatrującego się w przestrzeń przyjaciela.

Chester drgnął i spojrzał na niego.

– Właściwie to tak i nie. Powiedziałem, że pomogę ci przebić się przez tę skałę, ale nie wiem, co będzie dalej. Wczoraj tak mnie bolały ręce, że ledwo mogłem nimi ruszać.

– Och, przyzwyczaisz się. Jesteś do tego stworzony.

– Naprawdę tak myślisz? – rozpromienił się Chester.

– Bez dwóch zdań. Kiedyś może nawet zdołasz mi dorównać!

Chester szturchnął go żartobliwie w ramię, a potem obaj roześmiali się głośno. Śmiech ucichł gwałtownie, gdy na twarzy Willa zagościła powaga.

– O co chodzi? – spytał Chester.

– Musimy się nad tym jeszcze raz zastanowić. Warstwa piaskowca może być tak gruba, że nigdy się przez nią nie przebijemy. – Will splótł palce i położył złączone dłonie na głowie, podobnie jak czynił to jego ojciec. – Co myślisz o tym, żebyśmy... zeszli pod skałę?

– Pod skałę? Nie za głęboko?

– Nie, zdarzało mi się już schodzić głębiej.

– Kiedy?

– Dwa z moich tuneli sięgały niżej niż ten – odparł wymijająco Will. – Pomyśl tylko, jeśli zaczniemy kopać pod piaskowcem, wykorzystamy go jako sufit nowego tunelu. Nie będziemy nawet musieli stawiać stempli.

– Tak bez stempli? – spytał z niedowierzaniem Chester.

– Bez. Taka gruba warstwa skały to najlepsze zabezpieczenie.

– A jeśli się mylisz? A jeśli ta skała osunie się prosto na nas? – Pomysł Willa najwyraźniej nie przypadł Chesterowi do gustu.

– Za dużo się martwisz. Chodź, bierzmy się lepiej do roboty! – Will podjął już decyzję, zerwał się z miejsca i ruszył zważnym krokiem w głąb tunelu, kiedy Chester zawołał za nim:

– Hej, poczekaj, a właściwie dlaczego tak się z tym męczymy... Znalazłeś coś ciekawego na planach tej okolicy? Po co to robimy?

Will był wyraźnie zaskoczony tymi pytaniami i odpowiedział dopiero po kilku sekundach:

– Nie, ani na planie miasta, ani na mapach taty niczego tu nie ma – przyznał. Wziął głęboki oddech i odwrócił się do Chestera. – Robimy to, żeby kopać.

– Więc myślisz, że coś jest tutaj zakopane? – dopytywał się Chester. – Jak te rzeczy na starych wysypiskach śmieci, o których mówiłeś mi wczoraj?

Will pokręcił głową.

– Nie. Oczywiście znaleziska są bardzo fajne, ale to jest znacznie ważniejsze. – Szerokim gestem objął tunele i salę, w której stał Chester.

– Co?

– To wszystko! – Tym razem Will wskazał ręką na oba tunele i sufit sali. – Nie czujesz tego? Każdy ruch łopatą przenosi nas coraz dalej w przeszłość. – Zamilkł na moment i uśmiechnął się do siebie. – Wędrujemy tam, gdzie nikt nie zaglądał od stuleci... a może nawet nigdy.

– Więc nie masz pojęcia, co tam jest? – upewnił się Chester.

– Nie, ale nie pozwolę się pokonać jakiemuś kawałkowi skały – odrzekł Will z determinacją.

Chester wciąż nie mógł zrozumieć, do czego właściwie dąży jego przyjaciel.

– No tak... Pomyślałem sobie tylko, że skoro nie szukamy niczego konkretnego, to może popracujemy w tym drugim tunelu?

Will pokręcił tylko głową, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia.

– Ale tak byłoby znacznie łatwiej – upierał się Chester, nieco już zirytowany. Zaczynał bowiem rozumieć, że nie uzyska od Willa żadnej rozsądnej odpowiedzi. – Dlaczego koniecznie chcesz drążyć właśnie ten korytarz?

– Przeczucie – odrzekł krótko Will i ruszył w głąb tunelu, ucinając w ten sposób rozmowę. Chester stał jeszcze chwilę w bezruchu, wreszcie wzruszył ramionami i sięgnął po kilof.

– Oszalał. Ja też musiałem oszaleć. Co ja tutaj właściwie robię? – mamrotał pod nosem. –

Mógłbym teraz siedzieć w domu... grać sobie na konsoli... byłoby mi ciepło i sucho... – Spojrzał na swe ubłocone i przemoczone ubrania. – Po prostu oszalałem – powtórzył i ruszył w głąb korytarza.

Dzień doktora Burrowsa toczył się ustalonym rytmem. Kustosz siedział w swoim fotelu dentystycznym i zapadał w popołudniową drzemkę, kiedy drzwi muzeum otworzyły się na całą szerokość, a do wnętrza wkroczył Joe Carruthers, emerytowany major brytyjskiej armii. Major powiódł wzrokiem po sali i zlokalizował Burrowsa, którego głowa opadła właśnie bezwładnie na oparcie fotela.

– Do roboty, Burrows! – ryknął, obserwując z satysfakcją, jak głowa doktora podrywa się raptownie do pionu. Joe Carruthers, weteran drugiej wojny światowej, pomimo upływu lat nigdy nie wyżył się żołnierskich nawyków i obcesowości właściwej tej profesji. Doktor Burrows nadał mu dość nieżyczliwe przydomki Ananasowy Joe, a to ze względu na jego potężny czerwony nos; zarówno rozmiary, jak i barwa nosa mogły być wynikiem jakiegoś urazu z czasów wojny lub, co zdaniem doktora było dalece bardziej prawdopodobne, słabości wojskowego do dżinu. Carruthers był zaskakująco dziarski jak na siedemdziesięciolatka, lubił się też szarogęścić. Był ostatnią osobą, którą doktor Burrows chciałby ujrzeć w tej właśnie chwili.

– Ruszaj się, Burrows, musisz wybrać się ze mną na krótki rekonesans, jeśli masz wolną chwilę. Jasne, że masz, nie wyglądasz na zajętego.

– Ach, przykro mi, panie Carruthers, ale nie mogę zostawić muzeum bez opieki. Jestem przecież w pracy – odparł doktor Burrows niemrawo, wciąż nieco zaspany.

– Wstawaj, człowieku, to zadanie specjalne – ryczał Carruthers z drugiego końca sali. – Potrzebuję fachowej porady. Moja córka i jej nowy mąż kupili właśnie dom tuż przy High Street. Remontowali kuchnię i znaleźli coś... coś dziwnego.

– To znaczy co? – spytał Burrows, nieco poirytowany tym nagłym najściem.

– Dziwną dziurę w podłodze.

– Czy takimi rzeczami nie powinni się raczej zajmować budowlańcy?

– To nie jest zwykła dziura, człowieku. Ani trochę.

– Dlaczego? – pytał dalej doktor Burrows, czując, jak powoli budzi się w nim ciekawość.

– Lepiej będzie, jeśli tam pójdziesz i sam rzucisz na to okiem, staruszk. W końcu sporo wiesz o tej okolicy.

Od razu o tobie pomyślałem. „Ten facet zna się na rzeczy, na pewno nam pomoże”, tak właśnie powiedziałem mojej Penny.

Doktor Burrows poczuł się mile połączony tą opinią, wstał więc z fotela i z powagą należną prawdziwemu ekspertowi włożył marynarkę. Zamknawszy muzeum, ruszył w dół High Street, dostosowując tempo do marszowego kroku Ananasowego Joe. Po chwili dotarli do Jekyll Street, a gdy skręcili za kolejny róg i weszli na Martineau Square, major odezwał się po raz pierwszy i jedyny podczas tej krótkiej wędrówki.

– Przeklęte psy, ludzie nie powinni puszczać ich luzem – mruknął, spoglądając na jakieś papiery gnane wiatrem po przeciwległej stronie placu. – Powinni je trzymać na smyczy.

Wkrótce potem dotarli na miejsce. Dom numer 23 był segmentem, który nie różnił się niczym od innych ceglanych budynków ustawionych wzdłuż czterech boków placu. Choć wszystkie były dość wąskie i miały małe ogródki, cechowały się urodą typową dla konstrukcji z okresu georgiańskiego. [Lata 1714-1836 – okres panowania w Anglii królów Jerzego I, Jerzego II i Jerzego III.] Doktor Burrows podziwiał je zawsze, gdy miał okazję przebywać w tej okolicy, i cieszył się, że teraz będzie mógł zajrzeć do wnętrza jednego z nich.

Ananasowy Joe zastukał w oryginalne georgiańskie drzwi z taką siłą, jakby chciał rozbić je na kawałki; Burrows skrzywił się boleśnie, jakby pięść majora uderzała w jego ciało, a nie drewniane panele. Po chwili drzwi otworzyła młoda kobieta, która na widok majora uśmiechnęła się radośnie.

– Cześć, tato, widzę, że udało ci się go ściągnąć. – Wciąż uśmiechnięta, odwróciła się do doktora. – Proszę przejść do kuchni. Straszny tam bałagan, ale może mi się uda przynajmniej nastawić wodę na herbatę. – To powiedziawszy, wpuściła ich obu do środka i zamknęła drzwi.

Doktor Burrows szedł za Ananasowym Joe mrocznym korytarzem, zerkając na ściany, z których zwisały oddarte do połowy tapety.

Gdy dotarli do kuchni, córka Ananasowego Joe ponownie zwróciła się do Burrowsa, mówiąc:

– Przepraszam, nie przedstawiłam się jeszcze. Nazywam się Penny H a n s o n; zdaje się, że już się kiedyś spotkaliśmy. – Penny wymówiła swoje nowe nazwisko ze szczególnym naciskiem i dumą. Doktor Burrows przyjął jej sugestię z takim zdumieniem, że kobieta zaczerwieniła się ze wstydu i wymamrotała szybko coś o robieniu herbaty. Doktor, nie zważając na zakłopotanie Penny, zaczął rozglądać się z uwagą po pomieszczeniu. Wszystkie ściany zostały obite z tynku, na jednej wisiał już nowy zlew i kilka szafek.

– Pomyśleliśmy, że dobrze byłoby rozebrać podmurówkę komina, dzięki temu zyskalibyśmy trochę miejsca na dodatkowy blat – mówiła Penny, spoglądając na ścianę z nowymi szafkami. – Architekt powiedział, że będziemy tylko musieli zainstalować dodatkowe wzmocnienie w suficie. – Wskazała na wykuty w stropie otwór, w którym widać było umocowaną niedawno metalową szynę. – Ale kiedy robotnicy rozbijali podmurówkę, tylna ściana runęła, odsłaniając to. Dzwoniłam już do architekta, ale na razie nie oddzwonił.

Za kominkiem widać było stertę osmalonych cegieł, znaczących miejsce, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się ściana paleniska. Za zrujnowanym przepierzeniem otwierała się pusta przestrzeń.

– To niezwykle. Drugi przewód kominowy? – mruknął do siebie doktor Burrows i natychmiast zaprzeczył, kręcąc energicznie głową. Podeszedł bliżej i spojrzał w dół. W podłodze widniał otwór o rozmiarach co najmniej metr na pół metra.

Doktor przestąpił stertę cegieł, przykucnął obok otworu i zajrzał ostrożnie do jego wnętrza.

– Macie może latarkę? – spytał. Kiedy Penny podała mu bez słowa niewielką lampkę, doktor Burrows oświetlił wnętrze szybu. – Ściany wyłożone ceglami, prawdopodobnie z początku osiemnastego wieku, czyli z czasów, kiedy wybudowano ten dom – mrucał do siebie, podczas gdy Ananasowy Joe i jego córka przyglądali mu się uważnie. – Ale czemu to miało służyć, u diabła? – dodał, zaintrygowany. Pochylił się nisko nad otworem, dna jednak nie dostrzegł. – Sprawdzaliście już, jaką to ma głębokość? – spytał, podnosząc się.

– Jak? – odpowiedziała mu pytaniem Penny.

– Mogę to wziąć? – spytał Burrows, biorąc połówkę cegły ze sterty gruzu leżącej obok kominka. Gdy Penny skinęła głową, doktor stanął przy otworze i wyciągnął nad nim rękę z ciężkim przedmiotem.

– A teraz słuchajcie – powiedział, wypuszczając cegłę. Słyszeli, jak odbija się od ścian szybu, odgłos ten jednak stopniowo słabł, aż do uszu doktora Burrowsa, klęczącego teraz na skraju otworu, docierało już tylko odległe, ledwie słyszalne echo.

– Czy to... – zaczęła Penny.

– Cii! – uciszył ją bezceremonialnie doktor Burrows. Po chwili podniósł głowę i spojrzał spod zmarszczonych brwi na Ananasowego Joe i Penny. – Nie słyszałem, jak upadła na dno – stwierdził – ale odbijała się od ścian przez całe wieki. Czy to możliwe, żeby to... coś było aż tak głębokie? – Nie zważając na warstwę kurzu pokrywającą podłogę, położył się na brzuchu i wsunął głowę i ramiona w otwór, sięgając jak najgłębiej ręką, w której trzymał latarkę. Nagle znieruchomiał i zaczął głośno pociągać nosem.

– Niemożliwe!

– O co chodzi, Burrows? – spytał Ananasowy Joe. – Chcesz o czymś zameldować?

– Być może się mylę, ale mógłbym przysiąc, że wyczuwam tu wstępujący prąd powietrza – powiedział doktor, wysuwając głowę z otworu. – Nie mam pojęcia, co mogłoby być tego przyczyną; chyba, że wszystkie domy w tym szeregu zostały połączone systemem wentylacji. Tylko po co ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu... Najdziwniejsze jest to, że ten przewód... – Doktor Burrows przewrócił się na plecy i skierował promień latarki do góry, nad otwór – ciągnie się w górę, poza komin. Rozumiem, że odpowietrznik wystaje nad komin razem z innymi przewodami?

Była jeszcze jedna rzecz, którą doktor Burrows nie podzielił się z Ananasowym Joe i jego córką – obawiał się, że wydałoby się im to nieco dziwaczne, a może i podejrzanе. Otóż, kiedy wciągnął w nozdrza powietrze wypływające z tajemniczego szybu, wyczuł osobliwy, znajomy zapach. Taka sama stęchlizna otaczała człowieka w kapeluszu, z którym zderzył się poprzedniego popołudnia na High Street.

Tymczasem Will i Chester pracowali wytrwale w tunelu. Rozkopywali właśnie ziemię poniżej warstwy piaskowca, kiedy nagle kilof Willa uderzył w coś twardego.

– Do diabła! Nie mów mi, że ta skała ciągnie się też tutaj! – krzyknął zirytowany. Chester natychmiast porzucił taczki i podbiegł do niego.

– Co się stało, Will? – spytał zaskoczony i zaniepokojony nagłym wybuchem przyjaciela.

– Jasna cholera! – wrzasnął ponownie Will, waląc wściekle kilofem w twardą przeszkodę.

– Co? Co się stało? – dopytywał się Chester. Był zszokowany. Nigdy jeszcze nie widział, żeby Will do tego stopnia stracił panowanie nad sobą; wyglądał tak, jakby opętała go jakaś demoniczna siła.

Will natarł na skałę z jeszcze większą energią, walił w nią raz za razem. Chester musiał się odsunąć do tyłu, by uniknąć ostrza kilofa i gradu skalnych odłamków wylatujących w powietrze przy każdym uderzeniu.

Nagle Will na moment znieruchomiał, potem odrzucił kilof na bok, opadł na kolana i zaczął gorączkowo rozgarniać ziemię.

– Hej, spójrz tylko na to!

– Na co?

– Zobacz sam – odrzekł Will, przejęty.

Chester przysunął się bliżej i ujrzał wreszcie to, co tak bardzo poruszyło jego przyjaciela. W miejscu gdzie Will odgarnął warstwę ziemi, widać było fragment ceglanej ściany; kilof młodego odkrywcy obruszył już kilka spośród starannie ułożonych cegieł.

– A jeśli to kanał ściekowy albo tunel metra? Jesteś pewien, że powinniśmy to ruszać? – niepokoił się Chester. – Może to fragment jakiegoś wielkiego wodociągu? Nie podoba mi się to!

– Uspokój się, Chester, na mapach nie ma tu żadnych wodociągów. Jesteśmy na obrzeżach starego miasta, zgadza się?

– Zgadza się – odrzekł Chester niepewnie, zastanawiając się, do czego właściwie zmierza jego przyjaciel.

– Skoro tak, to w ciągu ostatnich stu, stu pięćdziesięciu lat raczej niczego tu nie budowano, z pewnością nie będzie to więc tunel metra, nawet jakiś opuszczony i zapomniany. Przeglądałem z tatą wszystkie stare mapy okolicy. Być może rzeczywiście jest to kanał ściekowy, ale sądząc po ułożeniu cegieł, stoimy na samej jego górze. Równie dobrze może to być też ściana piwnicy jakiegoś starego budynku albo fundamenty... zastanawiam się tylko, dlaczego ktoś kładłby je p o d piaskowcem? Bardzo dziwne...

Chester cofnął się o kilka kroków, nie odpowiadawszy mu ani słowem. Will podjął więc przerwana pracę i przez kilka kolejnych minut odgarniał ziemię z powierzchni ściany. Wreszcie, świadom, że przyjaciel wciąż wyczekuje nerwowo za jego plecami, westchnął ciężko i odwrócił się do niego.

– Posłuchaj, Chester. Jeśli to cię uszczęśliwi, to damy sobie spokój na dzisiaj, a wieczorem porozmawiam o tym z tatą. Zobaczymy, co on o tym myśli.

– Tak, myślę, że tak będzie lepiej, Will. Wiesz... na wszelki wypadek.

Doktor Burrows pożegnał się z Ananasowym Joe i jego córką, obiecując, że poszuka w miejscowych archiwach informacji o domu i jego architekturze. Spojrzał na zegarek i się skrzywił. Wiedział, że nie powinien zostawiać muzeum zamkniętego na tak długo, ale przed powrotem chciał coś jeszcze sprawdzić.

Obszedł kilkakrotnie plac, przyglądając się z uwagą budynkom ustawionym wzdłuż wszystkich jego pierzei.

Cały ten fragment miasta został wybudowany w jednym czasie, wszystkie domy wyglądały więc niemal identycznie. Doktor Burrows obejrzał uważnie każdy z osobna, ciekaw, czy we wszystkich ukryte są tajemnicze przewody wentylacyjne. Przeszedł przez drogę i stanął na środku placu, na wybrukowanym kręgu otoczonym żywopłotem z zaniedbanych krzewów róż. Stąd miał lepszy widok na dachy domów. Wskazując palcem na poszczególne budynki, liczył kominy na każdym z nich.

– Jakby nie liczyć, coś się tu nie zgadza – mruknął w końcu do siebie. – Dziwne, naprawdę bardzo dziwne...

Odwrócił się i ruszył w stronę muzeum, do którego dotarł tuż przed godziną zamknięcia.

Rozdział 7

W środku nocy Rebeka obserwowała z okna na piętrze ciemną postać kręcącą się po chodniku przed domem Burrowsów. Intruz, który ukrywał twarz pod kapturem i bejsbolówką, rozejrzał się ukradkiem wokoło, czujny niczym ścigane zwierzę. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, doskoczył do worków ze śmieciami, wyrwał dziurę w największym z nich i obiema rękami zaczął przewalać zawartość.

– Naprawdę myślisz, że jestem taka głupia? – wyszeptała Rebeka, znacząc powierzchnię szyby niewielkim kręgiem skroplonej pary. Dziewczynka wcale nie wyglądała na zaniepokojoną. Wziąwszy sobie do serca ostrzeżenia o kradzieżach danych osobowych, do których dochodziło ostatnio na terenie Highfield, starannie niszczyła wszystkie oficjalne pisma, wyciągi bankowe i zawiadomienia – wszelkie dokumenty, zawierające dane członków jej rodziny.

Poszukując czegoś w pośpiechu, złodziej wyrzucał śmieci na ziemię. Puste puszki, opakowania po jedzeniu i plastikowe butelki zaścielały niemal cały trawnik przed domem. Intruz wyciągnął z worka garść papierów i podniósł je do oczu, próbując odczytać treść.

– Śmiało – syknęła Rebeka. – Rób, co chcesz!

Złodziej otarł pierwszą kartkę z ziaren zmielonej kawy i odwrócił się w stronę latarni, wsuwając papier w krąg rzucanego przez nią światła.

Rebeka obserwowała w milczeniu, jak nieznajomy szybko odczytuje treść listu. Gdy zdał sobie sprawę, że to nic niewart śmieć, dziewczynka uśmiechnęła się z satysfakcją. Złodziej machnął ręką z obrzydzeniem i rzucił list na ziemię.

Rebeka miała już tego dość. Dotąd stała oparta o parapet, teraz wyprostowała się jednak i rozsunęła zasłony.

Nieznajomy dostrzegł ruch i podniósł wzrok. Zobaczył ją i znieruchomiał na moment, potem znów rozejrzał się na boki i odszedł niespiesznym krokiem, spoglądając wyzywająco na Rebece, jakby prowokował ją, by zadzwoniła na policję.

Dziewczynka zacisnęła pięści w geście bezsilnej złości, wiedząc, że to ona będzie musiała posprzątać rano cały ten bałagan. Jeszcze jeden uciążliwy obowiązek na długiej liście spraw do załatwienia!

Zaciągnęła z powrotem zasłony, odsunęła się od okna i wyszła z pokoju. Stała przez chwilę w korytarzu wsłuchana w odgłosy uspiętego domu. Odwróciła się na pięcie i znalazła się przed wejściem do sypialni rodziców, natychmiast rozpoznając znajome pochrapywanie. Pani Burrows spała. W chwilach ciszy pomiędzy poszczególnymi chrapnięciami rozlegał się dłuższy, nosowy oddech doktora Burrowsa. Rebeka przechyliła głowę, nasłuchując uważniej, aż usłyszała szybszy, rytmiczny oddech dobiegający z sypialni Willa.

– Tak – wyszeptała, uśmiechając się z zadowoleniem. Wszyscy pogrążeni byli w głębokim śnie. Natychmiast poczuła się swobodnie. Teraz nadszedł wreszcie jej czas, kiedy miała cały dom dla siebie i mogła robić, co chciała. Czas spokoju i ciszy aż do samego rana, kiedy to wszyscy się

obudzą, a w domu znów zapanuje chaos. Ściągnęła w tył ramiona, podkradła się do drzwi pokoju Willa i zajrzała do środka.

W sypialni panował bezruch i cisza. Rebeka przemknęła przez pokój bezszelestnie niczym cień i zatrzymała się przy łóżku Willa. Stała tam przez chwilę, wpatrując się w twarz brata. Will spał na plecach, jego ręce spoczywały na poduszce, ponad głową. Rebeka pochyliła się nad nim. „Proszę, proszę – pomyślała – jakie niewiniątko, przypuszczałby kto... „ Pochyliła się bardziej i zauważyła ciemną smugę pod nosem chłopca. Powiodła wzrokiem niżej, do jego dłoni. Błoto! Ręce Willa były całe ubłocone. Nie umył ich nawet przed pójściem spać, a później, co wydawało się Rebecce jeszcze bardziej odrażające, dłużył przez sen w nosie.

– Brudna świnia – syknęła cicho. Jej głos dotarł do uszu Willa, który rozprostował ramiona i zacisnął palce. Nieświadom jej obecności, wydał z siebie niski, pełen zadowolenia pomruk, poprawił się na pościeli i ponownie zapadł w głęboki sen.

– Żadnego z ciebie pożytku, zajmujesz tylko miejsce – wyszeptała w końcu Rebeka i odwróciwszy się, sięgnęła po ubrania Willa, leżące na podłodze. Wetknęła je pod pachę i wyszła z pokoju, kierując się do stojącego na korytarzu wiklinowego pojemnika na brudną bieliznę. Nim wrzuciła ubrania do kosza, przeszukała wszystkie kieszenie; w jednej znalazła skrawek papieru pokryty jakimś napisami. Próbowwała je odczytać, było jednak zbyt ciemno. „Pewnie jakieś bzdury”, pomyślała, wkładając kartkę do szlafroka. Gdy wyjmowała rękę z kieszeni, zawadziła paznokciem o pikowany materiał. Przygryzając w zamyśleniu nierówny skraj paznokcia, ruszyła w stronę sypialni rodziców. Przekroczywszy jej próg, zwolniła kroku, stawiając stopy tylko w określonych, starannie wybranych miejscach. Wiedziała bowiem dobrze, że jeśli postawi je gdzie indziej, ukryte pod starym dywanem deski zdradzą jej obecność głośnym skrzypieniem.

Podobnie jak chwilę wcześniej obserwowała Willa, teraz wpatrywała się uważnie w śpiących tam ludzi, jakby chciała przeniknąć ich myśli i sny. Napatrzywszy się do syta, podniosła z szafki nocnej pusty kubek pani Burrows i powąchała go ostrożnie. Znów horlicks [Odżywczy słodowy napój o wyjątkowym smaku; znany od dawna środek na bezsenność.] z kropelką brandy. Z naczyniem w dłoni Rebeka bezszelestnie opuściła pokój i zeszła na dół, do kuchni, poruszając się w ciemnościach z zadziwiającą swobodą i precyzją. Wstawiwszy kubek do zlewu, odwróciła się i wyszła z kuchni, by wrócić do przedpokoju. Tu przystanąła ponownie, zamknęła oczy i przechyliła głowę na bok, nasłuchując.

„Tak cicho... i spokojnie – pomyślała. – Tak powinno być zawsze”. Stała w bezruchu przez dłuższy czas, jakby pogrążona w transie. Wreszcie wzięła głęboki wdech przez nos, na kilka sekund zatrzymała powietrze w płucach, a potem wypuściła je przez usta.

Z góry dobiegł przytłumiony kaszel. Rebeka spojrzała z irytacją w stronę schodów. Ktoś zakłócił jej spokój, przerwał ciąg myśli.

– Mam już tego dosyć – stwierdziła z goryczą w głosie.

Podeszła do drzwi frontowych i odpięła łańcuch, a potem przeszła do salonu. Zasłony były rozsunięte, a za oknem roztaczał się widok na ogród skąpany w srebrnym blasku księżyca. Nie odrywając oczu od tej niezwykłej sceny, Rebeka opadła na fotel pani Burrows i rozsiadła się w nim wygodnie. Otulona czekoladową ciemnością pozostała w tej pozycji do rana, delektując się samotnością i spokojem nocy, a zarazem obserwując ogród i żywopłot oddzielający go od błoni.

Rozdział 8

Nazajutrz doktor Burrows pracował w muzeum, porządkując ustawioną pod oknem gablotkę z guzikami. Pochylony nisko nad szafką dokładał pozyskane ostatnio mosiężne guziki od mundurów różnych formacji wojskowych do nierównych szeregów perłowych i emaliowanych guzików, które już wcześniej się tam znalazły. Zajęcie to coraz bardziej go irytowało, gdyż zaopatrzone w pętelki guziki nie chciały leżeć płasko na obciągniętej sukniem desce, bez względu na to, jak mocno je w nią wciskał. Sfrustrowany, westchnął ciężko i, usłyszawszy głośnie trąbienie za oknem, podniósł wzrok.

Kątem oka dostrzegł samotnego mężczyznę idącego chodnikiem po drugiej stronie ulicy. Człowiek ten miał na sobie płaski kapelusz, długi płaszcz i ciemne okulary, choć dzień był raczej pochmurny, a słońce tylko od czasu do czasu przebierało spomiędzy szarych chmur. Doktor Burrows pomyślał, że być może to mężczyzna, z którym zderzył się przed kioskiem z gazetami. Nie mógł mieć jednak stuprocentowej pewności, gdyż wszyscy oni byli do siebie bardzo podobni.

Dlaczego ci ludzie tak bardzo go intrygowali? Doktor Burrows czuł w kościach, że z ich obecnością wiąże się jakaś niezwykła tajemnica, coś niebywale osobliwego. Wyglądali tak, jakby przenieśli się tutaj z innych czasów, być może z okresu georgiańskiego. Miał wrażenie, że są częścią żywej historii, czymś równie nieprawdopodobnym jak latimerie [Latimeria – jedyny znany rodzaj ryby z uważanej przez długi czas za wymarłą ponad 70 mln lat temu podgromady ryb trzonopłetwych określanych dzisiaj jako żywa skamieniałość.] wpadające w sieci azjatyckich rybaków, a może nawet czymś bardziej ekscytującym... czymś w rodzaju odkrycia „brakującego ogniwa” w ewolucji człowieka. Takie właśnie sprawy były treścią jego marzeń i pozwalały mu oderwać się od monotonii pozbawionego większych podniet życia.

Doktor Burrows nigdy nie próbował ograniczać swej pasji badawczej i nie zrobił tego także i w tej sytuacji. Zjawisko ludzi w kapeluszach musiało mieć jakieś racjonalne wytłumaczenie, a on zamierzał je znaleźć.

– Dobrze – podjął natychmiastową decyzję. – Teraz albo nigdy.

Odłożył pudełko z guzikami, przeszedł szybko do wyjścia i zamknął drzwi muzeum na klucz. Wyszedłszy na ulicę, zlokalizował mężczyznę w kapeluszu i ruszył jego śladem w dół High Street, zachowując cały czas bezpieczną, choć nieprzesadnie dużą odległość.

Doktor Burrows podążał krok w krok za mężczyzną w kapeluszu, kiedy ten skręcił z High Street w Disraeli Street, a następnie przeszedł przez drogę i tuż za starym klasztorem skierował się w prawo, w stronę Gladstone Street. Burrowsa dzieliło od nieznanego zaledwie dwadzieścia metrów, gdy mężczyzna przystanął raptownie, obrócił się i spojrzał na niego.

Doktor Burrows stanął jak wryty i wzdrygnął się ze strachu, ujrawszy niebo odbijające się w ciemnych okularach mężczyzny. Przekonany, że gra dobiegła już końca, gwałtownie odwrócił głowę w drugą stronę. Nie wiedząc, co zrobić w tej sytuacji, przykucnął i udawał, że zawiązuje sznurowadło, choć miał na nogach wsuwane buty. Wciąż w tej samej pozycji obejrzał się ukradkiem za siebie, lecz mężczyzna zniknął bez śladu.

Doktor Burrows natychmiast zerwał się na równe nogi i ruszył w stronę miejsca, gdzie po raz ostatni widział tajemniczego człowieka. W tym samym czasie rozglądał się nerwowo, szukając go

wzrokiem. Po chwili zauważył, że między dwoma domkami ustawionymi przy High Street otwiera się wąskie przejście. Był nieco zaskoczony, że nigdy wcześniej tego nie dostrzegł, bo często bywał w tej okolicy. Wąski pasaż przypominał raczej tunel zwieńczony łukowatym sklepieniem, który prowadził na tyły domów, a potem zamieniał się w odkrytą alejkę. Doktor Burrows zajrzał do wnętrza tunelu, jednak panujący pod sklepieniem mrok uniemożliwiał dokładne oględziny. Kiedy wyteżył wzrok, przekonał się, że kilkadziesiąt metrów dalej alejkę przecina ceglany mur. Miał przed sobą ślepy zaułek.

Rozejrzawszy się raz jeszcze po ulicy, pokręcił głową z niedowierzaniem. Wyglądało na to, że tajemniczy mężczyzna wszedł do tunelu – tylko tak można było wytłumaczyć jego zniknięcie. Doktor Burrows wziął głęboki oddech i zanurzył się w mroku. Szedł powoli, świadom, że nieznajomy może czaić się w pobliżu. Kiedy oczy przywykły już do ciemności, zobaczył, że na brukowanej posadzce pasażu leżą rozrzucone beładnie przemoczone kartonowe pudła i puste butelki po mleku.

Odetchnął z ulgą, gdy wszedł ponownie w pełny blask dnia. Przystanął na moment i rozejrzał się dokoła. Po obu stronach alejki ciągnęły się mury ogrodów, dotykające ścian trzypiętrowej fabryki ustawionej w poprzek drogi. Stary budynek pozbawiony był od tej strony okien, człowiek w kapeluszu nie mógł więc dostać się do wnętrza.

„Gdzież on się, u diabła, podział” – myślał doktor Burrows, odwracając się i spoglądając w stronę ulicy, którą przemknął właśnie jakiś samochód. Mur po prawej stronie alejki zwieńczony był kratownicą metrowej wysokości, trudno więc było sobie wyobrazić, by mężczyzna pokonał go w ciągu zaledwie kilkunastu sekund. Przeciwny murek nie posiadał takiej bariery, więc doktor Burrows podszedł do niego i zajrzał na drugą stronę. Zobaczył zaniedbany ogród – kilka uschniętych krzaków i połać bagnistej gleby w miejscu, gdzie powinien znajdować się trawnik. Jakby tego było mało, cały teren zastawiony był plastikowymi pojemnikami z brudną, ciemnozieloną wodą.

Doktor Burrows spoglądał przez chwilę bezradnie na ten przygnębiający obrazek i chciał już odpuścić sobie dalsze poszukiwania, gdy nagle zmienił zdanie. Przerzucił teczkę do ogrodu, po czym sam wspiął się na mur i zeskoczył na ziemię po drugiej stronie. Uczynił to jednak na tyle niezdarnie, że usiadł prosto w błotnistą papkę. Próbował szybko wstać, lecz poślizgnął się i ponownie wylądował w błocie, przewracając przy okazji jedno z naczyń z wodą, którego zawartość wylała się mu na rękę i szyję. Zaklął cicho i podniósł się raz jeszcze, chwiejąc się przy tym i wymachując rękami niczym pijak.

– Cholera jasna! – wycedził przez zęby, usłyszawszy, że za jego plecami ktoś otwiera drzwi.

– Halo? Kto tam jest? Co się dzieje? – rozległ się pełen niepokoju głos.

Doktor Burrows obrócił się ostrożnie w miejscu. Nie więcej niż dwa metry od niego w drzwiach domu stała starsza pani w towarzystwie trzech kotów, przyglądających mu się z właściwą swemu gatunkowi obojętnością. Staruszka przekrzywiała głowę z boku na bok, jakby przez słaby wzrok nie mogła dojrzeć wyraźnie jego twarzy. Miała rzadkie, siwe włosy, a na sobie staromodną kwiecistą podomkę. Doktor Burrows przypuszczał, że ma przynajmniej osiemdziesiąt lat.

– Ee... Roger Burrows, miło mi – powiedział doktor Burrows, zastanawiając się gorączkowo, jak wytłumaczyć starszej pani to najście. Tymczasem na twarzy jego rozmówczyni pojawił się wyraz zaskoczenia i radości jednocześnie.

– Och, doktor Burrows, jak miło, że pan wpadł. Co za niezwykła niespodzianka.

Doktor Burrows był jeszcze bardziej zaskoczony niż staruszka, starał się jednak nie okazywać zdziwienia.

– Tak, ee... cóż... przechodziłem właśnie w pobliżu.

– Jest pan naprawdę bardzo uprzejmy, panie doktorze. W dzisiejszych czasach to rzadkość.

– Ee... nie ma o czym mówić – odparł Burrows z wahaniem. – Cała przyjemność po mojej stronie, naprawdę.

– Wie pan, kiedy człowiek całymi dniami przesiaduje jedynie w towarzystwie kilku kotów, każdy gość to dla niego prawdziwa radość. Może napije się pan herbaty? Właśnie zagotowała się woda.

Doktor Burrows wciąż nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia – miał pewność, że będzie się musiał salwować ucieczką z ogrodu, tymczasem nieznajoma staruszka przyjęła go z otwartymi ramionami, jakby od dawna oczekiwała tej wizyty. Nie wiedząc, co powiedzieć, skinął tylko głową i ruszył w stronę domu. Już przy pierwszym kroku potrącił stopą kolejne plastikowe naczynie, wylewając sobie wodę na but. Przystanął i pochylił się, by zetrzeć ze skarpetki zielonkawe, lepkie glony.

– Och, proszę uważać, doktorze Burrows – powiedziała starsza pani. – Wystawiam tę wodę dla ptaków.

– Odwróciła się i wraz z kocią świtą przeszła do kuchni.

– Mleka i cukru?

– Poproszę – odparł doktor Burrows, zatrzymując się przy drzwiach kuchni, podczas gdy staruszka krzątała się w jej wnętrzu.

– Przepraszam, że przychodzę niezapowiedziany – odezwał się po chwili Burrows, by przerwać kłopotliwą ciszę. – I dziękuję, że zechciała pani mnie przyjąć.

– Ależ to żaden kłopot. Zresztą to raczej ja powinnam panu dziękować.

– Doprawdy? – mruknął doktor, wciąż starając się odgadnąć, kim właściwie jest ta kobieta.

– Tak, za pański przemiły list. Nie widzę już tak dobrze, jak kiedyś, ale pan Embers mi go przeczytał.

Nagle wszystko stało się jasne, a doktor Burrows odetchnął cicho z ulgą, gdy mętlik panujący w jego głowie ułożył się w logiczną całość.

– Świecąca kula! Tak, to bardzo intrygujący obiekt, pani Tantrumi.

– Skoro pan tak mówi...

– Pan Embers zapewne mówił pani, że musimy ją dokładnie zbadać.

– Tak, tak – pokiwała głową staruszka. – Nie chcemy tu przecież żadnych obcych promieni, prawda?

– Oczywiście że nie – odparł doktor Burrows, skrywając uśmiech. – Pani Tantrumi, pozwoliłem sobie panią odwiedzić, bo...

Staruszka przekrzywiła głowę, czekając na dalszy ciąg jego wypowiedzi i jednocześnie mieszając

herbatę w dzbanku.

– ... bo, prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że pokaże mi pani, gdzie znalazła tę kulkę – dokończył.

– Och, to nie ja, to gazownicy. Kruche ciasteczka czy markizy? – spytała staruszka, sięgając po pudełko z ciastkami.

– Ee... kruche ciasteczka poproszę. Mówi pani, że znaleźli ją gazownicy?

– Zgadza się. W piwnicy.

– Tam? – spytał Burrows, spoglądając na otwarte drzwi przy schodach. – Pozwoli pani, że tam zajrzę? – powiedział i nie czekając na odpowiedź, ruszył w dół omszałych ceglanych schodów, po drodze chowając do kieszeni garść ciasteczek.

Kiedy stanął już na dole, przekonał się, że piwnica podzielona jest na dwa pomieszczenia. Pierwsze było całkiem puste, nie licząc śmieci i rozrzuconych po podłodze resztek wysuszonego kociego jedzenia. Doktor przeszedł do drugiego, znajdującego się pod frontową częścią domu. Wyglądało niemal tak samo jak pierwsze, tyle że wpadało tu mniej światła, a pod ścianami stały stare meble. Gdy jego oczy przywykły już do ciemności, doktor Burrows ujrzał w jednym rogu stojące pianino, które wyglądało tak, jakby lada moment miało się rozpaść ze starości i nadmiaru wilgoci. W drugim zaś znajdowała się stara szafa z pękniętym lustrem. Doktor otworzył drzwi szafy i zastygł w bezruchu.

Pociągnął kilkakrotnie nosem, rozpoznając ten sam zapach stęchlizny, który czuł już wcześniej w obecności tajemniczego człowieka w ciemnych okularach, a także w kominie w domu Penny Hanson. We wnętrzu szafy wisiało kilka ciemnych, prawdopodobnie czarnych płaszczy, zaś na półkach leżała cała kolekcja płaskich kapeluszy i innych nakryć głowy.

Co ciekawe, w odróżnieniu od wszystkich innych przedmiotów i powierzchni w piwnicy wewnątrz szafy nie było pokryte warstwą kurzu i brudu. Co więcej, kiedy doktor Burrows odchylił ją od ściany, by sprawdzić, czy nie kryje się za nią coś interesującego, przekonał się, że ciężki mebel jest w zaskakująco dobrym stanie. Nie znalazłszy nic godnego uwagi za szafą, zajrzał ponownie do środka. Tym razem odkrył pod półką z kapeluszami małą szufladę, skrywającą sześć par ciemnych okularów. Zabrawszy ze sobą jedną parę oraz płaszczy, doktor Burrows wrócił na górę.

– Pani Tantrumi – zawołał, stanąwszy na szczycie schodów. Staruszka podeszła do kuchennych drzwi. – Wiedziała pani, że w szafie na dole jest jeszcze sporo ubrań?

– Naprawdę?

– Tak, kilka płaszczy i ciemne okulary. Czy te rzeczy należą do pani?

– Nie, ja tam prawie nigdy nie schodzę. Boję się, że przewróciłabym się na schodach. Mógłby pan przynieść je tu na górę? Rzuciłabym na nie okiem...

Doktor Burrows przeszedł do kuchni. Pani Tantrumi delikatnie przesunęła palcami po tkaninie płaszcza, jakby głaskała nieznanego kota. Ciężka, woskowana tkanina wydawała się jej obca w dotyku. Płaszcz miał też dziwny, staromodny krój, jego ramiona okrywała pelerynka z grubszego i cięższego materiału.

– Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek miała taki płaszczy. Może zostawił go tam mój

mąż, świeć, Panie, nad jego duszą – stwierdziła staruszka bez większego zainteresowania i wróciła do kuchni.

Doktor Burrows przyjrzał się uważniej okularom przeciwsłonecznym. Ich szkła były grube i całkiem płaskie, niemal nieprzejrzyste – podobne do szkieł w masce spawacza – zaś po obu stronach oprawek znajdowały się dziwne sprężynowe mechanizmy, które miały zapewne utrzymywać okulary ciasno przy głowie właściciela. Burrows nie wiedział, co ma o tym myśleć; dlaczego ci dziwni ludzie w kapeluszach mieliby trzymać swoje rzeczy w zapomnianej szafie w pustej piwnicy?

– Pani Tantrumi, czy prócz sąsiadów ktoś jeszcze panią odwiedza? – spytał doktor Burrows, kiedy staruszka zaczęła drżącymi rękami nalewać herbatę; dzbanek w jej dłoni stukał o brzeg filiżanki z taką siłą, że wydawało się, iż lada moment strąci ją z podstawki.

Grzechotanie ustało nagle, gdy pani Tantrumi spojrzała na niego zdumiona.

– Nie wiem, co ma pan na myśli – powiedziała takim tonem, jakby doktor Burrows sugerował, że robi coś nieprzyzwoitego.

– Chodzi o to, że ostatnio widywałem w tej części miasta dość osobliwe indywidua, zawsze ubrane w takie właśnie płaszcze i ciemne okulary... – doktor umilkł, widząc niepokój malujący się na twarzy starszej pani.

– Och, mam nadzieję, że to nie te bandziory, o których tyle się teraz mówi. Nie czuję się już tutaj bezpiecznie – choć mój przyjaciel Oscar bardzo się o mnie troszczy. Przychodzi niemal codziennie. Widzi pan, nie mam tu żadnych krewnych, żadnej rodziny. Mój syn wyjechał do Ameryki. To dobry chłopiec. Firma, w której pracuje, wysłała go razem z żoną...

– Więc nie widziała pani ludzi w takich płaszczach? Osób z białymi włosami?

– Nie, drogi doktorze. Prawdę mówiąc, nie wiem nawet, o czym pan mówi. – Spojrzała pytająco na Burrowsa, po czym wróciła do nalewania herbaty.

– Proszę, niech pan wejdzie i napije się herbatki.

– Tylko odłożę to na miejsce – odrzekł doktor Burrows, wracając do piwnicy. Nim stamtąd wyszedł, jeszcze raz obejrzał uważnie pianino, podniósł wieko i nacisnął kilka klawiszy, wydobywając ze starego instrumentu serię głuchych stukotów i brzdęków. Próbował odciągnąć pianino od ściany, jednak kiedy drewniana obudowa zaczęła niepokojąco skrzypieć, zostawił je w spokoju. Potem obszedł oba piwniczne pomieszczenia, tupiąc głośno w podłogę; miał nadzieję, że w ten sposób uda mu się odnaleźć wejście do jakiegoś tajemnego tunelu. Później zrobił to samo w ogrodzie, starając się nie poprzewracać naczyń z wodą i nie wchodzić w drogę kotom pani Tantrumi, które przyglądały się mu z rosnącym zaciekawieniem.

Tymczasem po drugiej stronie miasteczka Will i Chester pracowali w tunelu przy Czterdziestu Dołkach.

– I co powiedział twój tata? Wie, co to może być? – pytał Chester, kiedy Will za pomocą młotka i przecinaka wykuwał zaprawę spomiędzy cegieł w tajemniczej podziemnej ścianie.

– Przejrzeliśmy jeszcze raz mapy, ale niczego w tym miejscu nie znaleźliśmy. – Will kłamał. Doktor Burrows nie wyszedł ze swej piwnicy, nim chłopiec poszedł spać, a zanim Will wstał rano do szkoły, opuścił dom.

– Żadnych wodociągów, kanalizacji, nic w tym rodzaju – mówił dalej Will, starając się uspokoić Chestera. – Ta ściana jest bardzo solidna, ktoś naprawdę się do tego przyłożył. – Will usunął już dwie warstwy cegieł, nadal jednak nie przebił się na drugą stronę muru. – Posłuchaj, jeśli jednak się mylę i za chwilę coś stąd wytryśnie, biegnij jak najszybciej na drugą stronę głównej sali. Prąd sam zanieś cię do wyjścia – powiedział chłopak, z jeszcze większą siłą uderzając w przecinak.

– Co? – spytał szybko Chester. – Prąd... zanieś mnie do wyjścia? O nie, coraz mniej mi się to podoba. Wychodzę. – Odwrócił się do wyjścia, przystanął na chwilę niezdecydowany, potem jednak ruszył ponownie w stronę głównej sali, pomrukując coś pod nosem.

Will wzruszył tylko ramionami. Nie zamierzał się teraz wycofywać – nie w sytuacji, gdy mógł wydobyć na światło dzienne jakąś niezwykle tajemnicę, coś tak ważnego, że wprawiliby w zachwyt i zdumienie nawet jego ojca. Nikt nie mógł go teraz powstrzymać, nawet Chester. Nie marnując ani chwili, Will zabrał się do skuwania zaprawy wokół kolejnej cegły.

Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, zaprawa eksplodowała z głośnym sykiem, a odłamek cementowej spoiny przemknął obok głowy Willa niczym pocisk i uderzył w ścianę za jego plecami. Chłopiec wypuścił z rąk narzędzia i przypadł do ziemi, zdumiony. Kręcąc głową, pozbierał się jednak szybko i ponownie się zajął wykuwaniem cegły, która po kilku uderzeniach sama wypadła ze ściany.

– Hej, Chester! – zawołał.

– Co tam? – odburknął Chester z głównej sali. – O co chodzi?

– Tu nie ma żadnej wody! – krzyknął Will. – Chodź i sam zobacz.

Chester, ociągając się, wrócił do korytarza i zobaczył, że Will rzeczywiście przebił się przez ścianę. Jego przyjaciel zaglądał właśnie do ciemnego otworu i wciągał w nozdrza wypływające z niego powietrze.

– Z pewnością nie jest to kanał ściekowy, choć był pod ciśnieniem – stwierdził.

– Więc może to rura z gazem?

– Nie, nic nie czuć, a poza tym przewodów gazowych nie robi się z cegieł. Sądząc po echu, to jakieś duże pomieszczenie. – Oczywiście Willa błyszczały z podniecenia. – Wiedziałem, że znajdziemy tu coś ciekawego. Przynieś mi świecę i żelazny pręt, dobrze?

Kiedy Chester wrócił, Will zapalił świeczkę w głębi korytarza i trzymając ją przed sobą, zbliżał się powoli do otworu, jednocześnie z uwagą obserwując płomień.

– Dlaczego to robisz? – spytał Chester, przyglądając mu się z ciekawością.

– Jeśli są tutaj jakieś gazy, płomień będzie zmieniał kolor i wielkość – wyjaśnił rzeczowo Will. – To samo robili ludzie, którzy otwierali piramidy. – Mimo że Will doszedł już do ściany i podniósł świecę na wysokość otworu, knot palił się równym pomarańczowym płomieniem. – Wygląda na to, że nie mamy się czego obawiać – stwierdził chłopiec, po czym zdmuchnął świecę i sięgnął po trzymetrowy żelazny pręt, oparty o ścianę tunelu. Włożył go do otworu i pchnął do środka, aż ze ściany wystawał tylko niewielki fragment drążka.

– W nic nie uderzył, to musi być naprawdę spore – skonstatował podekscytowany, po czym,

postępując cicho z wysiłku, opuścił pręt w dół, badając głębokość otworu. – Ale wydaje mi się, że znalazłem dno. No dobra, musimy trochę poszerzyć tę dziurę.

Obaj zabrali się żwawo do pracy i już po chwili otwór był na tyle szeroki, że Will mógł się przez niego precyzyjnie, wsuwając najpierw głowę i ramiona, a potem resztę ciała. Kilka sekund później wylądował ze stłumionym stęknieniem.

– Will, nic ci nie jest? – zawołał Chester.

– Nie, nie jest wcale tak wysoko – odpowiedział Will.

– Wchodź, tylko nogami do przodu, pomogę ci. Chester precyzyjnie się przez otwór z najwyższym trudem, był bowiem od Willa znacznie szerszy w barach. Kiedy już znalazł się po drugiej stronie, przystanął obok przyjaciela i rozejrzał się dookoła.

Stali we wnętrzu ośmiobocznej sali. Ściany komnaty zbiegały się w jednym punkcie, jakieś sześć metrów nad ich głowami, w miejscu zakrytym rzeźbioną w kamieniu różą. Przez chwilę chłopcy wodzili światłem latarek po murach, przyglądając się z nabożną niemal czcią gotyckim ozdobom wykonanym z paciorków, osadzonym w idealnie ułożonych ceglach. Podłoga komnaty również wykonana była w całości z cegieł.

– Niesamowite! – wyszeptał Chester. – Kto by się spodziewał, że znajdziemy tu coś takiego?

– To wygląda jak jakaś krypta, prawda? – powiedział Will. – Ale najdziwniejsze jest to, że...

– Że co? – zaciekał się Chester, kierując snop światła na Willa.

– Że jest tu zupełnie sucho. Powietrze też wydaje się dziwnie ostre. Nie jestem pewien...

– Widziałeś to, Will? – przerwał mu nagle Chester, oświetlając podłogę, a potem najbliższą ścianę. – Na tych ceglach są jakieś napisy. Na wszystkich!

Will natychmiast się odwrócił, by odczytać napisy wyryte w powierzchni cegieł ozdobnym gotykiem.

– Masz rację. To nazwiska: James Hobart, Andrew Kellogg, William Butts, John Cooper...

– Simon Jennings, Daniel Lethbridge, Silas Samuels, Abe Winterbotham, Caryll Pickering... jest ich tu pewnie ładnych parę tysięcy – ocenił Chester.

Will wyjął zza pasa młotek i zaczął nim stukać w ściany, by sprawdzić, czy nie kryje się za nimi jakaś pusta przestrzeń – korytarz lub kolejna komnata. Ostukał w ten sposób dwie spośród ośmiu ścian, po czym nagle, bez żadnej widocznej przyczyny, przestał. Przyłożył dłoń do czoła i przełknął ciężko.

– Czujesz to? – spytał Chestera.

– Tak, zatkały mi się uszy – zgodził się z nim Chester, wkładając palec do ucha. – Jak podczas startu samolotu.

Przez chwilę obaj stali w milczeniu, jakby czekając, aż coś się wydarzy. Potem poczuli dziwne drżenie, niesłyszalny ton, coś przypominającego bardzo niski dźwięk zagrany na organach – przybierające na sile pulsowanie, które wypełniało ich czaszki.

– Wynośmy się stąd. – Chester spojrział błagalnie na przyjaciela i przełknął ciężko, ogarnięty nagle falą mdłości.

Choć raz Will natychmiast się z nim zgodził.

– Tak – skinął głową i zacisnął mocno powieki, próbując przegonić białe plamki, które zatańczyły mu przed oczami.

Obaj błyskawicznie precyzyjnie się przez otwór w ścianie, przebiegli do sali i ciężko opadli na fotele. Choć nie podzielili się ze sobą tym spostrzeżeniem, obaj zauważyli, że dziwne doznania ustąpiły natychmiast po wyjściu z ceglanej komnaty.

– Co to było? – spytał wreszcie Chester, otwierając szeroko usta i przykładając dłonie do uszu.

– Nie wiem – odparł Will. – Przyprowadzę tutaj mojego tatę, może on będzie umiał to wyjaśnić. Chyba zmieniło się ciśnienie albo coś w tym rodzaju.

– Naprawdę myślisz, że to krypta, i że kiedyś stał tam kościół? Wszystkie te nazwiska...

– Może – odrzekł Will zamyślony. – Ale ktoś – rzemieślnicy, kamieniarze – zbudowali ją bardzo starannie, nawet nie zostawili po sobie śmieci czy resztek cegieł, a potem równie starannie ją zamurowali. Dlaczego zadawaliby sobie tyle trudu?

– Nie pomyślałem o tym. Masz rację.

– Nie było tam też żadnego wyjścia ani wejścia, żadnego korytarza czy drzwi. Zamknięta komnata z nazwiskami, rodzaj pomnika? – rozmyślał na głos Will. – Co to tak naprawdę jest?

Rozdział 9

Wiedząc z doświadczenia, że Rebeka potrafi być bezwzględna i nie warto ściągać na siebie jej gniewu – a przynajmniej nie tuż przed porą posiłku – Will otrzepał ubranie z ziemi i wytarł buty, nim energicznie przekroczył próg domu. Zrzucił na podłogę plecak, pobrzękując przy tym narzędziami, które zabrał z tunelu, i nagle osłupiał ze zdumienia.

Powitała go przedziwna scena. Drzwi do salonu były zamknięte, przy nich zaś kuciała Rebeka, przyciskając ucho do dziurki od klucza. Na jego widok zmarszczyła brwi i wstała.

– Co... ? – Will nie zdążył dokończyć pytania, bowiem Rebeka uciszyła go natychmiast, przykładając palec do ust. Potem chwyciła zdumionego brata za ramię i na siłę wciągnęła do kuchni.

– Co się dzieje? – spytał Will oburzonym szeptem. Cała ta sytuacja była naprawdę bardzo dziwna. Oto Rebeka, Wzór Cnót Wszelakich, podsłuchiwała rodziców, czego nigdy by się po niej nie spodziewał.

Jednak nie to było najdziwniejsze; bardziej zdumiały go drzwi salonu, a właściwie fakt, że były zamknięte. Will spojrzał na nie raz jeszcze, jakby nie do końca wierzył własnym oczom.

– Odkąd sięgam pamięcią, te drzwi zawsze były otwarte – powiedział głośno. – Wiesz, jak ona nie lubi...

– Kłóć się! – oświadczyła Rebeka z powagą, przerywając mu wpół zdania.

– Co robią? O co?

– Nie wiem. Usłyszałam tylko, jak mama kazała mi zamknąć drzwi, i próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej, ale wtedy przylazłeś.

– Musiałaś coś usłyszeć. Rebeka nie odpowiedziała od razu.

– No, mów – naciskał Will. – Co słyszałaś?

– Niewiele – zaczęła powoli dziewczynka. – Mama krzyczała, że tata jest „cholernym nieudacznikiem”... i że powinien przestać trwonić czas na jakieś „kompletne bzdury”.

– Co jeszcze?

– Nie słyszałam reszty, ale oboje byli bardzo zdenerwowani, dosłownie warczeli na siebie. To musi być coś naprawdę ważnego: mama nie ogląda Sąsiadowi Will otworzył lodówkę, wyjął jogurt, spojrzał na niego bezmyślnie i odłożył na miejsce.

– O co mogli się pokłócić? Nigdy tego nie robili, a przynajmniej ja nie pamiętam.

W tym momencie drzwi salonu otworzyły się z trzaskiem, podrywając Willa i Rebekę z miejsc, a na korytarz wypadł czerwony ze złości doktor Burrows. Jego oczy ciskały błyskawice gniewu, kiedy przechodził zygzakiem przez przedpokój. Stał przed drzwiami piwnicy i mrucząc coś pod nosem, zaczął szukać klucza w kieszeniach. Odnalazłszy go wreszcie, otworzył drzwi, a potem zamknął za sobą z hukiem, od którego dom zatrzęsł się w posadach.

Will i Rebeka wciąż wyglądali z niepokojem i zaciekawieniem zza kuchennych drzwi, kiedy z salonu dobiegł krzyk pani Burrows:

– DO NICZEGO SIĘ NIE NADAJESZ, TY CHOLERNA SKAMIELINO! MOŻESZ TAM SOBIE SIEDZIEĆ I GNIĆ DO KOŃCA ŚWIATA, NIC MNIE TO NIE OBCHODZI, TY STARY GŁUPI RUPIECIU! – wrzeszczała na cały głos, by potem, podobnie jak przed chwilą jej mąż, zatrzaskać drzwi z ogłuszającym hukiem.

– Od tego trzaskania popęka farba przy futrynach – stwierdził chłodno Will.

Rebeka była tak przejęta tym, co się przed chwilą wydarzyło, że nawet nie usłyszała uwagi brata.

– Boże, to takie irytujące. Muszę koniecznie porozmawiać z nim o tym, co dzisiaj znaleźliśmy – gderał pod nosem chłopak.

Tym razem Rebeka go usłyszała.

– Daj sobie spokój! Radzę ci trzymać się od nich z daleka, dopóki to wszystko się nie uspokoi. – Dziewczynka wysunęła do przodu żuchwę, przybierając bardzo ważną minę. – Jeśli kiedykolwiek się uspokoi... Tak czy siak, jedzenie jest gotowe. Weź sobie swoją porcję. Właściwie możesz wziąć, ile tylko chcesz... Nie sądzę, żeby ktokolwiek inny miał jeszcze dzisiaj ochotę na jedzenie.

To powiedziawszy, Rebeka odwróciła się na pięcie i wyszła z kuchni. Will przeniósł wzrok z pustych drzwi na piekarnik i wzruszył lekko ramionami.

Pochłonął dwie i pół porcji gotowego dania i poszedł na górę. W domu panowała dziwna cisza. Nie było nawet słyhać wszechobecnego głosu telewizora, kiedy Will siedział na łóżku i polerował szmatką łopatę. Wreszcie ułożył ją ostrożnie na podłodze, zgasił stojącą na nocnej szafce lampkę i wsunął się pod kołdrę.

Rozdział 10

Will obudził się, ziewnął przeciągle i omiół zaspanym wzrokiem pokój, aż dostrzegł blask pełnego dnia wypełzający zza krawędzi zasłon. Usiadł na łóżku, gdy dotarło do niego, że coś jest nie tak. Dom był zaskakująco cichy i spokojny, wolny od codziennej porannej wrzawy. Chłopiec zerknął na zegarek. Zaspał. Wydarzenia ostatniego wieczoru wytrąciły go zupełnie z równowagi i zapomniał nastawić budzik.

Znalazł na dnie szafy czyste ubranie, narzucił je i poszedł umyć zęby.

Gdy wychodził z łazienki, zauważył, że drzwi do pokoju Rebeki są uchylone. Przystanął więc i nasłuchiwał przez moment. Wiedział, że nie powinien wchodzić do środka; Rebeka traktowała to miejsce jak azyl i kilkakrotnie już porządnie go zbeształa, kiedy wszedł bez pytania. Ponieważ z wnętrza nie dobiegały żadne odgłosy, Will postanowił w końcu się rozejrzeć. W pokoju panował jak zwykle idealny porządek – na zaścielonym łóżku leżały domowe ubrania dziewczynki, przygotowane na jej powrót ze szkoły – wszystko lśniło czystością poukładane we właściwych miejscach. Will zauważył czarny budzik Rebeki stojący na jej szafce nocnej. „Dlaczego mnie nie obudziła?” – pomyślał.

Potem zauważył, że drzwi sypialni rodziców także są uchylone. Nie mógł się powstrzymać i zajrzał do środka. Wszystko wskazywało na to, że tej nocy nikt nie spał w ich łóżku. Nie wyglądało to najlepiej.

Gdzie oni byli? Will wrócił myślami do kłótni z poprzedniego wieczoru, dopiero teraz uświadamiając sobie powagę sytuacji. Wbrew temu, co sądziła o nim większość ludzi, Will był wrażliwym chłopcem. Wiele spraw przyciągało jego uwagę lub budziło niepokój, nie potrafił jednak okazywać uczuć, chowając się zwykle za maską nonszalancji i brawury, gdy chodziło o rodzinę, lub zupełnej obojętności, gdy sprawy dotyczyły innych ludzi. Był to mechanizm obronny wypracowany w ciągu minionych kilku lat, pozwalający radzić sobie jakoś z szyderstwami dotyczącymi jego wyglądu. Nigdy nie okazuj uczuć, nigdy nie reaguj na ich bezmyślne zaczepki, nigdy nie daj im satysfakcji.

Choć nigdy dłużej się nad tym nie zastanawiał, Will miał świadomość, że, mówiąc oględnie, jego życie rodzinne jest dość dziwne. Każde z czworga członków rodziny było zupełnie inne od pozostałych, jakby niezależne od nich okoliczności wrzuciły ich do wspólnego domu niczym czwórkę obcych sobie pasażerów siedzących w jednym przedziale wagonu. Mimo to, trzymało się to jakoś kupy; każdy znał swoje miejsce i, choć może nie był do końca szczęśliwy, potrafił znaleźć własną, wewnętrzną równowagę. Teraz jednak istniało zagrożenie, że cała ta delikatna struktura może runąć. Przynajmniej takie były odczucia Willa tego ranka.

Stojąc na środku korytarza, wsłuchiwał się w niepokojącą ciszę i zerkał na otwarte drzwi poszczególnych sypialni. Sprawa jest poważna.

– Dlaczego to musiało się stać właśnie teraz... – mruczał do siebie. – Kiedy znalazłem coś tak niesamowitego.

Pragnął porozmawiać z doktorem Burrowsem, opowiedzieć mu o niezwyklej komnacie, na którą natknęli się z Chesterem. Wydawało się, że wszystko to nie miało większego znaczenia bez jego

aprobaty, bez słów: „Dobra robota, Will” i ojcowskiego uśmiechu, w którym kryła się duma z dokonań syna.

Kiedy schodził na dół, miał dziwne wrażenie, że jest intruzem we własnym domu. Stanąwszy u podnóża schodów, zerknął na drzwi salonu. Wciąż były zamknięte. „Mama pewnie tam spała” – pomyślał, wchodząc do kuchni. Na stole stał talerz z zaschniętymi resztkami mleka i płatków zbożowych, co oznaczało, że Rebeka zjadła już śniadanie i poszła do szkoły. Fakt, że nie posprzątała po sobie, oraz brak talerza i filiżanki, które zwykle zostawiał na stole lub w zlewie jego ojciec, obudziły dziwny niepokój w sercu Willa. Ten obrazek, zastygły w bezruchu fragment codzienności, mógł stać się kluczem do rozwiązania zagadki niczym trop, dowód pozostawiony na miejscu zbrodni, który, odczytany we właściwy sposób, wyjaśniłby, co się właściwie dzieje w jego domu.

Will nie potrafił jednak odczytać tych znaków, nie miał zresztą na to czasu.

– To jest jak jakiś zły sen – mruczał pod nosem, wsypując płatki do miski. – Totalna katastrofa – dodał, sięgając bez apetytu po jedzenie.

Rozdział 11

C hester siedział w rozpadającym się fotelu w głównej sali tunelu przy Czterdziestu Dołkach. Ugniótł w palcach kolejną kulkę z gliny i dołożył ją do wznoszącej się na stole sterty podobnych. Potem zaczął rzucać nimi, jedną po drugiej, w pustą butelkę po wodzie mineralnej, którą ustawił wcześniej na krawędzi pobliskich taczek.

Will spóźniał się już dobre pół godziny. Miotając bez przekonania kolejne gliniane pociski, Chester zastanawiał się, co mogło zatrzymać przyjaciela. Nie sądził, by spotkało go coś złego, koniecznie jednak chciał opowiedzieć mu o tym, co odkrył, gdy wszedł tego dnia do tunelu.

Kiedy Will pojawił się wreszcie w podziemnym korytarzu, poruszał się w ślimaczym tempie, wlokąc się noga za nogą. Głowę trzymał nisko pochyloną, jakby niósł na ramionach ogromny ciężar.

– Cześć, Will – przywitał go radośnie Chester, rzucając w butelkę całą garść kulek. Jak można się było spodziewać, żadna nie trafiła w cel. Nieco rozczerowany, Chester odwrócił się do przyjaciela, czekając, aż ten odpowie na jego przywitanie. Will burknął tylko coś niezrozumiale, a kiedy podniósł wzrok na Chestera, w jego oczach nie było nawet cienia dawnego entuzjazmu. Chester zauważył już wcześniej, że od kilku dni z przyjacielem dzieje się coś niedobrego – Will wyraźnie go unikał, a kiedy już znaleźli się blisko siebie, był dziwnie małomówny i zamknięty w sobie.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza. Wreszcie Chester, nie mogąc dłużej znieść krępującego milczenia, wyrzucił z siebie to, o czym tak bardzo chciał powiedzieć przyjacielowi:

– Tunel jest...

– Mój tata zniknął – przerwał mu Will.

– Co?

– Zamknął się w piwnicy, ale podejrzewamy, że teraz już go tam nie ma.

Nagle Chester zrozumiał, dlaczego Will zachowywał się ostatnio tak dziwnie. Otworzył usta, zaraz jednak je zamknął. Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

Will opadł ciężko na najbliższy fotel, jakby nie miał już siły, by utrzymać się na nogach.

– Kiedy to się stało? – spytał Chester.

– Kilka dni temu. Pokłócił się o coś z mamą.

– A co ona o tym myśli?

– Ha, nic! Od czasu kłótni nie odezwała się do nas ani słowem – odparł Will.

Chester spojrzał na tunel prowadzący do ceglanej komnaty, a potem na Willa, który w zamyśleniu ścierał smugę zaschniętego błota z trzonka łopaty. Chester wziął głęboki oddech i odezwał się niepewnym tonem:

– Przykro mi, ale... jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć.

– Co takiego? – spytał cicho Will.

– Tunel jest zablokowany.

– Co? – W mgnieniu oka chłopiec odzyskał siły i zdolność działania. Zerwał się z fotela i pobiegł do tunelu. Rzeczywiście, wejście do dziwnej komnaty z cegieł było zasypane – właściwie zasypana była co najmniej połowa sześciometrowego korytarza prowadzącego do tego wejścia.

– Nie wierzę. – Will wpatrywał się bezradnie w hałdę ziemi i kamieni sięgającą od podłogi tunelu po sam jego sufit. Kiedy już otrząsnął się ze zdumienia, sprawdził najbliższe stemple i podpory, szarpiąc je obiema rękami i kopiąc w ich podstawy. – Stemple są w porządku – mruknął, po czym przykucnął, by przyrzeć się uważniej osypisku blokującemu tunel. Nabrał garść ziemi, podniósł do oczu i wpatrywał się w nią przez chwilę, podczas gdy Chester przyglądał się z podziwem jego poczynaniom.

– Dziwne – stwierdził wreszcie.

– Co takiego? – zaciekawił się Chester.

Will przysunął ziemię do nosa i powąchał ją. Potem wziął w palce szczyptę gleby, resztę zaś odrzucił na hałdę. Przez chwilę rozcierał ją powoli na czubkach palców, a potem odwrócił się do Chestera, marszcząc brwi.

– O co chodzi, Will?

– Stemple w tamtej części tunelu były całkiem dobre, sprawdzałem je niedawno. Ostatnio nie mieliśmy tu żadnych ulewnych deszczy, co?

– Nie, nie sędzę – odparł Chester.

– No właśnie. A ta ziemia na pewno nie jest na tyle wilgotna, żeby mogła spowodować osunięcie się sufitu.

Najdziwniejsze jednak jest to. – Will sięgnął do hałdy, wyjął z niej jakiś przedmiot i rzucił go Chesterowi. Ten chwycił kamyk i spojrzał na niego z konsternacją.

– Przykro mi, ale chyba nie rozumiem. Co w tym takiego dziwnego?

– To wapień. W hałdzie są kawałki wapienia. Dotknij powierzchni tego kamienia. Jest zupełnie inna niż powierzchnia piaskowca, znacznie bardziej ziarnista. Poczekaj, upewnię się, czy mam rację. – Will wyjął z kieszeni scyzoryk, rozłożył największe ostrze i zaczął dłubać nim w powierzchni innego kamienia podniesionego z hałdy. – Widzisz, jedno i drugie to skały osadowe, wyglądają więc dość podobnie. Czasami naprawdę trudno je odróżnić – mówił, wciąż badając fragment skały. – Można spuścić na nie kropelkę kwasu – wapień zaczyna się wtedy rozpuszczać i syczeć – albo obejrzeć je pod szkłem powiększającym – można wtedy zobaczyć ziarenka kwarcu obecne tylko w piaskowcu – ale ta metoda jest zdecydowanie najlepsza. – To powiedziawszy, Will wziął na palec drobinę kamienia, którą odłupał przy pomocy noża, i ku zdumieniu Chestera włożył ją do ust. Rozgryzł kamień przednimi zębami.

– Co ty wyprawiasz, Will?

– Hmm – odparł Will w zamyśleniu, wciąż rozcierając odłamek kamienia. – Tak, jestem pewien, że to wapień... widzisz, kiedy go skruszyć, zamienia się w miękką papkę... piaskowiec byłby bardziej chrupki, zgrzytałby nawet między zębami.

Chester skrzywił się, słysząc dźwięki dochodzące z ust przyjaciela.

– Mówisz poważnie? Nie psują ci się od tego zęby?

w – Na razie się nie zepsuły – odparł Will z uśmiechem. Przeżuwał kamyk jeszcze przez chwilę, wreszcie wypluł go na ziemię. – Bez wątpienia to wapień. Chcesz spróbować?

– Nie, dziękuję, naprawdę nie mam ochoty – odparł Chester bez wahania.

Will odwrócił się i wskazał ręką na sufit tunelu nad osypiskiem.

– Nie sądzę, żeby gdzieś tutaj było gniazdo – odizolowane złożo wapienia. Znam dość dobrze geologię tego miejsca.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zmarszczył brwi Chester. – Że ktoś tutaj zszedł i celowo zasypał tunel?

– Tak... nie... sam nie wiem – westchnął Will, kopiąc ze złością hałdę. – Wiem tylko, że cała ta historia wygląda bardzo dziwnie.

– A może zrobił to któryś z gangów? Może „Klan”? – zasugerował Chester. – A może nawet „Klika”?

– Nie, to raczej mało prawdopodobne – odparł Will, spoglądając na zwał ziemi. – Zostawiliby jakieś inne ślady. I dlaczego blokowałiby tylko jeden tunel? Wiesz, jacy oni są – zniszczyliby wszystko. Nie, to nie ma sensu – stwierdził skonsternowany.

– Nie ma – zgodził się z nim Chester.

– Ale jednego możemy być pewni – ten, kto to zrobił, nie chce, żebyśmy tam wracali.

Kiedy Will dotarł do domu, Rebeka siedziała w kuchni i odrabiała pracę domową. Chłopak wkładał właśnie łopatę do stojaka na parasole i wieszał żółty kask na jej trzonku, kiedy siostra zawołała zza drzwi:

– Wcześniej wróciłeś.

– Tak, mieliśmy trochę kłopotów w jednym tunelu, a nie chciało mi się już dłużej kopać – odrzekł, siadając z rezygnacją na krześle po drugiej stronie stołu.

– Nie chciało ci się kopać? – powtórzyła Rebeka z udawaną troską. – Musi być chyba gorzej, niż myślałam!

– Zapadła się część jednego tunelu.

– Ach, rozumiem... – Rebeka skinęła głową bez większego zainteresowania.

– Naprawdę nie wiem, co się stało. Na pewno nie doszło do przecieku, a najdziwniejsze było to, że osypisko... – Will umilkł, kiedy Rebeka wstała od stołu i przeszła do zlewozmywaka, najwyraźniej w ogóle go nie słuchając. Nie przejął się tym zbytnio; przyzwyczał się już, że siostra zazwyczaj go ignoruje. Znużony oparł głowę na rękach, potem jednak podniósł ją gwałtownie, gdy naszła go pewna myśl.

– A może coś mu się stało? Może ma jakieś kłopoty? – spytał.

– Kto? – odpowiedziała pytaniem Rebeka, płucząc rondel.

– Tata. Wszyscy zakładamy, że skoro jest tam tak cicho, to na pewno gdzieś sobie poszedł, ale może wciąż jest na dole. – Will podniósł się z krzesła. – Idę tam – oświadczył zdecydowanym tonem, zwracając się do pleców Rebeki.

– Nie możesz tego zrobić. Nie ma mowy – odrzekła Rebeka, odwracając się do niego. – Wiesz, że nigdy nie pozwala nam wchodzić do piwnicy bez niego.

– Wezmę zapasowy klucz. – To powiedziawszy, Will wyszedł z kuchni. Rebeka stała niezdecydowana przy zlewie, zaciskając i rozwierając pięści okryte rękawicami z żółtej gumy.

Kilka sekund później Will ponownie stanął w drzwiach kuchni.

– Więc jak, idziesz ze mną czy nie?

Rebeka milczała. Odwróciła głowę i spojrzała za okno, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Zdecyduj się! – Na twarzy Willa pojawił się grymas gniewu.

– Zgoda... niech się dzieje, co chce – stwierdziła w końcu, wracając do rzeczywistości. Zdjęła rękawice i ułożyła je na suszarce przy zlewie.

Podeszli do drzwi piwnicy i otworzyli je bardzo cicho, by nie usłyszała tego ich matka. Tak naprawdę nie mieli się czego obawiać, gdyż z salonu dobiegał huk wystrzałów armatnich i terkot karabinów.

Will włączył światło i zeszli po schodach z lakierowanej dębiny, które Will jakiś czas wcześniej montował wraz z ojcem. Gdy stanęli na pomalowanej szarą farbą betonowej podłodze, rozejrzeli się w milczeniu dookoła. Doktora Burrowsa z pewnością nie było w piwnicy. Cały pokój wypełniony był różnego rodzaju sprzętami, wszystko jednak wyglądało tak samo, jak w chwili, gdy Will był tutaj po raz ostatni. Dwie ściany zajmowała bogata biblioteczka doktora, wzdłuż trzeciej zaś ciągnęły się półki z jego „osobistymi” znaleźskami, do których zaliczała się lampa kolejarza, maszyna do biletów z opuszczonej stacji kolejowej oraz zbiór glinianych głów o zatartych rysach twarzy. Pod czwartą ścianą stał stół, na nim zaś komputer, obok którego leżał niedojedzony baton Curly Wurly.

Jedynym przedmiotem, który wydał się Willowi nie na miejscu, była napełniona ziemią i kamieniami taczka stojąca przy drzwiach do ogrodu.

– Ciekawe, skąd to się tutaj wzięło? – rozmyślał głośno.

Rebeka wzruszyła ramionami.

– To dziwne... Widziałem, jak kiedyś wywoził ziemię na błonia – mówił dalej Will.

– Kiedy to było? – spytała Rebeka, marszcząc brwi.

– Kilka tygodni temu... w środku nocy. Może przywiózł tę ziemię do analizy albo coś takiego. – Sięgnął do taczki, wziął szczyptę ziemi i roztarł ją między palcami. Potem przysunął dłoń do nosa i wciągnął głęboko powietrze. – Duża zawartość gliny – oświadczył. Wsunął obie ręce głęboko w ziemię, nabierając ją do obu dłoni, by wysypać z powrotem na tawkę. Wreszcie odwrócił się do Rebeki z dziwnym wyrazem twarzy.

– Co? – spytała dziewczynka ze zniecierpliwieniem.

– Zastanawiam się, skąd może pochodzić ta ziemia – odparł. – To...

– O czym ty znowu gadasz? Taty tutaj nie ma, a te śmieci na pewno nie pomogą nam go znaleźć – przerwała mu Rebeka tak gwałtownie, że Will aż zaniemówił z wrażenia. – Chodź, wracamy na górę. – Nie czekając na reakcję Willa, weszła energicznym krokiem na schody, zostawiając go samego w piwnicy.

– Kobiety! – mruknął Will, podobnie jak nieraz czynił to jego ojciec. – Nigdy nie wiadomo, o co im chodzi!

– Rebeka w szczególności stanowiła dla Willa całkowitą zagadkę – nie wiedział, czy sobie z niego kpi, czy też mówi poważnie; nie miał pojęcia, co kryje się w tej starannie uczesanej główce.

Teraz jednak nie zamierzał się nad tym zastanawiać, miał bowiem ważniejsze i pilniejsze sprawy. Otrzeptał dłonie z ziemi i przez chwilę stał niezdecydowany na środku piwnicy, w końcu jednak uległ rozpieszczającej go ciekawości. Podeszedł do stołu i zaczął przeglądać leżące na nim papiery. Były wśród nich kopie artykułów o Highfield, zdjęcia starych domów w wyblakłej sepii I fragmenty map. Na jednej z nich widniały jakieś notatki sporządzone ołówkiem. Will rozpoznał pismo ojca.

„Martineau Square – klucz? Skąd ta wentylacja?” – czytał Will, spoglądając jednocześnie na wyrysowane ołówkiem linie łączące domy przy każdej pierzei placu.

– Co on kombinował? – zastanawiał się głośno chłopiec.

Zajrzał pod stół, gdzie znalazł aktówkę ojca. Wysypał jej zawartość – głównie czasopisma i gazety – na podłogę. W bocznej kieszeni znalazł trochę drobnych schowanych w małej papierowej torebce oraz kilka opakowań po batonach. Potem przykucnął i zaczął przeglądać segregatory schowane pod stołem; wysuwał je jeden po drugim i przerzucał zamknięte w nich kartki.

Tego dnia nie dane mu było jednak dokończyć przeszukania, gdyż Rebeka zawołała z góry, by wrócił do kuchni i zjadł kolację, nim całkiem wystygnie. Zanim opuścił piwnicę, podeszedł jeszcze do tylnych drzwi i obejrzał wiszące przy nich ubrania. Nie było tam kasku i kombinezonu ojca.

W drodze do kuchni minął zamknięte drzwi salonu, zza których dochodziła kakofonia śmiechu i oklasków.

Przez jakiś czas jedli kolację w milczeniu. Zaspokoiwszy pierwszy głód, Will podniósł wzrok na Rebeke, która trzymała w jednej dłoni widelec, w drugiej zaś ołówek, jedząc i odrabiając pracę domową jednocześnie.

– Rebeka, widziałaś gdzieś kask i kombinezon taty? – spytał.

– Nie, zawsze trzyma je w piwnicy. Dlaczego pytasz?

– Bo ich tam nie ma.

– Może gdzieś je zostawił, na jakichś innych wykopaliskach.

– Na innych wykopaliskach? Nie, powiedziałby mi o tym. Poza tym, kiedy właściwie miałyby prowadzić te wykopaliska? Zawsze był albo tutaj, albo w muzeum, nigdy nie chodził gdzie indziej, prawda? A jeśli już, to zawsze mi o tym mówił... – Will przerwał, zerkając na Rebeke, która przyglądała mu się z uwagą.

- Znam tę minę. Coś ci przyszło do głowy, prawda? – spytała podejrzliwie dziewczynka.
- Nie, to nic ważnego – odrzekł Will. – Naprawdę.

Rozdział 12

Nazajutrz Will wstał wcześniej niż zwykle. Chcąc zapomnieć o zniknięciu ojca, ubrał się szybko i zbiegł na dół, planując, że błyskawicznie zje śniadanie i może spotka się z Chesterem, by odkopać zasypyany tunel przy Czterdziestu Dołkach. Rebeka czaiła się już w kuchni; najwyraźniej czekała tam na niego, bowiem kiedy tylko wyszedł z za drzwi, chwyciła go za rękę i przyciągnęła do siebie.

– Wygląda na to, że to my musimy się zająć szukaniem taty – oświadczyła, gdy Will spojrział na nią zaskoczony tą nagłą napaścią. – Mama nic nie robi. Jest całkiem zagubiona.

Will chciał tylko jak najszybciej wydostać się z domu; rozpaczliwie próbował udawać przed samym sobą, że wszystko jest w porządku. Od czasu kłótni rodziców zarówno on, jak i Rebeka wypełniali normalnie codzienne obowiązki i chodzili do szkoły. Jedynym odstępstwem od zwykłej rutyny był fakt, że jedli posiłki w kuchni, bez matki. Pani Burrows wymykała się czasem z salonu, zabierała jedzenie, które było akurat w lodówce, i jadła, jak można się było spodziewać, przed telewizorem.

Nietrudno było odgadnąć, czym się odżywiała, z kuchni zniknęły bowiem kawałki pasztetu i sera oraz całe bochenki chleba i pudełka margaryny.

Widzieli ją kilkakrotnie w korytarzu, gdy wlokła się do ubikacji w nocnej koszuli i przydeptanych kapciach. Pani Burrows pozdrawiała ich wówczas jedynie lekkim skinieniem głowy.

– Podjęłam decyzję. Zadzwoń na policję – oświadczyła Rebeka, stając przed zmywarką.

– Naprawdę myślisz, że to dobry pomysł? Może jednak powinniśmy jeszcze trochę poczekać? – odparł Will. Wiedział, że sytuacja nie wygląda dobrze, ale nie był jeszcze gotowy na tak radykalny krok. – Może domyślasz się, dokąd mógł pójść?

– Wiem tyle samo co ty, więc równie dobrze mogłabym zapytać o to ciebie – odrzekła ostro Rebeka.

– Przechodziłem wczoraj koło muzeum, wciąż jest zamknięte. – Placówka była nieczynna już od kilku dni, jednak jak dotąd nikt nawet nie zadzwonił, by spytać, co się stało...

– Może po prostu uznał, że ma dość... wszystkiego – zasugerowała Rebeka.

– Ale dlaczego?

– Tylu ludzi ginie bez wieści. Kto wie, dlaczego?

– Rebeka wzruszyła szczupłymi ramionami. – Ale my musimy wziąć sprawy w swoje ręce – oświadczyła z mocą. – I musimy powiedzieć o tym mamie.

– W porządku – zgodził się Will niechętnie. Kiedy weszli do przedpokoju, spojrział tęsknie na swoją łopatę. Chciał jak najszybciej wydostać się z domu i zająć się czymś, co rozumiał.

Rebeka zapukała do drzwi salonu, po czym oboje wkroczyli do środka. Pani Burrows nawet na nich nie spojrzała, jakby w ogóle ich nie zauważyła. Oboje stali przez chwilę w milczeniu, nie wiedząc, co robić dalej, wreszcie Rebeka podeszła do fotela matki, wzięła pilot z oparcia i

wyłączyła telewizor.

Pani Burrows nadal nie odrywała oczu od pustego już ekranu. Will zauważył, że widać w nim ich odbicie – trzy nieruchome postacie zamknięte w szklanym prostokącie. Wziął głęboki oddech, uznając, że tym razem to nie jego siostra lecz o n powinien przejąć kontrolę nad całą sytuacją.

– Mamo – zaczął nerwowym tonem. – Mamo, nie możemy nigdzie znaleźć taty, a... a minęły już cztery dni.

– Uważamy, że powinniśmy zadzwonić na policję – wtrąciła się Rebeka, po czym dodała szybko: – Chyba, że ty wiesz, gdzie on jest?

Pani Burrows przeniosła wzrok z ekranu na magnetowidy stojące pod telewizorem. Oboje widzieli jednak, że w rzeczywistości wcale na nie nie patrzy. Jej twarz była okropnie smutna. Nagle wydała im się niezwykle samotna i bezradna; Will miał ochotę zapytać ją, co się stało, co może dla niej zrobić, lecz nie znalazł w sobie dość odwagi.

– Tak – odezwała się cicho pani Burrows. – Dzwonście, jeśli chcecie.

Na tym ich rozmowa się zakończyła. Pani Burrows siedziała w milczeniu ze spuszczonej oczami, a Rebeka i Will wyszli z pokoju.

Po raz pierwszy Will uświadomił sobie, jak poważne konsekwencje może mieć zniknięcie ojca. Co się z nimi stanie? Znaleźli się w naprawdę trudnej sytuacji. Wszyscy. A matka przede wszystkim.

Rebeka zadzwoniła na najbliższy posterunek policji. Kilka godzin później do drzwi zapukało dwoje umundurowanych policjantów. Will wpuścił ich do środka.

– Rebeka Burrows? – spytał policjant, zaglądając do wnętrza domu. Zdjął czapkę, potem wyjął z kieszeni na piersiach mały notes i przerzucił kilka kartek. W tym momencie z radiostacji przypiętej do klapy munduru wydobył się jakiś niezrozumiały jazgot. Policjant natychmiast ją wyłączył. – Przepraszam – mruknął.

Tymczasem policjantka zwróciła się do Rebeki:

– To ty do nas dzwoniłaś? – spytała.

Rebeka skinęła głową, a policjantka posłała jej krzepiący uśmiech.

– Mówiłaś, że jest tu wasza mama. Możemy z nią porozmawiać?

– Jest tutaj – odparła Rebeka, prowadząc ich do salonu i pukając delikatnie w drzwi. – Mamo – zawołała cicho, po czym otworzyła drzwi i odsunęła się na bok, by przepuścić gości. Will ruszył ich śladem, lecz policjant zwrócił się do niego:

– Wiesz co, synu, napiłbym się kawy.

Kiedy policjant zamknął za sobą drzwi, Will spojrzał wymownie na Rebeke.

– No dobra, zaraz zrobię – mruknęła dziewczynka z irytacją i poszła nastawić wodę.

Will dołączył do niej chwilę później. Oboje siedzieli w kuchni, wsłuchani w przytłumione, niezrozumiałe głosy dobiegające zza drzwi salonu, aż wreszcie – kilka dużych filiżanek kawy później – z pokoju wychynął policjant. Przeszedł do kuchni i postawił na stole puste naczynie.

– Chciałbym rozejrzeć się trochę po domu – powiedział. – Może znajdę jakiś trop – dodał, puszczać do nich oko, po czym opuścił kuchnię i wszedł na górę, nim którekolwiek z rodzeństwa zdążyło zareagować. Siedzieli nieruchomo na krzesłach i gapili się w sufit, nasłuchując kroków przemieszczających się z pokoju do pokoju.

– Czego on tam właściwie szuka? – zastanawiał się głośno Will. Słyszeli, jak policjant schodzi na dół i przemierza parter. Po chwili stanął ponownie w drzwiach kuchni i spojrzał pytająco na Willa.

– Macie tu piwnicę, prawda?

Will zaprowadził go do piwnicy i przycupnął na ostatnim stopniu drewnianych schodów, podczas gdy gość rozglądał się wokół. Interesował się szczególnie znaleźskami doktora Burrowsa.

– Twój tata ma tu niezwykle rzeczy. Rozumiem, że macie paragony na te wszystkie drobiazgi? – spytał, podnosząc jedną z glinianych głów. Zauważywszy przestraszoną minę Willa, dodał: – Żartuję. Ojciec pracuje w tutejszym muzeum, tak?

Will skinął głową.

– Byłem tam kiedyś... ze szkolną wycieczką, zdaje się. – Policjant zwrócił uwagę na taczkę wypełnioną ziemią. – A to co?

– Nie wiem. Może tata przywiózł tę ziemię z jakichś wykopalisk. Zwykle robimy to razem.

– Z wykopalisk? – zdziwił się policjant, a Will skinął głową. – Chciałbym rozejrzeć się trochę po ogrodzie – oświadczył policjant, mrużąc oczy i przyglądając się Willowi z uwagą. W jego zachowaniu pojawiła się nagle surowość, której chłopak wcześniej nie dostrzegł.

Kiedy wyszli na zewnątrz, policjant przeszukał najpierw starannie obrzeża ogrodu, a potem zajął się trawnikiem, oglądając uważnie wszystkie łyse plamy powstałe w miejscach, gdzie załatwiał się jeden z kotów sąsiada. Następnie stanął przy żywopłocie i przyglądał się przez chwilę pobliskim błoniom, po czym wreszcie wrócił do domu. Will szedł tuż za nim. Gdy tylko obaj znaleźli się w piwnicy, policjant przystanął i położył mu dłoń na ramieniu.

– Powiedz mi, chłopcze, nikt nie prowadził tu ostatnio żadnych wykopalisk, prawda? – spytał cicho, jakby to była jakaś mroczna tajemnica, którą Will koniecznie chciał się z nim podzielić.

Chłopiec pokręcił tylko głową. Kiedy chwilę później znaleźli się w przedpokoju, spojrzenie policjanta spoczęło na lśniącej łopacie wsuniętej do stojaka na parasole. Nie uszło to uwadze Willa, który próbował przesunąć się tak, by zasłonić łopatę własnym ciałem.

– Jesteś pewien, że ani ty, ani żaden z członków twojej rodziny nie kopał ostatnio w ogrodzie? – spytał ponownie policjant, przyglądając się mu podejrzliwie.

– Ja na pewno nie robiłem tego od lat – odrzekł Will. – Wykopałem kilka dołków na błoniach, kiedy byłem młodszy, ale tata mi zabronił. Mówił, że ktoś może do nich wpaść.

– Na błoniach, powiadasz? Duże były te dołki?

– Dostyc duże. Ale nie znalazłem tam nic godnego uwagi.

Policjant spojrzał na Willa zagadkowo i zapisał coś w notesie.

– Co znaczy „nic godnego uwagi”? – spytał po chwili.

– Och, kilka butelek i jakieś stare śmiecie.

W tym momencie z salonu wyszła policjantka, która rozmawiała z matką Willa.

– Wszystko w porządku? – spytał mężczyzna, chowając notes do kieszeni na piersiach i spoglądając przeciągle na Willa.

– Tak, mam wszystko – odparła policjantka, po czym zwróciła się do Willa i Rebeki. – Słuchajcie, jestem pewna, że nie macie się czym martwić, ale oczywiście zajmiemy się tą sprawą. Gdybyście dowiedzieli się czegoś ważnego albo chcieli z nami porozmawiać, możecie dzwonić pod ten numer. – Wręczyła Rebecce wizytówkę. – W większości takich przypadków zaginiona osoba sama po jakimś czasie wraca do domu; czasami ludzie muszą po prostu wyjechać, przemyśleć pewne sprawy. – Uśmiechnęła się do nich ciepło, po czym dodała: – Albo się uspokoić. Ochłonać.

– Uspokoić się? – spytała nieśmiało Rebeka. – Po czym nasz tata miałby się uspokajać?

Policjanci byli wyraźnie zaskoczeni tym pytaniem.

– Po kłótni z waszą mamą, oczywiście – odparła policjantka. Will miał nadzieję, że powie coś więcej, wyjawii, czego dotyczyła ta kłótnia, lecz kobieta odwróciła się do kolegi, mówiąc: – No dobrze, pójdziemy już.

– To śmieszne! – powiedziała Rebeka, zamknąwszy drzwi za policjantami. – Widać gołym okiem, że nie mają zielonego pojęcia, co mogło się stać z tatą ani co zrobić dalej z tą sprawą. Idioci.

Rozdział 13

Will? To ty? – spytał Chester, osłaniając oczy ręką, gdy jego przyjaciel wszedł przez kuchenne drzwi do zalanego słońcem ogrodu na tyłach domu Rawlsów. Chester umiał sobie ciepłe niedzielne przedpołudnie polowaniem na muchy plujki i osy, które zabijał za pomocą starej raketki do badmintonu – nie było to szczególnie trudne zadanie, gdyż w upale owady robiły się powolne i leniwe. To właśnie ze względu na upał Chester wystroił się w klapki, przyciasny płócienny kapelusik i luźne, workowate szorty, które optycznie powiększały jego i tak ponadprzeciętnie rozrośniętą sylwetkę.

Will stał z rękami w tylnych kieszeniach spodni i przyglądał się mu bez większego zainteresowania.

– Potrzebuję twojej pomocy – oświadczył, zerkając za siebie, by sprawdzić, czy w pobliżu nie ma rodziców Chestera.

– Jasne, o co chodzi? – spytał Chester, strącając z raketki krwawe szczątki muchy.

– Chciałbym dziś wieczorem wpaść do muzeum – odparł Will. – Przejrzeć rzeczy taty.

Chester spojrzał na niego zaintrygowany.

– Poszukać jakichś tropów, wskazówek... w jego biurze – mówił dalej Will.

– Chcesz się tam włamać? – spytał cicho Chester.

– Nie jestem pewien...

– Mam klucze – przerwał mu Will, wyjmując z kieszeni pęk kluczy i podnosząc je na wysokość twarzy.

– Chciałem tylko rzucić okiem.

Will był już co prawda gotów wybrać się do muzeum sam, później jednak uznał, że powinien poprosić przyjaciela o pomoc. Teraz, gdy zabrakło doktora Burrowsa, Chester był jedynym człowiekiem, któremu Will mógł zaufać. Pracowali przecież razem w tunelu przy Czterdziestu Dołkach, tworząc całkiem zgrany zespół – poza tym Chester wydawał się szczerze zatroskany losem jego ojca.

Chester opuścił raketkę i zastanawiał się przez chwilę, spoglądając najpierw na swój dom, a potem ponownie na Willa.

– W porządku – oznajmił wreszcie. – Ale wolałbym, żeby nas nie złapali.

Will uśmiechnął się od ucha do ucha. Cieszyła go nie tylko decyzja Chestera, lecz także świadomość, że po raz pierwszy w życiu może z całym przekonaniem stwierdzić, że ma prawdziwego przyjaciela.

Gdy zapadł zmrok, chłopcy wbiegli chyłkiem na schody przed muzeum. Will otworzył drzwi i obaj wśliznęli się szybko do środka. We wnętrzu panował mrok rozprasany mętnym blaskiem księżycy i pobliskich latarni.

– Idź za mną – wyszeptał Will do Chestera, po czym nisko pochyleni przemknęli przez główną salę, omijając starannie szklane gabloty i krzywiąc się odruchowo, gdy deski podłogi zaskrzypiały pod stopami któregoś z nich.

– Uważaj na...

– Au! – krzyknął Chester. Potknął się o czółno z bagien leżące przy wejściu do korytarza i runął jak długi na ziemię. – Skąd to się tu, u diabła, wzięło? – syknął ze złością, masując obolałą goleń.

– Chodźmy – ponaglał go szeptem Will.

Chwilę później dotarli na drugi koniec korytarza, gdzie mieścił się gabinet doktora Burrowsa.

– Możemy używać latarek, ale nie świeć po oknach.

– Czego szukamy? – spytał Chester.

– Jeszcze nie wiem. Sprawdźmy najpierw biurko – odrzekł cicho Will.

Podczas gdy Chester trzymał latarkę skierowaną na biurko doktora Burrowsa, Will przeglądał dokumenty. Nie było to łatwe zadanie; doktor był równie niezorganizowany w pracy, jak w domu, więc blat zaścielały sterty papierów. Ekran komputera był niemal w całości przesłonięty żółtymi karteczkami samoprzylepnymi. Will próbował odczytać notatki zapisane na nich ręką jego ojca, nie znalazł jednak niczego interesującego.

Kiedy przeszukał już ostatnią kupę papierzysk, zajęli się wraz z Chesterem przeglądaniem zawartości szuflad umieszczonych po obu stronach biurka.

– Hej, spójrz na to. – Chester wyciągnął spomiędzy pustych pudełek po tytoniu coś, co wyglądało jak łapa psa umocowana na drążku z kości słoniowej. Will rzucił na nią okiem i powrócił do poszukiwań.

– Mam coś! – oświadczył Chester podekscytowany, zajrzawszy do wnętrza najniższej szuflady. Will nawet nie podniósł wzroku, pewien, że przyjaciel znalazł kolejny dziwny przedmiot niewiadomego przeznaczenia. – Posłuchaj, na tym jest nalepka z napisem. – Chester podał znalezisko Willowi. Była to niewielka książka w okładce we fioletowo-brązowy marmurkowy wzorek, z naklejką, na której znajdował się ułożony z ozdobnych miedzianych liter napis Ex Libris oraz rysunek sowy w wielkich okularach.

– „Dziennik” – przeczytał głośno Will. – Tak, to na pewno pismo mojego taty. – Otworzył książkę na chybił trafił. – Bingo! To wygląda na pamiętnik albo coś w tym rodzaju. – Przerzucił kilka stron. – Sporo już tego napisał... – Will wsunął pamiętnik do torby i spytał: – Jest tam coś jeszcze?

Przeszukali pośpiesznie pozostałe szuflady, a że nie znaleźli w nich niczego ciekawego, uznali, że czas wracać. Will zamknął na klucz drzwi muzeum, po czym obaj ruszyli w stronę tunelu przy Czterdziestu Dołkach. Wiedzieli, że tam nikt im nie będzie przeszkadzał. Przemykali chyłkiem przez ulice i chowali się za samochodami, gdy tylko w pobliżu pojawił się jakiś przechodzień, podekscytowani udziałem w niecodziennej misji i zaintrygowani tym, co mógł kryć w sobie dziennik doktora Burrowsa. Dotarłszy w końcu do Czterdziestu Dołków, zeszli do głównej sali, włączyli reflektory i rozsiedli się wygodnie w fotelach. Will zaczął przerzucać kartki.

– Pierwszy zapis pochodzi z czasu, gdy odkryliśmy tę zaginioną stację kolejową – stwierdził

Will, spoglądając na Chestera.

– Jaką stację kolejową?

Will był jednak zbyt zaabsorbowany dziennikiem, by odpowiedzieć. Czytał powoli, wyraz po wyrazie, z trudem rozszyfrowując pismo ojca.

Ostatnio uwagę mą przykuła grupa... os... osobliwych indywiduów przemierzających ulice Highfield. Grupa ludzi, którzy ze względu na swoją aparycję wyraźnie odróżniają się od pozostałych mieszkańców naszego miasteczka. Nie zdołałem jeszcze ustalić, skąd pochodzą ani co jest ich celem, ale z obserwacji, które poczyniłem do tej pory, wynika, że za ich dziwnym zachowaniem i powierzchownością coś się kryje. Wziąwszy pod uwagę ich liczbę (5+?)... jednorodność wyglądu (rasy?)... można założyć, że mieszkają razem albo też... Will umilkł, przyglądając się badawczo pozostałej części strony.

– Nie mogę tego odczytać – oświadczył w końcu. – O, tutaj coś jest – dodał, przerzucając kartkę. – To jest wyraźniejsze.

Dziś, dzięki uprzejmości pana Embersa, w moje ręce trafił dość intrygujący i tajemniczy przedmiot. Całkiem możliwe, że wiąże się on jakoś z obecnością tych ludzi, choć muszę to jeszcze potwierdzić. Przedmiot ów to mała kula zamknięta w siatce z jakiegoś metalu, którego do tej pory nie byłem w stanie zidentyfikować. Kula emituje światło, o natężeniu zmieniającym się w zależności od jasności otoczenia. Co ciekawe, relacja ta jest odwrotnie proporcjonalna – im ciemniejsze otoczenie, tym większa intensywność światła: przeczy to wszystkim znanym mi prawom fizyki i chemii.

Will podniósł dziennik, by Chester mógł obejrzeć szkic sporządzony przez doktora Burrowsa.

– Widziałeś to na własne oczy? – zaciekał się Chester. – Tę kulę?

– Nie, tata w ogóle mi o niej nie mówił – odparł Will w zamyśleniu. Przewrócił kartkę i znów zaczął czytać:

Dziś miałem, okazje przyjrzeć się z bliska – aczkolwiek przez krótką tytko chwilę – jednemu z owych bladoliczych mężczyzn.

– Bladoliczych? Czyli bladych? – upewnił się Chester.

– Tak myślę – odrzekł Will i przeczytał sporządzony przez ojca opis tajemniczego mężczyzny, a potem relację z wizyty w domu córki Ananasowego Joe i spekulacje dotyczące szybów wentylacyjnych w domach przy placu Martineau. Doktor Burrows przez kilka dobrych stron rozwodził się na temat konstrukcji tych domów i ukrytych w nich struktur. Will pomiął ten fragment i przeszedł od razu do miejsca, gdzie w dzienniku wpięta była kopia strony z jakiejś książki.

– U góry jest tytuł: Historia Highfield. Piszą tu o kimś, kto nazywał się sir Gabriel Martineau – poinformował Chestera.

Urodzony w 1673, był synem i dziedzicem bogatego farbiarza z Highfield. W 1699 roku przejął od ojca rodzinny biznes, Martineau, Long & Co., i znacznie go powiększył, dobudowując do farbiarni przy Heath Street dwie kolejne fabryki. Zasłynął również jako uzdolniony wynalazca, dysponujący ogromną wiedzą w dziedzinie chemii, fizyki i inżynierii. Choć za wynalazcę mechanizmu, który dał początek współczesnej pompie próżniowej, uznaje się powszechnie Hooke'a (1635-1703), wielu historyków uważa, że Hooke zbudował swój prototyp, posługując się rysunkami Martineau.

W roku 1710, gdy w Anglii panowało ogromne bezrobocie, Martineau, człowiek głęboko wierzący i znany z ojcowskiej wręcz troski o swych pracowników, zatrudnił znaczną grupę ludzi do wznoszenia domów dla swych podwładnych. Osobiście zaprojektował Martineau Square – płac i budynki, które stoją w niezmiennym kształcie do dzisiaj – oraz Grayston Villas, który został zniszczony podczas nalotów na Londyn w czasie drugiej wojny światowej. Martineau wkrótce stał się największym pracodawcą w Highfield i okolicy, mówiło się też, że Ludzie Martineau (jak zaczęto nazywać jego pracowników) zajmowali się kopaniem rozległej sieci tuneli, choć do dziś nikt owych tuneli nie odnalazł. W roku 1718 żona Martineau zachorowała na gruźlicę i wkrótce potem zmarła w wieku trzydziestu dwóch lat. Martineau szukał pocieszenia w jakiejś tajemniczej sekcji religijnej i coraz rzadziej pokazywał się publicznie. Jego dom – Dom Martineau – który stał niegdyś na obrzeżach starego miasta Highfield, spłonął w pożarze w 1733 roku. Uznaje się, że w tym samym pożarze zginął sam Martineau i jego dwie córki.

Pod spodem doktor Burrows napisał:

Dlaczego nie ma ani śladu tych tuneli? Czemu służyły? Nie znalazłem o nich żadnej wzmianki w dokumentach miejskich, w ratuszu, w archiwum gminy ani gdziekolwiek indziej. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Poniżej widniały słowa wypisane długopisem z taką siłą, że miejscami papier był pocięty i podarty:

FAKT CZY FIKCJA?

Will zmarszczył brwi i odwrócił się do Chestera.

– To niesamowite. Słyszałeś kiedyś o tym Martineau? Chester pokręcił głową.

– Bardzo dziwne – mruknął Will, czytając ponownie skopiowany fragment książki. – Tata nigdy mi o tym nie wspominał. Dlaczego miałby trzymać to przede mną w tajemnicy?

Will przygryzł wargę i zamyślił się głęboko. Nagle podniósł gwałtownie głowę i wyprostował się, jakby ktoś dźgnął go pod żebro.

– Co się stało? – spytał Chester.

– Już wiem! Tata znalazł coś ważnego i nie chciał, by ktokolwiek mu to odebrał! Nie tym razem! – zawołał Will, przypominając sobie, jak pewien profesor z Uniwersytetu Londyńskiego oszukał jego ojca i przejął wykopaliska, na których znajdowały się pozostałości rzymskiej willi.

Chester miał zapytać Willa, o czym ten właściwie mówi, kiedy nagle przyjaciel zaczął w pośpiechu przerzucać strony dziennika.

– Znowu coś o tych bladoliczych ludziach – mruknął, przewracając kolejne stronicę, aż dotarł do miejsca, gdzie widniały tylko poszarpane resztki brakujących kartek.

– Ktoś je wyrwał!

Przerzucił jeszcze kilka stron, docierając do ostatniego zapisu, i zawahał się na moment.

– Spójrz na datę – zwrócił się do Chestera.

– Gdzie? – Chester pochylił się nad dziennikiem.

– Ostatnia środa... dzień, w którym pokłócił się z mamą – powiedział cicho Will, po czym wziął głęboki oddech i przeczytał:

Nadeszła wreszcie ta noc. Musze znaleźć drogę. Jeśli tego dokonam, moja hipoteza, choć na pozór szalona, okaże się prawdziwa. To byłoby coś! Moja szansa, moja ostatnia szansa, by zaistnieć. Moja chwila! Musze kierować się instynktem. Muszę tam zejść. Muszę przez to przejść.

– Nie rozumiem... – zaczął Chester.

Will podniósł rękę, uciszając przyjaciela i czytał dalej:

Wiem, że to może być niebezpieczne, ale muszę to zrobić. Muszę im pokazać – jeśli moja teoria się potwierdzi, wreszcie mnie docenią! Będą musieli. Nie jestem zwykłym kustoszem z zapomnianego muzeum.

Wreszcie Will przeczytał ostatnie, podkreślone trzykrotnie zdanie:

Pamięć o mnie nie zaginie!

– A niech mnie! – krzyknął Will, siadając prosto w fotelu. – To naprawdę niesamowite!

– Tak – zgodził się Chester bez przekonania. Zaczął podejrzewać, że być może ojciec Willa nie był całkiem zdrowy na umyśle. Jego zapiski brzmiały niczym bełkot człowieka, który stracił kontakt z realnym światem.

– Ciekawe, co takiego chciał zrobić? Jaką to teorię chciał potwierdzić? – mówił Will, wracając do miejsca, gdzie w dzienniku widniały tylko resztki wyrwanych kartek. – Założę się, że tutaj znaleźlibyśmy wszystkie odpowiedzi. Zabrał je ze sobą, bo nie chciał, żeby ktoś ukradł jego pomysł. Tak, z pewnością tak właśnie było! – ekscytował się chłopiec.

– No dobrze, ale dokąd on właściwie poszedł? – spytał Chester. – Przez co miał przechodzić?

Te pytania nieco przygasiły entuzjazm Willa. Chłopiec spojrzał niepewnie na przyjaciela.

– Cóż... – zaczął powoli. – Zastanawiają mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, widziałem, jak pewnej nocy pracował przy czymś w domu, jakieś dwa tygodnie przed zaginięciem. Myślę, że kopał na błoniach... ale to się nie trzyma kupy...

– Dlaczego?

– Bo wydaje mi się, że kiedy go widziałem, pchał taczki z ziemią w stronę błoni, a nie w kierunku domu. A po drugie, nie mogę nigdzie znaleźć jego kasku i kombinezonu.

Rozdział 14

Hej, Śnieżko, słyszałem, że twój stary dał nogę – krzyknął ktoś cienkim głosem, gdy tylko Will wszedł do klasy. W sali natychmiast zapanowała cisza; wszyscy patrzyli na Willa, który zacisnął mocniej zęby, usiadł przy swojej ławce i zaczął wyciągać książki z torby.

Speed, podły chudy dzieciak o przetłuszczonych czarnych włosach, był samozwańczym przywódcą bandy podobnych sobie osobników zwanej gangiem „Szaraków”. Często można ich było znaleźć w okolicy szopy na rowery, gdzie wymykali się podczas przerw, by palić papierosy. Nazwa bandy pochodziła od chmur szarego dymu, który unosił się nad nimi, gdy zbici w ciasną gromadę wypalali w pośpiechu „fajki”, bacząc, by nauczyciel nie przyłapał ich na gorącym uczynku.

Wszyscy w podobny sposób nosili mundurki – wiązali krawaty w ogromne węzły, pomięte koszule nigdy nie były do końca włożone w spodnie, swetry zaś wydawały się brudne i wytarte. Wyglądali niczym grupa niedożywionych sierot, które wyciągnięto z kanałów i wysuszono na wietrze. Byli też pyskaci, bez wyjątku, i jeśli tylko mogli, dręczyli każdego, kto miał nieszczęście stanąć im na drodze.

Często zdarzało się, że niczym stado hien okrażali niespodziewającego się ataku ucznia, wykręcali mu ręce i prowadzili na środek dziedzińca, gdzie męczyli go dopóty, dopóki całkiem się nie załamał. Will był świadkiem jednego z takich spektakli, kiedy Speed i jego kamraci zmusili pewnego przerażonego jedenastolatka, by po wielokroć śpiewał na cały głos Wlazł kotek na plotek. Kiedy struchlały ze zgrozy chłopak jąkał się i zacinał przy każdym słowie, by w końcu wymawiać je tylko bezgłośnie szepcąc, Speed dźgał go bezlitośnie między zębra i kazał odśpiewywać piosenkę po raz kolejny. Uczniowie przyglądający się temu z boku chichotali między sobą i poszturchiwali się, szczęśliwi, że uniknęli podobnego losu. Will dobrze zapamiętał udręczonego, chlipiącego ze strachu chłopca. Teraz on sam stał się obiektem niechcianego zainteresowania Speeda.

– Trudno mu się dziwić, prawda? Pewnie miał cię dość! – szydził Speed głosem ociekającym pogardą.

Pochylony nad ławką Will udawał wytrwale, że szuka czegoś w książce.

– Każdy by miał dość takiego dziwoląga! – krzyknął Speed, wydając z siebie tony przeraźliwie piskliwe i basowe zarazem, w sposób charakterystyczny dla chłopców przechodzących mutację.

Will czuł, jak narasta w nim ogromny gniew. Serce biło mu jak szalone, twarz okryła się rumieńcem: nie chciał okazywać żadnych emocji, ale nie panował już nad własnym ciałem. Wpatrzony tępo w otwartą na przypadkowej stronie książkę pozwolił, by ogarnęło go na moment zwątpienie i wyrzuty sumienia. Może rzeczywiście to jego wina... może to właśnie z jego powodu ojciec opuścił dom.

Natychmiast odegnał od siebie złe myśli. Z pewnością nie on był winien tej sytuacji. Tata na pewno nie potraktowałby go w ten sposób, nie odszedłby bez słowa. Musiał mieć jakiś bardzo ważny powód... naprawdę bardzo ważny.

– Pewnie wkurzył się też na twoją walniętą matkę! – wrzeszczał jeszcze głośniejszym głosem Speed. Tu i ówdzie rozległy się przytłumione chichoty. Więc wszyscy już wiedzieli o jego mamie... Will zacisnął

dłonie na książce z taką siłą, że okładka zaczęła pękać. Wciąż nie podnosił wzroku, pokręcił jednak powoli głową. To było nieuniknione... Nie chciał walczyć, ale ten pętał posuwał się za daleko. Chodziło o dumę.

– Hej, Białasie, mówię do ciebie! Może powiesz, że to nieprawda? Że ojciec od was nie uciekł i że twoja matka to nie...

Dość! Will wstał, prostując się gwałtownie, a jego krzesło odepchnięte z mocą do tyłu przesunęło się ze zgrzytem po podłodze i przewróciło. Wbił wściekłe spojrzenie w Speeda, który także podniósł się z miejsca, uradowany, że jego złośliwości trafiły wreszcie w czuły punkt. Niemal w tej samej sekundzie trzech innych Szaraków, siedzących za Speedem, poderwało się z krzeseł z drapieźnym błyskiem w oczach.

– Oho, czyżby nasz Milky Way się zdenerwował? – drwił Speed, ruszając pewnym krokiem w stronę Willa. Jego rozchichotana świta szła tuż za nim.

Doszedłszy do Willa, Speed stanął przed nim, zaciskając dłonie w pięści. Will miał ochotę cofnąć się o krok, wiedział jednak, że przeciwnik uznałby to za oznakę słabości.

Speed przysunął się jeszcze bliżej, niemal dotykał twarzą twarz Willa, po czym odchylił w tył górną część tułowia niczym podrzędny bokser.

– No? Masz... już... dość? – prowokował Speed, przy każdym słowie dźgając Willa palcem w pierś.

– Zostaw go w spokoju. Wszyscy mamy już dość ciebie. – Nagle u boku Willa pojawiła się zwalista postać Chestera.

Speed zerknął na niego niepewnie, po czym znów przeniósł wzrok na Willa.

Świadom, że obserwuje ich cała klasa i wszyscy czekają na kolejny ruch, Speed syknął pogardliwie przez zęby, próbując ratować w ten sposób honor, choć zarówno on, jak i wszyscy obecni wiedzieli, że próba ta wygląda dość żałośnie. Dwaj członkowie świty zdezerterowali, wracając cichcem do ławek i zostawiając na placu boju najmniejszego spośród towarzyszy. Choć był drobnym, chudym chłopaczkiem i wyglądał tak, jakby miał jeszcze chodzić w krótkich spodenkach, mały Szarak spoglądał wyzywająco na Willa i Chestera, najwyraźniej gotów do bójki.

– No i co teraz zrobisz? Zdaje się, że został ci do pomocy tylko ten karzeł. – Chester uśmiechnął się zimno do Speeda.

Na szczęście w tej samej chwili do klasy wszedł nauczyciel, który, zrozumiawszy natychmiast, co się święci, odchrząknął głośno, informując ich w ten sposób o swojej obecności. Ponieważ żaden z czwórki chłopców nie zareagował na ów sygnał, nauczyciel musiał do nich podejść i jednoznacznie przykazać, by zajęli miejsca.

Will i Chester usiedli w ławkach, lecz Speed i jego pacholek nadal stali na środku sali. Gdy nauczyciel zgromił ich wzrokiem i podniósł ostrzegawczo palec, obaj wrócili pośpiesznie na miejsca.

Will rozsiadł się wygodnie na krześle i uśmiechnął do Chestera. To była prawdziwa przyjaźń.

Wróciwszy tego dnia ze szkoły, Will zakradł się cichaczem do domu, starając się za wszelką cenę

uniknąć spotkania z Rebeką. Nim otworzył drzwi piwnicy, stanął nieruchomo w przedpokoju i nasłuchiwał przez chwilę. Z góry dobiegały dźwięki piosenki Jesteś moim słońkiem [You Are My Sunshine – popularna piosenka, po raz pierwszy nagrana w latach 40. XX wieku] – Rebeka śpiewała ją często przy sprzątaniu – Will uznał więc, że siostra zajęta jest porządkami. Zszedł szybko do piwnicy i otworzył drzwi prowadzące do ogrodu, gdzie Chester już na niego czekał.

– Jesteś pewien, że mogę tu być? – spytał Chester.

– Jakoś... nie czuję się z tym... najlepiej.

– Nie wygłupiaj się, nie ma żadnego problemu – zapewnił go Will. – No dobra, rozejrzyjmy się trochę.

Sprawdzili wszystkie przedmioty leżące na półkach, a potem także segregatory i pudła, których Will nie zdążył przejrzeć wcześniej. Ich wysiłki nie przyniosły żadnego rezultatu.

– To była tylko strata czasu – stwierdził Will zniechęcony.

– Więc skąd, twoim zdaniem, wzięła się tutaj ta ziemia? – spytał Chester, podchodząc do taczki.

– Jeszcze nie wiem. Moglibyśmy przespacerować się po błoniach, może znaleźlibyśmy tam jakieś ślady.

– Błonia są duże, musielibyśmy poświęcić na to sporo czasu – odrzekł Chester bez entuzjazmu. – A jeśli rzeczywiście tam kopał, to dlaczego miałby przywozić ziemię tutaj?

– Nie wiem – westchnął Will, raz jeszcze przebiegając wzrokiem po półkach z książkami. Nagle znieruchomiał i zmarszczył brwi, zauważywszy coś dziwnego obok jednej z półek. – Dziwne... – mruknął pod nosem, kiedy Chester podszedł do niego.

– Co takiego?

– Obok gniazdka jest jakaś wtyczka, ale nie wiem, dokąd idzie kabel. – Will włożył wtyczkę do gniazdka. Obaj rozejrzeli się po pokoju, jednak nie zauważyli żadnych zmian.

– Więc od czego może być ten przewód? – spytał Chester.

– Na pewno nie od lampy na zewnątrz.

– Skąd wiesz?

– Bo nie mamy na zewnątrz żadnej lampy – wyjaśnił Will krótko. Przeszedł do rogu pokoju i zajrzał w ciemną szczelinę między dwoma regałami, po czym zamyślił się głęboko. – Dziwne... – mruknął po raz drugi. – Ale nie widzę drugiego końca tego przewodu.

Złapał drabinę stojącą przy drzwiach prowadzących do ogrodu, przystawił ją do regału i przyjrzał się z góry.

– Tutaj też go nie ma – oświadczył. – Nie rozumiem. – Miał już zejść na podłogę, jednak zatrzymał się i przesunął dłonią po najwyższej półce.

– Masz coś? – spytał zaciekawiony Chester.

– Mnóstwo pyłu ceglanego – odrzekł Will. Zeskoczył z drabiny i chwycił za krawędź regału, próbując odsunąć go od ściany.

– Pomóż mi – sapnął, widząc, że jego wysiłki idą na marne. – Wydaje mi się, że trochę odstaje od ściany.

– Może jest po prostu źle zamocowany – podsunął Chester.

– Źle zamocowany? – powtórzył Will z oburzeniem. – Ja pomagałem tacie mocować te regały.

Razem złapali mocno boczną krawędź mebla i zaczęli ciągnąć, wkładając w tę czynność wszystkie siły. Udało im się przesunąć regał o kilka milimetrów, wyglądało jednak na to, że coś trzyma go mocno u góry.

– Poczekaj, sprawdzę – powiedział Will, wchodząc ponownie na drabinę. – Zdaje się, że tutaj zaklinował się jakiś gwóźdź. – Wyjął gwóźdź z mocowania i rzucił go na betonową podłogę. – Chwileczkę... przecież mocowaliśmy ten regał na wkrętach, a nie gwoździach – uświadomił sobie, spoglądając ze zdumieniem na Chestera.

Wciąż zastanawiając się nad tą zagadką, zeskoczył na podłogę. Po chwili razem z przyjacielem ponownie spróbowali odciągnąć regał od ściany. Tym razem ciężki mebel uległ połączonym siłom chłopców i odsunął się z jednej strony; druga przymocowana była do ściany na zawiasach.

– Więc do tego potrzebny był mu ten kabel! – wykrzyknął Will. Wpatrywali się w otwór wykuty w dolnej części ściany. Dziura miała kształt kwadratu o boku długości jednego metra. W środku widać było korytarz oświetlony zbieraniną starych świetlówek różnych firm i rozmiarów, umocowanych wzdłuż ścian.

– Ale numer! – wykrzyknął zdumiony Chester. – Tajne przejście!

Will uśmiechnął się do niego.

– Zgadza się. Chodź, sprawdzimy, dokąd prowadzi. – Nim Chester zdołał cokolwiek powiedzieć, Will wsunął się do tunelu i zaczął się czołgać w zadziwiająco szybkim tempie. – Tutaj jest zakręt – dobiegł po chwili jego przytłumiony głos.

Will zniknął za rogiem, zaraz jednak ponownie ukazał się oczom Chestera, pełznąc powoli, bardzo powoli, do tyłu. Usiadł i odwrócił się do przyjaciela. Na jego twarzy malowało się ogromne rozczarowanie.

– Co się stało? – spytał Chester.

– Tunel jest zablokowany. Zasypany – odrzekł krótko Will. Potem wycofał się powoli z tunelu, wysunął z otworu w ścianie i stanął na betonowej posadzce. Wyprostował się, zdjął szkolną marynarkę i rzucił ją na ziemię. Dopiero wtedy zauważył ponurą minę przyjaciela.

– O co chodzi?

– To osypisko... nie myślisz chyba, że twój tata został tam w środku, prawda? – odparł Chester przyciszonym głosem i wzdrygnął się odruchowo, wyobraziwszy sobie taką przerażającą scenę. – Ta ziemia mogła go... przygnieść – dodał złowieszczym tonem.

Will odwrócił wzrok zatroskany i zamyślił się głęboko.

– Cóż, możemy to sprawdzić tylko w jeden sposób – oświadczył po chwili.

– Może powinniśmy komuś o tym powiedzieć? – podsunął nieśmiało Chester, zaskoczony i

zdumiony spokojną, niemal obojętną reakcją przyjaciela. Lecz Will go nie słuchał. Zmarszczył czoło i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, co oznaczało, że jego umysł pracuje na pełnych obrotach, obmyślając plan działania.

– Wiesz, zauważyłem, że ziemia w tym osypisku ma dokładnie taki sam skład, jak ziemia w naszym tunelu; pełno w niej odłamków wapienia – oświadczył głośno, po czym poluzował krawat, ściągnął go przez głowę i rzucił na podłogę obok marynarki. – To nie może być zwykły zbieg okoliczności. – Odwrócił się ku wejściu do tunelu i zajrzał do wnętrza. – Widziałeś te stemple? – spytał, wskazując na najbliższą podporę. – To nie był wypadek. Ktoś je celowo podciął i wyłamał. Chester podszedł do tunelu i przyjrzał się stemplom; w niektórych widać było głębokie nacięcia, inne zostały niemal całkowicie przecięte, jakby ktoś z całej siły uderzył w nie siekierą.

– Boże, masz rację – zdumiał się Chester. Will podwinął rękawy.

– Szkoda czasu na gadanie. Bierzmy się do roboty. Chłopiec wsunął się do tunelu, zabierając ze sobą wiadro, które znalazł tuż przy wejściu.

Chester spojrział na swój szkolny mundurek. Otworzył usta, by coś powiedzieć, jednak później rozmyślił się, zdjął marynarkę i rozwiesił ją starannie na oparciu krzesła.

Rozdział 15

Teraz! – wyszeptał Will ukryty w cieniu żywopłotu oddzielającego ogród od błoni.

Chester stęknął z wysiłku, podniósł wyładowaną po brzegi taczkę i ruszył przed siebie, omijając niepewnym zygzakiem drzewa i krzewy stojące mu na drodze. Gdy wyszedł na otwartą przestrzeń, skręcił w prawo, w stronę rowów, do których wyrzucali gruz z wyrobiska. Sterty świeżej ziemi i kamieni zalegające w rowach już wcześniej świadczyły o tym, że ojciec Willa wykorzystywał je dokładnie w ten sam sposób.

Will rozglądał się czujnie dokoła, wypatrując przechodniów, podczas gdy Chester w pośpiechu opróżniał taczkę. Kiedy przyjaciel zręcznie obrócił ją w miejscu i ruszył w drogę powrotną, Will zabrał się do spychania do rowu grud i kamieni, które zatrzymały się na brzegu. Uporawszy się z tym zadaniem, dogonił Chestera. Wracali właśnie dobrze wydeptaną ścieżką do ogrodu na tyłach domu Burrowsów, gdy kółko starej taczki zaczęło przeraźliwie piszczeć, jakby chciało dać im do zrozumienia, że ma już dość niezliczonych wypraw na błonia. Pisk brutalnie przeciął kojącą ciszę letniego wieczoru.

Chłopcy zamarli w bezruchu, a potem rozejrzeli się dokoła, by sprawdzić, czy nie ściągnęli na siebie uwagi któregoś z sąsiadów.

Will przystanął, chcąc przyjrzeć się skrzypiącemu kołu. Zdyszany Chester wykorzystał okazję do odpoczynku i pochylił się do przodu, kładąc dłonie na kolanach.

- Znów będziemy musieli naoliwić to diabelstwo.
- Tak? Niemożliwe... – wysapał z ironią Chester.
- Lepiej będzie, jak to poniesiesz – odparł chłodno Will.
- Muszę? – jęknął chłopiec.
- Chodź, pomogę ci – skinął głową Will, chwytając za kółko taczki.

Przenieśli ciężki wózek aż do samego żywopłotu, stękając i klnąc pod nosem, jednak kiedy pokonywali ogród, milczeli. Stąpając na palcach, zeszli w dół niewielkiej pochyłości i otworzyli tylne drzwi piwnicy.

– Teraz chyba moja kolej – jęknął Will, kiedy zmęczeni klapnęli na betonową posadzkę. Chester nie odpowiedział.

- Wszystko w porządku? – spytał Will.

Chester skinął lekko głową, po czym spojrzał na zegarek.

- Chyba już muszę wracać do domu.

– Pewnie tak – odparł Will. Chester podniósł się powoli z podłogi i zaczął zbierać swoje rzeczy. Will nie powiedział tego głośno, ale w gruncie rzeczy był zadowolony, że przyjaciel dał sygnał do zakończenia pracy. Obaj byli wykończeni po całym dniu kopania i wywożenia ziemi; Chester dosłownie słaniał się na nogach ze zmęczenia.

– W takim razie jutro o tej samej porze? – spytał cicho Will, rozcierając zesztywniałe ze zmęczenia ramię.

– Tak – wychrypiał Chester i, nie spojrzawszy nawet na Willa, wyszedł z piwnicy do ogrodu.

Odprawiali ten sam rytuał co wieczór po szkole. Will otwierał bezgłośnie wychodzące na ogród drzwi piwnicy i wpuszczał Chestera do środka. Potem obaj szybko się przebierali i pracowali przez dwie lub trzy godziny bez przerwy. Była to praca wyjątkowo powolna i męcząca, nie tylko ze względu na ograniczoną przestrzeń w tunelu oraz na fakt, że nie chcieli, by usłyszał ich którykolwiek z domowników, lecz także dlatego, że wykopaną ziemię mogli wywozić na błonia dopiero pod osłoną nocy. Na koniec każdego dnia pracy, kiedy Chester szedł już do domu, Will ustawiał regał na swoim miejscu i zamiatął starannie podłogę.

Tym razem miał do wykonania dodatkowe zadanie. Oliwiąc skrzypiącą ośkę taczki, zastanawiał się, jaka odległość dzieli ich od końca tunelu, i czy znajdą tam w ogóle coś ciekawego. Martwiło go też, że powoli kończyły im się materiały niezbędne do dalszego drążenia korytarza. Pozbawiony pomocy ojca, który zawsze dbał o zapasy niezbędnego sprzętu, musiał zabrać deski i stemple z Czterdziestu Dołków, tym samym znacznie osłabiając zabezpieczenia w drugim tunelu.

Jakiś czas później, kiedy siedział zgarbiony przy kuchennym stole i jadł zimną kolację, w drzwiach kuchni jak spod ziemi wyrosła nagle Rebeka. Will drgnął wystraszony i przełknął głośno.

– Jak ty wyglądasz! Cały jesteś ubłocony; myślisz, że znów będę to wszystko prała? – Rebeka splotła ręce na piersiach i spojrzała wyzywająco na brata.

– Nie, wcale nie – odparł chłopiec, unikając jej wzroku.

– Will, co ty właściwie kombinujesz? – spytała stanowczym tonem.

– Nie wiem, o czym mówisz – odrzekł Will, wkładając do ust kolejną porcję.

– Codziennie wymykasz się gdzieś po szkole, prawda? Will wzruszył ramionami, udając, że przygląda się z uwagą kawałkowi wołowiny nabitemu na widelec.

– Wiem, że coś kombinujesz, bo widziałam tego wielkiego woła przemykającego po naszym ogrodzie.

– Kogo?

– Och, daj spokój, kopiecie gdzieś z Chesterem, prawda?

– Owszem – przyznał Will. Przełknął kolejny kęs i biorąc głęboki wdech, skłamał na tyle przekonująco, na ile tylko potrafił: – Przy wysypisku.

– Wiedziałam! – wykrzyknęła triumfalnie Rebeka. – Nie rozumiem tylko, jak możesz w ogóle myśleć o kopaniu tych swoich dziur, kiedy spadło na nas takie nieszczęście.

– Ja też tęsknię za tatą, dobrze o tym wiesz – odparł Will, nadgryzając pieczony ziemniak. – Ale nie mam zamiaru włączyć się po domu z nosem zwieszonym na kwintę i uzalać się nad sobą... jak mama.

Rebeka obrzuciła go gniewnym, nieufnym spojrzeniem, obróciła się na pięcie i wyszła z kuchni.

Will jeszcze przez jakiś czas przeżuwał zimne jedzenie, wpatrując się w przestrzeń i rozmyślając

o wydarzeniach minionego miesiąca.

Później, kiedy zaszył się w swoim pokoju, wyjął mapę geologiczną Highfield i kropkami oznaczył miejsca, gdzie, jego zdaniem, stał ich dom, kierunek, w którym zmierzał tunel wydrążony przez ojca, a także Martineau Square i dom pani Tantrumi. Długo i intensywnie wpatrywał się w punkty na mapie, jakby była to jakaś zagadka do rozwiązania, wreszcie odłożył plan na stolik i wdrapał się na łóżko. Po kilku minutach zapadł w niespokojny sen, w którym śnił o tajemniczych, budzących grozę ludziach opisanych przez ojca w pamiętniku.

We śnie miał na sobie szkolny mundurek oblepiony błotem, poszarpany i poprzecierany na łokciach i kolanach. Zgubił gdzieś buty i skarpetki, szedł więc bosą długą, wyludnioną ulicą, wzdłuż której ciągnęły się rzędy szeregowców. Ulica wydawała mu się znajoma, choć nie potrafił określić, skąd ją zna. Skubiąc nerwowo podarte rękawy marynarki, zerknął w górę na szarozółte bezkształtne niebo. Nie wiedział, czy spóźnia się właśnie na kolację, czy do szkoły, był jednak pewien, że w tej chwili powinien znajdować się gdzie indziej lub robić coś innego – coś niezwykle ważnego.

Trzymał się środka ulicy, zerkając nieufnie na domy ciągnące się po obu jej stronach. Wydawały mu się ponure i złowrogie; okna były ciemne i martwe, z zaskakująco wysokich i powykrzywianych kominów nie wydobywał się dym.

Czuł się okropnie samotny i porzucony, gdy nagle zauważył w oddali sylwetkę człowieka przechodzącego przez ulicę. Natychmiast zorientował się, że to jego ojciec, i z radości serce zabiło mu szybciej. Zaczął machać, jednak szybko przestał, wyczuwając, że martwe na pozór budynki bacznie go obserwują. Miał wrażenie, iż kryje się w nich ogromna wrogość, jakaś nienawistna moc, która wstrzymuje oddech i czeka tylko, by zaatakować.

Ogarnięty strachem Will ruszył biegiem w stronę ojca. Próbował go zawołać, lecz jego głos był słaby i przytłumiony, jakby powietrze pochłaniało słowa w chwili, gdy tylko je wypowiadał.

Biegł co sił w nogach, lecz z każdym krokiem ulica robiła się coraz węższa, a domy po obu stronach zbliżały się do niego. Widział teraz wyraźnie, że w zaciemnionych oknach i drzwiach kryją się jakieś postacie, które tuż po jego przejściu wylęgają na ulicę.

Spanikowany potykał się i ślizgał na gładkich kamieniach, a mroczne postacie za jego plecami tworzyły coraz większy tłum, zlewając się w jednolitą masę, nieprzeniknioną zasłonę czerni. Ich palce wyciągały się ku niemu niczym smugi ożywionego dymu, chwyciły za ramiona i nogi. Will próbował się wyrwać, parł naprzód, lecz ciemne stwory już go pochwytiły; ich długie, czarne jak atrament macki ciągnęły go w tył, pozbawiły możliwości ruchu. Widząc, jak ojciec niknie w oddali, Will wydał z siebie bezgłośny krzyk. W tym samym momencie wchłonęła go bezkształtna czerń, okryła całunem mroku. Nagle uniósł się nad ziemię i runął w głąb jakiegoś dołu. Uderzył w jego dno z taką siłą, że na moment stracił dech w piersiach. Gdy przekreślił się na plecy, by zaczerpnąć powietrza, po raz pierwszy ujrzał surowe, pełne dezaprobaty twarze swoich oprawców, którzy patrzyli na niego z góry.

Chciał coś powiedzieć, nim jednak zdołał wydobyć z siebie głos, jego otwarte usta wypełniły się ziemią – czuł jej smak na języku; czuł, jak drobne kamienie zgrzytają o zęby. Został pogrzebany żywcem – nie mógł oddychać.

Krzusząc się i dławiąc, Will usiadł gwałtownie na łóżku, przerywając senny koszmar. Czuł suchość w ustach, po ciele spływał mu zimny pot. Wciąż ogarnięty panicznym strachem odszukał w

ciemnościach włącznik lampy. Kiedy sypialnia wypełniła się kojącym żółtym blaskiem, Will spojrzął na budzik. Był środek nocy. Chłopiec opadł ciężko na poduszki i wpatrywał się przez chwilę w sufit, wciąż zdyszany i rozdygotany. Wspomnienie ziemi wypełniającej usta było tak świeże i wyraźne, jakby wszystko to wydarzyło się naprawdę. Kiedy tak leżał, próbując uspokoić oddech i skołatane nerwy, ogarnęła go nagle ogromna tęsknota za ojcem, poczucie dotkliwej straty. Choć bardzo się starał, nie mógł otrząsnąć się z przygnębienia i odegnąć od siebie ponurych myśli. W końcu poddał się i czekał w milczeniu na nadejście dnia, obserwując, jak ciemność za oknem ustępuje powoli pod naporem świtu, a blask dnia wlewa się przez zasłony.

A

Rozdział 16

Mijały kolejne tygodnie, aż w końcu w domu Burrowsów pojawił się inspektor policji, który chciał porozmawiać z panią Burrows o zaginięciu jej męża. Ubrany w jasnoszary garnitur i granatowy płaszcz policjant przedstawił się krótko Willowi i Rebecce, a potem poprosił, by zaprowadzili go do matki. Rodzeństwo wskazało mu drogę do salonu, w którym czekała już pani Burrows.

Kiedy weszli do pokoju w ślad za policjantem, aż westchnęli się z wrażenia, podejrzewając przez moment, że pomylili drzwi. Telewizor, wieczny płomień, który palił się dzień i noc w rogu pomieszczenia, był ciemny i cichy. Równie zdumiewający wydał im się fakt, że w salonie panowały ład i porządek. Zarówno Will, jak i Rebeka przypuszczali, że w czasie gdy pani Burrows wiodła tu samotniczy żywot, pokój zamienił się w ciemną norę zarzuconą resztkami jedzenia, pustymi opakowaniami i brudnymi naczyniami. Nie mogli się bardziej pomylić – wokół było nieskazitelnie czysto. Lecz na tym nie koniec; podobnej przemianie uległa także ich matka. Zamiast wygniecionego szlafroka i przydeptanych kapci, w których snuła się zazwyczaj po domu, miała na sobie jedną z najlepszych letnich sukienek, a na dodatek zrobiła lekki makijaż.

Will wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, zastanawiając się, co mogło wywołać tę nagłą transformację. Pomyślał, że być może matka wyobraża sobie, iż odgrywa rolę w jednym z tych seriali kryminalnych, które tak uwielbiała, ale to nie do końca tłumaczyło scenę rozgrywającą się właśnie na jego oczach.

- Mamo, to jest... to jest... – zaciął się.
- Nadinspektor Beatty – wyręczyła go Rebeka.
- Proszę wejść – powiedziała pani Burrows, wstając z fotela i uśmiechając się miło.
- Dziękuję, pani Burrows... wiem, że to dla pani trudny okres...
- Nie, wcale nie – odpowiedziała z uśmiechem pani Burrows. – Rebeko, bądź tak miła i zrób nam po filiżance herbaty, dobrze?
- Dziękuję pani, to bardzo miłe z pani strony – odrzekł detektyw Beatty, rozglądając się niepewnie po pokoju.
- Proszę. – Pani Burrows wskazała dłonią sofę. – Proszę się rozgościć, panie inspektorze.
- Will, chodź, pomożesz mi – oświadczyła Rebeka i chwyciła brata za ramię, próbując zaciągnąć go do wyjścia. Will nawet nie drgnął, wciąż wpatrując się z osłupieniem w matkę, która na powrót stała się kimś, kim nie była od wielu, wielu lat.
- Ee... tak... tak... – zdołał wreszcie wykrztusić.
- Słodzi pan? – spytała Rebeka detektywa, wciąż ciągnąc Willa za ramię.
- Nie, dziękuję, wystarczy mleko – odparł policjant.
- Dobrze, z mlekiem, bez cukru. A ty, mamo, jak zwykle dwa słodziki?

Pani Burrows uśmiechnęła się i skinęła głową, potem zaś zwróciła się do Willa, jakby rozbawiona jego zdumieniem:

– Will, przynieś trochę ciastek, dobrze?

Will wyrwał się wreszcie z odrętwienia i ruszył za Rebeką do kuchni, gdzie jeszcze przez dłuższy czas kręcił z niedowierzaniem głową.

Podczas gdy Will i Rebeka przygotowywali w kuchni herbatę, detektyw rozmawiał z panią Burrows przyciszonym, pełnym powagi głosem. Mówił, że policjanci zrobili wszystko, co w ich mocy, by odnaleźć doktora Burrowsa, ponieważ jednak dotychczasowe poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu, postanowili zintensyfikować działania. W związku z tym zamierzali opublikować w prasie zdjęcie doktora Burrowsa, a także przeprowadzić „szczegółowy wywiad”, jak to ujął detektyw Beatty, z panią Burrows, i to na komisariacie, a nie w domu. Planowali również przesłuchać każdego, kto kontaktował się z doktorem tuż przed jego zniknięciem.

– Chciałbym zadać pani teraz kilka pytań, jeśli nie ma pani nic przeciwko. Zacznijmy od pracy pani męża – mówił detektyw, spoglądając na drzwi i zastanawiając się, kiedy dostanie herbatę. – Czy wspominał o współpracownikach z muzeum?

– Nie – odparła krótko pani Burrows.

– Mam na myśli kogoś, komu mógłby się zwierzyć...

– I powiedzieć mu, dokąd się wybiera? – dokończyła pani Burrows i roześmiała się chłodno. – Jeśli chce pan poprowadzić śledztwo tą drogą, srodze się pan rozczaruje. To ślepa uliczka.

Detektyw poprawił się nerwowo na krześle, nieco zaskoczony taką odpowiedzią. Tymczasem pani Burrows mówiła dalej:

– Prowadzi muzeum w pojedynkę; nie ma innych pracowników. Można by przepytać tych staruszków, którzy do niego zagląдают, ale obawiam się, że z pamięcią już u nich nie najlepiej.

– Tak pani sądzi? – Detektyw uśmiechnął się pod nosem, zapisując coś w notesie.

– Większość z nich jest już dobrze po osiemdziesiątce, to chyba wszystko wyjaśnia. A dlaczego właściwie, jeśli wolno zapytać, chcecie przesłuchać mnie i moje dzieci? Powiedziałam wam już wszystko, co wiem, nie mam nic do dodania. Może powinniście raczej rozesłać list gończy?

– List gończy? – Tym razem policjant uśmiechnął się szeroko, wyraźnie rozbawiony. – Po pierwsze listy gończe rozsyła się tylko za przestępcami, a po drugie nie używamy już tego typu komunikatów. Pilne wiadomości przekazujemy drogą radiową....

– Ale sprawa mojego męża do pilnych nie należy, tak? W tym momencie do pokoju weszła Rebeka, niosąc herbatę. Gdy podawała kubki ze stojącej na stole tacy, w salonie panowała absolutna cisza. W ślad za Rebeką pojawił się Will, który przyniósł talerz z ciasteczkami. Jako że detektyw nie wyprosił ich z pokoju, oboje przysiedli na sofie. Niezręczne milczenie się przeciągało. Pani Burrows wbiła gniewne spojrzenie w detektywa, wpatrującego się w swoją herbatę.

– Myślę, że nasza rozmowa schodzi na niewłaściwe tory – odezwał się wreszcie policjant. – Czy moglibyśmy zapomnieć na chwilę o listach gończych i zająć się wyłącznie sprawą zaginięcia pani męża?

– Nie wiem, czy pan zauważył, ale nas wszystkich ta sprawa ogromnie zajmuje. Obawiam się tylko, że was nie za bardzo.

– Pani Burrows, musi pani zdawać sobie sprawę, że niektórzy ludzie... – detektyw zawahał się na moment – ... nie chcą, by ich znalezione. Być może uciekają przed dotychczasowym życiem, przed presją, nadmiarem obowiązków, z którymi już nie mogą sobie poradzić.

– Nie mogą sobie poradzić? – powtórzyła pani Burrows z wściekłością.

– Tak, bierzemy pod uwagę taki scenariusz.

– Mój mąż nie radził sobie z presją? Z jaką presją? Problem w tym, że mój mąż nie musiał radzić sobie z żadną presją. Właściwie to on nie musiał ani nie umiał radzić sobie z czymkolwiek.

– Pani Bu... – zaczął detektyw, próbując wtrącić choćby kilka słów. Spojrzał bezradnie na Willa i Rebeke, którzy patrzyli to na niego, to znów na matkę, zupełnie jak kibice obserwujący zacięty mecz tenisowy.

– Wiem dobrze, że większość morderstw popełniają członkowie rodziny ofiary – oświadczyła pani Burrows.

– Ależ pani Burr...

– Właśnie dlatego chcecie nas przesłuchać na komisariacie, tak? Żeby się dowiedzieć, czy my to zrobiliśmy.

– Pani Burrows – detektyw doszedł wreszcie do głosu.

– Nikt nie sugeruje, że zostało tutaj popełnione morderstwo. Zacznijmy raz jeszcze, może tym razem uda nam się dojść do jakichś konkretów, zgoda? – zaproponował policjant, starając się odzyskać panowanie nad sytuacją.

– Przepraszam. Wiem, że pan tylko wykonuje swoje obowiązki – odparła pani Burrows spokojniejszym już tonem, po czym wypila łyk herbaty.

Detektyw skinął głową, wdzięczny, że postanowiła jednak przerwać tyradę. Westchnął głęboko i zajrzał ponownie do notesu.

– Wiem, że takie pytanie może zabrzmieć dziwnie, ale czy pani mąż miał jakichś wrogów? Może jakieś zatargi z partnerami w interesach?

Ku zaskoczeniu Willa pani Burrows skwitowała to pytanie głośnym śmiechem. Detektyw mruknął pod nosem i uznawszy zapewne, że reakcja ta oznacza zdecydowane „nie”, zanotował coś w notesie. Wydawało się, że znów ma głos decydujący w tej dyskusji.

– Muszę zadać te pytania – oświadczył, patrząc prosto w oczy pani Burrows. – Czy pani mąż nadużywał alkoholu albo zażywał narkotyki?

Pani Burrows ponownie wybuchła śmiechem.

– On? Chyba pan żartuje!

– Jasne. Czym więc zajmował się w wolnym czasie? – spytał policjant bezbarwnym głosem, starając się jak najszybciej zadać wszystkie pytania i zakończyć tę rozmowę. – Miał jakieś hobby?

Rebeka spojrzała wymownie na Willa.

– Tak, kopał w ziemi... prowadził wykopaliska archeologiczne – odparła pani Burrows.

– Tak, słyszałem. – Detektyw zwrócił się Willa: – Rozumiem, że ty mu pomagałeś, prawda, synu?

– Will skinął głową. – Gdzie prowadziliście te prace?

Will odchrząknął i spojrzał najpierw na matkę, a potem na policjanta, który patrzył wyczekująco, trzymając długopis w uniesionej nad notesem dłoni.

– Właściwie to wszędzie – mruknął niepewnie Will.

– Na przedmieściach, przy wysypisku śmieci, w tego typu miejscach.

– Hm... myślałem, że to były wykopaliska z prawdziwego zdarzenia.

– Bo takie właśnie były – odrzekł Will, nieco urażony. – Kiedyś znaleźliśmy nawet starożytny rzymski dom, choć głównie szukaliśmy rzeczy z osiemnastego i dziewiętnastego wieku.

– Jak rozległe... a może raczej, jak głębokie były te wykopaliska?

– Och, niezbyt głębokie – odparł Will wymijająco. Miał nadzieję, że detektyw nie będzie drążył tematu.

– Czy prowadziliście tego typu prace tuż przed zaginięciem twojego ojca?

– Nie – odrzekł krótko Will, czując na sobie badawczy wzrok Rebeki.

– Jesteś pewien, że nie pracował nad czymś sam? Może robił coś bez twojej wiedzy?

– Nie, nie sędzę.

– W porządku – skinął głową detektyw, odkładając notatnik. – Na dziś wystarczy.

Nazajutrz Will i Chester dość szybko opuścili teren szkoły. Wychodząc z budynku, zauważyli Speeda i jednego z jego wiernych przybocznych, Bloggsy'ego, którzy warowali tuż przed szkolną bramą. Speed przyglądał się im podejrzliwie, oparty o ogrodzenie, z rękami w kieszeniach. W tym czasie Bloggsy, paskudny drobny osobnik o kędzierzawej rudej fryzurze, przypominającej kupę pierza, z nieskrywaną uciechą obrzucał drobnymi kamyczkami przechodzące w pobliżu dziewczyny. Każde trafienie wywoływało piski i pełne oburzenia przekleństwa, na które Bloggsy reagował demonicznym chichotem.

– Coś mi się wydaje, że on szuka okazji do rewanzu – stwierdził Will, spoglądając na Speeda, który odpowiedział mu nienawistnym spojrzeniem. Jednak gdy tylko tamten zauważył Chestera, odwrócił się do nich plecami i mruknął coś do Bloggsy'ego. Rudzielec uśmiechnął się szyderczo i zaśmiał z pogardą.

– Durnie – warknął Chester i wraz z Willem ruszyli w stronę domu, wyjątkowo wybierając tego dnia drogę na skróty.

Zostawiwszy za sobą szkołę, rozległy, nowoczesny budynek z żółtej cegły i szkła, przeszli przez ulicę i znaleźli się na terenie pobliskiego osiedla mieszkaniowego. Postawione w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku blokowisko nazywane było – z oczywistych względów – Miastem Karaluchów. Zarobaczone budynki od lat popadały w ruinę, wiele mieszkań było pustych

lub wypalonych. To nie odstraszało chłopców od korzystania z tej drogi – znacznie bardziej niepokoił ich fakt, że był to teren gangu „Klika”, przy którym Speed i jego kompani mogliby uchodzić za grupę grzecznych i uczynnych chłopców.

Kiedy szli ramię w ramię przez zdewastowane osiedle oblane przytłumionym blaskiem słońca, odbijającym się w kawałkach rozbitego szkła rozrzuconego po asfalcie, Will nieznacznie zwolnił kroku. Nie uszło to uwadze Chestera.

– Co się dzieje?

– Nie wiem – odparł Will, oglądając się lękliwie za siebie i zerkając w boczną uliczkę, którą właśnie mijali.

– No powiedz – poprosił Chester, rozglądając się dokoła. – Nie chciałbym dostać nagle po głowie od jakiegoś zbira.

– To nic takiego, tylko jakieś dziwne przecucie... – Pokręcił głową Will.

– Speed trochę cię nastraszył, co? – Chester uśmiechnął się, lecz mimo to przyśpieszył nieco kroku, zmuszając Willa do tego samego.

Kiedy opuścili już zdewastowane osiedle, powrócili do normalnego marszu. Wkrótce dotarli do początku High Street, gdzie znajdowało się muzeum. Jak każdego wieczoru, Will zerknął w okna budynku, łudząc się nadzieją, że ujrzy zapalone światła, otwarte drzwi i ojca rozpartego w starym fotelu dentystycznym. Chciał, by wszystko wróciło do normy – cokolwiek można było określić tym mianem – lecz i tym razem drzwi były zamknięte, a okna ciemne i nieprzyjazne. Rada miasta doszła najwyraźniej do wniosku, że taniej jest po prostu zamknąć muzeum, niż zatrudniać czasowo kogoś w zastępstwie doktora Burrowsa.

Will spojrzał w górę. Ciężkie deszczowe chmury zasnuwały powoli niebo i przesłaniały słońce.

– Dziś powinno nam dobrze pójść – powiedział, odzyskując dobry humor. – Robi się ciemno wcześniej niż zwykle, więc nie będziemy musieli czekać z wywożeniem ziemi.

Chester rozgadał się o tym, ile czasu zaoszczędziliby, nie bawiąc się w te wszystkie podchody i podstępny rodem z filmów płaszcz i szpada, kiedy nagle Will wymamrotał coś pod nosem.

– Co mówiłeś, Will?

– Powiedziałem: nie oglądaj się za siebie, ale wydaje mi się, że ktoś nas śledzi.

– Co takiego? – odparł Chester i nie mogąc się powstrzymać, natychmiast spojrzał do tyłu.

– Chester, ty palancie! – warknął Will. Rzeczywiście, jakieś dwadzieścia metrów za nimi szedł niski, krępy mężczyzna w filcowym kapeluszu, czarnych okularach i ciemnym, obszernym płaszczu, który sięgał mu niemal do kostek. Miał twarz zwróconą w ich stronę, choć trudno było powiedzieć, czy rzeczywiście na nich patrzy.

– Cholera! – wyszeptał Chester. – Chyba masz rację. Wygląda zupełnie jak ci ludzie, o których twój tata pisał w dzienniku.

Pomimo przestróg Willa, chłopiec nie oparł się pokusie i ponownie zerknął za siebie.

– Człowiek w kapeluszu? – spytał Will, a w jego głosie zdumienie mieszało się z niepokojem.

– Ale chyba nie chodzi mu o nas, prawda? – spytał Chester. – Dlaczego miałby się nami interesować?

– Zwolnijmy trochę, to zobaczymy, co zrobi – zaproponował Will.

Kiedy zwolnili kroku, tajemniczy mężczyzna zrobił to samo.

– No dobrze – mruknął Will. – A jeśli przejdziemy przez ulicę?

I znów człowiek w kapeluszu poszedł za nimi. Gdy po chwili przyśpieszyli, on także zwiększył tempo, by utrzymać dzielącą ich odległość.

– Śledzi nas, bez dwóch zdań – stwierdził Chester, a w jego głosie po raz pierwszy pobrzmiwał strach. – Ale dlaczego? Czego od nas chce? Nie podoba mi się to. Myślę, że powinniśmy skręcić w pierwszą lepszą uliczkę i dać nogę.

– Nie wiem – odrzekł Will, zamyślony. – Uważam, że powinniśmy zapytać go wprost, o co mu chodzi.

– Chyba sobie żartujesz! Twój tata zniknął z powierzchni ziemi wkrótce po natknięciu się na tych ludzi. Może właśnie ten facet miał z tym coś wspólnego. Może należy do jakiegoś gangu. Mówię ci, lepiej się stąd zmywajmy. Potem możemy zadzwonić na policję albo poprosić kogoś o pomoc.

Przez chwilę obaj rozglądali się dokoła w milczeniu.

– Nie. Mam lepszy pomysł – odezwał się w końcu Will. – Spróbujmy odwrócić sytuację. Złapać go w pułapkę. Jeśli się rozdzielimy, będzie mógł pójść tylko za jednym z nas, a wtedy drugi zajdzie go od tyłu i...

– I co?

– Rzuci się na niego i go obezwładni, to oczywiste.

– Pochłonięty obmyślaniami planu działania Will odzyskał pewność siebie i mimowolnie przyspieszył kroku.

– Przecież to może być jakiś świrus, nieobliczalny i niebezpieczny. Zresztą, czym go obezwładnimy? Plecakami?

– Daj spokój, nas jest dwóch, a on tylko jeden – zachnął się Will. – Ja odciągnę jego uwagę, a ty przewrócisz go chwytem za nogi, jak w rugby. Umiesz to zrobić, prawda?

– No świetnie, piękne dzięki! – parsknął Chester.

– Przecież on jest ogromny, zetrze mnie na miazgę. Will spojrzał przyjacielowi prosto w oczy i uśmiechnął się łobuzersko.

– No dobrze, już dobrze – westchnął Chester. – Zrobi się – dodał i zwolnił kroku, zamierzając przejść na drugą stronę ulicy.

– A niech to! Poczekaj – syknął Will. – Zdaje się, że to jednak oni nas przechytrzyli!

– Oni? – zdumiał się Chester, dołączając ponownie do przyjaciela. – Jak to oni? – spytał, wędrując spojrzeniem do miejsca, w które wpatrywał się Will.

Jakieś dwadzieścia kroków przed nimi stał drugi mężczyzna. Wyglądał niemal identycznie jak ten, który ich śledził, tyle że zamiast kapelusza miał płaską czapkę zsuniętą na czoło tak nisko, że spod jej daszka widać było tylko ciemne okulary. On także był ubrany w obszerny ciemny płaszcz o długich, falujących na wietrze połach.

Will nie miał wątpliwości, że ci dwaj osobnicy polowali właśnie na nich.

Gdy przyjaciele znaleźli się na wysokości pierwszych sklepów ciągnących się wzdłuż High Street, przystanęli i rozejrzeli się wokoło. Po drugiej stronie ulicy szły dwie starsze panie pogrążone w przyjacielskiej pogawędce. Obie ciągnęły za sobą skrzypiące wiklinowe wózki z zakupami, a jedna dodatkowo – krnąbrnego teriera szkockiego w kraciatym wdzianku. Prócz tego na ulicy było niemal całkiem pusto, jedynie w oddali majaczyło kilka niewyraźnych sylwetek.

Will i Chester stali niezdecydowani, zastanawiając się, czy powinni wołać o pomoc albo zatrzymać jakiś samochód, kiedy nagle mężczyzna stojący z przodu ruszył w ich stronę. Wzięci w kleszcze, chłopcy uświadomili sobie, że muszą natychmiast coś postanowić.

– Nie mogę w to uwierzyć, po prostu daliśmy się im załatwić... kim, u diabła, są ci faceci? – mówił szybko Chester, spoglądając przez ramię na mężczyznę w filcowym kapeluszu. Stukot jego ciężkich butów o chodnik przypominał mu odgłos pracy kafara. – Masz jakiś pomysł? – spytał zdesperowany.

– Dobra, posłuchaj, rzucamy się w stronę tego w czapce, potem odbijamy w prawo, potem w lewo i wchodzimy do Clarke'ów. Rozumiesz? – odparł Will cicho, spoglądając na mężczyznę w czapce. Chester nie miał pojęcia, o co mu właściwie chodzi, ale w tych okolicznościach gotów był zgodzić się na wszystko.

Clarke Bros był największym sklepem spożywczym przy High Street. Prowadzili go dwaj bracia, Junior i Middling, jak nazywali ich okoliczni mieszkańcy. Wejście do sklepu osłaniała prążkowana kolorowa markiza, a wzdłuż okien wystawowych po obu stronach frontowych drzwi ciągnęły się półki ze starannie ułożonymi stertami warzyw i owoców. Światło wypływające przez szyby jakby zachęcało ich do wejścia, przywoływało do siebie niczym blask latarni morskiej. Ten sam blask oświetlał też mężczyznę w czapce, który blokował muskularnym ciałem niemal całą szerokość chodnika.

– Teraz! – krzyknął Will, po czym obaj wybiegli na drogę. Mężczyźni rzucili się w pogoń za pędzącymi co sił w nogach po asfaltowej nawierzchni chłopcami, których plecaki podskakiwały jak szalone. Napastnicy w czarnych płaszczach okazali się jednak znacznie szybsi, niż Will przypuszczał, a jego plan niemal natychmiast legł w gruzach; chłopcy zmuszeni zostali do chaotycznej bieganiny przypominającej zabawę w berka. Tylko dzięki zręcznym unikom i sprytowi nie dali się od razu pochwycić barczystym nieznajomym, którzy sięgali po nich wielkimi rozcapierzonymi dłońmi.

Will wrzasnął, kiedy jeden z napastników chwycił go za kołnierz. W tej samej chwili, raczej przez przypadek niż w wyniku zaplanowanego działania, Chester wpadł prosto na tego mężczyznę. Siła uderzenia strąciła mu ciemne okulary, odsłaniając źrenice lśniąco demonicznie niczym dwie czarne perły pod rondem kapelusza. Kiedy mężczyzna obrócił się w miejscu zaskoczony, Will wykorzystał okazję i odepchnął się od niego obiema rękami. W wyniku tego manewru kołnierzyskiej marynarki chłopca oderwał się z głośnym trzaskiem od reszty ubrania.

Napastnik natychmiast otrząsnął się z zaskoczenia i sycząc gniewnie, odwrócił się ponownie w

stronę Willa. Cisnął na ziemię odpruty kołnierzyk i rzucił się na Willa, ponawiając atak.

Chester, ogarnięty paniką i niemal zgięty w pół, zdołał dotrzeć jakoś do drzwi sklepu, o ułamek sekundy wyprzedzając Willa zataczającego się i kręcącego wokół własnej osi niczym niezdarny derwisz. Obaj w ostatniej chwili umknęli przed mężczyzną w filcowym kapeluszu, który rzucił się naprzód i zamachnął szeroko, próbując dosięgnąć któregoś z nich.

Siła rozpędu wepchnęła Chestera i Willa do wnętrza sklepu, a dzwonek nad drzwiami wprawiony w gwałtowny ruch rozdzwiewał się, jakby w pobliżu szalał obłąkany tancerz w stroju z dzwoneczkami. Chłopcy wylądowali na podłodze, wciąż oszołomieni i przerażeni, jednak Chester doszedł do siebie, zerwał się na równe nogi i zatrzaskał drzwi, przytrzymując je dla pewności obiema stopami.

– Chłopcy! Chłopcy! – zawołał Clarke Junior, który stał właśnie na drabinie i układał na półce słomiane ozdoby. – Skąd to zamieszanie? Czyżbyście nagle zapragnęli skosztować moich egzotycznych owoców?

– Ee... niezupełnie – odparł Will, podnosząc się z podłogi. Próbował udawać zwyczajne zachowanie, choć stojący za jego plecami Chester z całej siły napierał ramieniem na drzwi, co z pewnością normalnie nie wyglądało.

W tym momencie zza lady wyjrzał Clarke Middling, wysuwając w górę głowę niczym peryskop.

– Cóż to za hałasy? – spytał, przyciskając do piersi jakieś dokumenty i paragony.

– Nic, czym warto by się przejmować, mój drogi – uśmiechnął się do niego Clarke Junior. – Nie przeszkadzaj sobie w pracy. To tylko dwóch miłych łobuziaków, którzy szukają jakiegoś wyjątkowego owocu, jak zakładam.

– Cóż, mam nadzieję, że nie chodzi im o kumkwaty, w tej chwili nie mamy ich na stanie – odparł Clarke Middling ponurym tonem, chowając się ponownie za ladą.

– Więc niech to będzie kumkwat – roześmiał się melodyjnie Clarke Junior, co wywołało gniewne mruknięcie ze strony Clarke'a Middlinga.

– Nie przejmujcie się nim; zawsze się denerwuje, kiedy ma dużo papierkowej roboty. Choć morze faktur wkoło nas, niestraszny nam bilansu czas – zadeklamował Clarke Junior, przybierając teatralną pozę.

Bracia Clarke byli w Highfield prawdziwą instytucją. Odziedziczyli sklep po ojcu, który z kolei przejął go od swego ojca. Żaden z okolicznych mieszkańców nie byłby chyba zaskoczony, gdyby się okazało, że jakiś Clarke pracował tu także w starożytności, sprzedając Rzymianom rzepę czy inne warzywa, które były wówczas w modzie. Clarke Junior, postać niezwykle barwna i ekstrawagancka, miał około czterdziestu lat i słabość do koszmarnie jaskrawych marynarek, które zamawiał u miejscowego krawca. Na tle pasków oślepiającej cytrynowej żółci, krzykliwego różu i jasnego błękitu, które wkładał na siebie Clarke Junior, czerwień pomidorów i zieleń kapusty wydawały się stonowane, wręcz przyziemnie zwyczajne. Obdarzony zaraźliwym i niegasnącym entuzjazmem oraz niezwykle pocuciem humoru, owocującym nieustannymi żartami i grą słów, Clarke Junior był ulubieńcem wszystkich dam z okolicy, młodych i starych, jednak, co zastanawiające, pozostawał zatwardziałym kawalerem.

Clarke Middling, starszy z braci, był zupełnym przeciwieństwem Juniora. Tradycjonalista w każdym calu, nie krył dezaprobaty dla zachowania i ubrań brata, pozostając zarazem wierny uświęconej tradycją modzie. Do pracy w sklepie zakładał zwykły fartuch, nieróżniący się niczym od tych, w jakich chodzili jego przodkowie. Był przy tym nieznośnie wręcz czysty i schludny. Wydawało się, że prasował ubrania na sobie, trudno bowiem było inaczej wytłumaczyć nienaganną świeżość brązowego fartucha, białej koszuli i czarnego krawata. Jego buty były starannie wypolerowane, a krótko przycięte czarne włosy natarte taką ilością lśniącej pomady, że patrząc na niego od tyłu, można było mieć wątpliwości, czy stoi na nogach, czy też na głowie.

Bracia Clarke, zamknięci w cienistym wnętrzu sklepu, byli niczym gąsienica i motyl uwięzieni w jednym kokonie. Ten niezwykły kontrast, nieustanne sprzeczki prowadzone przez wiecznego żartownisia i jego zasadniczego brata przypominały jakiś kabaretowy skecz, odgrywany przed nieistniejącą publicznością.

– Spodziewacie się wielkiego zainteresowania moim ślicznym agrestem, tak? – spytał Clarke Junior, parodiując walijski akcent i uśmiechając się beczelnie do Chestera. Ten jednak, wciąż oszołomiony całą sytuacją, nie zareagował w żaden sposób na zaczepkę. – Rozumiem, silny, milczący typ – pokiwał głową Clarke Junior, schodząc tanecznym krokiem z drabiny i stając twarzą w twarz z Willem.

– Och, przecież to młody panicz Burrows – stwierdził, poważniejąc nagle. – Wiem, co spotkało waszą rodzinę; tak mi przykro... Jesteście w naszych myślach i modlitwach – powiedział, kładąc prawą dłoń na sercu. – Jak radzi sobie mama? I twoja wspaniała siostra...

– Dobrze, obie mają się dobrze – odparł Will nieprzytomnie.

– Jest naszą stałą klientką, bardzo ją sobie cenimy.

– Tak – wypalił Will odrobinę za szybko, starając się jednocześnie patrzeć na Clarke’a Juniora i na drzwi, które Chester wciąż blokował ciałem.

– Bardzo ją sobie cenimy – powtórzył schowany za ladą Clarke Middling, szeleszcząc przy tym jakimiś papierami.

Clarke Junior skinął głową i się uśmiechnął.

– W rzeczy samej, w rzeczy samej. Rozgośćcie się tu na chwilę, a ja przygotuję jakiś drobiazg dla twojej mamy i siostry.

Nim Will zdążył zareagować, Clarke Junior obrócił się zgrabnie na pięcie i rytmicznym, przypominającym stepowanie krokiem przeszedł na zaplecze. Will wykorzystał okazję i podszedł do okna, by sprawdzić, gdzie podziewają się ich prześladowcy. Aż cofnął się ze zdumienia.

– Oni ciągle tam są! – powiedział do Chestera.

Dwaj mężczyźni stali na chodniku, jeden dokładnie naprzeciwko wystawy, przyglądając się warzywom i owocom ułożonym na straganie przed sklepem. Na zewnątrz zrobiło się już całkiem ciemno, a twarze mężczyzn błyszczały w wypływającym ze sklepu sztucznym świetle niczym jakieś upiorne białe balony. Obaj wciąż mieli ciemne okulary na nosach, w blasku lamp widać też było wyraźnie dziwaczne nakrycia głowy i lśniące kanciaste płaszcze z pelerynkami na ramionach. Wyraziste, grubokościste twarze i zaciśnięte mocno usta tajemniczych osobników wydawały się

nieustępliwe i brutalne.

– Każ im zadzwonić na policję – powiedział Chester przyciszonym, pełnym napięcia głosem, wskazując głową na ladę, zza której dochodziły gniewne pomrukiwania Clarke’a Middlinga zajętego zszywaniem jakichś papierów. Sklepiarz walił w zszywacz z taką siłą, jakby wbijał gwoździe.

W tym momencie do sklepu wrócił Clarke Junior, niosąc kosz wyładowany po brzegi imponującym zestawem owoców. Pałak koszyka ozdobiony był wielką różową kokardą. Sklepiarz podał kosz Willowi z teatralnym gestem, rozkładając przed sobą obie ręce, jakby za moment miał odśpiewać arię.

– Dla twojej mamy i siostry, no i oczywiście dla ciebie, stary przyjacielu. Drobiazg ode mnie i tego zgryźliwca w dowód współczucia i wsparcia dla waszej rodziny w tych trudnych chwilach.

– Wolę być zgryźliwcem niż klaunem – dobiegł zza kontuaru przytłumiony głos Clarke’a Middlinga.

Will wskazał na okno i otworzył usta, by wyjaśnić całą sytuację.

– Alarm odwołany – oświadczył głośno Chester.

– O czym ty mówisz, drogi chłopcze? – spytał Clarke Junior, spoglądając na Chestera, który stał teraz przy jednym z okien i spoglądał na ulicę.

– Jaki alarm odwołany? – Clarke Middling wyskoczył zza lady niczym pajac z pudełka.

– Dokumenty! – rozkazał Clarke Junior głosem zirytowanej nauczycielki, ale jego brat wciąż wyglądał zza kontuaru.

– Ee... to tylko dzieciaki – skłamał Will. – Ścigały nas.

– Jasne, chłopięce zabawy – uśmiechnął się pan Clarke Junior. – Pozdrów ode mnie, proszę, swoją drogą siostrę, pannę Reбекę. Muszę ci powiedzieć, że potrafi doskonale ocenić jakość produktu. To naprawdę utalentowana młoda dama.

– Pozdrowię ją. – Will skinął głową i uśmiechnął się sztucznie. – Dziękuję za prezent, panie Clarke.

– Och, drobiazg – machnął rękę Clarke Junior.

– Mamy nadzieję, że twój ojciec wkrótce wróci do domu – dodał Clarke Middling smętnym tonem. – Nie powinniście się zbytnio przejmować. Takie rzeczy się zdarzają od czasu do czasu.

– Tak... zupełnie jak chłopak od Gregsonów... paskudna historia – westchnął Clarke Junior, kiwając głową.

– Albo rodzina Watkinsów w zeszłym roku. – Will i Chester obserwowali sklepiarza, kiedy ten zamyślił się głęboko, wpatrzony gdzieś pomiędzy cukinie i ogórki.

– Tacy mili ludzie. Nikt ich nie widział od tamtego czasu...

– To zupełnie co innego, zupełnie – przerwał mu ostro Clarke Middling, po czym odkaszlnął z zażenowaniem. – Myślę, że to nie czas i miejsce na przywoływanie tych wydarzeń, Juniorze. Nie brzmią zbyt pocieszająco w tej sytuacji, nie sądzisz?

Lecz Junior nie słuchał, pogrążony we wspomnieniach. Skrzyżował ręce na piersiach i przechylił głowę na bok, upodabniając się do klientek, z którymi nieraz wdawał się w pogaduszki.

– Zupełnie jak na tym cholernym statku Marie Celeste. [Amerykańska brygantyna, która w 1872 roku wypłynęła z Nowego Jorku do Genui, została po kilku tygodniach odnaleziona bez śladu załogi. Tym zyskała sobie przydomek – statek widmo.] Kiedy do ich domu przyjechała policja, wszystko wyglądało całkiem normalnie, koło łóżek leżały szkolne ubrania chłopców przygotowane na następny dzień, ale w domu nie było nikogo, żywej duszy. Pamiętam, że pani W. kupiła tego dnia kilo fasolki szparagowej i dwa arbuzy... Nic, nie został po nich żaden ślad.

– Mówisz o arbuzach? – spytał Clarke Middling z powagą.

– Nie, mówię o rodzinie, matołku – odparł Clarke Junior, przewracając oczami.

W sklepie zapadła niezręczna cisza. Will zerknął na Clarke'a Middlinga, który posłał w stronę zamyślonego brata mordercze spojrzenie. Chłopiec zaczynał rozumieć, jak czuła się Alicja, kiedy przeszła na drugą stronę lustra.

– No cóż, muszę wracać do pracy – stwierdził wreszcie Clarke Junior, posyłając Willowi ostatnie, pełne współczucia spojrzenie, po czym wspiał się tanecznym krokiem na drabinę, śpiewając: – Daj mi swoich ust jagody, mon petit chou...

Clarke Middling ponownie zniknął za ladą, zza której znów zaczął dobiegać szelest przekładanych papierów i terkot staromodnego kalkulatora. Will i Chester ostrożnie uchylili drzwi i wyjrzel na zewnątrz.

– Widzisz coś? – spytał Chester.

Will wyszedł na chodnik przed sklepem.

– Nie – pokręcił głową. – Nie ma ich.

– Powinniśmy pójść z tym na policję.

– I co byśmy powiedzieli? – wzruszył ramionami Will. – Że ścigało nas dwóch dziwaków w ciemnych okularach i śmiesznych czapkach? I że później obaj zniknęli bez śladu?

– Tak, właśnie to możemy powiedzieć – odparł Chester zirytowany. – Kto wie, czego oni właściwie chcieli? – Podniósł gwałtownie wzrok, jakby zaświtała mu jakaś myśl. – A jeśli to właśnie o n i należą do gangu, który porwał twojego tatę?

– Daj spokój, przecież nie udowodnimy tego w żaden sposób.

– Ale policja... – nie ustępował Chester.

– Naprawdę chcesz się zajmować takimi bzdurami, kiedy czeka nas tyle pracy? – przerwał mu ostro Will, rozglądając się po High Street. Stwierdził z ulgą, że na ulicy jest teraz nieco więcej ludzi niż przed chwilą. Gdyby mężczyźni w płaszczach znów się pojawili, byłoby u kogo szukać pomocy. – Policjanci pomyśleliby pewnie, że się wygłupiamy. Nie mamy nawet żadnych świadków.

– Może i tak – zgodził się Chester niechętnie, gdy ruszyli w końcu w stronę domu Burrowsów. – Dziwne miejsce – dodał, zerkając na sklep Clarke'ów. – Dom wariatów, można by rzec...

– Przynajmniej jest już bezpiecznie. Tamci sobie poszli, a jeśli wrócą, będziemy przygotowani –

odrzekł Will pewnie.

Co ciekawe, to zdarzenie wcale nie zniechęciło go do dalszych poszukiwań. Wręcz przeciwnie. Wzmocniło tylko przekonanie, że jego ojciec był na tropie czegoś niezwykłego i że on podąża teraz tą samą ścieżką. Choć nie powiedział o tym Chesterowi, jeszcze bardziej utwierdził się w przeświadczeniu, że powinni nadal prowadzić poszukiwania i kontynuować pracę w tunelu.

Will zaczął podjadać winogrona z koszyka z różową kokardą, która rozwiązała się chwilę wcześniej i powiewała teraz na wietrze. Chester najwyraźniej wyzbył się wątpliwości i teraz spoglądał wyczekująco na koszyk, wyciągając rękę w jego stronę.

– Więc jak? Chcesz się wycofać czy będziesz mi dalej pomagał? – droczył się z nim Will, odsuwając koszyk.

– W porządku, pomogę ci, tylko podaj mi banana – odparł przyjaciel z uśmiechem.

Rozdział 17

Wszystkie dowody wskazują na celowe działanie – stwierdził Will, przysiadając obok Chestera na stercie gruzu.

Wykopali już około dziesięciu metrów tunelu, który od jakiegoś czasu coraz mocniej kierował się ku dołowi, i stwierdzili, że brakuje im drewna. Wcześniej mieli nadzieję, że uda im się wykorzystać oryginalne stemple i deski, jednak ze zdumieniem odkryli, że w zasypanym tunelu zostało bardzo niewiele drewnianych elementów, a te, które znaleźli, były niemal zupełnie zniszczone. Zabrali już wszystko, co mogli, z tunelu przy Czterdziestu Dołkach, łącznie ze stemplami Stillsona, zostawiając tylko te podpory, bez których sufit korytarzy i komnaty z pewnością by się zawalił.

Will poklepał ścianę kończącą tunel i przyjrzał się jej uważnie, marszcząc brwi.

– Nie rozumiem – stwierdził po raz setny.

– Więc jak myślisz, co tu się tak naprawdę wydarzyło? Czy to twój tata wysypał tę ziemię? – spytał Chester, również spoglądając na ubitą twardo warstwę gleby i skał, którą mieli za chwilę rozkopać.

– Zasypał tunel? Nie, to niemożliwe. Nawet jeśli jakoś to zrobił, to gdzie podziały się stemple? Byłoby ich znacznie więcej. Nie, to nie ma sensu – pokręcił głową. Nachylił się i podniósł z dna tunelu garść żwiru. – W większości to świeża ziemia. Przywieziono ją z jakiegoś innego miejsca. Dokładnie tak samo, jak przy Czterdziestu Dołkach.

– Po co się tak męczyć i wypełniać tunel, skoro można by po prostu zabrać stemple i zawalić go ziemią z góry? – zastanawiał się głośno Chester.

– Bo wtedy w ogródkach nad naszymi głowami pojawiłby się wielki rów – wyjaśnił z irytacją Will.

– No tak, jasne – zgodził się z nim Chester.

Obaj byli wyczerpani. Przekopanie ostatniego odcinka sprawiło im wyjątkowo dużo kłopotu. W ziemi zagrzebane były bryły skalne tak duże i ciężkie, że nawet Chester z trudem przenosił je na taczki.

– Mam tylko nadzieję, że jesteśmy już blisko – westchnął Chester. – Zaczyna brakować mi sił.

– Coś o tym wiem – mruknął Will, opierając głowę na rękach i wpatrując się bezmyślnie w ścianę tunelu. – Zdajesz sobie sprawę, że być może na końcu nic nie znajdziemy? Że to może być ślepy zaułek?

Chester spojrzał na niego, był jednak zbyt zmęczony, by cokolwiek powiedzieć. Siedzieli więc w milczeniu, pogrążeni w myślach, aż wreszcie Will odezwał się ponownie:

– Dlaczego tata nie wspomniał ani słowem o wszystkim, co tutaj robił? Dlaczego m i nie powiedział? Dlaczego? – powtórzył ze złością i rozgoryczeniem.

– Musiał mieć dobry powód. – Próbował pocieszyć go Chester.

– Ale dlaczego trzymał to wszystko w tajemnicy, dlaczego prowadził ten tajny dziennik? Nie rozumiem. W naszej rodzinie nigdy nie skrywało się rzeczy... naprawdę ważnych rzeczy... przed innymi. Więc dlaczego nie powiedział mi, co zamierza?

– Chwileczkę, przecież ty miałeś swój tunel przy Czterdziestu Dołkach – przerwał mu Chester.

– Tata o nim wiedział. Ale masz rację. Jednak nigdy nie mówiłem mamie, głównie dlatego, że ona się tym w ogóle nie interesuje. To znaczy, nie byliśmy może...

– Will zawahał się przez moment, szukając właściwego słowa – ... idealną rodziną, ale jakoś się dogadywaliśmy i każdy z nas wiedział, czym zajmują się pozostali. Teraz wszystko się pochrzało...

Chester wygrzebał trochę ziemi z ucha i spojrzał w zamyśleniu na Willa.

– Moja mama uważa, że ludzie nie powinni mieć przed sobą tajemnic. Mówi, że tajemnice mają to do siebie, że wcześniej czy później wychodzą na jaw i przysparzają tylko kłopotów. Mówi, że tajemnica jest tym samym co kłamstwo. Przynajmniej tak powtarza mojemu tacie.

– A teraz ja robię właśnie to samo mamie i Rebecce – powiedział Will, pochylając głowę.

Po wyjściu Chestera Will opuścił tunel i jak zwykle udał się prosto do kuchni. Rebeka siedziała przy stole i otwierała listy. Will od razu zauważył, że zniknęła sterta pustych słoików po kawie, które od miesiąca zajmowały sporą część stołu.

– Co z nimi zrobiłaś? – spytał, rozglądając się dokoła.

– Gdzie są słoiki taty?

Rebeka ostentacyjnie zignorowała pytanie, przyglądając się znaczkowi na kopercie.

– Wyrzuciłaś je, prawda? – Nie dawał za wygraną Will. – Jak mogłaś to zrobić?

Rebeka zerknęła przelotnie na brata, jakby był dokuczliwym komarem, którego nie warto nawet przeganiać, po czym wróciła do przeglądania poczty.

– Umieram z głodu. Jest coś do jedzenia? – spytał Will, uznawszy, że lepiej nie drażnić tematu i nie irytować siostry, a przynajmniej nie w porze posiłku. Kierując się w stronę lodówki, zauważył jakiś przedmiot leżący na stole i przystanął, by się mu uważniej przyjrzeć.

– Co to jest?

Była to niewielka paczka owinięta starannie szarym papierem.

– To do taty. Myślę, że powinniśmy ją otworzyć – stwierdził Will i bez chwili wahania sięgnął po brudny nóż pozostawiony na talerzu obok zlewu. Rozciął szary papier, otworzył ukryte pod nim kartonowe pudełko, a potem zerwał warstwę folii bąbelkowej, odsłaniając szklaną kulę wypełnioną intensywnie zielonym blaskiem.

Podniósł kulę na wysokość twarzy. Jego oczy błyszczały podnieceniem i słabnącym gwałtownie blaskiem emitowanym przez kulę. Od razu zrozumiał, że ma przed sobą przedmiot, o którym czytał w dzienniku ojca.

Rebeka oderwała się od przeglądania rachunków i wstała od stołu, wpatrzona w zieloną kulę.

– Jest tu też list – zauważył Will, sięgając do kartonowego pudełka.

– Daj, przeczytam – powiedziała Rebeka, próbując przechwycić kartkę. Will cofnął się o krok i, wciąż w trzymając w jednej ręce kulę, drugą rozłożył papier. Dziewczynka wróciła na swoje miejsce i przyglądała się uważnie twarzy brata, kiedy ten oparł się o szafkę przy zlewie i zaczął czytać na głos. Autorem listu był ktoś z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Londyńskiego.

Drogi Rogerze!

Ogromnie się ucieszyłem, otrzymawszy Twój list, pierwszy po tylu latach – przywołał wszystkie wspomnienia z czasów, kiedy razem studiowaliśmy. Miło było też dowiedzieć się, jak Ci się wiedzie – Steph i ja chętnie wpadlibyśmy z wizytą, gdy tylko będziesz miał czas.

Jeśli chodzi o przedmiot, który mi przesłałeś, to przepraszam, że tak długo zwlekałem z odpowiedzią, ale chciałem mieć całkowitą pewność, że zgromadziłem informacje od wszystkich zainteresowanych stron. Ogólnie rzecz biorąc, wniosek jest jeden: nie mamy pojęcia, co o tym myśleć.

Zgodnie z Twoją prośbą nie przebiliśmy szklanej osłony kuli, w związku z czym mogliśmy tylko przeprowadzić badania bezinwazyjne.

Jeśli chodzi o radioaktywność, nie zanotowano podczas badań Żadnych szkodliwych emisji, więc przynajmniej w tej kwestii możesz być spokojny.

Metaloznawca zbadał mikroskopijną próbkę pobraną z metalowej osłony i zgodził się z twoją tezą, Że pochodzi ona z okresu georgiańskiego. Uważa, że wykonana została z tombaku, czyli stopu miedzi i cynku wynalezioneego przez Christophera Pinchbecka (1670-1732). Materiał ten, produkowany według pierwotnej receptury tylko przez krótki czas, używany był również jako imitacja złota. Wzór owego stopu zaginął podobno, gdy zmarł syn jego wynalazcy, Edward. Metaloznawca powiedział mi również, Że oryginalne próbki tego materiału są bardzo rzadkie i że trudno znaleźć specjalistę, który potrafiłby je jednoznacznie zidentyfikować. Niestety, nie udało mi się zbadać owej próbki metodą węglową i określić jej dokładnego wieku – może następnym razem?

Badania promieniowaniem rentgenowskim pozwoliły nam odkryć coś niezwykłego. Otóż w środku kuli unosi się luźna cząsteczka, która nie zmienia pozycji nawet przy gwałtownym potrząsaniu – rzecz bardzo zastanawiająca, mówiąc ogólnie. Co więcej, badania fizyczne potwierdziły Twoje przypuszczenia, że kula wypełniona jest dwoma płynami o różnej gęstości. Turbulencja, którą zaobserwowałeś w owych cieczach, nie ma nic wspólnego ze zmianami temperatury, zewnętrznej czy też wewnętrznej, lecz bez wątplenia jest reakcją na zmiany natężenia światła – co zdumiewające, reakcją taką wywołuje tylko zmniejszenie tego natężenia lub całkowity brak światła!

W tym właśnie cały problem; chłopcy z Wydziału Chemii nigdy dotąd nie widzieli czegoś podobnego. Musiałem stoczyć z nimi prawdziwą walkę, by odebrać im tę kulę – marzyli, by otworzyć ją w laboratorium i przeprowadzić pełną analizę. Zrobili badania spektroskopowe, kiedy kula świeciła najmocniej (przy pełnym pobudzeniu cieczy emitowane przez nią światło zawiera się w widzialnym paśmie – mówiąc prościej, przypomina światło dzienne o bezpiecznym poziomie promieniowania ultrafioletowego), i dowiedzieli się tylko tyle, że ciecze zawierają głównie hel i srebro. Nie dowiemy się niczego więcej, dopóki nie pozwolisz nam otworzyć tego niezwykłego przedmiotu.

Niektórzy z nas przypuszczają, że stała cząsteczka w środku kuli może być katalizatorem reakcji wywoływanej przez brak światła. W tej chwili nie jesteśmy w stanie określić, jaki może być

mechanizm owej reakcji, nikt Z nas nie przypomina sobie także innej porównywalnej reakcji chemicznej, która zachodziłaby przez tak długi czas – zakładając oczywiście, że kula rzeczywiście pochodzi z okresu georgiańskiego. Trzeba też pamiętać, że hel został odkryty dopiero w 1895 roku, co przeczyłoby naszym hipotezom dotyczącym czasu powstania metalowej osłony.

Krótko mówiąc, nadesłany przez Ciebie przedmiot jest dla nas prawdziwą zagadką. Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdybyś zechciał przyjechać do nas i wziąć udział w międzywydziałowym spotkaniu, abyśmy mogli ustalić harmonogram dalszych badań. Dobrze byłoby też, gdyby ktoś z naszego zespołu wybrał się do Highfield i obejrzał miejsce, w którym znaleziono kulę.

Czekam niecierpliwie na list od Ciebie.

Pozdrawiam, Tom Profesor Thomas Dee Will odłożył list na stół i spojrzał na Rebekę, która wciąż przyglądała mu się z uwagą. Przez chwilę oglądał kulę ze wszystkich stron, po czym przeszedł do drzwi, zamknął je starannie i pogasił wszystkie światła w kuchni. Oboje obserwowali w milczeniu, jak w ciągu zaledwie kilku sekund zielony blask wypływający z kuli przybiera na sile i upodabnia się do światła dziennego.

– A niech mnie... – wyszeptał Will w zachwycie. – Mieli rację, to się nawet nie nagrzało.

– Wiedziałaś o tym, prawda? Czytam w tobie jak w otwartej księdze – powiedziała Rebeka, wpatrując się w twarz Willa oświetloną niezwykle blaskiem.

Chłopiec w milczeniu włączył światła, pozostawiając jednak zamknięte drzwi. Kula na powrót przygasła.

– Pamiętasz, jak mówiłaś, że nikt nie robi niczego w sprawie zaginięcia taty? – odezwał się wreszcie.

– Owszem, i co z tego?

– Chester i ja znaleźliśmy coś ciekawego, kiedy prowadziliśmy... ee... własne poszukiwania.

– Wiedziałaś – stwierdziła Rebeka głośno, kiwając głową. – I cóż takiego znaleźliście?

– Cii – syknął Will, zerkając na zamknięte drzwi. – Ciszej. Lepiej, żeby mama się o tym nie dowiedziała, nie chciałbym robić jej nadziei. Jasne?

– Jasne. – Rebeka skinęła głową.

– Znaleźliśmy notatnik z zapiskami taty, coś w rodzaju dziennika – zaczął powoli Will.

– Tak, i... ?

Kiedy oboje usiedli przy kuchennym stole, Will opowiedział siostrze o wszystkim, co wyczytał w dzienniku taty, a także o spotkaniu z dziwnymi bladymi ludźmi przed sklepem Clarke'ów. Nie wspominał o tunelu pod domem, gdyż w jego mniemaniu była to tylko mała, nieszkodliwa tajemnica.

Rozdział 18

Tydzień później w pracach Willa i Chestera nastąpił przełom. Odwodnieni po kilku godzinach harówki w upalnym przodku, wyczerpani nieustannym kopaniem i wywożeniem ziemi, mieli już zakończyć robotę, kiedy duży kamienny blok trafiony kilofem Willa zachwiał się i zniknął w ciemnościach. W jego miejscu widniał teraz czarny jak noc otwór.

Chłopcy tkwili przez chwilę w bezruchu, wpatrzni w dziurę, z której wypływało wilgotne, chłodne powietrze. Instykt podpowiadał Chesterowi, że natychmiast powinien się wycofać, jakby ciemna otchłań miała go za moment wciągnąć. Obaj wpatrywali się w milczeniu w nieprzeniknioną ciemność, otoczeni martwą ciszą i bezruchem wnętrza ziemi. Wreszcie Chester przerwał to dziwne zakłęcie:

– Myślę, że powinienem już wracać do siebie. Herbata stygnie.

Will odwrócił się i spojrzał na przyjaciela z niedowierzaniem. Po chwili dostrzegł jednak cień złośliwego uśmiechu na twarzy Chestera. Ogarnięty poczuciem ogromnej ulgi i spełnienia Will nie mógł się powstrzymać i wybuchnął nagle histerycznym śmiechem. Podniósł grudkę ziemi i rzucił nią w uśmiechniętego przyjaciela, który uchylił się zrećnie, chichocząc pod nosem.

– Ty... ty... – zaczął Will, szukając właściwego słowa.

– Ty – co? – rozpromienił się Chester. – Chodź, zobaczymy, co tam jest – powiedział, pochylając się wraz z Willem nad otworem.

Will skierował promień latarki do wnętrza dziury.

– To jaskinia... niewiele widać... musi być spora. Chyba widzę stalaktyty i stalagmity. – Nagle Will znieruchomiał. – Posłuchaj!

– O co chodzi? – wyszeptał Chester.

– Woda. Wydaje mi się, że słyszę kapanie wody – wyjaśnił, odwracając się do kolegi.

– Żartujesz – odparł Chester, marszcząc brwi.

– Nie, nie żartuję. To może być neolityczny strumień...

– Daj, ja popatrzę – przerwał mu Chester, biorąc od niego latarkę.

Choć pokusa była wielka, postanowili, że na razie dalej nie pójdą. Zamierzali podjąć pracę następnego dnia, kiedy będą wypoczęci i lepiej przygotowani. Chester poszedł do domu. Był zmęczony, ale i szczęśliwy, że ich trud przyniósł wreszcie jakieś owoce. Zarówno on, jak i Will bardzo potrzebowali odpoczynku. Will uznał nawet, że przydałaby się mu kąpiel. Przesunął regał na miejsce, wysprzątał piwnicę i ledwo żywy ruszył na górę, do swojego pokoju.

Kiedy przechodził obok sypialni Rebeki, zza drzwi dobiegło wołanie. Will skrzywił się i zastygł w bezruchu.

– Will, wiem, że tam jesteś.

Will westchnął i otworzył drzwi pokoju siostry. Rebeka leżała już w łóżku i czytała książkę.

– O co chodzi? – spytał chłopiec, rozglądając się wokoło. Nigdy nie mógł zrozumieć, jak jego siostra utrzymuje tak idealny porządek i czystość.

– Mama powiedziała, że chce z nami o czymś porozmawiać.

– Kiedy?

– Gdy tylko przyjdiesz.

– Boże, o co jej znowu chodzi?

Kiedy weszli do salonu, pani Burrows leżała w swojej zwykłej pozycji, przekrzywiona i oparta o poręcz fotela niczym zepsuty manekin. Rebeka kaszlnęła dyskretnie, by przyciągnąć jej uwagę, i pani Burrows uniosła sennie głowę.

– Ach, jesteście – mruknęła, podciągając się do pozycji siedzącej. Strąciła przy okazji dwa piloty, które uderzyły z trzaskiem o podłogę. – No i bęc! – wykrzyknęła.

Will i Rebeka usiedli na sofie, podczas gdy pani Burrows przetrząsała gorączkowo stertę kaset wideo leżących obok fotela. Gdy wreszcie odnalazła oba piloty, rozczochrana i zaczerwieniona z wysiłku wyprostowała się i ułożyła je starannie na miejscu. Potem odchrząknęła i się odezwała:

– Myślę, że nadszedł już czas, byśmy pogodzili się z myślą, iż wasz ojciec przepadł na dobre, co oznacza konieczność podjęcia kilku bardzo istotnych decyzji. – Przerwała na moment i zerknęła na telewizor. Hostessa w lśniącej wieczorowej sukni odslaniała właśnie wielką literę „N” w haśle na ogromnej tablicy teleturnieju Koło fortuny.

– Niewidzialny człowiek – mruknęła pani Burrows, po czym ponownie zwróciła się do Rebeki i Willa: – Od kilku tygodni nie wpływa już pensja waszego ojca i jak powiedziała mi Rebeka, zostaliśmy praktycznie bez środków do życia.

Will spojrzał na Rebece, która skinęła potakująco głową. Pani Burrows kontynuowała:

– Wydaliśmy już wszystkie oszczędności, a biorąc pod uwagę, że przez cały czas spłacamy też kredyt na dom, będziemy musieli ograniczyć zakupy do minimum...

– Do minimum? – powtórzyła Rebeka.

– Niestety, tak – odparła matka beznamiętnym tonem. – Przez jakiś czas nie będziemy otrzymywać żadnych pieniędzy, trzeba więc sprzedać, co się da, łącznie z domem.

– Co? – spytała Rebeka z niedowierzaniem.

– I to wy się tym zajmiecie. Mnie nie będzie tu przez jakiś czas. Doradzono mi, bym spędziła kilka tygodni w... hm... swego rodzaju szpitalu; miejscu, gdzie będę mogła odpocząć i wrócić do formy.

Will uniósł lekko brwi, zastanawiając się, o jakiej to „formie” mówi jego matka. Odkąd pamiętał, zawsze zamknięta była w tej samej, niezmiennej formie.

Tymczasem pani Burrows mówiła dalej:

– Kiedy mnie tu nie będzie, zamieszkacie u ciotki Jean. Zgodziła się wami zaopiekować.

Will i Rebeka spojrzeli na siebie. Przez umysł Willa przemknęła cała lawina obrazów: wieżowiec, w którym mieszkała ciotka Jean, klatka schodowa zarzucona pieluchami i torbami pełnymi śmieci, obsikane i pomazane sprejem ściany; ulice zastawione wypalonymi wrakami samochodów, nieustanny jazgot i trąbienie skuterów, drobni handlarze narkotyków i grupki pijaków przesiadujących całymi dniami na ławkach, kłócących się o głupstwa i opróżniających kolejne butelki taniego wina.

– Nie ma mowy! – wypalił nagle, jakby budząc się z koszmaru. Rebeka, zaskoczona, aż zerwała się z miejsca, a matka nagle wyprostowała się, ponownie zrzucając piloty na podłogę.

– Cholera! – zaklęła, zaglądając za oparcie.

– Nie będę tam mieszkał. Nie zniosę tego ani przez chwilę. A co ze szkołą, co z moimi przyjaciółmi? – mówił Will.

– Jakimi przyjaciółmi? – odparła złośliwie pani Burrows.

– Nie możesz nas tam wysłać, mamó. Tam śmierdzi, to jeden wielki chlew – wsparła Willa Rebeka.

– Ciotka Jean też śmierdzi – dodał Will.

– Cóż, nic na to nie poradzę. Muszę trochę odpocząć. Lekarz powiedział, że jestem bardzo zestresowana, więc nie ma o czym mówić. Sprzedamy dom, a wy zamieszkacie u ciotki Jean, aż...

– Aż co? Znajdziesz jakąś pracę? – wtrącił ostro Will. Pani Burrows zgromiła go spojrzeniem.

– To do niczego nie prowadzi. Lekarz powiedział, że powinnam unikać konfrontacji. Uważam tę rozmowę za zakończoną – warknęła nagle i odwróciła się z powrotem do telewizora.

Kiedy znaleźli się w przedpokoju, Will usiadł na schodach, otępiąły, a Rebeka oparła się plecami o ścianę i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Cóż, to już chyba koniec – stwierdziła. – Dobrze chociaż, że wyjeżdżam na tydzień...

– Nie, nie, nie... nie teraz! – ryknął na nią Will, podnosząc rękę. – Nie w takiej chwili!

– Rzeczywiście, może masz rację – odrzekła spokojnie, kręcąc głową. Potem oboje zamilkli.

Po chwili Will podniósł się zdecydowanym ruchem ze schodów, jakby podjął jakąś ważną decyzję.

– Wiem, co muszę zrobić.

– Co?

– Wykąpać się.

– Potrzebujesz tego – powiedziała Rebeka, obserwując, jak brat wspina się ze znużeniem na schody.

/

Rozdział 19

Zapałki.

– Są.

– Świece.

– Są.

– Scyzoryk.

– Jest.

– Zapasowa latarka.

– Jest.

– Sznurek.

– Jest.

– Kreda i lina.

– Są.

– Kompas.

– Ee... jest.

– Dodatkowe baterie do czołówek.

– Są.

– Aparat i notatnik.

– Jest. Jest.

– Ołówki.

– Są.

– Woda i kanapki.

– Są... wygląda na to, że chcemy zatrzymać się gdzieś na dłużej, co? – spytał Chester, spoglądając na olbrzymią pakę owiniętą folią aluminiową. Stali właśnie w piwnicy pana Burrowsa i sprawdzali po raz ostatni listę sprzętu, którą Will sporządził przed południem w szkole, podczas zajęć praktyczno-technicznych. Odznaczywszy kolejne elementy, wkładali je do plecaków. Kiedy skończyli, Will zapiął pakunek i zarzucił go na plecy.

– No to chodźmy – powiedział z wyrazem ogromnej determinacji na twarzy, sięgając po ukochaną łopatę.

Kiedy już obaj znaleźli się we wnętrzu tunelu, Will przyciągnął regał do ściany i unieruchomił go za pomocą prowizorycznego zatrzasku, przygotowanego wcześniej specjalnie na tę okazję. Następnie

przecisnął się obok Chestera i ruszył naprzód, przemieszczając się zwinnie na czworakach.

– Hej, poczekaj na mnie – zawołał za nim Chester, zaskoczony entuzjazmem przyjaciela.

Dotarłszy na koniec tunelu, usunęli resztę kamieni. Opadły w ciemność, lądując z głuchym pluskiem na niewidocznym podłożu. Chester chciał coś powiedzieć, jednak Will go uprzedził:

– Wiem, wiem, myślisz, że zaraz porwie nas strumień ścieków albo coś w tym rodzaju. – Will wyjrzał przez powiększony otwór na końcu tunelu. – Widzę te kamienie, wystają z wody. To płycizna, sięga co najwyżej do kostek.

To powiedziawszy, Will odwrócił się i zaczął wpełzać tyłem do otworu. Zatrzymał się na krawędzi, uśmiechnął szeroko do Chestera, a potem zniknął w ciemnościach. Chester zastygł na moment, odetchnął jednak z ulgą, gdy z dołu dobiegł głośny plusk.

w Od krawędzi otworu do dna jaskini było nie więcej niż dwa metry.

– Hej, całkiem nieźle – powiedział Will, gdy przyjaciel wsunął się jego śladem przez otwór. Głos odbił się dziwnym echem od ścian jaskini, która miała około siedmiu metrów wysokości i co najmniej trzydzieści długości. Większa część dna przykryta była wodą. Grota kształtem przypominała półksiężyc, a ponieważ znajdowali się na jednym z jego wierzchołków, nie widzieli, co znajduje się za wybrzuszeniem pośrodku jaskini.

Kiedy wyszli z wody, przez chwilę oświetlali ściany promieniami latarek, później jednak zamarli w bezruchu, oczarowani widokiem, który roztaczał się przed ich oczami. W żółtym blasku lamp widać było rzędy stalaktytów i stalagmitów przeróżnych rozmiarów. Niektóre wydawały się cieńsze od ołówka, inne zaś były grube jak pnie młodych drzew. Stalaktyty spadały pionowo w dół ku stalagmitom wyrastającym z dna, niektóre pary łączyły się ze sobą, tworząc kolumny, a całe podłoże w tym miejscu pokryte było zachodzącymi na siebie warstwami kalcytu.

– To prawdziwa grota – powiedział cicho Will, dotykając mlecznobiałej, niemal prześwitującej powierzchni najbliższej kolumny. – Czyż to nie piękne? Wygląda jak lukier na ciastku albo coś takiego.

– Moim zdaniem przypomina bardziej zamrożony smark – odparł Chester szeptem, również dotykając małej kolumny, jakby nie wierzył do końca w to, co widzi. Szybko cofnął rękę i z wyrazem obrzydzenia na twarzy wytarł palce.

Will roześmiał się, uderzając w stalaktyt nasadą dłoni.

– Trudno uwierzyć, że tak naprawdę to skała, co?

– I wszystko tu jest z tego zrobione – pokręcił głową Chester, rozglądając się po jaskini. Wzdrygnął się lekko, owiany chłodnym powietrzem, i zmarszczył nos. Grotę wypełniał nieprzyjemny odór wilgoci i stęchlizny. Jednak dla Willa był to słodki zapach sukcesu. Zawsze marzył o odkryciu czegoś ważnego, lecz ta grota przerastała jego najśmielsze oczekiwania. Czuł się wręcz upojony radością.

– Tak! – krzyknął, unosząc pięść w triumfalnym geście. W tej chwili, gdy stał pośrodku groty, był wielkim odkrywcą i poszukiwaczem przygód, jakim zawsze pragnął zostać, niczym Howard Carter w komorze grobowej Tutenchamona. Kręcił głową na wszystkie strony, próbując objąć całość wzrokiem.

– Wiesz, trzeba było pewnie ładnych paru tysięcy lat, żeby to wszystko tak urosło... – paplał Will, cofając się powoli. Zatrzymał się raptownie, gdy zaczepił o coś stopą. Pochylił się, chcąc się temu bliżej przyjrzeć. Z kamienia wystawał drobny przedmiot – ciemny i złuszczone, zlał się niemal ze skałą, w której tkwił. Will próbował go wyrwać, jednak palce mu się ześlizgiwały z gładkiej powierzchni.

– Poświęć tutaj, Chester. To mi wygląda na jakąś zardzewiałą śrubę albo coś w tym rodzaju. Ale to niemożliwe...

– Ee... Will... powinieneś chyba najpierw zobaczyć to... – odparł Chester lekko drżącym głosem.

Na środku grotu, w zagłębieniu wypełnionym ciemną wodą, stały pozostałości jakiejś potężnej maszyny. Promienie latarek wydobywały z ciemności szeregi wielkich, brązowych kół zębatach, wciąż zamkniętych w resztkach uszkodzonej żeliwnej ramy, tak wysokiej, że miejscami dotykała wyrastających z sufitu jaskini stalaktytów. Wyglądało to jak lokomotywa, którą ktoś bezlitośnie wypatroszył i zostawił na pastwę losu.

– Co to, u diabła, jest? – spytał Chester, zerkając na Willa, który przyglądał się w milczeniu tajemniczej machinie.

– Skąd mam wiedzieć? – wzruszył ramionami Will. – Tu wszędzie są jakieś kawałki metalu. Patrz! .

Poświęcił latarką wzdłuż linii wody, sięgając najdalej, jak mógł, w głąb jaskini. Początkowo myślał, że dno grotu usiane jest jakimiś minerałami, jednak wkrótce przekonał się, że są to bolce lub śruby o grubych sześciokątnych łbach, podobne do tej, którą znalazł przed chwilą. Co więcej, na skale leżały tulejki oraz niezliczone odłamki skorodowanego metalu. Rdza spływająca z odłamków łączyła się z ciemniejszymi smugami, które zdaniem Willa mogły być śladami po oleju.

Kiedy tak stali w wywołanej zdumieniem ciszy i oglądali bezwartościowy skarb, w pobliżu rozległ się nagle przytłumiony dźwięk, cichutkie skrobanie.

– Słyszałeś to? – spytał Chester. Obaj skierowali promienie latarek w stronę, z której dochodził dźwięk. Will ruszył powoli w głąb jaskini, stąpając ostrożnie po nierównym dnie ukrytym pod cienką warstwą wody.

– Co to było? – wyszeptał Chester.

– Cii! – Will się zatrzymał. Przez chwilę nasłuchiwali, rozglądając się uważnie dokoła.

Obaj podskoczyli raptownie, gdy ciszę przeciął nagły szelest i plusk. Potem z wody wysunął się mały, smukły obiekt, który przemknął po podłużnym metalowym elemencie i zatrzymał się na szczycie olbrzymiego koła zębatego. Był to wielki szczur o lśniącej śnieżnobiałej sierści i dużych, jasnorożowych uszach. Wytarł pyszczek przednimi łapkami i potrząsnął głową, rozsiewając dokoła kropelki wody. Potem stanął na tylnych łapach i zaczął obwąchiwać otaczające go powietrze, poruszając przy tym wąsami.

– Patrz! Nie ma oczu – syknął Will podekscytowany. Chester się wzdrygnął. Rzeczywiście, w miejscu, gdzie powinny znajdować się ślepia zwierzęcia, widać było tylko gładką, białą sierść.

– Faj, to obrzydliwe! – wykrzyknął Chester, cofając się o krok.

– Ewolucja adaptacyjna – odparł krótko Will.

– Nie obchodzi mnie, co to jest!

Zwierzę drgnęło i odwróciło łeb w stronę Chestera. Potem błyskawicznie zsunęło się do wody, dopłynęło do przeciwległego brzegu i znikło w ciemnościach.

– Świetnie! Pewnie poszedł po kolegów – jęknął Chester. – Za chwilę się tu od nich zaroi.

Will roześmiał się głośno.

– Przecież to tylko cholerny szczur!

– To nie był zwykły szczur. Słyszałeś kiedyś o szczurach bez oczu?

– Daj spokój, cykorze. Zapomniałeś już o trzech ślepych myszkach? – spytał Will z krzywym uśmiechem, kiedy ruszyli wzdłuż brzegu, oświetlając latarkami wnęki i szczeliny na ścianach i suficie. Chester ostrożnie stawiał stopy pomiędzy kamieniami i odłamkami żelaza, oglądając się przy tym lękliwie za siebie, jakby rzeczywiście przypuszczał, że lada moment z ciemności wybiegnie armia pozbawionych oczu szczurów.

w – Boże, nienawidzę tego miejsca – zrzędził pod nosem. Gdy zbliżyli się do strefy ciemności zalegających po drugiej stronie jaskini, Will przyspieszył kroku. Chester zrobił to samo, nie chcąc za nic w świetle zostać sam.

– A niech mnie! – Will zatrzymał się raptownie, a rozpędzony Chester wpadł na niego, tak że omal się obaj nie przewrócili. – Spójrz tylko!

W skale osadzone były drzwi.

Will oświetlił ich matową, porysowaną powierzchnię – wydawały się stare, lecz solidne. Wzdłuż wszystkich krawędzi ciągnął się szereg ułożonych w równych odstępach nitów o łbach przypominających połówki piłek golfowych, a po jednej stronie tkwiły trzy masywne klamki. Will bez wahania wyciągnął dłoń w ich stronę.

– Hej, nie rób tego! – krzyknął Chester.

Will jednak nie zwracał uwagi na przyjaciela i lekko postukał palcem w jedną z klamek.

– To metal – stwierdził, przesuwając dłonią po powierzchni. Była lśniąca, czarna i nierówna niczym zastygła melasa.

– No i co z tego? Chyba nie chcesz tam wejść, co? Will odwrócił się do niego, wciąż trzymając dłoń na klamce.

– To jedyna droga, którą mógł pójść mój ojciec. Oczywiście, że zamierzam tam wejść!

To powiedziawszy, Will chwycił najwyższą klamkę i spróbował pociągnąć ją w dół. Nawet nie drgnęła. Chłopiec podał swoją latarkę Chesterowi, złapał za klamkę obiema rękami i spróbował ponownie, wyężdżając wszystkie siły. Bez rezultatu.

– Może w drugą stronę – zaproponował Chester z rezygnacją.

Will posłusznie pchnął klamkę w górę. Najpierw lekko zaskrzypiała, a potem, ku zdumieniu Willa, przesunęła się gładko i zatrzymała z cichym kliknięciem. Chłopiec szybko przesunął w ten sam

sposób pozostałe dwie klamki, po czym cofnął się o krok. Wziął latarkę od Chestera i położył dłoń na środku drzwi, gotów je pchnąć.

– No to idziemy – powiedział do przyjaciela, który choć raz nie wyraził sprzeciwu.

CZEŚĆ DRUGA

Kolonia

Rozdział 20

Drzwi otworzyły się z głuchym metalicznym skrzypnięciem. Will i Chester jeszcze przez chwilę nie ruszali się z miejsca, kierując promienie latarek w ciemną przestrzeń za drzwiami. Podeksytowani i wystraszeni zarazem, gotowi byli w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Jako że nie usłyszeli ani nie zobaczyli niczego podejrzanego, ruszyli powoli naprzód. Serca waliły im w piersiach, kiedy, wstrzymując oddech, przekroczyli żelazny próg drzwi.

Chwiejny blask latarek wydobył z ciemności niemal cylindryczne pomieszczenie o długości co najwyżej dziesięciu metrów i pofałdowanych ścianach. Dokładnie przed nimi, na przeciwnym końcu komnaty, znajdowały się drzwi prawie identyczne jak te, przez które właśnie przeszli, tyle że zaopatrzone w niewielkie, przypominające bulaj okienko z matowego szkła, umieszczone na wysokości oczu.

– To mi wygląda na jakąś służę – zauważył Will, ruszając w głąb pomieszczenia i dudniąc butami o rowkowaną metalową podłogę. – No rusz się – rzucił niepotrzebnie w stronę Chestera, który z własnej inicjatywy zamknął szczelnie drzwi za ich plecami, przekręcił klamki i podążył jego śladem.

– Lepiej zostawiać wszystko tak, jak to zastaliśmy – oświadczył Chester. – Na wszelki wypadek.

Will próbował dojrzeć coś przez matową szybkę, jednak zniechęcony machnął tylko ręką, po czym przesunął w górę wszystkie trzy klamki w drugich drzwiach i pchnął je. Drzwi otworzyły się z cichym sykiem, przypominającym odgłos powietrza uchodzącego z przebitej dętki. Chester spojrzał na Willa pytająco, ten jednak zignorował go i bez słowa wszedł do kolejnego pomieszczenia. Była to mała izba o powierzchni co najwyżej trzech metrów kwadratowych i ścianach przypominających kil starej łodzi – jak mozaika zardzewiałych metalowych płyt połączonych grubymi spawami.

– Tutaj jest jakieś oznaczenie – zauważył Chester, przekręcając klamki zamykające drugie drzwi. Pod matowym bulajem widniała duża cyfra 5. Farba żółkła i łuszczyła się ze starości.

Kiedy wykonali ostrożnie krok do przodu, światło lamp wydobyło z ciemności przed nimi coś, co wyglądało jak kratownica spleciona z metalowych prętów, sięgająca od podłogi do sufitu i blokująca dalszą drogę. Will napał na nią obiema rękami, okratowanie było jednak solidne i nieustępliwe. Chłopiec schował latarkę, chwycił mocno zimne pręty i przysunął się do nich najbliżej, jak mógł.

– Widzę ściany i chyba też sufit... – mówił, odwracając głowę – ale podłoga jest...

– Daleko w dole – dokończył Chester, który także przyłgął do kratownicy i spoglądał w dół.

– Mówię ci, na planach miasta w tym miejscu niczego takiego nie było. Myślisz, że mógłbym to przegapić? – spytał Will, jakby chciał upewnić się, że podczas przeglądania map naprawdę nie pominął czegoś istotnego.

– Nie... poczekaj, Will! Spójrz na te liny! – zawołał Chester, dojrzawszy za kratownicą grube matowe kable. – To szyb windy – dodał uradowany faktem, że to, co wydawało mu się groźne i niezrozumiałe, było w rzeczywistości całkiem zwyczajne i dobrze znane. To był szyb windy. Po raz pierwszy od chwili, gdy opuścili piwnicę Burrowsów, która jawiła mu się teraz jako ostoja normalności, odzyskał poczucie bezpieczeństwa, przekonany, że winda musi prowadzić do czegoś

równie zwyczajnego jak tunel metra. Pozwolił sobie nawet na nieśmiałe przypuszczenie, że to może oznaczać koniec ich szalonej wyprawy.

Spojrzał w prawo, odszukał wzrokiem uchwyt i szarpnął go mocno. Metalowa przegroda przesunęła się z przeraźliwym zgrzytem po zardzewiałych prowadnicach. Will cofnął się o krok, zdumiony. Tak się śpieszył, że nie zauważył nawet, iż kratownica to w rzeczywistości przesuwane drzwi. Kiedy Chester odsunął je do końca, odsłonił się przed nimi widok na cały szyb. Światło zamocowanych na kaskach czołówek przesunęło się po grubych linach i niknęło w ciemnej otchłani poniżej.

– Piekielnie głęboki ten szyb. – Chester zadrżał i chwycił się mocno krawędzi starych drzwi, przerażony ogromem przepaści otwierającej się pod ich stopami. Tymczasem Will odwrócił się i przyjrzał uważniej ścianom metalowego pomieszczenia. Już po chwili odnalazł to, czego szukał – małą skrzynkę z ciemnego drewna, przymocowaną do ściany po jego lewej ręce. Ze środka skrzynki wystawał zaśnieżony mosiężny guzik.

– Jest! – krzyknął Will triumfalnie i nie uprzedziwszy Chestera, nacisnął śliski guzik.

Nic się nie wydarzyło. Spróbował ponownie. I znów nic.

– Chester, zamknij drzwi, zamknij je! – krzyknął, tracąc kontrolę nad emocjami.

Chester zatrzasnął z hukiem kratę, a Will raz jeszcze nacisnął guzik. Metalowe ściany zadrżały lekko, a z głębi szybu dobiegło echo jakiegoś głośnego brzęku. Potem liny ożyły i zaczęły się przesuwac. Szyb wypełnił się skrzypieniem i pojękiwaniem mechanizmu wciągarki, który musiał być umieszczony tuż ponad ich głowami. Przez chwilę obaj chłopcy stali nieruchomo, wsłuchani w metaliczne odgłosy wydawane przez nadjeżdżającą windę.

– Założę się, że tam na dole jest stacja metra – stwierdził w końcu Chester, spoglądając wyczekująco na przyjaciela.

Will skrzywił się z irytacją.

– Ależ skąd. Mówiłem ci, że tu nic nie ma. To musi być coś zupełnie innego.

Optymizm Chestera ulotnił się nagle. Chłopak, zmarkotniały, stanął obok Willa i przystawił głowę do kraty, kierując promień czołówki w dół szybu.

– Cóż, skoro nie wiemy, co to jest... – zaczął nieśmiało – możemy jeszcze wrócić.

– Daj spokój, nie możemy się przecież poddać. Nie teraz.

Znów milczeli przez kilka minut, wsłuchani w skrzypienie nadjeżdżającej windy, aż wreszcie Chester odezwał się pierwszy:

– A jeśli w środku ktoś jest? – spytał i przejęty nagłym strachem cofnął się o krok.

Will jednak nadal tkwił w miejscu.

– Poczekaj... nie mogę... jest za ciemno... czekaj! Widzę ją, widzę ją! Wygląda jak winda górnicza! – Will nie odrywał wzroku od dźwigu, który przesunął się w żółtym tempie w ich stronę. Po chwili mógł już dojrzeć z góry jego wnętrze, widoczne przez sufit wykonany z żelaznej kratownicy. Odwrócił się do Chestera, mówiąc:

– Uspokój się, dobrze? W środku nikogo nie ma.

– Tak naprawdę wcale nie myślałem, że tam ktoś będzie – odparował Chester, naburmuszony.

– Tak, jasne, ty panikarzu.

Kiedy winda dotarła wreszcie na ich poziom, Chester zajął ostrożnie do wnętrza, a upewniwszy się, że rzeczywiście jest pusta, odetchnął skrycie z ulgą. Gdy tylko żelazna klatka zatrzymała się z hukiem i zgrzytem, Will natychmiast odsunął drzwi i wszedł do środka. Potem odwrócił się do Chestera, który stał niezdecydowany, jakby wcale nie miał ochoty wsiadać do windy.

– No nie wiem, Will, moim zdaniem nie wygląda to najlepiej – stwierdził, omiatając spojrzeniem kabinę. Jej ściany wykonane były z siatki, podłoga zaś z metalowych płyt. Całość okrywała warstwa lepkiego brudu.

– Daj spokój, Chester, to nasza wielka szansa! – Will nawet nie pomyślał o tym, że mógłby zawrócić. Odkrycie grotu było czymś naprawdę niezwykłym, ale to przekraczało jego najśmielsze fantazje. – Będziemy sławni! – roześmiał się głośno.

– Och, jasne, już widzę te tytuły: Dwie ofiary śmiertelne wypadku w windzie – odpowiedział posępnym tonem Chester, przesuwając w powietrzu wyprostowane ręce, jakby pokazywał nagłówek w gazecie. – To po prostu nie wygląda bezpiecznie... pewnie nikt nie używał jej od wieków.

W odpowiedzi Will bez wahania podskoczył kilkakrotnie w miejscu, uderzając z hukiem butami o metalową podłogę kabiny. Chester obserwował z przerażeniem, jak winda kołysze się na stalowych linach.

– Sto procent bezpieczeństwa. – Will uśmiechnął się szelmowsko, położył dłoń na mosiężnej dźwigni we wnętrzu kabiny i spojrzał Chesterowi prosto w oczy. – Więc jak? Jedziesz ze mną... czy wracasz walczyć ze szczurem?

Chester nie potrzebował lepszej zachęty. Natychmiast znalazł się w windzie obok Willa, który zamknął za nim drzwi i przesunął dźwignię, przytrzymując ją na dole, w pozycji jazdy. Kabina zadrżała i ruszyła powoli w drogę powrotną na dół. Przez okratowane drzwi chłopcy mogli obserwować powierzchnię skał, poprzecinaną od czasu do czasu drzwiami prowadzącymi na inne poziomy. W miarę jak opuszczali się coraz niżej, barwa kamienia zmieniała się, przechodząc przez różne odcienie brązu, szarości, ochry i żółci.

Od czasu do czasu owiewała ich chłodna, wilgotna bryza. Znużony długą jazdą Chester spojrzał na sufit, oświetlając czołówką grube liny podtrzymujące windę. W blasku lampy przypominały one parę brudnych promieni lasera, niknących gdzieś w mrocznej otchłani.

– Jak myślisz, daleko jeszcze? – spytał Chester.

– Skąd mogę wiedzieć? – odburknął Will.

W rzeczywistości minęło prawie pięć minut, nim winda zatrzymała się raptownie, uderzając o ziemię z taką siłą, że chłopcy powpadali na ściany.

– Może powinienem był trochę wcześniej puścić tę dźwignię – stwierdził Will, zmieszany.

Chester spojrzał obojętnie na przyjaciela, jakby i tak nic nie miało już większego znaczenia. Potem obaj podnieśli się i stali przez moment w milczeniu, obserwując mimowolnie ogromne

ruchome cienie na licu skały, rzucające w blasku lampek przez zakratowane ściany windy.

– I znowu w drogę – westchnął Chester, odsuwając drzwi. Will precyzyjnie przesuwał się obok niego zniecierpliwiony, wpadł do pomieszczenia z metalowych płyt i podbiegł do drzwi po przeciwległej stronie.

– Wyglądają tak samo jak te na górze – zauważył głośno, przekręcając trzy klamki. Na drzwiach widniała wielka cyfra 0.

Chwilę później weszli niepewnym krokiem do cylindrycznego pomieszczenia z metalową podłogą. Promienie czołówek natrafiły na kolejne drzwi, umieszczone po drugiej stronie komnaty.

– Zdaje się, że nie ma stąd innego wyjścia – powiedział Will, przyspieszając kroku.

– To mi przypomina wnętrze łodzi podwodnej – mruczał do siebie Chester. – Coś w rodzaju śluzy.

Tymczasem Will zatrzymał się przy drzwiach i stanął na palcach, chcąc zobaczyć, co znajduje się po drugiej stronie małego okrągłego okienka. Szkło było jednak zmatowiałe i brudne. Gdy próbował poświecić na nie latarką, nierówna powierzchnia odbiła tylko jej promienie.

– Bez sensu – mruknął pod nosem.

Podał latarkę Chesterowi, przekręcił trzy klamki i pchnął drzwi.

– Zaklinowały się! – stęknął. Spróbował ponownie, lecz bez powodzenia. – Pomóż mi, co?

Chester przyłączył się do niego. Ze wszystkich sił napał ramionami na metalowe wrota. Nagle drzwi otworzyły się z głośnym sykiem, wpuszczając do komnaty potężny strumień powietrza, a obaj chłopcy wypadli na zewnątrz, prosto w nieznane.

Pochyleni w przód i pchani siłą rozpędu, przebiegli kilka kroków po bruku. Wreszcie zatrzymali się i prostując się, odzyskali równowagę. Ich oczom ukazała się rzecz niewiarygodna i niesamowita. Wiedzieli, że nie zapomną tego widoku do końca życia.

Zobaczyli przed sobą ulicę.

Stali na środku drogi niemal równie szerokiej jak autostrada, która biegła i nikła w dali zarówno z lewej, jak i z prawej strony. Wzdłuż jej skraju ciągnął się szereg wysokich latarni.

Jednak jeszcze bardziej zdumiewające było to, co znajdowało się za linią latarni, po drugiej stronie jaskini. Jak okiem sięgnąć, w obu kierunkach ciągnęły się domy.

Powoli, niczym w transie, Will i Chester ruszyli w stronę tego bajkowego obrazu. Gdy uczynili kilka kroków, drzwi za ich plecami zatrzęsły się z taką siłą, że obaj natychmiast odwrócili się, spoglądając tam, skąd wyszli.

– Przeciąg? – spytał Chester z konsternacją.

Will wzruszył tylko ramionami – czuł wyraźnie lekki podmuch na twarzy. Odchylił głowę do tyłu i wciągnął w nozdrza powietrze przepełnione zapachem stęchlizny. Chester oświetlał promieniami latarki drzwi, potem poświecił wyżej, na skalną ścianę ułożoną z olbrzymich w kamiennych bloków. Krąg światła sięgał coraz wyżej i wyżej, aż do miejsca gdzie skalna płaszczyzna łączyła się z przeciwległą ścianą, tworząc łagodne sklepienie podobne do kopulastego sufitu olbrzymiej katedry.

– Co to wszystko ma znaczyć, Will? Co to za miejsce? – spytał Chester, chwytając przyjaciela za ramię.

– Nie wiem. Nigdy o czymś takim nie słyszałem – odparł Will, rozglądając się wokoło oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia. – To naprawdę niesamowite.

– Co teraz zrobimy?

– Myślę, że... że powinniśmy się tu trochę rozejrzeć, nie uważasz? To nieprawdopodobne... – zachwycał się Will. Upojony niezwykłym odkryciem, próbował uporządkować myśli, choć zarazem pragnął jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę, by zobaczyć i dowiedzieć się jak najwięcej. – Muszę to jakoś utrwalić – mruknął, po czym sięgnął po aparat i zaczął robić zdjęcia.

– Will, nie! Flesz!

– Ojej, przepraszam. – Chłopiec zawiesił aparat na szyi. – Chyba mnie trochę poniosło.

Nie oglądając się na Chestera, ruszył w kierunku domów po drugiej stronie ulicy. Przyjaciel poszedł jego śladem, mrużąc coś pod nosem. Rozglądał się nerwowo wokoło, jakby wypatrywał jakichś oznak życia.

Wyglądało na to, że budynki zostały wykute w ścianach jaskini, przez co przypominały na wpół odkopane skamieliny. Ich dachy łączyły się z łukowatymi ścianami grotty, a w miejscu kominów znajdowała się skomplikowana sieć ceglanych kanałów, biegnących w górę skalnego lica i niknących w mroku pod sufitem jaskini niczym zastygłe smugi dymu. Kiedy dotarli do chodnika, zorientowali się, że jedynym dźwiękiem prócz odgłosu ich kroków jest niskie buczenie, wydobywające się jakby z wnętrza ziemi. Przystanęli na moment, by przyjrzeć się najbliższej latarni.

– To wygląda zupełnie tak...

– Zgadza się – przerwał przyjacielowi Will, odruchowo dotykając kieszeni skrywającej owiniętą w chusteczkę szklaną kulę jego ojca. Kula umieszczona na latarni była od niej znacznie większa, niemal tak duża jak piłka do gry w nogę. Leżała w koszu przypominającym ogromną ptasią łapę z czterema szponami, umocowaną na szczycie żeliwnego słupa. Wokół kuli krążyły dwie śnieżnobiałe ćmy, które raz po raz uderzały szeleszczącymi skrzydłami o szklaną powierzchnię.

Nagle Will zeszywniał. Gwałtownie odchylił głowę do tyłu i zaczął głośno obwąchiwać powietrze, niczym pozbawiony oczu szczur spotkany niedawno w innej jaskini.

– Co się stało? – spytał Chester z niepokojem. – Znów jakieś kłopoty?

– Nie, tylko mi się zdawało... Poczulem coś... jakby amoniak... jakiś ostry zapach. Niczego nie zauważyłeś?

– Nie. – Chester pociągnął kilkakrotnie nosem. – Mam nadzieję, że to nie jest trujące.

– Cóż, nie wiem, co to było, ale i tak już zniknęło. A my nadal jesteśmy cali i zdrowi, zgadza się?

– Pewnie tak. Myślisz, że ktoś tutaj mieszka? – spytał Chester, spoglądając na okna budynków. Obaj zwrócili uwagę na najbliższy dom, cichy i ponury. Wydawało się, że prowokuje ich, by podeszli bliżej.

– Nie wiem.

– Skąd w takim razie wzięło się tu to wszystko?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć – odparł Will, ostrożnie skradając się wraz z Chesterem w stronę domu. Był to elegancki w swej prostocie budynek wzniesiony z bloków piaskowca, stylem przypominający typowe georgiańskie domy. Znajdujące się po obu stronach wejścia okna podzielono na dwanaście równych części, a za nimi majaczyły bogato haftowane zasłony. Same drzwi pokryte były grubą warstwą zielonej emalii i zaopatrzone w kołatkę oraz spatynowany mosiężny przycisk dzwonka.

– Sto sześćdziesiąt siedem – przeczytał Will w zdumieniu, zauważywszy numer umieszczony nad kołatką.

– Co to za miejsce? – wyszeptał Chester. W tej samej chwili Will dostrzegł światło w szparze między zasłonami. Wydawało się przytłumione i migotliwe niczym blask rzucany przez dogasający ogień.

– Cii! – szepnął, po czym podkraśl się, nisko pochylony, do okna. Stanąwszy przy parapecie, wyprostował się powoli, zajrzał przez szparę do wnętrza domu i otworzył usta w niemym zdumieniu. Zobaczył palenisko, w którym płonął ogień. Powyżej znajdował się gzyms kominka, a na nim przeróżne szklane ozdoby. W migotliwym blasku płomieni widać było również fotele i sofę oraz obrazy wiszące na ścianach.

– No mów, co tam jest? – dopytywał się nerwowo Chester, nie odrywając spojrzenia od pustej ulicy, podczas gdy Will przyciskał nos do brudnej szyby.

– Nie uwierzysz! – odparł Will, przesuając się w bok i robiąc przyjacielowi miejsce. Chester natychmiast przystawił twarz do okna.

– O kurczę! Przecież to normalny pokój! – wykrzyknął, zwracając się do Willa. Ten jednak szedł już wzdłuż frontowej ściany domu. Dotarłszy do rogu budynku, zatrzymał się na moment.

– Hej! Poczekaj na mnie – syknął Chester, przerażony, że zostanie sam.

Od kolejnego domu oddzielała ich wąska alejka, biegnąca prosto do ściany tunelu. Will wysunął głowę za róg i upewniwszy się, że nic im nie grozi, gestem nakazał Chesterowi przejść do następnego budynku.

– Ten ma numer 166 – zauważył Will, stanąwszy przed drzwiami, które prócz numeru nie różniły się praktycznie niczym od tych z sąsiedniego domostwa. Podeszedł ostrożnie do okna, nie mógł jednak nic dojrzeć przez ciemne jak noc szyby.

– Co tam jest? – spytał Chester.

Will przyłożył palec do ust, a potem wrócił przed frontowe drzwi. Przyjrzał się im raz jeszcze i zmrużył oczy. Zaświtała mu w głowie pewna myśl. Chester natychmiast rozpoznał wyraz twarzy przyjaciela i próbował go powstrzymać, stając mu na drodze i krzycząc:

– Will, nie!

Lecz było już za późno. Wystarczyło lekkie pchnięcie, by drzwi otworzyły się szeroko do środka. Chłopcy wymienili porozumiewawcze spojrzenia i powoli wsunęli się do wnętrza, przejęci lękiem i podnieceniem jednocześnie.

Przedpokój był obszerny i ciepły. Wypełniała go mieszanina zapachów – jedzenia, dymu z kominka – typowa dla normalnie funkcjonującego domu. Klasyczny był również układ pomieszczeń: w połowie korytarza zaczynały się szerokie schody, na których mosiężne pręty przytrzymywały chodnik. Do wysokości poręczy ściana wyłożona była woskowaną boazerią, powyżej zaś tapetą w jasno- i ciemnozielone paski. Tam też wisiały portrety w grubych złotonych ramach, przedstawiające ludzi w o potężnych, szerokich ramionach i bladych twarzach. Chester przyglądał się badawczo jednemu z portretów, kiedy nagle przyszło mu do głowy coś przerażającego.

– Oni wyglądają zupełnie jak ci faceci, którzy nas ścigali – powiedział. – No świetnie, jesteśmy w domu, który należy do jednego z tych wariatów, zgadza się? To jest całe miasto, jedno wielkie wariatkowo! – dodał, uświadomiwszy sobie straszliwą prawdę.

– Posłuchaj! – syknął Will. Chester zamarł w bezruchu, podczas gdy Will przechylił głowę, nasłuchując. W domu panowała jednak całkowita cisza.

– Wydawało mi się, że słyszałem... nie... – mruknął sam do siebie, ruszając w stronę otwartych drzwi po lewej. Przystanął na moment i zajrzał ostrożnie za róg.

– To niewiarygodne! – Nie mógł się powstrzymać: musiał wejść do środka. Chester ruszył jego śladem, pozwalając, by choć raz ciekawość wzięła górę nad strachem.

W kominku wesoło trzaskał ogień. Na ścianach wisiały małe obrazy i rysunki w mosiężnych i złotonych ramach. Jeden z nich przykuł uwagę Willa: Dom Martineau – głosił podpis umieszczony poniżej. Był to niewielki obrazek olejny, przedstawiający okazały budynek w otoczeniu trawiastych pagórków.

Przy palenisku stały krzesła obite ciemnoczerwonym, lekko połyskującym materiałem. W jednym rogu znajdował się stół, w drugim zaś instrument muzyczny, w którym Will rozpoznał klawesyn. Okazało się również, że ogień nie jest jedynym źródłem światła w pomieszczeniu. Pod sufitem wisiały dwie kule wielkości piłek do tenisa, zamknięte w ozdobnych klatkach z tombaku. Wszystko to przywiodło Willowi na myśl wystawę, na którą zabrał go kiedyś ojciec do pewnego muzeum, zatytułowaną: Jak niegdyś mieszkaliśmy. Rozejrzawszy się dokoła, uznał, że pokój doskonale pasowałby do tamtej ekspozycji.

Chester zbliżył się ostrożnie do stołu, na którym stały dwie porcelanowe filiżanki.

– Coś w nich jest – stwierdził z wyrazem krańcowego zdumienia na twarzy. – Wygląda jak herbata!

Dotknął delikatnie jednej z filiżanek i podniósł wzrok na Willa, coraz bardziej skonsternowany.

– Jest jeszcze ciepła. Co tu się dzieje? Gdzie są wszyscy ludzie?

– Nie wiem – odparł Will. – To mi wygląda na... na... Spojrzeli na siebie oniemiały i wystraszeni.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, na co to wygląda – przyznał Will.

– Wynośmy się stąd – powiedział Chester, po czym obaj rzucili się do drzwi. Już na chodniku Chester wpadł na Willa, gdy ten przystanął raptownie na środku.

– Dokąd właściwie biegniemy? – spytał Will.

– Ee... no... tego... – bełkotał Chester, próbując ubrać w słowa kłębiące się w jego głowie obawy.

Przez chwilę stali niezdecydowani w blasku latarni. Potem Chester zauważył z przerażeniem, że Will wpatruje się w znikającą za zakrętem drogę. – Daj spokój, Will. Wracajmy do domu. – Chester wzdrygnął się, spojrzawszy ponownie na dom i ciemne okna, pewien, że ktoś się w nich czai. – To miejsce mnie przeraża.

– Nie – odrzekł krótko Will, nie spoglądając nawet na przyjaciela. – Chodźmy jeszcze kawałek tą drogą. Sprawdźmy, dokąd prowadzi. Potem wrócimy. Obiecuję. Zgoda? – spytał, ruszając już przed siebie.

Chester stał przez chwilę w bezruchu, spoglądając tęsknie na metalowe drzwi, przez które chwilę wcześniej tu weszli. Wreszcie z rezygnacją machnął ręką i ruszył śladem Willa wzdłuż szeregu domów. W wielu oknach paliło się światło, jednak nigdzie nie było widać ani śladu mieszkańców.

Kiedy dotarli do zakrętu i zarazem ostatniego budynku w rzędzie, Will przystanął. Zastanawiał się, czy iść dalej, czy też zawrócić. Chester zaczął tłumaczyć mu załamującym się z rozpaczy głosem, że widzieli już dosyć i że jak najszybciej powinni wracać do domu. W tym samym momencie usłyszeli jakiś dźwięk. Początkowo przypominał szelest suchych liści, potem jednak przybrał na sile, zamieniając się w szumiącą, rozedrganą kakofonię.

– Coud... ?– wykrzyknął Will.

Z dachów budynków zerwało się stado ptaków wielkości wróbli, które pędziły teraz w ich stronę niczym żywe pociski smugowe. Will i Chester schylili się odruchowo, podnosząc ręce i osłaniając twarze przed wirującymi wokoło śnieżnobiałymi stworzeniami.

Will zaczął się śmiać.

– Ptaki! To tylko ptaki! – mówił, bezskutecznie próbując odgonić natrętów. Chester także opuścił ręce i zaczął się śmiać, trochę nerwowo, podczas gdy ptaki przemykały między nimi. Nagle wszystkie poderwały się w górę i poleciały za zakręt, znikając równie szybko i niespodziewanie, jak się pojawiły. Will wyprostował się, zrobił kilka kroków w przód, potem jednak znieruchomiał.

– Sklepy! – oznajmił pełnym zdumienia głosem.

– Co takiego? – spytał Chester.

Rzeczywiście, wzdłuż ulicy, po jednej stronie, ciągnął się szereg sklepów. Chłopcy bez słowa ruszyli w ich stronę.

– To jest po prostu nieprawdopodobne – mrucał do siebie Chester, kiedy dotarli do pierwszego z nich. Ręcznie dmuchane szkło w oknach wystawowych niczym wadliwe soczewki zniekształcało obraz ułożonych w środku towarów.

– Tekstylia u Jacobsona – przeczytał Chester szyld nad wejściem, a potem spojrzął do wnętrza, na wyłożone tam bele materiału oblane dziwnym, zielonym blaskiem.

– Spożywczy – zauważył Will, kiedy ruszyli dalej.

– A to chyba coś jak kram z towarami żelaznymi – dodał Chester.

Will spojrzął na kopulasty sufit jaskini.

– Wydaje mi się, że jesteśmy już chyba pod High Street.

Zaglądaając do okien i delektując się niezwykłością sklepów rodem z minionych stuleci, chłopcy szli naprzód, aż niepomahowana ciekawość przywiodła ich do miejsca, gdzie tunel rozdzielał się na trzy inne. Środkowy korytarz zstępował pod ostrym kątem w głąb ziemi.

– W porządku, wystarczy – oświadczył stanowczym tonem Chester. – Wracamy. J a nie mam zamiaru tam wejść i zgubić się na dobre. – Instynkt nie tyle podpowiadał mu, co krzyczał, że powinien natychmiast zawrócić.

– Dobrze – zgodził się Will. – Ale...

Schodził właśnie z chodnika na brukowaną ulicę, kiedy nagle rozległ się ogłuszający hurkot i zgrzyt żelaza o kamień. Z tunelu wypadły cztery białe konie ciągnące za sobą złowieszczo czarny powóz. Pędziły prosto na Willa, a spod ich kopyt tryskały iskry. Chłopiec nawet nie zdążył zareagować, bo w tym samym momencie ktoś chwycił ich obu za kołnierze i poderwał nad ziemię.

Chester i Will wisieli bezradnie w potężnych, zdeformowanych dłoniach jednego człowieka.

– Intruzi! – krzyknął mężczyzna ostrym, chropowatym głosem, podnosząc obu na wysokość oczu i przyglądając się im z odrazą.

Mężczyzna miał na sobie kuriozalnie mały hełm i ciemnoniebieski mundur z szorstkiego materiału, który szeleścił przy każdym ruchu. Will dojrzał również pięcioramienną gwiazdkę ze złotej tkaniny naszytą na płaszcz obok rządka matowych guzików. Wyglądało na to, że groźny, potężnie zbudowany mężczyzna jest policjantem.

– Pomocy – wyszeptał bezgłośnie Chester do przyjaciela. Stracił głos z przerażenia, gdy mężczyzna potrząsnął nimi niczym workami ziemniaków.

– Spodziewaliśmy się was – grzmiał nieznajomy.

– Co? – Will gapił się na niego w osłupieniu.

– Twój ojciec powiedział, że wkrótce do nas dołączysz.

– Mój ojciec? Gdzie on jest? Co z nim zrobiliście? Postaw mnie! – Will próbował obrócić się i kopnąć mężczyznę.

– Nie ma się co szarpać. – Nieznajomy podniósł ich jeszcze wyżej i powąchał. – Górnoziemcy. Obrzydliwość!

Will ostentacyjnie pociągnął nosem.

– Ty też za pięknie nie pachniesz.

Mężczyzna zmierzył chłopca pogardliwym spojrzeniem, a potem podniósł wyżej Chestera i także powąchał. Ten w akcie desperacji próbował uderzyć nieznajomego w głowę. Policjant odchylił się do tyłu, jednak Chester zdążył zamachnąć się na tyle szeroko, by sięgnąć ręką jego hełmu, który zleciał na ziemię, odsłaniając głowę mężczyzny porośniętą kępkami rzadkich, białych włosów.

Funkcjonariusz potrząsnął Chesterem gwałtownie, wydał z siebie przeraźliwe warknięcie, a potem zderzył chłopców głowami. Choć dzięki kaskom nie nabili sobie guzów, obu tak przeraziła bezwzględność białowłosego osobnika, że natychmiast porzucili myśl o dalszej walce.

– Dość tego! – krzyknął mężczyzna, a oszołomieni chłopcy usłyszeli nagle szyderczy śmiech

dochodzący zza jego pleców. Dopiero teraz uświadomili, sobie, że na ulicy stoją także inni ludzie i przyglądają się im bladymi, zimnymi oczami.

– Myślicie, że możecie tu sobie schodzić i włamywać się do naszych domów? – warknął policjant, pchając ich przed sobą w stronę środkowego tunelu.

– Do paki z nimi! – krzyknął któryś z gapiów. Mężczyzna w mundurze prowadził ich ulicami, które wypełniały się ludźmi wychodzącymi z domów i bocznych alejek, by zobaczyć dwóch obcych. Na przemian ciągnięci i popychani, chłopcy potykali się raz za razem, lecz potężny policjant natychmiast podrywał ich brutalnie z ziemi. Wyglądało to tak, jakby popisował się przed publicznością i pokazywał wszystkim, że w pełni panuje nad sytuacją.

Przerażeni i oszołomieni, Will i Chester rozglądali się gorączkowo dokoła, łudząc się nadzieją, że nadarzy się okazja do ucieczki albo że ktoś przyjdzie im na ratunek. Nadzieja gasła, ich twarze robiły się coraz bledsze i uświadamiali sobie powagę sytuacji, w jakiej się znaleźli. Obcy, nieprzyjaźnie nastawieni ludzie wciągali ich coraz głębiej do wnętrza ziemi, a oni nic nie mogli zrobić.

Nim się spostrzegli, pokonali już krzywiznę tunelu, a ich oczom ukazała się wielka otwarta przestrzeń.

Patrzyli w osłupieniu na oszalamiającą mnogość mostów, akweduktów i napowietrznych pasaży zawieszonych nad labiryntem brukowanych ulic, alej i domów.

Wleczeni w szalonym tempie przez olbrzymiego policjanta spoglądali bezradnie na grupki obserwujących ich ludzi o szerokich, zaciekawionych, choć zarazem obojętnych twarzach. Nie wszyscy jednak przypominali policjanta czy też dwóch bladokórych mężczyzn o wodnistych oczach, którzy ścigali ich w Highfield. Gdyby nie staromodne ubrania, niektórzy wyglądaliby całkiem normalnie i mogliby chodzić, nie zwracając na siebie szczególnej uwagi po ulicach angielskich miast.

– Pomocy! Pomocy! – wołał bezradnie Chester, próbując bez większego przekonania wyrwać się z uścisku policjanta. Will nawet na niego nie spojrzał, pochłonięty czymś zupełnie innym. Jego uwagę przykuł wysoki, szczupły osobnik stojący obok latarni. Surowa twarz mężczyzny wznosiła się ponad sztywnym białym kołnierzem i długim czarnym płaszczem, który odbijał blask latarni tak skutecznie, jakby wykonany był z lakierowanej skóry. Człowiek ten odróżniał się wyraźnie od reszty tłumu – nieruchomy i lekko przygarbiony niczym napięty mocno łuk. Jego postać emanowała prawdziwym złem, a ciemne oczy ani na moment nie odrywały się od Willa. Chłopiec zadrżał, gdy przeszył go zimny dreszcz przerażenia.

– Chyba wpakowaliśmy się w niezłe kłopoty, Chester – wyszeptał do przyjaciela, wciąż wpatrzony w budzącego grozę osobnika i jego wąskie, blade usta, wykrzywione w pogardliwym uśmiechu.

Rozdział 21

Will i Chester potykali się o własne nogi, gdy policjant wciągał ich na stopnie prowadzące do jednopiętrowego budynku, wciśniętego pomiędzy ponure biura czy fabryki. Gdy tylko znaleźli się w środku, mężczyzna zatrzymał ich raptownie, obrócił w miejscu i brutalnie zerwał im plecaki z ramion. Potem dosłownie rzucił ich na śliską dębową ławkę o nierównym, pofałdowanym siedzisku, wytartym zapewne przez niezliczone rzesze złoczyńców, których tu sadzano. Will i Chester aż zachłysnęli się z bólu, uderzywszy z ogromną siłą o ścianę nad ławką.

– Nie ruszać się! – ryknął policjant, stając między nimi a wejściem. Will przechylił lekko głowę i spojrzał na częściowo przeszkłone drzwi za plecami mężczyzny. Dostrzegł ulicę, na której zgromadził się tłum gapiów. Wielu z nich próbowało dopchać się do wejścia, niektórzy krzyczeli gniewnie i wymachiwali pięściami, dojrzawszy Willa. Chłopiec wyprostował się szybko i zerknął na Chestera, lecz jego przyjaciel, ledwie żywy ze strachu, wpatrywał się tępo w podłogę.

Will zauważył wiszącą przy drzwiach tablicę ogłoszeń, na niej zaś mnóstwo kartek z czarnymi krawędziami. Większość napisów składała się ze zbyt małych liter, by mógł odczytać je ze swego miejsca. Kilka słów było jednak większych, a wśród nich: Rozkaz albo Edykt, po których następowała zazwyczaj seria cyfr.

Od podłogi do wysokości poręczy ściana pomalowana była na czarno, powyżej zaś farbą w kolorze złamanej bieli, łuszczącą się i brudną. Sufit, nieprzyjemnie żółty i poplamiony, pokrywała sieć głębokich pęknięć przypominających mapę samochodową nieznanego kraju. Na ścianie obok Willa wisiało zdjęcie jakiegoś ponurego budynku o wąskich oknach i zakratowanej bramie. Napis pod zdjęciem głosił: Więzienie Newgate.

Przed chłopcami ciągnął się długi kontuar, na którym policjant położył plecaki, a także łopatę Willa. Za nim zaś znajdowało się biuro składające się z trzech stołów otoczonych lasem wąskich szafek na dokumenty. Do głównego pomieszczenia przylegało kilka mniejszych pokoi. Z jednego z nich dobiegało głośnie stukanie, przypominające odgłos pisania na maszynie.

Will wpatrywał się w odległy róg pomieszczenia, gdzie po ścianach pięło się całe mnóstwo wypolerowanych mosiężnych rurek przypominających łodygi wybujałej winorośli, gdy niespodziewanie rozległ się głośny syk, zakończony jeszcze głośniejszym brzękiem. Dźwięk ten był tak zaskakujący, że Chester gwałtownie się wyprostował i zamrugał oczami niczym królik wyrwany z pełnego grozy odrętwienia.

Z bocznego pokoju wynurzył się kolejny policjant i przeszedł pośpiesznie do mosiężnych rurek. Spojrzał na tablicę rozdzielczą ze staromodnymi wskaźnikami.

Wyływała z niej kaskada splątanych kabli, podłączonych do drewnianej skrzynki. Mężczyzna otworzył następnie klapkę na jednej z rur i wyjął z niej cylinder wielkości wałka do ciasta. Odkręcił pokrywę przypominającą głowicę pocisku, wyjął ze środka szeleszczącą kartkę papieru, rozprostował ją i przeczytał.

– Styksowie są w drodze – burknął, po czym przeszedł do lady i otworzył wielką księgę, nawet przez moment nie przenosząc wzroku na chłopców. On także miał na marynarce złotą gwiazdkę i choć

pod wieloma względami przypominał pierwszego policjanta, był od niego młodszy, a jego głowę pokrywała starannie przycięta gęstwina białych włosów.

– Chester – szepnął Will. Przyjaciel nie zareagował, więc wyciągnął rękę, by go szturchnąć. W tej samej chwili na dłoń Willa opadła ze świstem policyjna pałka.

– Milczeć! – warknął stojący obok nich funkcjonariusz.

– Au! – Will zerwał się na równe nogi i zacisnął dłonie w pięści. – Ty gruby... – wrzasnął, dygocząc na całym ciele i próbując się opanować. Chester chwycił go za ramię.

– Spokojnie, Will!

Will stracił gniewnie dłoń Chestera i spojrzał prosto w zimne oczy funkcjonariusza.

– Chcę wiedzieć, dlaczego jesteśmy tu przetrzymywani – zażądał.

Przez jedną potworną chwilę myśleli, że twarz mężczyzny lada moment eksploduje, taka się zrobiła czerwona. Później jednak jego ramiona zadrżały konwulsyjnie, a z gardła wydobył się chrapliwy śmiech, który z każdą chwilą przybierał na sile. Will zerknął z ukosa na Chestera, gdy ten przyglądał się policjantowi z niepokojem.

– DOŚĆ! – Głos mężczyzny stojącego za kontuarem trzasnął niczym bicz, a jego spojrzenie spoczęło na rechoczącym policjancie, który natychmiast umilkł.

– TY! – Policjant spojrzał groźnie na Willa. – SIADAJ!

– Ten głos miał w sobie ogromną siłę i Will bez chwili wahania zajął miejsce obok Chestera. – Jestem Pierwszym Oficerem – mówił dalej mężczyzna, wypinając dumnie pierś. Poznaliście już Drugiego Oficera. – Wskazał głową na policjanta stojącego obok nich.

Pierwszy Oficer spojrzał na zwitek wyjęty niedawno z mosiężnej rury.

– Niniejszym zostajecie oskarżeni o bezprawne wtargnięcie na teren Ćwiartki, co stanowi naruszenie przepisów ustawy dwunastej, podpunkt drugi – przeczytał monotonnym głosem.

– Ale... – próbował nieśmiało wtrącić Will. Pierwszy Oficer zignorował go jednak i czytał dalej.

– Co więcej, weszliście bez pozwolenia na teren prywatnej posesji z zamiarem grabieży, co stanowi naruszenie przepisów ustawy szóstej, podpunkt szósty – ciągnął policjant rzeczowym tonem. – Rozumiecie te zarzuty? – spytał.

Will i Chester wymienili niepewne spojrzenia. Will chciał coś powiedzieć, lecz Pierwszy Oficer go uprzedził.

– Co my tu mamy? – mruknął, otwierając ich plecaki i wysypując zawartość na kontuar. Podniósł owinięte w folię kanapki przygotowane na drogę przez Willa i powąchał je. – Ach, wieprz – mruknął, a na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. Widząc, jak policjant oblizuje się dyskretnie i odsuwa kanapki na bok, Will zrozumiał, że nie zobaczy już swojego lunchu.

Potem Pierwszy Oficer zajął się pozostałymi przedmiotami, oglądając je metodycznie, jeden po drugim. Zainteresował się na moment kompasem, jednak znacznie więcej czasu poświęcił na oględziny szwajcarskiego scyzoryka. Wyciągał i chował wszystkie ostrza po kolei, potem naciskał wielkimi paluchami maleńkie nożyczki, by w końcu odłożyć scyzoryk na bok. Bawiąc się zwiniętym

w klębek sznurkiem, wolną ręką otworzył mapę geologiczną z plecaka Willa i obejrzał ją pobieżnie. Potem pochylił się nad kontuarem, powąchał mapę i skrzywił się z odrazą. Ostatnim przedmiotem, po który sięgnął, był aparat fotograficzny.

– Hmm... – mruknął w zamyśleniu, obracając aparat w potężnych łapskach i przyglądając mu się ze wszystkich stron.

– To moje – powiedział Will.

Pierwszy Oficer nawet na niego nie spojrzał. Odłożył aparat, wziął do ręki pióro i zanurzył je w kałamarzu umocowanym w pulpicie. Trzymając pióro uniesione nad kartką otwartej książki, odchrząknął i spojrzał na Chestera.

– NAZWISKO! – ryknął.

– Nazywam się... Chester... Chester Rawls – wykrztusił chłopiec.

Pierwszy Oficer zapisał nazwisko w księdze. Przez moment w pokoju panowała cisza przerywana jedynie skrzypieniem stalówki. Will w jednej chwili poczuł się całkowicie bezsilny, jakby ten wpis do książki uruchamiał nieodwracalny proces, którego mechanizmu zupełnie nie pojmował.

– A TY? – warknął policjant, zwracając się do Willa.

– On mi powiedział, że tutaj jest mój tata – zaczął Will, wskazując palcem na Drugiego Oficera. – Gdzie on jest? Chcę się z nim widzieć!

Pierwszy Oficer spojrzał na swego kolegę, a potem znów na Willa.

– Nie będziesz się z nikim widział, dopóki ci na to nie pozwolimy. – Spojrzał jeszcze raz na Drugiego Oficera i zmarszczył brwi w grymasie dezaprobaty. Drugi Oficer odwrócił wzrok, przestępując niepewnie z nogi na nogę.

– NAZWISKO!

– Will Burrows – odrzekł Will powoli.

Pierwszy Oficer podniósł kartkę papieru wyjętą z rurki i przyjrzał się jej raz jeszcze.

– Tutaj mam napisane co innego – stwierdził, kręcąc głową, i wbił w Willa stalowe spojrzenie.

– Nie obchodzi mnie, co tam jest napisane. Wiem, jak się nazywam.

W pokoju zapanowała ogłuszająca cisza. Pierwszy Oficer wpatrywał się przez chwilę w Willa, a potem nagle podniósł księgę i z hukiem uderzył nią w kontuar, wzbijając przy tym obłok kurzu.

– DO CELI Z NIMI! – ryknął z wściekłością.

Drugi Oficer poderwał ich z ławki i pchnął w stronę wielkich dębowych drzwi po przeciwnej stronie sali. Kiedy wychodzili, dobiegł ich jeszcze głośny syk i brzęk oznaczający nadejście kolejnej wiadomości.

Korytarz prowadzący do cel miał około dwudziestu metrów długości. Oświetlała go tylko jedna kula umieszczona na drugim końcu, gdzie stało także krzesło i niewielkie biurko. Ściana po prawej stronie była pusta, po lewej zaś znajdowało się czworo żelaznych drzwi, osadzonych w grubym, ceglany obramowaniu. Policjant pchał chłopców w stronę ostatnich drzwi w rzędzie, oznaczonych

rzymską czwórka.

Drugi Oficer przekręcił klucz w zamku i otworzył żelazne skrzydło, które, zawieszona na dobrze naoliwionych zawiasach, obróciło się bezgłośnie. Policjant przesunął się w bok, spojrzał na chłopców i wskazał głową wewnątrz celi. Kiedy Will i Chester nie ruszyli się z miejsca, stracił cierpliwość, wepchnął ich bezceremonialnie do środka i zatrzasnął drzwi.

Towarzyszający temu huk jeszcze przez chwilę odbijał się echem od ścian pomieszczenia, szarpiąc i tak już mocno nadwerężone nerwy chłopców. Gdy przebrzmiał zgrzyt przekręcanego w zamku klucza, obaj zaczęli badać wewnątrz celi, przesuając w ciemnościach dłońmi po szorstkich ścianach. Chesterowi udało się przy tym kopnąć ukryte w mroku wiadro, które przewróciło się z brzękiem na podłogę. Wkrótce odkryli, że przed nimi, naprzeciwko wejścia, ciągnie się szeroka na metr, pokryta ołowiem półka. Nie odzywając się do siebie ani słowem, obaj usiedli na niej. Przez chwilę trwali w milczeniu, opierając dłonie o zimną, nierówną powierzchnię i czekając, aż oczy przywykną im do ciemności, rozjaśnianej jedynie przez wąską smużkę światła, która wpadała do celi przez judasza. Wreszcie Chester przerwał ponurą ciszę, pociągając głośno nosem.

– Matko, co to za zapach?

– Nie wiem – odparł Will, marszcząc nos. – Wymiociny? Pot? – Potem wciągnął powietrze w nozdrza i przemówił tonem konesera smakującego wykwinną potrawę: – Fenol i... – Pociągnął nosem raz jeszcze. – Siarka?

– Hm? – mruknął jego przyjaciel.

– Nie, kapusta! Gotowana kapusta!

– Nieważne, co to jest, ważne, że okropnie cuchnie – odrzekł Chester, krzywiąc się z odrazą. – To miejsce jest po prostu obrzydliwe. – Odwrócił się i spojrzał w ciemnościach na przyjaciela. – Jak my się stąd wydostaniemy, Will?

Will podciągnął kolana pod brodę i oparł stopy o krawędź półki. Podrapał się w milczeniu po łydce. W głębi duszy był na siebie wściekły, a nie chciał, by Chester się tego domyślił. Może to właśnie przyjaciel miał rację, może to jego ostrożne, rozważne podejście było w tej sytuacji najwłaściwsze? Głupiec, głupiec, głupiec! Zachowali się jak para amatorów, a on dał się kompletnie ponieść emocjom. Jak teraz odszuka ojca?

– Mam okropne przeczucia – mówił dalej Chester, wpatrując się tym razem w podłogę. – Nigdy już nie wrócimy do domu, prawda?

– Posłuchaj, nie ma się co załamywać. Udało się nam tutaj dostać, to i znajdziemy jakiś sposób, żeby się stąd wydostać – mówił Will z przekonaniem, próbując pocieszyć przyjaciela, choć sam czuł się ogromnie zagubiony i przygnębiony całą sytuacją.

Później żaden z nich nie miał już ochoty na rozmowę. W celi słychać było tylko nieustające, wszechobecne buczenie i szelest odnóży owadów, przemykających w ciemności po podłodze.

Will obudził się raptownie, chwytając ustami powietrze, jakby wynurzył się właśnie z wody. Z zaskoczeniem stwierdził, że udało mu się zasnąć na metalowej półce, w niewygodnej, półsiedzącej pozycji. Jak długo spał? Rozejrzał się zaspanymi oczami po mrocznym wnętrzu celi. Chester stał oparty plecami o ścianę i wpatrywał się w drzwi. Will niemal fizycznie czuł bijący od niego strach.

Odruchowo spojrział w to samo miejsce co Chester. Przez judasza widać było twarz Drugiego Oficera, a właściwie tylko jego oczy i nos.

Chwilę później zazgrzytał klucz w zamku, a drzwi otworzyły się na całą szerokość, odsłaniając ciemną, złowrogą sylwetkę policjanta.

– TY! – rzucił mężczyzna do Willa. – WYCHODŹ!

– Dlaczego? Po co?

– RUSZAJ SIĘ! – ryknął policjant.

– Will? – odezwał się zalęknionym głosem Chester.

– Nie martw się, Chester, nic mi nie będzie – odrzekł słabo Will, wstając i prostując zeszywniałe nogi. Próbował je nieco rozruszać, zmiernając koślawo nierównym krokiem do drzwi. Gdy tylko opuścił cełę, ruszył bez pytania w głąb korytarza.

– Stój! – warknął za nim policjant, zatraskując drzwi. Potem zamknął rękę Willa w bolesnym uścisku i poprowadził go przez labirynt ponurych korytarzy o łuszczących się ścianach i kamiennych podłogach, które odbijały głuchym echem ich kroki. W końcu zeszli po wąskich schodach do krótkiego, ślepego tunelu. W powietrzu unosił się zapach wilgoci i ziemi, niczym w starej piwnicy.

W połowie długości korytarza znajdowały się otwarte drzwi, przez które wypływało światło. Will czuł, jak narastający strach ściska mu żołądek i podchodzi do gardła. Gdy dotarli do drzwi, policjant wepchnął go do środka i zatrzymał raptownie. Oślepiiony intensywnym blaskiem Will zmrużył oczy i rozejrzał się dokoła.

Pokój był niemal całkiem pusty, znajdowało się w nim tylko jedno dziwne krzesło i metalowy stół, za którym stały dwie wysokie, chude postacie. Sylwetki pochylały się ku sobie tak nisko, że niemal dotykały się głowami, wymieniając konspiracyjne szepty. Will wyteżył słuch. Jednak wydawało się mu, że tajemniczy ludzie rozmawiają w jakimś obcym języku, pełnym dziwnie piskliwych i niepokojących dźwięków. Choć starał się, jak mógł, nie rozumiał ani słowa.

Stał w bezruchu i czekał, z ręką wciąż zamkniętą w żelaznym uścisku policjanta, przejęty coraz większym lękiem. Od czasu do czasu dziwni ludzie zerkali na niego z ukosa, Will nie śmiał jednak nawet się poruszyć w obecności tych przerażających osobników.

Obaj byli identycznie ubrani, mieli charakterystyczne, nieskazitelnie białe kołnierze, tak ogromne, że zakrywały ramiona ich sztywnych, sięgających ziemi skórzanych płaszczy, które skrzypiały przy najmniejszym nawet ruchu. Ich chude, surowe twarze kolorem przypominały świeży kit, co podkreślało tylko głębię czarnych jak węgiel oczu. Obaj mieli też starannie wygolone skronie i mocno napomadowane włosy, przylegające gładko do czaszek, niczym lśniące jarmułki.

Nagle mężczyźni przerwali rozmowę i odwrócili się do Willa.

– Ci panowie to Styksowie – oświadczył Drugi Oficer. – Będziesz odpowiadał na ich pytania.

– Krzesło – powiedział Styks po prawej, nie odrywając wzroku od Willa.

Wskazał dłonią o długich palcach na dziwny mebel stojący między stołem a Willem. Ogarnięty złymi przecuciami Will nie zaprotestował ani słowem, gdy policjant go posadził. Z oparcia mebla wystawał metalowy pręt o regulowanej wysokości zakończony dwiema wyścielanymi łapami, które

zapewne przytrzymały głowę siedzącego. Drugi Oficer ustawił pręt na właściwej wysokości i zamknął łapy, zaciskając je mocno na skroniach Willa. Chłopiec próbował obrócić głowę i spojrzeć na policjanta, lecz metalowa obejma skutecznie mu to uniemożliwiła. Will zrozumiał, że nie ma innego wyjścia, jak tylko patrzeć prosto na Styksów, którzy stali w milczeniu za stołem i przyglądali mu się, niczym dwaj kapłani czekający na ofiarę.

Drugi Oficer pochylił się nisko. Kątem oka Will dojrzał, że wyciąga coś spod krzesła, a potem usłyszał brzęk klamer i skrzywienie starych skórzanych pasków. Policjant przywiązał mu lewą rękę do lewego uda, potem zrobił to samo z prawą częścią ciała.

– Dlaczego to robicie? – ośmielił się spytać Will.

– Dla twojego własnego dobra – odparł Drugi Oficer, przykucając, by przymocować kolana i kostki Willa do nóg krzesła. Mężczyzna przyciągał je z taką siłą, że paski wrzynały się boleśnie w ciało chłopca. Will skrzywił się i poprawił na krześle, znieruchomiał jednak, zauważywszy z przerażeniem, że Styksów najwyraźniej to bawi. Wreszcie policjant wyjął ostatni, szeroki na dziesięć centymetrów pasek, który przeciągnął wokół piersi i ramion chłopaka, a potem zapiął za oparciem. Zakończywszy pracę, stanął na baczność, a gdy jeden ze Styksów skinął głową i mruknął coś pod nosem, opuścił pokój, starannie zamykając za sobą drzwi.

Pozostawiony sam na sam z dwoma Styksami Will obserwował ze zgrozą, jak jeden z nich wyjmuje jakąś dziwną lampę i stawia ją na środku stołu. Lampa miała solidną podstawę i krótkie zakrzywione ramię, zwieńczone stożkowatym abażurem. We wnętrzu abażuru znajdował się przedmiot przypominający ciemnofioletową żarówkę. Przywiodło to Willowi na myśl starą lampę kwarcową, którą widział kiedyś w muzeum ojca. Styks postawił obok lampy czarną skrzynkę ze wskaźnikami i przełącznikami, a potem połączył oba urządzenia powyginanym brązowym kablem. Błady palec mężczyzny nacisnął przełącznik. Z wnętrza pudełka wydobyło się łagodne buczenie.

Jeden Styks odsunął się o krok od stołu, podczas gdy drugi, nadal pochylony nad lampą, manipulował pokrętłami i przełącznikami. Fioletowa żarówka rozbłysła na moment przytłumionym blaskiem, później jednak znów zgasła.

– Chcecie zrobić mi zdjęcie? – spytał Will, siląc się na żart, choć wcale nie było mu do śmiechu. Styks zignorował go, zajęty kręceniem jakimś regulatorem, zupełnie jakby chciał znaleźć stację radiową.

Nagle Will poczuł dziwny ucisk we wnętrzu głowy, tuż za oczami. Otworzył usta w bezgłośnym ziewnięciu, próbując pozbyć się nieprzyjemnego uczucia. W tym samym czasie w pokoju zaczęło się robić coraz ciemniej, jakby urządzenie Styksów dosłownie wysysało światło. Myśląc, że być może zaczyna ślepnąć, Will zamrugał kilkakrotnie oczami i otworzył je najszerzej, jak mógł. Z ogromnym trudem dostrzegał sylwetki dwóch Styksów oblane bladą poświatą, która odbijała się od ściany za ich plecami.

Po chwili Will zdał sobie sprawę z obecności nieustającego, pulsującego buczenia, jednak w żaden sposób nie potrafił zlokalizować jego źródła. W miarę jak dźwięk przybierał na sile, z głową chłopca zaczęło dziać się coś dziwnego – wszystkie kości i ścięgna wpadały w wibracje. Czuł się tak, jakby stał tuż pod lądującym samolotem. Wydawało mu się, że drgania przybierają postać kolczastej kuli umieszczonej w samym środku jego głowy. Teraz naprawdę ogarnęło go przerażenie, nie mógł jednak nic zrobić, skrępowany i niezdolny poruszyć ręką ani nogą.

Podczas gdy Styks manipulował pokrętłami na czarnej skrzynce, kula zaczęła się przemieszczać, powoli opuszczała się w głąb klatki piersiowej Willa, a następnie dosięgła jego serca. Chłopiec mimowolnie wstrzymał oddech, a potem zakaszał. Później kula na przemian opuszczała jego ciało i wpływała w nie z powrotem, od czasu do czasu zastygała też w bezruchu tuż za plecami. Zachowywała się niczym żywe stworzenie, które wytrwale czegoś szuka. Po chwili znów się przemieściła i zawisała na wysokości karku, zanurzona do połowy w ciele chłopca.

– Co się dzieje? – spytał Will, zbierając się na odwagę, lecz ciemne postacie Styksów nie odpowiedziały ani słowem. – Nie myślcie sobie, że się boję tych waszych sztuczek. Wcale mnie to nie rusza.

Styksowie milczeli.

Will zamknął na sekundę oczy, lecz gdy ponownie je otworzył, przekonał się, że w panującej wokół ciemności nie widzi już nawet zarysów sylwetek Styksów. Zaczął się szarpać.

– Brak światła cię niepokoi? – spytał Styks po lewej.

– Nie, dlaczego miałby mnie niepokoić?

– Jak się nazywasz? – Słowa te wbiły się w głowę Willa niczym nóż wylatujący z ciemności.

– Mówiłem wam już, nazywam się Will. Will Burrows.

– Podaj swoje prawdziwe nazwisko! – I znów głos pytającego przejął Willa fizycznym bólem, jakby każde słowo wyzwało w skroniach wstrząs elektryczny.

– Nie wiem, o co wam chodzi – odpowiedział przez zaciśnięte zęby.

Kula energii zaczęła się przesuwać do środka głowy chłopaka. Pulsujące buczenie przybrało na sile, przenikało jego ciało, spowijało je grubym całunem.

– Jesteś z człowiekiem o nazwisku Burrows? Willowi kręciło się w głowie, raz za razem przeszywała go fala nieznośnego bólu. Czuł dziwne, nieprzyjemne mrowienie w stopach i dłoniach, jakby ktoś wbijał w nie tysiące igieł. To straszliwe uczucie ogarniało powoli całe ciało.

– On jest moim tatą! – krzyknął.

– Po co tutaj przyszedłeś? – Ostry, wyraźny głos był teraz bliżej.

– Co z nim zrobiliście? – pytał ogłuszony Will, przełykając strumień śliny napływający do ust. Czuł, że lada moment zwymiotuje.

– Gdzie jest twoja matka? – Opanowany, lecz uporczywy głos dobiegał teraz z kuli we wnętrzu głowy Willa, zupełnie jakby obaj Styksowie wtargnęli tam i w gorączkowym pośpiechu przeszukiwali jego umysł, niczym włamywacze, którzy plądrują szuflady i szafki w poszukiwaniu cennych przedmiotów.

– Po co tu przyszedłeś? – spytali ponownie.

Will próbował wyrwać się z krępujących go więzów, uświadomił sobie jednak, że nie czuje już własnego ciała. Właściwie czuł się tak, jakby została z niego tylko głowa, unosząca się leniwie w powietrzu, w gęstej mgie ciemności, w której nie ma żadnych kierunków, góry ani dołu.

– NAZWISKO? ZAMIARY? – Pytania nadchodziły jedno za drugim, Will jednak nawet nie próbował odpowiadać, czując, jak wypływają z niego resztki energii. Potem głos zaczął przycichać, jakby Will się oddalał. Wykrzykiwane z mocą słowa docierały do niego z wielkiej odległości, a każde z nich zamieniało się w punkt białego światła, rozkołysany i drżący, aż ciemność wypełniła się wrzącym morzem świetlistych punkcików, tak jasnych i intensywnych, że aż bolały oczy. Wokół unosiły się szorstkie, niemilknące szepty, cały świat kołysał się i wirował wokół własnej osi. Willa ogarnęła kolejna, ogromna fala mdłości, jego głowa wypełniła się nieznośnym, piekącym bólem. Osłepiająca biel kłębiła się w umyśle, coraz gęstsza i gęstsza, wydawało się, że lada moment rozsądzi mu głowę.

– Zaraz zwymiotuję... proszę... zwymiotuję... słabo mi... proszę... – światło białego bezmiaru pochłonęło go niczym ogień, czuł, jak się kurczy, aż stał się maleńką drobiną w olbrzymiej białej pustce. Potem światło zaczęło przygasać, piekący ból powoli słabł, aż wreszcie zapanowała cisza i ciemność, jakby cały wszechświat obrócił się w nicość.

Odzyskał przytomność, gdy Drugi Oficer, który trzymał go mocno pod ramię, przekręcił klucz w drzwiach celi. Skrajnie wyczerpany, nie mógł utrzymać się na nogach. Jego ubrania były poplamione wymiocinami, w ustach czuł kwaśny, metaliczny posmak, od którego znów miał mdłości. Głowa pękała mu z bólu, a gdy spróbował podnieść wzrok, ujrzał tylko ciemność. Kiedy przekroczył próg celi, z jego ust wyrwał się głuchy jęk.

– Teraz już tak nie chojrakujesz, co? – powiedział policjant, puszcżając ramię Willa. Chłopiec próbował iść o własnych siłach, ale nogi miał jak z waty. – Wszyscy miękną po pierwszym spotkaniu z Ciemnym Światłem.

Will zrobił kilka kroków, później jednak opadł na kolana kompletnie wyczerpany z sił. Chester podbiegł do niego, przerażony wyglądem i stanem przyjaciela.

– Will, Will, co oni ci zrobili? – dopytywał się rozpaczliwie, sadżając go na półce. – Nie było cię przez kilka godzin.

– Jestem tylko zmęczony... – wymamrotał Will. Opadł na metalowe siedzisko i zwinął się w kłębek, przykładając obolałą głowę do cudownie chłodnego ołowiu. Zamknął oczy... chciał tylko spać... lecz wciąż nie czuł się dobrze, wciąż zbierało mu się na wymioty.

– TY! – ryknął Drugi Oficer. Chester aż podskoczył w miejscu i odwrócił się do policjanta, gdy ten przywoływał go do siebie, kiwając grubym palcem.

– Twoja kolej.

Chester spojrzał na Willa, który leżał w bezruchu, nieprzytomny.

– Och, nie...

– JUŻ! – wrzasnął ponownie policjant. – Pójdiesz sam, albo ja cię tam zabiorę.

Chester, ociągając się, wyszedł z celi. Zamknawszy drzwi, policjant chwycił go za rękę i ruszył w głąb korytarza.

– Co to jest Ciemne Światło? – spytał Chester, ledwie żywy ze strachu.

– Tylko pytania – uśmiechnął się policjant. – Nie ma się czego obawiać.

– Ale ja nic nie wiem...

Will otworzył oczy, wyrwany ze snu skrzypieniem klapki umieszczonej w dolnej części drzwi.

– Jedzenie – oświadczył czyjś chłodny głos. Umierał z głodu. Podniósł się do pozycji półleżącej, pojękując cicho. Był okropnie obolały, jakby chorował na gripę. Gdy tylko próbował się poruszyć, ból przejmował każdą kość i każdy mięsień w jego ciele.

– O Boże! – jęknął głucho, a potem nagle pomyślał o Chesterze. Przez uchyloną klapkę do celi wpadało nieco więcej światła niż zazwyczaj, dzięki czemu od razu dostrzegł przyjaciela leżącego w pozycji embrionalnej na podłodze obok półki. Jego oddech był płytki, twarz blada i pokryta potem.

Will powoli się wyprostował i z największym trudem przeniósł dwie tace z jedzeniem na ołowianą półkę. Przyjrzał się pobieżnie zawartości tac. Stały na nich dwie miski z jakąś ciemną substancją i dwa powyginane cynowe kubki. Wyglądało to mało apetycznie, ale przynajmniej było ciepłe i nie śmierdziało.

– Chester? – powiedział cicho Will, kucając obok przyjaciela. Czuł się okropnie – on i tylko on był odpowiedzialny za wszystko, co się teraz z nimi działo. Delikatnie potrząsnął kolegę za ramię. – Hej, nic ci nie jest?

– Ee... ssoo... ? – ten jęknął i spróbował podnieść głowę. Will zauważył smugi zakrzepłej krwi na jego twarzy, pod nosem i na policzku. Wyglądało na to, że chłopiec krwawił z nosa.

– Jedzenie, Chester. Wstawaj, poczujesz się lepiej, kiedy coś zjesz.

Will podciągnął chłopaka do pozycji siedzącej i oparł go plecami o ścianę. Zwilżył skraj rękawa w jednym z kubków i zaczął ścierać krew z twarzy przyjaciela.

– Zostaw mnie w spokoju! – zaprotestował słabo Chester, próbując odepchnąć go od siebie.

– Tak już lepiej. Proszę, zjedz coś – powiedział Will, podając Chesterowi miszkę, ten jednak natychmiast ją od siebie odsunął.

– Nie jestem głodny. Czuję się okropnie.

– Przynajmniej trochę się napij. To chyba jakaś herbata ziołowa. – Will podał Chesterowi napój. Tym razem chłopiec przyjął gorący kubek i zamknął go w dłoniach.

– O co cię pytali? – wybełkotał Will z ustami pełnymi szarej papki.

– O wszystko. Nazwisko... adres... twoje nazwisko... wszystko po kolei. Większości i tak nie pamiętam. Chyba zemdlałem... Naprawdę myślałem, że umrę... – mówił Chester beznamiętnym tonem, wpatrując się tępo w przestrzeń.

Will zaczął cicho chichotać. Choć mogło się to wydawać dość dziwnie, wysłuchiwanie skarg przyjaciela łagodziło jego własne cierpienie.

– Co w tym śmiesznego? – spytał Chester ze złością. – To wcale nie jest zabawne.

– Nie – śmiał się Will. – Wiem. Przepraszam. Spróbuj tego. Jest całkiem smaczne.

Chester wzdrygnął się z obrzydzeniem, spojrzawszy na szarą papkę w misce. Mimo to wziął do ręki łyżkę i zanurzył ją w jedzeniu, a potem powąchał podejrzliwie.

– Pachnie nie najgorzej – stwierdził, próbując przekonać samego siebie.

– Po prostu to zjedz, dobrze? – powiedział Will, pakując do ust kolejną porcję. Czuł, jak wraz z każdym kęsem wracają mu siły. – Wydaje mi się, że powiedziałem im coś o mamie i Rebecce, ale nie wiem, czy mi się to przypadkiem nie przyśniło. – Przełknął i milczał przez chwilę, przygryzając nerwowo wargę. – Mam nadzieję, że jeszcze ich nie wpakowałem w kłopoty. – Sięgnął do miski i, przeżuując, mówił dalej, nękany różnymi wspomnieniami. – No i ten dziennik taty... ciągle mam to przed oczami, widzę wszystko całkiem wyraźnie, jakbym tam był. Ich długie palce otwierają go, przewracają kartka po kartce. Ale to nie mogło wydarzyć się naprawdę, co? Wszystko mi się pomieszało... A co z tobą?

Chester skrzywił się odruchowo.

– Nie wiem. Być może wspomniałem o piwnicy w twoim domu... i o twojej rodzinie... twojej mamie... i Rebecce... tak... mogłem coś o niej powiedzieć... ale... Boże, nie wiem... wszystko się tak poplątało... Właściwie nie pamiętam co powiedziałem, a co tylko pomyślałem. – Chester odstawił kubek i ukrył twarz w dłoniach. W tym czasie Will odchylił się do tyłu i spojrzał na sufit.

– Ciekawe, która jest godzina – westchnął. – Tam, na górze.

Styksowie przesłuchiwali ich przez cały następny tydzień – chłopcy mogli się tylko domyślać, ile czasu minęło od chwili, gdy zostali pojmani, gdyż dzień w ich celi nie różnił się niczym od nocy – a każde przesłuchanie i każde zetknięcie z Ciemnym Światłem kończyło się tak samo – krańcowym wyczerpaniem, niepewnością co do tego, jakie informacje wyjawili oprawcom, i napadami okropnych, niepowstrzymanych mdłości.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym żaden z chłopców nie został wezwany na przesłuchanie. Choć nie mogli być tego pewni, obaj czuli, że Styksowie dowiedzieli się już wszystkiego, co ich interesowało. Obaj też mieli nadzieję, że tym samym straszliwe spotkania z Ciemnym Światłem dobiegły końca.

Mijały kolejne godziny wypełnione niespokojnym snem, odmierzane porami posiłków. Gdy chłopcy odzyskali już nieco siły, dzielili czas między nerwowe przechadzanie się po celi, leżenie na półce i krzyczenie przez drzwi, co oczywiście i tak nie przynosiło żadnych efektów. W mdłym, niezmiennym świetle zupełnie stracili poczucie czasu, nie wiedzieli, czy mijają tylko godziny, czy też całe dni.

Za ścianami celi toczyły się zawile procesy, które miały zadecydować o ich losie – dochodzenia, spotkania i narady, wszystkie prowadzone w tajemnym, zgrzytliwym języku Styksów.

Chłopcy, niczego nieświadomi, robili co w ich mocy, by nie upaść na duchu. Godzinami rozmawiali szeptem o różnych sposobach ucieczki, zastanawiali się wspólnie, czy Rebeka w końcu odkryje prawdę i przyjdzie im na ratunek. Byli na siebie wściekli, że nie zostawili żadnego listu! A może to ojciec Willa był odpowiedzią na wszystkie problemy? Może on mógł ich jakoś wydostać z tego miejsca? I jakież to mieli dziś dzień tygodnia? I, co ciekawsze, skoro nie myli się już od tyłu dni, ich ubrania musiały okropnie śmierdzieć, dlaczego więc w ogóle nie czuli swojego zapachu?

Podczas jednej z takich rozmów, kiedy debatowali nad tym, kim są wszyscy ci ludzie i skąd się tu wzięli, zazgrzytała nagle klapka judasza i do celi zajrzał Drugi Oficer. Chłopcy natychmiast umilkli, czekając, aż ucichnie nieprzyjemny szcęk zamka, a drzwi otworzą się na całą szerokość i ukażą im

potężną, ponurą postać policjanta. Który z nich pójdzie tym razem?

– Goście.

Chłopcy spojrzeli na siebie ze zdumieniem.

– Goście? Do nas? – spytał Chester z niedowierzaniem.

Policjant pokręcił wielką głową i spojrział na Willa. – Ty.

– A co z Ches... ?

– Wychodź. JUŻ! – wrzasnął Drugi Oficer.

– Nie martw się, Chester. Nigdzie bez ciebie nie pójde – oświadczył z mocą Will, zwróciwszy się do przyjaciela, który usiadł z powrotem na półce, uśmiechając się smutno i kiwając głową.

Will wstał i wyszedł powoli na korytarz. Chester czekał w milczeniu, aż drzwi się za nim zatrzasną. Osamotniony spojrział na swoje ręce, szorstkie i oblepione brudem. Ogarnęła go ogromna tęsknota za domem i wszystkimi wygodami, jakie się tam znajdowały. Coraz częściej nie mógł sobie poradzić z poczuciem bezradności i dojmującą, niemal fizycznie bolesną frustracją. Czuł, jak jego oczy wypełniają się łzami. Nie, nie będzie płakał, nie da im tej satysfakcji. Wiedział, że Will coś wymyśli, a kiedy już się to stanie, on będzie gotowy.

– Daj spokój, mięczaku – upomniał po cichu samego siebie, ocierając rękawem oczy. – Na ziemię i dwadzieścia – dorzucił, naśladując głos swego trenera, po czym położył się na podłodze i zaczął robić pompki, odliczając głośno.

Tymczasem Will znalazł się w pokoju o pobielonych ścianach i wypolerowanej podłodze. Na środku pomieszczenia stał wielki dębowy stół, a wokół niego kilka krzeseł. Za stołem siedziały dwie postacie. Will nie widział ich wyraźnie, gdyż jego wzrok, przywykły do ciemności zalegających w celi, nie dostosował się jeszcze do jasnego światła. Chłopiec przetarł oczy, a potem spojrział na siebie. Brudna koszula poplamiona była jego wymiocinami. Przeciągnął po niej dłonią, a potem podniósł wzrok na dziwne okno lub świetlik, umieszczone na ścianie po jego lewej ręce. Powierzchnia szkła, jeśli to rzeczywiście było szkło, kryła w sobie dziwną, granatowo-czarną głębię. Wydawało się, że głębia ta pochłania wszelkie światło, nie odbijał się w niej nawet blask kul zawieszonych w pokoju.

Z nieznanego powodu Will nie mógł oderwać oczu od czarnego okna. Nagle wszystko zrozumiał. Ogarnęło go nowe, choć zarazem dobrze mu znane uczucie: oni tam byli. Oni przyglądali się temu wszystkiemu. Im dłużej wpatrywał się w ciemność, tym bardziej go wypełniała, podobnie jak Ciemne Światło. Poczul gwałtowny napad bólu przeszywającego głowę. Przechylił się gwałtownie do przodu, jakby miał zemdleć, na szczęście w ostatniej chwili trafił wyciągnięta odruchowo lewą ręką na oparcie krzesła. Policjant, widząc, co się dzieje, chwycił go za drugą rękę i pomógł mu usiąść naprzeciwko dwójki nieznajomych.

Will wziął kilka głębokich oddechów, czekając, aż zawroty głowy miną. Uniósł wzrok, gdy ktoś zakaszał. Naprzeciwko siedział barczysty mężczyzna, a obok niego – trochę z tyłu – mały chłopiec. Mężczyzna przypominał wielu spośród tych, których Will miał już okazję zobaczyć – równie dobrze mógłby to być Drugi Oficer w cywilnym ubraniu. Nieznajomy wpatrywał się w Willa z ledwie skrywaną pogardą. Jednak chłopak był zbyt oszołomiony i zmęczony, by się tym przejmować,

odpowiedział więc mężczyźnie tępym, pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

W tej samej chwili zgrzytnęły nogi przesuwanego po podłodze krzesła, a Will przeniósł spojrzenie na chłopca, który przybliżył się właśnie do stołu. Dzieciak przyglądał mu się z ogromnym zaciekawieniem. Miał szczerą, przyjazną twarz. Właściwie była to pierwsza przyjazna twarz, jaką Will widział od chwili aresztowania. Przypuszczał, że chłopiec jest od niego młodszy o kilka lat. Miał krótko przycięte, niemal białe włosy, niebieskie oczy lśniły figlarnie. Na ustach chłopca błędził lekki uśmiech, który wydawał się Willowi dziwnie znajomy. Próbował sobie przypomnieć, gdzie go widział, lecz jego umysł był zbyt otępiały i oszołomiony. Spojrzał na chłopca spod przymrużonych powiek, ponownie usiłując odszukać w pamięci jego obraz, lecz bez rezultatu. Czuł się tak, jakby pływał w mrocznym basenie i próbował znaleźć coś cennego, posługując się tylko zmysłem dotyku. Znow zaczęło mu się kręcić w głowie, zamknął więc oczy i zacisnął mocno powieki.

Słyszał, jak nieznajomy mężczyzna odchrząkuje.

– Nazywam się Jerome – oświadczył urzędowym, bezbarwnym tonem. Słysząc było wyraźnie, że nie czuje się dobrze w tej sytuacji i chciałby jak najszybciej zakończyć spotkanie. – To jest mój syn...

– Cal – wtrącił chłopiec.

– Caleb – poprawił go szybko mężczyzna.

W pokoju zapadła krępująca cisza, lecz Will nadal nie otwierał oczu. Zanurzony w ciemnościach, czuł się odizolowany od otoczenia i bezpieczny. Ta świadomość była zaskakująco miła i pocieszająca.

Pan Jerome spojrział ze złością na Drugiego Oficera.

– To nie ma sensu – burknął. – Tracimy tylko czas. Policjant pochylił się do przodu i trącił Willa w ramię.

– Usiądź prosto i bądź miły dla swojej rodziny. Okaż trochę szacunku.

Will, zaskoczony, natychmiast otworzył oczy. Obrócił się na krześle i spojrział ze zdumieniem na policjanta.

– Co?

– Powiedziałem, żebyś był miły... – wskazał głową na pana Jerome'a – ... dla swojej rodziny.

Will odwrócił się ponownie w stronę mężczyzny i chłopca.

– O czym wy mówicie?

Pan Jerome wzruszył ramionami i spuścił wzrok, zaś chłopiec zmarszczył brwi i przenosił wzrok z Willa na policjanta i na swego ojca, jakby nie rozumiał właściwie, co się dzieje.

– Chester ma rację, wyście tu wszyscy powariowali – krzyknął Will i skulił się odruchowo, gdy Drugi Oficer podniósł rękę, robiąc krok w jego stronę. Sytuację uratował chłopiec.

– To na pewno pamiętasz – powiedział, sięgając do starej płóciennej torby na jego kolanach. Wszyscy patrzyli wyczekująco, kiedy wyjął ze środka niewielki przedmiot i położył go na stole przed Willem. Była to rzeźbiona drewniana zabawka, szczur albo mysz. Miała pomalowany na biało, porysowany i wyblakły pyszczek, a maleńki płaszcz nosił ślady przetarcia, lecz ślepia lśniły

dziwnym blaskiem. Cal spojrzał na Willa.

– Babcia powiedziała, że to była twoja ulubiona zabawka – mówił dalej, nie doczekawszy się żadnej reakcji. – Dostałem ją, kiedy odszedłeś.

– O czym ty mówisz? – zdumiał się Will. – Kiedy i dokąd odszedłem?

– Niczego nie pamiętasz? – spytał Cal. Spojrzał z szacunkiem na swego ojca, który siedział teraz z rękami złożonymi na piersiach.

Will sięgnął po zabawkę, by przyjrzeć się jej z bliska. Gdy przechyliło się ją do tyłu, na oczy zwierzątka nasuwały się dwie powieki – osłony kierowane ukrytą we wnętrzu figurki przeciwwagą. Will uświadomił sobie, że w głowie myszki musi znajdować się mała kula, która rozświetla szklane paciorki imitujące oczy zwierzęcia.

– Teraz śpi – powiedział Cal, po czym dodał: – Miałeś tę zabawkę... w swoim łóżeczku.

Will wypuścił nagle drewnianą mysz, jakby ugryzła go w rękę.

– O czym ty gadasz? – warknął na chłopca.

Przez moment wszyscy spoglądali po sobie niepewnie, a w pokoju znów zapadła nieznośna cisza, przerywana tylko przez Drugiego Oficera, który nucił pod nosem jakąś melodię. Cal otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, wydawało się jednak, że nie potrafi znaleźć właściwych słów. Will siedział wpatrzony w drewnianą zabawkę, aż Cal schował ją z powrotem do worka. Potem chłopiec podniósł wzrok na Willa i zmarszczył brwi.

– Masz na imię Seth – oświadczył smutnym, niemal obrażonym tonem. – Jesteś moim bratem.

– Ha! – Will roześmiał się szyderczo, a potem, gdy wezbrała w nim gorycz i żal wywołane traktowaniem, jakiego doznał z rąk Styksów, pokręcił głową i przemówił do chłopca szorstkim tonem: – Tak. Jasne. Co tylko powiesz.

Miał już dość tej farsy. Znał swoją rodzinę i wiedział, że z pewnością nie należy do niej ta para żartownisiów, którą miał przed sobą.

– To prawda. Twoja matka była również moją matką. Próbowwała uciec z nami oboma. Zabrała cię do Górnoziemia, a mnie zostawiła z babcią i tatą.

Will przewrócił oczami i powiedział do Drugiego Oficera:

– Bardzo sprytne. Świetna sztuczka, ale nie dam się na nią nabrać.

Policjant wydał usta, ale nie odezwał się ani słowem.

– Zostałeś przyjęty przez rodzinę Górnoziemców... – mówił coraz głośniejszym głosem Caleb.

– Jasne, ale nie dam się nabrać rodzinie majaczących cudaków, którzy mieszkają pod ziemią! – odparł ze złością Will, powoli tracąc nad sobą panowanie.

– Szkoda zachodu, Caleb – powiedział pan Jerome, kładąc dłoń na ramieniu chłopca. Cal stracił ją jednak i mówił dalej, choć w jego głosie słychać już było nutę rozpacz.

– Oni nie są twoją prawdziwą rodziną. My nią jesteśmy.

Will patrzył na pana Jerome'a, którego poczerwieniała twarz wyrażała jedynie odrazę. Potem spojrzał ponownie na Cala. Ten siedział teraz zgarbiony i zrezygnowany, z pochyloną nisko głową. Wszystko to jednak nie zrobiło żadnego wrażenia na Willu. Był przekonany, że to tylko jakiś obrzydliwy żart. „Naprawdę sądzą, że jestem taki głupi, by w to wszystko uwierzyć?” – myślał.

Pan Jerome podniósł się z krzesła i zaczął pośpiesznie zapinać płaszcz.

– To do niczego nie prowadzi – stwierdził.

Cał także wstał i powiedział cicho:

– Babcia zawsze mówiła, że kiedyś wrócisz.

– Nie mam żadnych babć ani dziadków. Wszyscy dawno już umarli! – krzyknął Will, zrywając się z krzesła. Jego oczy płonęły gniewem, a zarazem były pełne łez. Jednym susem znalazł się przy czarnym oknie w ścianie i przycisnął twarz do jego powierzchni.

– Bardzo sprytnie! – wrzasnął. – Prawie wam się udało! Przysłonił oczy, próbując dojrzeć, co kryje się za szybą, widział jednak tylko nieprzeniknioną ciemność. Drugi Oficer chwycił go za ramię i odciągnął do tyłu. Will nie opierał się – na razie zupełnie stracił chęć do walki.

Rozdział 22

Rebeka leżała na łóżku i wpatrywała się w sufit. Przed chwilą wzięła gorącą kąpiel, więc teraz miała na sobie wściekle zielony szlafrok, a na głowie turban z ręcznika. Słuchała radia, nuciła pod nosem melodię, którą nadawano właśnie na kanale z muzyką poważną, i rozmyślała o wydarzeniach ostatnich trzech dni.

Wszystko zaczęło się pewnego późnego wieczoru, kiedy obudził ją głos dzwonka i gniewne walenie do drzwi. Musiała wstać i zejść na dół, bo pani Burrows po zażyciu silnych środków nasennych, przypisanych ostatnio przez lekarza, była praktycznie nieprzytomna. Nie obudziłaby jej nawet pijana orkiestra dęta stojąca nad łóżkiem.

Gdy Rebeka otworzyła frontowe drzwi, omal nie została stratowana przez ojca Chestera, który wpadł do przedpokoju i natychmiast zaczął bombardować ją pytaniami.

– Jest tutaj Chester? Jeszcze nie wrócił do domu. Próbowaliśmy dzwonić, ale nikt nie odbierał. – Miał popielato bladą twarz, ubrany był w pomięty płaszcz przeciwdeszczowy z zagiętym kołnierzem, jakby zakładał go w wielkim pośpiechu. – Pomyśleliśmy, że pewnie postanowił tu zostać na noc. Jest tutaj, prawda?

– Nie jestem... – zaczęła Rebeka, w tej samej jednak chwili zerknęła do kuchni i zobaczyła, że talerz z jedzeniem, które zostawiła dla Willa, stoi nietknięty.

– Powiedział, że pomaga Willowi w jakimś projekcie, ale... jest tutaj? Gdzie jest twój brat... możesz go tutaj zawołać? – Pan Rawls wyrzucał z siebie słowa w błyskawicznym tempie, spoglądając jednocześnie nerwowo na korytarz i schody.

Pozostawiwszy przejętego ojca samemu sobie, Rebeka pobiegła na górę, do pokoju Willa. Nawet nie pukała. Wiedziała dobrze, co zobaczy. Otworzyła drzwi i włączyła światło. Oczywiście Willa nie było w środku, a łóżko stało niezastane. Dziewczynka zgasiła światło, zamknęła drzwi i dopiero wtedy wróciła do pana Rawlsa.

– Mojego brata też nie ma – oznajmiła. – Wydaje mi się, że Chester był tutaj wczoraj wieczorem, jednak nie mam pojęcia, dokąd mogli obaj pójść. Może...

Usłyszawszy te słowa, ojciec Chestera zaczął mówić jeszcze szybciej, bez ładu i składu, bełkotał coś o sprawdzaniu ich ulubionych miejsc i wzywaniu policji, wreszcie wybiegł na zewnątrz, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Rebeka stała w przedpokoju, przygryzając wargę. Była na siebie wściekła, że nie wykazała się większą czujnością. Dziwne zachowanie Willa, te jego podchody i spotkania z nowym kumplem, wskazywały jednoznacznie, że już od tygodni coś knuł w tajemnicy przed nią. Tylko c o?

Rebeka zapukała do drzwi salonu i, nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, weszła do środka. W pokoju było w ciemno i duszno, rozlegało się głośne, regularne chrapanie.

– Mamo – odezwała się łagodnie, lecz stanowczo.

– Hmm... ?

– Mamo – powtórzyła Rebeka głośniejszym głosem, potrząsając panią Burrows za ramię.

– Ssoo... ?

– Mamo, obudź się, to ważne.

– Nnnie – odpowiedział jej zaspany głos.

– Obudź się. Will zniknął! – mówiła Rebeka coraz głośniejszym głosem.

– Zostaw... mnie... w spokoju... – burczała pani Burrows, ziewając leniwie i odtrącając dłoń Rebeki.

– Nie wiesz, dokąd poszedł? I Chester...

– Ooodeeejdź! – wrzasnęła piskliwie jej matka, przewracając się na bok i naciągając na głowę stary pled podróżny. Sekundę później zapadła z powrotem w stan hibernacji, o czym świadczyło głośne chrapanie. Rebeka westchnęła ciężko, sfrustrowana i bezradna.

Wróciła do kuchni i usiadła przy stole. Z numerem detektywa w jednej dłoni i słuchawką telefonu bezprzewodowego w drugiej przez dłuższy czas zastanawiała się, co robić. Dopiero nad ranem zdecydowała się w końcu zadzwonić, a ponieważ nikt nie odbierał, zostawiła wiadomość na sekretarce. Wróciła na górę do sypialni i próbowała czytać książkę, czekając na odpowiedź.

Policja pojawiła się dokładnie o 7.06. Dalej wypadki potoczyły się już własnym torem. Dom wypełnił się umundurowanymi funkcjonariuszami, którzy przeszukiwali każdy pokój, zaglądali do każdej szafki i szuflady. Wyposażeni w gumowe rękawiczki zaczęli od pokoju Willa, a później przeszli przez cały dom, kończąc w piwnicy, najwyraźniej jednak nie znaleźli niczego ciekawego. Rebeka obserwowała niemal z rozbawieniem, jak policjanci wyjmują ubrania Willa z kosza na bieliznę ustawionego przy łazience, starannie zamykają każdą część garderoby w oddzielnym plastikowym worku, a potem wynoszą je na zewnątrz. Zastanawiała się, czego mogą się dowiedzieć, badając jego brudne gacie.

Początkowo dziewczynka zajmowała się sprzątaniami bałaganu, który zostawili po sobie policjanci, wykorzystując tę czynność jako pretekst do chodzenia po domu i podsłuchiwanie rozmów prowadzonych przez funkcjonariuszy. Później, kiedy przekonała się, że nikt nie zwraca na nią najmniejszej nawet uwagi, przestała udawać, że zajmuje się porządkami, i zupełnie jawnie przechadzała się z pokoju do pokoju. Najwięcej czasu spędziła w przedpokoju, przy drzwiach salonu, gdzie detektyw Beatty i jakaś kobieta przesłuchiwali panią Burrows. Z tego, co usłyszała Rebeka, wynikało, że pani Burrows, na przemian poruszona zaginięciem syna, to znów całkiem obojętna, nie miała pojęcia o tym, gdzie może aktualnie przebywać Will.

Policjanci wynieśli się w końcu przed dom, gdzie stali w luźnej grupce, paląc papierosy, rozmawiając i się śmiejąc. Wkrótce potem z salonu wyszła para detektywów, a Rebeka odprowadziła ich do frontowych drzwi. Kiedy policjanci szli chodnikiem w stronę zaparkowanych w rzędzie samochodów, dziewczynka mimowolnie podsłuchiwała fragment ich rozmowy.

– To dopiero prawdziwy dramat rodzinny – mówił mężczyzna do koleżanki.

– Tak, to bardzo smutne – odrzekła kobieta.

– Pomyśl tylko... – Detektyw zatrzymał się na moment, by spojrzeć jeszcze raz na dom

Burrowsów.

– Utrata jednego członka rodziny to nieszczęśliwy wypadek... – Kobieta skinęła potakująco głową. – Ale kiedy znika bez śladu dwóch, sprawa robi się podejrzana – kontynuował detektyw. – Rzekłbym nawet, bardzo podejrzana.

Policjantka ponownie skinęła głową i uśmiechnęła się ponuro.

– Na wszelki wypadek powinniśmy chyba przeszukać dokładnie błonia – usłyszała jeszcze Rebeka, nim para detektywów oddaliła się na dobre od domu.

Nazajutrz policjanci przysłali po nie samochód. Pani Burrows była przesłuchiwana przez kilka godzin, podczas gdy Rebeka czekała na nią w innym pokoju w towarzystwie kobiety z opieki społecznej.

Teraz, trzy dni później, Rebeka jeszcze raz analizowała wszystkie te wydarzenia. Zamknąwszy oczy, przywołała w pamięci śmiertelnie poważne twarze policjantów w komisariacie i rozmowy, które wówczas słyszała.

– Tak dłużej być nie może – stwierdziła, spoglądając na zegarek. Wstała z łóżka, zdjęła ręcznik z głowy i szybko się ubrała.

Na dole pani Burrows leżała w objęciach fotela, zwinięta w kłębek i okryta podróżnym pledem, który owijał ją szczelnie niczym kraciasty kokon. Jedynym źródłem światła był włączony telewizor, a dokładniej rzecz biorąc wyciszony program uniwersytetu otwartego. Zimne niebieskie światło pulsowało nieregularnie, wprawiając cienie w gwałtowny ruch i nadając meblom i przedmiotom zamkniętym w pokoju pozór życia. Pani Burrows smacznie spała, kiedy nagle obudził ją jakiś hałas – głęboki pomruk niczym szum drzew w ogrodzie poruszanych silnych wiatrem. Uchyliła lekko powieki. W przeciwległym rogu salonu przy rozsuniętych do połowy zasłonach widać było potężną, mroczną sylwetkę. Przez moment pani Burrows zastanawiała się, czy śni, gdy cień poruszył się i przesunął w migotliwym blasku telewizora. Wyteżyła wzrok, próbując dojrzeć jakieś szczegóły. Zastanawiała się, czy to intruz. Co powinna zrobić? Udać, że śpi? Leżeć zupełnie nieruchomo, by nieproszony gość nie zawracał jej głowy?

Wstrzymała oddech, starając się zapanować nad rosnącym strachem. Sekundy przeciągały się w nieskończoność, a ciemny kształt wciąż tkwił w bezruchu. Zaczynała już wierzyć, że może to jednak tylko niewinny cień; wytwór wybujałej wyobraźni. Wypuściła powietrze z płuc i otworzyła oczy.

Nagle rozległo się głośnie sapnięcie i, ku przerażeniu kobiety, cień rozdzielił się na dwie widmowe plamy, które ruszyły w jej stronę. Podczas gdy zmysły pani Burrows zamarły na moment ze zgrozy i zdumienia, spokojny, opanowany głos w jej umyśle stwierdził z pełnym przekonaniem: „TO NIE SĄ DUCHY”.

W mgnieniu oka mroczne postacie znalazły się przy niej. Próbowwała krzyczeć, lecz z ust nie wydobył się żaden dźwięk. Szorstki materiał otarł się o jej twarz, poczuła dziwny zapach kojarzący się z pleśnią i stęchlizną. Potem uderzyła ją czyjaś wielka dłoń, a pani Burrows zgięła się w pół, przejęta bólem i pozbawiona oddechu, aż wreszcie niczym noworodek wciągnęła powietrze do płuc i wydała z siebie potworny wrzask.

Nie mogła nic zrobić, kiedy ktoś wyjął ją z fotela i wyniósł do przedpokoju. Zawodząc niczym upiór, szarpiąc się i wyginając, dostrzegła kątem jeszcze jedną mroczną postać w drzwiach piwnicy.

W tej samej chwili wielka wilgotna dłoń zakryła jej usta, tłumiąc krzyki.

„Kim oni są? Czego chcą?” – myślała gorączkowo. Nagle przyszła jej do głowy straszliwa myśl – ukochany telewizor i magnetowidy! O to chodziło! Właśnie po to przyszli! Taka ogromna niesprawiedliwość. Spotkało ją ostatnio tyle przykrości, a teraz jeszcze to. Pani Burrows wpadła w furie.

Jej ciało wypełniła nadludzka siła, jaką daje rozpacz i wściekłość. Wyzwoliła z uścisku jedną nogę i zaczęła kopać na oślep. Oprawcy natychmiast rzucili się na nią, próbując ją ponownie unieruchomić, lecz pani Burrows wyla się jak piskorz i wierzgała bez opamiętania. Nagle tuż obok niej pojawiła się twarz jednego z napastników. Pani Burrows natychmiast wykorzystwała okazję i rzuciła się naprzód, otwierając szeroko usta, a potem zaciskając z całej siły zęby. Zrozumiawszy, że chwyciła napastnika za nos, potrząsnęła głową niczym terier.

Rozległ się mrozący krew w żyłach wrzask, a uścisk na jej rękach zelżał na moment. To wystarczyło. Gdy mroczne postacie odskoczyły, zderzając się ze sobą, pani Burrows postawiła nogi na ziemi i przełożyła ręce do tyłu, niczym narciarz zjeżdżający w dół zbocza. Wrzeszcząc wściekle, umknęła trójce intruzów i wpadła do kuchni. Napastnicy stali przez moment w bezruchu, zaskoczeni, ściskając w dłoniach pusty pled niczym ogon uciekającej jaszczurki.

W mgnieniu oka pani Burrows znalazła się z powrotem w przedpokoju, wpadając pomiędzy trzy zwaliste postacie. Rozpętało się piekło.

Rebeka obserwowała rozwój wypadków ze szczytu schodów, skąd rozciągał się widok na cały przedpokój. W półmroku widać było metaliczne błyski i twarz wykrzywioną drapieżnym grymasem. Twarz pani Burrows. Rebeka uświadomiła sobie, że jej matka trzyma w dłoni patelnię i wymachuje nią niczym szablą. Była to zupełnie nowa patelnia o wyjątkowo grubym dnie, pokryta teflonem.

Mroczne postacie raz po raz ruszały do ataku, lecz pani Burrows nie ustępowała ani na krok, odrzucając napastników licznymi ciosami patelni, która brzęczała donośnie w zetknięciu z twardymi czaszkami i łokciami. Rebeka przyglądała się uważnie, jednak czasami widziała tylko rozmazany zarys teflonowego oręża, które w nieprawdopodobnym tempie rozdzielało kolejne ciosy, wywołując lawinę jęków, syknięć i gniewnych posapywań.

– ŚMIERĆ! – wrzeszczała pani Burrows. – ZGIŃCIE!

Jeden z napastników wychylił się w przód, próbując chwycić panią Burrows za rękę i zatrzymać śmigającą w ciemnościach patelnię, natychmiast jednak został ukarany potężnym, druzgocącym wręcz ciosem. Agresor zawył niczym raniony pies i cofnął się o krok, pociągając za sobą pozostałą dwójkę. Potem wszyscy trzej obrócili się na pięcie i wypadli przez frontowe drzwi na zewnątrz. Poruszając się z zadziwiającą prędkością, niczym karaluchy uciekające przed światłem, wybiegli na ulicę i zniknęli w ciemnościach.

W ciszy, która zapadła po tym krótkim, lecz gwałtownym starciu, Rebeka zeszła powoli ze schodów i włączyła światło w przedpokoju. Pani Burrows, rozczochrana i zasapana, natychmiast wbiła w nią nie przytomne, szalone spojrzenie. Ciemne kosmyki włosów kładły się na jej białej twarzy niczym obwisłe rogi.

– Mamo... – zaczęła łagodnym tonem Rebeka.

Pani Burrows podniosła patelnię nad głowę i ruszyła chwiejnym krokiem w jej stronę. Widząc

drapieżny błysk w oczach matki, dziewczynka cofnęła się o krok, przekonana, że za moment to ona stanie się obiektem ataku.

– Mamo! Mamo, to ja, już wszystko dobrze, poszli sobie... wszyscy sobie poszli!

Pani Burrows zatrzymała się, spojrzała na Rebeke z wyrazem dziwnego samozadowolenia na twarzy, a potem skinęła powoli głową, najwyraźniej rozpoznając w końcu córkę.

– Już wszystko dobrze, mamo, naprawdę – próbowała ją uspokoić Rebeka. Przysunęła się ostrożnie do zaspanej kobiety i delikatnie wyjęła patelnię z jej dłoni. Pani Burrows nie stawiała oporu.

Dziewczynka odetchnęła z ulgą i rozejrzała się po przedpokoju, dostrzegając jakieś ciemne plamy na dywanie. To mogło być błoto albo – przyjrzała się bliżej i zmarszczyła brwi – krew.

– Jeśli krwawią... – przemówiła pani Burrows, spoglądając na dywan. – ... to mogę ich zabić. – Jej wargi rozsunęły się, odsłaniając zęby w drapieżnym grymasie. Roześmiała się okropnym, nienaturalnym i chrapliwym śmiechem.

– A może napijemy się herbatki? – zaproponowała Rebeka, siląc się na uśmiech, kiedy pani Burrows wreszcie ucichła. Objęła matkę w talii i zaprowadziła do salonu.

Rozdział 23

Zgrzyt otwieranych drzwi brutalnie wyrwał Willa ze snu. Drugi Oficer szarpał go, ściągając z ołowianej półki. Wciąż zaspany chłopiec został wywleczony z celi na korytarz, a potem do głównej sali, skąd trafił na szczyt kamiennych schodów przed budynkiem.

Gdy policjant w końcu go puścił, Will uczynił kilka chwiejnych kroków w dół schodów, nim wreszcie odzyskał równowagę i przystanął, półprzytomny i zdezorientowany. Drugi Oficer rzucił mu pod nogi jego plecak, po czym odwrócił się bez słowa i zniknął we wnętrzu komisariatu.

Will stał przez chwilę w bezruchu, mrużąc oczy, które po tylu dniach spędzonych w ciemnościach celi nie mogły przywyknąć do blasku latarni. Czuł delikatny powiew wiatru na twarzy – wilgotny i przesiąknięty stęchlizną, lecz i tak niezwykle ożywczy w porównaniu z zaduchem panującym w celi.

„Co teraz?” – pomyślał, drapiąc się w szyję pod kołnierzem szorstkiej koszuli, którą dał mu jeden z policjantów. Wciąż nieco zamroczony, zaczął ziewać. Zamknął jednak usta, usłyszawszy rżenie zniecierpliwionego konia i stukot kopyt o wilgotny bruk. Natychmiast podniósł wzrok i zobaczył czarny powóz stojący kilka metrów dalej po drugiej stronie drogi, zaprzężony w dwójkę śnieżnobiałych koni. Na koźle siedział woźnica z lejcami w dłoniach. Drzwi pojazdu otworzyły się nagle, a z jego wnętrza wyskoczył Cal; przeszedł przez ulicę i zatrzymał się przy schodach komisariatu.

– O co chodzi? – spytał Will podejrzliwie, cofając się o jeden stopień.

– Zabieramy cię do domu – odparł Cal.

– Do domu? Jakiego domu? Z tobą? Nie pójdę nigdzie bez Chestera – oświadczył stanowczo.

– Cii, przestań. Posłuchaj mnie. – Cal przysunął się bliżej i dodał półgłosem: – Obserwują nas. – Nie odrywając wzroku od Willa, wskazał głową na drugą stronę ulicy.

Na rogu stała samotna postać, mroczna niczym bezcielesny cień i nieruchoma niczym kamień. Od czarnej sylwetki odcinał się jedynie ogromny biały kołnierz.

– Nie pójdę nigdzie bez Chestera – syknął Will.

– Jak myślisz, co się z nim stanie, jeśli n i e pójdiesz z nami? Zastanów się tylko.

– Ale...

– Mogą traktować go łagodnie, ale mogą go też zadręczyć. Wszystko zależy od ciebie. – Cal spojrzał błagalnie w oczy Willa.

Will po raz ostatni obejrzał się na budynek komisariatu, westchnął ciężko i pokiwał głową z rezygnacją.

– Niech będzie.

Cal uśmiechnął się, wziął plecak Willa i ruszył w stronę czekającego powozu. Will szedł za nim z rękami w kieszeniach i zwieszoną głową. Nie podobało mu się to wszystko.

Gdy znaleźli się już w powozie i ruszyli w drogę, Will przyjrzał się uważnie surowemu wnętrzu pojazdu. Z pewnością nie nazwałby go komfortowym. Ławki, podobnie jak ściany, wykonane były z twardego, pokrytego czarnym lakierem drewna. W powietrzu unosił się zapach werniksu z domieszką wybielacza, co kojarzyło się Willowi z pierwszymi zajęciami na sali gimnastycznej po wakacyjnej przerwie. Wszystko było jednak lepsze od celi, w której spędził z Chesterem tyle dni. Will poczuł nagle ukłucie żalu na myśl o przyjacielu, wciąż uwięzionym, a teraz na dodatek samotnym. Zastanawiał się, czy ktokolwiek w ogóle poinformował Chestera, że on opuścił już więzienie. Poprzysiągł sobie w duchu, że znajdzie sposób, by uwolnić przyjaciela, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

Opadł z rezygnacją na oparcie ławki, położył nogi na przeciwległym siedzisku i odsunawszy skórzaną zasłonkę, wyjrzał przez otwarte okno. Powóz przejeżdżał z głuchym turkotem przez szerokie, opustoszałe ulice, mijając szeregi ponurych, podobnych do siebie domów i ciemnych wystaw sklepowych. Naśladowując Willa, Cal także rozsiadł się wygodniej i wyciągnął nogi, zerkając od czasu do czasu na towarzysza podróży i uśmiechając się do siebie z zadowoleniem.

Obaj chłopcy milczeli, pogrążeni w myślach. Nie minęło jednak dużo czasu, nim wrodzona ciekawość kazała Willowi z większą uwagą śledzić to, co było za oknem. Przez chwilę starał się chłonąć i zapamiętywać mijane widoki, lecz już po chwili powieki zaczęły mu coraz bardziej ciążyć, aż wreszcie ogromne zmęczenie i monotonia obrazów wzięły górę nad ciekawością. Wreszcie, ukołysany rytmicznym stukotem kopyt o bruk, zapadł w sen, z którego tylko od czasu do czasu wyrwały go szarpnięcia, gdy powóz podskakiwał na wybojach. Podnosił wówczas głowę z przestrachem, patrzył wokoło nieprzytomnym spojrzeniem, które ogromnie bawiło Calę, uspokajał się i znów przysypiał.

Nie wiedział, czy spał kilka minut, czy też kilka godzin, kiedy woźnica strzelił z bata i obudził go ponownie. Powóz przyspieszył, za oknami widać było ustawione w regularnych odstępach latarnie. Will pomyślał, że wjechali zapewne na przedmieścia jakiegoś miasta. Pomiędzy budynkami ciągnęły się pasy ziemi pokryte grządkami ciemnozielonych, niemal czarnych porostów. Później po obu stronach drogi pojawiły się pola podzielone krzywymi płotami na mniejsze parcele, porośnięte czymś, co przypominało olbrzymie grzyby.

Powóz zwolnił na chwilę, kiedy przejeżdżali przez mostek zawieszony nad kanałem. Will spojrzał w dół, na sunącą powoli wodę o konsystencji gęstego, brudnego oleju. Widok ten, z jakiegoś niejasnego powodu, napełnił go strachem.

Opadł na siedzenie i zaczął znów przysypiać, kiedy powóz przechylił się nagle na stromym zjeździe i skręcił w lewo. Potem, kiedy droga wróciła do poziomu, woźnica krzyknął: „Prr!”, a konie zaczęły zwalniać.

Will, całkiem już rozbudzony, wysunął głowę za okno, by zobaczyć, co się dzieje. Drogę przecinała olbrzymia metalowa brama, na poboczu zaś stała grupka ludzi, którzy grzali zziębnięte ręce przy koksowniku. Nieco dalej, na środku drogi, widniała samotna postać, która kiwała trzymaną w ręce lampą, dając woźnicy znak, by się zatrzymał. Gdy powóz znieruchomiał, Will dostrzegł z przerażeniem dobrze mu znaną, wynurzającą się z mroku sylwetkę Styksa. Szybko schował się we wnętrzu i zasunął szczelnie zasłonkę. Spojrzał pytająco na Calę.

– To Brama Czaszki. Główna droga wjazdowa do Kolonii – wyjaśnił Cal kojącym tonem.

– Myślałem, że już jesteśmy w Kolonii.

– Nie – odparł chłopiec, wyraźnie zadziwiony jego niewiedzą. – To była tylko Ćwiartka, jakby... placówka... miasto graniczne.

– Więc tam są jeszcze jakieś inne osady?

– Ba, całe mnóstwo!

Will zaniemówił. Spojrzał z przestachem na drzwi, zza których dochodził stukot butów, zmierzających w ich stronę. Cal chwycił go za rękę.

– Nie martw się, sprawdzają każdego, kto tędy przejeżdża. Po prostu się nie odzywaj. Jeśli pojawią się problemy, ja będę rozmawiał.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi po stronie Willa. Styks podniósł trzymaną w ręce lampę i oświetlił nią twarze chłopców, potem cofnął się o krok i odwrócił do woźnicy, który wręczył mu jakąś kartkę. Styks rzucił na nią okiem, po czym znów odwrócił się w stronę chłopców. Skierował jasny promień lampy prosto w oczy Willa, uśmiechnął się szyderczo i zatrzasnął drzwi powozu. Oddał kartkę woźnicy, skinął na strażnika przy bramie, obrócił się na pięcie i odszedł.

Słyszając głośnie, metaliczne szczęknięcie, Will ostrożnie uniósł brzeg zasłonki i wyjrzał na zewnątrz. Dopiero teraz, gdy lampa strażnika oświetliła bramę, zauważył, że jest ona wyposażona w spuszczaną żelazną kratę. Podniósł wzrok, obserwując chowającą się zaporę, i aż zamrugał ze zdumienia na widok zwieńczenia bramy. Z muru nad drogą wyrastała ogromna, bezzębna czaszka rzeźbiona w kamieniu.

– Można się przestraszyć – mruknął Will pod nosem.

– I tak ma być. To ostrzeżenie – odparł obojętnie Cal, kiedy woźnica strzelił z bata, a powóz przetoczył się przez bramę i wjechał do wnętrza ukrytej za nią jaskini.

Wychylony przez okno pojazdu, Will obserwował oddalającą się konstrukcję, dopóki nie przesłonił jej skalny załom na zakręcie tunelu. Konie przyśpieszyły kroku, powóz wyjechał z zakrętu i popędził w dół drogi, w głąb ogromnego tunelu wyciosanego w ciemnoczerwonym piaskowcu. Nie było tutaj żadnych budynków. W miarę jak tunel opuszczał się coraz niżej, zmieniało się powietrze – wypełniał je zapach dymu – a na chwilę wszechobecne buczenie przybrało na sile do tego stopnia, że wprawiało w drżenie drewniane ściany powozu.

Kiedy pokonali ostatni ostry zakręt, buczenie przycichło, a powietrze wyraźnie się oczyściło. Cal przysunął się do Willa, patrząc wraz z nim na olbrzymią przestrzeń otwierającą się za oknem powozu. Po obu stronach drogi stały rzędy budynków, nad nimi zaś po ścianach jaskini biegły niezliczone ceglane przewody, przypominające nabrzmiałe krwią, niezdrowe żyły. W oddali widać było kominy, z których wydobywały się języki błękitnych płomieni i pionowe smugi dymu, sięgające sklepienia grotu. Tam dym zbierał się w jedną olbrzymią chmurę, a jej powierzchnia falowała łagodnie niczym wody brązowego oceanu.

– To jest Kolonia, Will – powiedział Cal z twarzą przyklejoną do wąskiego okienka. – To jest...

Will chłonał wszystko szeroko otwartymi oczami, niemal zapominając z wrażenia o oddychaniu.

– ... dom.

Rozdział 24

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Will i Cal dojeżdżali do domu Jerome'a, Rebeka stała cierpliwie u boku kobiety z opieki społecznej, na trzynastym piętrze Mandela Heights, ponurego, zniszczonego bloku mieszkalnego w cieszącej się złą sławą dzielnicy podlondyńskiego miasteczka Wandsworth. Kobieta już po raz trzeci, jak dotąd bezskutecznie, naciskała dzwonek przy drzwiach mieszkania numer 65, podczas gdy Rebeka przyglądała się brudnej podłodze. Wiatr wył posepnie w powybijanych oknach klatki schodowej i szarpał foliowymi workami na śmieci, zrzucenymi na stertę w rogu korytarza.

Rebeka zadrzała. I to nie tylko z powodu zimnego wiatru, lecz – przede wszystkim – dlatego, że miała właśnie trafić do jednego z, jej zdaniem, najgorszych miejsc na ziemi.

Pracownica opieki społecznej przestała naciskać brudny guzik dzwonka i zaczęła głośno pukać do drzwi. Wciąż nie mogła się doczekać żadnej reakcji, choć z wnętrza mieszkania dobiegał głos telewizora. Zapukała ponownie, tym razem głośniejsze, aż wreszcie po drugiej stronie rozległo się pokasywanie i ostry kobiecy głos:

– Idę już, idę, na litość boską, pali się, czy co? Kobieta z opieki społecznej spojrzała na Rebeke i próbowała uśmiechnąć się pocieszająco, lecz na jej twarzy pojawił się tylko pełen współczucia grymas.

– Wygląda na to, że jednak jest w domu.

– Och, świetnie – mruknęła Rebeka sarkastycznie, podnosząc dwie małe walizki.

Przez chwilę kobieta i dziewczynka stały w milczeniu, słuchając zgrzytu otwieranych zamków i przesuwanego łańcucha oraz całej serii gniewnych pomrukiwań i przekleństw, przetykanych napadami kaszlu. Wreszcie drzwi się otworzyły, ukazując niechlujną gospodynię z papierosem przyklejonym do dolnej wargi, posyłającą pracownicy opieki społecznej niechętne, podejrzliwe spojrzenie.

– O co chodzi? – spytała, mrużąc oko przesłonięte dymem papierosowym. Niedopałek poruszał się skocznie w rytm jej słów niczym dyrygencka batuta.

– Przyprowadziłam pani siostrzenicę, pani Boswell – oświadczyła pracownica opieki społecznej, wskazując na Rebeke.

– Co? – spytała kobieta ostro i strąciła popiół na nieskazitelnie czyste buty swej rozmówczyni. Rebeka się wzdrygnęła.

– Nie pamięta pani... rozmawiałyśmy wczoraj przez telefon?

Wodniste spojrzenie gospodyni spoczęło na Rebecce, która wysunęła się o krok do przodu, by znaleźć się w jej mocno ograniczonym polu widzenia.

– Dzień dobry, ciociu Jean – powiedziała, uśmiechając się sztucznie.

– Rebeka, kochaniutka, no jasne, no, no, aleś ty wyrosła. Prawdziwa dama. – Ciotka Jean zakasłała i otworzyła szerzej drzwi. – Tak, wejdźcie, wejdźcie, proszę. Nastawię wodę na herbatę. –

Odwróciła się i ruszyła w głąb wąskiego korytarza. Rebeka i pracownica opieki społecznej stały w bezruchu, spoglądając na nierówne sterty gazet ułożone pod ścianami i ogromną ilość nieotwartych jeszcze listów i ulotek zaścielających brudny dywan. Wszystko okryte było cienką warstwą kurzu, a w rogach przedpokoju zalegały gęste pajęczyny. Całe mieszkanie śmierdziało papierosami ciotki Jean. Pracownica opieki drgnęła nagle, jakby wyrwana z transu, po czym pożegnała się pośpiesznie z Rebeką, życząc jej powodzenia. Dziewczynka patrzyła, jak kobieta oddala się szybko, przystając tylko na moment przy drzwiach windy, jakby łudziła się, że winda nagle zacznie działać i że nie będzie musiała pokonać trzynastu pięter na piechotę.

Rebeka weszła ostrożnie do mieszkania i podążyła śladem ciotki do kuchni.

– Przydałby mi się tu ktoś do pomocy – oświadczyła ciotka Jean, wyciągając spośród śmieci leżących na stole nową paczkę papierosów.

Rebeka ogarnęła spojrzeniem obraz nędzy i rozpaczony rozciągający się przed jej oczami. Smugi słonecznego blasku bezskutecznie próbowały przebić się przez kłęby papierosowego dymu, który okrywał głowę ciotki niczym jej własna, prywatna chmura burzowa. Dziewczynka zmarszczyła nos, gdy dotarł do niej gryzący zapach przypalonego jedzenia.

– Jeśli chcesz u mnie zostać – mówiła ciotka, pokaszując – będziesz musiała się wziąć do roboty.

Rebeka stała nieruchomo jak posąg. Bała się, że jeśli wykona choćby najmniejszy ruch, pokryje się lepkiem brudem, który porastał niemal każdą powierzchnię w mieszkaniu.

– No, Becia, odstaw te manatki i do roboty. Możesz zacząć od nastawienia wody na herbatę – uśmiechnęła się ciotka Jean, siadając przy kuchennym stole. Odpaliła nowego papierosa od poprzedniego, po czym zgasiła niedopałek na laminowanym blacie stołu, zupełnie nie trafiając w wypełnioną po brzegi popielniczkę.

Wnętrze domu Jerome'a wyglądało bogato i przytulnie, nie brakowało tu miękkich dywanów w delikatne wzory, lśniących powierzchni z polerowanego drewna i głębokich, soczystych barw – głównie zieleni i bordo – na ścianach. Cal wziął od Willa plecak i położył go przy małym stoliku przykrytym koronkową, kremową serwetką, na której stała lampa naftowa ze szklanym kloszem.

– Tutaj – powiedział chłopiec, pokazując Willowi, by skręcił za nim w pierwsze drzwi odchodzące od korytarza. – To salon – oświadczył z dumą.

W salonie było parno, choć z kratownicy umieszczonej nad ich głowami wypływał delikatny strumień świeżego powietrza. Niski, zdobiony stiukami sufit zapewne był niegdyś biały, zszarzał jednak od dymu wydobywającego się z szerokiego paleniska, na którym nawet w tej chwili huczał ogień. Na wytartym perskim dywanie przed kominkiem leżało wielkie stworzenie o dziwnej, jakby parchatej skórze. Zwierzak spał na grzbiecie, z łapami uniesionymi w górę, bezwstydnie wystawiając na publiczny widok parę obwisłych jąder.

– Pies! – Will był nieco zaskoczony, widząc w tym miejscu zwierzę. Niebiesko-szara skóra wisiała na nim jak za duży, niedopasowany garnitur, była przy tym niemal zupełnie łysa, tylko tu i ówdzie wyrastały z niej kępki zmierzwionego futra.

– Pies? To Bartleby, mój kot, odmiana Reksa. Świetny myśliwy.

Will, zdumiony, przyjrzał się uważnie stworzeniu. Kot? Bartleby przypominał raczej dobrze

odżywnionego i źle ogolonego dobermana. Nie było w nim nic kociego. Will pochylił się nad nim, spoglądając na jego potężną klatkę piersiową, która unosiła się i opadała powoli w rytm oddechu. Drgnął przestraszony, gdy nagle kot parsknął przez sen i poruszył wielkimi łapami.

– Uważaj, odgryzie ci nos.

Will obrócił się w miejscu i zobaczył, że na jednym z wielkich skórzanych foteli ustawionych przy kominku siedzi stara kobieta. Nie zauważył jej, kiedy wszedł do pokoju, zaabsorbowany widokiem dziwnego zwierzaka.

– Nie zamierzałem go dotykać – odparł, prostując się. Jasnoszare, błyszczące oczy staruszki ani na moment nie odrywały się od twarzy Willa.

– Nie należy go dotykać. Jest bardzo czujny, ten nasz Bartleby. – Starsza pani spojrzała z czułością na śpiące zwierzę.

– Babciu, to jest Will – oświadczył Cal.

Kobieta ponownie spojrzała na Willa i skinęła głową.

– Wiem. To Macaulay w każdym calu. Ma oczy swojej matki, dokładnie takie same. Witaj, Will.

Will zaniemówił, porażony jej łagodnym zachowaniem i ciepłym światłem tańczącym w starych oczach. Czuł się tak, jakby nagle odżyły w nim jakieś mgliste wspomnienia, niczym dogasający ogień wzniecony znów łagodnym podmuchem wiatru. Obecność tej kobiety dodawała otuchy, czuł się przy niej zupełnie swobodnie, jakby znał ją od lat. Ale dlaczego? Zawsze traktował nowo poznanych dorosłych z nieufnością i dystansem, czemu więc miałby zmieniać to podejście tutaj, w tym najdziwniejszym miejscu na świecie: Postanowił pojechać do tych ludzi, uczestniczyć w ich grze, ale nikomu nie zamierzał ufać. Jednak w przypadku kobiety było zupełnie inaczej. Tak jakby ją znał...

– Chodź tutaj, usiądź wygodnie i porozmawiaj ze mną. Jestem pewna, że możesz mi opowiedzieć wiele ciekawych rzeczy o życiu na górze – mówiła starsza pani, zerkając w stronę sufitu. – Caleb, nastaw wodę na herbatę i przygotuj jakieś ciasteczka. Will tymczasem opowie mi trochę o sobie – powiedziała, wskazując delikatną choć zarazem silną dłonią drugi fotel. Była to dłoń kobiety, która przez całe życie musiała ciężko pracować.

Will przycupnął na brzegu fotela, napawając się ciepłem bijącym od kominka. Czuł się dziwnie spokojny i odprężony, jakby znalazł wreszcie bezpieczne schronienie, azyl.

Starsza pani przyglądała mu się z uwagą, a on śmiało patrzył na nią. Jej bliskość wydawała się równie kojąca i relaksująca jak ciepło ognia. Zapominając na moment o wszystkich przerażających wydarzeniach minionego tygodnia, westchnął i rozsiadł się wygodniej w fotelu, z coraz większym zaciekawieniem spoglądając na swoją towarzyszkę.

Miała cienkie, śnieżnobiałe włosy spięte w kok ułożony na czubku głowy, podtrzymywany szylkretową spinką.

Ubrana była w prostą niebieską sukienkę z długimi rękawami oraz wysokim, białym, marszczonym kołnierzem.

– Dlaczego wydaje mi się, że dobrze panią znam? – spytał nagle. Miał dziwne wrażenie, że może opowiedzieć tej nieznamym kobiecie wszystko, co tylko przyjdzie mu do głowy.

– Bo mnie znasz. – Uśmiechnęła się staruszka. – Nosiłam cię na rękach, kiedy byłeś maleńki. Śpiewałam ci kołysanki.

Otworzył usta, by zaprotestować i zarzucić jej kłamstwo, jednak się powstrzymał. Zmarszczył brwi. Znów obudziły się w nim mgliste wspomnienia, obrazy z zamierchłej przeszłości. Czuł, jakby każda cząstka ciała mówiła mu, że starsza kobieta nie kłamie. Było w niej coś zastanawiająco znajomego. Ścisnęło go w gardle z niewytłumaczalnego wzruszenia, przełknął więc kilka razy, próbując zapanować nad emocjami. Widząc, że oczy Willa napełniają się łzami, starsza pani uśmiechnęła się ciepło.

– Mama byłaby z ciebie dumna – powiedziała babcia Macaulay. – Byłeś jej pierworodnym. – Wskazała głową na kominek. – Podaj mi to zdjęcie, dobrze? To na środku.

Will wstał, by przyrzeć się zdjęciom w ramach różnych kształtów i rozmiarów. Nie rozpoznawał nikogo na fotografiach. Niektóre osoby uśmiechały się szeroko, inne były śmiertelnie poważne. Wszyscy mieli w sobie coś eterycznego, przypominali widmowe postacie z dagerotypów, starych fotografii znajdujących się w muzeum jego ojca w Highfield. Spełniając prośbę starszej pani, sięgnął po największe zdjęcie, które zajmowało honorowe miejsce pośrodku półki nad kominkiem.

Widząc, że przedstawia ono pana Jerome'a i Cala sprzed kilku lat, zawahał się.

– Tak, właśnie to – rozwiła jego wątpliwości staruszka.

Will podał jej zdjęcie, a potem przyglądał się w zdumieniu, jak kobieta odwraca ramkę, odgina metalowe łapki i wyciąga tekturową podkładkę. Pod spodem ukryta była jeszcze jedna fotografia. Starsza pani podważyła ją paznokciem, wyjęła i podała chłopcu bez słowa.

Will odwrócił zdjęcie do światła i przyjrzał mu się uważnie. Przedstawiało młodą kobietę w białej bluzce i długiej czarnej spódnicy. Kobieta trzymała w ramionach małe zawiniątko. Miała śnieżnobiałe włosy, zupełnie jak Will, i piękną, silną twarz o łagodnych oczach i delikatnych rysach, pełne usta i kwadratową szczękę... „m o ją szczękę” – pomyślał Will, odruchowo sięgając do twarzy.

– Tak – powiedziała cicho starsza dama. – To Sara, twoja matka. Jesteś do niej bardzo podobny. To zdjęcie zostało zrobione kilka tygodni po twoich narodzinach.

– Co? – Will omal nie wypuścił zdjęcia z dłoni.

– Naprawdę nazywasz się Seth... Takie imię nadano ci na chrzcie. To właśnie ciebie trzyma na rękach.

Will czuł, jak serce staje mu w piersiach. Spojrzał na zawiniątko. Widział, że jest to niemowlę, jednak twarzyczka dziecka ukryta była za powijakami. W głowie Willa kłębiły się zamazane obrazy i wspomnienia, dłonie mu drżały, jakby myśli i uczucia połączyły się ze sobą. Jednak z tego chaosu zrodziło się nagle wyraźnie określone przekonanie, pewnik, jakby po latach zmagania z nierozwiązywalnym na pozór problemem znalazł właśnie odpowiedź. Jak gdyby głęboko w podświadomości tkwiło maleńkie pytanie, skrywane dotąd podejrzenie, że jego rodzina, państwo Burrows i Rebeka, ludzie, których znał przez całe życie, w gruncie rzeczy całkowicie się od niego różnią.

Choć przez chwilę nie mógł skupić wzroku, spojrzał ponownie na zdjęcie, szukając nowych szczegółów.

– Tak – powiedziała babcia Macaulay łagodnym tonem, a Will mimowolnie pokiwał głową. Choć wszystko zdawało się irracjonalne, wiedział już, że to prawda. Że ta kobieta na czarno-białym, lekko nieostrym zdjęciu, to jego prawdziwa matka, a ludzie, których niedawno poznał, są jego prawdziwą rodziną. Nie potrafił tego wyjaśnić nawet samemu sobie, po prostu to wiedział.

Wszystkie podejrzenia i obawy, że ci ludzie próbują go oszukać, że jest to jakaś dziwna gra, się ulotniły. Otarł szybko policzek, na którego brudnej skórze samotna łza zostawiła bladą, wąską linię. Czuł, że się rumieni, gdy podawał zdjęcie babci Macaulay.

– Opowiedz mi, jak tam jest, w Górnoziemiu – poprosiła starsza pani, chcąc oszczędzić mu wstydu. Uśmiechnął się z wdzięcznością, wciąż stojąc przy kominku i czekając, aż złoży zdjęcie z powrotem i poda mu, by odstawił je na miejsce.

– Cóż... – zaczął niepewnie.

– Wiesz, nigdy nie widziałam światła dziennego ani nie czułam blasku słońca na twarzy. Jakie to uczucie? Mówią, że słońce parzy.

Will, który usiadł już w fotelu, spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Nigdy nie widziałas słońca?

– Tylko nieliczni je widzieli – powiedział Cal, wracając do pokoju i przykucając obok babci. Zaczął delikatnie drapać i głaskać luźną skórę pod pyskiem kota. Niemal natychmiast pokój wypełnił się głośnym basowym mručeniem.

– Opowiedz nam, Will, powiedz, jak to jest – prosiła babcia Macaulay, kładąc dłoń na głowie Cala.

Will zaczął więc opowiadać, początkowo niepewnie, potem jednak, jakby pokonawszy jakąś niewidzialną barierę, wręcz trajkotał o wszystkim, co wydawało mu się interesujące. Był zdumiony tym, jak łatwo, jak naturalnie rozmawiało mu się z ludźmi, których znał przecież zaledwie od kilku chwil. Mówił o rodzinie i szkole, raczył ich opowieściami o wykopaliskach, które prowadził razem z ojcem – a raczej z człowiekiem, którego do tej pory uważał za swego ojca – a także o matce.

– Bardzo kochasz swoją górnoziemską rodzinę, prawda? – spytała babcia Macaulay, a Will w odpowiedzi tylko skinął głową. Wiedział, że nic, nawet to nieprawdopodobne odkrycie, nie zmieni uczuć, jakie żywił do ojca. I że bez względu na to, jak bardzo Rebeka zatruwała mu życie, ogromnie za nią tęsknił. Zrobiło mu się nagle okropnie wstyd, gdy pomyślał, że jego siostra zamartwia się pewnie na śmierć jego zniknięciem. Jej mały, uporządkowany świat legł nagle w gruzach. Przełknął ciężko. „Przepraszam, Rebeko, powinienem był ci powiedzieć, powinienem był zostawić jakiś list!” – tłumaczył się w myślach. Zastanawiał się, czy zadzwoniła na policję i czy wraz z matką musiały przejść tę samą bezskuteczną procedurę, której zostali poddani po zaginięciu taty. Wszystko to jednak straciło na znaczeniu, kiedy nagle stanął mu przed oczami obraz Chestera zamkniętego w mrocznej celi i osamotnionego.

– Co się stanie z moim przyjacielem? – wypalił. Babcia Macaulay nie odpowiedziała, wpatrzona nieobecnym wzrokiem w ogień.

– Nigdy nie pozwolą mu wrócić... ani tobie. – Wyręczył ją Cal.

– Ale dlaczego? – zdumiał się Will. – Obiecamy, że nie powiemy nikomu o... o tym wszystkim.

Przez chwilę w pokoju panowało milczenie, potem babcia Macaulay odkaszlnęła cicho.

– Styksowie by się na to nie zgodzili – powiedziała. – Nie mogą pozwolić, by ktokolwiek powiedział o nas Gómoziemcom. To mogłoby się skończyć Odkryciem.

– Odkryciem?

– Tego uczy nas Księga Katastrof. Nadejdzie koniec wszystkiego, kiedy ludzie zostaną odkryci i zginą z rąk tych, co nad nami – przemówił Cal z powagą, jakby cytował fragment Biblii.

– Broń Boże... – mruknęła starsza pani, odwracając wzrok i ponownie wpatrując się w ogień.

– Więc co zrobią z Chesterem? – spytał Will, choć lękał się odpowiedzi.

– Albo zagonią go do pracy, albo zostanie Wagnany... wywieziony pociągiem do Głębi i pozostawiony samemu sobie – odrzekł Cal.

Will miał zapytać, czym jest Głębia, kiedy nagle drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem. Ogień wystrzelił na moment w górę, wyrzucając snop iskier, które zniknęły natychmiast w kominie. Babcia Macaulay wyjrzała z uśmiechem zza oparcia fotela, podczas gdy Cal i Bartleby zerwali się na równe nogi. Potężny męski głos ryknął:

– WITAJCIE!

Wciąż nieco zaspany i wystraszony kot odskoczył na bok, uderzając w niewielki stolik, który runął z hukiem na podłogę. W tej samej chwili otworzyły się drzwi salonu. Do pokoju wpadł niczym wichurka mocno zbudowany mężczyzna o bladej twarzy, zaczerwienionej teraz z nieskrywanego, radosnego podniecenia.

– GDZIE ON JEST? GDZIE ON JEST?! – wykrzykiwał. Jego spojrzenie spoczęło na Willu, który podniósł się niepewnie z fotela, zaskoczony i skonsternowany tą nagłą eksplozją dźwięku i ruchu.

Mężczyzna pokonał pokój w dwóch krokach i zamknął Willa w niedźwiedzim uścisku, podnosząc go z taką łatwością, jakby chłopiec ważył nie więcej niż worek pierza. Potem wystrzelił salwą ogłuszającego śmiechu i odsunął Willa na długość ramion, wciąż trzymając go nad ziemią.

– Niech no ci się przyjrzę. Tak... tak, wykapana mama, bez dwóch zdań. Zwłaszcza te oczy, prawda mam? Ma jej oczy i brodę... kształt jej ślicznej twarzy, cha, cha, cha! – ryknął.

– Puść go, Tam – poprosiła babcia Macaulay.

Mężczyzna postawił Willa na podłodze, wciąż wpatrując się w jego oczy, uśmiechając od ucha do ucha i potrząsając głową.

– To wielki dzień, naprawdę wielki dzień. – Wyciągnął do Willa olbrzymią dłoń. – Jestem twoim wujem, nazywam się Tam.

Will odruchowo podał Tamowi rękę, a ten ścisnął ją mocno, przyciągnął chłopca do siebie i wolną dłonią zmierzwił mu czuprynę. Potem ostentacyjnie powąchał czubek jego głowy.

– Na miłość krew Macaulayów – huknął. – Nie mam racji, mam?

– Bez wątpienia masz – odparła cicho staruszka. – Tylko go nie wystrasz tymi swoimi harcami, Tam.

Bartleby ocierał się masywnym łbem o czarne nogawki spodni wuja Tama i wciskał swe długie ciało między niego i Willa, mruczając przy tym nieprzerwanie i wydając z siebie jakiś przedziwny, jękliwy dźwięk. Tam zerknął na kota, a potem podniósł wzrok na Cala, który wciąż stał obok babcinego fotela i przyglądał się z uśmiechem poczynaniom wuja.

– Cal, młody sztukmistrzu, jak się masz, chłopcze? Co myślisz o tym wszystkim? – Tam przeniósł wzrok z jednego chłopca na drugiego. – Na Boga, jak dobrze widzieć was znów obu pod tym samym dachem. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Bracia, niech mnie, bracia... moi siostrzeńcy. Trzeba to uczcić kieliszkiem czegoś mocniejszego.

– Właśnie mieliśmy zrobić herbatę – wtrąciła szybko babcia Macaulay. – Napijesz się z nami, Tam?

Tam odwrócił się do matki i uśmiechnął szeroko z diabolicznym błyskiem w oku.

– Czemu nie? Napijmy się herbaty.

Starsza pani wyszła do przedpokoju, a wuj Tam usiadł na zwolnionym przez nią fotelu, który jęknął głucho pod jego ciężarem. Mężczyzna rozprostował nogi, wyjął krótką fajkę z wewnętrznej kieszeni olbrzymiego płaszcza i nabił ją tytoniem z sakiewki. Za pomocą drewnianej szczapki, którą zabrał z niewielkiego stosika obok kominka, zapalił fajkę i rozsiadł się wygodniej. Wypuścił z ust kłąb siwego dymu, przez cały czas nie odrywając wzroku od obu chłopców.

Przez chwilę słychać było tylko trzask ognia, natarczywe mruczenie Bartleby'ego i dobiegające z kuchni szczękanie naczyń. Nikt nie miał ochoty na rozmowę. Wpatrywali się w zadumie w ogień, który oblewał ich twarze czerwoną poświatą i rzucał drżące cienie na ściany. Wreszcie wuj Tam przerwał milczenie:

– Wiesz, że był tutaj twój górnoziemski ojciec?

– Widziałeś go? – Will pochylił się w stronę wuja.

– Nie, ale rozmawiałem z ludźmi, którzy go widzieli.

– Gdzie on jest? Policjant powiedział, że jest bezpieczny.

– Bezpečny? – Wuj Tam wyprostował się i wyjął fajkę z ust, nagle poważniejąc. – Posłuchaj, nie wierz w ani jedno słowo tych tchórzliwych śmieci. To żmije i kanalie. Szukają tylko okazji, żeby podlizać się Styksom.

– Wystarczy, Tam – powiedziała babcia Macaulay, która weszła właśnie do pokoju z tacą zastawioną filiżankami i talerzem pełnym ciasteczek – bezkształtnych brył polanych lukrem. Cal wstał i pomógł jej, podając filiżanki Willowi i wujowi. Potem Will ustąpił babci Macaulay miejsca w fotelu, sam zaś usiadł obok Cala na dywanie.

– Więc co z tym moim tatą? – spytał dość ostrym tonem, nie mogąc się już dłużej powstrzymać.

Tam skinął głową i ponownie rozpałił fajkę, wypuszczając z ust ogromne kłęby dymu, które okryły jego głowę siwym całunem.

– Spóźniłeś się tylko o jakiś tydzień. Pojechał do Głębi.

– Został Wygnany? – Will wyprostował się gwałtownie, przypominając sobie, co Cal mówił o

Głębi i Wygnaniu.

– Nie, nie – zaprzeczył Tam, gestykulując gwałtownie fajką. – Sam chciał tam pojechać! Ciekawa sprawa, pojechał z własnej woli... bez żadnych obwieszczeń... żadnych spektakli, które zwykle Styksowie urządzają przy takiej okazji. – Wuj Tam zaciągnął się głęboko, a potem powoli wypuścił dym z płuc, marszcząc przy tym brwi. – Ludzie musieli być rozczarowani takim widowiskiem: skazaniec, który nie błaga o litość, nie histeryzuje... – Wciąż marszcząc brwi i wpatrując się w ogień, Tam mówił dalej: – Zanim wyjechał, kręcił się tutaj, zapisywał coś ciągle w tym swoim notesie... zadreśla ludzi głupimi pytaniami. Moim zdaniem Styksowie uważali, że jest trochę, tego... – Wuj Tam postukał się wymownie w głowę.

Babcia Macaulay odchrząknęła i spojrzała surowo na syna.

– ... nieszkodliwy – dokończył Tam, powstrzymując się w porę. – Pewnie dlatego pozwolili mu wszędzie zaglądać i rozmawiać z ludźmi, ale jestem pewien, że obserwowali każdy jego ruch.

Will wiercił się nerwowo na dywanie. Czuł, że nie powinien zadreślać pytaniami tego dobrodusznego, przyjaznego człowieka, który rzekomo był jego wujkiem, ale nie mógł się powstrzymać.

– Czym właściwie jest ta Głębia? – spytał.

– To wewnętrzne kręgi, Interior. – Wuj Tam wskazał cybuchem fajki na podłogę. – Pod nami. Głębia.

– To złe miejsce, prawda? – wtrącił Cal.

– Nigdy tam nie byłem. Tam człowiek nie wybiera się z własnej woli – odrzekł mężczyzna, zerkając na Willa.

– Ale co tam jest? – drążył Will, pragnąc za wszelką cenę dowiedzieć się czegoś więcej o świecie, do którego przeniósł się jego ojciec.

– Cóż, jakieś pięć mil pod nami są inne... można powiedzieć, osady. Tam zatrzymuje się Pociąg Górników i mieszkają Koprolici. – Zaciągnął się głęboko. – Powietrze jest paskudne. Właśnie tam kończą się tory, ale podobno tunele ciągną się jeszcze wiele mil w głąb ziemi. Legendy mówią nawet o wewnętrznym świecie, o starszych miastach i miasteczkach, większych niż Kolonia. – Wuj zarechotał lekceważąco. – Moim zdaniem to stek bzdur.

– Ktoś był już w tych tunelach? – spytał Will, mając skrytą nadzieję, że ktoś kiedyś zbadał to tajemnicze miejsce.

– Cóż, krążą różne opowieści... Podobno około roku 220 jakiś Kolonista wrócił po wielu latach z Wygnania. Jak on się nazywał... Abraham coś?

– Abraham de Jaybo – powiedziała cicho babcia Macaulay.

Wuj Tam zerknął na drzwi i również ściszył głos.

– Kiedy znaleźli go na Stacji Górników, był w straszliwym stanie, cały posiniaczony i pokaleczony, nie miał też języka – podobno ktoś mu go wyciął. Wyglądał jak chodzący szkielet, taki wychudzony. Nie pożył długo. Umarł tydzień później na jakąś nieznaną chorobę. Podobno krwawił z ust i uszu. Oczywiście nie mógł mówić, ale niektórzy twierdzą, że kiedy leżał na łożu śmierci, zbyt

przerażony, by zasnąć, zrobił mnóstwo rysunków.

– Co było na tych rysunkach? – pytał Will, patrząc na wuja szeroko otwartymi oczami.

– Jakies piekielne maszyny, dziwne zwierzęta, nieprawdopodobne krajobrazy i rzeczy, których nikt nie mógł zrozumieć. Styksowie stwierdzili, że to wytwory chorego umysłu, ale niektórzy mówią, że wszystko to naprawdę istnieje. Po dziś dzień rysunki leżą podobno pod kluczem w piwnicach Gubernatorów... choć nie znam nikogo, kto by je widział.

– Boże, oddałbym wszystko, żeby je zobaczyć – westchnął Will, oczarowany tym, co przed chwilą usłyszał.

Wuj Tam zachichotał głośno.

– Co? – zdziwił się Will.

– Podobno Burrows powiedział dokładnie to samo, usłyszawszy tę opowieść... użył identycznych słów.

Rozdział 25

Kiedy już porozmawiali, napili się herbaty i zjedli ciastka, wuj Tam wstał z fotela, ziewnął szeroko i przeciągając się, rozprostował kości. Zwrócił się do babci Macaulay:

– Chodź, mamó, najwyższy czas wracać do domu. Oboje pożegnali się i wyszli. Bez gromkiego głosu i zaraźliwego śmiechu Tama dom wydawał się dziwnie cichy i pusty.

– Pokażę ci, gdzie będziesz spał – powiedział Cal do Willa, a ten tylko mruknął coś w odpowiedzi. Był oszołomiony, jakby ktoś rzucił na niego zaklęcie. Umysł kipiał mu od nowych myśli i uczuć, które wbrew jego woli raz po raz wypływały na powierzchnię niczym ławica głodnych ryb.

Przeszli do przedpokoju, gdzie Will wreszcie nieco się ożywił. Powoli przesuwiał się wzdłuż ściany, oglądając wiszące na niej portrety.

– Myślałem, że twoja babcia tu mieszka – zwrócił się po chwili do Cala.

– Wolno jej mnie odwiedzać. – Cal natychmiast odwrócił wzrok, Will zorientował się jednak, że poruszył drażliwy temat.

– Jak to, wolno jej?

– Och, ma swój własny dom, w którym urodzili się mama i wuj Tam – odparł Cal wymijająco, kręcąc głową. – Chodź na górę. – Był już w połowie schodów, kiedy zorientował się, że Will nie idzie za nim. Przechylił się przez poręcz i zobaczył, że wciąż stoi w korytarzu, wpatrzony w coś na jego końcu.

Ciekawość świata i głód przygód znów wzięły górę nad zmęczeniem i pozwoliły Willowi zapomnieć na chwilę o tym, czego się niedawno dowiedział.

– Co tam jest? – spytał, wskazując na czarne drzwi z mosiężną klamką.

– Och, nic takiego. Tylko kuchnia – odparł Cal zniecierpliwiony.

– Mogę rzucić okiem? – Will już szedł w stronę drzwi. Cal westchnął.

– W porządku, ale naprawdę nie ma tam nic do oglądania – oświadczył zrezygnowanym tonem i zszedł ze schodów, kładąc przy poręczy plecak, który wcześniej zabrał ze sobą na górę. – To tylko kuchnia!

Will otworzył drzwi i znalazł się w niskim pomieszczeniu przypominającym coś rodem z wiktoriańskiego szpitala. Kuchnia nie tylko tak wyglądała, lecz także pachniała. Silna woń fenolu mieszała się z nieokreślonymi zapachami potraw i gotowania. Ściany pomalowane były matową beżową farbą, a podłogę i powierzchnie robocze pokrywały wielkie białe płytki z niezliczonymi rysami i szczelinami. Miejscami widać było nawet niewielkie cętkowane zagłębienia, rezultat wielu lat czyszczenia i szorowania.

Will spojrzał w kąt pomieszczenia. Pokrywka jednego z rondli ustawionych na wielkim staroświeckim piecu, oblepionym tu i ówdzie spalonym tłuszczem, pobrzękiwała łagodnie. Chłopiec pochylił się, chcąc zajrzeć do naczynia, lecz bulgoczącą zawartość przesłaniały kłęby aromatycznej

pary. Po prawej stronie, za rzeźnickim pieńkiem, nad którym wisiał wielki tasak, znajdowały się kolejne drzwi.

– Co tam jest?

– Posłuchaj, nie wolałbyś raczej... ? – Cal umilkł, uświadomiwszy sobie, że nie ma sensu sprzeczać się z bratem, który zaglądał już do sąsiedniego pomieszczenia.

Oczy Willa rozbłysły, kiedy zobaczył, co kryje się za drzwiami. Niewielki pokój wyglądał jak magazyn alchemika – na półkach stały dziesiątki przysadzistych słoików zawierających niemożliwe do rozpoznania marynaty, zniekształcone przez krzywizny grubego szkła i przebarwione oleistym płynem, w którym się unosiły. Przypominały okazy jakichś dziwnych zwierząt zakonserwowane w formalinie.

Na najniższej półce, na szarych, metalowych tacach, leżały przedmioty przypominające małe piłki okryte szarobrazowym meshkiem.

– Co to takiego?

– Borowiki, wszędzie je hodujemy.

– Do czego ich używacie? – Will przykucnął i przyjrzał się uważniej aksamitnej, cętkowanej powierzchni borowików.

– To grzyby. Jemy je. Pewnie też ci dali, kiedy siedziałeś w areszcie.

– Jasne. – Will rozprostował nogi. – A to? – spytał, wskazując na coś, co wyglądem przypominało paski suszonej wołowiny, zwisające z metalowej kratki nad półkami.

Cal uśmiechnął się szeroko.

– Myślę, że sam odgadniesz, co to jest.

Will zawahał się na moment, a potem pochylił się do przodu i przyjrzał uważniej jednemu z pasków. Bez wątpienia było to jakieś mięso. Wyglądało jak rozciągnięte ścięgno i miało barwę świeżego strupa. Will powąchał ostrożnie, a potem pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia.

– Nie poddawaj się. Ten zapach nic ci nie mówi? Will zamknął oczy i powąchał raz jeszcze.

– Nie, to nie przypomina niczego, co... – Otworzył raptownie oczy i spojrzał na Calę. – To szczur, prawda? – spytał, zadowolony, że udało mu się zidentyfikować nieznaną substancję, a zarazem nieco przerażony tym odkryciem. – Jecie szczurze mięso?

– Jest pyszne... nie widzę w tym nic złego. A teraz powiedz mi, jaki to rodzaj – mówił Cal, rozbawiony obrzydzeniem, z jakim Will spoglądał na mięso. – Wędrowny, drzewny czy bez oczu?

– Nie lubię patrzeć na szczury, nie mówiąc już o jedzeniu ich mięsa. Nie mam zielonego pojęcia, co to za gatunek.

Cal pokręcił głową, udając rozczarowanie.

– To proste, to mięso szczurów bez oczu – powiedział, chwytając skraj jednego z pasków i wachając go. – Bardziej aromatyczne niż pozostałe. Jest wyjątkowym przysmakiem, jadamy je tylko

w niedziele.

Chłopcy obrócili się gwałtownie, gdy za ich plecami rozległ się głośny pomruk, jak dobiegające z oddali odgłosy serii z karabinu maszynowego. Na podłodze siedział Bartleby, jego wielkie bursztynowe ślepie wpatrywały się w paski mięsa, a z pyska kapąły krople śliny.

– Wynocha! – krzyknął Cal, wskazując drzwi kuchni. Kot nawet nie drgnął, zahipnotyzowany widokiem mięsa.

– Bart, powiedziałem wynocha! – krzyknął ponownie Cal, wracając wraz z Willem do kuchni i zamykając drzwi spiżarki. Kot warknął ostrzegawczo i odsłonił zęby, lśniący rząd ostrych jak brzytwa kłów, a jego ciało pokryło się gęsią skórką.

– Ty bezczelny kundlu! – warknął Cal. – Wiem, że tylko udajesz!

Cal wymierzył pozorowanego kopniaka w nieposłuszne zwierzę, które uskoczyło na bok, bez trudu unikając uderzenia. Bartleby odwrócił się powoli, spojrział na nich z politowaniem, po czym oddalił się leniwym krokiem, wymachując przy tym wyzywająco długim, łysym ogonem.

– Sprzedałby duszę za kawałek szurzego mięsa – powiedział Cal, potrząsając głową i uśmiechając się pod nosem.

Pokazawszy Willowi kuchnię, Cal wprowadził go po skrzypiących drewnianych schodach na górę.

– To jest pokój taty – oświadczył, otwierając ciemne drzwi w korytarzu na piętrze. – Nie wolno nam tutaj wchodzić. Tata byłby wściekły, gdyby nas przyłapał.

Will zerknął na schody, upewniając się, że nic im nie grozi, po czym ruszył śladem Cala. Centralne miejsce w pokoju pana Jerome’a zajmowało olbrzymie łóżko z baldachimem tak wysokim, że niemal sięgał zniszczonego, zapadającego się sufitu. Poza tym w sypialni nie było prawie żadnych mebli, a mrok rozpraszało tylko światło jednej lampki ustawionej w rogu.

– Co tutaj było? – spytał Will, zauważywszy rząd jaśniejszych plam na szarej ścianie pokoju.

Cal spojrział na jasne prostokąty i zmarszczył brwi.

– Obrazy. Było ich tutaj naprawdę sporo, zanim tata wszystkie zdjął.

– Dlaczego to zrobił?

– Bo właściwie kiedyś był to pokój mamy, ona go umeblowała – odparł Cal. – Po jej odejściu tata... – Cal umilkł nagle, a ponieważ wydawało się, że nie ma ochoty rozmawiać dłużej na ten temat, Will uznał, że nie powinien go wypytywać, przynajmniej na razie. Pamiętał dobrze, jak starannie ukryte było zdjęcie matki, które pokazała mu babcia Macaulay. Żadna z tych osób – wuj Tam, babcia Macaulay ani Cal – nie chciała wyjawić mu całej prawdy. Bez względu na to, czy rzeczywiście byli jego rodziną, czy też nie – Will wciąż nie potrafił do końca pogodzić się z tą myślą – cała ta historia była bardziej skomplikowana, niż mogłoby się wydawać. Już postanowił, że wcześniej czy później pozna ją w całości.

Gdy znaleźli się z powrotem na korytarzu, Will przystanął, by przyjrzeć się imponującej kuli świetlnej zamkniętej w upiornej, brązowej łapie wyrastającej ze ściany.

– Skąd się biorą te lampy? – spytał, dotykając zimnej powierzchni kuli.

– Nie wiem. Chyba produkują je w Zachodniej Jaskini.

– Ale na jakiej zasadzie działają? Tata dał jedną taką do badania ekspertom, jednak niczego się nie dowiedział.

Cal przyjrzał się kuli bez większego zainteresowania.

– Naprawdę nie wiem, jak to działa. Wiem tylko tyle, że skonstruowali je naukowcy sir Gabriela Martineau...

– Martineau? – przerwał mu Will, przypominając sobie nazwisko z dziennika ojca.

Cal mówił dalej, ignorując jego reakcję:

– Nie znam zasady ich działania, choć wydaje mi się, że do produkcji używa się antwerpskiego szkła i że ma to coś wspólnego z mieszaniem się pierwiastków pod ciśnieniem.

– Tutaj, pod ziemią, są chyba tysiące takich lamp.

– Bez nich nie pożylibyśmy długo – odparł Cal. – Ich światło jest dla nas równie ważne, jak dla was światło słoneczne.

– Jak się je wyłącza?

– Wyłącza? – Cal spojrzał na Willa ze zdumieniem.

– Po co ktoś miałby je wyłączać?

Ruszył korytarzem, lecz Will nadal stał w miejscu.

– Więc opowiesz mi o tym Martineau czy nie? – spytał z nutą pretensji w głosie.

– Sir Gabriel Martineau... – zaczął Cal z naciskiem, dając bratu do zrozumienia, że wymówił to nazwisko bez należytego szacunku – ... jest Ojcem Założycielem, naszym zbawcą. To on zbudował Kolonię.

– Ale czytałem, że zginął w pożarze w... ee... kilkaset lat temu.

– To wersja dla was, Górnoziemców. Rzeczywiście, był pożar, ale sir Martineau wcale w nim nie zginął – odrzekł Cal, krzywiąc usta w pogardliwym grymasie.

– Więc co się stało potem? – pytał dalej Will.

– Wraz z innymi Ojcami Założycielami zeszli w dół i zamieszkali tutaj, oczywiście.

– Ojcami Założycielami?

– Boże! – zirytował się Cal. – Przecież nie będę ci teraz wszystkiego opowiadał. Możesz poczytać sobie o tym w Księdze Katastrof, jeśli tak cię to interesuje.

– W Księdze... ?

– Och, daj już spokój – warknął Cal. Wbił w Willa wściekłe spojrzenie i zgrzytnął zębami z taką irytacją, że ten postanowił na razie powstrzymać się od zadawania kolejnych pytań. Razem przeszli przez korytarz i weszli do kolejnego pomieszczenia.

– To mój pokój. Kiedy powiedzieli tacie, że musisz zamieszkać u nas, przygotował drugie łóżko.

– Powiedzieli mu? Kto? – spytał odruchowo Will. Cal uniósł brwi, jakby dawał bratu do zrozumienia, że powinien już to wiedzieć. Will rozejrzał się po pokoju, niewiele większym od jego własnej sypialni. Dwa łóżka i szafa wypełniały go niemal w całości, zostawiając tylko odrobinę wolnej przestrzeni pośrodku. Will przysiadł na jednym z łóżek i zauważywszy ubrania ułożone na poduszce, spojrzał pytająco na Calą.

– Tak, to twoje – skinął głową Cal.

– Myślę, że powinienem się przebrać – mruknął Will, zerkając na swoje brudne dzinsy. Sięgnął do nowych ubrań i dotknął woskowanej tkaniny, z której uszyte były spodnie. Materiał wydawał się szorstki i sztywny. Will przypuszczał, że został pokryty jakąś substancją zatrzymującą wilgoć.

Cal położył się na łóżku, a Will zmieniał strój. Nowe ubrania wydawały mu się zimne i nieprzyjemne w dotyku, szczególnie spodnie zapinane na metalowe guziki i pasek. Wsunął koszulę przez głowę, bez rozpinania guzików, a potem poruszał przez chwilę ramionami, jakby próbował dopasować się do nowej skóry. Na koniec włożył długą marynarkę z taką samą pelerynką na ramionach, jakie nosili tu wszyscy. Choć cieszył się, że wreszcie ma na sobie coś czystego, nowe ciuchy wydawały mu się sztywne i ograniczające swobodę ruchów.

– Nie martw się, zmiękną, kiedy trochę się rozgrzeją – powiedział Cal, zauważywszy nieszczęśliwą minę brata. Wstał i przelazł przez łóżko Willa, by przykłęknąć obok szafy i wyjąć spod niej starą puszkę po ciastkach Peek Freans.

– Obejrzyj sobie – powiedział, kładąc puszkę na łóżku Willa i podważając wieko. – To moja kolekcja – oświadczył z dumą. Sięgnął do środka i podał bratu poobijany telefon komórkowy. Will natychmiast próbował go włączyć, aparat jednak nie działał. „Ani to ładne, ani przydatne” – przypomniał sobie powiedzenie, którym przy takich okazjach często posługiwał się ojciec, co w jego ustach brzmiało dość ironicznie, gdyż większość rzeczy należących do doktora Burrowsa nie mieściła się w żadnej z tych dwóch kategorii.

– Spójrz na to. – Cal podniósł małe niebieskie radio i pokazując je z dumą Willowi, nacisnął włącznik. Kręcił przez chwilę skalą, lecz w głośniku słychać było jedynie szumy i trzaski.

– Nie złapiesz tutaj żadnej stacji – powiedział Will, ale Cal ponownie nachylał się nad puszką.

– Zobacz te, są fantastyczne.

Wyglądził kilka pozwijanych broszurek reklamujących samochody, poznaczonych tu i ówdzie plamkami pleśni, i podał je Willowi z nabożną niemal czcią, jakby to były zwoje starożytnych pergaminów. Will rzucił na nie okiem i zmarszczył brwi.

– To bardzo stare modele – powiedział, przeglądając zdjęcia limuzyn i sportowych coupe. – Nowe Capri – przeczytał głośno i uśmiechnął się do siebie. Zerknął na Calą, który był całkowicie pochłonięty układaniem kilku batonów i torebki cukierków na dnie metalowego pudełka. Wyglądało to tak, jakby próbował utworzyć z nich idealną kompozycję.

– Co chcesz zrobić z tymi słodyczami? – spytał Will, licząc po cichu na to, że Cal czymś go poczęstuje.

– Trzymam je na specjalną okazję – odrzekł Cal, dotykając z czułością batonika Fruit and Nut. –

Uwielbiam ich zapach. – Podniósł batonik do twarzy i powąchał go z lubością. – To mi wystarczy... Nie muszę go otwierać... – Przewrócił oczami zachwycony.

– Skąd masz to wszystko? – spytał Will, odkładając broszurki na miejsce. Cal spojrzał ostrożnie na drzwi pokoju, a potem przysunął się bliżej do Willa.

– Wuj Tam wychodzi często poza Kolonię – powiedział cicho. – Ale nie wolno ci nikomu o tym mówić. To oznaczałoby Wygnanie. – Zawahał się i zerknął ponownie na drzwi. – Czasami wychodzi nawet do Górnoziemia.

– Naprawdę? – Will przyjrzał się bacznie twarzy Cala. – A kiedy to robi?

– Od czasu do czasu. – Cal mówił tak cicho, że Will ledwie go słyszał. – Handluje rzeczami... – Chłopiec zamilkł na moment, zrozumiawszy, że posunął się za daleko – ... które znajduje – dokończył niepewnie.

– Gdzie? – spytał Will.

– Podczas swoich podróży – odparł Cal wymijająco. Zapakował resztę kolekcji do pudełka, zamknął wieko i wsunął puszkę pod szafę. Nie podnosząc się z klęczek, odwrócił głowę i spojrzał na Willa.

– Chcesz się stąd wydostać, prawda? – spytał, uśmiechając się chytrze.

– Co? – zdumiał się Will, zaskoczony bezpośredniością pytania.

– Daj spokój, mnie możesz powiedzieć. Chcesz stąd uciec, prawda? Jestem tego pewien! – Cal dosłownie drżał z podniecenia, czekając na odpowiedź Willa.

– Mówisz o powrocie do Highfield? Cal pokiwał energicznie głową.

– Może tak, może nie. Jeszcze nie wiem – odparł Will powściągliwie. Mimo wszystkiego, co czuł do swej nowo odnalezionej rodziny, zamierzał na razie zachować daleko posuniętą ostrożność. Cichy szept w głowie ostrzegał, że może to być część misternego planu mającego na celu uwięzienie go tutaj na zawsze i że nawet ten chłopiec, który mienił się jego bratem, może pracować dla Styksów. Nie był jeszcze gotów w pełni mu zaufać.

Cal spojrzał Willowi prosto w oczy.

– Kiedy jednak zdecydujesz się to zrobić, pójdę z tobą. – Uśmiechał się, lecz jego oczy były śmiertelnie poważne. Kompletnie zaskoczony tym oświadczeniem Will nie wiedział, jak ma na nie zareagować. Na szczęście w tej samej chwili gdzieś z głębi domu dobiegł dźwięk gongu.

– Kolacja, tata musiał wrócić. Chodźmy. – Cal wypadł z pokoju i zbiegł po schodach do jadalni. Will truchtał tuż za nim. Pan Jerome siedział już u szczytu ciężkiego drewnianego stołu. Kiedy chłopcy weszli, nie podniósł nawet oczu, wpatrzony w szerokie, wyraźne słoje na blacie.

Jadalnia wydawała się całkowitym zaprzeczeniem pełnego przepychu salonu, w którym przebywał wcześniej Will. Jej wystrój wydawał się wręcz spartańsko surowy, a nieliczne meble, które stanowiły niemal całe jej wyposażenie, wykonane były z drewna noszącego ślady wieloletniego użytkowania. Kiedy Will przyjrzał im się bliżej, zauważył, że są zrobione z kilku różnych gatunków drzewa o odmiennej barwie i usłojeniu. Niektóre powierzchnie były nawoskowane lub polakierowane, inne szorstkie i najeżone drzazgami. Najgorzej wyglądały chwiejne krzesła o

wysokich oparciach i cienkich, patykowatych nogach, które skrzypiały żałośnie, gdy chłopcy zajęli miejsca po obu stronach pana Jerome'a, wciąż wpatzonego posępnie w blat stołu. Will wiercił się na siedzeniu, usiłując znaleźć wygodną pozycję. Zastanawiał się, jak te rozklekotane meble mogły udźwignąć kogoś o tak imponującej posturze jak pan Jerome i nie rozpaść się przy tym na kawałki.

Pan Jerome odchrząknął głośno, po czym pochylił się do przodu, zamknawszy oczy i trzymając złożone dłonie na stole. Widząc, że Cal robi to samo, Will, nieco zażenowany, poszedł w ich ślady.

– Słońce nie będzie już zachodzić, a księżyc nie skryje się za góry, albowiem Pan będzie wiecznym światłem, a ciemne dni żałoby dobiegną końca – wyrecytował pan Jerome.

Will nie mógł się powstrzymać i raz po raz zerkał na niego spod przymrużonych powiek. Czuł się dość osobliwie w tej sytuacji – w jego domu nikomu nawet nie przyszłoby do głowy, żeby odmawiać modlitwę przed posiłkiem. O Bogu wspominało się tam tylko sporadycznie, gdy matka wrzeszczała: „Na litość boską, zamknij się!”.

– Jako na górze, tak i na dole – zakończył pan Jerome.

– Amen – dopowiedział Cal, tak szybko, że Will nie zdążył się do niego przyłączyć. Potem wszyscy usiedli prosto, a pan Jerome postukał łyżeczką o brzeg stojącej przed nim szklanki.

W jadalni zapadła na chwilę krępująca cisza, wszyscy siedzieli w bezruchu, starając się nie patrzeć na pozostałych. Potem do pokoju wszedł znużonym krokiem mężczyzna o długich, tłustych włosach. Jego twarz poznaczona była głębokimi zmarszczkami, policzki zapadnięte. Miał na sobie skórzany fartuch. Zmęczonymi, zaspanymi oczami przypominającymi dogasające płomienie świec, ustawionych w mrocznych zagłębieniach, spojrzał przelotnie na Willa, a potem szybko się odwrócił.

Chłopak przyglądał się w milczeniu służącemu, który kilkakrotnie przechodził z jadalni do kuchni i z powrotem, podstawiając każdemu z nich talerze z jedzeniem. Will doszedł do wniosku, że musiał on doznać ogromnego cierpienia albo przeżyć ciężką chorobę.

Na pierwsze danie był wodnisty rosół. W unoszących się nad talerzem kłębach pary Will wyczuł charakterystyczny ostry zapach, jakby do zupy dosypano sporą ilość curry. Oprócz rosółu każdy dostał talerzyk z garścią czegoś małego i białego, co przypominało obrane ze skórki korniszony. Cal i Jerome natychmiast zabrali się do jedzenia, czyniąc przy tym okropny hałas. Dmuchali głośno na gorące łyżki i siorbali bez opamiętania, rozlewając tłusty płyn na ubrania, co najwyraźniej wcale im nie przeszkadzało. Kakofonia podmuchów, siorbnięć i głośnego łykania osiągnęła takie natężenie, że Will osłupiał ze zdumienia i przez chwilę wpatrywał się z krańcowym niedowierzaniem w swoich współbiesiadników.

Wreszcie podniósł łyżkę i miał już przenieść do ust pierwszą porcję zupy, kiedy dostrzegł kątem oka, że jedna cząstka tego, co leżało na talerzyku obok, się poruszyła. Przekonany, że to tylko przywidzenie, wlał zawartość łyżki z powrotem do talerza i użył jej do przewrócenia białego czegoś.

Zszokowany odkrył, że to dziwne coś ma po drugiej stronie dwa rzędkie maleńkich brązowych nówek. Był to żywy robak! Will usiadł prosto i obserwował z przerażeniem, jak larwa wygina się i rozprostowuje mikroskopijne odnóża, poruszając nimi rytmicznie, jakby chciała go w ten sposób przywitać.

Najpierw pomyślał, że robak trafił tam przez przypadek, zerknął więc na talerzyki pana Jerome'a i Cala, zastanawiając się, czy powinien im coś powiedzieć. W tej samej chwili Cal podniósł jednego

robaczka i odgryzł kawalek, przeżuwać ze smakiem. Pozostały fragment larwy, uwięziony między kciukiem i palcem wskazującym Cala, wił się i wyginał, wydzielając z siebie jakiś przezroczysty płyn, który spływał na paznokcie chłopca.

Will poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Wypuścił z dłoni łyżkę, która uderzyła w talerz z takim brzękiem, że do jadalni zajął służący, by sprawdzić, czy ktoś go nie wzywał. Zmagając się z falą mdłości. Will zauważył, że pan Jerome wpatruje się w niego. Było to spojrzenie tak nienawistne, że chłopiec natychmiast odwrócił wzrok. Cal tymczasem pochłonięty był jedzeniem wijącej się larwy, którą wciągał z sykiem w usta jak jakąś grubą nitkę spaghetti.

Will zadrzał. Wiedział, że teraz już na pewno nie tknie zupy, siedział więc nieruchomo, zdenerwowany i spięty, czekając, aż służący uprzątnie naczynia. Potem pojawiło się danie główne – polana gęstym sosem papka, równie nieapetyczna jak rosół. Will przez chwilę przyglądał się jej podejrzliwie, rozgarniał i dźgał łyżką, sprawdzając, czy nie znajdzie w niej czegoś żywego. Wydawało się, że tym razem nie ma się czego obawiać, zaczął więc jeść, truchlejąc mimowolnie przy każdym kęsie i starając się nie zwracać uwagi na nieapetyczne odgłosy wydawane przez Cala i jego ojca.

Choć pan Jerome podczas całego posiłku nie odezwał się do Willa ani słowem, bijąca od niego niechęć była wręcz przytłaczająca. Chłopak nie miał pojęcia, co jest tego przyczyną, zaczynał jednak podejrzewać, że może to mieć coś wspólnego z jego matką, osobą, o której nikt nie chciał mówić. A może po prostu ten człowiek gardził wszystkimi Górnoziemcami? Tak czy inaczej, Will miał już dość dręczącego milczenia i chciał, by pan Jerome wreszcie coś powiedział, cokolwiek. Wiedział, że nie usłyszy od niego nic miłego, jednak był na to przygotowany. Chciał już mieć to za sobą. Zaczął się pocić i próbując poluzować nakrochmalony kołnierz nowej koszuli, przeciągnął wzdłuż niego palcem. Czuł się tak, jakby cały pokój wypełniony był schłodzoną trującą galaretą, która chciała go udusić.

Odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy pan Jerome opróżnił talerz, jednym haustem wypił mętną wodę ze szklanki i podniósł się raptownie z krzesła. Mężczyzna złożył jeszcze serwetkę i rzucił ją niedbale na stół. Dotarł do drzwi w chwili, gdy nieszczęsny służący wchodził do pokoju z miedzianą salaterką w dłoniach. Ku przerażeniu Willa pan Jerome brutalnie odepchnął sługę na bok. Will był niemal pewien, że mężczyzna upadnie, kiedy ten zatoczył się na ścianę. I choć w końcu udało mu się odzyskać równowagę, z przechylonej salaterki wysypały się na podłogę jabłka i pomarańcze.

Służący nie zaprotestował ani słowem, jakby zachowanie pana Jerome'a było czymś zupełnie normalnym. Will zauważył rozbitą wargę i strużkę krwi na brodzie mężczyzny, kiedy ten wszedł pod stół, by pozbierać porozrzucone owoce.

Chłopiec wręcz osłupiał ze zdumienia, podczas gdy Cal w ogóle nie zwrócił uwagi na ten incydent. Will obserwował służącego, dopóki ten nie opuścił pokoju, po czym przeniósł spojrzenie na salaterkę ze świeżymi owocami – prócz jabłek i pomarańczy leżały na niej banany, gruszki i garść fig. Chłopiec sięgnął po nie, zadowolony, że wreszcie może zjeść coś dobrze mu znanego.

W tej samej chwili drzwi frontowe zatrzęsły się z hukiem, od którego zadrzały szyby w oknach. Will i Cal siedzieli nieruchomo, słuchając oddalających się kroków pana Jerome'a. Wreszcie Will przerwał milczenie.

– Nie przepada za mną, co?

Cal pokręcił głową, zajęty obieraniem pomarańczy.

– Dlaczego... ? – Will przerwał, gdy do jadalni wszedł służący i stanął w pokornej pozie za krzesłem Cala.

– Możesz iść – burknął niegrzecznie Cal, nawet nie spoglądając na mężczyznę, który wymknął się cicho z pokoju.

– Kto to był? – spytał Will.

– Och, to tylko Watkins. Will milczał przez chwilę.

– Możesz powtórzyć jego nazwisko? – zadał kolejne pytanie.

– Watkins... Terry Watkins.

Will kilkakrotnie powtórzył imię i nazwisko podane przez Cala.

– Jestem pewien, że skądś go znam... – mruknął do siebie ogarnięty nagle złymi przeczuciami, których źródła nie potrafił jednak wyjaśnić.

Cal jadł owoce, rozbawiony konsternacją Willa, który aż podskoczył na krześle, przypomniawszy sobie wreszcie, skąd zna nazwisko Watkins.

– Oni zaginęli, cała rodzina!

– Zgadza się.

Will spojrzał ze zdumieniem na Cala.

– Zostali porwani!

– Musiało tak się stać, stanowili zagrożenie. Watkins odkrył przypadkiem kanał wentylacyjny, nie mogliśmy pozwolić, żeby komuś o tym powiedział.

– Ale ten człowiek w ogóle nie przypominał pana Watkinsa. Widziałem go, to był postawny mężczyzna, jego synowie chodzili ze mną do szkoły... – mówił Will z niedowierzaniem. – Nie, to nie mógł być ten sam człowiek.

– On i jego rodzina zostali tu zatrudnieni – oświadczył Cal chłodno.

– Ale... – Will zająknął się, porównując w myślach obraz pana Watkinsa, którego niegdyś znał, z jego aktualnym wyglądem. – ... on wygląda, jakby miał ze sto lat. Co się z nim stało? – Will pomyślał od razu o swoim własnym losie – i o losie Chestera. Więc tak miało wyglądać ich życie? Mieli zostać niewolnikami tych ludzi?

– Jak już powiedziałem, zostali tu zatrudnieni – powtórzył Cal, podnosząc gruszkę i wachając jej skórkę. Zauważywszy plamę krwi pana Watkinsa na powierzchni owocu, wytarł go w koszulę, a dopiero potem ugryzł.

Will przyglądał się bratu badawczo, próbując go rozszyfrować. Sympatia, którą zaczynał do niego żywić, zniknęła niemal bez śladu. W zachowaniu Cala widoczna była mściwość, wręcz wrogość, której Will nie rozumiał ani nie chciał zrozumieć. W jednej chwili mówił, że chce uciec z Kolonii, a w następnej zachowywał się tak, jakby czuł się tu jak w domu.

Will zmuszony był przerwać te rozmyślenia, kiedy Cal spojrzął na puste krzesło ojca i westchnął:

– Tacie na pewno jest z tym bardzo ciężko, musisz dać mu trochę czasu. Podejrzewam, że przywołujesz zbyt wiele wspomnień.

– Wspomnień czego? – odparował Will, który nie czuł ani grama współczucia dla tego ponurego mężczyzny. Nawet jeśli wierzył, że ci ludzie rzeczywiście są jego rodziną, to ze względu na osobę pana Jerome'a gotów był o tym zapomnieć – najchętniej już nigdy więcej nie oglądałby go na oczy.

– Mamy, oczywiście. Wuj Tam mówi, że mama zawsze miała buntowniczą naturę – westchnął Cal.

– Ale... czy stało się coś złego?

– Mieliśmy brata. Był jeszcze bardzo malutki, kiedy umarł na gorączkę. Potem mama uciekła. – W oczach Cala pojawił się wyraz smutku i tęsknoty.

– Mieliśmy brata – powtórzył Will.

Cal wpatrywał się w niego z ogromną powagą.

– Próbowala zabrać nas obu, ale wtedy dopadli ją Styksowie.

– Ale uciekła?

– Tak, choć ledwie zdążyła. Dlatego ja zostałem tutaj. – Cal ugryzł gruszkę i przeżuwał przez chwilę soczysty mięsz. Po chwili dodał: – Wuj Tam twierdzi, że mama jest jedyną znaną mu osobą, która uciekła i została na górze.

– Więc jeszcze żyje? Cal skinął głową.

– O ile nam wiadomo... Ale złamała prawo, a jeśli złamiesz prawo, Styksowie nigdy ci nie odpuszczą, nawet jeśli uda ci się dotrzeć do Górnoziemia. To wcale nie oznacza końca kłopotów. Któregoś dnia cię dopadną i ukarzą.

– Ukarzą? Jak?

– W przypadku mamy będzie to kara śmierci – wyjaśnił krótko Cal. – Dlatego trzeba działać z wielką ostrożnością. – Gdzieś w oddali rozległ się głos dzwonu. Cal wstał i wyjrzał przez okno. – Siedem uderzeń. Musimy iść.

Gdy tylko wyszli na zewnątrz, Cal narzucił takie tempo, że Will z trudem dotrzymywał mu kroku, zmagając się dodatkowo z nowymi spodniami, które ocierały go przy każdym ruchu. Na ulicach kłębiły się tłumy ludzi gnających gorączkowo w różnych kierunkach, jakby byli gdzieś spóźnieni. Wyglądali jak stada wystraszonych ptaków rzucających się bezładnie do ucieczki. Will szedł wytrwale śladem Cala. Pokonawszy kilka zakrętów, dotarli na koniec kolejki stojącej przed niepozornym budynkiem, przypominającym jakiś magazyn lub halę. Do jego wnętrza prowadziło kilkoro drewnianych, nabijanych ćwiekami drzwi. Przed każdym wejściem stała para Styksów w charakterystycznych pozach – przygarbieni patrzyli z góry na tłum niczym surowi nauczyciele gotowi w każdej chwili uderzyć krnąbrnego ucznia. Will pochylił głowę ku ziemi, starając się wmieszać w tłum i uniknąć spojrzenia czarnych jak węgiel oczu, które z pewnością patrzyły właśnie na niego.

W środku hala była zaskakująco duża, miała rozmiary zbliżone do połowy boiska piłkarskiego.

Podłogę pokrywały duże, lśniące od wilgoci płyty z kamienia, ściany zaś zostały dość niedbale wytynkowane i pobielone. Rozejrzawszy się dokoła, Will zauważył, że w każdym z czterech rogów sali znajduje się podest z prostym drewnianym pulpitem. Za każdym z pulpitów stał Styks, który przyglądał się uważnie zgromadzonym ludziom.

Mniej więcej w połowie długości ściany, na prawo od Willa, wisiał wielki obraz olejny; podobny znajdował się także po drugiej stronie sali. Jako że tłum przesłaniał mu malowidło na prawej ścianie, Will odwrócił się, by przyjrzeć się lepiej temu po lewej. Na pierwszym planie widać było mężczyznę w czarnym płaszczu i ciemnozielonej kamizelce. Na jego głowie nad mięsistą i dość smętną twarzą tkwił czarny cylinder. Człowiek ten patrzył na wielką płachtę papieru, być może mapę, trzymaną w szeroko rozpostartych rękach. Wydawało się, że stoi pośrodku jakichś rozległych wykopalisk. Wokół niego tłoczyli się inni ludzie z łopatami i kilofami w dłoniach, wpatrzeni w niego z nabożną czcią i podziwem. Nie wiadomo dlaczego, obraz ten skojarzył się Willowi z wizerunkiem Jezusa i jego uczniów.

– Kto to? – spytał Cala, wskazując na obraz.

– Sir Gabriel Martineau, oczywiście. Ten obraz nosi tytuł Zdobywcy podziemnego świata.

Ponieważ tłum w sali gęstniał z każdą chwilą, Will musiał raz po raz przekrzywiać głowę, by dojrzeć obraz.

Wiedział już, kim jest centralna postać, ale równie fascynujące wydawały mu się twarze robotników. Srebrzysty blask – zapewne światło księżyca – który padał z góry na ich oblicza, wypełniał je delikatną, niezemską poświatą, nadawał im znamiona świętości. Co więcej, wydawało się, że głowy niektórych otoczone są jeszcze jaśniejszym blaskiem, przypominającym aureolę.

– Nie – mruknął do siebie Will, zrozumiał, że to nie aureole, lecz ich białe włosy. – A ci inni? – zwrócił się ponownie do Cala. – Kim oni są?

Cał już otwierał usta, by mu odpowiedzieć, gdy jakiś przysadzisty Kolonista odepchnął go brutalnie, nieomal przewracając na podłogę. Mężczyzna parł naprzód, nawet nie spojrzawszy na Cala, ten jednak wcale nie wyglądał na oburzonego jego zachowaniem. Widząc, że Will wciąż czeka na odpowiedź, Cał odwrócił się i odezwał tonem, jakim zwraca się zazwyczaj do kogoś wyjątkowo tępego:

– To nasi przodkowie, Will – westchnął.

– Aha...

Choć Will chciał dowiedzieć się jak najwięcej o niezwykłym obrazie, musiał na razie powstrzymać ciekawość – gęstniejący tłum już niemal zupełnie go przesłonił. Spojrzał więc na przednią część sali, gdzie w kilkunastu drewnianych ławkach siedzieli ciasno stłoczeni Koloniści. Kiedy stanął na palcach, by zobaczyć, co znajduje się przed nimi, dostrzegł potężny żelazny krucyfiks zawieszony na ścianie – wyglądało na to, że wykonano go z dwóch kawałków szyny, połączonych wielkimi nitami o okrągłych łbach.

Cał pociągnął Willa za rękaw i poprowadził w stronę drewnianych ławek. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem, a chłopak uświadomił sobie, że ogromna sala wypełniła się ludźmi w ciągu zaledwie kilku chwil. Wciśnięty między Cala z jednej strony a jakiegoś grubego Kolonistę z drugiej poczuł, że robi mu się duszno. Temperatura w sali rosła gwałtownie, z wilgotnych ubrań zgromadzonych w niej ludzi

nosiły się wstęgi pary, które coraz gęstszą zasłoną otaczały światła zawieszane pod sufitem.

Gwar rozmów ucichł nagle, gdy jakiś Styks wszedł na podest ustawiony przy metalowym krzyżu. Miał na sobie długi czarny płaszcz przypominający sutannę, jego oczy błyszczały jasno w zamglonym powietrzu. Zamknął je na chwilę i pochylił głowę w przód. Potem powoli podniósł wzrok i rozłożył szeroko ręce, w których trzymał poły płaszcza. Był podobny do nietoperza szykującego się do lotu. Zwrócony ku wiernym zaczął przemawiać syczącym, monotonnym głosem. Początkowo Will w ogóle go nie rozumiał, choć Styksowie stojący w czterech rogach sali powtarzali jego słowa trzeszczącym szeptem, który przypominał dźwięk rozdzieranego papieru lub pergaminu. Po chwili kaznodzieja przemówił głośniejszym głosem, a Will wyteńczył słuch.

– Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, bracia – mówił, melodramatycznie zawieszając głos i wodząc spojrzeniem po tłumie. – Powierzchnia ziemi należy do stworzeń, które nieustannie toczą ze sobą wojny. Miliony giną po obu stronach, a ich nienawiść nie zna granic. Ich narody upadają i powstają tylko po to, by upaść ponownie. Wycięli w pień olbrzymie lasy, splugawili pastwiska truciznami. – Ze wszystkich stron dochodziły pomruki aprobaty, ludzie kiwali głowami, zgadzając się ze słowami kaznodziei. Styks pochylił się, zaciskając blade palce na krawędzi mównicy.

– Grzeszą obżarstwem, z którym równać się może tylko ich niepohamowana żądza zadawania śmierci, cierpień i strachu, niszczenia wszystkiego, co żyje. A pomimo tych niegodziwości chcą sięgać firmamentu... lecz, zapamiętajcie me słowa, ciężar grzechów ściągnie ich na dół. – Styks zrobił pauzę, powiódł czarnymi oczami po twarzach zgromadzonych przed nim ludzi, wreszcie podniósł rękę nad głowę i wskazując palcem w górę, mówił dalej:

– Nie zostało już na ziemi ani w wielkich oceanach nic, co nie zginie z ich rąk, nie zostanie przegnane albo ograbione. Ciała tych plugawców są żywymi grobowcami wszystkich żywych istot zabijanych bez litości i opamiętania. Lecz kiedy nadejdzie dzień sądu... – Styks opuścił teraz rękę i wskazywał nią na członków zgromadzenia – a dzień ten nadejdzie... zostaną wrzuceni w otchłań i zapomniani przez Pana... tego dnia to my, którzy stąpamy ścieżkami Pana, ludzie prawi i bogobojni, powrócimy na powierzchnię, by zbudować tam nowe królestwo... nowe Jeruzalem. Bo taka jest prawda i nauka naszych przodków, którą przekazuje nam przez wieki Księga Katastrof.

W sali zapanowała kompletna cisza, nikt nie kasłał, nie szurał nogami. Potem kaznodzieja przemówił ponownie, spokojniejszym, swobodnym niemal tonem:

– Niech wszyscy o tym wiedzą, niech wszyscy to zrozumieją – zakończył i pochylił nisko głowę.

Willowi wydawało się, że dojrzał pana Jerome'a siedzącego w drewnianych ławkach, nie był jednak pewien, a w okropnym ścisku nie mógł się przesunąć ani o krok do przodu.

Potem wszyscy wierni zaczęli nagle recytować wraz ze Styksem:

– Pana jest ziemia i jego uczniowie, Pana jest ziemia i wszystko, co w niej żyje. Składamy nieustające dzięki naszemu Zbawcy, sir Gabrielowi, i Ojcom Założycielom, pasterzom naszym, którzy nas tutaj przywiedli na ocalenie nasze, bo wszystko, co dzieje się tutaj, w Bożej Ziemi, dzieje się najwyżej, w Królestwie Bożym. – Styks znów zrobił krótką pauzę, po czym dodał: – Jako na górze, tak i na dole.

Wierni odpowiedzieli chóralnym „Amen”, a Styks wykonał krok do tyłu i zniknął Willowi z oczu. Chłopiec odwrócił się, by zadać Calowi pytanie, nie zdążył jednak, bo w tej samej chwili wszyscy

wierni ruszyli do drzwi, rozchodząc się równie szybko, jak się zgromadzili. Chłopcy zostali porwani przez rzekę ludzi, z której wydostali się dopiero na ulicy, gdzie stanęli obok siebie i patrzyli, jak Koloniści rozchodzą się we wszystkie strony.

– Nie rozumiem tego „Jako na górze, tak i na dole” – powiedział Will do Cala przyciszonym głosem. – Myślałem, że wszyscy nienawidzą tu Górnoziemców.

– Góra to nie jest Górnoziemie – odparł Cal tak głośno i z takim rozdrażnieniem, że kilkoro ludzi przechodzących w pobliżu odwróciło się i obrzuciło Willa pełnymi pogardy spojrzeniami. Will skrzywił się ze złością. Zaczynał się zastanawiać, czy nie lepiej by mu było jednak bez młodszego brata.

– Jak często musicie to robić... to znaczy chodzić do kościoła? – odważył się zapytać, kiedy doszedł już do siebie po poprzedniej odpowiedzi Cala.

– Raz dziennie – odparł Cal. – Wy w Górnoziemiu też chodzicie do kościoła, prawda?

– Nasza rodzina nie chodziła.

– To dziwne – mruknął Cal, po czym rozejrzał się dokoła, sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje. – To wszystko i tak jeden wielki stek bzdur – uśmiechnął się drwiąco. – Chodź, pójdziemy zobaczyć się z Tamem. Będzie w oberży w Low Holborn.

Dotarli do końca ulicy i skręcili. Nad ich głowami zaroilo się od białych szpaków. Ptaki zatoczyły krąg, kierując się tam, dokąd i oni zmierzali. Nie wiadomo skąd pojawił się przy nich Bartleby, który na widok ptaków zaczął nerwowo wymachiwać ogonem i poruszać zuchwą. Z jego pyska wydobyło się słodkie i płaczące zarazem miauknięcie, zupełnie nie pasujące do wyglądu.

– Chodź tutaj, dumny zwierzaku, i tak ich nigdy nie złapiesz – zawołał Cal, kiedy kot przebiegł obok nich z wysoko uniesionym łbem, wpatrzony w oddalające się ptaki.

Chłopcy szli w równym tempie, mijając po drodze rozpadające się chałupy i małe warsztaty: kuźnię, w której kowal, starszy już mężczyzna, walił bez przerwy młotkiem w kowadło oświetlony czerwonym blaskiem ognia huczącego na palenisku, a także miejsca opatrzone napisami w rodzaju „Naprawa powozów” lub „Sklep chemiczny u Erasmusa”. Szczególne zainteresowanie Willa wzbudziło podwórze zastawione powozami i zepsutymi maszynami.

– Nie powinniśmy już wracać? – spytał, zatrzymując się przy płocie, by obejrzeć przedziwne maszyny.

– Nie, tata przyjdzie późno do domu – odparł Cal. – Pośpiesz się, przed nami jeszcze kawał drogi.

Gdy przemieszczali się w stronę miejsca, które zdaniem Willa położone było gdzieś pośrodku jaskini, chłopiec bez ustanku rozglądał się dokoła, chłonąc zdumiewające widoki i patrząc z niedowierzaniem na niekończące się rzędy domów. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak duży obszar zajmuje ta dziwna kraina. Kiedy spojrział w górę, zobaczył skrzącą się mgiełkę, przemieszczającą się żywy twór wiszący niczym chmura ponad chaosem dachów, żywiący się połączonym blaskiem wszystkich kul.

Widok ten przywiódł Willowi na myśl leniwy letni dzień w Highfield, tyle że w miejscu nieba i słońca tutaj widać było tylko świetlistą mgłę i fragmenty olbrzymiego sklepienia skalnego. Gdy mijali Kolonistów, którzy, sądząc po ich nienawistnych, wyzywających spojrzeniach, dobrze

wiedzieli, kim jest Will, Cal przyspieszył kroku. Kilka osób przeszło na drugą stronę ulicy, by nie zbliżyć się do niego zanadto, inni przystawali i patrzyli na chłopca spod zmarszczonych brwi. Byli też tacy, co splunęli w jego stronę.

Willa mocno poruszyła taka reakcja zupełnie obcych ludzi.

– Dlaczego to robią? – spytał cicho, zrównując się z bratem.

– Nie zwracaj na nich uwagi – odparł pewnym głosem Cal.

– Zachowują się tak, jakby mnie nienawidzili.

– Zawsze tak traktują obcych.

– Ale... – zaczął Will.

– Posłuchaj, naprawdę, nie ma się czym przejmować. To minie, zobaczysz. Traktują cię tak, bo jesteś nowy, a poza tym nie zapominaj, że wszyscy wiedzą, kim jest twoja matka – tłumaczył Cal. – Nic ci nie zrobią. – Nagle zatrzymał się i odwrócił do Willa. – Ale dopóki tędy nie przejdziemy, trzymaj głowę pochyloną i nie zatrzymuj się. Zrozumiałeś? Nie zatrzymuj się pod żadnym pozorem.

Will nie wiedział, o czym mówi Cal, dopóki nie zobaczył wejścia znajdującego się po stronie brata. Był to właściwie korytarz ciągnący się między budynkami, tak wąski, że ledwie mieściła się w nim jedna dorosła osoba. Cal wsunął się do przejścia, Will szedł tuż za nim. Korytarz był ciemny i ciasny, w powietrzu unosił się kwaśny smród starych ścieków. Stopy chłopców raz po raz wpadały z chlupotem w kałuże niezidentyfikowanych cieczy. Will bardzo się starał, by nie dotknąć ociekających tłustą, ciemną mazią ścian.

Odetchnął z ulgą, gdy wreszcie opuścili mroczne przejście, lecz nagle aż osłupiał z wrażenia, ujrawszy przed sobą scenę jakby wyjętą z wiktoriańskiego Londynu. Po obu stronach wąskiej uliczki ciągnęły się rzędy kamienic pochylonych ku sobie pod tak dużym kątem, że ich górne piętra niemal się stykały. Wszystkie budynki miały drewnianą konstrukcję i były okropnie zaniedbane, a ich okna w większości powybijane lub zabite deskami.

Ze wszystkich stron dochodziły Willa ludzkie głosy, krzyki, płacz i śmiech, jednak nie potrafił określić dokładnie ich źródła. Słyszał też dziwną muzykę, jakby ktoś grał gamy na wygłuszonej cytrze. Gdzieś zawodziło dziecko, czekały psy. Kiedy szybkim krokiem mijali zniszczone fasady. Will poczuł zapach węgla drzewnego i tytoniowego dymu. Przez otwarte drzwi widać było ludzi zgromadzonych przy stołach, z okien wyglądali odziani w same koszule mężczyźni z fajkami, wpatrujący się apatycznie w dal. Środkiem uliczki ciągnął się otwarty kanał, którym powoli płynął strumień ścieków. Leżały tam również sterty obierzyn i zepsutych warzyw oraz innych śmieci i odpadków. Will omal nie wpadł do rynsztoka, w ostatniej chwili zdołał jednak uskoczyć w bok.

– Nie! Uważaj! – ostrzegł go szybko Cal. – Trzymaj się środka!

Choć Cal narzucił bardzo żwawe tempo marszu, Will bez ustanku rozglądał się dokoła, napawając się wszystkim, co widział. Bez ustanku mruzczał do siebie: „Fantastyczne, po prostu fantastyczne”, zastanawiając się, czy jego ojciec także widział to miejsce, ten żywy fragment historii. Po chwili uwagę chłopca przykuło coś innego. W mrocznych przejściach odchodzących od głównej uliczki byli ludzie. Tajemnicze cienie wirowały w ciemnościach, Will słyszał przytłumione głosy, jakieś histeryczne pomruki, a raz nawet odległy, pełen bólu krzyk.

Nagle z jednego z korytarzy wychynęła ciemna postać. Był to mężczyzna z czarną chustą na głowie. Uniósł jej skraj, odsłaniając pomarszczoną twarz. Jego pokryta potem skóra miała kolor starych poźółkłych kości. Nieznajomy chwycił Willa za ramię i wpił żółte kaprawe oczy w twarz przerażonego chłopca.

– Czego tu szukasz, mój słodziutki? – wydyszał astmatycznie, odsłaniając w krzywym uśmiechu rząd zepsutych, czarnych zębów. Bartleby warknął ostrzegawczo, kiedy Cal wsunął się pośpiesznie między Willa i mężczyznę i wyrwał rękę brata z uścisku napastnika. Puścił ją dopiero kilka chwil później, po pokonaniu jeszcze kilku zakrętów, gdy znaleźli się ponownie na szerokiej, dobrze oświetlonej ulicy. Will głośno odetchnął z ulgą.

– Co to było za miejsce?

– Slumsy. Dzielnica nędzarzy. Widziałeś tylko obrzeża, wierz mi, że nie chciałbyś znaleźć się w środku – odparł Cal, maszerując tak szybko, że Will z trudem dotrzymywał mu kroku. Wciąż odczuwał skutki pobytu w areszcie i przesłuchań Styksów. Ból w klatce piersiowej nie pozwalał mu głębiej oddychać, nogi wydawały się dziwnie ociężałe. Nie chciał jednak, by Cal posądził go o słabość, więc zmusił się do maksymalnego wysiłku.

Kot pobiegł wielkimi susami naprzód, a Will zawzięcie podążał krok w krok za Caliem, przeskakującym kałuże i omijającym nagłe, choć krótkotrwałe ulewy. Były to właściwie strumienie wody, które wystrzeliwały niespodziewanie z okrytego mgłą mroku pod sufitem jaskini niczym odwrócone gejzery.

Pokonali kilka szerokich ulic gęsto obstawionych szeregowcami, aż wreszcie Will dostrzegł w oddali światła oberży, stojącej na ostrym zakręcie u zbiegu dwóch dróg. Przed wejściem do lokalu kłębił się tłum klientów w różnych stadiach upojenia alkoholowego. Ludzie śmiali się głośno i krzyczeli, gdzieś w głębi słychać było piskliwy śpiew kobiety. Kiedy podeszli bliżej, Will ujrzał szyld z napisem „Dziwka i doliniarz” oraz rysunkiem najdziwniejszej lokomotywy, jaką kiedykolwiek widział, prowadzonej przez uzbrojonego w trójzab archetypowego diabła o szkarłatnej skórze, ogromnych rogach i spiczastym ogonie.

Fasada oberży, a nawet okna pomalowane były na czarno, pokrywała je warstwa szarej sadzy. Liczni goście wypełniali ciasno wnętrze i wylewali się szeroką falą na okoliczne chodniki. Wszyscy, co do jednego, pili z pogniecionych metalowych kufli, niektórzy palili długie gliniane fajki albo pociągali z jakichś dziwnych przedmiotów w kształcie rzepy, których Will nigdy wcześniej nie widział, a które śmierdziały jak zużyte pieluchy.

Chłopcy przeciskali się przez tłum, gdy Will dostrzegł mężczyznę w cylindrze, a obok niego mały składany stolik. Mężczyzna wołał: „Znajdź damę! Znajdź damę!” i spoglądając zachęcająco na kilku zgromadzonych wokół siebie gapiów, jedną ręką zręcznie tasował talię kart.

– Dobra decyzja – oświadczył człowiek w cylindrze, kiedy jeden z gapiów wykonał krok do przodu i położył monetę na zielonym suknie stolika. Mistrz ceremonii jeszcze raz potasował karty i... Will żałował, że nie może zobaczyć, jak zakończy się ta historia, nie chciał jednak zgubić brata, który przepychał się energicznie przez tłum. W otoczeniu obcych ludzi Will czuł się bardzo niepewnie i zaczął się już zastanawiać, czy nie powinien nakłonić Cala do powrotu, gdy nagle rozległo się tubalne wołanie:

– Cal! Przyprowadź tu Willa!

Gwar rozmów natychmiast ucichł, a wszystkie głowy zwróciły się ku Willowi. Z grupki ludzi wysunął się wuj Tam. Machając energicznie ręką, przywołał ich do siebie. Twarze ludzi stojących w tłumie przed oberżą wyrażały różne emocje: zaciekawienie, sympatię, obojętność – choć większość wykrzywił grymas otwartej nienawiści i wrogości. Wydawało się, że Tamowi wcale to nie przeszkadza. Położył dłonie na ramionach chłopców i odwrócił się do tłumu, rzucając stojącym w nim ludziom wyzywające spojrzenie.

Z wnętrza oberży wciąż dobiegały rozmowy, śmiechy i krzyki, co tylko pogłębiało ciszę panującą na zewnątrz i wzmagало towarzyszące jej napięcie. Straszliwa cisza wypełniała również uszy i umysł Willa, zagłuszając i tłumiąc wszelkie inne doznania.

Nagle ktoś z tłumu wydał z siebie najdłuższe i najgłośniejsze beknięcie, jakie Will kiedykolwiek słyszał. Kiedy umilkło echo odbijającego się sąsiednich budynków dźwięku, tłum eksplodował chrapliwym śmiechem, przeplatany okrzykami podziwu i gwizdami.

Wkrótce objawy zbiorowej wesołości nieco przycichły, a ludzie, jakby już spokojniejsi, wrócili do przerwanych rozmów. Drobnym mężczyzną, który był autorem rekordowego beknięcia, zbierał zewsząd gratulacje, a biesiadnicy klepali go po plecach z taką siłą, że musiał zakryć dłonią kufel, chroniąc jego zawartość przed wylaniem się na ziemię.

Wciąż ogromnie zażenowany Will stał z opuszczoną głową. Nie mogło więc ujść jego uwadze, że Bartleby, rozłożony pod ławką, na której siedzieli znajomi Tama, poderwał się gwałtownie, jakby go coś ugryzło. Zgięty wpół kot zaczął lizać się w okolicach krocza, wystawiając przy tym tylną łapę do góry. W takiej pozycji do złudzenia przypominał źle oskubanego indyka.

– Skoro już poznaliście plebs... – mówił wuj Tam, zerkając na tłum – pozwólcie, że przedstawię wam elitę, kwiat tego narodu. To jest Joe Waites – powiedział, odwracając Willa w stronę pomarszczonego starca. Mężczyzna miał na głowie ciasno dopasowaną myckę. Zdawało się, że obcisła mu czaszkę, powodując wytrzeszcz oczu i uniesienie policzków w mimowolnym uśmiechu. Z górnej szczęki staruszka wyrastał niczym kieł słonia samotny, żółty ząb. Joe Waites podał Willowi rękę, a ten uściśnął ją niepewnie i z zaskoczeniem stwierdził, że dłoń mężczyzny jest ciepła i sucha.

– A to... – Tam wskazał głową elegancika w tandetnym trzyczęściowym garniturze w kratę, z okularami w czarnych oprawkach na nosie – ... jest Jesse Shingles. – Nowo poznany człowiek uklonił się wytwornie, a potem zachichotał, podnosząc gęste brwi.

– I wreszcie, jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny Imago Freebone. – Mężczyzna z długimi, związanymi w kucyk wilgotnymi włosami wyciągnął do Willa dłoń, rozchylając przy tym połę skórzanego płaszcza i odsłaniając potężne ciało o wydatnym torsie. Will był tak onieśmieszony rozmiarami Imaga, że nieomal cofnął się o krok.

– Ogromnie się cieszę, że moja skromna osoba mogła dostąpić tego zaszczytu i poznać człowieka już za życia owianego legendą – oświadczył Imago, kłaniając się nisko i wykonując ręką zamaszysty gest.

– Ee... witam – odparł Will, nie wiedząc, co ma sądzić o tym człowieku.

– Przestań – skrzywił się Tam.

Imago wyprostował się, ponownie wyciągnął rękę do Willa i powiedział normalnym już głosem:

– Miło cię poznać, Will. – Will ponownie uściśnął dłoń mężczyzny. – Nie powinienem ci dokuczać – mówił Imago z powagą. – Wszyscy aż za dobrze wiemy, przez co przeszedłeś. – Przez chwilę patrzył na Willa z sympatią i współczuciem, ściskając jego dłoń w obu swoich. – Dzięki uprzejmości naszych drogich wspólnych przyjaciół, już kilkakrotnie miałem okazję spotkać się z Ciemnym Światłem – powiedział, wypuszczając rękę chłopca.

– Tak, człowieka męczy po tym okropna zgaga – dorzucił Jesse Shingles z porozumiewawczym uśmiechem.

Znajomi wuja Tama nieco onieśmielali Willa wyglądem i zachowaniem, kiedy jednak rozejrzał się dokoła, zrozumiał, że nie różni się zbyt od większości ludzi stojących przed oberżą.

– Przyniosłem wam obu po kuflu Nowolondyńskiego.

– Tom wręczył chłopcom metalowe naczynia. – Spróbuj, Will, założę się, że czegoś takiego jeszcze nigdy nie piłeś.

– Czyżby? A co w tym jest? – spytał Will, przyglądając się podejrzliwie szarej cieczy przykrytej cienką warstwą piany.

– Nie chcesz wiedzieć, mój chłopcze, naprawdę nie chcesz – odparł wuj Tam, a jego towarzysze wybuchli śmiechem. Joe Waites wydawał z siebie osobliwe, ptasie dźwięki, podczas gdy Imago odrzucił głowę do tyłu i aż trząśnął się od śmiechu, choć robił to zupełnie bezgłośnie. Bartleby, wciąż ukryty pod ławką, prychnął i oblizał się głośno.

– Więc byłeś na swoim pierwszym nabożeństwie – stwierdził wuj Tam. – Jak ci się podobało?

– Było... ee... interesujące – odparł Will wymijająco.

– Po kilku latach już takie nie są – mruknął Tam.

– Przynajmniej Białe Szyje mają przez chwilę jakieś zajęcie. – Pociągnął długi łyk z kufła, potem odsunął naczynie od ust i westchnął z zadowoleniem. – Tak, gdybym za każde „Jako na górze, tak i na tym cholernym dole” dostawał choćby po szylingu, byłbym już dzisiaj bogaczem.

– Jako wczoraj, tak i dzisiaj – przemówił Joe Waites znużonym, nosowym głosem, przedrzeźniając Styksa.

– Tako rzecze Księga Katastrof. – Staruszek ziewnął ostentacyjnie, ukazując Willowi różowe dziąsła i samotny ząb w pełnej okazałości.

– A jeśli słyszałeś o jednej katastrofie, to słyszałeś o wszystkich. – Imago szturchnął Willa w bok.

– Amen – dopowiedzieli chórem Jesse Shingles i Joe Waites, stukając się kuflami i śmiejąc głośno. – Amen!

– Niech słowa te przyniosą ukojenie tym, co nie mają własnego rozumu – dorzucił Tam.

Will zerknął kątem oka na Cala i zauważył, że ten śmieje się głośno wraz z pozostałymi. Will nie mógł tego zrozumieć. Czasami brat wydawał się mu napełniony fanatyczną niemal żarliwością religijną, kiedy indziej zaś mówił o tej religii z lekceważeniem, a nawet pogardą.

– Powiedz nam, Will, czego ci tutaj najbardziej brakuje z życia na górze? – spytał nagle Jesse Shingles, wskazując kciukiem na sufit jaskini. Will spojrział niepewnie i miał już odpowiedzieć, ale

Jesse mówił dalej: – Ja pewnie tęskniłbym najbardziej za rybą i frytkami, choć oczywiście nigdy ich nie jadłem. – Mrugnął porozumiewawczo do Imaga.

– Dość tego. – Tam zmarszczył brwi i powiódł nieufnym spojrzeniem po kręcących się w pobliżu ludziach. – Nie czas ani miejsce.

Cal sączył ochoczo napój, zauważył jednak, że Will jeszcze swojego nie tknął. Otarł usta wierzchem dłoni i zwrócił się do brata, wskazując jego kufel:

– No spróbuj, śmiało!

Will ostrożnie napił się szarego płynu, zatrzymał go na moment w ustach, a po chwili przełknął głośno.

– No i jak? – dopytywał się Cal. Will oblizał wargi.

– Niezły – orzekł. Wtedy się zaczęło. Will otworzył szeroko oczy, gdy nagle jego gardło zapłonęło żywym ogniem. Zakrzusił się, bezskutecznie próbując powstrzymać atak kaszlu. Wuj Tam i Cal wyszczerzyli zęby w uśmiechu. – Jestem za młody, żeby pić alkohol – wychrypiął Will, odstawiając kufel na stół.

– A kto ci zabroni? Tutaj obowiązują zupełnie inne zasady. Dopóki przestrzegasz prawa, ciężko pracujesz i chodzisz na nabożeństwa, nikomu nie będzie przeszkadzać, jeśli od czasu do czasu trochę się napijesz. Zresztą to tylko twoja sprawa – zakończył Tam, klepiąc Willa po plecach.

Jakby na poparcie słów Tama cała grupka uniosła kufle i stuknęła się głośno, wołając:

– Do dna!

I tak wychylano kufel za kuflem, aż do czwartej lub piątej kolejki – Will stracił rachubę. Tam skończył właśnie opowiadać jakiś zawiły dowcip o policjancie cierpiącym na wzdęcia i niewidomej córce żonglera; Will w ogóle nie zrozumiał, choć pozostali wręcz zataczali się ze śmiechu.

Podnosząc kufel i wciąż chichocząc, Tam zajrzał do naczynia, po czym sięgnął palcami do środka i wyjął coś z piany.

– Znow mi się trafił cholerny ślimak – oświadczył, zaś jego towarzysze na powrót wybuchli nieopanowanym śmiechem.

– Ożenisz się w ciągu miesiąca, jeśli go nie zjesz – ryczał Imago.

– W takim wypadku... ! – roześmiał się Tam i, ku zdumieniu Willa, położył miękkiego, szarego stworka na języku. Obrócił go w ustach, a potem przeżuł i połknął, co jego przyjaciele przyjęli głośnym aplauzem.

Kiedy już wszyscy się uspokoiili, a przy ławce na moment zapadła cisza, Will niesiony falą pijackiej odwagi ośmielił się odezwać:

– Tam... wuju... potrzebuję twojej pomocy.

– Co tylko zechcesz, chłopcze – odparł Tam, kładąc rękę na ramieniu Willa. – Wystarczy poprosić.

Ale od czego zacząć? W zamroczonej alkoholem głowie chłopca kłębiło się tyle myśli, trosk i

planów... musi odnaleźć ojca... a co z siostrą... i z matką... tylko którą matką? W tym natłoku pojawiła się jedna, najważniejsza myśl – jedna rzecz, którą musiał zająć się jak najszybciej.

– Muszę uwolnić Chestera – wypalił Will.

– Cii! – syknął Tam i rozejrzał się nerwowo dokoła. Wszyscy przysunęli się bliżej, otaczając ich ciasnym kręgiem.

– Masz pojęcie, o co mnie prosisz? – spytał cicho Tam. Will spojrzał niepewnie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– I dokąd byście poszli? Z powrotem do Highfield? Myślisz, że byłbyś tam bezpieczny, że Styksowie nie próbowaliby cię odnaleźć? Nie przeżylibyście nawet tygodnia. Kto by was chronił?

– Mógłbym pójść na policję – zaproponował Will.

– Wtedy...

– Nie słuchasz mnie. Oni wszędzie mają swoich ludzi – przerwał mu stanowczo Tam.

– I to nie tylko w Highfield – dorzucił Imago. – Nie możesz ufać nikomu w Górnoziemiu, nawet policji... nikomu.

Tam potwierdził te słowa skinieniem głowy.

– Musielibyście się ukryć gdzieś, gdzie Styksowie nawet nie próbowaliby was szukać. Wiesz, dokąd moglibyście uciec?

Will nie wiedział, czy był to efekt zmęczenia, czy też działanie alkoholu, lecz nie potrafił powstrzymać łez.

– Ale nie mogę tak po prostu tego zostawić. Kiedy potrzebowałam pomocy przy poszukiwaniach taty... – mówił ze ściśniętym gardłem – ... jedyną osobą, na którą mogłem liczyć, był Chester. Teraz on siedzi w areszcie. .. przeze mnie. Mam wobec niego dług.

– Wiesz, co znaczy być zbiegiem? – spytał Tam. – Do końca życia uciekać przed każdym cieniem, nie spotykać się z nikim, bo przebywanie w twoim towarzystwie jest śmiertelnym zagrożeniem?

Will przełknął ciężko, uświadamiając sobie znaczenie słów Tama. Zauważył, że oczy zgromadzonych zwrócone są na niego.

– Na twoim miejscu zapomniałbym o Chesterze – oświadczył szorstko Tam.

– Ja... po prostu... nie mogę – odrzekł Will cicho, wpatrując się w swój kufel. – Nie...

– Tutaj, na dole, tak jest, Will... przyzwyczaisz się do tego – przerwał mu Tam, kiwając głową ze współczuciem.

Radosny nastrój panujący przed kilkoma minutami ulotnił się bez śladu. Twarze Cala i przyjaciół Tama wydawały się teraz surowe i nieprzystępne. Will nie wiedział, czy palnął jakąś gafę, powiedział coś niewłaściwego, ale nie mógł tak tego zostawić – targały nim zbyt silne emocje, by miał się teraz poddać. Podniósł głowę i spojrzał Tamowi prosto w oczy.

– Dlaczego właściwie wszyscy siedzicie tu na dole? – spytał. – Dlaczego wszyscy po prostu nie wyjdą na górę... nie uciekną?

– Ponieważ – zaczął powoli Tom – co by nie mówić, to jest nasz dom. Nie jest może cudowny, ale większość z nas nie zna innego świata.

– Mamy tutaj rodziny – wtrącił stanowczym głosem Joe Waites. – Myślisz, że moglibyśmy tak po prostu sobie wyjść i zostawić je? Masz pojęcie, co by się z nimi stało, gdybyśmy to zrobili?

– Odwet – powiedział cichym, ledwie słyszalnym głosem Imago. – Styksowie by ich pozabijali.

– Rzeka krwi – wyszeptał Tam.

Joe Waites przysunął się bliżej do Willa. .

– Naprawdę myślisz, że bylibyśmy szczęśliwi, żyjąc w obcym miejscu, gdzie wszystko jest dla nas dziwne i niezrozumiałe? Dokąd mielibyśmy pójść? Co byśmy robili? – ciągnął, drżąc z emocji. Widać było, że pytanie Willa ogromnie go poruszyło, zaczął się uspokajać dopiero wtedy, gdy Tam położył mu dłoń ramieniu.

– Czulibyśmy się kompletnie oderwani od swego świata... od rzeczywistości – dodał Jesse Shingles.

Will skinął tylko głową, wystraszony intensywnością emocji, jakie wywołało jego pytanie. Westchnął ciężko.

– Cóż, tak czy inaczej, muszę wydostać Chestera z więzienia. Nawet jeśli będę musiał to zrobić sam.

Tam przyglądał mu się przez chwilę, potem pokręcił głową.

– Uparty jak osioł. Jak to mówią, niedaleko pada jabłko od jabłoni – powiedział, a na jego twarzy znów pojawił się uśmiech. – Wiesz, to niesamowite, jak bardzo przypominasz swoją matkę. Kiedy Sara sobie coś wymyśliła, za nic w świecie nie chciała ustąpić. – Tam zmierzwił czuprynę Willa wielką dłonią. – Uparty jak osioł.

Imago postukał Tama w ramię.

– To znowu on.

Szczęśliwy, że nie jest już w centrum uwagi, Will nie od razu zrozumiał, o czym mówi Imago. Po chwili zauważył jednak, że po drugiej stronie ulicy stoi Styks i rozmawia z jakimś masywnym mężczyzną o białych włosach i długich bokobrodach. Mężczyzna miał na sobie lśniący brązowy płaszcz, a jego krótka szyja owinięta była brudnym czerwonym fularem. Zakończywszy rozmowę, Styks skinął głową, odwrócił się i odszedł.

– Ten Styks łązi za Tamem już od dawna – wyszeptał Cal do Willa.

– Kim on jest? – spytał Will.

– Nikt nie zna ich imion, ale my mówimy o nim Moskit, bo trudno go odgonić. Koniecznie chce dopaść wuja Tama, toczy z nim coś na kształt prywatnej wojny.

Will obserwował, jak ciemna postać Moskita znika w mroku.

– Nienawidzi waszej rodziny, odkąd siostra Tama przechytrzyła Białe Szyje i uciekła do Górnoziemia – powiedział Imago, zwracając się do Cala i Willa.

– Tak samo, jak nienawidził mojego taty – dodał Tam dziwnie beznamyślnym głosem. – Zabił go, jestem tego pewien... to nie był żaden wypadek.

Imago pokręcił powoli głową.

– To było straszne – zgodził się. – Straszne.

– Ciekawe, o czym gadał z tym śmieciem – zastanawiał się Tam, marszcząc brwi i odwracając się do Imaga.

– A kim on jest? – spytał Will, patrząc na mężczyznę w fularze zmierzającego w stronę tłumu przed oberżą.

– Nie gap się na niego... to Heraldo Walsh. Bandzior. .. paskudny typ – ostrzegł Cal.

– Włamywacz, parszywy śmieć – warknął Tam.

– Więc dlaczego rozmawiał ze Styksem? – zdumiał się Will, kompletnie zdezorientowany.

– To bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje – mruknął Tam. – Styksowie to chytne bestie. Cel, jakim jest dobranie się do wroga, uświęca środki. Posłuchaj... – zaczął, zwracając się do Willa. – Może będę w stanie pomóc ci w sprawie Chestera, ale musisz mi obiecać jedną rzecz – wyszeptał.

– Co takiego?

– Jeśli cię złapią, nie wydasz Cala, mnie ani żadnego z nas. Żyjemy tutaj, tutaj żyją też nasze rodziny, i czy nam się to podoba, czy nie, musimy tu zostać razem z Białymi Szyjami... Styksami. Taki los. I mówię ci raz jeszcze – jeśli wejdiesz im w drogę, już nigdy nie dadzą ci spokoju... zrobią wszystko, żeby cię dopaść...

– Tam przerwał nagle.

Will dojrzał niepokój w oczach Cala. Odwrócił się na pięcie. Nie dalej niż dwa metry za nim stał Heraldo Walsh. Tłum pijaków rozstał się bojaźliwie, by przepuścić grupę groźnie wyglądających Kolonistów. Bez wątplenia należeli oni do gangu Walsha – Will widział płomienną nienawiść w ich oczach. Krew zastygła mu w żyłach. Tam natychmiast stanął u jego boku.

– Czego chcesz, Walsh? – spytał Tam, mrużąc oczy i zaciskając pięści.

– Ach, witaj, stary przyjacielu – odparł Heraldo Walsh, odsłaniając w paskudnym uśmiechu rząd zepsutych, mocno przetrzebionych zębów. – Chciałem tylko obejrzeć sobie tego Górnioziemca.

Will miał ochotę zapaść się pod ziemię.

– Więc to ty i tobie podobna hołota zatruwacie naszą wentylację i spuszczaście tu różne brudy. Moja córka umarła przez takich jak ty. – Walsh zbliżył się o krok do Willa, podnosząc groźnie rękę, jakby chciał uderzyć odrętwiałego z przerażenia chłopca. – Chodź tutaj, ty śmierdzący gnojku!

Will skulił się odruchowo. W pierwszej chwili chciał uciekać, wiedział jednak, że wuj nie pozwoli, by cokolwiek mu się stało.

– Dość tego, Walsh. – Tam również zrobił krok do przodu.

– Zadajesz się z bezbożnikami, Macaulay – ryknął Walsh, nie odrywając oczu od twarzy Willa.

– A co ty wiesz o Bogu? – odparował Tam, robiąc jeszcze jeden krok i zasłaniając Willa własnym ciałem. – Zostaw go w spokoju! To moja rodzina!

Lecz Heraldo był jak pies trzymający kość – nie zamierzał się poddać. Jego towarzysze przysunęli się bliżej, klnąc głośno.

– To nazywasz rodziną? – Walsh wskazał brudnym paluchem na Willa. – Tego kundla, bękarta Sary Jerome?

Na te słowa kilku spośród jego ludzi zaklaskało i zawyło radośnie.

– To bękartie nasienie zdradzieckiej suki, która uciekła do słońca – warknął Heraldo.

– Dość – syknął Tam przez zaciśnięte zęby, wylewając na niego resztkę piwa. Szary płyn trafił Walsha prosto w twarz, oblepiając pianą jego włosy i bokobrody. – Nikt nie będzie obrażał mojej rodziny, Walsh. Stawaj przy linii.

Gang Heraldo Walsha zaczął skandować: „Walka, walka, walka!”. Wkrótce potem wśród radosnych okrzyków przyłączyli się do nich wszyscy stojący na chodniku. Z wnętrza oberży wybiegali klienci, ciekawi, co to za zamieszanie.

– Co się dzieje? – spytał Cala Will, śmiertelnie wystraszony napierającym na nich podekscytowanym tłumem. Pośrodku rozkrzyczanego motłochu stał nieruchomo Tam oraz ociekający piwem, rozwścieczony Heraldo Walsh. Mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

– Będzie walka na pięści – wyjaśnił krótko Cal.

Właściciel oberży, odziany w niebieski fartuch przysadzisty mężczyzna o czerwonej, spoconej twarzy, przepychał się wytrwale przez tłum, aż dotarł do zwaśnionych mężczyzn. Stał pomiędzy Tamem i Heraldo Walshem i przykląkł, by zapiąć im kajdany na nogach. Kiedy obaj cofnęli się o krok, Will dostrzegł, że kajdany połączone są ze sobą zardzewiałym łańcuchem, który nie pozwalał żadnemu z walczących oddalić się zbyt od przeciwnika.

Potem oberżysta sięgnął do kieszeni fartucha, wyjął kawałek kredy i narysował na chodniku linię rozdzielającą uczestników walki.

– Znacie reguły – oświadczył teatralnym tonem, kierując te słowa zarówno do dwóch mężczyzn, jak i do tłumu. – Powyżej pasa, żadnej broni, gryzienia, wyłupywania oczu. Walka kończy się nokautem albo śmiercią.

– Śmiercią? – wyszeptał drżącym głosem Will, a Cal posepnie skinął głową.

Potem oberżysta kazał się wszystkim odsunąć, tworząc z ciał gapiów żywy ring. Nie było to łatwe zadanie, gdyż ludzie nieustannie przepychali się do przodu, walcząc między sobą o jak najlepszy widok.

– Podejdźcie do linii – powiedział głośno oberżysta. Tam i Heraldo Walsh stanęli po przeciwległych stronach widniejącej na chodniku kreski. Oberżysta przytrzymał ich za ręce i poczekał, aż staną w bezruchu. Potem puścił ich, krzyknął: „Start!” i szybko się wycofał.

Chcąc przewrócić przeciwnika na ziemię, Walsh natychmiast przesunął stopę w tył. Dwumetrowy łańcuch napiął się gwałtownie i poderwał nogę Tama do przodu.

Lecz Tam był przygotowany na taki ruch i wykorzystał go na swoją korzyść. Błyskawicznie doskoczył do Walsh, uderzając celnie pięścią w podbródek niższego mężczyzny, co zaskoczyło nie tylko jego, lecz także całą publiczność. Tam zasypał Walsh gradem ciosów, ale przeciwnik unikał ich z zadziwiającą łatwością, odchylając się i przykucając niczym jakiś szalony królik. Łączący ich łańcuch przesuwiał się ze zgrzytem po chodniku, przy akompaniamencie krzyków i gwizdów publiczności.

– Na Jowisza, szybki jest – zauważył Joe Waites.

– Ale nie ma takiego zasięgu jak Tam, co nie? – odparował Jesse Shingles.

Nagle Heraldo Walsh, który przykucnął, by uniknąć kolejnego ciosu, wyprostował się gwałtownie, wchodząc pod gardę Tama, i wyprowadził szybki cios prosto w jego podbródek. Głowa Tama odskoczyła do tyłu, a z jego ust trysnęła krew, lecz wuj Willa bez chwili wahania przeszedł do kontrataku, spuszczając pięść prosto na czubek głowy Walsh.

– Kafar! – stwierdził Joe, podekscytowany, po czym krzyknął: – Dawaj, Tam! Dawaj, stary!

Heraldo Walsh zachwiał się i odskoczył w tył rozwścieczony, po czym natychmiast powrócił z całą serią prostych i sierpowych wymierzonych w głowę przeciwnika. Tam cofnął się na tyle, na ile pozwalał mu łańcuch, wpadając w końcu w tłum za plecami. Ludzie zaczęli się odsuwać, robiąc miejsce walczącym, a Walsh próbował dogonić wroga. Tam wykorzystał chwilę oddechu, by ochłonąć i podnieść gardę. Gdy Heraldo dopadł go w końcu, ten pochylił się i przeszedł do kontrataku, zaskakując przeciwnika kombinacją potężnych ciosów w klatkę piersiową i brzuch. Głuchy odgłos kolejnych uderzeń przypominający huk bali drewna spadających na ziemię był chwilami głośniejszy od krzyków i gwizdów tłumu.

– Urabia go – stwierdził z satysfakcją Cal.

W tłumie od czasu do czasu wywiązywały się krótkotrwałe potyczki między zwolennikami obu zawodników. Ze swego miejsca Will widział podskakujące gwałtownie głowy, uderzające w nie pięści i latające kufle, z których wylewało się spienione piwo. Zauważył również, że ludzie przekazują sobie pieniądze, robiąc naprędce zakłady – niektórzy podnosili jeden palec, inni dwa lub trzy i podawali sobie monety. Przed oberżą panował iście jarmarczny nastrój.

Nagle tłum wydał z siebie głośnie „Ooo... !”, gdy mocny prawy sierpowy Heraldo Walsh wylądował na nosie Tama. W pełnej napięcia ciszy wszyscy patrzyli na trafionego, który opadł na jedno kolano, napinając łańcuch łączący go z Walshem.

– Niedobrze – mruknął z niepokojem Imago.

– Dawaj, Tam! – krzyknął Cal z całych sił. – Macaulay, Macaulay, Macaulay... – zaczął skandować, a Will natychmiast się do niego przyłączył.

Tam nie podnosił się z klęczek. Cal i Will dostrzegli strużkę krwi ciekącą z jego nosa na bruk. Wtedy Tam uniósł lekko głowę i mrugnął do nich chytrze.

– Stary cwaniak! – uśmiechnął się pod nosem Imago. – Zaraz mu da popalić.

I rzeczywiście, gdy Heraldo Walsh stanął nad Tamem, ten podniósł się z wdziękiem i szybkością skaczącego jaguara, wyprowadzając jednocześnie potężny cios, który trafił w szczękę Walsh. Głowa niższego zawodnika odskoczyła do tyłu, a jego zęby zatrzasnęły się z mrozącym krew w

żyłach chrzestem. Heraldło zachwiał się i cofnął o krok, a Tam natychmiast rzucił się do ataku, objając twarz przeciwnika z prędkością i siłą, która uniemożliwiała jakąkolwiek skuteczną obronę.

Coś niewielkiego, pokrytego śliną i krwią wystrzeliło nagle z ust Heraldło Walsha i wylądowało na bruku. Will stwierdził z przerażeniem, że to kawałek ułamanego zęba. Kilku gapiów stojących najbliżej natychmiast wyciągnęło ręce po okrwawioną kość. Najszybszy z nich, mężczyzna w pogryzionym przez mole filcowym kapeluszu, błyskawicznie porwał ząb i zniknął w tłumie.

– Łowcy pamiątek – mruknął Cal. – Obrzydliwcy! Will ponownie spojrzął na walkę. Tam bezlitośnie tłukł przeciwnika, który był już tak zmęczony i zdyszany, że musiało go podtrzymywać kilku kompanów. Gdy, ociekający krwią i opuchnięty, został z powrotem wypchnięty na ring, zdążył tylko zobaczyć potężną pięść Tama zadającą mu ostateczny, miażdżący cios.

Walsh odleciał do tyłu, prosto w tłum, który tym razem rozstał się i patrzył, jak przez kilka okropnych chwil mężczyzna zatacza się na ugiętych nogach, by wreszcie osunąć się na ziemię niczym przemoczona papierowa lalka. Na ulicy przed oberżą zapadła głucha cisza.

Tam stał pochylony do przodu, z pięściami opartymi o kolana, i dyszał ciężko. Oberżysta podszedł do Heraldło Walsha i trącił go stopą. Mężczyzna nawet nie drgnął.

– Tam Macaulay! – wrzasnął oberżysta, zwracając się do tłumu, ten zaś odpowiedział mu rykiem, który z pewnością wypełnił całą jaskinię i wprowadził w drżenie okna po drugiej stronie Slumsów.

Tam pozbył się kajdan krępujących nogi i podtrzymywany przez przyjaciół doszedł do ławki, na której usiadł ciężko, masując jednocześnie obolałą szczękę. Po chwili Cal i Will byli już przy nim.

– Sukinsyn był szybszy, niż przypuszczałem – stwierdził, patrząc na zakrwawione knykcie i prostując je powoli. Ktoś podał mu pełny kufel, poklepał po plecach i zniknął we wnętrzu oberży.

– Moskit jest rozczarowany – zauważył Jesse. Wszyscy spojrzeli w stronę stojącego w oddali Styksa, który odwrócił się do nich plecami i ruszył w dół ulicy, stukając przy tym w udo parą dziwnych okularów.

– Ale dostał to, czego chciał – stwierdził Tam z przygnębieniem. – Wszędzie się rozniesie, że znów brałem udział w burdzie.

– Nie przejmuj się – machnął ręką Jesse Shingles. – Jesteś usprawiedliwiony. Wszyscy wiedzą, że to Walsh zaczął.

Tam spojrzął na nieruchome, bezwładne ciało Heraldło Walsha, pozostawione na chodniku. Żaden z jego towarzyszy nie przyszedł mu z pomocą, nie przeniósł go nawet pod ścianę oberży.

– Jedno jest pewne – kiedy się ocknie, będzie się czuł jak obiad Koprołita – zachichotał Imago, gdy barman wylał na nieprzytomnego boksera wiadro wody i ze śmiechem wrócił do tawerny.

Tam pokiwał głową w zamyśleniu, pociągnął łyk piwa i otarł usta przedramieniem.

– Jeśli w ogóle się ocknie – powiedział cicho.

Rozdział 26

Poniedziałkowy poranek przywitał Rebekę głośnym pomrukiem silników i trąbieniem aut jadących ulicą trzynaście piętér niżej. Delikatne podmuchy wiatru unosiły firanki w oknie sypialni. Dziewczynka zmarszczyła z obrzydzeniem nos, gdy do jej nozdrzy dotarł smród papierosów wypalonych minionej nocy przez ciotkę Jean. Choć drzwi do pokoju Rebeki były szczelnie zamknięte, dym wciskał się we wszystkie zakamarki niczym podstępna żółta mgła szukająca miejsc nieskażonych dotąd jej plugawym dotykiem.

Dziewczynka wstała, włożyła szlafrok i pościeliła łóżko, nucąc przy tym kilka pierwszych wersów piosenki Jesteś moim słońkiem. Potem starannie ułożyła na kołdrze białą koszulę i czarną sukienkę i dokończyła piosenkę, zmieniając oryginalny tekst na banalne „La, la”.

Podeszła do drzwi, ale gdy tylko położyła dłoń na klamce, zastygła nagle w bezruchu, jakby coś jej się przypomniało. Odwróciła się powoli i cofnęła do łóżka. Jej spojrzenie spoczęło na dwóch fotografiach w srebrnych ramkach, ustawionych na nocnym stoliku.

Rebeka wzięła ramki do rąk, usiadła na łóżku i przez chwilę przenosiła wzrok z jednej fotografii na drugą. Pierwsza z nich, trochę nieostra, przedstawiała Willa opartego o łopatę. Na drugiej młodzi państwo Burrowsowie siedzieli na plaży na prążkowanych leżakach. Pani Burrows wpatrywała się w ogromną porcję lodów, podczas gdy doktor Burrows odganiał ręką jakiegoś natrętnego owada.

Każdy z nich poszedł swoją drogą – rodzina się rozpadła. Czy naprawdę myśleli, że ona zostanie tutaj, by niańczyć ciotkę Jean, kogoś jeszcze bardziej leniwego i wymagającego niż pani Burrows?

– Nie – oświadczyła głośno Rebeka. – To już koniec. – Przez jej twarz przemknął lekki uśmiezek. Spojrzała po raz ostatni na obie fotografie i wzięła głęboki oddech.

– Rekwizyty – powiedziała i rzuciła je z taką siłą, że odbiły się z brzękiem od wyblakłej listwy przypodłogowej, rozsiewając dokoła kawałki potłuczonego szkła.

Dwadzieścia minut później dziewczynka była już ubrana i gotowa do wyjścia. Postawiła walizeczki przy frontowych drzwiach i przeszła do kuchni. W szufladzie obok zlewu znajdowała się „skrytka na fajki” ciotki Jean. Rebeka rozerwała kilkanaście paczek papierosów i wysypała ich zawartość do zlewu. Potem zajęła się butelkami z tanią wódką. Odkręciła nakrętki i wylała płyn ze wszystkich pięciu flaszek na papierosy.

Na koniec sięgnęła po paczkę zapalek leżącą obok kuchenki, wyjęła jedną, zapaliła ją i przystawiła do papierowego ręcznika zgniecionego w kulkę.

Odsunęła się od zlewu, po czym wrzuciła do niego płonąca kulę. Papierosy i alkohol natychmiast zajęły się ogniem, płomień wystrzelił w górę z charakterystycznym głuchym świstem, przesłaniając pokryte imitacją chromu plastikowe kurki kranu i wyszczerbione płytki w kwieciste wzory. Rebeka nie została jednak, by delektować się tym widokiem. Zniknęły jej małe walizki, a drzwi wejściowe zatrzasnęły się z hukiem. Przy dźwiękach alarmu przeciwpożarowego przeszła przez korytarz i ruszyła schodami w dół.

Odkąd jego przyjaciel przepadł bez wieści, Chester, zamknięty w ciemnej celi, popadał w coraz

głębszą rozpacz.

– Jeden. Dwa. Trzy... – Próbował wyprostować ramiona i dokończyć serię pompek, część codziennego treningu, porządku dnia, który narzucił sobie podczas pobytu w areszcie.

– Trzy... – Wziął głęboki oddech i napiął mięśnie, próbując wykrzesać w sobie choćby iskrę entuzjazmu.

– Trzy... – Wypuścił głośno powietrze i opadł na podłogę, pokonany, opierając twarz na brudnej kamiennej posadzce. Powoli przekręcił się na plecy, usiadł prosto i spojrzał na judasza w drzwiach, by się upewnić, że nikt go nie obserwuje. Dopiero wtedy złożył ręce.

Dobry Boże...

Modlitwa kojarzyła mu się z pełną zażenowania chwilą ciszy podczas szkolnego apelu... z czymś, co następowało po wyśpiewanych fałszywie hymnach, przetykanych przez co poniektórych uczniów wulgaryzmami, ku uciesze stojących w pobliżu kolegów.

Nie, tylko kujony modliły się szczerze.

.. . proszę, ześlij kogoś...

Zacisnął dłonie jeszcze mocniej, wyzbywszy się wszelkich uprzedzeń. Co innego mógł zrobić? Przypomniał sobie stryjecznego dziadka, który pewnego dnia zamieszkał w wolnym pokoju w ich domu. Mama wzięła wtedy Chestera na bok i wyjaśniła mu, że ten dziwny, chudy staruszek ma raka i przyjechał do Londynu na specjalną terapię. Powiedziała też, że trzeba być dla niego bardzo miłym, bo to rodzina – choć Chester widział go wtedy po raz pierwszy w życiu – i że to dla niej bardzo ważne.

Chester przywołał w myślach obraz dziadka z „Racing Post” w dłoni i jego szorstkie słowa: „Nie jadam tych zagranicznych śmieci”, kiedy mama podała mu porcję pysznego spaghetti bolognese. Pamiętał też dobrze napady rżężącego kaszlu, wywoływanego najczęściej dymem skrętów, które dziadek palił niemal bez ustanku, ku irytacji matki Chestera.

W drugim tygodniu codziennych wypraw do szpitala staruszek zaczął się robić coraz słabszy i coraz bardziej milczący, aż przestał w ogóle opowiadać o „życiu na północy”, a nawet pić herbatę. Chester słyszał wówczas, jak w ostatnich dniach życia, zamknięty w swoim pokoju, modli się do Boga, płacząc i zanosząc się straszliwym, charczącym kaszlem. Wówczas nie potrafił zrozumieć jego zachowania. Teraz rozumiał je doskonale.

... pomóż mi, proszę... proszę...

Chester czuł się samotny i porzucony i... i dlaczego, och, dlaczego poszedł z Willem na tę szaloną wyprawę? Mógłby siedzieć sobie teraz w domu, zadowolony i bezpieczny... ale nie siedział i poszedł z Willem... i jedyne, co mógł teraz zrobić, to liczyć dni odmierzane dwoma przygnębiająco podobnymi miskami z jedzeniem, które podawano mu w równych odstępach czasu, oraz pogrążyć się od czasu do czasu w niespokojnym, |

płatkim śnie. Przyzwyczyił się już do nieustannego buczenia wypełniającego jego celę – Drugi Oficer powiedział mu, że to odgłos pracy maszyn z Wentylatorni. Właściwie teraz ten jednostajny pomruk wydawał się Chesterowi kojący.

Ostatnio Drugi Oficer zaczął traktować Chestera nieco łagodniej, czasem nawet odpowiadał na pytania. Zdawało się, że jego postawa wobec więźnia i tak nie ma już dla nikogo znaczenia, co budziło w Chesterze głęboki niepokój. Mogło bowiem oznaczać, iż zostanie w celi już na zawsze albo że wkrótce jego sytuacja ulegnie zmianie – i nie będzie to raczej zmiana na lepsze.

Chester utwierdził się w tym przekonaniu, gdy któregoś dnia Drugi Oficer otworzył drzwi celi, wręczył chłopcu wiadro z wodą oraz gąbkę i kazał się umyć. Mimo wszelkich złych przeczuć i obaw Chester ucieszył się, że wreszcie może zmyć z siebie grubą warstwę brudu, choć ze względu na dokuczającą mu egzemę była to wyjątkowo bolesna operacja. Nim trafił do więzienia, wykwity pojawiały się jedynie na rękach, czasem tylko sięgając twarzy, lecz teraz pokrywały całe ciało, wywołując paskudne pieczenie i swędzenie. Drugi Oficer wrzucił również do celi komplet czystych ubrań, wśród nich parę ogromnych spodni uszytych z szorstkiej tkaniny workowej, od której – choć wydawało się to Chesterowi niemożliwe – skóra na nogach swędziała go jeszcze bardziej niż do tej pory.

Poza tym w ponurym, samotnym życiu Chestera nie działo się nic ciekawego. Stracił rachubę czasu. Wydawało mu się, że przebywa w areszcie już od miesiąca, ale mógł się mylić.

Pewnego dnia dokonał odkrycia, które na moment pozwoliło mu zapomnieć o przygnębiającej rutynie.

Wodząc palcami po jednej z kamiennych ścian celi, natrafił na wyłobione w niej napisy. Były to zazwyczaj inicjały i nazwiska, niektóre wraz z numerami oznaczającymi zapewne daty. Na samym dole, tuż nad podłogą, ktoś wyrył wielkimi literami: UMARŁEM TUTAJ, POWOLI. Odczytawszy ten napis, Chester nie miał już ochoty szukać kolejnych.

Odkrył również, że jeśli stanie na pokrytej ołowiem półce i wespnie się na palce, dosięgnie krat w wąskim oknie umieszczonym tuż pod sufitem celi. Chwyciwszy się ich mocno, mógł podciągnąć się na tyle, by zobaczyć zaniedbany ogród więziennej kuchni. Za ogrodem widać było fragment drogi prowadzącej do tunelu oświetlonego niegasnącymi zielonymi kulami. Chester wpatrywał się z utęsknieniem w tunel i drogę, łudząc się, że w końcu zobaczy tam swego przyjaciela Willa, który przybędzie mu na ratunek, ocali go niczym rycerz na białym koniu. Lecz Will nie nadchodził, a Chester wisiał przy oknie, modląc się żarliwie, aż zaciśnięte na kratkach dłonie bieleły z wysiłku, a ramiona nie mogły już dłużej utrzymać ciężaru jego ciała. Chłopiec opadał wtedy ciężko w głąb celi, wracając w ciemność i rozpacz.

Rozdział 27

Pobudka! Cal wyrwał Willa z głębokiego, pozbawionego marzeń snu, krzycząc i bezlitośnie szarpiąc go za ramię.

Will usiadł prosto na wąskim łóżku i jęknął głucho. Głowa pękała mu z bólu, czuł też okropną suchość w ustach.

– Wstawaj, Will, mamy obowiązki.

Will nie miał pojęcia, która to godzina, był jednak pewien, że jest jeszcze bardzo wcześnie. Beknął głośno, a gdy jego usta wypełnił kwaśny smak piwa z poprzedniego wieczoru, jęknął ponownie i opadł na łóżko.

– Powiedziałem: wstawaj!

– Muszę? – zaprotestował słabo Will.

– Pan Tonypandy czeka, a on nie jest zbyt cierpliwy. „Jak ja tutaj trafiłem?” – zastanawiał się Will. Zacisnął mocno powieki i leżał w bezruchu, marząc tylko, by znów zapaść w sen. Czuł się dokładnie tak, jak w pierwszym dniu szkoły, przejęty lękiem i niepewnością. Nie miał zielonego pojęcia, co szykuje dla niego jakiś pan Tonypandy, i wcale nie chciał się tego dowiedzieć.

– Will! – wrzasnął Cal.

– Dobrze już, dobrze... – Will z rezygnacją podniósł się z łóżka, ubrał i zszedł z Cal'em na dół, gdzie przy drzwiach czekał już na nich niski, przysadzisty mężczyzna o surowym wyrazie twarzy. Nieznajomy spojrzał na Willa z jawną odrazą, po czym odwrócił się do niego plecami.

– Masz, włóż to szybko. – Cal wręczył Willowi ciężkie zawiniątko. Chłopak rozwinął je i wcisnął się w coś, co przypominało niedopasowany nieprzemakalny kombinezon, który cisnął go pod pachami i w kroczu. Chłopiec spojrzał na siebie, a potem na Cala ubranego w identyczny strój.

– Wyglądamy jak idioci! – stwierdził.

– Tam, dokąd idziemy, te ubrania bardzo nam się przydadzą – odparł cierpko Cal.

Will pokazał się panu Tonypandy'emu. Ten obrzucił go obojętnym spojrzeniem, a potem poruszył lekko głową, nakazując w ten sposób, by szedł za nim.

Kiedy znaleźli się już na ulicy, Cal ruszył w kompletnie innym kierunku niż Will. Choć on także miał tego dnia pracować, to w zupełnie innej części Jaskini Południowej. Will uświadomił sobie z trwogą, że po raz pierwszy Cal nie będzie mu towarzyszył. Choć młodszy brat czasami naprawdę go irytował, był zarazem papierkiem lakmusowym, przewodnikiem po tym niezrozumiałym świecie i panujących w nim prymitywnych obyczajach. Pozbawiony jego pomocy, Will czuł się zupełnie bezbronny.

Człapiąc ospale przez miasto, zerkał od czasu do czasu na pana Tonypandy'ego, który wyraźnie utykał na jedną nogę, unosząc ją przy każdym kroku na bok, zataczając niewielki krąg i stawiając na bruku z cichym trzaskiem. Towarzysz Willa, niemal równie szeroki jak wysoki, nosił naciągnięty

niemal na brwi czarny, żebrowany kapelusz. Chłopcu wydawało się, że to nakrycie głowy zrobione jest z wełny, jednak przyjrząwszy mu się uważniej, uznał, że został raczej spleciony z jakichś grubych włókien przypominających kokosowe. Krótka szyja pana Tonypandy'ego zlewała się w całość z głową, co sprawiało, że z tyłu przypominały wielki kciuk wystający z kołnierza płaszcza.

Gdy tak szli w milczeniu pustą ulicą, co jakiś czas dołączali do nich kolejni Koloniści i wkrótce utworzyła się spora, kilkunastoosobowa grupa. Will zauważył, że przeważają w niej młodzi chłopcy, w wieku od jedenastu do piętnastu lat. Widział też, że wielu z nich niesie łopaty, niektórzy zaś ściskają w dłoniach dziwne narzędzia o długich trzonkach, przypominające kilofy, tyle że z jednej strony, naprzeciwko szpikulca, zamiast płaskiego ostrza znajdowała się długa, wygięta łopatką. Sądząc po gładkich, wyszlizganych trzonkach i stanie żelaznych elementów narzędzia te były często w użyciu.

Will, zaciekawiony, pochylił się do jednego z idących obok chłopców i spytał cicho:

– Przepraszam, co to za narzędzie? Chłopiec zerknął na niego z ukosa i mruknął:

– To pogłębiak, oczywiście.

– Pogłębiak – powtórzył Will. – Ee... dzięki – dodał, gdy tamten celowo zwolnił kroku, by zostać nieco z tyłu. W tym momencie Will poczuł się ogromnie osamotniony, bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Miał ogromną ochotę odwrócić się na pięcie i pobiec do domu pana Jerome'a, wiedział jednak, że nie ma innego wyjścia, jak tylko robić to, co mu każą. Musiał się podporządkować.

W końcu weszli do jakiegoś tunelu, którego wewnątrz natychmiast wypełnił głośny tupot. Na ścianach korytarza widać było ukośne żyły lśniącej czarnej skały, przypominające warstwy obsydianu, a może nawet, jak stwierdził Will po bliższych oględzinach, polerowanego węgla.

„Czy właśnie tym będziemy się za chwilę zajmować?” – pomyślał Will i ujrzał oczyma wyobraźni półnagich, brudnych górników wczółgujących się w wąskie szczeliny i wyrabujących w pocie czoła ciężkie czarne bryły. Zrobiło mu się słabo na samą myśl, że wkrótce być może i on będzie tak wyglądał.

Po kilku minutach dotarli do jaskini znacznie mniejszej od tej, którą chwilę wcześniej opuścili. Will od razu zauważył, że zmieniło się otaczające ich powietrze. Wilgotność wzrosła do tego stopnia, że na jego twarzy osadzały się krople, natychmiast mieszające się z potem. Dostrzegł również, że ściany jaskini wyłożone są wielkimi płytami wapienia. Cal mówił mu wcześniej, że Kolonia składa się z wielu połączonych ze sobą komnat. Część z nich była dziełem natury, inne, jak ta, zostały wydrążone przez ludzi, którzy wzmacniali ściany kamiennymi blokami.

– Boże, mam nadzieję, że tata to widział! – wyszeptał Will. Chętnie przystanąłby na dłużej, by podziwiać otaczające go widoki, a może nawet zrobić kilka szkiców, musiał jednak zadowolić się tym, co zdążył zobaczyć w czasie marszu.

W tej jaskini było zdecydowanie mniej budynków, co, w oczach Willa, upodabniało ją raczej do wsi niż miasta. Jakby na potwierdzenie jego domysłów chwilę później minęli kilka szop zбитych z drewnianych desek i grupę parterowych budynków przypominających bungalowy. Niektóre z nich stały na otwartej przestrzeni, większość jednak była wbudowana w ściany jaskini. Na ulicy nie widać było też zbyt wielu mieszkańców. Przez cały ten czas Will minął tylko kilka osób, dźwigających na plecach jakieś ciężkie wory albo pchających wyładowane po brzegi taczki.

Grupa chłopców szła krok w krok za panem Tonypandym, gdy ten zбочzył z drogi i wszedł do głębokiego rowu, którego dno pokryte było wilgotną, miękką gliną. Śliska, zdradliwa papka oblepiała im buty i utrudniała marsz długim krętym przekopem. Wkrótce dotarli do dużego krateru znajdującego się u podstawy ściany jaskini. Zatrzymali się przy dwóch kamiennych budynkach z płaskimi dachami. Chłopcy najwyraźniej wiedzieli, że mają tu czekać, opierali się więc wygodnie na swoich łopatach i pogłębiakach, podczas gdy pan Tonypandy wdał się w ożywioną rozmowę z dwoma starszymi mężczyznami, którzy wyszli z betonowego budynku. Chłopcy rozmawiali głośno i żartowali, spoglądając czasem z ukosa na stojącego z boku Willa. Potem pan Tonypandy odszedł, kuśtykając powoli w stronę drogi, a jeden ze starszych mężczyzn krzyknął do Willa:

– Jesteś u mnie, Jerome. Idź do baraku.

Mężczyzna miał na twarzy dużą czerwoną szramę w kształcie półksiężyca. Zaczynała się tuż nad ustami, przecinała oko i czoło i ginęła w białych włosach, kończąc się gdzieś z tyłu głowy. Najbardziej przerażało Willa oko mężczyzny, nieustannie załzawione i przekrwione. Powieka była tak poszarpana i nierówna, że podczas każdego mrugnięcia wyglądała jak zepsuta wycieraczka, która próbuje jeszcze wykonywać swą pracę.

– Dalej! Dalej! – warknął, kiedy Will stał w bezruchu, niezdecydowany.

– Przepraszam – odrzekł szybko Will. Potem wraz z dwoma innymi chłopcami wszedł do najbliższego budynku.

Wnętrze baraku było zawilgocone i, pomijając stojące w rogu narzędzia, zupełnie puste. Chłopcy stali w bezruchu, podczas gdy mężczyzna z blizną kopał w klepisko, jakby czegoś szukał. Zaczął przeklinać pod nosem, aż wreszcie trafił w coś butem. Był to metalowy pierścień. Mężczyzna pochylił się, ujął go w obie dłonie i mocno pociągnął. Przy akompaniamencie głośnego skrzypienia w podłodze otworzyła się metalowa płyta, odsłaniając otwór wejściowy o wymiarach metr na metr.

– Idziemy na dół.

Jeden po drugim, wszyscy zeszli po wilgotnej zardzewiałej drabinie, a kiedy już stanęli na dnie, mężczyzna z blizną odpiął od pasa lampę i oświetlił nią wyłożone cegłami ściany tunelu. Korytarz był nieco za niski, by mógł stać w nim całkiem wyprostowany. Sądząc po stanie popękanej i wykruszonej zaprawy, tunel wymagał solidnego remontu, szczególnie powtórnego spoinowania. Will przypuszczał, że Koloniści używają go już od co najmniej kilkudziesięciu, jeśli nie od kilkuset lat.

Na dnie tunelu zalegała dziesięciocentymetrowa warstwa brudnej wody, która przelała się przez cholewki butów Willa, gdy wraz z innymi ruszył w głąb korytarza. Szli przez jakieś dziesięć minut, aż w końcu mężczyzna z blizną przystanął, odwrócił się do nich i odezwał ponownie:

w – Poniżej... – mówił do Willa protekcyjnym tonem, jakby tłumaczył coś dziecku – ... są odwierty. Usuwamy z nich osad... przetykamy je. Rozumiesz?

Mężczyzna opuścił niżej lampę, by oświetlić dno tunelu i wystające z wody wysepki szlamu złożonego z odłamków krzemienia i wapienia. Potem zsunął z ramienia kilka zwojów lin. Will obserwował, jak każdy z jego towarzyszy bierze po jednej, starannie przewiązuje się nią w pasie i oddaje drugi koniec mężczyźnie, który zawiązuje go wokół talii, tak że po chwili wszyscy byli ze sobą połączeni niczym grupa wspinaczy.

– Górnoziemcu – warknął mężczyzna z blizną. – Wszyscy obwiązujemy się liną... i to mocno.

Will nie ośmielił się zapytać, dlaczego to robią, wziął tylko koniec liny, owinał ją wokół pasa i zawiązał najlepiej, jak potrafił. Kiedy szarpnął nią kilkakrotnie, by sprawdzić solidność węzłów, mężczyzna podał mu mocno już wysłużony pogłębiak.

– Bierzemy się do kopania.

Dwaj chłopcy zaczęli uderzać pogłębiakami w dno tunelu, a Will zrozumiał, że ma robić to samo. Badając podłoże ostrym końcem narzędzia, przesuwając się powoli wzdłuż ściany, aż dotarł do miejsca, gdzie na dnie zalegała miękka warstwa osadu i kamieni. Zawahał się i zerknął na pozostałych chłopców, by upewnić się, że postępuje właściwie.

– Kopiemy, nie stoimy! – krzyknął mężczyzna, kierując światło lampy na Willa, który natychmiast zabrał się do pracy. Początkowo nie szło mu to najlepiej, zarówno ze względu na ciasnotę, jak i na fakt, że nie umiał się jeszcze posługiwać nowym narzędziem. Działania nie ułatwiała mu też woda, która bez względu na to, jak szybko pracował, bez ustanku zalewała drążony dołek.

Jednak już po krótkiej chwili Will opanował technikę pracy nowym narzędziem i odnalazł właściwy rytm. Nawet zaczęło mu to sprawiać przyjemność. Dobrze było znów zająć się kopaniem, odrzucać na bok kolejne łopaty szlamu i zapomnieć choć na chwilę o wszystkich zmartwieniach. Wkrótce krawędzie dołu wykopanego przez Willa sięgały mu ud, a dwaj pozostali chłopcy musieli pracować jak szaleni, by utrzymać tempo. Nagle pogłębiak Willa uderzył ze zgrzytem w coś twardego.

– Kopiemy dookoła! – warknął mężczyzna z blizną. Złany wciskającym się pod powieki i palącym w oczy potem Will spojrzał na mężczyznę, a potem na wszechobecną wodę, próbując zrozumieć, jaki jest właściwie cel ich pracy. Wiedział, że jeśli zapyta, mężczyzna z blizną zbędzie go, ale ciekawość znów zwyciężyła. Podnosił już głowę, by zadać pytanie, gdy nagle rozległ się obok niego krótki, urwany krzyk.

– UWAGA! – wrzasnął mężczyzna.

Will odwrócił się i zdążył jeszcze zobaczyć, jak jeden z chłopców zapada się pod ziemię, a woda wpływa z bulgotem do otworu przypominającego studzienkę kanalizacyjną. Lina napięła się raptownie i zaczęła wrzynać w ciało Willa, drżąc przy każdym ruchu wiszącego na niej chłopca. Mężczyzna odchylił się w tył, wbijając stopy w szlam na dnie tunelu. Will stał wciśnięty w krawędź swego dołu.

– Podciągaj się! – krzyknął mężczyzna w stronę otworu. Will przyglądał się z niepokojem, aż ujrzał brudne dłonie, przesuwające się w górę liny. Po chwili z otworu, zalewana strumieniem mętnej wody, wychynęła przerażona twarz chłopca.

– Jedna dziura gotowa. Dalej, wracajcie do pracy – rzucił mężczyzna, po czym oparł się o ścianę, wyjął z kieszeni fajkę i zaczął czyścić jej główkę scyzorykiem.

Will dźgał na ślepo zbity osad wokół przedmiotu zaklinowanego w otworze. Nie wiedział, co to jest, jednak kiedy uderzył w niego kilkakrotnie, wydał się gąbczasty niczym namoknięte drewno. Próbuje go rozruszać, chłopak kopnął obcasem i w tej samej chwili rozległ się głośny bulgot i świst, a ziemia dosłownie zapadła mu się pod stopami. Nie mógł nic zrobić, leciał bezwładnie w dół otoczony kaskadą wody, mułu i żwiru, a jego ciało raz po raz odbijało się od ścian odwiertu.

Podskoczył jak marionetka, gdy napięta lina zakończyła w końcu lot. Niemal natychmiast

zapanował nad nerwami i pozbierał myśli. Przypuszczał, że przeleciał jakieś sześć metrów, nie miał jednak pojęcia, co znajduje się pod nim, w ciemności.

Nadarzyła się okazja – przemknęło mu nagle przez myśl.

Sięgnął pod kombinezon, do kieszeni spodni, gdzie miał ukryty scyzoryk.

... do uciezki...

Spojrzał w dół, w nieprzeniknioną ciemność, analizując swoje szansę. Czuł, jak lina powoli zaczyna się przesuwac w góre, ciągnięta przez jego towarzyszy.

... Tata jest gdzieś tam... na dole... Ta myśl zapłonęła w jego głowie niczym ogromny neon.

... tam na dole, tam na dole... pobrzmiwała raz za razem, zapalając się i gasnąc.

... woda, słyszę szum wody...

– WSPINAJ SIĘ, CHŁOPCZE! – dobiegł go z góry krzyk mężczyzny. – WSPINAJ SIĘ PO LINIE!

Will wytężył słuch. Z dołu dochodziło bulgotanie i delikatny szmer płynącej wody, niewiele głośniejsze od skrzywienia liny, która teraz wrzynała się mu w talię; pępowiny łączącej go z Kolonią.

... ale jaką to ma głębokość?

Poniżej była woda, co do tego nie miał wątpliwości, nie wiedział jednak, czy jest dość głęboka, by zamortyzować upadek. Otworzył scyzoryk i przystawił ostrze do liny, gotów ją przeciąc.

Tak... nie?

Jeśli woda nie była wystarczająco głęboka, skazywał się na śmierć w tym samotnym, zapomnianym przez Boga miejscu. Wyobraził sobie poszarpane krawędzie skał, ostre jak brzytwa i śmiertelnie niebezpieczne, wyraźne niczym rysunek z czarno-białego komiksu... W następnym okienku komiksu widać było jego zwłoki nabite na skalną iglicę oraz strumień krwi mieszający się z wodą i ciemnością.

Z drugiej jednak strony czuł w tej chwili wyjątkowy przypływ odwagi i wiary w sukces. Przeciągnął ostrzem po grubej linie, przecinając pierwszą warstwę włókien.

„Zuchwała uciezka!”, zapłonął napis w jego umyśle, jeszcze jaśniejszy niż poprzedni, niczym tytuł jakiegoś przygodowego filmu, hollywoodzkiej superprodukcji. Litery tworzące napis były wielkie i dumne, nagle jednak z tyłu pojawiła się roześmiana, szczęśliwa twarz Chestera, która rozbiła je na milion drobnych kawałków. Will zadrzał, przejęty nagle chłodem, oblepiony błotem i przemoczony.

Z góry znów dobiegły przytłumione, niewyraźne wrzaski mężczyzny z blizną, które w końcu przerwały rozmyślenia Willa. Wiedział, że powinien zacząć się wspinać po linie, ale nie mógł się na to zdobyć. Westchnął ciężko, wyzuty nagle z lekkomyślnej odwagi i niczym niepopartej wiary w sukces. Ich miejsce zajęło przekonanie, że wcześniej czy później pojawi się kolejna szansa na uciezkę, i że wtedy z pewnością z niej skorzysta. Schował scyzoryk do kieszeni, zacisnął dłonie na linie i rozpoczął mozolną wspinaczkę.

Siedem długich godzin później nie wiedział już nawet, ile odwiertów oczyścili, posuwając się coraz dalej w głąb tunelu. Wreszcie mężczyzna z blizną zerknął na swój zegarek kieszonkowy i

oświadczył, że mogą kończyć pracę. Wyczerpani dowlekli się do drabiny, a chwilę później Will wyruszył samotnie w drogę powrotną do domu. Ledwie powłóczył nogami ze zmęczenia, okropnie bolały go ręce i plecy.

Kiedy wyszedł już z gliniastego rowu i znalazł się na brukowanej ulicy, zauważył grupkę Kolonistów stojących przed budynkiem z dużymi drzwiami garażowymi. Przy drzwiach stała sterta skrzynek.

W pewnej chwili przed grupką wyszedł jakiś człowiek, a Will usłyszał głośny, piskliwy śmiech. Potem zobaczył coś, co kazało mu przetrzeć oczy ze zdumienia. Pośrodku grupy Kolonistów kręcił się w tanecznych podskokach mężczyzna ubrany we fioletowo-różową marynarkę i słomkowy kapelusz.

– To niemożliwe! Nie! A jednak! To pan Clarke Junior! – powiedział głośno Will, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– Co? – rozległ się za nim czyjś głos. Był to jeden z chłopców, z którym przed chwilą pracowali w tunelu.

– Znasz go?

– Tak! Ale... ale... co on tutaj robi? – Will oniemiał na moment ze zdumienia. Oczami wyobraźni ujrzał sklep Clarke'ów przy High Street i próbował jakoś pogodzić ten obraz z widokiem Clarke'a Juniora, który wciąż płaśał w kręgu przysadzistych Kolonistów. Will zauważył, że sprzedawca, wykonując zamaszyste teatralne gesty, wyjmując ze skrzynek jakieś przedmioty i pokazuje publiczności, potem chowa do rękawa niczym prestidigitator, by w końcu położyć je na stoliku. Na blat opadła z brzękiem moneta.

– Nie mów mi, że sprzedaje tu owoce! – zdumiał się po raz kolejny Will.

– I warzywa. – Chłopiec spojrzał na niego z zaciekawieniem. – Clarke'owie handlowali u nas, odkąd tylko...

– Boże, a to co? – przerwał mu Will, wskazując na dziwną postać, która wyszła właśnie zza sterty skrzynek. Nie wzbudzając niczyjej ciekawości ani zdumienia, stanęła za kręgiem Kolonistów i oglądała z uwagą ananasa, jakby był to jakiś rzadki eksponat. Tymczasem Clarke Junior nadal odgrywał swoje przedstawienie i wymieniał owoce na monety.

Chłopiec spojrzał na wskazane przez Willa stworzenie, które w ogólnym zarysie przypominało człowieka, miało bowiem tułów, ręce, nogi i głowę, lecz otaczało je coś w rodzaju rozdętego skafandra do nurkowania o barwie zmatowiałej kości. Postać wydawała się duża i niezgrabna niczym karykatura grubego mężczyzny, a jej głowa i twarz ukryte były pod czymś, co przypominało szeroki kaptur. W blasku lamp błyszczały od czasu do czasu wielkie gogle. Wyglądała, ogólnie rzecz biorąc, jak nagi ślimak o ludzkich kształtach albo raczej jak człowiek podobny do ślimaka.

– Do diabła, czy ty cokolwiek wiesz? – roześmiał się chłopiec, nie kryjąc pogardy dla ignorancji Willa. – To tylko Kopolita.

Will zmarszczył brwi.

– W porządku, Kopolita.

– Z dołu – dorzucił chłopiec, wskazując oczami na dno jaskini, po czym ruszył w dalszą drogę.

Will stał jeszcze przez chwilę w miejscu, chcąc przyjrzeć się uważniej dziwnemu stworzeniu – poruszało się tak wolno, że przypominało mu pijawki żyjące w mule na dnie szkolnego akwarium. Był to isticie nieprawdopodobny widok – odziany w różową marynarkę pan Clarke Junior sprzedawał Kolonistom owoce, podczas gdy Koprolita przyglądał się ananasowi, a wszystko to działo się głęboko we wnętrzu ziemi.

Will zastanawiał się, czy podejść do Clarke’a Juniora, kiedy dostrzegł na obrzeżach tłumu dwóch policjantów. Nie ociągając się dłużej, ruszył w drogę, dręczony pytaniem, które zagłuszało wszystkie inne myśli: „Skoro Clarke’owie wiedzą o Kolonii, to ilu jeszcze mieszkańców Highfield prowadzi podwójne życie?”.

Mijały kolejne tygodnie, a Will przydzielany był do różnych grup i zadań w poszczególnych częściach Kolonii, dzięki czemu mógł dobrze poznać funkcjonowanie podziemnej społeczności. Oczywiście nie byłby sobą, gdyby nie pragnął utrzymywać gromadzonych na co dzień informacji w swoim dzienniku. Wiedział już, że Styksowie stoją na najwyższym szczeblu drabiny społecznej i mogą robić praktycznie wszystko, na co mają ochotę. Tuż pod nimi znajdowała się elitarna grupa zarządzająca Kolonią, do której to grupy miał zaszczyt należeć pan Jerome. Will nie miał pojęcia, czym właściwie zajmuje się pan Jerome i pozostali Gubernatorzy, a gdy przyparł Cała do muru, okazało się, że i on tego nie wie. Jeszcze niżej była ogromna większość zwykłych Kolonistów, pod nimi zaś całkiem sporo nieszczęśników, którzy nie mogli albo nie chcieli pracować i gnili za życia w gettach, w tym w największym z nich – Slumsach.

Codziennie po południu, kiedy już zmył z siebie warstwę brudu i potu, używając do tego akcesoriów dostępnych w tak zwanej łazience domu Jerome’ów, Will siadał na łóżku. Obserwowany bacznie przez Cała zapisywał skrupulatnie wszystko, co zobaczył w ciągu minionego dnia, dodając od czasu do czasu jakiś szkic, jeśli uznał to za konieczne. Mógł to być, na przykład, rysunek przedstawiający dzieci pracujące na wysypisku śmieci – stanowiło to naprawdę niesamowity widok. Maleńcy Koloniści, którzy dopiero co nauczyli się chodzić, poruszali się z niezwykłą zręcznością po ogromnych górach śmieci i równie sprawnie wybierali wszystko, co nadawało się do przetworzenia, dodatkowo układając to w specjalnie przygotowanych skrzynkach.

– Nic się nie marnuje – pokiwał głową Cal. – Wiem dobrze, bo sam to kiedyś robiłem!

Mógł to być także szkic surowej fortecy położonej w najodleglejszym zakątku Jaskini Południowej, gdzie za potężną żelazną palisadą mieszkali Styksowie. Stworzenie tego rysunku stanowiło dla Willa szczególne wyzwanie, nie mógł bowiem zbliżyć się do budowli. Po okolicznych ulicach kręciły się bez przerwy patrole, a zbytne zainteresowanie siedzibą Styksów mogło wzbudzić ich podejrzliwość.

Cal nie rozumiał, dlaczego Will poświęca tyle czasu i energii na pisanie dziennika. Bez ustanku wypytywał, jaki ma to sens. Will odpowiadał, że nauczył go tego ojciec, który kazał mu sporządzać dokładny opis wszystkich ciekawych eksponatów znalezionych podczas wykopalisk.

No właśnie, ojciec. Doktor Burrows wciąż był dla Willa ojcem, a pan Jerome, nawet jeśli rzeczywiście był jego prawdziwym tatą – choć chłopiec nie miał pewności – stanowił, jego zdaniem, tylko kiepską namiastkę. Nadal także uważał za rodzinę swoją górnoziemską matkę i siostrę Rebekeę. Z drugiej jednak strony darzył tak wielką sympatią Cała, wujka Tama i babcię Macaulay, że czasami aż miał mętlik w głowie od sprzecznych uczuć i emocji.

Kończąc już szkic typowego podziemnego domu, pozwolił sobie na odrobinę swobody i znów zaczął rozmyślać o wyprawie swego ojca do Głębi. Will marzył, by zbadać tę tajemniczą krainę, i wierzył, że któregoś dnia ruszy śladem taty. Jednak za każdym razem, gdy próbował wyobrazić sobie, co przyniesie przyszłość, zderzał się boleśnie z rzeczywistością, przypominając sobie o trudnym położeniu Chestera, który wciąż tkwił w areszcie.

Will przestał rysować i potarł łuszczące się zgrubienia na dłoniach.

– Boli? – spytał Cal.

– Nie tak, jak kiedyś – odrzekł Will. Powrócił myślami do pracy, którą wykonywał tego dnia, a która polegała na oczyszczaniu kamiennych kanałów potrzebnych do osuszenia ogromnego miejskiego szamba. Wzdrygnął się. Było to, bez wątpienia, najgorsze zadanie, jakie wyznaczono mu do tej pory. Pocierając obolałe ramiona, powrócił do pisania. Nim jednak zdążył się skoncentrować, dom wypełniło przeraźliwe, upiorne wycie syren. Will wstał z łóżka, próbując się zorientować, skąd dochodzi ten straszny dźwięk.

– Czarny Wiatr! – Cal zeskoczył na podłogę i podbiegł do okna. Will dołączył do niego i zobaczył ludzi, którzy biegli na złamanie karku, szukając w panice jakiegoś schronienia. W mgnieniu oka ulica całkowicie opustoszała. Cal, podekscytowany, wskazywał na coś ręką, potem jednak cofnął ją, obserwując z fascynacją, jak w naładowanym elektrycznością powietrzu podnoszą się włosy na jego przedramieniu.

– Jest! – Pociągnął brata za rękaw. – Uwielbiam to.

Nadal jednak nic się nie działo. Syreny wyły nieprzerwanie, podczas gdy Will, nie wiedząc zupełnie, czego ma właściwie szukać, wodził wzrokiem wzdłuż pustej ulicy.

– Spójrz tam! Spójrz tam! – krzyczał Cal, wpatrując się w głąb jaskini. Will przeniósł spojrzenie we wskazanym kierunku i wydawało mu się, że coś niedobrego dzieje się z jego oczami, zupełnie jakby obraz kompletnie się rozmywał.

Wkrótce zrozumiał, dlaczego.

Ulicą płynęła gęsta, czarna jak atrament chmura, która pochłaniała wszystko, co stało na jej drodze. Will widział, jak światła latarni bronią się dzielnie, próbując zapłonąć jeszcze intensywniejszym blaskiem, podczas gdy czarna mgła spowijała je coraz gęstszym całunem. Wyglądało to tak, jakby ciemne fale oceanu zamykały się nad światłami tonącego okrętu.

– Co to jest? – spytał Will zafascynowany. Przycisnął nos do szyby, by lepiej widzieć ciemną mgłę pełznącą szybko w dół ulicy.

– To coś w rodzaju fali powrotnej z Interioru – powiedział Cal. – Nazywamy to Lewantyńskim Wiatrem. Przychodzi z najniższej Głębi – trochę jak olbrzymie beknięcie – zachichotał.

– Czy jest niebezpieczny?

– Nie, to głównie pył i kurz, ale ludzie uważają, że wdychanie takiego powietrza przynosi nieszczęście. Mówią też, że Czarny Wiatr roznosi zarazki – roześmiał się Cal, a potem dodał, przedrzeźniając monotony ton kazań Styksów: – Zgubny dla tych, których spotka na swej drodze, smaga i wysusza ciało. – Znów zachichotał.

– Jest fantastyczny, prawda?

Will wpatrywał się w czarną mgłę jak urzeczony. Gdy ulica poniżej zniknęła w mroku, a okno zrobiło się zupełnie czarne, poczuł nieprzyjemny ucisk w uszach. Miał wrażenie, że jego ciało wręcz iskrzy elektrycznością, stawiając na sztorc włosy na wszystkich odsłoniętych fragmentach skóry. Przez kilka minut czarna mgła kłębiła się za oknem i wypełniała sypialnię zapachem ozonu i ogłuszającą ciszą. W końcu zaczęła rzędnąć, odsłaniając najpierw latarnie, które przebijały się przez mrok niczym słońce przez burzowe chmury, aż wreszcie całkiem zniknęła. W powietrzu jeszcze przez chwilę wisiały tylko szare smugi przypominające ślady pędzla na akwareli.

– Patrz teraz!

– Zimne ognie? – spytał Will, nie wierząc własnym oczom.

– To wyładowania elektryczne. Zawsze pojawiają się po Lewancie – mówił Cal, aż drząc z podniecenia.

– Mogą cię niezle rąbnąć, jeśli staniesz im na drodze. Will patrzył, osłupiały, jak z ustępującej mgły wysypuje się na ulicę cała masa piorunów kulistych. Niektóre mniejsze od piłki tenisowej, inne wielkie jak piłka plażowa, wszystkie syczały i trzaskały głośno, rozrzucając wkoło snopy iskier, zupełnie jakby na ulicę wypadło stado rozszalałych kul ognistych.

Chłopcy stali przy oknie jak zahipnotyzowani, gdy nagle piorun wielkości sporego arbuza, zawieszony na wysokości ich oczu, wykonał korkociąg, kręcąc się w zawrotnym tempie i kurcząc do rozmiarów jajka. Potem zawisł tuż nad brukiem, rozbłysnął na moment jaśniejszym blaskiem, po czym zniknął w deszczu iskier.

Will i Cal nie mogli oderwać wzroku od miejsca, w którym piorun się rozpląnął, i wciąż odczuwali ostatnie kilka sekund jego obecności jako optyczne mrowienie, gęstą siatkę jasnych, zachwycających śladów na siatkówkach oczu.

Rozdział 28

Daleko pod ulicami i domami Kolonii samotny wędrowiec zmagał się z żywiołem.

Na początku wiatr był łagodny, szybko jednak przeistoczył się w przerażającą wichurę, która smagała ludzkie ciało drobinami piasku i żwiru z gwałtownością burzy piaskowej. Owinął głowę i twarz zapasową koszulą, lecz silne podmuchyomal nie zwały go z nóg. Obłok pyłu był tak gęsty, że wędrowiec nie widział własnych dłoni, mimo że podsuwał je pod same oczy.

Nie miał innego wyjścia, jak tylko przeczekać. Przywarł do ziemi i zwinął się w ciasny kłębek, zasłaniając piekące, oblepione kurzem oczy. Leżał tak i czekał, nie mogąc nawet zebrać myśli, rozpraszanych wyjąłym wściekłym wiatrem. Wreszcie, wygłodniały i osłabiony, zapadł w dziwne odrętwienie na granicy jawy i snu.

Jakiś czas później obudził go wstrząsający ciałem dreszcz. Nie miał pojęcia, jak długo leżał na dnie tunelu, podniósł więc ostrożnie głowę i rozejrzał się dokoła. Dziwny wiatr i nienaturalne ciemności ustąpiły, zostawiając po sobie tylko kilka obłoków pyłu. Kaszląc i plując, mężczyzna usiadł i otrzepał ubranie z piasku.

Brudną chusteczką przetarł załzawione oczy i przeczyścił okulary.

Potem doktor Burrows pokręcił się chwilę na czworakach, grzebiąc w suchym pyłe i wypatrując w blasku lśniącej kuli małej sterty materii organicznej, którą przygotował sobie na podpałkę tuż przed nadejściem burzy. Odnalazłszy ją w końcu, wyciągnął z niej coś, co przypominało zwinięty liść paproci. Przyjrzał się z zaciekawieniem tajemniczemu przedmiotowi – nie miał pojęcia, co to jest. Podobnie jak wszystko na przestrzeni ostatnich pięciu mil, zagadkowa rzecz była sucha i delikatna jak stary pergamin.

Doktor coraz bardziej niepokoił się topniejącymi szybko zapasami wody. Nim wszedł na pokład Pociągu Górników, Koloniści zaopatrzyli go w żywność – dostał torbę suszonych warzyw, trochę suszonego mięsa i paczkę soli. Mógł racjonować sobie jedzenie jeszcze przez długi czas, ale problem picia stawał się palący. Już od dwóch dni nie był w stanie znaleźć świeżego źródła, z którego mógłby uzupełnić zapas wody, a zostało mu jej naprawdę niewiele.

Ułożywszy podpałkę, zaczął uderzać o siebie dwoma kawałkami krzemienia, aż od wykrzesanej z nich iskry zajął się suchy materiał i pojawił się mały płomyk. Opierając głowę na ziemi, doktor Burrows delikatnie dmuchał na płomyk, aż ogień rozpalił się na dobre, rozsiewając dokoła migotliwy, czerwony blask. Mężczyzna usiadł obok swego dziennika, otrzepał go z warstwy kurzu i zabrał się ponownie do rysowania.

Cóż za niezwykle odkrycie! Krąg ociosanych równo kamieni, każdy wielkości drzwi, a na kamieniach wyryte napisy. Pomimo ogromnej wiedzy i doświadczenia, doktor Burrows nie rozpoznawał języka, w którym je sporządzono. Nie przypominały niczego, co widział do tej pory. Samo wyobrażanie sobie autorów tych słów przyprawiało go o zawroty głowy. Ludzi, którzy żyli głęboko pod powierzchnią ziemi, być może od tysięcy już lat, a mimo to byli na tyle rozwinięci cywilizacyjnie, by zbudować ten podziemny monument.

Nagle wyprostował się i przerwał rysowanie, przekonany, że usłyszał jakiś dźwięk. Wstrzymując

oddech, zastygł w całkowitym bezruchu i wpatrywał się przez chwilę w ciemność zalegającą za kręgiem światła rzucanego przez ogień. Ale nie było tam nic prócz wszechogarniającej ciszy, która towarzyszyła mu od samego początku podróży.

– Robisz się nerwowy, staruszkule – mruknął, uspokajając się. Dźwięk własnego głosu odbity od skalnych ścian wydawał mu się dziwnie kojący. – To znowu tylko twój brzuch, stary szelmo – dodał i roześmiał się głośno.

Odwiązał koszulę, która podczas burzy chroniła jego usta i nos, a którą zsunął na szyję, gdy rozpalał ogień. Miał poranioną i posiniaczoną twarz, zmierzwione włosy i potarganą brodę. Lepkie od brudu ubrania były już w kilku miejscach poprzecierane. Wyglądał jak szalony pustelnik. Słuchając kojącego trzasku ognia, spojrzął na swój dziennik i ponownie skoncentrował się na kamiennym kręgu.

– To coś naprawdę wyjątkowego – miniaturowy Stonehenge. Cóż za niezwykle odkrycie! – zawołał, na chwilę zapominając zupełnie o głodzie i pragnieniu. Ożywiony i szczęśliwy ponownie zajął się szkicowaniem.

Później odłożył zeszyt i ołówek, wyprostował się i zastygł w bezruchu, a jego twarz przybrała dziwny, nieobecny wyraz. Podniósł się, wziął do ręki świetlistą kulę i odszedł od ognia, stając na zewnątrz kamiennego kręgu. Zaczął powoli przechadzać się wokół budowli z kulą przed twarzą, jakby trzymał mikrofon. Wydał usta i obniżył głos o ton lub dwa, starając się naśladować dziennikarza telewizyjnego.

– Doktorze Burrows, co dla pana, jako nowo wybranego dziekana Wydziału Badań Podziemnych, oznacza Nagroda Nobla?

Doktor Burrows, jakby nagle nabrał wigoru, przyspieszył kroku i przesunął świetlistą kulę nieco na bok. Potem zrobił zdumioną minę i odgrywając pełne skromności wahanie, przemówił swoim normalnym głosem:

– Och... ja... muszę przyznać... to był naprawdę ogromny zaszczyt i początkowo nie czułem się godzien stanąć w jednym rzędzie z tymi wspaniałymi mężczyznami i kobietami... – W tym momencie doktor uderzył stopą w jakiś kamień, potknął się i poleciał kilka kroków do przodu, klnąc siarczyście. Kiedy już odzyskał równowagę i przybrał odpowiednią pozę, podjął przerwany marsz i mówił dalej: – ... w jednym rzędzie z tymi wspaniałymi mężczyznami i kobietami, którzy wcześniej otrzymali tę nagrodę.

Zamilkł na moment i przesunął kulę na drugą stronę twarzy.

– Ależ profesorze, pański wkład w tak liczne dziedziny nauki – medycynę, fizykę, chemię, biologię, geologię i przede wszystkim, archeologię – jest wręcz nieoceniony. Uważa się, że jest pan jednym z największych żyjących naukowców na świecie. Czy kiedy zaczął pan kopać tunel w swojej piwnicy, przypuszczał pan, że tak zakończy się cała ta historia?

Doktor Burrows odchrząknął teatralnie i ponownie przemieścił kulę.

– Cóż, wiedziałem, że czeka mnie coś więcej... znacznie więcej niż kariera kustosza muzeum w...

Doktor Burrows zamilkł i się zatrzymał. Jego twarz sposepniała nagle, zniknął z niej wyraz uniesienia i radości. Schował świetlistą kulę do kieszeni, zastanawiając się, co robi jego rodzina, jak

sobie bez niego radzi. Kręcąc brudną głową, wrócił powoli do ogniska i usiadł ciężko obok dziennika, wpatrując się w płomienie, które coraz bardziej rozmazywały się przed jego oczami. W końcu zdjął okulary i otarł dłonią wilgotne oczy.

– Muszę to zrobić – powiedział do siebie, wkładając z powrotem okulary i biorąc do ręki ołówek. – Muszę.

Blask ognia wypływał spomiędzy ułożonych w krąg kamieni, rzucając na dno i ściany tunelu migoczące szprychy łagodnej czerwieni. Pośrodku tego świetlistego koła siedział po turecku obszarpany mężczyzna i, mruczac gniewnie pod nosem, wymazywał błąd w swoim dzienniku.

W tej chwili nie zaprzętał sobie głowy myślami o nikim innym. Był człowiekiem ogarniętym tak wielką pasją, że nic poza tym nie miało dla niego znaczenia, absolutnie nic.

Rozdział 29

Ogień trzaskał wesoło w kominku, oblewając czerwonym blaskiem pana Jerome'a, który siedział rozparty w skórzanym fotelu i czytał gazetę. Od czasu do czasu ciężka, nawoskowana stronica wyginała się do środka, a pan Jerome przywracał ją do pionu szybkim, bezwiednym niemal ruchem dłoni. Z miejsca przy stole Will nie był w stanie odczytać ani jednego nagłówka. Kanciaste litery rozlewały się po papierze i cała szpalta wyglądała tak, jakby przebiegło po niej stado mrówek, które uprzednio wytarzały się w atramencie.

Cal wyłożył kartę i czekał niecierpliwie na reakcję brata, lecz Will nie mógł się skupić na grze. Po raz pierwszy, siedząc w jednym pokoju z panem Jerome, nie musiał znosić jego wrogich spojrzeń ani pełnego urazy milczenia. Był to prawdziwy kamień milowy w historii ich znajomości.

Nagle wszyscy trzej podnieśli wzrok, gdy drzwi frontowe otworzyły się z trzaskiem.

– Cal! Will! – ryknął wuj Tam, wpadając do salonu i zakłócając tę rodzinną sielankę. Zatrzymał się, ujrawszy pana Jerome'a, który przeszył go morderczym spojrzeniem.

– Och, przepraszam, ja...

– Myślałem, że mamy umowę – warknął pan Jerome, wstając z fotela i wtykając złożoną gazetę pod pachę.

– Powiedziałeś, że nie będziesz tutaj przychodził... kiedy ja jestem w domu. – Pan Jerome przemaszerował sztywno obok Tama, nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem.

Wuj Tam zrobił kwaśną minę i usiadł obok Willa. Konspiracyjnym gestem przywołał Cala do siebie i pokazał obu chłopcom, by przysunęli się bliżej. Poczekał, aż kroki pana Jerome'a ucichną na schodach, i dopiero wtedy się odezwał.

– Nadszedł wreszcie czas – wyszeptał, wyjmując z kieszeni płaszcza poobijany metalowy pojemnik. Zdjął pokrywkę, wyjął ze środka pomiętą mapę i położył ją na blacie stołu, rozprostowując zagięte rogi. Potem zwrócił się do Willa:

– Chester ma zostać Wygnany jutro wieczorem – powiedział.

– O Boże.. , – Will wyprostował się raptownie, jakby ktoś podłączył go do prądu. – To dość niespodziewana wiadomość, prawda?

– Dowiedziałem się o tym dosłownie przed chwilą. Wszystko zaplanowane jest na szóstą – mówił Tam.

– Zbierze się na pewno spory tłum. Styksowie lubią robić przy takich okazjach widowiska. Uważają, że ofiara jest dobra dla duszy.

Tam spojrział ponownie na mapę i nucąc pod nosem jakąś melodię, wodził palcem po skomplikowanej siatce linii, aż wreszcie zatrzymał się przy małym czarnym kwadracie. Podniósł wzrok na Willa, jakby o czymś sobie przypominał.

– Wiesz, ciebie stąd wydostać, to nic trudnego, ale Chester... to zupełnie inna sprawa. Musiałem

nieźle nad tym pogłównkować, ale... – przerwał na moment i uśmiechnął się, widząc, że Cal i Will nie odrywają od niego oczu – ... znalazłem rozwiązanie. Być może wam obu uda się uciec do Górnoziemia... przez Wieczne Miasto.

Cal aż zachłysnął się na dźwięk tej nazwy. Will odczuwał przemożną chęć zadania wujowi kilku pytań, jednak nie miał okazji, gdyż Tam mówił już dalej. Przedstawił chłopcom szczegółowy plan ucieczki, znacząc trasę na mapie. Bracia wsłuchiwali się uważnie w jego słowa, chłonąc każdy detal. Tunele miały nazwy, takie jak Watling Street, The Great North i Bishopswood. Will przerwał wujowi tylko raz, wysuwając propozycję, którą Tam po długim namyśle włączył do swego planu. Choć na pozór wydawał się spokojny i opanowany, chłopiec czuł, jak strach i podniecenie coraz mocniej ściskają mu żołądek.

– Słabe punkty tego planu... – mówił Tam, wzdychając – to wszystkie niewiadome, wszystkie zmienne, przy których nie mogę wam pomóc. Jeśli natraficie na jakieś przeszkody, będziecie musieli improwizować... wymyślić coś na poczekaniu. – Will zauważył, że w tym momencie oczy Tama jakby przyciemniały, a on sam stał się dziwnie niepewny i zagubiony.

Wuj jeszcze raz omówił cały plan od początku do końca, a kiedy skończył, wyjął coś z kieszeni i podał Willowi.

– Tutaj jest kopia wskazówek, z których musicie korzystać po wyjściu z Kolonii. Jeśli, broń Boże, by cię złapali, zjedz to.

Will ostrożnie rozwinął mapę, a właściwie kawałek materiału nie większy od chusteczki, którego powierzchnię pokrywała masa mikroskopijnych brązowych linii przedstawiających różne tunele. Choć trasa ucieczki Willa, zaznaczona jasnoniebieską kreską, wyraźnie wyróżniała się na tle tego labiryntu, Tam omówił ją pokrótce.

Kiedy Will, wysłuchawszy go uważnie, zaczął składać płócienną mapę, Tam odezwał się szeptem:

– Wszystko musi działać jak w zegarku. Naraziłbyś całą swoją rodzinę na ogromne niebezpieczeństwo, gdyby Styksowie pomyśleli choć przez sekundę, że ja maczałem w tym palce... możesz być pewny, że nie skończyłoby się na mnie: Cal, twoja babcia i twój ojciec też znaleźliby się na linii ognia. – Wuj Tam chwycił przedramię Willa i uścisnął je mocno, jakby dla podkreślenia wagi tych słów. – I jeszcze jedno. Kiedy już dotrzecie do Górnoziemia, ty i Chester musicie zniknąć. Nie miałem czasu, żeby się tym zająć, więc...

– A co z Sarą? – przerwał mu Will tknięty nagłą myślą, choć imię prawdziwej matki wciąż brzmiało dziwnie w jego uszach. – Co z moją prawdziwą matką? Czy ona nie mogłaby mi pomóc?

Na twarzy Tama pojawił się cień uśmiechu.

– Ciekaw byłem, czy o tym pomyślisz. – Tam spoważniał i odezwał się ponownie, starannie dobierając słowa: – Jeśli moja siostra wciąż żyje, a nikt nie wie tego na pewno, jest dobrze ukryta. – Spojrzał na wewnętrzną stronę dłoni i potarł ją kciukiem drugiej ręki. – Jeden dodać jeden może czasem dać zero.

– Co masz na myśli? – spytał Will.

– Cóż, gdyby jakimś cudem udało ci się ją odnaleźć, mógłbyś doprowadzić do niej Styksów.

Wtedy oboje skończycie jako pokarm dla robaków. – Podniósł głowę i pokręcił nią stanowczo, wbijając w Willa surowe spojrzenie. – Nie, przykro mi, ale musisz radzić sobie sam. Musisz uciekać szybko i daleko, nie tylko ze względu na siebie, lecz także na nas wszystkich. Zapamiętaj moje słowa: jeśli wpadniesz w łapy Styksów, prędzej czy później zmuszą cię do mówienia, a to oznaczałoby koniec dla nas wszystkich – dokończył złowieszczym tonem.

– Wtedy my też musielibyśmy uciekać, prawda wuju Tamie? – wtrącił Cal z entuzjazmem.

– Chyba żartujesz! – skarcił go ostrym tonem Tam. – Nie mielibyśmy żadnych szans. Nie zdążylibyśmy nawet ruszyć palcem.

– Ale... – zaczął Cal.

– Posłuchaj, to nie jest zabawa. Jeśli wejdiesz im w drogę o jeden raz za dużo, nawet nie zdążysz tego pożałować. Nim się zorientujesz, będziesz tańczył gigę Starego Nicka. Wiecie, co to jest? – Tam zrobił krótką pauzę, po czym, nie czekając na odpowiedź, mówił dalej. – To naprawdę niezły numer. Zszywają ci ręce za plecami... miedzianą nicią, obcinają powieki i wrzucają do najciemniejszej jaskini, jaką można sobie wyobrazić, pełnej Czerwonych Czartów.

– Czerwonego czego? – zdumiał się Will.

Tam wzdrygnął się i, ignorując pytanie Willa, mówił dalej:

– Jak myślisz, ile dni byś tam przeżył? Ile dni obijałbyś się o ściany w całkowitych ciemnościach, nim padłbyś z wycieńczenia? Ile dni wyłbyś z bólu, gdyby kurz wbijał ci się w okaleczone oczy, a Czarty zaczęły cię zjadać żywcem? Nie życzyłbym tego nawet najgorszemu...

– Tam nie dokończył zdania.

Chłopcy przełknęli ciężko, lecz wtedy twarz ich wuja znów wypogodniała.

– Dość tego – stwierdził. – Masz jeszcze tę kulę, prawda?

Wciąż nieco oszołomiony tym, co przed chwilą usłyszał, Will spojrzał tępo na mężczyznę. Potem wziął się jednak w garść i skinął głową.

– To dobrze – odparł Tam, wyjął z kieszeni płaszcza małe zawiniątko i położył je przed Willem. – To może ci cię przydać.

Will ostrożnie dotknął paczuszki.

– Śmiało, zajrzyj do środka.

Chłopiec odchylił rogi płóciennej chusteczki. Leżały w niej cztery gruzłowate, brązowo-czarne kamyki.

– Guzłaki! – zdumiał się Cal.

– Tak. Są jeszcze rzadsze niż ślimacze buty – uśmiechnął się Tam. – Opisano je w starych księgach, ale nikt prócz mnie i moich chłopaków nie widział ich do tej pory na własne oczy. Te znalazł Imago.

– Do czego służą? – spytał Will, przyglądając się dziwnym kamieniom.

– Tutaj, na dole, nie pokonasz Kolonisty ani tym bardziej Styksa w uczciwej walce. Jedyne brzoń,

jaką dysponujesz, to światło i ucieczka – mówił Tam.

– Jeśli znajdziesz się w trudnej sytuacji, rozbij jeden z tych guzłaków. Rzuć nim o coś twardego i zamknij oczy – rozbłyśnie najjaśniejszym światłem, jakie tylko możesz sobie wyobrazić. Mam nadzieję, że te są jeszcze dobre – mruknął, wążąc jeden z kamyków w dłoni. Spojrzał na Willa. – Myślisz, że dasz sobie radę? Will skinął głową.

– W porządku – odrzekł z powagą Tam.

– Dziękuję, wuju Tamie. Nie wiesz nawet jak... – zaczął Will łamiącym się głosem.

– Nic nie mów, mój chłopcze. – Wuj Tam zmierzwił mu włosy. Spojrzał na stół i przez kilka sekund milczał. Było to coś niesłychanego: cisza i Tam nie pasowali do siebie. Will nigdy dotąd nie widział, by ten potężny i rubaszny mężczyzna zachowywał się w taki sposób. Przypuszczał, że Tam po prostu się martwi i próbuje to ukryć. Kiedy w końcu wuj podniósł głowę, na jego twarzy widniał dobrze im znany szeroki uśmiech.

– Wiedziałem, że tak będzie... wcześniej czy później musiało do tego dojść – mówił zwyczajnym grzmiącym głosem. – Macaulayowie są lojalni i zawsze walczą za tych, których kochają i którym wierzą, bez względu na konsekwencje. Próbowalbyś ratować Chestera i pójść za swoim ojcem niezależnie od tego, czy bym ci pomógł, czy nie.

Will skinął głową, czując, jak jego oczy wypełniają się łzami.

– Tak też myślałem! – huknął Tam. – Zupełnie jak twoja matka... jak Sara... Macaulay z krwi i kości! – Chwycił Willa za ramiona. – Mój umysł wie, że musisz iść, ale serce mówi co innego. – Uściskał chłopca mocno i westchnął. – Szkoda... moglibyśmy się tutaj nieźle zabawić, wszyscy trzej. Naprawdę nieźle.

Bracia i Tam rozmawiali do późnej nocy, a gdy wreszcie Will położył się spać, prawie nie zmrugał oka.

Wczesnym rankiem, kiedy w domu panowała jeszcze zupełna cisza, Will spakował plecak i wsunął podarowaną mu przez wuja Tama mapę za cholewkę buta. Sprawdził, czy ma w kieszeniach guzłaki i świetlistą kulę, po czym podszedł do Cala i obudził go, szarpiąc za ramię.

– Idę – powiedział cicho, kiedy brat uniósł zaspane powieki. Cal usiadł i podrapał się w głowę. – Dzięki za wszystko, Cal – szeptał Will. – Pożegnaj ode mnie babcię, dobrze?

– Oczywiście, że to zrobię – odparł chłopiec, po czym zmarszczył brwi. – Wiesz, że dałbym wszystko, żeby pójść z tobą.

– Wiem, wiem... ale słyszałeś, co powiedział Tam; w pojedynkę mam większe szansę. Poza tym, tutaj mieszka twoja rodzina – dodał na koniec i ruszył do drzwi.

Zszedł po schodach, stąpając cicho na palcach. Cieszył się ogromnie, że znów wyrusza w drogę, ale radość tę mącił nieoczekiwany smutek i żal za tym, co właśnie opuszczał. Oczywiście, mógł zostać tutaj, w miejscu, do którego po części należał, zamiast wędrować w nieznane i stawiać wszystko na jedną kartę. Tak łatwo byłoby po prostu wrócić do łóżka. Kiedy przechodził przez przedpokój, usłyszał chrapanie Bartleby'ego; kojący dźwięk domu. Wiedział, że jeśli odejdzie, nie usłyszy go już nigdy więcej. Zatrzymał się przy drzwiach wyjściowych ogarnięty wątpliwościami. Nie! Nie potrafiłby żyć ze świadomością, że zostawił Chestera na pastwę Styksów. Wolał raczej

umrzeć, próbując go oswobodzić. Wziął głęboki oddech i zerknąwszy jeszcze raz na uśpiony dom, przesunął ciężki zatrzask w drzwiach. Otworzył je, przeszedł przez próg, a potem starannie zamknął. Był na zewnątrz.

Wiedział, że ma przed sobą szmat drogi, szedł więc szybkim krokiem, przytrzymując paski objającego się plecaka. Potrzebował niecałych czterdziestu minut, by dotrzeć do budynku na skraju jaskini, który opisał mu wcześniej Tam. Nie obawiał się pomyłki, bo w odróżnieniu od pozostałych domów w Kolonii ten miał dach kryty dachówką, a nie kamieniem.

Był teraz na drodze prowadzącej do Bramy Czaszki. Wuj radził, by w tej okolicy zachował szczególną czujność; Styksowie zmieniali strażę o różnych porach i ni stąd, ni zowąd mógł za rogiem natknąć się na patrol.

Po zejściu z drogi Will wspiął się na ogrodzenie okalające budynek kryty dachówką, zeskoczył na ziemię i przebiegł przez podwórko. Słyszał chrzkanie świń dochodzące z przybudówek, zauważył też kilka kurczaków zamkniętych na niewielkim wybiegu. Były małe i chude, ale miały śnieżnobiałe pióra.

Chłopiec wszedł do budynku i zobaczył stare drewniane belki oparte o ścianę, dokładnie tak, jak to opisał Tam. Kiedy wczołgał się pod nie, coś ruszyło w jego stronę.

– Co... ?

To był Tam. Natychmiast uciszył Willa, przykładając palec do ust. Will nie posiadał się ze zdumienia. Spojrzał pytająco na wuja, lecz jego twarz była poważna, a nawet posępna.

Obaj ledwie się mieścili pod belkami, Tam musiał więc przykucnąć w dość dziwacznej pozycji, by przesunąć wzdłuż ściany ciężką płytę chodnikową. Potem nachylił się do Willa.

– Powodzenia – wyszeptał mu do ucha i dosłownie wepchnął go do poszarpanego otworu. Potem kamienna pokrywa wróciła ze zgrzytem na miejsce, a Will został sam. Gdy tylko pozbierał myśli, sięgnął do kieszeni po świetlistą kulę, którą umocował wcześniej na grubym sznurku. Zawiesił kulę na szyi, by mieć wolne ręce. Początkowo przesunął się bez większego trudu, jednak po dziewięciu czy dziesięciu metrach tunel zrobił się tak niski, że Will musiał iść na czworakach. Później korytarz zaczął się wznosić, a gdy chłopiec podciągał się w górę i wspinał na poszarpane krawędzie skalnych płyt, jego plecak bez przerwy zaczepiał o sufit.

Nagle Will dostrzegł przed sobą jakiś ruch i natychmiast się zatrzymał. Zdjęty trwogą podniósł świetlistą kulę, by przekonać się, co to takiego. Wstrzymał oddech, kiedy coś białego przemknęło przez korytarz i wylądowało z cichym młaśnięciem dwa metry przed nim. Był to szczur bez oczu, wielkości dobrze wykarmionego kota. Miał gęstą śnieżnobiałą sierść i wielkie wąsy, które falowały teraz niczym skrzydła motyla. Szczur stanął na tylnych łapach, unosząc górną wargę i odsłaniając lśniące siekacze. W jego poczynaniach nie widać było ani śladu lęku przed człowiekiem.

Will znalazł na dnie tunelu kamyk i rzucił nim w szczura najmocniej, jak potrafił. Kamyk przeleciał obok celu i odbił się od ściany tuż obok gryzonia, który nawet nie drgnął. Zirykowany faktem, że dał się wystraszyć zwykłemu szczurowi, chłopiec ruszył gwałtownie w stronę zwierzęcia, powarkując przy tym gniewnie. Gryzoń odbił się bez wysiłku od dna tunelu i wylądował miękko na jego ramieniu. Na ułamek sekundy szczur i chłopiec zastygli w całkowitym bezruchu. Will czuł, jak wąsy zwierzęcia, delikatne niczym rzęsy, ocierają się o jego policzek. Wyrwany z odrętwienia

poruszył energicznie ramionami, a szczur jednym susem przeniósł się na jego nogę, po czym popędził po dnie tunelu w przeciwnym kierunku.

– Mały s... – mruknął Will, starając się uspokoić rozedrgane nerwy.

Czołgał się jeszcze przez długi czas, raniąc dłonie o ostre jak brzytwa skalne odłamki rozrzucone po dnie tunelu. Odetchnął z ulgą, kiedy korytarz rozszerzył się na tyle, że mógł stanąć w nim niemal całkiem wyprostowany. Od razu przyśpieszył tempo, co wprawilo go w tak dobry humor, że miał ochotę głośno śpiewać. Opamiętał się jednak w porę, kiedy pomyślał, że wartownicy przy Bramie Czaszki nie byli wcale daleko i mogli usłyszeć jego głos.

Wreszcie dotarł do końca korytarza, który przesłaniało kilka warstw sztywnych, brudnych worków, przypominających do złudzenia kamieniste dno. Odsunął je na bok i aż zachłysnął się, ujrawszy, iż tunel wyprowadził go pod sam sufit jaskini i od drogi dzieli go co najmniej trzydzieści metrów, niemal pionowo w dół. Cieszył się, że zaszedł tak daleko i ominął Bramę Czaszki, ale był pewien, że nastąpiła jakaś pomyłka i znalazł się w niewłaściwym miejscu. Wtedy przypomniał sobie słowa Tama: „Pomyślisz, że to niemożliwe, ale uda ci się, jeśli tylko nie będziesz się za bardzo śpieszył. Cał przeszedł tamtędy ze mną, kiedy był znacznie młodszy, więc i ty możesz”.

Will wsunął głowę do wnętrza pionowego tunelu, ogarniając spojrzeniem liczne zagłębienia i półki na skalnej ścianie. Potem ostrożnie przeniósł nogi nad krawędzią otworu i zaczął mozolną wędrówkę w dół, sprawdzając dokładnie każdy skalny występ, na którym zamierzał oprzeć stopę lub dłoń.

Przeszedł nie więcej niż sześć metrów, kiedy z dołu dobiegł go jakiś dźwięk. Smutne zawodzenie. Will znieruchomiał wsłuchany w ciszę i bicie własnego serca. Po chwili usłyszał to znowu. Opierając jedną stopę o skalną półkę, drugą zaś trzymając w powietrzu, obejmował rękami skalny występ na wysokości piersi. Powoli obrócił głowę i spojrzał w dół.

W stronę Bramy Czaszki zmierzał jakiś człowiek, który trzymał w dłoni rozkołysaną lampę i prowadził przed sobą dwie wychudzone krowy. Od czasu do czasu pokrzykiwał na nie, zupełnie nieświadom obecności Willa.

Will był na widoku, jednak nie mógł na to nic poradzić. Trwał w bezruchu, modląc się, by mężczyzna nie stanął i nie spojrzał w górę. W tym momencie stało się właśnie to, czego najbardziej się obawiał: człowiek nagle stanął na środku drogi.

O nie, już po mnie!

Will widział z góry każdy ruch łysawego mężczyzny, który pochylił się lekko i wyciągnął coś z przewieszanej przez ramię torby. Była to gliniana fajka o długim cybuchu. Nabił ją tytoniem z sakiewki i zapalił, wypuszczając z ust małe obłoczki dymu. Will słyszał, jak przemówił do krow, nim ponownie ruszył w drogę.

Chłopiec odetchnął z ulgą i upewniwszy się, że nic mu już nie grozi, szybko dokończył wędrówkę, przechodząc z półki na półkę, aż stanął bezpiecznie na ziemi. Nie zwlekając ani chwili, popędził do przodu. Trzymał się środka drogi, wzdłuż której ciągnęły się pola olbrzymich grzybów o potężnych, mięsistych kapeluszach i grubych nogach. Teraz wiedział już, że to borowiki. Gdy tak poruszał się wzdłuż drogi, blask kołyszącej się na jego szyi kuli rzucał niezliczone ruchome cienie grzybów na ściany jaskini.

Will musiał zwolnić kroku, gdyż chwyciła go bolesna kolka. Wziął kilka głębokich oddechów, a potem znów poderwał się do biegu, świadom, że jeśli ma dotrzeć do Chestera na czas, musi walczyć o każdą sekundę. Przebiegał przez kolejne jaskinie, obserwując mimochodem, jak pola grzybów ustępują miejsca czarnym dywanom porostów. Odetchnął z ulgą, ujrawszy wreszcie w oddali pierwsze latarnie i zarysy budynków. Był już blisko. Nagle znalazł się przy ogromnej bramie wyciosanej w kamieniu. Przeszedł przez nią, wkraczając tym samym na teren Ćwiartki. Wkrótce po obu stronach drogi pojawiły się coraz liczniejsze domy, co wzmagało niepokój Willa. Choć w pobliżu nie było widać żywej duszy, chłopiec starał się poruszać jak najciszej, biegł więc na czubkach palców. Bał się, że lada moment ktoś wyjdzie na ulicę i go zdemaskuje.

Wreszcie zobaczył to, czego szukał – pierwszy z bocznych tuneli, o których wspominał Tam.

„Pójdiesz bocznymi uliczkami – przypominał sobie słowa wuja. – Tak będzie bezpieczniej”.

– Lewo, lewo, prawo. – Pokonując kolejne zakręty, Will powtarzał słowa, które wuj Tam wbijał mu do głowy poprzedniego wieczora.

Tunele były odpowiednio szerokie, by mógł się w nich zmieścić powóz.

„Przejdź tamtędy jak najszybciej – mówił Tam. – Jeśli kogoś spotkasz, zachowuj się normalnie, jakbyś miał tam być”.

Will nie widział jednak nikogo, kiedy w szalonym tempie pokonywał kolejne tunele i ulice. Nim znalazł się ponownie w głównej jaskini, ociekał potem i ledwie dyszał ze zmęczenia. Natychmiast rozpoznał przysadzisty budynek komisariatu wciśnięty pomiędzy dwie wyższe budowle i zwolnił kroku, by nieco ochłonać.

– Jak na razie idzie całkiem nieźle – mruknął do siebie. Plan wydawał się bardzo łatwy, kiedy Tam go opisywał, teraz jednak Will zastanawiał się, czy nie popełnił jakiegoś fatalnego w skutkach błędu. „Nie masz czasu na myślenie – mówił Tam, kierując palec w jego stronę dla podkreślenia wagi tych słów. – Jeśli się zawahasz, stracisz rozpęd i przegrasz wszystko”.

Will otarł pot z czoła i przygotował się wewnątrz do następnego etapu.

Kiedy podszedł bliżej, widok komisariatu obudził w nim wspomnienia chwil, gdy wraz z Chesterem zostali wciągnięci na schody budynku, a potem poddani wyczerpującym przesłuchaniom. Wszystkie te przerażające obrazy wręcz zalewały jego umysł, starał się jednak nie dopuszczać ich do siebie. Schował się w mroku pod ścianą budynku i zdjął z ramion plecak. Wyjął aparat, sprawdził, czy działa, a potem wsunął go do kieszeni. Następnie ukrył plecak i ruszył do wejścia. Będąc już na schodach, wziął głęboki oddech i pchnął solidne drzwi.

Drugi Oficer siedział rozwalony na krześle, z nogami opartymi o kontuar. Gdy usłyszał trzask otwieranych drzwi, poruszył tylko oczami, dziwnie powolny, jakby pogrążony w półśnie. Potrzebował całej sekundy, by rozpoznać stojącego przed nim chłopca, a kiedy już się to stało, na jego mięsistej twarzy pojawił się wyraz krańcowego zdumienia.

– Proszę, proszę, młody Jerome. Co ty tu robisz?

– Przyszedłem zobaczyć się z moim przyjacielem – odparł Will, modląc się, by policjant nie dosłyszał w jego głosie choćby jednej fałszywej nuty. Czuł się tak, jakby sunął po gałęzi drzewa, z każdym ruchem oddalając się od grubego pnia i narażając na coraz większe niebezpieczeństwo.

Gdyby teraz stracił równowagę, upadek mógłby się okazać fatalny w skutkach.

– Kto pozwolił ci tutaj wrócić? – spytał podejrzliwie Drugi Oficer.

– A jak pan myśli, kto? – odpowiedział Will, siląc się na spokojny uśmiech.

Drugi Oficer zastanawiał się przez chwilę, mierząc go nieufnym spojrzeniem.

– No cóż... skoro pozwolili ci przejść przez Bramę Czaszki, to pewnie wszystko jest w porządku – rozmyślał na głos, podnosząc się powoli z krzesła.

– Powiedzieli, że mogę się z nim zobaczyć – oznajmił Will. – Ten jeden, ostatni raz.

– Więc wiesz, że to już dzisiaj wieczorem? – odparł Drugi Oficer, uśmiechając się przelotnie. Will skinął głową, zrozumiawszy, że to rozwiało wszelkie wątpliwości policjanta. Jego zachowanie od razu uległo zasadniczej zmianie.

– Chyba nie przyszedłeś tu na piechotę, co? – spytał. Przyjazny, serdeczny uśmiech rozpołowił jego twarz niczym szerokie nacięcie na świńskim brzuchu. Will nie przypuszczał nawet, że ten człowiek ma w sobie tyle ciepła. Niestety świadomość ta nie ułatwiała mu zadania, które miał zaraz wykonać.

– Owszem, wyszedłem z domu bardzo wcześnie rano.

– Nic dziwnego, że jesteś taki zgrzany. No dobrze, chodźmy... – powiedział Drugi Oficer, podnosząc klapę w kontuarze. Przeszedł na drugą stronę, pobrzękując przy tym pękiem kluczy. – Podobno całkiem nieźle sobie radzisz – ciągnął. – Wiedziałem, że tak będzie... gdy tylko cię zobaczyłem. „W głębi serca ten chłopak jest jednym z nas” – tak właśnie powiedziałem Pierwszemu Oficerowi. „Pasuje do nas”.

Przeszli przez grube dębowe drzwi i zanurzyli się w mrokach aresztu. Gdy Drugi Oficer otworzył drzwi celi i gestem zaprosił Willa do środka, znajomy zapach przyprawił chłopca o gęsią skórę. Kiedy już jego wzrok przywykł do ciemności, zobaczył Chestera – siedział w rogu celi na ołowianej półce, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Nie zareagował od razu; przez chwilę tylko gapił się tępo. Wreszcie zerwał się na równe nogi, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia i niedowierzania.

– Will? – powiedział, otwierając szeroko oczy. – Will! Nie, nie wierzę!

– Cześć, Chester – powiedział Will, starając się nie okazywać podniecenia. Ogromnie się cieszył ze spotkania z przyjacielem, zarazem jednak aż drżał ze zdenerwowania.

– Przeszedłeś, żeby mnie stąd zabrać, Will? Mogę już wyjść?

– Ee... niezupełnie. – Will obrócił lekko głowę, świadom, że Drugi Oficer stoi tuż za nim i słyszy każde słowo.

Policjant odchrząknął z zakłopotaniem.

– Muszę cię tu zamknąć, Jerome. Chyba mnie rozumiesz, prawda? Takie są przepisy... – Drugi Oficer wyszedł z celi, zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

– O co chodzi, Will? – spytał Chester, przeczuwając, że dzieje się coś niedobrego. – Masz jakieś złe wieści? – Odsunął się o krok wystraszony.

– Nic ci nie jest? – odpowiedział pytaniem Will, pochłonięty zupełnie czymś innym; nasłuchiwał kroków Drugiego Oficera i trzasku zamykanych drzwi. Kiedy był już pewien, że nikt ich nie podsłuchuje, zaprowadził Chestera w róg celi i szeptem wytłumaczył, co muszą zrobić.

Kilka minut później rozległ się dźwięk, którego Will się obawiał – Drugi Oficer wracał po niego do celi.

– Czas minął, panowie – powiedział. Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi, a Will powoli ruszył do wyjścia.

– Żegnaj, Chester – rzucił na odchodnym.

Kiedy Drugi Oficer zaczął już zamykać drzwi, Will położył mu dłoń na przedramieniu.

– Chwileczkę – powiedział. – Chyba coś tam zostawiłem.

– Co takiego? – spytał mężczyzna.

Drugi Oficer patrzył prosto na Willa, kiedy ten wyjął rękę z kieszeni. Czerwona lampka świadczyła o tym, że aparat był gotowy do użycia. Podsunął go pod samą twarz policjanta i nacisnął migawkę.

Światło flasza uderzyło Drugiego Oficera prosto w twarz. Mężczyzna zawył i wypuścił z ręki klucze, zakrywając dłońmi oczy i osuwając się na kolana. Błysk flesza był tak jasny w porównaniu z delikatnym światłem zielonych kul, że nawet Will i Chester, którzy przezornie zakryli twarze, czuli się lekko oszołomieni.

– Przepraszam – rzucił Will do jęczącego mężczyzny. Chester stał w bezruchu pośrodku celi, oszołomiony błyskawicznym rozwojem wypadków.

– Ruszaj się, Chester! – krzyknął Will, łapiąc go za rękę i przeciągając obok Drugiego Oficera, który zaczął przesuwać się powoli wzdłuż ściany, wciąż jęcząc z bólu.

Kiedy wbiegli do głównej sali, Will zerknął przypadkiem za kontuar.

– Moja łopata! – wykrzyknął, po czym zanurkował pod blat i zabrał stojący pod ścianą szpadel. Szedł już do wyjścia, kiedy zobaczył, że do drzwi chwiejnym krokiem zbliża się Drugi Oficer. Policjant machnął na oślep ręką i nim Will zrozumiał, co się dzieje, złapał Chestera za szyję.

Przerażony chłopiec wydał z siebie zduszony krzyk i próbował się wyrwać z uścisku policjanta.

Will nie tracił czasu na myślenie. Zamachnął się szeroko łopatą, która z głośnym brzękiem uderzyła policjanta prosto w czoło. Drugi Oficer osunął się na podłogę z cichym jękiem.

Tym razem Chester nie ociągał się ani chwili. Biegł tuż za Willem, kiedy obaj wypadli z komisariatu. Zwolnili tylko na moment, by Will mógł zabrać plecak, po czym ruszyli pędem w dół drogi, którą Chester tyle razy oglądał z okna celi. Wkrótce potem skręcili w boczny tunel.

– Jesteś pewien, że to tędy? – spytał Chester, dysząc ciężko i pokaszując.

Will nie odpowiedział, lecz biegł przed siebie, nie zwalniając kroku, aż dotarli do drugiego końca tunelu.

Dokładnie tak, jak opisywał Tam, na obrzeżach okrągłej, wielkiej jak amfiteatr jaskini stały trzy

częściowo zniszczone domy. Miękka, piaszczysto-ilasta gleba ugięła się pod ich stopami, gdy biegli w kierunku budynków, a otaczające ich powietrze przesycone było zapachem starego obornika. Will mimowolnie przyglądał się ścianom jaskini. Twory, które w pierwszej chwili wziął za stalagnity, były w rzeczywistości pniami skamieniałych drzew. Niektóre stały w parach, okręcone wokół siebie, inne wydawały się okaleczone, pęknięte na pół. Skamieniałe pozostałości majaczyły złowrogo w cieniu niczym wyrzeźbiony w skale las.

Will czuł narastający niepokój, jakby zakłęte w kamień drzewa emanowały złowrogą, szkodliwą mocą. Odetchnął z ulgą, kiedy dotarli do środkowego domu i otworzyli drzwi zawieszane na jednym skrzypiącym zawiasie.

„Przez korytarz, prosto...”

Chester zamknął za nimi drzwi, kiedy Will wszedł do kuchni. Była przestronniejsza niż kuchnia w domu Jerome’ów. Przemierzając pokrytą płytkami podłogę, pobudzili do życia grubą warstwę kurzu. Miniaturowe obłoki wirowały wokół własnej osi, a każdy ruch chłopców pozostawiał widoczny w świetle kuli ślad, rzekę maleńkich drobinek sunących powoli przez powietrze.

„Odszukaj na ścianie płytkę z namalowanym krzyżem.”

Will znalazł płytkę i pchnął ją. Pod jego ręką utworzył się niewielki właz. W środku widniała klamka. Chłopak przekręcił ją w prawo, a wtedy cała pokryta płytkami ściana otworzyła się na zewnątrz – było to sprytnie ukryte tajemne przejście. Dalej znajdował się przedpokój zastawiony częściowo jakimiś skrzynkami oraz kolejne drzwi, osadzone w przeciwległej ścianie. Nie były to jednak zwyczajne drzwi – wykonane zostały z grubego żelaza nabijanego nitami, a otwierało się je za pomocą dużej, ciężkiej korby umieszczonej na ścianie obok futryny.

Są hermetyczne – żeby nie przepuszczały zarazków.

Na wysokości oczu znajdowało się niewielkie okienko, jednak przez zmatowiałą szybę widać było tylko nieprzeniknioną czern.

– Otwieraj, a ja poszukam aparatów tlenowych – polecił Chesterowi Will, wskazując na korbę. Jego przyjaciel zabrał się do pracy; już po chwili usłyszeli głośny syk świadczący o tym, że gumowa uszczelka na dole drzwi oderwała się od ziemi. Will znalazł maski, o których mówił Tam – stare płócienne osłony na twarz, głowę i ramiona, z czarnymi gumowymi rurami podłączonymi do metalowych cylindrów. Całość przypominała zabytkowy sprzęt do nurkowania.

Nagle z ciemności zalegających na zewnątrz dobiegło żalosne miauknięcie. Will wiedział, co to jest, nim jeszcze odwrócił głowę.

– Bartleby!

Kot przebiegł truchtem przez przedpokój i kuchnię, kierując się prosto do tajnego przejścia, po czym wsunął szeroki pysk w szparę i rozejrzał się dokoła z zaciekawieniem.

– Co to jest? – Chester był tak zdumiony widokiem przerośniętego nad wszelką miarę kota, że wypuścił z dłoni korbę, która natychmiast zaczęła się obracać w drugą stronę. Drzwi zsunęły się z powrotem na podłogę i zamknęły z trzaskiem. Bartleby odskoczył do tyłu.

– Na litość Boską, Chester, otwórz te drzwi! – krzyknął Will.

Chester skinął głową i zaczął ponownie kręcić korbą.

– Potrzebujecie pomocy? – spytał Cal, stając w drzwiach.

– Nie! Tylko nie to! Co ty tutaj, u diabła, robisz!?! – krzyknął Will.

– Idę z tobą – odparł Cal, zdumiony reakcją brata. Chester przestał kręcić korbą i patrzył to na jednego, to na drugiego chłopca.

– On wygląda tak samo jak ty!

Will zrozumiał, że dotarli do punktu, w którym sytuacja nieodwracalnie wymyka się spod kontroli, zamienia w jakiś obłęd, nieogarnięty i beznadziejny chaos. Plan Tama rozpadał się na jego oczach, a on sam miał okropne przeczucie, że wszyscy zostaną schwytani. Musiał nad tym zapanować... jakoś... i to szybko.

– NA LITOŚĆ BOSKĄ, OTWÓRZ WRESZCIE TE DRZWI! – ryknął na cały głos, a Chester potulnie zaczął kręcić korbą. Dolna krawędź drzwi znajdowała się już jakieś pół metra nad podłogą. Bartleby wsunął pod nią ciekawski łeb, przypadł do ziemi i prześlizgnął się na drugą stronę, znikając im z oczu.

– Tam nie wie, że tutaj jesteś, prawda? – Will chwycił brata za kołnierz i przyciągnął do siebie.

– Oczywiście że nie. Uznałem, że powinienem już wyjść do Górnoziemia, jak ty i mama.

– Nigdzie nie pójdziesz – wycedził Will przez zaciśnięte zęby. Kiedy jednak zobaczył łzy żalu i zawodu w oczach brata, puścił go i dodał łagodniejszym tonem:

– Naprawdę nie możesz... Wuj Tam zabiłby cię, gdyby się dowiedział, że tu przyszedłeś. Natychmiast wracaj do... – Will nie dokończył zdania. Zarówno on, jak i Cal wyczuli w powietrzu ostry zapach amoniaku.

– Alarm! – powiedział Cal z paniką w oczach.

Z zewnątrz dochodziły krzyki, odgłosy zamieszania, a potem brzęk tłuczonego szkła. Podbiegli do okna w kuchni i wyrzeli na zewnątrz.

– Styksowie! – stwierdził z przerażeniem Cal.

Will widział ze swego miejsca około trzydziestu Styksów otaczających dom ciasnym półkolem, przypuszczał jednak, że jest to tylko część ścigającej ich grupy. Wolał nawet nie myśleć, ilu ich jest. Przykucnął pod oknem i zerknął na Chestera, który gorączkowo kręcił korbą. Drzwi podniosły się już wystarczająco wysoko, by mogli przejść na drugą stronę.

Will spojrzał na brata i zrozumiał, że nie ma wyboru. Nie mógł zostawić go tutaj na łaskę i niełaskę Styksów.

– Idź! Właź pod drzwi! – wyszeptał ponaglącym tonem.

Cal rozpromienił się i zaczął dziękować Willowi, który wcisnął mu w rękę aparat tlenowy i pchnął w stronę drzwi.

Kiedy Cal prześlizgnął się przez otwór, Will spojrzał jeszcze raz za okno i zobaczył Styksów zbliżających się do wejścia. Nie czekając ani chwili dłużej, rzucił się do przejścia, krzycząc

jednocześnie do Chestera, by wziął pierwszą lepszą maskę i poszedł za nim. Gdy usłyszał skrzypienie frontowych drzwi, wiedział, że mają dość czasu, by uciec.

Wtedy wydarzyła się jedna z tych straszliwych, nieprawdopodobnych i nieprzewidywalnych rzeczy.

Jedno z tych zdarzeń, które potem odtwarza się w umyśle setki i tysiące razy... choć w głębi duszy się wie, że nie można było zrobić nic innego.

Właśnie wtedy to usłyszeli.

Głos, który obaj znali aż za dobrze.

Rozdział 30

Ten sam nieznośny Will – powiedziała, a oni stanęli jak wryci.

Will był już pod drzwiami, trzymał Chestera za rękę, by pociągnąć go za sobą, kiedy spojrzał na kuchenne drzwi i zastygł w bezruchu.

Do pokoju weszła młoda dziewczyna eskortowana przez dwóch Styksów.

– Rebeka? – wyszeptał z niedowierzaniem Will i potrząsnął głową, jakby chciał odgonić natrętne przywidzenie.

– Rebeka! – powtórzył, wciąż nie wierząc własnym oczom.

– A dokąd to się wybieramy? – spytała chłodno. Dwaj Styksowie przesunęli się o krok do przodu, zatrzymali się jednak, gdy Rebeka podniosła rękę.

Czy to jakaś sztuczka? Dziewczynka miała na sobie ich ubrania, ich mundur – czarny płaszcz i śnieżnobiałą koszulę. Jej czarne włosy też wyglądały inaczej niż zwykle – zaczesane do tyłu przylegały ściśle do głowy.

– Co ty... ? – zdołał wykrztusić Will, nim zdumienie odebrało mu mowę.

Złapali ją. To właśnie musiało się stać. Zrobili jej pranie mózgu albo trzymali jako zakładniczkę.

– Dlaczego ty ciągle musisz to robić? – westchnęła teatralnie, unosząc jedną brew. Wyglądała na zrelaksowaną i pewną siebie. Coś tutaj nie grało, coś nie pasowało.

Nie.

Ona była jedną z nich.

– Jesteś... – wykrztusił. Rebeka roześmiała się głośno.

– Bystrzak z niego, co?

Tymczasem do kuchni wchodzili kolejni Styksowie. W głowie Willa kłębiły się setki myśli, setki wspomnień i obrazów, w których próbował zestawić Rebeke, swoją siostrę, ze stojącą przed nim dziewczyną – Styksem. Czy były jakieś znaki, jakieś wskazówki, które przegapił?

– Jak? – krzyknął.

Upajając się jego zdumieniem i konsternacją, Rebeka odpowiedziała:

– To bardzo proste. Zostałam umieszczona w waszej rodzinie, kiedy miałam dwa lata. Tak właśnie postępujemy... żyjemy w towarzystwie Pogan... tak szkoli się elitę.

Zrobiła krok do przodu.

– Stój! – krzyknął ponownie Will, odzyskując powoli przytomność umysłu i sięgając ukradkiem do kieszeni. – Nie mogę w to uwierzyć!

– Trudno się pogodzić z czymś takim, prawda? Zostałam tam umieszczona, żeby mieć cię na oku, a przy odrobinie szczęścia wywabić też z ukrycia twoją matkę... twoją prawdziwą matkę.

– To nieprawda.

– Nieważne, czy mi wierzysz, czy nie – odparła Rebeka szorstko. – Moja misja dobiegła końca, więc wróciłam tutaj, do domu. Koniec udawania.

– Nie! – jęknął Will, zamykając dłoń na niewielkim płóciennym zawiniątku, które dał mu Tam.

– Daj spokój, to już koniec – parsknęła zniecierpliwiona Rebeka. Skinęła lekko głową, a Styksowie stojący u jej boków rzucili się do przodu. Will był jednak przygotowany. Z całej siły zamachnął się i rzucił guzłakiem o ścianę kuchni. Kamyk – przemknął między dwoma Styksami, uderzył w brudne białe płytki i rozpadł się na maleńkie, śnieżnobiałe fragmenty.

Wszystko się zatrzymało.

Przez ułamek sekundy Will myślał, że nic się nie stanie, że guzłak nie zadziała. Słyszał, jak Rebeka zanosi się zimnym, szyderczym śmiechem.

Potem rozległ się głośny świst, jakby coś wyssało powietrze z pomieszczenia. Każdy drobny odłamek kamienia rozblysnął nagle białym żarem, a potem eksplodował promieniami oślepiającego blasku. W kuchni zrobiło się nagle tak jasno, jakby skierowano na nią światła tysięcy potężnych reflektorów; wszystko okryło się oślepiającą, przeszywającą bielą.

Wydawało się, że nie robi to na Rebecę najmniejszego wrażenia. Stała otoczona burzą światła niczym jakiś mroczny anioł i z rękami skrzyżowanymi na piersiach cmokała z dezaprobatą.

Jednak dwaj szarżujący Styksowie zatrzymali się nagle i wydali z siebie krzyk przypominający zgrzyt paznokci przeciąganych po tablicy. Cofnęli się o krok, zakrywając oczy dłońmi.

Wtedy pojawiła się okazja, na którą Will czekał. Pociągnął Chestera za sobą, odrywając go od korby.

Niestety światło już przygasało, a obok oślepionych Styksów przepychali się dwaj kolejni. Rzucili się ku Willowi, wyciągając przed siebie dłonie o zakrzywionych, szponiastych palcach. Podczas gdy Will trzymał Chestera za jedną rękę, obaj Styksowie uczepili się drugiej, ciągnąc chłopca ku sobie. Przypominało to przeciąganie liny, z Willem po jednej stronie, Styksami po drugiej i przerażonym, pojękującym Chesterem pośrodku. Co gorsza, puszczone wolno korba sama zaczęła się odkręcać, a ciężkie masywne drzwi sunęły powoli w dół. Chester stał dokładnie pod nimi.

– Odepchnij ich! – krzyknął Will.

Chester próbował wyrwać się z uścisku Styksów, nie miał jednak żadnych szans: trzymali go zbyt mocno. Will wsunął ramię pod drzwi, próbując je zatrzymać, lecz metalowa płyta była zbyt ciężka i omal nie pozbawiła go równowagi. Nie mógł zajmować się drzwiami i ratować Chestera jednocześnie.

Choć zarówno on sam, jak i jego przyjaciel wyteżali wszystkie siły, opierając się postępującym z wysiłku Styksom, Will wiedział, że nie zdołają wygrać tej walki. Chester wyslizgiwał się z jego uścisku i krzyczał z bólu, gdy Styksowie wbijali w jego przedramię długie, ostre paznokcie.

Nagle, spojrzawszy na sunące w dół drzwi, Will uświadomił sobie przerażającą prawdę – jeśli nie puści Chestera, ogromna masa żelaza zgniecie go na miazgę.

Jeśli nie odda go Styksom.

Korba obracała się w szalonym tempie. Dolna krawędź drzwi znajdowała się teraz niecały metr nad ziemią, a Chester stał tam, zgięty w pół – ogromna masa napierała na jego plecy, zmuszając go do coraz głębszego skłonu. Will musiał coś zrobić, i to szybko.

– Chester, przepraszam! – krzyknął.

Przez ułamek sekundy Chester wpatrywał się ze zgrozą w oczy przyjaciela, a potem, gdy ten wypuścił jego rękę, poleciał prosto na Styksów, siłą rozpędu przewracając stojących najbliżej. Chester zdążył jeszcze raz wykrzyknąć imię Willa, nim drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Will stał w niemym otępieniu i przez brudną szybę okienka obserwował, jak jego przyjaciel wraz z kilkoma Styksami ląduje pod przeciwległą ścianą. Jeden ze Styksów natychmiast zerwał się z podłogi i popędził z powrotem do drzwi.

– ZABLOKUJ KORBE! – Krzyk Cala wyrwał Willa z odrętwienia. Cal trzymał w górze świetlistą kulę, a Will zajął się mechanizmem przy drzwiach. Wyjął z kieszeni scyzoryk, wysunął największe ostrze i próbował wsadzić je między koła zębate.

– Proszę, proszę, zatrzymaj ich! – błagał. Po kilku bezskutecznych próbach ostrze wsunęło się w końcu między dwa największe koła zębate i zostało na swoim miejscu. Will wypuścił scyzoryk z dłoni, modląc się, by ta prosta sztuczka przyniosła pożądany efekt. I tak się stało. Choć Styksowie napierali z całych sił na korbę po drugiej stronie drzwi, mały czerwony scyzoryk tkwił na swoim miejscu, drżąc tylko lekko przy każdym ich ruchu.

Will spojrzął ponownie na okienko w drzwiach. Wydarzenia rozgrywające się przed jego oczami przypominały jakiś makabryczny niemy film. Chester, zdesperowany, zdołał pochwycić szpadel Willa i przez chwilę dzielnie bronił się przed napierającymi Styksami, w końcu jednak uległ ogromnej przewadze liczebnej wroga. Napastnicy obsiedli go niczym wygłodniała szarańcza, dosłownie przygnietli do ziemi zbitą masą swych ciał.

Nagle w okienku pojawiła się twarz, która przesłoniła całkowicie widok na kuchnię i rozgrywający się tam dramat.

Twarz Rebeki. Dziewczynka wydeła usta i pokręciła surowo głową, jakby beształa Willa za złe zachowanie; dokładnie tak, jak robiła to przez wszystkie lata spędzone w Highfield. Mówiła coś, lecz metalowe drzwi nie przepuszczały żadnych dźwięków.

– Musimy iść, Will. Wcześniej czy później to otworzą – poganiał go Cal. Will z trudem oderwał wzrok od okienka. Rebeka wciąż coś do niego mówiła. Nagle zrozumiał i zadrżał, przeszyty zimnym dreszczem. Wiedział już dokładnie, jakie słowa wydobywają się z jej ust. Śpiewała mu.

– Słonko... ! – powiedział z goryczą. – Jesteś moim słonkiem!

Pobiegli w głąb skalnego korytarza, osłaniani od tyłu przez Bartleby'ego. Po chwili dotarli do kopulastego atrium, z którego odchodziły liczne korytarze. Wszystko było zaokrąglone i gładkie, jakby przez wieki płynęła tędy woda obmywająca wszelkie ostre krawędzie. Teraz ściany atrium były suche, pokrywał je szorstki pył przypominający sproszkowane szkło.

– Mamy tylko jedną maskę – powiedział Will, uświadamiając sobie nagle, że nie zdążył pomyśleć o drugiej. Wziął od Cala płóciennie-gumowe urządzenie i uważnie mu się przyjrzał.

– O nie! – przeraził się Cal. – I co teraz będzie? Nie możemy przecież wrócić.

– Dlaczego właściwie musimy nosić maski? – odpowiedział pytaniem Will. – Czy powietrze w Wiecznym Mieście jest zatrute?

– Wuj mówi, że była tam jakaś zaraza. Wybiła wszystkich mieszkańców...

– Ale już jej nie ma, prawda? – spytał szybko Will, obawiając się odpowiedzi.

Cal skinął powoli głową.

– Tam mówi, że jest.

– Więc ty założysz tę maskę.

– Nie ma mowy!

Will jednym błyskawicznym ruchem włożył maskę na głowę Cala, uciszając tym samym jego protesty. Cal bronił się, próbował ją zdjąć, jednak brat nie pozwolił mu na to.

– Dyskusja zakończona! Ty będziesz ją miał na sobie – oświadczył z mocą. – Jestem starszy, więc ja podejmuję decyzje.

Cal przestał się w końcu opierać i zerkał tylko z niepokojem przez wąski fragment szkła na poczynania Willa, który sprawdzał, czy płócienna osłona dobrze przylega do ramion brata. Następnie zapiął skórzany pasek mocujący gumowe rurki i metalowy filtr do piersi Cala. Starał się nie myśleć o tym, co dla niego może oznaczać brak urządzenia. Miał tylko nadzieję, że zaraza jest jednym z wymysłów i przesądów, których nie brakowało wśród Kolonistów.

Uporawszy się z maską, Will wyjął z cholewki buta mapę, którą dał mu Tam, policzył tunele odchodzące od jaskini i wskazał na właściwy.

– Skąd ta dziewczyna cię знаła? – spytał Cal głosem przytłumionym i zniekształconym przez maskę.

– To moja siostra. – Will opuścił mapę i spojrzał na brata. – To była moja siostra... – splunął z pogardą – ... a przynajmniej kiedyś tak sądziłem.

Cal nie okazywał zdziwienia, ale Will widział jego przerażenie objawiające się bezustannym zerkaniem w stronę tunelu, z którego przed chwilą wyszli.

– Te drzwi nie zatrzymają ich zbyt długo – powiedział w końcu, spoglądając na Willa.

– Chester... – zaczął Will z rezygnacją, po czym umilkł.

– Nie mogliśmy mu pomóc. Mieliśmy szczęście, że sami uszliśmy z życiem.

– Może – skinął głową Will, ponownie spoglądając na mapę. Wiedział, że nie ma czasu na rozmyślanie o Chesterze, przynajmniej nie teraz, ale wszystkie starania i wysiłki, które podjął, by ratować przyjaciela, spełzły na niczym, cały misterny plan legł w gruzach, a on nie mógł się nawet skupić na tym, co powinien zrobić w następnej kolejności. Wziął głęboki oddech. – Masz rację, pewnie powinniśmy już iść.

I tak dwaj chłopcy i przerażony kot wbiegli truchtem w labirynt podziemnych korytarzy i tuneli, które miały ich w końcu zaprowadzić do Wiecznego Miasta – a potem na powierzchnię, do słońca.

CZEŚĆ TRZECIA

Wieczne Miasto

Rozdział 31

Raz, dwa, raz, dwa, raz, raz, raz, dwa. Wystarczyło zaledwie kilka kroków, by Will złapał naturalny rytm towarzyszący mu w okresach wyjątkowej pracy na wykopaliskach w Highfield. Tunele były suche i ciche; wokoło żadnych oznak życia. Choć ich stopy raz za razem uderzały o dno korytarza, Will nie dostrzegł w blasku kuli, aby choć jedna drobina kurzu unosiła się w powietrzu. Wyglądało to tak, jakby byli parą duchów, które nie mają żadnej styczności ze światem fizycznym.

Jednak po chwili przed oczami Willa zaczęło pojawiać się ledwo widoczne iskrzenie, drobiny światła, które materializowały się nagle w powietrzu, a potem równie szybko znikwały. Przyglądał się im zafascynowany, aż dotarło do niego, że dzieje się z nim coś niedobrego; w piersiach narastał tępy ból, na czoło wystąpiły kropelki lepkiego potu.

Raz, dwa, raz, dwa, raz... raz... raz, dwa...

Zwolnił kroku, czując dziwny opór powietrza przy każdym oddechu. Wiedział, że coś jest nie tak, ale nie potrafił określić co. Najpierw pomyślał, że to tylko zmęczenie, później jednak uświadomił sobie, że rzecz jest bardziej skomplikowana. Wydawało się, że powietrze, zalegające nieruchomo w tych głębokich tunelach od setek, może tysięcy lat, zachowuje się jak gęsta ciecz.

Raz, dwa, raz...

Will zatrzymał się raptownie, by poluzować kołnierz i rozmasować ramiona pod paskami plecaka. Miał ogromną ochotę zrzucić z pleców ten ciężar – wydawało mu się, że pakunek go gniecie i ogranicza swobodę ruchów. Nie mógł też spokojnie patrzeć na ściany tunelu – były zbyt blisko, przytłaczały go. Przeszedł na środek korytarza, opadł na kolana i wziął kilka głębokich oddechów. Po chwili poczuł się trochę lepiej i powoli się podniósł.

– Co się stało? – spytał Cal, przyglądając mu się z troską przez szkiełko maski.

– Nic – odparł Will, szukając w kieszeni mapy. Nie chciał przyznać się do słabości, na pewno nie przed bratem. – Muszę... muszę tylko sprawdzić naszą pozycję.

Podjął się prowadzenia ich przez liczne zakręty i rozdroża, miał jednak świadomość, że wystarczy jedna pomyłka, a pogubią się na dobre w tym gąszczu podziemnych korytarzy. Pamiętał, że Tam nazwał to miejsce Labiryntem i porównał do pumeksu poprzecinanego niezliczoną ilością połączonych ze sobą otworów i kanalików. Wówczas chłopiec nie zwrócił szczególnej uwagi na te słowa, teraz jednak zrozumiał doskonale, co miał na myśli jego wuj. Ogrom labiryntu był porażający i chociaż posuwali się naprzód w całkiem przyzwoitym tempie, Will przypuszczał, że mają przed sobą jeszcze bardzo długą drogę. Biegło im się stosunkowo lekko, głównie dlatego, że korytarze cały czas prowadziły w dół. Will jednak wcale nie był szczęśliwy z tego powodu;

wiedział dobrze, że nim dotrą na powierzchnię, będą musieli pokonać tę samą drogę do góry.

Spojrzał jeszcze raz na mapę, a potem na ściany korytarza. Były lekko różowe, prawdopodobnie w związku z obecnością rud żelaza, co wyjaśniałoby dziwne zachowanie kompasu; igła kręciła się leniwie wokół własnej osi, nigdy nie zatrzymując się w jednym miejscu dość długo, by wskazać jakiś konkretny kierunek.

Rozglądając się dokoła, Will pomyślał, że korytarze mogły zostać wydrążone przez jakiś gaz, uwięziony pod twardą powierzchnią i szukający drogi wyjścia w niezastygłej jeszcze skale wulkanicznej. Tak, to tłumaczyłoby brak pionowych tuneli. A może wypłukała je woda wciskająca się w szczeliny i słabe punkty tysiące lat po tym, jak skała ostygła i stwardniała. „Ciekawe, co powiedziałby o tym tata” – pomyślał mimowolnie, nim uświadomił sobie z rozpaczą, że być może już nigdy go nie zobaczy.

Choć starał się z całych sił, nie mógł zapomnieć ostatniego, pełnego rozpacz i wyrzutu spojrzenia Chestera; wciąż widział przyjaciela toczącego się bezradnie po podłodze, prosto w szpony Styksów. Znow go zawiódł...

I Rebeka! Dowody były niepodważalne, widział je na własne oczy. Była Styksem! Mimo ogromnego osłabienia, jakie odczuwał, krew aż zagotowała się w nim ze złości. Miał ochotę roześmiać się głośno, kiedy przypomniał sobie, jak bardzo się o nią martwił.

Teraz jednak nie było czasu na rozmyślanie – jeśli mieli wyjść cało z tej opresji, musiał uważać, by nie zboczyli z wyznaczonego kursu. Jeszcze raz spojrzął na mapę, złożył ją i ruszył w dalszą drogę.

Raz dwa, raz dwa, raz, raz, raz dwa.

Stąpali po warstwie drobnego czerwonego piasku, a Will coraz bardziej pragnął jakiejś odmiany, jakiegoś znaku, czegoś, co przerwałoby monotonię, potwierdziło, że wciąż idą we właściwym kierunku. Zaczął się już zadreć przypuszczeniami, że nigdy nie dotrą do końca tej podróży. Równie dobrze mogli przecież chodzić w kółko.

Omam nie podskoczył z radości, kiedy w końcu napotkali na drodze coś, co przypominało mały kamień nagrobny o płaskiej powierzchni i zaokrąglonym wierzchołku, osadzony w ścianie korytarza. Obserwowany czujnie przez Cala, Will przykucnął i starł z powierzchni kamienia warstwę piasku.

Oczom chłopców ukazał się symbol wyrzeźbiony na środku różowej skały. Przedstawiał trzy linie rozchodzące się na boki niczym promienie słońca albo ostrza trójzębu. Poniżej znajdowały się dwa rzędy kanciastych liter. Will nigdy wcześniej nie widział podobnego znaku ani podobnych liter.

– Co to jest? Jakies oznaczenie? Kamień milowy? – Will spojrzął pytająco na brata, ten jednak tylko wzruszył bezradnie ramionami.

Kilka godzin później wędrówka spowolniła się i stała się znacznie trudniejsza. Co chwilę mijali rozwidlenia tuneli, a Will musiał niemal bez przerwy sprawdzać ich położenie na mapie. Już raz skręcili w niewłaściwy korytarz; na szczęście nie uszli daleko, nim chłopiec uświadomił sobie błąd, i wrócili na właściwą trasę. Zrobili wówczas krótką przerwę i przysiedli, zdyszani, na dnie tunelu. Mimo że niestrudzenie usiłował pokonać słabość, Will wciąż czuł się niezwykle zmęczony, jakby wyczerpał już wszystkie siły. Gdy wreszcie ruszyli w dalszą drogę, był słaby jak nigdy przedtem.

Niezależnie od stanu, w jakim pozostawał, Will robił wszystko, by jego brat nie zorientował się, że dzieje się coś niedobrego. Wiedział, że muszą nieustannie iść naprzód; że muszą utrzymać bezpieczny dystans od Styksów; że muszą wydostać się na górę. Odwrócił się do Cala i spytał, dysząc ciężko:

– Co właściwie Tam robi w Wiecznym Mieście? Był bardzo tajemniczy, kiedy go o to spytałem.

– Szuka monet i różnych skarbów, głównie złota i srebra – odparł Cal, po czym dodał: – Przede wszystkim w grobach.

– W grobach?

– Na cmentarzach – skinął głową Cal.

– Więc tam naprawdę mieszkali ludzie?

– Dawno temu. Wuj uważa, że mieszkało tam kilka ras, jedna po drugiej, i że każda tworzyła swoją cywilizację na poprzedniej. Mówi, że Miasto kryje mnóstwo skarbów, które czekają tylko na odkrycie.

– Ale kim byli ci ludzie?

– Mówi, że najpierw mieszkali tam Brutani, wieki temu. Zdaje się, że powiedział, iż w rzeczywistości byli to Trojańczycy. Zbudowali tu twierdzę, czy coś takiego, w tym samym czasie, kiedy na górze powstawał górnoziemski Londyn.

– Więc te dwa miasta były ze sobą połączone. Cal powoli pokiwał głową.

– Na początku. Później wejścia zostały zablokowane, a znaczące je kamienie zaginęły... Wieczne Miasto zostało po prostu zapomniane – mówił Cal, wydechając głośno powietrze przez blaszany filtr. Spojrzał nerwowo w głąb tunelu, jakby usłyszał coś niepokojącego.

Will natychmiast skierował wzrok w tę samą stronę, jednak dostrzegł tylko mroczną sylwetkę Bartleby'ego, który przeskakiwał niecierpliwie z jednej strony tunelu na drugą. Najwyraźniej kot chciał iść szybciej niż chłopcy i od czasu do czasu pędził do przodu, potem jednak zatrzymywał się, by obwąchać jakąś szczelinę czy dno tunelu. Zwykle był wtedy ogromnie poruszony i wydawał z siebie niskie pomruki lub miauknięcia.

– Przynajmniej Styksowie nigdy nas tutaj nie znajdą – stwierdził Will z przekonaniem.

– Nie licz na to. Będą szli za nami do samego końca – odparł Cal. – A do tego mamy jeszcze przed sobą Brygadę.

– Co takiego?

– Brygadę Styksów. To rodzaj... hm... straży granicznej – mówił Cal, szukając właściwych słów. – Patrolują stare miasto.

– Po co? Myślałem, że jest puste.

– Mówi się, że Styksowie odbudowują poszczególne dzielnice i umacniają ściany jaskini. Mówi się też, że pracują tam całe oddziały skazańców i być może przeniesie się tam Kolonia. Ale to tylko plotki; nikt nie wie, jak jest naprawdę.

– Tam nie wspominał ani słowem o Styksach w Wiecznym Mieście. – Will nawet nie próbował ukryć strachu.

– Bardzo mądrze – mruknął ze złością, kopiąc kamyk leżący na dnie tunelu.

– Cóż, może uważał, że ten problem nas nie dotyczy. W końcu nie opuściliśmy Kolonii po cichu, jak to planował, prawda? Ale nie przejmuj się. Wieczne Miasto jest ogromne, a patroluje je tylko

garstka Styksów.

– Świetnie! Naprawdę mnie pocieszyłeś! – odparł Will z ironią, próbując sobie wyobrazić, co jeszcze czeka ich w najbliższej przyszłości.

Maszerowali przez kilka kolejnych godzin, aż wreszcie dotarli do stromego spadku. Czepiając się kurczowo ścian i ślizgając na drobnym czerwonym piasku, pokonali w końcu tę przeszkodę i stanęli na równym płaskim terenie. Will wiedział, że jeśli prawidłowo czyta mapę, to powinni się już zbliżyć do końca Labiryntu, wydawało się jednak, że tunel przed nimi zwięza się coraz bardziej i kończy ślepym zaułkiem.

Obawiając się najgorszego, Will ruszył przed siebie, pochylając się coraz mocniej pod opadającym sufitem. Po chwili stwierdził z ulgą, że od tunelu odchodzi jednak mały boczny korytarz. Począł, aż Cal i Bartleby dołączą do niego. Chłopcy spojrzeli niepewnie najpierw na siebie, a potem na wielkiego kota, który obwąchał wejście do tunelu. Will wahał się, raz po raz spoglądał to na mapę Tama, to na otwór. Potem ponownie przeniósł wzrok na Cal, uśmiechnął się szeroko i wsunął w wąski korytarz, którego wnętrze wypełnione było przytłumionym zielonym blaskiem.

– Ostrożnie – ostrzegł go Cal.

Lecz Will był już na rogu. Z oddali dobiegały znajome odgłosy: bębnienie spadających kropel wody. Przesunął ostrożnie głowę i wyjrzał jednym okiem zza krawędzi. To, co ujrzał, na moment zaparło mu dech w piersiach. Powoli wysuwał się na otwartą przestrzeń, w zielony blask, by przyrzeć się lepiej niezwyklej panoramie. Po wysłuchaniu opisów Tama i uruchomieniu własnej wyobraźni oczekiwał czegoś wyjątkowego. Nic jednak nie mogło przygotować go na widok, który teraz roztaczał się przed jego oczami. – – – Wieczne Miasto – wyszeptał do siebie, rozpoczynając wędrówkę w dół potężnej skarpy. Kiedy podniósł głowę, by ogarnąć spojrzeniem sklepienie olbrzymiej jaskini, prosto na jego twarz opadły krople zimnej wody.

– Podziemny deszcz? – mruknął, uświadamiając sobie natychmiast, jak absurdalnie brzmi. takie określenie. Zamrugnął gwałtownie, gdy woda dostała się do jego oczu.

– To przeciek z góry – powiedział Cal, przystając obok brata.

Lecz Will nie słuchał. Jego umysł z trudem ogarniał ogrom jaskini, tak wielkiej, że jej przeciwległy kraniec krył się za zasłoną mgły. Drobną mżawka wciąż sączyła się leniwie z góry, gdy ruszali ponownie w dół skarpy.

Krajobraz rozciągający się przed ich oczami był wręcz nieprawdopodobny. Bazaltowe kolumny, przypominające pozbawione okien drapacze chmur, wyrastały z gigantycznego sklepienia jaskini i spływały łagodnie w dół, spinając owo sklepienie z centrum miasta. Inne strzelały w górę, wijąc się w węzowych splotach, i sięgały sufitu lub ścian, otaczając miasto całą serią fantasmagorycznych przypór. Żadna z jaskiń Kolonii nie mogła równać się z tym olbrzymem, który przywiódł Willowi na myśl obraz gargantuicznego serca o komorach poprzecinanych wielkimi jak kolumny włóknami mięśni.

Chłopiec schował do kieszeni świetlistą kulę i natychmiast zaczął wypatrywać źródła szmaragdowego światła, które nadawało krajobrazowi oniryczny, bajkowy charakter. Czuł się tak, jakby patrzył na zaginione miasto ukryte na dnie oceanu. Nie miał pewności, ale zdawało mu się, że światło wypływa bezpośrednio ze ścian jaskini – tak delikatnie, że początkowo myślał, iż ściany

jedynie odbijają ten blask.

Przeszedł na skraj skarpy i przyjrzał się uważniej skalnej ścianie. Pokrywała ją gęstwina pnączy, ciemnych i lśniących od wilgoci. Był to jakiś gatunek glonów, który wypuszczał liczne płożące się pędy, obrośnięte gęstym listowiem i ułożone na sobie warstwami. Z dala przypominał bluszcz porastający ścianę starego domu. Kiedy Will wyciągnął dłoń w stronę roślinności, poczuł bijące od niej ciepło. Po chwili zauważył również delikatny blask wydobywający się z krawędzi pozwijanych liści.

– Bioluminescencja – powiedział głośno.

– Hmy? – stłumiona odpowiedź dobiegła spod maski Cala, która kręciła się na wszystkie strony, gdy chłopiec wypatrywał Brygady Styksów.

Podjęli przerwana wędrowkę w dół skarpy, a Will ponownie skupił uwagę na najwspanialszym widoku, jaki mógł znaleźć w jaskini, czyli na samym mieście. Nawet z tej odległości widział wyraźnie piękne łuki, niewiarygodne tarasy i spiralne schody sięgające kamiennych balkonów. Długie rzędy kolumn, doryckich i korynckich, podpierały oszałamiające krużganki i pasáže. Ogromne podniecenie, jakie budziły w nim te obrazy, mieszało się z żalem, że Chester nie ogląda ich wraz z nim, choć powinien. A jego ojciec nie posiadałby się chyba z zachwytu! Było tu tak wiele zdumiewających i olśniewających widoków, że nie dało się wszystkich na raz objąć spojrzeniem ani umysłem. Wszędzie, gdzie spoczął wzrok Willa, znajdowały się fantastyczne budowle – amfiteatry i starożytne katedry o kopulastych dachach z cudnie rzeźbionego kamienia.

Po chwili, gdy zbliżyli się do podnóża skarpy, w nozdrza Willa wdarł się odrażający smród. Początkowo był złudnie łagodny, niczym zapach zatechłej wody w stawie, jednak z każdym ich krokiem stawał się coraz silniejszy i coraz bardziej gryzący. Wypełniał nos i usta, podchodził do gardła niczym żółć. Will zakrył twarz dłonią i spojrzął z rozpaczą na Calę.

– To jest ohydne! – powiedział, krztusząc się. – Nic dziwnego, że trzeba zakładać maski!

– Wiem – odrzekł krótko Cal i wskazał na rów ciągnący się wzdłuż skarpy. – Chodź tutaj.

– Po co? – spytał Will, dołączając do brata. Oniemiał ze zdumienia, kiedy Cal zanurzył dłonie w gęstej mazi wypełniającej rów, nabrał dwie garście czarnych glonów i rozsmarował je sobie na masce i ubraniu. Potem pochwycił Bartleby'ego za kark. Kot miauknęła cicho i próbował się wyrwać, lecz Cal natarł go śmierdzącą mazią od głowy do ogona. Gdy tylko wypuścił szarpiącego się zwierzaka, ten wygiął grzbiet i otrząsnął się, spoglądając z wyrzutem na swego pana.

– Boże, przecież ten smród jest nie do wytrzymania. Co ty, u diabła, wyprawiasz? – spytał Will, zastanawiając się, czy jego brat nie postradał zmysłów.

– Brygada używa psów. Jeśli poczują od nas woń Kolonii, będzie po nas. Ta maź ukryje nasz zapach – tłumaczył, nabierając kolejną garść śmierdzącej brei.

– Twoja kolej. – Will wstrzymał oddech, gdy Cal smarował cuchnącymi glonami jego włosy, pierś i ramiona, a potem również obie nogi.

– Zastanawiam się, czy tutaj w ogóle można poczuć jakiś inny zapach – mówił Will z irytacją, spoglądając na oleiste plamy na ubraniu. Rzeczywiście, wydawało się, że smród glonów przytłacza wszelkie inne zapachy.

– Przecież te psy też mają węch! – On sam z najwyższym trudem powstrzymywał wymioty.

– O tak, mają – odparł Cal, otrzepując dłonie z wilgotnych, lepkich pędów, a potem wycierając je w ubranie.

– Musimy zejść z widoku.

Przemknęli, jeden za drugim, przez pas grząskiej ziemi i weszli wreszcie do miasta. Przeszli pod wysokim kamiennym łukiem, z którego patrzyły na nich szyderczo złe pyski gargulców, a potem znaleźli się w alei, wzdłuż której ciągnęły się wysokie, masywne budynki. Rozmiary gmachów, ogromne okna, łuki i drzwi, sugerowały, że zbudowano je dla bardzo wysokich ludzi. Za namową Cala chłopcy weszli do jednego z otworów znajdującego się u podstawy kwadratowej wieży.

We wnętrzu budynku panował mrok, więc chcąc przyjrzeć się mapie, Will musiał sięgnąć po świetlistą kulę. Gdy wyjął ją spod płaszcza, ich oczom ukazała się kamienna komnata o wysokim suficie i podłodze przykrytej kilkunastocentymetrową warstwą wody. Bartleby przeszedł do rogu pomieszczenia, obwąchał stertę jakiegoś zgniłego paskudztwa, po czym odwrócił się i uniósł w górę nogę.

– Hej – odezwał się raptem Cal. – Spójrz na ściany.

Gdy Will posłusznie podniósł wzrok, zobaczył czaszki – ściany pomieszczenia pokryte były rzędami czaszek o pustych, ciemnych oczodołach i upiornych trupich uśmiechach. Kiedy chłopiec poruszył kulą, cienie przesunęły się lekko, jakby czaszki obracały się w ich stronę.

– Mój tata byłby zachwycony. Założę się, że to był...

– To jest potworne – przerwał mu Cal drżącym głosem.

– Ci ludzie byli dość upiorni, co? – stwierdził Will, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

– To przodkowie Styksów.

– Co takiego? – Will spojrzał nań z niedowierzaniem.

– Ich przodkowie. Ludzie uważają, że cała grupa uciekła z miasta w czasie Zarazy.

– Dokąd?

– Do Górnoziemia – odrzekł Cal. – Stworzyli tam coś w rodzaju tajnego stowarzyszenia. Mówi się, że to właśnie Styksowie podsunęli sir Gabrielowi pomysł zbudowania Kolonii.

Will nie zdążył zadać Calowi kolejnego pytania, gdyż nagle Bartleby postawił uszy i odwrócił się do wejścia. Choć żaden z chłopców nie usłyszał niczego podejrzanego, Cal natychmiast się zaniepokoił.

– Szybko, Will, oglądaj mapę i chodźmy stąd.

Chwilę później opuścili komnatę i ruszyli dalej, ostrożnie wybierając drogę w gąszczu starych uliczek. Dzięki temu Will miał okazję przyjrzeć się z bliska starożytnym budynkom. Niemal wszystkie kamienne powierzchnie ozdobione były rzeźbami i napisami. W wielu miejscach widać było również ślady niszczycielskiego działania czasu – kamienne płaskorzeźby i zdobienia pokruszyły się i popękały. Jednak pomimo tych zniszczeń, świadectwa kilkuset lat zaniedbań i opuszczenia, potężne, dumne budowle nadal budziły zachwyt i respekt. Emanowały ogromną mocą; mocą i czymś jeszcze –

groźbą, starożytną dekadencją i okrucieństwem. Will cieszył się, że w mieście już nie ma jego dawnych mieszkańców.

Kiedy przemierzali truchtem wiekowe, brukowane ulice, raz po raz ich buty wpadały w mętne kałuże, poruszając przy tym żyjące w nich glony. Wydzielany przez rośliny bladozielony blask znaczył trasę ich wędrówki świetlistymi punktami. Ten niezwykle efekt wyraźnie niepokoił Bartlebygo, który starannie omijał ciemne kałuże, pokonując je wielkimi susami niczym rozbrykany kucyk.

Will przystanął na moment na wąskim kamiennym moście, który właśnie przekraczali, i przechylił się przez spękaną marmurową balustradę. Spojrzał w dół, na brudną rzekę wijącą się leniwie przez miasto, poprzecinaną tu i ówdzie innymi małymi mostami. Jej oleiste wody chlupotały sennie o wielkie kamienne bloki, którymi wyłożono brzegi. Wzdłuż nurtu, niczym strażnicy, trzymały wartę klasyczne kamienne posągi – starcy o falujących włosach i nieprawdopodobnie długich brodach oraz kobiety w powłóczyściach sukniach, wyciągający ku rzece muszle i kule – albo tylko kikuty rąk – jakby składali ofiarę nieistniejącym już bogom.

Po jakimś czasie dotarli do wielkiego placu otoczonego wysokimi budynkami. Postanowili zatrzymać się na chwilę i przycupnęli za niską balustradą obok jednej z kamienic.

– Co to jest? – wyszeptał Will. Pośrodku placu wznosiło się podium wsparte na grubych kolumnach. Na podwyższeniu widać było ludzkie sylwetki: kredowobiałe posągi zastygłe w powykręcanych, pełnych cierpienia pozach. Niektóre miały zatarte twarze, inne pozbawione były kończyn. Ich ciała przywiązano zardzewiałymi łańcuchami do stojących obok słupów. Całość wyglądała jak obraz okrutnej, dawno zapomnianej kaźni.

– To Platforma Skazańców. Tutaj ich karano.

– Te posągi są naprawdę przerażające – stwierdził Will, nie mogąc oderwać od nich oczu.

– To nie posągi tylko prawdziwi ludzie. Tam mówił, że ich ciała zostały zwapnione.

– A niech to! – Will aż wykrzyknął. Wpatrzony w ludzkie postacie, żałował, że nie ma dość czasu, by uwiecznić jakoś tę scenę.

– Cii... – upomniał go Cal. Chwycił Bartleby'ego i przyciągnął do siebie. Kot próbował się wyrwać, lecz chłopiec nie zwalniał uścisku.

Will spojrzał pytająco na brata.

– Pochyl się – wyszeptał Cal. Sam również schował się za murkiem, zasłaniając dłonią oczy kota i przytrzymując go jeszcze mocniej.

Teraz i Will ich zauważył. Po drugiej stronie placu pojawiły się cztery postacie. Poruszały się szybko i bezgłośnie niczym duchy sunące tuż nad upstrzonym kałużami brukiem. Oddychały przez maski zakrywające im usta i nosy, a gogle z wielkimi okrągłymi szklami nadawały im wygląd ogromnych, upiornych owadów. Will od razu rozpoznał charakterystyczne sylwetki Styksów; wszyscy nosili skórzane mycki i długie płaszcze. Nie były to jednak czarne, lśniące płaszcze, jakie Will widział wcześniej w Kolonii, lecz matowe, pokryte maskującymi plamami zieleni i szarości w różnych odcieniach.

Szli równym szeregiem niczym żołnierze na pokazie musztry, a jeden z nich prowadził na smyczy

ogromnego psa. Z pyska nieprawdopodobnie wielkiego, przerażającego zwierzęcia buchały gęste kłęby pary. Will przez chwilę nie mógł oderwać od niego wzroku; nigdy dotąd nie widział takiego stworzenia.

Chłopcy kulili się za murkiem, świadomi, że jeśli Styksowie ich zobaczą, nie będą mieli dokąd uciekać. Chrapliwe dyszenie i parskanie psa było coraz bliżej – Will i Cal spojrzeli na siebie, pewni, że lada moment Styksowie wyjdą zza kamiennej balustrady. Przechylili głowy, nasłuchując kroków zbliżających się wrogów, lecz do ich uszu dobiegał jedynie szmer ciekącej wody i niezmacone bębnienie kropli spadających ze sklepienia jaskini.

Spojrzenia Willa i Cala się spotkały. Wszystko wskazywało na to, że Styksowie odeszli, ale jak oni powinni teraz postąpić? „Czy patrol poszedł dalej, czy też urządził zasadzkę i czeka na nich w ukryciu?” – zastanawiali się w milczeniu. Po chwili oczekiwania, która wydawała się wiecznością, Will postukał brata w ramię i wskazał w górę, dając znak, że chce wyjrzeć za balustradę.

Cal pokręcił energicznie głową, a jego oczy, ukryte za zamgloną szybką, rozbłysły niepokojem, jakby błagał Willa, by nie ruszał się z miejsca. Will zignorował go jednak i wysunął czubek głowy nad murek. Styksowie zniknęli. Odwrócił się do brata i pokazał mu podniesione kciuki. Cal wychylił się powoli i czujnie rozejrzał dokoła. Upewniwszy się, że patrol rzeczywiście poszedł dalej, wypuścił wreszcie Bartleby’ego, który natychmiast odskoczył na bok, otrząsnął się i spojrzał z urazą na obu chłopców.

Przemknęli ostrożnie wzdłuż pierzei placu i skręcili w uliczkę prowadzącą w kierunku przeciwnym do tego, który ich zdaniem wybrali Styksowie. Will odczuwał narastające zmęczenie, nawet oddychanie sprawiało mu coraz większą trudność. Rzęził przy każdym oddechu jak astmatyk, a klatkę piersiową rozsadzał mu tępy ból.

Zebrał jednak wszystkie siły i pędził wraz z Calem cienia do cienia, aż budynki miasta zostały za ich plecami, a oni znaleźli się ponownie przed ścianą jaskini. Biegli wzdłuż niej przez kilka minut, zatrzymali się dopiero przy olbrzymich schodach wykutych w skale.

– Niewiele brakowało – wydyszał Will, oglądając się za siebie.

– Oj, niewiele – zgodził się Cal, po czym zerknął na schody. – To na pewno te?

– Chyba tak – wzruszył ramionami Will. W tym momencie niewiele go to obchodziło; chciał tylko jak najszybciej oddalić się od Brygady Styksów.

Podstawa schodów została zniszczona przez potężną kolumnę, która padając na ziemię roztrzaskała kilkadziesiąt pierwszych stopni. Chłopcy musieli więc zacząć wędrówkę w górę od wspinaczki po stromej stercie gruzu. Kiedy już pokonali tę przeszkodę, nie było dużo lepiej. Stopnie pokrywało czarne obslizgłe zielsko, na którym buty Cala i Willa ślizgały się jak na lodzie.

Szli coraz wyżej i wyżej, aż Will, zapominając na chwilę o fatalnym samopoczuciu, przystanął, by spojrzeć z góry na miasto. Za zasłoną mgły i mżawki widać było zarys budynku zwieńczonego potężną kopułą.

– Przecież to, wypisz, wymaluj, katedra Świętego Pawła – wydyszał, spoglądając na odległą budowlę. – Chciałbym przyjrzeć się jej z bliska – dodał.

– Chyba żartujesz – odparł ostro Cal.

Podjęli przerwany marsz w górę i po chwili dotarli do miejsca, gdzie schody niknęły we wnętrzu łukowatego przejścia wykutego w skalnej ścianie. Will odwrócił się, by po raz ostatni ogarnąć spojrzeniem szmaragdową niezwykłość Wiecznego Miasta, zrobił to jednak zbyt gwałtownie i ześlizgnął się z krawędzi stopnia. Spadając na następny, przechylił się mocno do przodu. Przez ułamek sekundy zawisł nad przepaścią i krzyknął, pewien, że runie w dół. W ostatniej chwili uchwycił się czarnych pędów pokrywających ścianę. Obciążone nadmiernie pnącza pękały, jedno po drugim, jednak Will zdołał w porę odzyskać równowagę.

– Jezu, nic ci nie jest? – spytał Cal, stając u jego boku. Gdy Will nie odpowiedział, chłopiec zaniepokoił się jeszcze bardziej. – Co się stało?

– Nic... trochę kręci mi się w głowie – wyrzęził Will. Oddychał płytko i szybko – zupełnie jakby wciągał powietrze przez zatkaną słomkę. Przeszedł jeszcze kilka stopni w górę, później jednak znów się zatrzymał i zaczął potwornie kaszleć. Myślał, że atak kaszlu nigdy nie minie. Zgięty wpół odkaszlnął wreszcie po raz ostatni i splunął. Przyłożył dłoń do czoła, mokrego od deszczu i lepkiego, zimnego potu. Wiedział, że nie zdoła już dłużej ukryć tego przed bratem.

– Muszę odpocząć – wychrypiał, opierając się o Cal'a.

– Nie teraz – odparł chłopiec z naciskiem. – I nie tutaj. Ująwszy Will'a pod ramię, pomógł mu wejść do mrocznego tunelu i wspiąć się na ukryte w nim schody.

Rozdział 32

Kiedy człowiek dociera do punktu, w którym jego ciało jest krańcowo wyczerpane, a znużone mięśnie i ścięgna odmawiają posłuszeństwa, jedyne, co mu pozostaje, to siła charakteru, wola i upór.

Will dotarł właśnie do takiego punktu. Jego ciało było bezużyteczne, pozbawione najmniejszych zapasów energii – a mimo to włókł się powoli do przodu pchany poczuciem odpowiedzialności za brata, przekonaniem, że musi doprowadzić Cala do bezpiecznego schronienia. Jednocześnie dręczyło go poczucie winy. Wciąż nie mógł się pogodzić z myślą, że zostawił Chestera samego, że pozwolił mu powtórnie wpaść w szpony Styksów.

Jestem do niczego, po prostu do niczego. Te słowa przewijały się raz za razem w umyśle Willa, powracały do niego niczym natrętna melodia. Jednak ani on, ani jego brat nie odzywali się, pokonując kolejne stopnie spiralnej, niekończącej się klatki schodowej. Bliski kresu wytrzymałości, Will piął się jednak w górę, schodek po schodku, podest po podeście, nie zważając na piekący ból w piersiach i udach. Ślizgając się na wilgotnych, porośniętych glonami stopniach, starał się nie myśleć o tym, że czeka ich jeszcze długa droga.

– Chciałbym się na chwilę zatrzymać... odpocząć... – wydyszał Cal.

– Nie mogę... chyba... już... bym się... nie ruszył... – stękał Will w rytm mozolnych, ciężkich kroków. Mijały kolejne godziny wypełnione monotonnym, wyczerpującym marszem. Will stracił wkrótce rachubę czasu, uczipiony jednej tylko myśli, która w tej chwili miała dla niego znaczenie; świadomości, że musi zrobić następny krok, a potem następny, i tak dalej... i w chwili gdy myślał już, że dotarł do kresu sił, że tutaj ich wędrówka się skończy, poczuł na twarzy delikatny podmuch. Wiedział natychmiast, że to czyste, nieskażone powietrze. Przystanął i wciągnął w płuca haust tak długo wyczekiwanej świeżości, wierząc, że teraz pozbędzie się wreszcie dokuczliwego ucisku i piekącego bólu w piersiach.

– Już tego nie potrzebujesz – powiedział, wskazując na maskę Cala. Chłopiec ściągnął osłonę i schował ją za pasek, uwalniając wreszcie poczerwieniałą z wysiłku twarz, po której spływały strużki potu.

– Uff – odetchnął głęboko. – Trochę w tym gorąco. Podniesieni na duchu chłopcy ruszyli w dalszą drogę.

Wkrótce schody się skończyły, a właściwie zamieniły w ciąg wąskich tuneli. Od czasu do czasu musieli wspinać się na zardzewiałe drabiny. Szło im to dość mozolnie, sprawdzali bowiem solidność każdego starego, skorodowanego szczebla, tak że wkrótce ich dłonie zabarwiły się na czerwono.

W końcu dotarli do stromego szybu, którego szerokość nie przekraczała metra. Wspinali się po jego szorstkiej powierzchni, przytrzymując się grubej liny z supłami, którą odkryli tuż po wejściu do tunelu (Cal był pewien, że zostawił ją wuj Tam). Pięli się mozolnie w górę, przekładając dłonie wzdłuż liny i znajdując oparcie dla stóp w wąskich szczelinach lub uskokach. Robiło się coraz bardziej stromo, więc pokonanie ostatnich metrów pokrytego śliskim szlamem kamienia wymagało od nich wielkiego wysiłku. Choć obaj kilka razy się poślizgnęli i stracili równowagę, w końcu dotarli na szczyt i wciągnęli się do wnętrza okrągłej komnaty. W posadzce znajdował się niewielki

otwór wentylacyjny. Gdy Will zajrzał do niego, zobaczył tylko resztki starej, przerdzewiałej kraty.

– Co tam jest? – wydyszał Cal.

– Nie wiem, nic tu nie widać – odparł Will zniechęcony. Przykucnął obok kanału i otarł spocone czoło. – Cóż, zrobimy tak, jak powiedział Tam. Zejdziemy do tej dziury.

Cal spojrzął za siebie, a potem ponownie na brata i skinął głową. Jednak przez kilka minut obaj tkwili w bezruchu, ledwie żywi ze zmęczenia.

– Cóż, nie możemy zostać tutaj na zawsze – westchnął wreszcie Will. Wsunął nogi do otworu, a potem, zapierając się plecami o jedną stronę kanału, a stopami o drugą, zaczął się powoli przesuwać w dół.

– Co z kotem? – zawołał, pokonawszy niewielką odległość. – Poradzi sobie z tym?

– O niego nie musisz się martwić – uśmiechnął się Cal. – Jeżeli my damy radę, to...

Will nie usłyszał końcówki zdania. Ześlizgnął się. Ściany kanału przemknęły mu przed oczami, a on sam wylądował na dole z głośnym pluskiem, ogarnięty nagle przejmującym chłodem. Przez moment wymachiwał rozpaczliwie rękami, jednak po chwili postawił stopy na dnie, wyprostował się i wypluł haust lodowatej wody. Gdy zorientował się, że stoi zanurzony po piersi w zimnej wodzie, przetarł oczy, odgarnął do tyłu mokre włosy i rozejrzał się dokoła. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że widzi w oddali przytłumione światło.

Dopiero teraz usłyszał rozpaczliwe nawoływania Cala.

– Will! Will! Nic ci nie jest?

– Wszystko w porządku, wziąłem tylko szybką kąpiel! – odkrzyknął Will, śmiejąc się słabo. – Zostań na górze, a ja coś sprawdzę.

Zapomniał na chwilę o zmęczeniu i zimnie, wpatrując się w słaby blask i próbując odgadnąć, co może być jego źródłem.

Przemoczony do suchej nitki wygramolił się z niewielkiego stawu i ruszył w stronę światła, schylając głowę pod niskim sufitem. Pokonawszy kilkaset metrów, ujrzał wyraźnie okrągły wylot tunelu i z walącym sercem popędził w jego stronę. Z tych emocji nie zauważył, że dno tunelu obniża się gwałtownie o ponad metr, szczęśliwie jednak upadek nie spowodował żadnych obrażeń. Kiedy podniósł głowę, zrozumiał, że znajduje się pod jakimś molo. Przez gąszcz grubych drewnianych słupów pokrytych zielskiem widać było refleksy światła na wodzie.

Żwir chrzęścił głośno pod jego stopami, gdy wyszedł na otwartą przestrzeń. Czuł na twarzy ożywczy powiew wiatru. Oddychał głęboko, wciągając świeże powietrze do obolałych płuc. Wydawało mu się cudownie czyste i słodkie. Powoli rozejrzał się dokoła.

Noc. Światła odbijały się w nurcie szerokiej rzeki, którą widział przed sobą. W pobliżu przepłynął dwupokładowy statek wycieczkowy – jasne kolorowe światła pulsowały na obu pokładach w rytm muzyki, która niosła się po wodzie. Potem Will po obu stronach zobaczył mosty, a w oddali podświetloną kopułę katedry Świętego Pawła. Katedry, którą dobrze znał. Po najbliższym moście przejechał czerwony autobus piętrowy. To nie była jakaś stara rzeka. Usiadł na brzegu, zaskoczony i rozradowany zarazem.

To była Tamiza.

Położył się na plecach i zamknął oczy, wsłuchując się w odgłosy ruchu ulicznego. Próbował przypomnieć sobie nazwy pobliskich mostów, choć w gruncie rzeczy wcale go to nie obchodziło – wyszedł na powierzchnię, uciekł, i w tej chwili nie liczyło się nic innego. Udało się mu. Wrócił do domu. Do swojego świata.

– Niebo – powiedział Cal z podziwem. – Więc tak to wygląda.

Will otworzył oczy i ujrzał swego brata, który przechylał głowę to w lewo, to w prawo, wpatrując się w zabłąkane chmurki podświetlone bursztynowym blaskiem latarni. Choć i on ociekał zimną wodą, Cal uśmiechał się od ucha do ucha. Potem jednak zmarszczył nos, wyraźnie czymś zniesmaczony.

– Fuj, a co to takiego? – spytał głośno.

– Co masz na myśli? – odparł Will.

– Wszystkie te zapachy!

Will oparł się na łokciu i wciągnął powietrze w nozdrza.

– Jakie zapachy?

– Jedzenie... różne rodzaje jedzenia... i... – Cal skrzywił się z odrazą. – Ścieki, mnóstwo ścieków, i chemikalia...

Will ponownie pociągnął nosem, próbując doszukać się zapachów, o których mówił Cal. Zachwycając się świeżością londyńskiego powietrza, uzmysłowił sobie nagle, że nie ma pojęcia, co powinni teraz zrobić. Dokąd pójść? Był tak pochłonięty samą ucieczką, że ani przez moment nie zastanawiał się nad tym, co zrobi po wyjściu na powierzchnię. Wstał i przyjrzał się swoim przemokniętym ubraniom z Kolonii, potem przeniósł wzrok na brata, który wyglądał równie żałośnie jak on, wreszcie spojrzał na przerośniętego kota, grzebiącego właśnie nosem w nabrzeżnym piasku niczym świnia szukająca truflí. Zrywał się chłodny zimowy wiatr. Will zadrżał z zimna i zaszczekał zębami. Uświadomił sobie nagle, że ani jego brat, ani Bartleby nie doświadczyli nigdy w swym osłoniętym podziemnym świecie ekstremalnych warunków pogodowych. Musieli ruszać w drogę. I to szybko. Tyle że on nie miał przy sobie żadnych pieniędzy – ani pensa.

– Będziemy musieli pójść do domu na piechotę.

– W porządku – odparł Cal, który stał nieruchomo z zadartą głową, wpatrzony w gwiazdy migoczące na ciemnym sklepieniu nieba. – Przynajmniej je zobaczyłem – wyszeptał. , Na horyzoncie przeleciał helikopter.

– Dlaczego ta się rusza? – spytał Cal.

Will był zbyt zmęczony, by mu to tłumaczyć.

– Czasami tak robią – odparł słabo, ruszając w drogę. Szli blisko brzegu, by nikt ich nie zauważył, i wkrótce natknęli się na schody prowadzące na kładkę obok mostu. Will wiedział już, gdzie się znajdują: to był Blackfriars Bridge.

Na szczycie schodów drogę blokowała zamknięta bramka. Chłopcy wdrapali się pośpiesznie na

murek obok bramki, by wejść na kładkę. Przemoczeni i zziębnięci przystanęli na środku pomostu i rozejrzeli się dokoła. Will przeraził się nagle, że nawet tutaj Styksowie mogą mieć szpiegów, którzy już na nich czekają. Po tym, jak zobaczył w Kolonii jednego z braci Clarke'ów, czuł, że nie może ufać nikomu. Ogarnięty strachem przyglądał się przechodniom z rosnącą podejrzliwością. Nikt jednak nie zbliżał się do nich, z wyjątkiem jakiejś młodej pary trzymającej się za ręce. Zakochani przeszli obok, tak pochłonięci sobą, że nawet nie zwrócili uwagi na dwóch chłopców i olbrzymiego kota.

Will poprowadził ich schodami na most. Kiedy już się tam znaleźli, zauważył po prawej ogromny neon kina IMAX. Od razu zrozumiał, że stoją po niewłaściwej stronie rzeki. Londyn był dla niego mozaiką miejsc znanych z wypraw do muzeów, na które wybierał się wraz z ojcem, albo ze szkolnych wycieczek. Reszta, czyli obszary łączące te miejsca, stanowiły dla niego kompletną tajemnicę. Jedyne, co mógł zrobić, to zaufać własnej orientacji w terenie i iść na północ.

Kiedy skręcili w lewo i maszerowali przez most. Will zauważył tabliczkę ze strzałką i napisem „King's Cross”; wiedział już, że idą we właściwą stronę. Na drugim końcu mostu Will przystanął, by przyrzeć się Calowi i kotu w blasku latarni. Gdyby ktoś szukał w tej okolicy trzech podejrzanych indywiduów, nie musiałby się szczególnie natrudzić – rzucali się w oczy z odległości mili. Will zdawał sobie sprawę, że choć jest ciemno, dwóch przemoczonych chłopców włóczących się po ulicach Londynu o tak późnej porze – z olbrzymim kotem czy bez niego – z pewnością przyciąga uwagę, a ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowali, było spotkanie z policją. Próbował naprędce sklecić jakąś historyjkę i ćwiczył kwestie w myślach, przygotowując się do takiego spotkania.

„Proszę, proszę” – mówiła para wymyślonych policjantów. „Co my tu mamy?”

„E... wyszliśmy na spacer... żeby...” Tutaj wyimaginowana odpowiedź Willa urywała się nagle. Nie, to nie miało sensu, musiał wymyślić coś lepszego. Zaczął raz jeszcze. „Dobry wieczór, panowie. Wyprowadzamy właśnie zwierzę sąsiada na spacer.”

Pierwszy policjant pochylił się z ciekawością ku Bartleby'emu, po czym zmarszczył nos w grymasie obrzydzenia. „Moim zdaniem wygląda dość niebezpiecznie, synu. Nie powinien być na smyczy?”

„Co to właściwie jest?” – wtrącił drugi wyimaginowany policjant.

„To jest...” – zaczął Will. Co mógł powiedzieć? Ach tak: „... To bardzo rzadki... bardzo rzadki mieszaniec, krzyżówka psa z kotem, nazywa się to... Piekot” – wyjaśnił Will usłużnie.

„A może Kopies?” – zasugerował cierpkim tonem drugi policjant, najwyraźniej nie wierząc w ani jedno jego słowo. „Co by to nie było, jest paskudne” – stwierdził jego partner.

„Cii! Zranisz jego uczucia.”

Nagle Will uświadomił sobie, że wymyślając całą tę historyjkę, traci tylko czas. W rzeczywistości policjanci zapytaliby ich po prostu o nazwiska i adresy, a potem połączyli się przez radio z centralą, żeby sprawdzić te dane. Prawdopodobnie on tak czy inaczej zostałby zidentyfikowany, nawet gdyby podał fałszywe dane. I to byłby koniec. Zostaliby zatrzymani aż do wyjaśnienia całej sprawy. Will przypuszczał, że jest poszukiwany za uprowadzenie Chestera albo coś równie absurdalnego i że trafiłby pewnie do poprawczaka. Cal z kolei stanowiłby dla policji prawdziwą zagadkę – oczywiście nigdy nie znaleźliby danych dotyczących jego tożsamości, żadnego śladu górnoziemskiej egzystencji chłopca. Nie, musieli unikać policji za wszelką cenę.

Jakby na przekór tym przemyśleniom jakaś część umysłu Willa niemal chciała, by ich zatrzymano. Pozbyłby się wówczas straszliwego ciężaru, który spoczywał teraz na jego barkach; zerknął ukradkiem na brata. Cal był tutaj obcy, nie należał do tego zimnego i niegościnnego miejsca, a Will nie miał pojęcia, jak go ochronić.

Z drugiej jednak strony wiedział, że jeśli odda się w ręce władz i namówi je do wyprawy w głąb ziemi – oczywiście, gdyby w ogóle ktoś chciał uwierzyć zbiegłemu nastolatкови – ryzykowałby życie wielu ludzi, życie swojej rodziny. Kto wie, jak by się to skończyło? Wzdrygnął się na myśl o Odkryciu, jak nazywała to babcia Macaulay, i próbował wyobrazić sobie, jak przybysze z Górnoziemia wyprowadzają ją na światło dzienne po raz pierwszy w jej długim podziemnym życiu. Nie mógł jej tego zrobić – nie mógł nawet znieść takiej myśli. Z pewnością decyzja była zbyt poważna, by mógł podejmować ją sam, szczególnie teraz, gdy czuł się ogromnie osamotniony i bezradny.

Otulił się szerszej wilgotną marynarką i wprowadził Cala z Bartlebym do przejścia podziemnego po drugiej stronie mostu.

- Strasznie tu śmierdzi sikami – zauważył jego brat.
- Wszyscy Górnoziemcy oznaczają swój teren? – spojrzał pytająco na Willa.
- E... zwykle nie. Ale to jest Londyn.

Kiedy wyszli już z przejścia i znaleźli się ponownie na chodniku, Cal rozejrzał się niepewnie dokoła, zagubiony w gąszczu ulic i natłoku ruchu ulicznego. Dotarli do głównej drogi i przystanęli na krawężniku. Will jedną ręką chwycił rękaw brata, a drugą złapał kota za kark. Kiedy tylko nadarzyła się okazja, przeszli na najbliższą wysepkę. Will widział, jak ludzie w przejeżdżających obok samochodach przyglądają się im z zaciekawieniem. Biała furgonetka niemal się zatrzymała, a jej podekscytowany kierowca mówił coś do telefonu. Will odetchnął z ulgą, gdy auto w końcu przyśpieszyło i odjechało. Chwilę później przeszli przez pozostałe dwa pasy ruchu i pokonawszy niewielki dystans, skręcili w mroczną uliczkę. Cal przystanął i oparł dłoń o ceglana ścianę – wydawał się kompletnie zdezorientowany, niczym ślepiec w nieznanym mu otoczeniu.

- Skazone powietrze! – oświadczył z mocą.
- To tylko spaliny samochodów – odparł Will, odwiązując grubą linkę, na której nosił świetlistą kulę, i sporządzając z niej prowizoryczną smycz dla kota. Bartleby bez najmniejszego protestu pozwolił założyć sobie sznurek na szyję.
- To śmierdzi. Na pewno jest niezgodne z prawem – mówił Cal z przekonaniem.
- Obawiam się, że nie – mruknął Will, prowadząc ich w dół ulicy. Chciał trzymać się z dala od głównej drogi i korzystać wyłącznie z bocznych przejść, nawet jeśli miało to znacznie wydłużyć wędrówkę.

I tak zaczął się długi marsz na północ. Po drodze widzieli tylko jeden samochód policyjny, jednak w ostatniej chwili zdążyli się ukryć za rogiem kamienicy.

- Czy oni są tacy jak Styksowie? – spytał Cal.
- Niezupełnie – pokręcił głową Will.

Zmęczeni i głodni pokonywali mozolnie milę za milą. Od czasu do czasu Cal zatrzymywał się raptownie, jakby nagle ktoś zatrzaskał przed nim niewidzialne drzwi.

– O co chodzi? – spytał Will, gdy jego brat znów stanął jak wryty.

– To coś... jakby gniew... i strach – odparł Cal półszepem, zerkając nerwowo na okna nad wystawą jakiegoś sklepu. – To jest bardzo silne. Nie podoba mi się.

– Ja niczego tu nie widzę – wzruszył ramionami Will. Okna na piętrze wyglądały całkiem zwyczajnie, spomiędzy zasuniętych kotar wypływał wąski strumień światła.

– Nie dzieje się tu nic złego. Coś sobie wymyśliłeś.

– Nic sobie nie wymyśliłem. Czuję to – odparł Cal dobitnie. – I to coraz wyraźniej. Chodźmy stąd.

Po kilku milach wyczerpującej wędrówki stanęli w końcu na grzbiecie wzgórza. W dole widać było ruchliwą drogę z sześcioma pasami ruchu.

– Poznają to miejsce. Już niedaleko, najwyżej kilka mil – stwierdził Will z ulgą.

– Nie zejść tam. Nie mogę. Ten smród nas zabije – powiedział Cal, odsuwając się od brata.

– Nie bądź głupi – zachnął się Will. Nie miał siły na bezsensowne sprzeczki, a narastająca w nim frustracja przerodziła się w końcu w złość. – Jesteśmy już tak blisko...

– Nie – odparł z uporem Cal. – Zostaję tutaj!

Will próbował pociągnąć go za rękę, lecz Cal wyrwał się z jego uścisku. Starszy brat, który już od wielu godzin walczył ze zmęczeniem i wciąż nie mógł normalnie oddychać, nie miał siły ani ochoty na kłótnie. Nagle zrozumiał, że dłużej już tego nie wytrzyma. Chciał usiąść i płakać. To było po prostu nie fair. Wyobraził sobie dom i miękkie, czyste łóżko. Marzył tylko o tym, by się położyć i zasnąć. Co jakiś czas omal nie zasypiał na stojąco, jego ciało stawało się na ułamki sekund dziwnie bezwładne, jakby zapadał się w głęboki dół. Zawsze jednak w porę odzyskiwał świadomość i zmuszał się do dalszego marszu.

– No i dobrze! – warknął Will. – Rób, co chcesz! – Ruszył w dół zbocza, ciągnąc za sobą Bartleby'ego.

Kiedy dotarł do drogi, usłyszał odległy, zagłuszony warkotem samochodów głos brata.

– Will! – krzyczał Cal. – Poczekaaj na mnie! Przepraszam!

Cal pędził co sił w nogach. Will widział, że jest naprawdę przerażony; bez ustanku rozglądał się dokoła, jakby w obawie, że lada moment zaatakuje go jakiś niewidzialny zamachowiec.

Przeszli przez drogę na światłach, Cal jednak przez cały czas zakrywał dłonią usta i odsłonił je dopiero, gdy oddalili się o dobre kilkaset metrów.

– Nie mogę tego znieść – oświadczył ponuro. – Podobały mi się samochody, kiedy byłem w Kolonii... ale w prospektach nie pisali nic o tym, jak one śmierdzą.

– Macie ogień?

Przestraszeni odwrócili się w stronę głosu. Przystanęli przed momentem, by trochę odpocząć, gdy

nagle, nie wiadomo skąd, za ich plecami pojawił się ten mężczyzna z krzywym uśmiechem na twarzy. Był niewysoki, ale dobrze ubrany, miał na sobie dopasowany granatowy garnitur i koszulę z krawatem. Nosił długie czarne włosy, które bez ustanku zakładał za uszy, jakby go irytowały.

– Zostawiłem zapalniczkę w domu – mówił głębokim, dźwięcznym głosem.

– Przykro nam, nie palimy – odparł starszy z braci, cofając się. Mężczyzna wydawał mu się podejrzany. Wyczuwalny w jego głosie fałsz natychmiast uruchomił dzwonek alarmowy w głowie Willa.

– Nic wam nie jest, chłopcy? Wyglądacie na zmęczonych. Mam tutaj niedaleko przytulne mieszkanko, ogrzejecie się, odpoczniecie – kontynuował mężczyzna przymilnym tonem. – Oczywiście możecie też zabrać swojego pieska. – Wyciągnął rękę w stronę Cala i wtedy Will zobaczył, że jego palce są żółte od nikotyny, zaś paznokcie czarne od brudu.

– Naprawdę? – ucieszył się Cal, odpowiadając uśmiechem na uśmiech mężczyzny.

– Nie... to bardzo miło z pana strony, ale... – przerwał Will, spoglądając porozumiewawczo na brata, który jednak nie zwracał na niego uwagi. Mężczyzna zbliżył się o krok do Cala i przemówił ponownie, zupełnie ignorując Willa.

– A może zjedlibyście coś ciepłego? – zaproponował. Cal miał już odpowiedzieć, jednak Will zdołał go uprzedzić.

– Musimy iść, rodzice czekają na nas za rogiem. Chodź, Cal – rzucił ponagląjącym tonem. Cal spojrzał ze zdumieniem na brata, a ten pokręcił lekko głową, marszcząc przy tym brwi. Zrozumiawszy, że coś jest nie tak, Cal posłusznie ruszył za nim.

– Szkoda. Może następnym razem? – powiedział mężczyzna, nie odrywając spojrzenia od Cala. Nie ruszył się z miejsca, za to z kieszeni marynarki wyjął zapalniczkę i zapalił papierosa. – Zobaczmy się jeszcze! – zawołał za nimi.

– Nie oglądaj się – syknął Will przez zęby, maszerując szybkim krokiem i ciągnąc za sobą Cala. – Nie waż się patrzeć w tył.

Godzinę później weszli do Highfield. Will unikał High Street, bojąc się, że ktoś go rozpozna. Przemykali więc bocznymi uliczkami i alejkami, aż wreszcie dotarli do Broadlands Avenue.

Był tam. Dom z ciemnymi oknami, a na trawniku przed wejściem tabliczka z adresem i numerem telefonu biura nieruchomości. Will przeprowadził ich pod wiatą, do ogrodu na tyłach domu. Podniósł cegłę, pod którą zawsze leżał zapasowy klucz i podziękował w myślach opatrności, kiedy zobaczył, że klucz jest na swoim miejscu. Otworzył drzwi i wszedł powoli do ciemnego wnętrza.

– Koloniści! – powiedział od razu Cal, wciągając w nozdrza powietrze i cofając się odruchowo. – Byli tutaj... i to całkiem niedawno.

– Cal, na litość boską... – Will wyczuwał tylko zapach kurzu i stęchlizny, nie zamierzał się jednak kłócić. Nie chciał niepokoić sąsiadów, nie zapalał więc światła, kiedy zaglądał po kolei do wszystkich pokoi, oświetlając je jedynie blaskiem zielonej kuli. Cal czekał w przedpokoju, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

– Nie ma tu nic... ani nikogo. Zadowolony? – powiedział Will, schodząc do przedpokoju. Nieco

zawstydzony, Cal wszedł w końcu dalej, prowadząc za sobą Bartleby'ego, a Will zamknął za nimi drzwi i przekręcił zamek. Poprowadził ich do salonu i, upewniwszy się, że zasłony są szczelnie zaciągnięte, włączył telewizor. Potem poszedł do kuchni.

Lodówka była niemal pusta, Will znalazł tylko kostkę margaryny i stary, pomarszczony pomidor. Przez moment chłopiec wpatrywał się w puste półki. Była to sytuacja niezwykła, co potwierdzało tylko skalę zmian, jakie zaszły w jego życiu. Westchnął ciężko, zamykając drzwi lodówki. Zauważył przyklejoną do nich karteczkę. Była to lista zakupów sporządzona przez Rebeke.

Rebeka! Nagle ogarnęła go ogromna wściekłość. Na myśl o tej oszustce, która przez tyle lat bezkarnie udawała jego siostrę, aż zeszywniał z gniewu. Ona zmieniła wszystko. Teraz nie mógł nawet wracać spokojnie myślami do wygodnego i przewidywalnego życia, jakie wiódł przed zaginięciem ojca; bo ona zawsze tam była, szpiegowała każdy jego ruch i donosiła... Jej obecność plugawiła wszystkie wspomnienia. Dopuściła się zdrady najgorszej ze wszystkich – była Judaszem nasłanym przez Styksów.

– Suka! – krzyknął, po czym zerwał kartkę, zgniótł ją w dłoni i rzucił na podłogę.

Gdy papierowa kulka potoczyła się po nieskazitelnie czystej, pokrytej linoleum podłodze, którą Rebeka czyściła tydzień w tydzień z paraliżującą regularnością, Will spojrzął na zepsuty zegar ścienny i westchnął. Dowlóknął się do zlewu i napełnił wodą szklanki dla siebie i Cala oraz miskę dla Bartleby'ego, a potem wrócił do salonu. Cal i kot spali już, zwinięci w kłębek na sofie. Will zauważył, że obaj drżą, zniósł więc z góry dwie kołdry i okrył nimi uspiionych towarzyszy. Centralne ogrzewanie nie działało, było więc dość zimno, ale nie aż tak zimno. Miał rację, podejrzewając, że Cal i Bartleby nie są po prostu przyzwyczajeni do niskich temperatur, i zanotował sobie w pamięci, żeby nazajutrz poszukać im jakichś ciepłych ubrań.

Wypił szybko wodę, ułożył się na fotelu matki i okrył jej pledem podróżnym. Niemal nie zauważył mrozących krew w żyłach popisów snowboardzistów, pokazywanych właśnie w telewizji. Zwinął się w kłębek, dokładnie tak, jak robiła to przez lata jego matka, i zapadł w głęboki sen.

Rozdział 33

Tam i pan Jerome stali w kompletnej ciszy przed długim stołem, trzymając splecione dłonie za plecami. Tam patrzył prosto przed siebie, nie okazując ani cienia trwogi.

Naprzeciwno, za stołem z polerowanego dębu siedziała Kapituła. Była to grupa najstarszych i najpotężniejszych członków Rady Styksów. Miejsca na końcach zajmowali wysocy rangą Koloniści – reprezentanci Rady Gubernatorów, ludzie, których pan Jerome znał od zawsze; jego przyjaciele. Ojciec Cala aż kulił się ze wstydu: czuł się zhańbiony i skompromitowany, nie miał nawet odwagi spojrzeć na kolegów. Nigdy nie sądził, że znajdzie się w takiej sytuacji.

Tam zachowywał się znacznie swobodniej; nieraz już stawał przed tym gremium i zawsze udawało mu się uniknąć surowej kary. Choć teraz zarzuty były wyjątkowo poważne, miał mocne alibi, które zostało sprawdzone i zaakceptowane przez Styksów. Imago i jego ludzie już o to zadbali. Tam obserwował zaintrygowany, jak Moskit naradza się z jednym z towarzyszy, a potem odchyła do tyłu i rozmawia z dzieckiem ukrytym do połowy za oparciem krzesła. Było to naprawdę dziwne. Styksowie zazwyczaj trzymali swoje dzieci z dala od Kolonii; nikt nie widział jeszcze ich niemowląt, a starsze latorośle, jak mówiono, wychowywały się pod okiem mistrzów w zamkniętych, prywatnych szkołach. Mężczyzna nigdy nie słyszał, by pokazywały się ze swymi rodzicami publicznie, nie mówiąc już o udziale w spotkaniu takim jak to.

Rozmyślania Tama przerwały odgłosy zażartej dyskusji, która rozgorzała nagle wśród członków Kapituły. Styksowie przekazywali sobie szeptane wiadomości niczym podczas zabawy w głuchy telefon, a ich chude dłonie komunikowały się ze sobą za pomocą szybkich, ostrych gestów. Tam zerknął na pana Jerome'a, który stał z nisko pochyloną głową. Odmawiał bezgłośnie jakąś modlitwę, a po jego skroniach spływały krople potu. Miał opuchniętą twarz, skórę w niezdrowym różowym odcieniu. Widać było, że cała ta historia jest dla niego bardzo trudnym doświadczeniem.

Narada gwałtownie się zakończyła, czemu towarzyszyły ostatnie uzgodnienia wypowiediane ostrym, grzechoczącym językiem Styksów oraz ogólne kiwanie głowami. Wszyscy wyprostowali się na krzesłach, a w sali zapadła mroząca krew w żyłach cisza. Tam przygotował się wewnętrznie; wiedział, że za chwilę Styksowie wygłoszą oświadczenie.

– Panie Jerome – zaczął Styks siedzący na lewo od Moskita. – Po należyтым zastanowieniu i wnikliwym zbadaniu całej sprawy... – przemawiał z namaszczeniem, wbijając paciorkowate oczy w drżącego mężczyznę – pozwolimy panu odejść – dokończył.

Natychmiast głos zabrał inny Styks.

– Uważamy, że niegodziwości, jakich doznaje pan ze strony członków swojej rodziny, zarówno teraz, jak i w przeszłości, są nieusprawiedliwione i niezasłużone. Nikt z nas nie kwestionuje pańskiej uczciwości, nikt też nie uważa, by pańska reputacja została zszargana. Niniejszym zostaje pan uwolniony od wszelkich zarzutów. Jeśli nie ma pan nic do dodania, proszę odejść.

Pan Jerome uklonił się smętnie i oddalił od stołu. Tam słyszał, jak zmierza do drzwi, powłócząc nogami po kamiennej posadzce, nie ośmielił się jednak odwrócić głowy i spojrzeć na niego. Przeniósł spojrzenie na sufit kamiennej sali, potem zatrzymał wzrok na jednej ze starych makat

zawieszonych za plecami Styksów. Przedstawiała ona Ojców Założycieli kopiących idealnie okrągły tunel w zboczu trawiastego wzgórza.

Wiedział, że oczy wszystkich skierowane są teraz na niego.

Przemówił kolejny Styks. Tam natychmiast rozpoznał głos Moskita i czuł się w obowiązku spojrzeć w twarz nieprzejednanemu wrogowi. „Uwielbia takie momenty” – pomyślał.

– Macaulay. Ty to zupełnie inna para kaloszy. Choć jeszcze nie zdołaliśmy tego udowodnić, jesteśmy pewni, że pomagałeś swoim siostrzeńcom, Sethowi i Calebowi Jerome’om, w nieudanej próbie uwolnienia Górnoziemca Chestera Rawlsa oraz w ucieczce do Wiecznego Miasta – mówił Moskit z nieskrywaną satysfakcją. Potem zamilkł, oddając głos innemu Styksowi.

– Kapituła przyjęła do wiadomości twoje protesty i zapewnienia o niewinności. – Styks pokręcił głową z dezaprobatą i zamilkł na moment. – Zbadaliśmy dowody przedstawione na twoją obronę, ale w tej chwili nie jesteśmy w stanie podjąć ostatecznej decyzji. Postanowiliśmy, że nadal będziemy prowadzić śledztwo, ty zaś aż do odwołania będziesz przebywał w areszcie, pozbawiony wszelkich praw i przywilejów. Rozumiesz? Tam skinął posępnie głową.

– Spytaliśmy, czy rozumiesz? – warknęło dziecko Styksów, robiąc krok do przodu.

Rebeka wykrzywiła usta w złowrogim uśmiechu i przeszła Tama lodowatym spojrzeniem. Wśród Kolonistów podniósł się szmer zdumienia wywołanego faktem, że dziecko ośmieliło się zabrać publicznie głos, Styksowie zachowywali się jednak tak, jakby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

Tam dosłownie osłupiał ze zdziwienia. Czy naprawdę miał odpowiadać temu dzieciakowi? Kiedy nie zareagował, dziewczynka powtórzyła pytanie głosem ostrym i chłoszczącym jak trzask bata:

– ZAPYTALIŚMY, CZY ROZUMIESZ?

– Rozumiem – mruknął Tam. – Aż za dobrze.

Oczywiście nie było to ostateczne orzeczenie; oznaczało tylko tyle, że będzie żył w stanie zawieszenia do czasu, aż Styksowie uznają go za niewinnego lub... cóż... wolał nawet nie myśleć o alternatywie.

Kiedy gburowaty policjant wyprowadzał go z sali. Tam zauważył, jak dziewczynka i Moskit wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

„A niech mnie! – pomyślał Tam. – To jego córka!”.

Wyrwany ze snu dudniącymi odgłosami płynącymi z telewizora, Will usiadł gwałtownie w fotelu. Odruchowo sięgnął po pilota i ściszył program; dopiero gdy rozejrzał się dokoła, dotarło do niego, gdzie jest, i przypomniał sobie, jak tu trafił. Był w domu, w pokoju, który znał aż za dobrze. Choć wciąż nie wiedział, co właściwie powinien robić w najbliższej przyszłości, po raz pierwszy od długiego czasu czuł, że ma kontrolę nad własnym losem – i było to bardzo przyjemne uczucie.

Rozprostował zeszywniałe kończyny, wziął kilka głębokich oddechów i zaniósł się dojmującym kaszlem. Choć umierał z głodu, czuł się nieco lepiej niż poprzedniego dnia; sen dobrze mu zrobił. Podrapał się po głowie, a potem dotknął zlepionych, poszarzałych od brudu włosów. Wygramoliwszy się z fotela, podszedł do okna i rozchylił zasłony, by wpuścić do wnętrza odrobinę porannego słońca. Prawdziwego światła. Był to tak przyjemny widok, że Will rozsunął zasłony

szerzej.

– Za jasno! – wrzasnął przeraźliwie Cal, chowając twarz w poduszce. Bartleby, obudzony krzykiem chłopca, otworzył oczy, po czym natychmiast zaczął się cofać przed blaskiem słońca. Przesuwał się do tyłu, aż spadł z sofy na podłogę, gdzie został już na dłużej, kryjąc się przed światłem i wydając z siebie ciche posykiwania i miauknięcia.

– Boże, przepraszam – wyjąkał Will, plując sobie w brodę. Szybko zaciągnął zasłony z powrotem. – Całkiem zapomniałem.

Pomógł bratu usiąść, a ten, ukryty za poduszką, pojękiwał cicho. Will widział, że jego policzki są mokre od łez. Zastanawiał się, czy oczy Cala i Bartleby'ego kiedykolwiek przywykną do naturalnego światła. Był to jeszcze jeden problem, z którym musiał sobie jakoś poradzić.

– Naprawdę mi głupio – mówił Will bezradnie. – Może... poszukam dla was jakichś okularów przeciwsłonecznych.

Zaczął poszukiwania od komody w pokoju rodziców, okazało się jednak, że jest całkiem pusta. W ostatniej szufladzie znalazł małą torebkę z lawendą, przyczepioną do taniego papieru do pakowania, którym jego matka wyklepała półki i szuflady. Podniósł paczuszkę do nosa i wciągnął w nozdrza znajomy zapach. Zamknął oczy, przywołując w pamięci obraz matki. Nie wiedział, dokąd wyjechała, by ratować podupadłe zdrowie, był jednak pewien, że podporządkowała już sobie innych pacjentów. Gotów był się założyć, iż zawłaszczyła najlepszy fotel w sali telewizyjnej i nakłoniła kogoś, by przynosił jej herbatę. Uśmiechnął się do siebie. W pewnym sensie była zapewne szczęśliwsza niż przez te wszystkie minione lata. I bezpieczniejsza, gdyby Styksowie postanowili złożyć jej wizytę.

Grzebiąc w nocnych szafkach rodziców, pomyślał nagle o swojej prawdziwej matce. Zastanawiał się, gdzie może teraz być, jeśli rzeczywiście wciąż żyła. Jedyne osoba w długiej historii Kolonii, która wymknęła się Styksom I przeżyła. Zacisnął zęby z determinacją i spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Cóż, teraz takim dokonaniem będzie już się mogło pochwalić troje członków rodziny Jerome.

Na półce w szafie matki znalazł wreszcie to, czego szukał: parę giętkich plastikowych okularów przeciwsłonecznych, które nosiła latem pani Burrows – jeśli w ogóle zdecydowała się wyjść na zewnątrz, co nie zdarzało się zbyt często. Wrócił do Cala, który siedział w salonie przy zaciągniętych zasłonach i wpatrywał się w ekran telewizora, całkowicie pochłonięty oglądaniem jakiegoś porannego talkshow, w którym wypacykowana dziennikarka próbowała za wszelką cenę pocieszyć załamana matkę nastoletniego narkomana. Oczy Cala były zaczerwienione i wciąż nieco wilgotne od łez. Chłopiec nie odezwał się ani słowem – nie odwrócił też wzroku od telewizora – kiedy Will założył mu okulary i obwiązał ich końcówki gumką, by trzymały się głowy.

– Lepiej? – spytał.

– Znacznie lepiej, tak – odparł Cal, poprawiając okulary. – Ale jestem bardzo głodny – dodał, masując brzuch. – I zimno mi – zaszczekał teatralnie zębami.

– W takim razie zaczniemy od prysznica. To cię rozgrzeje – stwierdził Will, wachając z niesmakiem swoje przepecone ubrania. – Potem przebierzemy się w czyste ciuchy.

– Pysznica? – Cal spojrzał na brata pytająco przez ciemne szkła okularów.

Will zdołał uruchomić piecyk i poszedł umyć się jako pierwszy. Gorąca woda rozkosznie drażniła

jego skórę, a obłoki pary otulały niczym ciepła kołdra. Potem przyszła kolej na Cala. Will pokazał zafascynowanemu bratu, jak regulować strumień i ciepłość wody, po czym zostawił go samemu sobie. Z szafy w swojej sypialni wyjął czyste ubrania dla siebie i Cala, choć w przypadku brata niezbędne było dopasowanie ich.

– Teraz jestem prawdziwym Górnoziemcem – oświadczył Cal, podziwiając workowate dżinsy z podwiniętymi nogawkami i obszerną koszulę, okrytą dwoma swetrami.

– Tak, bardzo trendy – roześmiał się Will.

Z Bartlebym nie poszło tak łatwo. Cal długo namawiał drżące zwierzę, by chociaż zbliżyło się do drzwi łazienki, a kiedy już tego dokonał, musieli wpychać je do środka na siłę, niczym krnąbrnego osła. Kot jakby przeczuwał, co go czeka w zaparowanym pomieszczeniu, odskoczył bowiem na bok i próbował schować się pod umywalką.

– Bart, śmierzdielu, wskakuj do wanny! – rozkazał Cal, tracąc w końcu cierpliwość. Kot z ociąganiem wgramolił się do wanny i spojrzał na nich z przeraźliwie żalną miną. Gdy pierwszy strumyk wody pociekł po jego skórze, wydał z siebie niski, zawodzący jęk. Uznawszy, że wystarczy już tych ablucji, wystawił łapy na krawędź wanny, próbując się z niej wydostać. Dopiero gdy Will zajął się przytrzymywaniem kota w wannie, a Cal myciem, zdołali jakoś wykonać to zadanie, choć nim skończyli, obaj ociekali wodą.

Podczas gdy uwolniony Bartleby galopował z sypialni do sypialni i biegał w kółko niczym szalony derwisz, Will z ogromną satysfakcją zabrał się do plądrowania sypialni Rebeki. Wyrzucając starannie poskładane ubrania na podłogę, zastanawiał się, w co właściwie można ubrać kota. Ostatecznie udało mu się znaleźć parę brązowych getrów, które po odpowiednim przycięciu pasowały na tylne łapy zwierzęcia, oraz stary fioletowy pulower Benettona, osłaniający tułów i przednie łapy. W plażowej torbie siostry Will znalazł także parę różowych okularów przeciwsłonecznych; chwilę później trafiły one na głowę kota, gdzie przytrzymywała je wiązana czapka z nausznikami w żółto-czarne paski.

Bartleby wyglądał naprawdę przedziwnie w nowym stroju. Bracia przyglądali się mu przez chwilę, podziwiając swe dzieło, aż wreszcie wybuchli niepohamowanym śmiechem.

– I kto jest teraz największym przystojniakiem? – chichotał Cal pomiędzy kolejnymi atakami śmiechu.

– Większego elegancika nie znajdziesz w całym Highfield! – wtórował mu Will.

– Nie martw się, Bart – mówił Cal kojącym głosem, gładząc poirytowane zwierzę po grzbiecie. – Wyglądasz naprawdę... porażająco – zdołał wykrztusić, nim znów zaczęli skręcać się ze śmiechu. Oburzony Bartleby spoglądał na nich z ukosa zza różowych oprawek dziewczęcych okularów.

Na szczęście Rebeka, co by o niej nie mówić, dopilnowała, by zamrażarka w spiżarni była należycie zaopatrzona. Will zapoznał się z instrukcją obsługi kuchenki mikrofalowej i podgrzał trzy pełne zestawy obiadowe z wołowiną, kluskami i fasolą. Pochłonęli je w błyskawicznym tempie; Bartleby omal nie zjadł też plastikowego talerzyka, na którym Will podał mu mięso. Cal uznał, że była to chyba najsmaczniejsza rzecz, jakiej w życiu próbował. Stwierdził jednak, że wciąż jest głodny, w związku z czym Will wyjął z zamrażarki kolejne trzy porcje. Tym razem była to wieprzowina z pieczonymi ziemniakami. Na koniec popili wszystko colą, która wprawiła Cala w

nieopisany zachwył.

– Co dalej? – spytał w końcu, wpatrując się w bąbelki wędrujące po ściankach szklanki.

– Po co ten pośpiech? Na razie jest nam tu całkiem dobrze – odparł Will. Miał nadzieję, że uda im się zaszyć w domu na kilka dni, podczas których obmyślą plan dalszego działania.

– Styksowie znają to miejsce. Ktoś już tu był i wcześniej czy później na pewno wróci. Nie zapominaj o tym, co mówił wuj Tam. Nie możemy osiąść w jednym miejscu.

– Pewnie masz rację – przyznał niechętnie Will. – Poza tym mógłby nas tu zobaczyć ktoś z tej agencji nieruchomości. Pewnie od czasu do czasu pokazują dom jakimś ludziom. – Milczał przez chwilę, wpatrując się tępo w nowe zasłanki nad zlewem, wreszcie odezwał się zdecydowanym tonem: – Przede wszystkim muszę uratować Chestera.

Cal był przerażony.

– Chyba nie chcesz tam wracać? Ja nie mogę wrócić, Will, nie teraz. Styksowie zrobiliby mi coś strasznego.

Nie tylko on bał się powrotu pod ziemię. Perspektywa ponownego spotkania ze Styksami napełniała Willa grozą. Miał wrażenie, że wykorzystał już limit szczęścia, i że sama myśl o przeprowadzeniu jakiejś zuchwałej akcji ratunkowej jest czystym szaleństwem.

Z drugiej jednak strony, co by robili, gdyby zostali w Gómoziemiu? Uciekali? Kiedy się nad tym zastanowił, zrozumiał, że taki scenariusz jest nierealny. Wcześniej czy później zatrzymałaby ich policja, prawdopodobnie zostaliby rozdzieleni i wysłani do różnych sierocińców lub rodzin zastępczych. Co gorsza, musiałby do końca swoich dni żyć ze świadomością, że zostawił Chestera na pewną śmierć i nie wyruszył wraz z ojcem na wyprawę, która mogła stać się przygodą stulecia.

– Nie chcę umierać – powiedział cicho Cal. – Nie w ten sposób. – Odsunął szklankę i spojrzał błagalnie w oczy Willa.

Sytuacja robiła się coraz trudniejsza, ale Will nie chciał oszukiwać własnego brata. Pokręcił głową.

– Co mam zrobić? Nie mogę go tam zostawić. Nie mogę. Nie zrobię tego.

* * *

Później, gdy Cal i Bartleby wylegiwali się przed telewizorem, oglądając pogromy dla dzieci i jedząc chipsy, Will, wiedziony ciekawością, zszedł do piwnicy i odsunął regały. Tak, jak się spodziewał, nie było tam śladu po tunelu – ktoś zadał sobie nawet trud, by wytynkować świeżo położone cegły i pomalować tynk na ten sam kolor co pozostałe ściany. Wiedział, że tunel za ścianą jest od dawna zasypany znaną mu mieszanką ziemi i kamyków. Koloniści dobrze wykonali swoje zadanie. Nie warto było nawet tracić czasu na dalsze oględziny.

Will opuścił piwnicę i poszedł do kuchni. Stał na taborecie, przesuwał słoiki ustawione na górnych szafkach. Odnalazł pieniądze, które mama chowała w porcelanowym dzbanku na miód – było tam około dwudziestu funtów w bilonie, przeznaczonych na wypożyczenie filmów.

Szedł właśnie przez przedpokój, zmierzając do salonu, gdy nagle przed jego oczami pojawiły się tańczące plamki światła, a całe ciało w jednej chwili ogarnął nieznośny żar. Czuł, jak uginają się pod

nim nogi. Wypuścił z dłoni dzbanek, który uderzył o krawędź stolika i rozbił się; brzęczące monety rozsypały się po podłodze. Wszystko działo się jak na zwolnionym filmie. Kiedy osuwał się na podłogę, poczuł jeszcze dojmujący ból w głowie, a potem wszystko przykryła czerń. Stracił przytomność.

Cal i Bartleby wypadli z salonu, wystraszeni hałasem.

– Will! Co się stało? – krzyczał Cal, klękając obok niego.

Will powoli odzyskiwał świadomość – Nie wiem – powiedział słabo, przykładając dłoń do pulsujących boleśnie skroni. – Nagle okropnie się poczułem. – Zaczął kaszleć i musiał wstrzymać oddech, by przestać.

– Jesteś rozpalony – powiedział Cal, przykładając dłoń do czoła brata.

– Zimno mi... – Will ledwie mógł mówić przez szczękające zęby. Próbował wstać, był jednak za słaby.

– O Boże... – przeraził się nagle Cal. – To może być coś z Wiecznego Miasta. Zaraza!

Will milczał, kiedy brat podciągnął go do schodów i ułożył jego głowę na najniższym stopniu, a potem okrył go przyniesionym z salonu pledem podróżnym. Kiedy Will doszedł już trochę do siebie, wysłał Cala do łazienki po aspirynę. Przełknął kilka tabletek, popijając je colą, i po krótkim odpoczynku, wspierany przez brata, zdołał się wreszcie podnieść.

Oczy Willa płonęły gorączką, jego głos był słaby i drżący.

– Myślę, że powinniśmy poprosić kogoś o pomoc – powiedział, ocierając pot z czoła.

– A mamy kogo? – spytał Cal.

Will pociągnął nosem, przełknął ciężko i skinął głową. Miał wrażenie, że głowa za chwilę pęknie mu z bólu.

– Przychodzi mi do głowy tylko jedno miejsce.

– Chodź tutaj! – ryknął Drugi Oficer, wysuwając głowę do przodu tak daleko, że ścięgną na jego boczny karku napięły się niczym postronki.

Ukryty w ciemnościach Chester pociągnął kilkakrotnie nosem, próbując zapanować nad pełnym przerażenia łkaniem. Odkąd został ponownie schwytany i przywieziony do aresztu, Drugi Oficer traktował go bardzo brutalnie. Postanowił zamienić życie Chestera w piekło. Przetrzymanywał posiłki, wylewał mu wiadro zimnej wody na głowę, gdy tylko chłopiec przysnął na metalowej półce, bez ustanku zaglądał do celi i wykrzykiwał groźby pod jego adresem. Wszystko to miało zapewne coś wspólnego z grubym bandażem na głowie strażnika – cios zadany łopata przez Willa był mocny i precyzyjny – i, co gorsza, z przesłuchaniami, jakimi przez cały dzień zamęczali go Styksowie, sprawdzając, czy nie zaniedbał swoich obowiązków. Drugi Oficer odbijał sobie teraz wszystkie te cierpienia i upokorzenia na Chesterze.

Chłopak, wygłodzony i zmęczony do granic wytrzymałości, nie wiedział, jak długo jeszcze zniesie takie traktowanie. Przed nieudaną próbą ucieczki wydawało mu się, że żyje w krańcowo trudnych warunkach, teraz jednak było znacznie gorzej.

– Nie zmuszaj mnie, żebym po ciebie poszedł! – ryczał Drugi Oficer. Nim skończył, Chester wyszedł boso w blade światło korytarza. Przesłaniając oczy jedną ręką, podniósł głowę. Włosy miał posklejane brudem, koszula była podarta.

– Tak, proszę pana – wymamrotał pokornie.

– Styksowie chcą się z tobą widzieć. Mają ci coś do powiedzenia – oświadczył Drugi Oficer jadawym tonem, a potem zarechotał. – Wreszcie nauczą cię rozumu.

Wciąż się śmiał, kiedy Chester ruszył w stronę drzwi aresztu, szurając bosymi stopami o szorstkie kamienie.

– Szybciej! – warknął Drugi Oficer, wbijając pęk wielkich kluczy w plecy chłopca.

– Au – jęknął cicho Chester.

Kiedy weszli do głównej sali, Chester musiał zakryć oczy, które odzwyczaiły się już zupełnie od jasnego światła. Szedł prosto przed siebie, zmierzając nieświadomie do drzwi wyjściowych, dopóki nie zatrzymał go znów głos policjanta.

– A ty dokąd się wybierasz? Nie myślisz chyba, że pójdziesz do domu, co? – Mężczyzna zaczął się śmiać, potem jednak znów spoważniał. – Nie, pójdziesz w prawo, tym korytarzem.

Chester opuścił dłonie i próbował coś dojrzeć spod przymrużonych powiek. Obrócił się w miejscu, po czym nagle znieruchomiał, jakby nogi wrosły mu w ziemię.

– Ciemne Światło? – spytał bojaźliwie, nie osmielając się nawet spojrzeć na Drugiego Oficera.

– Nie, to już za nami. Teraz dopiero naprawdę dostaniesz za swoje, ty śmieciu.

Ruszyli w głąb korytarza. Drugi Oficer bez ustanku poganiał Chestera, dźgając go i popychając, a jednocześnie wciąż chichotał pod nosem, ogromnie z czegoś zadowolony. Uciszył się dopiero, gdy skręcili za róg i stanęli przed otwartymi drzwiami, zza których wypływał strumień jaskrawego światła.

Choć Chester poruszał się ospale, a jego twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu, w środku aż dygotał ze strachu. Zastanawiał się gorączkowo, czy powinien rzucić się biegiem w głąb korytarza. Nie miał pojęcia, dokąd ani jak daleko prowadził ów korytarz, ale przynajmniej odwlekleby w ten sposób chwilę spotkania z tym, co czekało na niego za otwartymi drzwiami.

Zwolnił jeszcze bardziej, mrużąc obolałe oczy przed światłem wypływającym z pomieszczenia. Był coraz bliżej. Nie wiedział, co go czeka w środku – jakaś nowa wymyślna tortura? A może... może kat.

Zesztywniał nagle, ogarnięty panicznym strachem, gotów zrobić wszystko, byle tylko nie wejść w ten oślepiający blask.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powiedział policjant, a Chester zrozumiał, że nie ma innego wyjścia, jak tylko poddać się jego woli. Nie mógł liczyć na niespodziewany akt łaski ani interwencję niebios.

Powłóczył nogami tak niemrawo, że prawie się nie poruszał, aż w końcu Drugi Oficer stracił cierpliwość i pchnął go do przodu z ogromną siłą. Chester stracił równowagę i poleciał przed siebie,

prosto w strumień światła. Upadł na brzuch i przejechał jeszcze metr lub dwa po podłodze, nim wreszcie się zatrzymał, oszołomiony.

Światło otaczało go teraz ze wszystkich stron. Mrugał gwałtownie, nie mogąc przyzwyczać się do ostrego blasku. Usłyszał trzask zamykanych drzwi, a potem szelest przewracanych kartek. Zrozumiał od razu, że w pokoju ktoś jeszcze jest. Natychmiast wyobraził sobie, kto to może być – dwaj wysocy Styksowie pochyleni nad metalowym stolikiem, podobnie jak podczas przesłuchań z Ciemnym Światłem.

– Wstań – rozkazał piskliwy, nosowy głos. Chester wykonał polecenie i powoli podniósł wzrok na mówiącego. Widok, który ukazał się jego oczom, wprowadził go w osłupienie.

Miał przed sobą jednego Styksa, drobnego staruszka o przerzedzonych siwych włosach zaczesanych na tył głowy i twarzy pociętej taką ilością zmarszczek, że przypominała wyblakłą rodzinę. Starzec, który siedział pochylony nad wysokim biurkiem o ukośnym blacie, wyglądał jak nauczyciel z dawnych czasów.

Ten zaskakująco łagodny, rozświetlony białym blaskiem obrazek kompletnie rozbroił Chestera. Spodziewał się czegoś zupełnie innego. Powoli budziła się w nim nadzieja, mówił sobie, że być może wszystko potoczy się lepiej, niż przypuszczał... aż spojrzał w oczy starego Styksa.

Były to najzimniejsze, najciemniejsze oczy, jakie Chester widział w życiu. Niczym dwie bezdenne studnie przyciągały go ku sobie, wciągały w otchłań nienaturalną, mroczną mocą. Chester poczuł, jak przeszywa go zimny dreszcz, jakby temperatura w pomieszczeniu gwałtownie się obniżyła.

Stary Styks opuścił wzrok na biurko, a Chester zachwiał się lekko niczym uwolniony nagle z żelaznego uścisku. Wypuścił głośno powietrze, dopiero teraz uświadamiając sobie, że od dłuższej chwili wstrzymywał oddech. Wtedy Styks zaczął czytać jednostajnym tonem:

– Zostałeś uznany za winnego naruszenia przepisów ustawy 42, edykty 18, 24, 42...

Starzec wymieniał kolejne liczby, które nic Chesterowi nie mówiły, aż wreszcie zrobił krótką pauzę i obojętnym, rzeczowym tonem wypowiedział słowo „Wyrok”. W tym momencie Chester zaczął naprawdę uważnie słuchać.

– Więzień zostanie wydalony z tego miejsca i przewieziony pociągiem do Interioru, tam zaś Wygnany i oddany siłom natury. Niech więc tak będzie – zakończył Styks, składając ręce i zaciskając je mocno, jakby coś wykręcał. Potem powoli podniósł głowę znad dokumentów i dodał: – Niech Pan zlituje się nad twą duszą.

– Co... co to oznacza? – spytał Chester, niemal zataczając się pod lodowatym spojrzeniem Styksa i ciężarem wszystkiego, co przed chwilą usłyszał.

Nie zaglądając nawet do leżących przed nim papierów, Styks powtórzył cały wyrok i zamilkł ponownie. Chester zmagął się z pytaniami, które tłoczyły się w jego głowie; poruszał ustami, lecz nie wydawał żadnego dźwięku.

– Tak? – spytał Styks tonem sugerującym, że wiele już razy znajdował się w podobnej sytuacji i rozmowa ze stojącym przed nim więźniem ogromnie go nuży.

– Co... co to wszystko oznacza? – zdołał wreszcie wykrztusić Chester.

Styks wpatrywał się w niego przez kilka sekund, po czym z całkowitą obojętnością odpowiedział:

– Zostaniesz Wygnany. Wywieziony na dół, do Stacji Górników, i zostawiony samemu sobie.

– Zabierzecie mnie jeszcze głębiej? Styks skinął głową.

– Nie potrzebujemy w Kolonii takich jak ty. Próbowałeś uciec, a Kapituła tego nie toleruje. Nie jesteś godzien, by tutaj służyć. – Ponownie złożył ręce. – Wygnany.

Chester poczuł nagle ogromny ciężar milionów ton ziemi i skał zawieszonych nad jego głową. Miał wrażenie, że zsuwają się na niego, odbierają mu wszelką nadzieję i wolę życia. Zachwiał się i cofnął o krok.

– Ale ja n i c nie zrobiłem. Nie jestem niczemu winien! – krzyknął, wyciągając ręce w błagalnym geście. Czuł się tak, jakby grzebano go żywcem, nie mógł pogodzić się z myślą, że nigdy już nie zobaczy domu ani nieba, ani swojej rodziny... Nadzieja, którą podtrzymywał w sobie, odkąd został pojmany i zamknięty w ciemnej celi, uleciała z niego jak powietrze z przebitego balonu.

Był skończony.

Jego los w ogóle nie obchodził tego podłego starucha... Chester widział to w pozbawionej wyrazu twarzy Styksa i tych przerażających oczach – gadzich, nieludzkich ślepiach. Zrozumiał, że nie ma najmniejszego sensu błagać o litość, przekonywać. Ci ludzie, źli i bezduszni, bez powodu skazali go na straszliwy los. Jeszcze głębszy grób.

– Ale dlaczego? – spytał Chester, nie hamując już łez, które spływały strumieniami po jego policzkach.

– Bo takie jest prawo – odrzekł Styks. – Bo ja siedzę tutaj, a ty stoisz tam. – Wykrzywił usta w zimnym, pogardliwym uśmiechu.

– Ale... – zaczął Chester zawodzącym tonem.

– Oficerze, proszę zabrać go do celi – powiedział Styks, podnosząc dokumenty chudymi, artretycznymi palcami. Za plecami Chestera rozległo się skrzypienie otwieranych drzwi.

Rozdział 34

Will poleciał do przodu, uderzony pięścią w środek pleców. Odbił się od barierki i odwrócił powoli, stając przodem do napastnika.

– Speed? – zdumiał się, rozpoznawszy zagniewaną twarz szkolnego chuligana.

– Skąd ty się tu wzięłeś, Śnieżynko? Myślałem, że już po tobie. Ludzie mówią, że wykitowałeś.

Will nie odpowiedział, zamknięty w kokonie choroby i gorączki. Czuł się tak, jakby patrzył na świat przez grube, matowe szkło. Ledwie trzymał się na nogach, wstrząsany dreszczami, kiedy Speed przysunął wykrzywioną złością twarz do jego twarzy. Kątem oka dostrzegł Bloggsy’ego, jak zbliża się do oddalonego nieco Cala, idącego w dół stromej alejki.

Zmierzali właśnie do stacji metra i bójka była ostatnią rzeczą, której potrzebowali.

– No i gdzie jest teraz ten twój Grubasek? – szydził Speed, wypuszczając z ust kłęby gęstej pary.
– Bez ochroniarza już nie jesteś taki odważny, co, cwaniaczku?

– Hej, Speed, patrz tylko na tego, przecież wyglądają całkiem tak samo! – mówił Bloggsy, przenosząc wzrok z Cala na Willa i z powrotem. – Co masz w tej torbie, gnojku?

Will nalegał, żeby Cal wsadził ich brudne ubrania z Kolonii do starej torby podróżnej doktora Burrowsa.

– Czas na rewanż – zawołał Speed, wbijając jednocześnie pięść w brzuch Willa. Pozbawiony nagle oddechu Will opadł na kolana, a potem przewrócił się na ziemię i zwinął w kłębek, osłaniając rękami głowę.

– No i popatrz, jak łatwo poszło – triumfował Speed, kopiąc Willa po plecach.

Bloggsy wydawał z siebie dziwaczne, piskliwe okrzyki i wyginał ciało w pozach przypominających jego zdaniem układy z kung-fu. Szturchnął dwoma palcami okulary Cala i odciągnął rękę do tyłu, przygotowując się do zadania ciosu.

– Za chwilę spotkasz się ze Stwórcą – powiedział. Potem wydarzenia potoczyły się tak szybko, że Will nie zdążył ich nawet zarejestrować. Powietrze przeszła fioletowo-brązowa błyskawica, która wylądowała dokładnie na ramionach Bloggsy’ego. Chłopak przewrócił się na ziemię i poturlał w dół zbocza, z olbrzymim kotem wciąż uczepionym jego pleców. Kiedy zatrzymał się wreszcie przyciśnięty twarzą do ziemi, zaczął się więc i wymachiwać rękami, próbując bezskutecznie odeprzeć atak monstrum o przerażających perłowo białych kłach i ogromnych, ostrych jak brzytwa pazurach. Jednocześnie wydawał z siebie przeraźliwe żalosne piski i wołał o pomoc.

– Nie! – krzyknął słabo Will. – Wystarczy!

– Zostaw go, Bart! – wrzasnął Cal.

Kot, który wciąż siedział na plecach Bloggsy’ego, odwrócił głowę w stronę Cala, ten zaś wydał mu kolejną komendę.

– Bierz go! – rzucił krótko, wskazując na Speeda, który wciąż stał pochylony nad Willem i patrzył

z niedowierzaniem na rozgrywającą się scenę. Usłysawszy słowa Cala, Speed rozdziawił usta, a na jego twarzy pojawił się wyraz prawdziwego przerażenia. Bartleby zlokalizował obiekt kolejnego ataku, spoglądając na Speeda przez cudaczne różowe okulary, przykryte od góry równie cudaczną, lekko przekrzywioną czapką z nausznikami. Kot prychnął głośno, po czym ruszył biegiem w stronę zdjętego grozą chuligana.

– Jezu! Zabierz go! – wrzasnął przeraźliwie Speed, podrywając się do szaleńczego biegu. Kot dogonił go w mgnieniu oka i natychmiast zabrał się do dzieła. Krążył wokół chłopaka niczym trąba powietrzna, atakując z różnych stron, rozdzierając na strzępy spodnie i znacząc łydki krwawymi nacięciami. Przerażony chłopiec podskakiwał i zataczał się w spazmatycznym, komicznym tańcu, próbował uciekać, lecz jego stopy ślizgały się tylko po mokrym asfalcie.

– Przepraszam, Will, przepraszam! Zabierz go ode mnie! Proszę! – bełkotał Speed, bliski płaczu.

Will spojrział wymownie na Cala, a ten włożył do ust dwa palce i gwizdnął. Kot natychmiast przestał dręczyć Speeda, który rzucił się do panicznej ucieczki; ani razu nie obejrzał się za siebie, gdy pędził na złamanie karku w dół zbocza.

Will spojrział niżej, na drugiego napastnika. Bloggsy podniósł się już z ziemi i podobnie jak Speed uciekał teraz w panice, potykając się ze strachu o własne nogi.

– Chyba ich już więcej nie zobaczymy – roześmiał się Cal.

– Tak – przyznał słabo Will, podnosząc się z ziemi. Fale gorączki raz po raz wstrząsały jego ciałem, czuł się tak, jakby lada moment znów miał zemdleć. Najchętniej położyłby się z powrotem na mokrym asfalcie, rozpiął płaszcz i zasnął. Nie był już w stanie iść o własnych siłach, musiał opierać się na ramieniu Cala, by nie upaść. W końcu jednak udało im się jakoś zejść ze zbocza i dotrzeć do stacji metra.

– Więc nawet Górnoziemcy lubią czasem schodzić pod ziemię – stwierdził Cal, rozglądając się po starej, brudnej stacji, która prosiła się o generalny remont. Zachowanie chłopca natychmiast uległo widocznej zmianie; wydawało się, że po raz pierwszy od wyjścia na powierzchnię ziemi czuje się naprawdę swobodnie, zadowolony, że ma nad sobą strop tunelu, a nie otwarte niebo.

– Niezupełnie – odparł Will apatycznie, próbując wrzucić drobne do automatu z biletami, podczas gdy Bartleby ślinił się nad gumą do żucia przyklejoną do płytek na podłodze. Kiedy po raz kolejny drżące palce Willa nie trafiły monetą do wąskiej szczeliny, chłopiec opuścił rękę i oparł się o automat. – Nie dam rady – wysapał. Cal wziął pieniądze od brata i postępując zgodnie z jego wskazówkami, kupił bilety.

Ledwo zeszli na peron, nadszedł pociąg. W milczeniu wsiedli do wagonu i zajęli miejsca. Kiedy pociąg rozpędzał się w mrocznym tunelu, Cal obserwował kable przesuwające się za oknem i bawił się biletami. Bartleby przycupnął na zadzie na sąsiednim fotelu i lizał łapy. W wagonie było niewielu ludzi, Cal widział jednak, że ich trójka przyciąga zaciekawione spojrzenia współpasażerów.

Will siedział naprzeciwko Cala i Bartleby'ego, oparty o ścianę wagonu. Jego głowa, przytulona do chłodnej szyby, kołysała się w rytm stukotu kół. Chłopiec zasypiał między kolejnymi stacjami i budził się, kiedy pociąg hamował lub ruszał. W czasie jednego z takich przebudzeń spostrzegł, że po drugiej stronie wagonu usiadły dwie starsze panie. Do jego świadomości docierały strzępy ich rozmów i mieszały się z komunikatami nadawanymi na peronach, niczym głosy z jakiegoś beładnego

snu.

– Pani tylko spojrzysz na tego tu... wstyd... rozwalił się jak panisko... PROSZĘ ODSUNĄĆ SIĘ OD KRAWĘDZI... dziwne dzieciaki... UWAGA, POCIĄG RUSZA...

Will, zmuszając swoje powieki, by nie opadały, spojrział na dwie kobiety. Od razu zrozumiał, że to Bartleby jest głównym powodem ich zgorzienia. Jedna z nich, ta bardziej oburzona, miała pofarbowane na fioletowo włosy, a na jej czerwonym nosie spoczywały krzywo półprzeźroczyste okulary w białych oprawkach.

– Cii! Usłyszają panią – wyszeptała jej towarzyszka, spoglądając na Calę spod peruki, która dni świetności miała już dawno za sobą. Obie kobiety trzymały na kolanach identyczne torby na zakupy, obie też mocno zaciskały na nich dłonie, jakby była to jakaś broń przeciwko szubrawcom siedzącym naprzeciwko.

– Bzdura! Założę się, że nie znają ani słowa po angielsku. Pewnie przyjechali tu na jakiejś ciężarówce. Niech pani tylko spojrzysz na ich ubrania. A ten tutaj w ogóle nie wygląda mi na zbyt rozgarniętego. Pewnie jest naćpany albo pijany. – Will poczuł na sobie spojrzenie wilgotnych oczu.

– Moim zdaniem trzeba ich wszystkich odsyłać, skąd przyszli.

– Tak, tak. – Kobiety pokiwały zgodnie głowami, po czym zaczęły omawiać ze szczegółami fatalny stan zdrowia jakiejś wspólnej znajomej. Cal mierzył je wściekłym spojrzeniem, one zaś trajkotały bez przerwy, zbyt pochłonięte plotkami, by zwracać uwagę na cokolwiek innego. Pociąg wjechał na kolejną stację, a gdy starsze panie zbierały się do wyjścia, Cal odchylił nausznik czapki Bartleby'ego i wyszeptał mu coś do ucha. Kot stanął gwałtownie na tylnych łapach i zasyczał prosto w twarze kobiet z taką siłą, że nawet Willa wyrwało to na moment z maligny.

– Matko jedyna – krzyknęła kobieta z czerwonym nosem, wypuszczając z dłoni siatkę. Kiedy ją podnosiła, napierająca od tyłu towarzyszka ponagliła ją do wyjścia.

Obie kobiety wypadły w panice z pociągu, wydając z siebie pełne oburzenia okrzyki.

– Cholerne lumpy! – wrzeszczała z peronu kobieta z czerwonym nosem. – Wstrętne bydlaki! – dorzuciła jeszcze, nim drzwi wagonu zamknęły się z trzaskiem.

Pociąg ruszył, lecz Bartleby wciąż nie odrywał demonicznego spojrzenia od dwóch starszych kobiet, które nie posiadały się z oburzenia.

Will, ogromnie zaintrygowany, nachylił się w stronę brata.

– Co powiedziałaś Bartleby'emu? – spytał.

– Och, nic takiego – odrzekł Cal niewinnym tonem, po czym uśmiechnął się z dumą do kota i ponownie wbił wzrok w szybę.

Will obawiał się ostatniego etapu wędrówki, półkilometrowego marszu do bloków mieszkalnych. Szedł chwiejnym krokiem, jak lunatyk, i zatrzymywał się co jakiś czas, by nabrać sił.

Kiedy w końcu dotarli do właściwego wieżowca, okazało się, że winda nie działa. Will, zdesperowany, zajrzał do pustego, wysmarowanego graffiti szybu. Miał już dość wszystkiego. Westchnął ciężko i przygotowując się wewnątrz do długiej wspinaczki, ruszył w górę zapuszczoną, brudną klatką schodową. Przystawał na chwilę na każdym podeście, zbierając siły do

dalszej wędrówki, w końcu jednak wspierany przez Cala dotarł na właściwe piętro i przeszedł przez korytarz, lawirując między stertami worków ze śmieciami.

Cal nacisnął kilkakrotnie dzwonek, a nie doczekawszy się żadnej reakcji, zaczął walić pięścią w drzwi. Nagle drzwi się uchyliły i stanęła w nich ciotka Jean. Najwyraźniej dopiero co wstała z łóżka – wydawała się równie zmęczona i wygnieciona co podziurawiony przez mole płaszcz, w którym prawdopodobnie spała.

– O co chodzi? – spytała niewyraźnie, masując sobie kark i ziewając. – Niczego nie zamawiałam i niczego nie kupuję od domokrażców.

– Ciociu Jean, to ja... – oznajmił słabo Will, walcząc z ogarniającą go słabością. Miał wrażenie, że krew odpłynęła mu nagle z głowy, a obraz ciotki wyblakł, jakby ktoś zmył z niego wszystkie kolory.

– Will – powiedziała z roztargnieniem, tłumiąc kolejne ziewnięcie. – Will! – powtórzyła nagle głośniejszym głosem i uniosła gwałtownie głowę, przyglądając mu się z niedowierzaniem. – Myślałam, że zaginałeś. – Spojrzała na Cala i Bartleby'ego. – A to kto? – spytała.

– Ee... kuzyn – wysapał Will, opierając się o futrynę, gdy świat znów zawirował mu przed oczami. Czuł, jak pot spływa strużkami po jego czole. – ... z południa... z głębokiego południa...

– Kuzyn? Nie wiedziałam, że...

– Taty – dodał cicho Will.

Ciotka przyjrzała się Calowi i Bartleby'emu podejrzliwie, z lekką odrazą.

– Była tutaj twoja cholerna siostrzyczka. – Spojrzała za plecy Willa. – Jest z wami?

– Ona... – zaczął Will drżącym głosem.

– Ta mała ulicznica jest mi winna pieniądze. Szkoda, że nie widziałeś, co zrobiła z moim...

– Ona nie jest moją siostrą, jest małą... podłą... kłamliwą... jest... – Z tymi słowami Will osunął się nieprzytomny prosto pod nogi bardzo zdziwionej ciotki Jean.

Cal stał w oknie zaciemnionego pokoju. Spojrzał w dół, na ulice oświetlone bursztynowym blaskiem latarni i pocięte światłami samochodów. Potem, nieco wylęknięty, podniósł wzrok na upstrzone gwiazdami niebo i srebrną tarczę księżyca. Nie po raz pierwszy próbował objąć umysłem, ogarnąć tę ogromną przestrzeń, która otwierała się przed jego oczami. Przestrzeń, której do tej pory nie umiał sobie nawet wyobrazić. Chwycił się parapetu, walcząc z narastającym strachem. Podeszwy jego stóp skurczyły się mimowolnie, jakby broniły się przed lękiem wysokości.

Usłyszawszy cichy jęk, odszedł od okna i przysiadł na łóżku, obok drzemiącego w gorączce brata, okrytego tylko jednym prześcieradłem.

– Jak on się dzisiaj czuje? – spytała z niepokojem ciotka Jean, stając w drzwiach.

– Trochę lepiej. Gorączka chyba nieco spadła – odparł Cal, zanurzając flanelową myjkę w misce z zimną wodą i przykładając ją do czoła Willa.

– Może chcesz, żebym kogoś do niego sprowadziła? – pytała dalej ciotka Jean. – Ten stan utrzymuje się już od dłuższego czasu.

– Nie – odrzekł stanowczo Cal. – Powiedział, że tego nie chce.

– Nie dziwię się mu, wcale mu się nie dziwię. Ja też zawsze unikałam tych konowałów, jak już człowiek raz wpadnie w ich łapska, to nie wiadomo co... – Ciotka umilkła nagle, gdy Bartleby, który spał do tej pory w kącie zwinięty w kłębek, podniósł się powoli z legowiska, podszedł do miski i zaczął chleptać wodę.

– Wynos się stąd, głupi kocie! – parsknął Cal, odpychając zwierzaka.

– Chciał się tylko napić – powiedziała ciotka Jean, po czym dodała groteskowym, szczebiotliwym głosem, jakby zwracała się do dziecka: – Kiciusiu, chce ci się pić?

– Chwyliła zdumione zwierzę za kark i wyprowadziła je z pokoju. – Chodź, mamusia da ci smakołyka.

W oddali przesuwają się złowieszczo strumień lawy. Bijący od niej żar parzy odsłoniętą skórę Willa, tak że nie może już tego znieść. Na karmazynowym tle płynnego ognia maluje się ciemna sylwetka doktora Burrowsa, który gorączkowo wskazuje na coś wyrastającego z wielkiej płyty granitu. Krzyczy w uniesieniu, jak zawsze, gdy dokona jakiegoś odkrycia, jednak jego słowa giną w głośnych szumach i trzaskach przemieszanych z kakofonią ludzkich głosów, jakby ktoś celowo go zagłuszał, kręcąc chaotycznie skalą zepsutego radia.

Ta sama scena w zbliżeniu. Doktor Burrows ogląda przez szkło powiększające cienką łodygę zakończoną cebulkowatym zgrubieniem, wyrastającą na wysokość pół metra wprost z litej skały. Will widzi, że ojciec porusza ustami, słyszy jednak tylko strzępy zdań:

„... roślina... dosłownie trawi skałę... krzemowy... reaguje na bodź... spójrz.”

Jeszcze większe zbliżenie. Doktor Burrows wrywa szarą łodygę ze skały i trzyma ją między dwoma palcami. Will obserwuje z niepokojem, jak roślina wije się w dłoni jego ojca i wypuszcza dwa podobne do igieł liście, które owijają się mu wokół palców...

„... ścisną mnie jak imadło... charakterem bestyjka...” – mówi doktor Burrows, marszcząc brwi.

Słowa cichną, zastępuje je śmiech, ale wydaje się, że jego ojciec krzyczy, próbując strącić z dłoni upartą roślinę, której liście przebijają mu rękę, wsuwają się w ciało i suną w górę dłoni, przez nadgarstek, na przedramię, zostawiają na skórze siny ślad, który nabrzmiewa i pęka, zamieniając się w otwartą krwawiącą ranę, podczas gdy liście owijają się wokół ręki i splatają ze sobą w węzowym uścisku. Wrzynają się coraz głębiej w ciało doktora, niczym drucziane krajacze do sera. Will próbuje podbiec, pomóc ojcu, który nadaremnie usiłuje pozbyć się upiornego wroga, walczy z nim, jakby walczył z własną ręką...

– Nie, nie... Tato... Tato!

– Już dobrze, Will, już dobrze – rozległ się w oddali głos jego brata.

Strumień lawy zniknął. Na jej miejscu pojawił się abażur lampy. Will poczuł kojący, zimny dotyk myjki, którą Cal przykładał mu do czoła. Usiadł na łóżku.

– To był tata! Co się stało z tatą? – zawołał i rozejrzał się dokoła, nie bardzo wiedząc, gdzie właściwie jest.

– Wszystko w porządku – powtórzył Cal. – Coś ci się przyśniło.

Will opadł z powrotem na poduszki, uświadomiwszy sobie, że leży na łóżku w jakimś wąskim pokoju.

– Widziałem go. Wszystko było takie wyraźne, takie rzeczywiste... – mówił załamującym się głosem. Nie mógł powstrzymać łez, które napłynęły mu nagle do oczu. – To był tata. Miał kłopoty.

– To był tylko koszmar – odparł cicho Cal, odwracając oczy od brata, który szlochał teraz cicho.

– Jesteśmy u ciotki Jean, prawda? – powiedział po chwili Will, kiedy już wziął się w garść i rozejrzał dokoła.

– Tak, już prawie trzy dni.

– Co? – Po raz kolejny Will spróbował usiąść, nie miał jednak dość sił, opadł więc na poduszkę. – Jestem taki słaby...

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Twoja ciotka jest naprawdę wspaniała. Chyba polubiła też Barta.

Przez kilka następnych dni Cal pielęgnował Willa i pomagał mu wrócić do zdrowia, karmiąc go zupami lub gotowaną fasolą oraz pojąc ogromną ilością przesłodzonej herbaty. Wkład ciotki Jean w proces rekonwalescencji ograniczał się do siedzenia na łóżku Willa i nieustannego gładzenia o „starych dobrych czasach”, choć chłopiec był tak zmęczony, że zazwyczaj zasypiał, nim ciotka zdążyła zanudzić go na dobre.

Kiedy Will poczuł się już na tyle dobrze, że mógł stać o własnych siłach, sprawdzał wytrzymałość osłabionych mięśni nóg, przechadzając się po pokoju. Kiedy kuśtykał powoli z kąta w kąt, zauważył dwa przedmioty leżące za pudłem ze starymi czasopismami.

Pochylił się i podniósł je. Na podłogę posypały się odłamki potłuczonego szkła. Od razu rozpoznał dwie powyginane srebrne ramki – te same, które stały na szafce nocnej Rebeki. Patrząc na zdjęcie rodziców, a później swoje, opadł z powrotem na łóżko, dysząc ciężko. Był załamany. Czuł się tak, jakby ktoś wbił mu w plecy nóż i obracał nim powoli. Ale czego się po niej spodziewał? Rebeka nie była jego siostrą, nigdy. Will jeszcze przez długą chwilę leżał na łóżku, gapiąc się tępo w ścianę.

Jakiś czas później wstał i przeszedł powoli do kuchni. W zlewie leżały brudne naczynia, z przepełnionego kubła wysypywały się puste puszki i rozerwane opakowania po gotowych daniach. Widok ten był tak przytłaczający, że Will nie zwrócił nawet uwagi na stopione, brązowe kurki i osmalone płytki nad zlewem. Skrzywił się i wrócił do przedpokoju, gdzie usłyszał szorstki głos ciotki Jean. Ton tego głosu wydawał się dziwnie kojący, przywodził na myśl święta Bożego Narodzenia, kiedy ciotka przyjeżdżała do ich domu i godzinami gawędziła z mamą.

Will stał za drzwiami i nasłuchiwał. Słowa ciotki przeplatały się z zaciekłym stukotem drutów, na których dziergała jakieś ubranie.

– Cholerny doktor Burrows... jak tylko go zobaczyłam, powiedziałam siostrze, żeby tego nie robiła... naprawdę ... nie powinna się była wiązać z jakimś przemądrzałym nierobem... no bo, sam powiedz, co za pożytek z faceta, który grzebie w ziemi, kiedy nie ma czym zapłacić za rachunki?

Will wyjrzał zza rogu, kiedy ciotka Jean przestała na moment stukotać drutami i pociągnęła łyk ze szklaneczki. Kot wpatrywał się w kobietę z uwielbieniem, ta zaś odpowiadała mu czułym, niemal

kochającym uśmiechem. Will nigdy nie znał jej z tej strony. Wiedział, że powinien się odezwać, poinformować ich o swojej obecności, ale nie chciał przerywać sielanki.

– Tak się cieszę, że tu jesteś. Sam rozumiesz, kiedy odeszła moja mała Sophie... była psem, a wiem, że ty nie za bardzo je lubisz... ale przynajmniej była tu ze mną... czego nie można powiedzieć o żadnym z facetów, których poznałam.

Podniosła z kolan efekt swojej pracy – nieprawdopodobnie kolorowe spodnie o dziwnym kroju. Bartleby obwąchał je z zaciekawieniem.

– Prawie gotowe. Za chwilę będziesz mógł je przymierzyć, kochaniutki. – Pochyliła się do przodu i podrapała Bartleby’ego pod brodą. Kot podniósł głowę i zamknął oczy, a z jego gardła wydobyło się mruczenie przypominające warkot niewielkiego silnika.

Will odwrócił się, chcąc wrócić do sypialni. Gdy przystanął w przedpokoju i oparł się o ścianę, by chwilę odpocząć, za jego plecami rozległ się głuchy łomot. Tuż przy drzwiach wejściowych stał Cal, a z leżących przed nim dwóch toreb wysypały się zakupy. Usta chłopca owinięte były szalikiem, a oczy ukryte za okularami pani Burrows. Wyglądał jak Niewidzialny Człowiek.

– Nie zniosę tego dłużej – oświadczył, kucając, by zebrać porozrzucane zakupy. Z salonu wyszedł Bartleby, a za nim ciotka Jean ze zwisającym z ust papierosem. Kot ubrany był w nowe spodnie z jaskrawej czerwonej i niebieskiej włóczki, moherowy sweter w tych samych barwach, na głowie zaś miał wielobarwną kominiarkę, spod której komicznie sterczały jego uszy. Bartleby wyglądał jak jedyna istota, która ocalała z eksplozji sklepu z używaną odzieżą.

Cal objął spojrzeniem stojącego przed nim dziwoląga, zarejestrował porażające kolory, nie wygłosił, jednak żadnego komentarza. Wydawało się, że jest w stanie głębokiego przygnębienia.

– To miejsce śmierdzi nienawiścią; czuję ją wszędzie – pokręcił powoli głową.

– O tak, mój kochany – odrzekła cicho ciotka Jean.

– Zawsze tak było.

– Górnoziemie nie jest takie, jak oczekiwałem – mówił dalej Cal. Zamyślił się na chwilę. – A nie mogę teraz wrócić do domu... prawda?

Will wpatrywał się w milczeniu w brata, szukając słów, które mogłyby go pocieszyć, uciszyć niepokój, nie mógł jednak wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Ciotka Jean odchrząknęła, przerywając wreszcie niezręczną ciszę.

– To znaczy, że wszyscy sobie stąd pójdziecie, tak? Kiedy tak stała obok niego w swym starym, obszarpanym płaszczu, Will po raz pierwszy zauważył, jaka wydaje się krucha i bezbronna.

– Chyba tak – przyznał.

– W porządku – odparła głucho. Położyła dłoń na karku Bartleby’ego, pieszcząc kciukiem luźne fałdy jego skóry. – Wiecie, że jesteście tu mile widziani; wpadajcie, kiedy chcecie... – Odwróciła szybko głowę, gdy głos uwiązał jej w gardle. – I przyprowadźcie ze sobą kotka.

Powlokła się do kuchni, skąd po chwili dobiegły odgłosy tłumionego łkania i brzęk butelki uderzającej o krawędź szklanki.

Przez kilka następnych dni zajmowali się niemal wyłącznie planowaniem. Will wracał do zdrowia i nabierał sił, nie miał już kłopotów z oddychaniem, zniknął też ból w piersiach i gorączka. Kilkakrotnie wychodzili na zakupy do miasta: w sklepie z artykułami z demobilu zaopatrzyli się w maski przeciwgazowe, linę do wspinaczki i butelki na wodę; w lombardzie kupili stare lampy błyskowe, a w kiosku kilka dużych pudeł przecenionych fajerwerków, które pozostały po obchodzonej kilka dni wcześniej Dniu Gya Fawkesa. Will chciał mieć pewność, że będą przygotowani na każdą ewentualność, a wszystko, co wydzielало bardzo jasne światło, mogło się im przydać. Zrobili również zapasy żywności, wybierając niewiele ważące, lecz wysokoenergetyczne artykuły, by nie obciążać zbyt dużo bagażu. Will miał wyrzuty sumienia, że finansują to wszystko z pieniędzy ciotki, która i tak okazała im już wiele serca, jednak nie było innego wyjścia.

Wyruszyli po lunchu. Ubrawszy się w czyste już rzeczy z Kolonii, pożegnali się z ciotką Jean, która ze łzami w oczach wyściskała Bartleby'ego. Autobusem pojechali do centrum Londynu, gdzie zeszli nad rzekę.

Rozdział 35

Kiedy opuścili most Blackfriars Bridge i stanęli na kładce prowadzącej w dół, na brzeg, Cal wciąż przyciskał chustkę do twarzy i mamrotał coś o „cuchnących wyziewach”. W świetle dziennym wszystko wyglądało zupełnie inaczej i nawet przez moment Will zastanawiał się, czy trafili we właściwe miejsce. Patrząc na tętniące życiem miasto, trudno było uwierzyć, że gdzieś pod nimi istnieje porzucony i prymitywny Londyn, i że oni trzej właśnie zamierzają tam zejść.

Byli jednak we właściwym miejscu, a od wejścia do tego dziwnego, innego świata dzielił ich zaledwie krótki spacer. Stali przy bramce i patrzyli w dół, na brązowe wody rzeki.

– Wygląda na głęboką – zauważył Cal. – Dlaczego?

– A niech mnie! – jęknął Will, uderzając się otwartą dłonią w czoło. – Przyływ! Nie pomyślałem o przyływie. Będziemy musieli poczekać, aż się skończy.

– Ile to potrwa?

Will wzruszył ramionami i spojrzał na zegarek.

– Nie wiem. Może nawet kilka godzin.

Nie pozostało im nic innego, jak spacerować po uliczkach w okolicy muzeum Taty Modern i wracać od czasu do czasu nad rzekę, by sprawdzać poziom wody, a przy tym nie ściągać na siebie uwagi przechodniów. Mniej więcej dwie godziny później spod wody wychynęły pierwsze grudki żwiru.

Will uznał, że nie mogą już dłużej czekać.

– No dobrze, ruszamy! – oświadczył.

Byli widoczni jak na dłoni dla wszystkich, którzy wybrali się na popołudniowy spacer nad rzekę, ale mało kto zwracał uwagę na dwóch nastolatków z wielkimi plecakami i ich cudacznie ubranego zwierzaka. Dopiero gdy przeszli przez murek i stanęli na kamiennych stopniach, jakiś starszy mężczyzna w wełnianym kapeluszu i dobranym pod kolor szaliku zaczął krzyczeć: „Przeklęte dzieciaki!” i wygrażał im gniewnie pięścią. Dwoje czy troje przechodniów zatrzymało się, by zobaczyć, o co ten hałas, wszyscy jednak szybko się rozpięchli. Widząc, że nikt go nie wspiera, starzec uspokoił się nieco i odszedł, mrużąc coś pod nosem.

Kiedy już pokonali schody, popędzili co sił w nogach wzdłuż zalanego jeszcze częściowo brzegu, a znalazłszy się pod osłoną molo, zwolnili. Bez chwili zastanowienia Cal i Bartleby wdrapali się do wnętrza kanału odpływowego.

Will przystanął jeszcze na moment. Spojrzał tęsknie na szare niebo widoczne w szparach między deskami molo i odetchnął głęboko, delektując się ostatnimi haustami świeżego powietrza.

Teraz, gdy odzyskał siły, czuł się jak zupełnie inny człowiek – był przygotowany na wszystko, co miała przynieść przyszłość. Kroczył naprzód z pewnością siebie właściwą zaprawionym w bojach poszukiwaczom przygód, zupełnie jakby gorączka oczyściła go z wszelkich słabości i wątpliwości. Kiedy jednak zatrzymał wzrok na toczących się powoli wodach rzeki, ogarnęła go nagle głęboka

melancholia. Wiedział, że być może już nigdy więcej nie zobaczy tego miejsca. Oczywiście, nie musiał tam schodzić; gdyby tylko chciał, mógł zostać na powierzchni. Wiedział jednak, że to nie miałyby sensu. Zbyt wiele się zmieniło, zbyt wielu spraw nie dało się już odkręcić.

– No dalej – mruknął, otrząsając się z rozmyślań i wchodząc do tunelu, w którym czekał na niego zniecierpliwiony Cal. Will spojrzał tylko na brata i od razu domyślił się, jakie emocje nim targają. Na twarzy chłopca malował się niepokój, ale i coś jeszcze – ogromna ulga wywołana perspektywą rychłego powrotu do świata podziemi. W końcu to był jego dom.

Choć to okoliczności nie dały mu właściwie żadnego wyboru, Will uważał, że popełnił ogromny błąd, zabierając brata na powierzchnię. Cal potrzebował czasu, by przywyknąć do życia w Górnoziemiu – a czas był właśnie tym, czego najbardziej im brakowało. Czy mu się to podobało, czy nie, musiał ruszyć na ratunek Chesterowi i odszukać ojca, pamiętając przy tym, że od powodzenia tej misji zależy nie tylko jego los, lecz także nierozzerwalnie z nim powiązany los Cala.

Will odczuwał irytację, że przez chorobę stracił aż tyle dni – nie miał pojęcia, czy nie jest już za późno na ratunek dla Chestera. Czy został zesłany do Głębi, czy też spotkał go jakiś straszny koniec z rąk Styksów? Bez względu na to, co się wydarzyło, musiał poznać prawdę. Musiał wierzyć, że Chester wciąż żyje; musiał tam wrócić. Nie potrafiłby funkcjonować w takiej niepewności.

Wkrótce znaleźli pionowy szyb i Will, ociągając się, wszedł do znajdującej się pod nim sadzawki z lodowatą wodą. Cal stanął mu na ramionach, dzięki czemu sięgał wnętrza wyrobiska, po czym wspiał się powoli na górę, ciągnąc za sobą linę. Kiedy dotarł do celu, Will obwiązał liną Bartleby’ego, a Cal zaczął go wciągać. Okazało się to zupełnie zbędne, bowiem gdy tylko kot znalazł się w szybie, sam wspiał się na górę z zadziwiającą zręcznością. W końcu przyszła kolej Willa. Chłopiec wciągnął się po linie do mrocznego tunelu, a znalazłszy się na górze, podskakiwał przez chwilę w miejscu, by otrząsnąć się z wody i trochę rozgrzać.

Potem zsunęli się w dół pochyłego wyrobiska i wylądowali na półce znaczącej początek długiego zejścia, najpierw po zardzewiałych drabinach, a potem po niekończących się krętych schodach. Nim ruszyli w drogę, zdjęli z Bartleby’ego kolorowe ubrania i zostawili je na ziemi – nie mogli zabrać żadnego zbędnego bagażu. Will nie miał właściwie pojęcia, co robi, kiedy wrócą już do Kolonii, wiedział jednak, że musi być bardzo praktyczny... że musi być jak Tam.

Chłopcy włożyli maski przeciwigazowe, spojrzeli na siebie i skinęli głowami. Cal jako pierwszy ruszył w długą drogę w dół.

Początkowo wędrówka krętymi schodami była bardzo mozolna; musieli uważać, by nie poślizgnąć się na wilgotnych, porośniętych czarnymi glonami stopniach. Will stwierdził, że niewiele pamięta z podróży w górę, czemu winna była zapewne tajemnicza choroba, której nabawił się w drodze na powierzchnię.

Nim się obejrzel, stanęli w wejściu wykutym w ścianie jaskini Wiecznego Miasta.

– Co to, u diabła, ma być? – wykrzyknął Cal, gdy spojrzeli w dół. Rzeczywiście, widok był dość zaskakujący. Trzydzieści metrów niżej schody po prostu zniknęły im z oczu.

– To się nazywa naprawdę gęsta mgła – mruknął Will, spoglądając w dół przez okrągłe szkła maski, w których odbijała się blado-zielona poświata.

W dole, gdzie powinna rozciągać się panorama Wiecznego Miasta, widać było jedynie coś, co

przypominało lekko falującą powierzchnię olbrzymiego jeziora. Nieprzenikniona mgła okrywała szczelnie wszystkie budynki i skały, podświetlona od dołu niesamowitym blaskiem jak jakaś olbrzymia chmura radioaktywna. Trudno było sobie nawet wyobrazić, że pod tą szarą zasłoną kryje się ogromne miasto. Will odruchowo sięgnął do kieszeni po kompas.

– To nam trochę utrudni życie – zauważył, krzywiąc się pod maską.

– Dlaczego? – odparował Cal, uśmiechając się od ucha do ucha. – Przecież w takiej mgle nawet Styksowie nas nie zobaczą, prawda?

Will wcale nie wyglądał na ucieszonego.

– Owszem, ale my też ich nie zobaczymy.

Cal przytrzymał Bartleby'ego, podczas gdy Will zakładał na szyję zwierzaka obrozę i smycz ze sznurka. W takich warunkach nie mogli puścić go wolno.

– Trzymaj się lepiej mojego plecaka, żebyśmy się nie pogubili. I za nic w świecie nie wypuszczaj kota – przykazał Will bratu, kiedy powoli zaczęli zanurzać się we mgle, niczym nurkowie głębinowi schodzący pod wodę. Widzialność natychmiast ograniczyła się do najwyżej pół metra, tak że nie widzieli nawet czubków swoich butów. Przed każdym postawieniem stopy musieli najpierw badać grunt, by nie ześlizgnąć się z krawędzi stopnia.

Szczęśliwie dotarli na sam dół bez większych trudności, a gdy tylko stanęli na równym podłożu, powtórzyli rytuał smarowania glonami, nacierając ubrania śmierdzącym paskudztwem, tym razem chcąc ukryć górnoziemskie zapachy Londynu.

Idąc skrajem trzęsawiska, dotarli w końcu do muru okalającego miasto i ruszyli dalej wzdłuż niego. Jeśli chodzi o widoczność, to zmieniała się jedynie na gorsze, co sprawiło, że dotarcie do samego miasta zajęło im strasznie dużo czasu.

– Wejście – wyszeptał Will, zatrzymując się tak raptownie, że Cal omal na niego nie wpadł. Rzeczywiście, zza zasłony mgły prześwitywał zarys łukowatej bramy.

– Świetnie – mruknął Cal bez cienia entuzjazmu. Kiedy znaleźli się już na terenie miasta, musieli szukać drogi po omacku, praktycznie depcząc sobie po piętach, by nie pogubić się w tych ekstremalnych warunkach. Mgła miała niemal konsystencję ciała stałego, wydymała się i kołysała niczym prześcieradła na wietrze, czasami rozstępowała na moment, ukazując fragment jakiejś ściany albo wilgotnego bruku. Odgłos kroków, chlupot butów wpadających raz po raz w kałuże i ciężkie oddechy wydawały im się irytująco głośne. Mgła wyostrzała ich zmysły i przytępiała je zarazem, bawiła się nimi, sprawiając, że wszystko wydawało się niezwykle bliskie, a jednocześnie odległe.

Cal chwycił Willa za ramię i obaj chłopcy zastygli w bezruchu. Powoli docierały do nich inne, pochodzące z zewnątrz dźwięki. Najpierw niewyraźne i nieokreślone, przybierały z każdą chwilą na sile. Will mógłby przysiąc, że usłyszał jakiś szorstki szept, tak bliski, że omal nie podskoczył z przestachu. Odciągnął Cal'a kilka kroków do tyłu, przekonany, że stało się dokładnie to, czego się najbardziej obawiał; że wpadli prosto na Brygadę Styksów. Cal przysięgał jednak, że niczego nie słyszał, po chwili więc ruszyli niepewnie naprzód.

Nagle w oddali rozległ się mrozący krew w żyłach dźwięk – szczekanie psa. Tym razem nie mieli już żadnych wątpliwości. Cal zacisnął mocniej dłoń na smyczy Bartleby'ego, kiedy kot podniósł

głowę i postawił uszy. Choć żaden z chłopców nie odezwał się ani słowem, obaj myśleli to samo; musieli jak najszybciej wydostać się z miasta.

Posuwali się naprzód krok za krokiem, przejęci strachem. Will zatrzymywał się od czasu do czasu i sprawdzał ich pozycję na mapie Tama, nieustannie też spoglądał na kompas, którego nie wypuszczał z drżącej dłoni. Widzialność była tak słaba, że właściwie miał tylko bardzo ogólne pojęcie o tym, gdzie się znajdują. Równie dobrze mogli chodzić w kółko. Wydawało się, że nie robią żadnych postępów, a Will nie wiedział już, co począć, ze zdenerwowania. Świetny z niego przywódca wyprawy, nie ma co!

W końcu zatrzymali się i przycupnęli pod jakimś rozpadającym się murem. Zniżając głosy do szeptu, zastanawiali się wspólnie, co robić dalej.

– Jak będziemy biegli, to nawet jeśli trafimy na patrol, zaraz zgubimy ich w tej mgle – mówił Cal, zerkając nerwowo na boki. – Musimy tylko pędzić przed siebie.

– Tak, jasne – parsknął Will. – Naprawdę myślisz, że możemy uciec tym psom? Chciałbym to zobaczyć.

W odpowiedzi Cal tylko odchrząknął gniewnie. Will mówił dalej:

– Posłuchaj, nie mamy pojęcia, gdzie jesteśmy, a jeśli pobiegniemy na oślep, trafimy pewnie w ślepą uliczkę albo coś takiego...

– Ale kiedy wejdziemy już do Labiryntu, nigdy nas nie złapią – upierał się Cal.

– Dobrze, ale najpierw musimy się tam dostać, a to jeszcze cholernie daleko stąd. – Will nie mógł uwierzyć, że jego brat ma tak absurdalne pomysły. Potem uzmysłowił sobie, że kilka miesięcy temu, to on mógłby proponować szalony bieg przez ulice i aleje miasta. W ciągu tych kilku miesięcy niepostrzeżenie się zmienił. Teraz był głosem rozsądku, Cal zaś impulsywnym, upartym młodzieńcem, pełnym szalonych pomysłów i gotowym podjąć największe nawet ryzyko.

Szeptana dyskusja robiła się coraz bardziej zażarta, aż wreszcie, po długich namowach, Cal ustąpił. Zgodnie z sugestią Willa mieli przesuwać się ostrożnie na drugą stronę miasta, starając się jak najciszej stawiać kroki i uciekać we mgłę, gdyby ktokolwiek pojawił się na ich drodze.

Kiedy przechodzili przez hałdy gruzu, Bartleby bez ustanku odwracał głowę, raz w jedną, raz w drugą stronę, szaleńczo węsząc w powietrzu i na ziemi, aż nagle się zatrzymał. Choć Cal z całej siły ciągnął za smycz, kot ani drgnął – przypadł do ziemi, jakby na coś polował, a jego chudy ogon wyprostował się jak struna. Uszy zwierzęcia obracały się na wszystkie strony niczym dwa radary.

– Gdzie oni są? – szeptał Cal gorączkowo. Will nie odpowiedział. Sięgnął do bocznej kieszeni plecaka brata i wyjął dwa duże fajerwerki, potem z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął plastikową jednorazową zapalniczkę ciotki Jean i trzymał ją w dłoni, w każdej chwili gotów do działania.

– Daj spokój, Bart – szeptał Cal do ucha kota, przyklękawszy u jego boku. – Nie ma się czego bać.

Nieliczne kępki sierści na grzbiecie Bartleby'ego jeżyły się i falowały. Cal zdołał obrócić kota i pociągnąć go za sobą, po czym obaj chłopcy oddalili się w przeciwnym kierunku, stąpając na palcach, jakby chodzili po skorupkach jajek. Will szedł na końcu, trzymając w dłoni gotowe do

odpalenia fajerwerki.

Szli powoli wzdłuż skracającej łagodnie ściany. Cal przesuwiał wolną ręką po szorstkich kamieniach, jakby odczytywał długi tekst zapisany brajlem. Will szedł tyłem, bacząc, by nikt nie zaskoczył ich od tej strony. Po jakimś czasie pomyślał, że skoro i tak nic nie widzi w gęstej jak mleko mgłę, dalsza obserwacja nie ma sensu, obrócił się więc w miejscu i wpadł prosto na granitowy cokół. Odskoczył do tyłu wystraszony, gdy nagle z rzednącej mgły wyłoniła się twarz ogromnej marmurowej głowy o złych, wyłupiastych oczach. Śmiejąc się z siebie, Will obszedł posąg i dołączył do brata, który czekał na niego zaledwie metr dalej.

Przeszli około dwudziestu kroków, kiedy nagle mgła rozstała się, odsłaniając spory odcinek brukowanej drogi. Will przetarł zaparowane szkła maski i powiódł spojrzeniem za cofającą się mgłą. Zza siwej zasłony wysuwały się powoli kolejne fragmenty ulicy i fasady najbliższych budynków. Obaj chłopcy odetchnęli z ulgą, szczęśliwi, że wreszcie widzą cokolwiek poza nieprzeniknioną ścianą bieli i że mogą się normalnie poruszać.

Nagle krew zastygła im w żyłach.

Stali niecałe dziesięć metrów dalej, aż nazbyt widoczni i realni. Patrol złożony z ośmiu Styksów blokował całą ulicę. Tkwili w bezruchu, niczym drapieżniki szykujące się do ataku, wpatrzeni ciemnymi szklami okularów w osłupiałych ze strachu i zdumienia chłopców.

Byli niczym zjawy z niewyśnionego jeszcze koszmaru, odziani w długie szarozielone płaszcze, dziwne mycki i maski tlenowe, z których wydobywały się złowieszcze, chrapliwe oddechy. Jeden z nich trzymał na skórzanej smyczy ogromnego psa. Zwierzę rwało się do przodu, napinając grubą smycz jak strunę. Z jego potwornej paszczy zwisał długi różowy język. Pies wciągnął powietrze w nozdrza i natychmiast odwrócił łeb w stronę chłopców. Jego czarne paciorkowate ślepia namierzyły ich w ułamku sekundy. Potwór wydał z siebie głębokie, gardłowe warknięcie i odciągnął wargi do tyłu, odsłaniając olbrzymie żółte zębiska ociekające gęstą śliną. Smycz opadła luźno, kiedy przysiadł na zadzie, szykując się do skoku.

Jednak z wyjątkiem psa nikt nawet nie drgnął. Obie grupy trwały w bezruchu i wpatrywały się w siebie, zupełnie jakby czas na moment stanął w miejscu.

Coś przeskoczyło w głowie Willa. Krzyknął i obrócił Cala, wrywając go z osłupienia. Obaj poderwali się do biegu, pędzili co sił w nogach z powrotem w gęstą mgłę. Biegli i biegli, przebierając nogami w szalonym tempie, nurkując na oślep w otaczające ich mleko. Za plecami słyszeli wściekłe ujadanie psa i krzyki Styksów.

Żaden z chłopców nie miał zielonego pojęcia, dokąd właściwie zmierzają. Ogarnięci ślepą paniką nie mieli czasu na myślenie. Wiedzieli tylko tyle, że nie wolno im się zatrzymać.

Wreszcie Will odzyskał przytomność umysłu. Krzyknął do Cala, by biegł dalej, sam zaś zwolnił, szykując lont przy wielkim ogniu rzymskim. Nie całkiem pewien, czy w końcu udało mu się podpalić nasączony saletrą papier, oparł fajerwerk o jakiś kamień, kierując go w stronę pościgu.

Przebiegł kilka metrów i ponownie przystanął. Pstryknął zapalniczką, lecz tym razem płomień się nie pojawił. Klnąc cicho, spróbował ponownie, i jeszcze raz. Nic, tylko iskry. Potrząsnął zapalniczką, podobnie jak robili to koledzy Speeda, gdy zapalali papierosy na szkolnym podwórku. Wziął głęboki oddech i jeszcze raz przekręcił maleńkie kółeczko. Udało się! Płomyk był mały,

wystarczył jednak, by podpalić lont następnego fajerwerku, zestawu bomb powietrznych. Ujadanie psa i głosy Styksów były jednak coraz bliżej. Spanikował i po prostu rzucił fajerwerk na ziemię.

– Will! Will! – rozległo się z przodu wołanie Cala. Will natychmiast ruszył w stronę brata, wściekły, że ten robi tyle hałasu, choć wiedział, że inaczej nigdy by go nie znalazł. Pędził co sił w nogach, wreszcie dogonił Cala i omal go nie przewrócił. Kiedy obaj już odzyskali równowagę i poderwali się do szalonego sprintu, wybuchł pierwszy fajerwerk. Rozleciał się z piskiem na wszystkie strony, przecinając mgłę smugami jaskrawych kolorów, i zakończył swój krótki żywot dwoma ogłuszającymi trzaskami.

– Nie zatrzymuj się – syknął Will do Cala, kiedy ten wbiegł prosto na ścianę i zatoczył się oszołomiony. – Chodź. Tędy! – zawołał, ciągnąc brata za rękę i nie pozwalając mu użalać się nad sobą.

Fajerwerki pozostawione przez Willa eksplodowały jeden po drugim, wyrzucając w górę ogniste kule, które opadały szerokim łukiem na miasto i na moment wydobywały z mgły sylwetki budynków, tworząc scenerię rodem jak z teatru cieni. Każdy z tych świetlistych wystrzałów kończył się oślepiającym rozbłyskiem i potężnym hukem, którego echo jeszcze przez długi czas przetaczało się od ściany do ściany jaskini niczym grzmot ustępującej burzy.

Co jakiś czas Will przystawał i zapalał kolejne fajerwerki – rzymskie ognie, bomby powietrzne i petardy – które ustawiał na kamieniach albo rzucał na ziemię, licząc, że uda mu się w ten sposób zmylić pogoń. Styksowie, jeśli nadal szli za nimi, z pewnością odczuwali skutki tego zmasowanego ataku na najważniejsze ludzkie zmysły. Will miał też nadzieję, że otumaniony zapachem dymu pies zgubi trop.

Kiedy ucichły już echa eksplozji ostatniego fajerwerku, Will zastanawiał się przez moment, czy zyskali dość czasu, by dotrzeć do Labiryntu. Biegli nieco wolniej, by odsapnąć, a po chwili zatrzymali się, nasłuchując odgłosów pogoni. Dookoła panowała jednak głucha cisza. Wyglądało na to, że udało im się zgubić pościg. Will usiadł na szerokich stopniach przed budynkiem, który niegdyś był zapewne świątynią, i wyjął mapę oraz kompas. W tym czasie Cal trzymał straż.

– Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy – przyznał Will, składając mapę.

– Rzeczywiście, możemy być wszędzie – zgodził się z nim Cal.

Will wstał i rozejrzał się dokoła.

– W porządku, w takim razie pójdziemy po prostu dalej w tym samym kierunku.

Cal skinął głową.

– No dobrze, a jeśli trafimy tam, skąd przyszliśmy?

– Nieważne. Po prostu musimy iść – odparł Will, ruszając w drogę.

I znów otoczyła ich przytłaczająca cisza, we mgłę pojawiały się i znikwały tajemnicze kształty i cienie, jakby budowle niewidzialnego miasta zbliżały się do nich i odchodziły, zaspokoiwszy ciekawość. Szli powoli przez kolejne spowite mgłą i niczym nieróżniące się od siebie ulice, aż Cal zatrzymał się nagle.

– Wydaje mi się, że tam jest jakiś plac albo polana – wyszeptał.

– To już coś – odparł Will.

Bartleby znów zeszywniał i przypadł do ziemi, prychnąwszy głośno, kiedy mgła przed nimi zaczęła się powoli rozstępować. Chłopcy zamarli w bezruchu, starając się przebić wzrokiem białą zasłonę.

Nagle, jakby ktoś podniósł kurtynę, z odległego o kilka metrów obłoku mgły wynurzyła się ciemna, złowroga sylwetka przyczajonego zwierzęcia. Obaj usłyszeli niskie, gardłowe warczenie.

– O Jezu, pies! – wykrztusił Cal.

Serca zamarły im w piersiach. Patrzyli w niemym przerażeniu, jak pies podnosi się z ziemi i rusza do biegu, przyspieszając w nieprawdopodobnym tempie. Nie mogli nic zrobić. Ucieczka nie miała sensu; zwierzę było zbyt blisko. Pies pędził w ich stronę niczym piekielna maszyna parowa, wyrzucając z pyska gęste, białe obłoki.

Will nie miał czasu na myślenie. Gdy tylko zobaczył, że pies podrywa się do skoku, zrzucił plecak i odepchnął Cala na bok.

Zwierzę poszybowało w powietrzu i uderzyło ciężko w pierś Willa. Chłopiec runął do tyłu, boleśnie uderzając głową w porośniętą glonami ziemię. Na wpół ogłuszony sięgnął do góry i obiema rękami chwycił potwora za gardło. Wymacał dłońmi grubą obrozę i ścisnął ją, próbując odciągnąć bestię od swojej twarzy.

Zwierzę było jednak zbyt silne. Potężne szczęki dopadły maskę Willa i zamknęły się na niej z przerażającą siłą. Chłopiec słyszał pisk gumy rozgniatanej wielkimi kłami, a potem trzask pękającego okularu. W jego nozdrza wdarł się odrażający smród gnijącego mięsa, wydobywający się z psiego pyska. Potwór ciągnął i tarosił maskę, rozciągając podtrzymujące ją paski do granic wytrzymałości.

Modląc się, by maska pozostała na swoim miejscu, Will próbował odwrócić głowę. Zęby zwierzęcia ześlizgnęły się z gładkiej gumy, lecz niczego to nie zmieniło; pies odchylił się tylko lekko do tyłu i zaatakował ponownie. Will, wciąż uczipiony grubej obroży, musiał zebrać wszystkie siły, by najeżony zębami pysk nie zbliżał się do jego twarzy. Czuł, że jeszcze chwila, a zmęczone ręce odmówią mu posłuszeństwa. Obroża coraz głębiej wbijała się w dłonie – bestia była nieprawdopodobnie ciężka. Will odsuwał głowę do tyłu, uchylając się przed wielkimi kłami, które raz po raz zamykały się z trzaskiem tuż przed jego oczami.

Potem pies wygiął się, skręcając swe wielkie cielsko.

Jedna dłoń Willa zsunęła się z obroży, a nieskrępowane już niczym zwierzę natychmiast wyszukało satysfakcjonujący cel. Chwyciło Willa za przedramię i zacisnęło mocno szczęki. Will krzyknął z bólu, odruchowo otwierając drugą dłoń i wypuszczając z niej obrozę.

Teraz już nic nie mogło powstrzymać bestii.

Pies natychmiast przygniół Willa do ziemi i wbił kły w jego ramię. Chłopiec słyszał, jak pośród warknięć i posapywań rozlega się trzask rozrywanego materiału. Siekacze potwora, wielkie i ostre niczym dwa rzędy sztyletów, zatopiły się głębiej w jego ciele. Chłopiec zawył przeraźliwie, gdy pies potrząsnął łbem, warcząc przy tym głośno. Will był bezradny, wisiał w zębach bestii niczym targana na wszystkie strony szmaciana lalka. Wolną ręką bił psa po boku i głowie, ale bez skutku.

Nagle zwierz wypuścił z paszczy jego ramię i pochylił się nad twarzą chłopca, wciąż przygniatając go do ziemi ogromnym ciężarem ciała. Will ujrzał przed sobą szalone oczy bestii i jej

potężne szczęki ociekające gęstą śliną, która spływała na szkła maski. Will wiedział, że Cal robił wszystko, co w jego mocy – dopadał do psa, by go kopnąć lub uderzyć, a potem błyskawicznie odskakiwał do tyłu. Za każdym razem, kiedy to robił, pies tylko odwracał głowę i warczał na niego, jakby wiedział, że Cal nie stanowi dla niego żadnego zagrożenia. Jego mały, prymitywny umysł koncentrował się tylko na jednym, na zdobyczy, która była teraz zdana na jego łaskę i niełaskę.

Will rozpaczliwie próbował przetoczyć się na bok, lecz bestia trzymała go mocno przy ziemi. Wiedział, że nie ma najmniejszych szans w starciu z tym piekielnym monstrem, zbudowanym, wydawałoby się, wyłącznie z wielkich płatów mięśni, twardych i nieporuszonych jak skała.

– Biegnij! – krzyknął do Cala. – Uciekaj!

Nagle, nie wiadomo skąd, w stronę psa wystrzeliła szara błyskawica mięśni i pazurów.

Wydawało się, że Bartleby zawisł na moment w powietrzu, wyginając grzbiet w łuk i wyciągając ostre jak brzytwa pazury w kierunku psiej głowy. W następnej sekundzie kot opadł na swoją ofiarę i zaczęła się prawdziwa jatka. Chłopcy usłyszeli nieprzyjemny, charakterystyczny dźwięk towarzyszący cięciu mięsa, gdy zęby Bartleby’ego znalazły swój pierwszy cel. Ciemna fontanna krwi tryskała na Willa z otwartej rany, w której miejscu jeszcze przed momentem znajdowało się ucho bestii. Zwierzę zaskowyczało przeciągle i natychmiast zeskoczyło z Willa, wierzgając niczym koń. Bartleby wciąż trzymał się głowy i karku psa, gryząc go gdzie popadnie i rozszarpując jego grzbiet pazurami tylnych łap.

– Wstawaj! Wstawaj! – krzyczał Cal, jedną ręką pomagając Willowi podnieść się z ziemi, a drugą sięgając po jego plecak.

Chłopcy wycofali się na bezpieczną odległość i przystanęli, by obserwować walkę. Nie mogli ruszyć się z miejsca, przerażeni i zafascynowani zarazem tym zaciekłym pojedynkiem psa i kota. Zwierzęta wiły się w śmiertelnym uścisku, ich sylwetki zlewały się ze sobą, aż wreszcie zamieniły się w jeden wielki wir szarości i czerwieni, w którym pobłyskiwały raz po raz białe zęby i pazury.

– Nie możemy tutaj zostać – krzyknął Will. Słyszał już głosy patrolu, który zbliżał się szybko do miejsca walki.

– Bart, zostaw! Chodź!

– Styksowie. – Will potrząsnął bratem. – Musimy iść! Cal, ociągając się, ruszył przed siebie. Co chwila odwracał się, by sprawdzić, czy kot nie wynurza się z mgły. Zaslona bieli pozostawała jednak niezmacona, a z dala wciąż dobiegały głośnie syki, skowyt i wrzaski. Wkrótce krzyki i odgłosy kroków rozlegały się wszędzie dookoła. Chłopcy biegli przed siebie na oślep. Cal dyszał ciężko, obciążony dwoma plecakami, Will zaś wciąż drżał na całym ciele, nie mogąc otrząsnąć się z szoku. Tępy ból przeszywał jego rękę i ramię, krew ciekła strumieniami, spływała na przedramię i dłoń i skapywała z koniuszków palców.

Zasapani chłopcy szybko uzgodnili kierunek ucieczki, modląc się, by wybrana przez nich droga wiodła poza mury miasta, a nie prosto w ramiona Styksów. Jeśli znaleźliby się na bagnistych obrzeżach jaskini, szliby wzdłuż jej ścian i wcześniej czy później znaleźliby wejście do Labiryntu. W najgorszym wypadku, gdyby przegapili to wejście, doszliby w końcu do kamiennych schodów i wrócili do Górnoziemia.

Sądząc po odgłosach dobiegających z mgły, patrol już ich doganiał. Chłopcy biegli co sił w

nogach, nagle jednak wpadli prosto na mur. Czyżby znaleźli się w ślepej uliczce? Porażeni tą samą myślą, przesuwali się gorączkowo wzdłuż ściany, aż znaleźli łukowate przejście, którego krawędzie były pokruszone, a na szczycie brakowało głównego elementu.

– Bogu dzięki – wyszeptał Will, zerkając z ulgą na Cala. – Niewiele brakowało.

Cal skinął tylko głową, dysząc ciężko. Chłopcy obejrzel się jeszcze za siebie i przeszli pod spękanym łukiem.

Nie zdążyli nawet krzyknąć, gdy potężne dłonie chwyciły ich w pól i poderwały nad ziemię.

Rozdział 36

Will zamachnął się szeroko zdrową ręką, lecz jego pięść ześlizgnęła się tylko po płóciennym kapturze. Mężczyzna zaklął szpetnie, gdy Will zamierzył się do kolejnego ciosu, jednak tym razem jego dłoń została przechwycona i uwięziona w żelaznym uścisku. Napastnik bez większego wysiłku pchnął Willa do tyłu i przycisnął do ściany.

– Dość tego! – syknął. – Cii!

Cal natychmiast rozpoznał głos mężczyzny i zaczął wpychać się między niego i kompletnie zaskoczonego Willa. Co ten jego brat wyprawiał? Chłopiec bez większego przekonania próbował zadać jeszcze jeden cios, ale nieznajomy trzymał go mocno.

– Wuj Tam! – krzyknął Cal radośnie.

– Ciszej – zganił go Tam.

– Tam? – powtórzył Will, ogarnięty poczuciem ogromnej ulgi i wstydu zarazem.

– Ale... skąd... skąd wiedziałeś, że będziemy... ?-jąkał się Cal.

– Obserwowaliśmy Wieczne Miasto, odkąd tylko uciekliście z Kolonii – odparł krótko Tam.

– No tak, ale skąd wiedzieliście, że to my? – pytał dalej Cal.

– Szliśmy po prostu za światłem i hałasem. Kto inny używałby tych idiotycznych fajerwerków? Pewnie słyszeli je nawet w Górnoziemiu, nie mówiąc już o Kolonii.

– To był pomysł Willa – wyjaśnił Cal. – Może nie do końca się sprawdził, ale...

– No właśnie – pokiwał głową Tam, spoglądając z z troskaniem na Willa, który przytrzymywał się ściany. Jego maska była poznaczona śladami wielkich kłów, jeden okular pęknięty i bezużyteczny. – Dobrze się czujesz, Will?

– Chyba tak – wymamrotał chłopiec, trzymając się za ociekającą krwią rękę. W rzeczywistości czuł się nieco zamroczony i osłabiony, nie wiedział jednak, czy przyczyną były obrażenia, czy też poczucie ogromnej ulgi.

– Byłem pewien, że nie usiedzisz na miejscu i wcześniej czy później wrócisz po Chestera.

– Co się z nim stało? Nic mu nie jest? – pytał Will, ozywając się nieco na dźwięk imienia przyjaciela.

– Żyje, przynajmniej na razie. Opowiem wam o tym później, ale teraz lepiej zabierajmy się stąd. Imago?

Z oparów mgły wyłoniła się nagle potężna sylwetka Imaga. Jego workowata maska okręcała się wte i wewte niczym sflaczały balon targany wiatrem, kiedy rozglądał się uważnie na wszystkie strony. Podniósł plecak Willa, zarzucił go na ramię z taką łatwością, jakby w ogóle nie czuł jego ciężaru, i natychmiast ruszył w drogę. Chłopcy z najwyższym trudem dotrzymywali mu kroku. Ucieczka zamieniła się w wykańczającą nerwowo zabawę w ojca Wirgiliusza, którym był w tym

wypadku Imago prowadzący ich przez skrywającą liczne przeszkody mgłę.

Tam siedł na końcu pochodu. Chłopcy tak ucieszyli się ze spotkania z wujem, że chwilowo zapomnieli o kłopotach. Znow czuli się bezpiecznie.

Imago trzymał w dłoni świetlistą kulę, odsłaniając tylko tyle światła, ile potrzebowali, by poruszać się w trudnym terenie. Przebiegli truchtem przez cały ciąg zalanych wodą podwórek, a potem, zostawiwszy z tyłu mgłę, weszli do okrągłego budynku. W oszłamiającym tempie pokonywali korytarze udekorowane posągami i malowidłami ściennymi. Zwolnili nieco, przebiegając przez komnaty i sale o podłogach pokrytych spękany marmurem, na którym zalegała warstwa śliskiego błota, a potem pognali w górę schodów z czarnego granitu. Po długiej wspinaczce znow wyszli na otwartą przestrzeń. Kiedy pokonywali popękane kamienne kładki, zawieszane na ogromnej wysokości i w wielu miejscach pozbawione balustrad, Will spoglądał od czasu do czasu w dół, na dachy miasta wyłaniające się z falującej leniwie mgły. Jednak ani na moment nie zwalniał tempa, szczególnie gdy przechodzili po wyjątkowo wąskich pomostach. Bał się, że jeśli zawaha się choćby na moment, runie w ukrytą w dole przepaść. Szedł wciąż naprzód, bezgranicznie ufając Imagowi, który bez zastanowienia wybierał kolejne przejścia, korytarze i pomosty.

Wreszcie, gdy zbiegli z długich, krętych schodów, znaleźli się w wielkiej sali wypełnionej odgłosami bulgoczącej wody. Imago zatrzymał się nagle i przekrzywił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał.

– Gdzie jest Bartleby? – wyszeptał Tam do Cala, kiedy czekali na decyzję Imago.

– Uratował nas przed psem – odparł Cal żałośnie i zwiesił głowę. – Nie wrócił do nas. Pewnie już nie żyje.

Tam objął Cala ramieniem i uściśnął go.

– Był księciem wśród zwierząt – powiedział. Uśmiechnął się pocieszająco i poklepał chłopca po plecach, po czym podszedł do Imago, by odbyć z nim krótką, szeptaną naradę.

– Myślisz, że powinniśmy chwilę odczekać?

– Nie, lepiej od razu iść do wyjścia – odparł Imago spokojnym tonem. – Styksowie wiedzą, że chłopcy wciąż tutaj są, za chwilę w całym mieście będzie się roiło od patroli.

– W takim razie idziemy – zgodził się Tam. Wszyscy czterej opuścili komnatę i szli przez jakiś czas wzdłuż kolumnady, aż Imago przeskoczył przez niski murek i ześlizgnął się po stromym zboczu do głębokiego rowu. Chłopcy podążyli jego śladem, zanurzając się w głębokiej po uda stojącej wodzie, wypełnionej lepкими, czarnymi pnączami, które czepiały się ich nóg i utrudniały ruchy. Brnęli mozolnie przez wodę i zielsko, zostawiając za sobą kilwater z pęcherzyków powietrza, które podnosiły się z dna i zbierały na powierzchni. Choć mieli na twarzach maski, ohydny smród gnijących roślin zatykał im gardła. Po jakimś czasie rów zamienił się w podziemny kanał. Zanurzyli się w ciemnościach, wsłuchani we własne oddechy i chłupot wody, który odbijał się echem od ścian tunelu. Po chwili, która zdawała im się wiecznością, wyszli ponownie na otwartą przestrzeń. Imago nakazał gestem, by się zatrzymali, a potem wygramolił się na brzeg kanału i zniknął we mgle.

– To trochę ryzykowne – ostrzegł ich szeptem Tam. – Wchodzimy na otwartą przestrzeń. Miejcie się na baczności i trzymajcie blisko mnie.

Wkrótce Imago powrócił i przywołał ich do siebie. Wyszli z wody i przeszli przez szeroki pas miękkiego, bagnistego terenu. Następnie wspięli się na strome zbocze, prowadzące na niewielki płaskowyż. Will omal nie podskoczył z radości, kiedy spojrzał przed siebie i zobaczył otwory w ścianie jaskini. Wiedział, że dotarli wreszcie do Labiryntu. Udało im się.

– Macaulay! – rozległ się ostry, piskliwy głos. Wszyscy stanęli jak wryci i odwrócili się za siebie.

Tutaj, na wysokości, mgła rozrzedzała się, więc od razu zobaczyli samotną ciemną sylwetkę. To był Styks. Stał nieruchomo, wysoki i arogancki, z rękami skrzyżowanymi na wąskich piersiach.

– Proszę, proszę.... To zabawne, że szczury zawsze chodzą tymi samymi ścieżkami... – krzyknął.

– Moskit – odpowiedział Tam chłodno, pchając Cala i Willa w stronę Imaga.

– ... zostawiając wszędzie swoje brudne i śmierdzące ślady. Wiedziałem, że któregoś dnia cię dopadnę. To była tylko kwestia czasu. – Moskit opuścił ręce, a potem strzepnął je, jakby chciał rozprostować wymięte rękawy. Will zamarł na moment z trwogi, ujrzawszy nagle w dłoniach Styksa dwa lśniące ostrza. Oba miały około piętnastu centymetrów długości i były lekko zakrzywione; wyglądały jak małe kosy.

– Zbyt długo już byłeś mi solą w oku! – wrzasnął Moskit.

Will zerknął na Tama i stwierdził ze zdumieniem, że jego wuj jest już uzbrojony w ostrą jak brzytwa maczetę, która nie wiadomo skąd znalazła się w jego rękach.

– Czas, żebym naprawił stare krzywdy – powiedział Tam cicho do Imaga i chłopców. Widzieli w jego oczach ponurą, zawziętą determinację. Odwrócił się w stronę Moskita. – Idźcie już, dogonię was – zawołał do nich, zbliżając się do Styksa.

Lecz posępna, owiana mgłą postać nie cofnęła się nawet o krok. Moskit z ogromną wprawą obrócił w dłoniach lśniące ostrza i lekko ugiął nogi w kolanach, upodabniając się do jakiegoś monstrualnego owada rodem z nocnego koszmaru.

– Coś tu nie gra. On jest zbyt pewny siebie – mruknął Imago. – Zmywajmy się stąd. – Odciągnął chłopców w stronę wejścia do jednego z korytarzy Labiryntu, zerkając jednocześnie na Tama, który był już blisko Moskita.

– Och, nie... – wyszeptał nagle Imago.

Chłopcy odwrócili się i struchleli z przerażenia. We mgle za plecami Moskita pojawiła się cała chmara Styksów, którzy powoli rozwijali szyk, ustawiając się w szerokim półkolu. Kiedy jednak Moskit podniósł rękę, wszyscy natychmiast przystanęli, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

Także Tam zatrzymał się na moment, jakby rozważał wszystkie za i przeciw. Pokręcił głową, a potem wyprostował się dumnie. Zdarł z głowy kaptur i wziął głęboki oddech, napełniając płuca cuchnącym powietrzem.

W odpowiedzi Moskit zdjął gogle i aparat tlenowy, rzucił je na ziemię i kopnął na bok. Potem obaj zbliżyli się do siebie o krok i przystanęli ponownie, mierząc się wzrokiem niczym dwaj bokserzy tuż przed walką. Will wzdrygnął się, kiedy Styks wykrzywił chudą twarz w zimnym, szyderczym uśmiechu.

Chłopcy wstrzymali oddech. Zrobiło się nagle zupełnie cicho, jakby ściany jaskini wchłonęły wszystkie dźwięki.

Moskit zaatakował pierwszy, rzucając się do przodu i wymachując w szalonym tempie ułożonymi poziomo ostrzami. Tam odskoczył w tył, chcąc uniknąć gradu ciosów, i podniósł maczetę, przygotowując się do obrony. Ostrza obu mężczyzn spotkały się w końcu ze sobą, rozdzierając ciszę ostrym, przenikliwym brzękiem.

Moskit z niesamowitą zręcznością obracał się i kreślił w powietrzu różne figury, jakby wykonywał taniec obrzędowy. Raz po raz rzucał się na Tama, wyprowadzając podwójnymi ostrzami diabelnie szybkie i skomplikowane cięcia. Tam odpierał je i odgryzał się seriami równie szybkich uderzeń i pchnięć. Przez chwilę przeciwnicy na przemian bronili się i atakowali, atakowali i się bronili. Wszystko to odbywało się w tak zawrotnym tempie, że Will i Cal bali się choćby mrugnąć okiem, by nie przegapić jakiegoś ważnego momentu. Ostrza znów zawirowały w szalonym tańcu, a walczący mężczyźni znaleźli się nagle tak blisko siebie, że mogliby się objąć. Przez moment słychać było zgrzyt stali napierającej na stal, potem obaj przeciwnicy odskoczyli błyskawicznie w tył, dysząc ciężko. I znów zastygli na moment w bezruchu, mierząc się nienawistnymi spojrzeniami. Tam stał lekko pochylony i trzymał się ręką za bok.

– Cholera... – syknął Imago.

Will też to zobaczył. Spomiędzy palców Tama wypływały strużki gęstej ciemnej cieczy, która w zielonym świetle miasta wyglądała jak czarny atrament. Tam był ranny i mocno krwawił. Wyprostował się powoli, zbierając siły, i wyprowadził zniecka szybkie jak błyskawica cięcie. Moskit bez trudu wykonał unik w bok i przeciągnął ostrzem po twarzy Tama.

Tam zachwiał się i cofnął o krok. Imago i chłopcy widzieli, jak na jego lewym policzku rozlewa się plama czerni.

– O mój Boże... – wyszeptał Imago, zaciskając dłonie na kołnierzach chłopców z taką siłą, że Will czuł, jak napinają się jego mięśnie, gdy przeciwnicy znów przystąpili do walki.

Tam ponownie atakował, Moskit zaś okręcał się na lewo i na prawo, do przodu i do tyłu, w swym płynnym wystylizowanym tańcu. Uderzenia i pchnięcia Tama były stanowcze i umiejętne, ale Moskit był za szybki, ostrze maczety raz po raz przecinało tylko zamglone powietrze. Gdy Tam obracał się, by po raz kolejny zaatakować nieuchwytnego przeciwnika, nagle stracił równowagę. Próbował się wyprostować, lecz jego buty ślizgały się na mokrym gruncie. Stał pochylony ku ziemi, w trudnej do obrony pozycji. Moskit nie mógł przegapić takiej okazji. Rzucił się na odsłonięty bok Tama.

Lecz Tam był przygotowany. Czekał na ten moment. Zanurkował do przodu i wyprostował się wewnątrz gardy przeciwnika, wyprowadzając jednocześnie błyskawiczne ukośne cięcie. Wszystko odbyło się tak szybko, że Will nawet nie zauważył niszczycielskiego cięcia maczety, które rozplatało gardło Moskita.

Powietrze między przeciwnikami wypełniło się nagle ciemną pianą. Moskit zatoczył się do tyłu. Wypuścił z dłoni oba ostrza i wydał z siebie przerażający, świszczący bulgot, chwytając się obiema rękami za rozciętą tchawicę.

Niczym matador zadający śmiertelny cios, Tam ujął maczetę w obie dłonie i postąpił o krok do przodu, wyprowadzając ostatnie pchnięcie. Ostrze zanurzyło się w piersi Moskita aż po rękojeść.

Styks znów wydał z siebie ciche bulgotanie i chwycił Tama za ramiona, by nie upaść. Pochylił głowę, spojrzął z niedowierzaniem na drewnianą rękojeść wystającą mu z mostka i wyprostował się ponownie. Przez chwilę obaj mężczyźni stali nieruchomo i wpatrywali się w siebie niczym dwa posągi w jakimś tragicznym żywym obrazie.

Wreszcie Tam oparł jedną stopę o tułów Moskita i wyrwał z niego maczetę. Styks chwiał się przez chwilę, stojąc w miejscu, niczym marionetka zawieszona na niewidzialnych sznurkach. Jego usta poruszały się powoli, wyrzucając z siebie stek bezgłośnych przekleństw.

Imago i chłopcy stali jak zakłęci, patrząc na dogorywającego Styksa, który posłał w stronę Tama ostatnią niemą klątwę, zrobił chwiejny krok do tyłu i osunął się martwy na ziemię. Wzdłuż szeregu Styksów przebiegł pełen zdumienia szept. Podwładni Moskita wciąż stali w miejscu i spoglądali na siebie niepewnie, jakby nie wiedząc, co powinni teraz zrobić.

Tam nie tracił czasu na wahanie. Trzymając się za zraniony bok i krzywiąc z bólu, popędził do Imaga i chłopców. To jakby odczarowało Styksów, którzy ruszyli do przodu i otoczyli ciasnym kołem ciała towarzysza.

Tam prowadził już Imaga i braci w głąb korytarza. Nie uszli jednak daleko, kiedy zatoczył się na bok i oparł o ścianę. Dyszał ciężko i ociekał potem. Wąskie strużki ściekały po jego twarzy, mieszały się z krwią ze zranionego policzka i skapywały z nieogolonej brody.

– Zatrzymam ich – wydyszał, spoglądając na wejście do tunelu. – Zyskacie trochę czasu.

– Nie, ja to zrobię – odparł Imago. – Ty jesteś ranny.

– Ze mną i tak już koniec – powiedział cicho Tam.

Imago spojrzął na strumień krwi wypływający z głębokiej otwartej rany na piersiach Tama, potem oczy obu mężczyzn spotkały się na ułamek sekundy. Kiedy Imago wręczył mu swoją maczetę, wiadomo było, że decyzja została podjęta.

– Nie rób tego, wujku! Chodź z nami, proszę – błagał Cal łamiącym się głosem, dobrze wiedząc, co to oznacza.

– Wtedy przegralibyśmy wszyscy, Cal – odrzekł Tam, uśmiechając się blado i obejmując go jedną ręką. Sięgnął pod koszulę, zerwał coś z szyi i wcisnął w dłoń Willa. Był to gładki wisiołek z wyrytym dziwnym symbolem.

– Weź to – mówił szybko wuj. – Może ci się przydać tam, dokąd idziecie. – Wypuścił z uścisku Cala i cofnął się o krok, potem jednak chwycił Willa, ani na moment nie odrywając przy tym wzroku od młodszego chłopca. – I opiekuj się Caliem, dobrze, Will? – Mężczyzna zacisnął mocniej dłoń na jego ramieniu. – Obiecuj mi to.

Will był tak oszołomiony, że nim zdobył się na jakąś odpowiedź, Tam odwrócił się już od niego. Cal zaczął rozpaczliwie krzyczeć:

– Wuju Tamie... chodź... chodź z nami...

– Zabierz ich stąd, Imago – rzucił przez ramię Tam, zmierzając w stronę wyjścia z tunelu. W okrągłym otworze widać już było nadciągającą armię Styksów.

Cal wciąż stał w miejscu i wykrzykiwał imię Tama, gdy Imago chwycił go za kołnierz i pchnął w

głęb korytarza. Zrozpaczony chłopiec nie miał innego wyjścia, jak tylko zrobić to, czego chciał Imago, a jego krzyki natychmiast zmieniły się w pełne cierpienia wycie i niepohamowany szloch. Will potraktowany został w podobny sposób. Imago nieustannie dźgał go w plecy i popychał do przodu. Przestał tylko na moment, gdy zbliżyli się do ostrego zakrętu. Mężczyzna jakby zawahał się na moment. Podobnie jak obaj chłopcy odwrócił się, by po raz ostatni spojrzeć na swego towarzysza. Ciemna, potężna sylwetka Tama rysowała się wyraźnie na tle zieloności Wiecznego Miasta, gdy stał dumnie wyprostowany, trzymając w dłoniach gotowe do walki maczety.

Potem Imago znów pchnął ich do przodu, a Tam na zawsze zniknął im z oczu. Wszyscy jednak zachowali w pamięci ten ostatni obraz, samotną, nieustraszoną postać, spoglądającą śmiało na zbliżającego się wroga i las lśniących ostrzy.

Jeszcze przez jakiś czas słyszeli przekleństwa wykrzykiwane przez Tama i szcęk ścierających się kling, odgłosy ząbartej walki, które cichły wraz z każdym zakrętem tunelu.

Rozdział 37

Biegli w głąb labiryntu, ani na moment nie zwalniając tempa. Will trzymał zranioną rękę przy boku i starał się nie zwracać uwagi na ból przeszywający pogryzione ramię. Nie miał pojęcia, ile mil pokonali, nim wreszcie Imago zwolnił i pozwolił im trochę odsapnąć. Tunele były na tyle szerokie, że wszyscy zmieściliby się obok siebie, woleli jednak iść gęsiego, zachowując chociaż pozory odosobnienia. Odkąd zostawili Tama w Wiecznym Mieście, nie zamienili ze sobą ani słowa, każdy z nich dobrze jednak wiedział, o czym myślą pozostali. Kiedy tak wlekli się przed siebie otuleni ponurą ciszą, Will nie mógł się opędzić od myśli, że ich mały pochód to w rzeczywistości kondukt żałobny.

Wciąż nie chciał uwierzyć, że Tam naprawdę nie żyje – jedyna osoba w Kolonii, która wyrastała ponad przeciętność, która bez chwili wahania przyjęła go z powrotem do rodziny. Will próbował uporządkować myśli i poradzić sobie jakoś z przytłaczającym poczuciem straty i pustki, choć skutecznie przeszkadzały mu w tym odgłosy tłumionego szlochu dobiegające od strony Cala.

Pokonywali niezliczoną ilość zakrętów w lewo i w prawo, lecz każdy nowy odcinek tunelu wyglądał identycznie jak poprzednie. Imago ani razu nie spojrzał na mapę, wydawało się jednak, że doskonale wie, dokąd zmierzają. Od czasu do czasu mruczał coś do siebie pod maską, jakby recytował wiersz, albo nawet odmawiał modlitwę. Will zauważył też kilkakrotnie, że kiedy zakręcali, Imago potrząsał metalową kulą wielkości pomarańczy, jednak chłopiec nie miał pojęcia, czemu to służy.

Był zaskoczony, kiedy Imago kazał im się zatrzymać przy niewielkiej szczelinie w dnie tunelu i rozejrzał się uważnie na boki. Potem znów zaczął potrząsać kulą, przesuwając ją wzdłuż krawędzi szczeliny.

– Dlaczego to robisz? – spytał Will.

– To ukryje nasz zapach – odparł Imago szorstko, po czym schował kulę, zdjął plecak Willa i wrzucił go do szczeliny. Potem ukląkł i sam wcisnął się do jej wnętrza, wsuwając najpierw głowę i rękę, a potem resztę swego wielkiego ciała.

Przez około sześć metrów szczelina prowadziła niemal pionowo w dół, potem zaczęła powoli wracać do poziomu, zwężając się jednocześnie i przyjmując postać ciasnego korytarza. Cal i Will posuwali się bardzo powoli, powstrzymywani przez Imaga, który z najwyższym trudem przeciskał się przez wąski otwór, głośno przy tym sapiąc i stękając. Will zastanawiał się, co zrobią, jeśli Imago utknie w tunelu, wkrótce jednak dotarli do końca zwężenia i znów mogli stanąć prosto.

Początkowo Will niewiele widział przez zniszczone i zaparowane okulary maski. Dopiero gdy Imago odsłonił twarz i powiedział chłopcom, że mogą zrobić to samo, Will zobaczył, gdzie się znaleźli.

Była to komnata w kształcie dzwonu o średnicy około dziewięciu metrów i szorstkich ścianach, przypominających w dotyku papier ścierny. Pośrodku jaskini wisiało kilka niewielkich, szarawych stalaktytów. Dokładnie pod nimi znajdowała się osadzona w dnie, okrągła metalowa płyta. Kiedy przechodzili wzdłuż ściany jaskini, ich buty roztrącały skupiska gładkich, żółtawych kulek różnej

wielkości; niektóre wyglądały jak ziarnka grochu, inne były co najmniej tak duże jak piłeczki pingpongowe.

– Perły jaskiniowe – mruknął Will, przypominając sobie zdjęcia, które widział w jednej z książek ojca. Natychmiast rozejrzał się dokoła, szukając cieknącej wody, bez której perły nie mogłyby powstać. Jednak zarówno dno, jak i ściany jaskini były równie suche jak reszta Labiryntu. Jedynym widocznym otworem w ścianach komnaty był tunel, którym przed chwilą weszli do jej wnętrza.

Imago przyglądał się Willowi i odpowiedział na jego niewypowiedziane pytanie:

– Nie martw się... będziemy tutaj bezpieczni, Will, przynajmniej przez jakiś czas – uśmiechnął się uspokajająco. – Nazywamy to miejsce Kotłem.

Kiedy Cal przeszedł znużonym krokiem na drugą stronę jaskini i usiadł ciężko pod ścianą z głową spuszczoną na klatkę piersiową, Imago ponownie zwrócił się do Willa.

– Powiniennem obejrzeć to ramię.

– To nic takiego – odparł chłopiec. Po pierwsze chciał zostać sam, a po drugie przerażała go perspektywa ujrzenia ogromu obrażeń.

– Przestań. – Imago przywołał go do siebie stanowczym ruchem ręki. – Mogło dojść do zakażenia. Muszę to opatrzyć.

Will wziął głęboki oddech, zacisnął zęby i powoli ściągnął kurtkę, pozwalając jej opaść na ziemię. Materiał koszuli przyklejony był do rany, Imago musiał więc oddzierać go kawałek po kawałku, zaczynając od kołnierza i powoli schodząc niżej. Will przyglądał się temu z niepokojem, krzywiąc się, gdy wraz z koszulą odpadło kilka strupów, a z ran na nowo wypłynęła krew.

– Upiekło ci się – powiedział Imago. Will zerknął na jego posępną twarz, zastanawiając się, czy mówi poważnie. Mężczyzna skinął głową. – Miałeś sporo szczęścia. Psy Styksów zazwyczaj atakują wrażliwsze części ciała.

Na przedramieniu Willa widać było kilka sinych obrzęków i dwa półkola ran klutych, pozostałości po kłach bestii, ale żadna z nich już nie krwawiła. Imago obejrzał zaczerwienienia na piersiach i brzuchu chłopca, a potem obmacał żebra, które bolały Willa tylko przy głębszych wdechach. Tutaj też nie było poważnych obrażeń. Znacznie gorzej wyglądało ramię. W tym miejscu zęby wbiły się zdecydowanie głębiej, a mięśnie i skóra zostały mocno poszarpane, kiedy pies potrzasał Willem. Gdzieniedzie zranione ramię wyglądało tak, jakby ktoś przestrzelił je ze śrutówki.

– Au... ! – Will wypuścił głośno powietrze i odwrócił szybko głowę, kiedy w dół ramienia pociekło kilka strumyczków krwi. – Wygląda paskudnie.

Widok zmaltretowanego barku przyprawił chłopca o dreszcze i uświadomił mu, jak bardzo bolą rany zadane przez psa Styksów. Na moment zupełnie opuściła go odwaga, poczuł się słaby i bezbronny.

– Nie martw się, nie jest tak źle, jak wygląda – uspokajał go Imago, wylewając na kawałek gazy przezroczysty płyn ze srebrnej buteleczki. – Ale to będzie piekło – ostrzegł, po czym zajął się oczyszczaniem rany. Kiedy skończył, odchylił połę płaszcza i odpiął jeden z licznych woreczków przyczepionych do pasa. Wyjął z niego szczyptę czegoś, co przypominało tytoń fajkowy, i posypał obficie zranienia Willa, skupiając się szczególnie na ranach szarpanych ramienia. Drobne suche

włókna przyklejały się do uszkodzonych miejsc i wchłaniały krew.

– To może trochę boleć, ale już prawie skończyłem – powiedział Imago, dosypując kolejne porcje okruchów i przyklepując je, by utworzyły grubą matę.

– Co to? – spytał Will, ośmieliwszy się spojrzeć ponownie na swoje ramię.

– Starte kłacza.

– Starte co? – zaniepokoił się chłopak. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Jestem synem aptekarza. Nauczyłem się opatrywać rany, kiedy byłem niewiele starszy od ciebie.

Will się uspokoił.

– Nie ma powodu do obaw, Will. Dawno już się nie zdarzyło, żeby któryś z moich pacjentów umarł – dodał Imago, zerkając na chłopca z ukosa.

– Co? – Will spojrział z przestraszeniem na swego towarzysza, dopiero po chwili w pełni zrozumiał sens jego słów.

– Tylko żartowałem – odparł Imago, mierzwiąc czuprynę Willa i chichocząc pod nosem. Will był nieco zaskoczony, że przyjaciel Tama ma jeszcze ochotę na żarty, kiedy jednak spojrział w oczy Imaga, zobaczył w nich ogromny smutek. – W tym okładzie jest środek antyseptyczny, który zatrzyma krwawienie i usmierzy ból – mówił dalej mężczyzna, sięgając do innej torebki i wyjmując z niej zwój szarego materiału. Rozwinął go, umiejętnie obandażował rękę i ramię Willa, po czym wstał, by przyjrzeć się swemu dziełu.

– Jak się teraz czujesz?

– Lepiej – skłamał Will. – Dziękuję.

– Będziesz musiał co jakiś czas zmieniać opatrunek; weźmiesz trochę tego ze sobą.

– Jak to: wezmę ze sobą? Dokąd mamy iść? – wypytywał Will, ale Imago tylko pokręcił głową.

– Wszystko w swoim czasie. Straciłeś sporo krwi i musisz teraz dużo pić. Powinniśmy też coś przekąsić. – Imago zerknął na przygarbioną sylwetkę Cala. – Hej, chłopcze, chodź tu do nas.

Cał posłusznie podniósł się i ruszył w ich stronę, podczas gdy Imago posadził swe wielkie cielsko na ziemi i zaczął wyciągać ze skórzanych torebek całe mnóstwo metalowych pojemników. Odkręcił wieko jednego z nich i wręczył naczynie Willowi, ten jednak skrzywił się z odrazą na widok ciasno upchniętych szarych grzybów.

– Mam nadzieję, że się nie obrazisz – powiedział – ale mamy swoje zapasy.

Imago wcale nie wyglądał na obrażonego. Zakręcił z powrotem metalowy pojemnik, poczekał, aż Will wyjmie jedzenie z plecaka, a potem rzucił się na nie z takim apetytem, jakby nie jadł co najmniej od tygodnia. Głośno wciągał do ust płaty pieczonej szynki, które trzymał delikatnie w brudnych palcach. Jakby chcąc przedłużyć to cudowne doznanie, obracał mięso w ustach, nim zaczął je gryźć. A kiedy w końcu przełknął, zamykał oczy i wydawał z siebie błogie westchnienie.

Cał z kolei prawie niczego nie tknął, posiedział chwilę, a potem przeniósł się z powrotem na drugą stronę jaskini. Will też nie miał apetytu, szczególnie po spektaklu urządzonym przez Imaga.

Wyjął puszkę Coli i zaczął właśnie pić, kiedy pomyślał nagle o zielonkawym wisioru, który dał mu Tam. Wyciągnął go z kieszeni kurtki i przyjrzał mu się uważnie. Wisiorek poplamiony był krwią Tama, która zakrzepła w trzech rowkach wyżłobionych w powierzchni kamienia. Will przesunął po nich kciukiem, zaintrygowany. Był pewien, że gdzieś już widział podobny symbol. Nagle sobie przypomniał. Ten sam znak był wyżłobiony w kamieniu milowym w Labiryncie.

Kiedy Imago pożerał tabliczkę czekolady deserowej, rozkoszując się każdym kęsem, Cal odezwał się nagle bezbarwnym, apatycznym tonem:

– Chcę wrócić do domu. Nic mnie już nie obchodzi.

Imago zakrzuszył się, opluwając sobie płaszcz drobinami czekolady. Odwrócił się gwałtownie do Cala, który wciąż siedział po drugiej stronie jaskini.

– A co ze Styksami?

– Porozmawiam z nimi. Jeśli ich poproszę, na pewno mnie wysłuchają – odparł Cal słabo.

– Wysłuchają cię, oczywiście, kiedy będą ci wycinali wątrobę albo odrąbywali po kolei wszystkie kończyny! – zgromił go Imago. – Ty mały idioto, myślisz, że Tam oddał życie po to, żebyś ty mógł zmarnować swoje?

– Ja... nie... – Cal skulił się ze strachu, zaskoczony i przerażony reakcją Imago.

Will zakrył twarz dłońmi, przyciskając do czoła wisiorek Tama. Chciał, żeby wszyscy się zamknęli; nie miał ochoty tego wysłuchiwać. Chciał, żeby wszyscy byli cicho, choć przez chwilę.

– Ty samolubny, głupi... co zamierzasz zrobić, poprosisz ojca albo babcię Macaulay, żeby cię ukryli... i ryzykowali dla ciebie życiem? I bez tego będzie im ciężko – wrzeszczał Imago.

– Pomyślałem tylko...

– Nie, wcale nie myślałeś! – przerwał mu Imago. – Nigdy nie będziesz mógł tam wrócić, rozumiesz? Wbij to sobie do tej tępej łepetyny!

Odrzuciwszy resztę czekolady na bok, przeszedł na drugą stronę jaskini.

– Ale ja... – zaczął jeszcze raz Cal.

– Prześpij się trochę! – warknął Imago, czerwony z gniewu. Sam otulił się szczelnie płaszczem, wsunął sobie torbę pod głowę i ułożył się na boku, zwrócony twarzą do ściany.

Spędzili w jaskini większą część następnego dnia. Na przemian jedząc i śpiąc, niemal nie odzywali się do siebie. Will był zadowolony, że ma okazję odpocząć po straszliwych wydarzeniach ostatniej doby. Niemal przez cały czas pozostawał pogrążony w głębokim, pozbawionym marzeń śnie. W końcu obudził go głos Imago. Chłopiec otworzył niemrawo jedno oko, by zobaczyć, co się dzieje.

– Chodź tutaj i pomóż mi, dobrze, Cal?

Cal poderwał się z ziemi i podszedł do Imago, który klęczał na środku jaskini.

– To waży tonę – uśmiechnął się mężczyzna. Kiedy odsunęli na bok metalową pokrywę, stało się jasne, że Imago bez trudu sam by sobie poradził, i że w ten sposób chciał pogodzić się z Calem. Will

otworzył drugie oko i poruszył ręką. Jego ramię było zdrętwiałe, ale rany bolały znacznie mniej niż przed założeniem opatrunku. Cal i Imago leżeli na podłodze i zagłądali do okrągłego otworu, którego wlot rozświetlała trzymana przez mężczyznę kula. Will przysunął się do nich. Zobaczył szyb metrowej szerokości wypełniony nieco niżej gęstym mrokiem.

– Wydaje mi się, że tam coś się błyszczy – powiedział Cal.

– Owszem, tory kolejowe – skinął głową Imago.

– Pociąg Górników – uzmysłowił sobie Will, kiedy i on dojrzał w ciemności dwie równoległe wstęgi wypolerowanego żelaza.

Odsunęli się od otworu i usiedli, czekając niecierpliwie na wyjaśnienia Imaga.

– Będę mówił krótko i otwarcie, bo nie mamy dużo czasu – zaczął. – Macie dwa wyjścia. Albo zostaniemy tu jeszcze przez jakiś czas, a potem znów wyprowadzę was do Górnoziemia, albo...

– Nie, tylko nie tam – wtrącił od razu Cal.

– Nie twierdzę, że łatwo byłoby się tam dostać – przyznał Imago. – Nie we trójkę.

– Nie ma mowy! Nie zniósłbym tego! – mówił Cal podniesionym głosem, niemal krzyczał.

– Na twoim miejscu dobrze bym się nad tym zastanowił – ostrzegł go Imago. – Gdybyśmy dotarli do Górnoziemia, może udałoby się wam ukryć przed Styksami. Może.

– Nie – powtórzył Cal z przekonaniem. Imago patrzył teraz prosto na Willa.

– Powinieneś wiedzieć... – Zamilkł ponownie, jakby to, co chciał powiedzieć, było tak straszne, że nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. – Tam myśli... Tam myślał... – poprawił się szybko, krzywiąc twarz. – ... że to dziecko Styksów, ta dziewczyna, która udawała twoją górnoziemską siostrę... – Odkasznął z zakłopotaniem i otarł usta. – ... jest córką Moskita. Więc Tam zabił właśnie jej ojca.

– Moskit był ojcem Rebeki? – zdumiał się Will.

– O Jezu... – jęknął Cal.

– Dlaczego to takie ważne? Co to... – zaczął pytać Will, lecz Imago mu przerwał.

– Styksowie nie odpuszczą. Będą was ścigać wszędzie, dokądkolwiek pójdziecie. Każdy, kto udzieli wam schronienia, w Gómoziemiu, w Kolonii, czy nawet w Głębi, też narazi się na niebezpieczeństwo. Wiecie, że mają swoich ludzi na powierzchni. – Imago podrapał się po brzuchu i zmarszczył brwi. – Jeśli Tam miał rację, wasza sytuacja jest gorsza, niż może się wydawać. Jesteście w ogromnym niebezpieczeństwie. Jesteście napiętnowani.

Will próbował ogarnąć myślą wszystko, co właśnie usłyszał. Kręcił głową, nie mogąc uwierzyć w tak rażącą niesprawiedliwość.

– Mówisz więc, że jeśli pójdziemy do Górnoziemia, będę musiał uciekać. A gdybym poszedł do ciotki Jean, to...

– Już po niej – dokończył Imago, krzywiąc się z niesmakiem. – Tak to właśnie wygląda.

– A co ty zamierzasz zrobić, Imago? – spytał Will, wciąż nie mogąc w pełni pojąć złożoności tej

sytuacji.

– Nie mogę wrócić do Kolonii, to jasne. O mnie się nie martwcie, to wy dwaj musicie sobie jakoś poradzić.

– Ale co ja mam teraz zrobić? – spytał Will, zerkając na wpatrującego się w otwór w podłodze Cala, a potem ponownie na Imaga, który tylko wzruszył bezradnie ramionami. Nie miał pojęcia, co począć w tej sytuacji. Czuł się tak, jakby brał udział w grze, której reguły poznaje się dopiero po popełnieniu błędu. – Cóż, przypuszczam, że w Gómoziemiu też nie mam czego szukać. Przynajmniej nie teraz – wymamrotał, pochylając głowę. – A mój tata jest tu na dole... gdzieś.

Imago sięgnął po torbę, pogrzebał w niej, wyciągnął jakiś przedmiot owinięty w kawałek starej juty i podał go Willowi.

– Co to jest? – mruknął Will, odwijając jutę. Przytłoczony dziesiątkami pytań bez odpowiedzi, oszołomiony, dopiero po dłuższej chwili docenił wartość podarunku Imaga.

Była to spłaszczona, twarda bryłka papieru, która mieściła się w jego dłoni. Porwane i pomięte kartki zostały najwyraźniej zgniecione w kulkę i zanurzone w wodzie, a potem wysuszone, dzięki czemu utworzyły jedną zbitą grudę masy papierowej. Will zerknął pytająco na Imaga, a nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, zaczął odrywać zewnętrzne warstwy papieru, jakby obierał starą, wysuszoną cebulę. Po chwili udało się mu rozdzielić bryłkę na kilka kartek, które ułożył na ziemi i oświetlił kulą.

– Nie! Nie wierzę! To pismo mojego taty! – wykrzyknął ze zdumieniem i radością, rozpoznawszy charakterystyczne gryzmoły ojca. Kartki były poplamione, w wielu miejscach woda rozmyła atrament, lecz mimo to Willowi udało się odczytać kilka fragmentów.

– Powrócę do tego – przeczytał głośno jeden z urywków, po czym szybko zaczął przeglądać pozostałe. – Nie, ten jest zbyt rozmyty... – mamrotał pod nosem. – Z tego też nic nie będzie – kontynuował. – Nie wiem... jakieś dziwne słowa... bez sensu... ale... o, tutaj jest napisane Dzień 15! – Przez chwilę milczał, przelatując wzrokiem kolejne fragmenty, aż nagle omal nie podskoczył z radości. – Tutaj jest coś o mnie! – zawołał podekscytowany, podnosząc jedną z kartek do światła. Zerknął na Imaga i przeczytał lekko drżącym głosem: – Tu jest napisane: Gdyby mój syn, Will, zrobił... ! – Will zmarszczył brwi i odwrócił kartkę, lecz druga strona była pusta. – Ale co tata miał na myśli? Czego nie zrobiłem? Co miałem zrobić? – Will raz jeszcze spojrzął na Imaga, szukając u niego odpowiedzi.

– Skąd mam wiedzieć? – wzruszył ramionami mężczyzna.

Will rozpromienił się nagle.

– Nieważne, co tam napisał, ważne, że ciągle o mnie myśli. Nie zapomniał o mnie. Może wciąż miał nadzieję, że za nim pójdę, że spróbuję go odnaleźć. – Kiwał energicznie głową, coraz bardziej przekonując się do tej myśli. – Tak, właśnie tak... na pewno o to mu chodziło!

W tej samej chwili przyszła mu do głowy inna, przerażająca myśl – Imago, te kartki pochodzą z dziennika mojego ojca. Skąd je masz? – Will natychmiast pomyślał o najgorszym. – Nic mu nie jest?

Imago potarł w zamyśleniu brodę.

– Nie wiem. Tak jak powiedział Tam, twój ojciec wsiadł do Pociągu Górników. – Wskazując

kciukiem na dziurę w podłodze, dodał: – Jest gdzieś na dole, w Głębi. Prawdopodobnie.

– Tak, ale skąd to wzięłeś? – dopytywał się niecierpliwie Will, podnosząc garść pomiętych kartek.

– Mniej więcej tydzień po przybyciu do Kolonii wędrował po obrzeżach Slumsów i został napadnięty.

– W głosie Imaga pojawiła się nuta niedowierzania.

– Podobno zaczepiał ludzi i wypytywał o różne rzeczy. W tamtych okolicach nie przepadają za obcymi, a już szczególnie za Górnoziemcami, więc dostał niezłe manto. Mówią, że nawet nie próbował się bronić, leżał tylko na ziemi. Pewnie dzięki temu uszedł z życiem.

– Tata – wyszeptał Will ze łzami w oczach, wyobrażając sobie tę scenę. – Biedny stary tata.

– Cóż, nie było chyba tak źle, bo odszedł stamtąd o własnych siłach. – Imago zatarł ręce i przemówił nieco już innym, bardziej rzeczowym tonem: – Ale to nie ma nic do rzeczy. Musicie mi powiedzieć, co chcecie robić. Nie możemy siedzieć tutaj bez końca. – Spojrzał wymownie na obu chłopców. – Will? Cal?

Bracia siedzieli przez chwilę w milczeniu, aż nagle Will poderwał się z miejsca.

– Chester! – Nie mógł uwierzyć, że w natłoku wydarzeń zupełnie zapomniał o przyjacielu. – Cokolwiek postanowicie, muszę po niego wrócić – oświadczył z mocą. – Jestem mu to winien.

– Chesterowi nic nie będzie – powiedział Imago.

– Skąd możesz to wiedzieć? – odparował Will. Imago uśmiechnął się tylko.

– Więc gdzie on teraz jest? Naprawdę nie muszę się o niego martwić?

– Zaufaj mi – odrzekł Imago tajemniczo.

Will spojrzał głęboko w oczy mężczyzny i przekonał się, że ten nie żartuje. Ogarnęło go poczucie ogromnej ulgi, jakby ktoś zdjął mu z ramion przygniatający ciężar. Powiedział sobie, że jeśli ktokolwiek mógł uratować jego przyjaciela, to był to właśnie Imago. Wziął głęboki oddech i podniósł głowę.

– Cóż, w takim wypadku pozostaje nam Głębia.

– Idę z tobą – dorzucił szybko Cal.

– Obaj jesteście tego całkowicie pewni? – spytał Imago, patrząc z powagą na Willa. – Tam, na dole, zaczyna się prawdziwe piekło. Łatwiej byłoby wam w Górnoziemiu, przynajmniej znalazłbyście teren.

Will pokręcił głową.

– Mój tata to wszystko, co mi zostało.

– Cóż, skoro tego chcesz... – Imago wciąż dawał im szansę na zmianę decyzji.

– W Górnoziemiu nie mamy czego szukać, nie teraz – skinął głową Will, zerkając na brata.

– Dobra, w takim razie postanowione – stwierdził Imago i spojrzał na zegarek. – Spróbujcie się

teraz trochę zdrzemnąć. Będziecie potrzebowali dużo siły.

Żaden z nich nie miał jednak ochoty na sen i skończyło się na tym, że zamiast spać, Imago i Cal rozmawiali o Tamie. Imago raczył chłopca opowieściami o młodzieńczych wyczynach jego wuja. Od czasu do czasu chichotał nawet pod nosem, przypominając sobie co zabawniejsze incydenty, a Cal mimowolnie przyłączał się do niego. Mężczyzna najwyraźniej znajdował pocieszenie we wspomnieniach wszystkich figli i wybryków, które wyczyniał wraz z Tamem i jego siostrą w młodości, gdy grali na nosie Styksom.

– Tam i Sara byli siebie warci, mówię wam. Para urwisów. – Imago uśmiechnął się smutno.

– Opowiedz Willowi o ropuchach – poprosił Cal.

– Och, Boże, tak... – Imago roześmiał się głośno, przypominając sobie tę historię. – To był pomysł waszej mamy. Nałapaliśmy całe mnóstwo ropuch ag w Slumsach. Niektóre czubki z tamtej dzielnicy jedzą to paskudztwo, bo można po nim dostać niezłego kopa. Ale nie próbujcie nigdy tego robić. Jeśli zje się odrobinę za dużo, można sobie usmażyć mózg. – Imago zaczerpnął powietrza i mówił dalej: – No więc Sara i Tam zanieśli te ropuchy do kościoła i wypuścili je tuż przed nabożeństwem. Szkoda, że tego nie widzieliście... Setka małych oślizgłych paskud skaczących po całym kościele... ludzie wrzeszczeli i wskakiwali na ławki, a rechot był taki, że nawet kaznodzieja nie mógł go przekrzyczeć... kum, kum, kum... – Mężczyzna zaniósł się bezgłośnym śmiechem, potem jednak zmarszczył nagle brwi i umilkł.

Wiedząc, że Imago opowiada o jego matce, Will starał się słuchać uważnie, był jednak zbyt zmęczony i zatroskany. Coraz lepiej uświadamiał sobie powagę sytuacji i z coraz większym lękiem myślał o zadaniach, których podjął się przed chwilą. Podróż w nieznane. Czy naprawdę był na to gotów? Czy wybrał rzeczywiście najlepsze rozwiązanie dla siebie i brata?

Oderwał się od tych rozmyślań, usłyszawszy, jak Cal wchodzi nagle w słowo Imagowi, który rozpoczął właśnie kolejną opowieść.

– Myślisz, że Tamowi mogło się udać? – spytał Cal. – No wiesz... uciec?

Imago odwrócił szybko wzrok i zaczął wodzić palcem po ziemi, najwyraźniej nie wiedząc, co powiedzieć. Cal zrozumiał. Na jego twarzy znów pojawił się wyraz przygnębienia i rozpacz.

– Nie mogę uwierzyć, że już go nie ma. Był dla mnie wszystkim.

– Walczył z nimi przez całe życie – mówił Imago zduszonym głosem. – Nie był święty, to prawda, ale dawał nam nadzieję, sprawiał, że nasze życie stawało się znośne. – Umilkł na chwilę, wpatrzony w odległy punkt za głową Cala. – Śmierć Moskita oznacza czystki... i prześladowania, jakich nie widziano od lat. – Podniósł perłę jaskiniową i przez moment się jej przyglądał. – Ale nie wróciłbym do Kolonii, nawet gdybym mógł. Wygląda na to, że wszyscy jesteśmy teraz bezdomni – powiedział, pstryknięciem kciuka wyrzucając w powietrze perłę, która przeleciała szerokim łukiem i wpadła do samego środka szybu.

Rozdział 38

Proszę! – kwilił Chester we wnętrzu lepkiego kaptura, który przywarł do zlanych zimnym potem twarzy i szyi.

Chwilę wcześniej policjanci wywlekli go z celi i zaprowadzili do głównej sali komisariatu, gdzie związali mu ręce i nałożyli na głowę worek z juty. Potem zostawili go tam, spowitego duszną ciemnością, z której dochodziły tylko przytłumione głosy.

– Proszę! – krzyknął Chester, zdesperowany.

– Zamknij się! – warknął ktoś szorstko tuż za jego uchem.

– Co się dzieje? – pytał chłopiec błagalnym tonem.

– Wybierasz się w małą podróż, synu, w małą podróż – odparł ten sam głos.

– Ale ja niczego nie zrobiłem! Proszę!

Usłyszał kroki, a potem ktoś popchnął go od tyłu. Upadł na kolana i został w tej pozycji, nie mogąc się podnieść o własnych siłach.

– Wstawaj!

Czyjeś ręce poderwały go w górę. Chester z trudem utrzymywał równowagę, miał nogi jak z waty. Wiedział już wcześniej, że zbliża się ta chwila, że jego dni są policzone, nie miał jednak pojęcia, jaką formę karni przygotowują mu jego oprawcy. Nikt z nim nie rozmawiał, a on sam nie próbował nawet pytać, bojąc się dalszych represji ze strony Drugiego Oficera i jego towarzyszy.

Chester był więc skazańcem, który mógł się tylko domyślać, jak będą wyglądały jego ostatnie chwile. Odliczał każdą sekundę, jaka mu została, próbował je zatrzymać i umierał po kawałeczku, kiedy jedna po drugiej odchodziły w przeszłość. Teraz pocieszał się jedynie myślą, że czeka go jeszcze podróż pociągiem – miał więc przynajmniej trochę czasu. Ale co potem? Jak wyglądała Głębia? Co mogło go tam spotkać?

– Ruszaj się!

Poczłapał powoli przed siebie, stawiając ostrożnie stopy, nie widząc, dokąd idzie. Wpadł na coś twardego, a otaczające go dźwięki jakby się zmieniły. Echa. Krzyki, ale dobiegające z oddali, z większej przestrzeni.

Nagle usłyszał zgiełk wielu ludzkich głosów.

O nie!

Wiedział dokładnie, gdzie się znajduje – był przed komisariatem. Wiedział też, że krzyki oznaczają obecność wielkiego tłumu. Ogarniało go coraz większe przerażenie. Tłum. Gwizdy i szydercze okrzyki były coraz głośniejsze. Ktoś wziął go pod ręce i powłókł naprzód. Był na głównej ulicy; czuł pod stopami gładki bruk.

– Niczego nie zrobiłem! Chcę wrócić do domu! Dyszał ciężko, z trudem wciągając powietrze

przez gruby materiał kaptura. Wilgotna od śliny i lez tkanina zatykała mu usta przy każdym wdechu.

– Pomocy! Niech ktoś mi pomoże! – Jego głos był tak zniekształcony i udręczony, że sam z trudem go rozpoznawał.

Zewsząd dochodziły go wściekłe wrzaski.

– GÓRNOZIEMSKI GNÓJ!

– POWIESIĆ GO!

Po chwili wszystkie głosy skandowały jedno słowo, powtarzały je bez końca:

– GNÓJ! GNÓJ! GNÓJ!

Krzyczeli na niego – tylu ludzi krzyczało na niego! Paniczny strach ścisnął mu żołądek. Nie widział ich, co jeszcze pogarszało sytuację. Był tak przerażony, że zbierało mu się na wymioty.

– GNÓJ! GNÓJ! GNÓJ!

– Proszę... przestańcie... pomóżcie mi! Proszę... proszę, pomóżcie mi... proszę... – Dusił się i płakał jednocześnie, nie mógł się opanować.

– GNÓJ! GNÓJ! GNÓJ! Umrę! Umrę! Umrę!

Ta jedna myśl pulsowała w jego głowie niczym kontrapunkt dla okrzyku powtarzanego przez tłum. Otaczający go ludzie byli teraz bardzo blisko – tak blisko, że czuł ich smród, czuł bijący od nich odór zbiorowej nienawiści.

– GNÓJ! GNÓJ! GNÓJ!

Czuł się tak, jakby stał na dole studni otoczony rojem gwizdów, krzyków i szyderczego śmiechu. Nie mógł już dłużej tego znieść. Musiał coś zrobić. Musiał uciec!

Ogarnięty ślełą paniką, próbował się wyrwać, wił się i szarpał, odpychał od swoich oprawców. Lecz potężne dłonie chwyciły go jeszcze mocniej, a krzyki i śmiechy motłochu rozbawionego tym spektaklem osiągnęły maksymalne natężenie. Zrozumiawszy, że walka nie ma sensu, jęczał tylko bezradnie:

– Nie... nie... nie... nie...

Nagle, tuż przy jego uchu rozległ się obmierzły, wypełniony fałszywą życzliwością głos:

– Daj spokój, Chester, weź się w garść! Chyba nie chcesz rozczarować tych wszystkich miłych dam i dżentelmenów, prawda? – Chester uświadomił sobie, że to Drugi Oficer. Policjant musiał się upajać każdą chwilą tego spektaklu.

– Niech ci się dobrze przyjrzą! – powiedział ktoś inny.

– Niech zobaczą, co jesteś wart! Chester czuł się otępiały... osamotniony.

Na moment wszystkie krzyki, szyderstwa i gwizdy ucichły. Jakby znalazł się w oku cyklonu, jakby czas stanął w miejscu. Potem ktoś złapał go za kostki u nóg i wprowadził na jakieś stopnie.

Co teraz? Posadzono go na ławce, pchając brutalnie na oparcie.

ściany i podłogę jaskini. – Nadjeżdża. Punktualnie co do minuty! – Imago wygramolił się z szybu i przyklęknął obok chłopców, wciąż zerkając w dół.

– Jesteście pewni, że tego chcecie? – spytał. Chłopcy spojrzeli na siebie i skinęli głowami.

– Jesteśmy pewni – powiedział Will. – Ale Chester... ?

– Mówiłem ci, żebyś się o niego nie martwił – odparł Imago, uśmiechając się tajemniczo.

Nadjeżdżający pociąg wprawiał w drżenie całą komnatę, wypełniał ją hukami porównywalnym z biciem tysięcy bębnow.

– Róbcie dokładnie to, co wam powiem. Musimy zmieścić się w czasie co do sekundy, więc kiedy każę wam skakać, to skaczcie! – krzyczał do nich Imago.

Jaskinia wypełniła się gryzącym zapachem siarki. Potem, kiedy ryk lokomotywy osiągnął apogeum, z otworu niczym z czarnego gejzeru wystrzelił słup dymu i sadzy. Imago, trafiony obłokiem pyłu prosto w twarz, skrzywił się i zmrużył oczy. Wszyscy zaczęli kaszleć, kiedy Kocioł wypełnił się gęstym, gryzącym dymem.

– PRZYGOTOWAĆ SIĘ... – krzyknął Imago, wrzucając w ciemny otwór ich plecaki. – CAL, SKACZ!

Cal zawahał się na ułamek sekundy, jednak Imago natychmiast go popchnął. Chłopiec runął w dół, krzycząc ze strachu.

– WILL, TERAZ! – krzyknął ponownie Imago, a Will zsunął się z krawędzi.

Ściany tunelu przemknęły mu przed oczami, nagle znalazł się w samym środku wiru dźwięku, dymu i ciemności. Przez sekundę leciał bezwładnie w dół, młóćąc powietrze rękami. Stracił na moment oddech, kiedy wylądował z głośnym chrzęstem, otoczony nagle chmurą białego światła. Świetliste punkty wirowały wokół niego niczym jakieś zabłąkane gwiazdy. Przez krótką chwilę Will zastanawiał się całkiem poważnie, czy nie umarł.

Leżał nieruchomo, wsłuchując się w sapanie lokomotywy i rytmiczny turkot kół pociągu, który powoli nabierał prędkości. Poczul wiatr na twarzy i zobaczył wstęgi dymu przelatujące nad jego głową. Nie, to nie jest jakieś industrialne niebo, ja żyję!

Postanowił jeszcze przez chwilę nie zmieniać pozycji i wczuwając się po kolei w różne części swego ciała, sprawdzał, czy nie doznał żadnych złamań lub urazów, które mogłyby dołączyć do wydłużającej się listy obrażeń odniesionych w ciągu ostatnich dni. Ze zdumieniem stwierdził, że wszystko jest na swoim miejscu i działa jak należy, a jedyny ślad upadku to kilka niewielkich zadrapań.

Spojrzał w górę. Wiedział już, że nie umarł, nie rozumiał więc, skąd brało się jasne światło falujące nad jego głową niczym miniaturowa zorza polarna. Uniósł lekko tułów i oparł się na łokciu.

Po brudnej podłodze wagonu turlały się niezliczone świetliste kule wielkości piłeczek pingpongowych; zderzały się ze sobą i toczyły dalej. Niektóre wpadały w szpary w podłodze i przygasały, dotykając sąsiednich kul, aż wreszcie wyrzucone z miejsca mocniejszym szarpnięciem wagonu znów zaczynały się turlać i emanować jasnym światłem.

Will obejrzał się za siebie i zobaczył pozostałości drewnianej skrzynki i słomianej wyściółki.

Wszystko stało się jasne. Jego upadek został zamortyzowany przez skrzynię ze świetlistymi kulami, która rozpadła się na kawałki pod wpływem uderzenia. Dziękując w myślach losowi, zebrał kilka kulek i schował do kieszeni.

Podniósł się powoli, balansując ciałem tak, by zneutralizować kołysanie pociągu. Pomimo kłębow gęstego, gryzącego dymu Will doskonale widział wewnątrz wagonu, rozświetlone blaskiem emitowanym przez rozrzucone po podłodze kulki. Wagon był ogromny. Miał prawie trzydzieści metrów długości i piętnaście szerokości, znacznie więcej niż wagony, które Will widział w Górnoziemiu. Zbudowano go z żelaznych płyt połączonych grubymi, prymitywnymi spawami. Boczne ściany były zardzewiałe i poobijane, a ich górne krawędzie powyginane na wszystkie strony, jakby wagon służył nieprzerwanie od długich dziesięcioleci.

Chłopiec przypadł ponownie do podłogi, miotany na wszystkie strony kołysaniem wagonu, i ruszył na czworakach na poszukiwanie Cala. Minał kilka skrzynek z cienkiego drewna, podobnych do tej, na której przed momentem wylądował, a potem dostrzegł but Cala oparty o następny rząd pojemników.

– Cal! Cal! – zawołał, pędząc w jego stronę. Brat leżał nieruchomo pośród połamanych desek. Kurtka chłopca była ochlapana ciemnym płynem, Will zauważył też, że coś niedobrego stało się z jego twarzą.

Obawiając się najgorszego, Will zaczął wołać jeszcze głośniejszym głosem. Chciał uniknąć zderzenia z bratem, który mógł być ciężko ranny, wspiął się więc szybko na sąsiednią skrzynkę. Pełen obaw, co za chwilę zobaczy, przysunął świetlistą kulę do głowy Cala. Nie wyglądało to dobrze. Twarz i włosy chłopca pokryte były czerwoną miazgą.

Will wyciągnął ostrożnie rękę i dotknął wilgotnej twarzy brata. W tej samej chwili zauważył, że wokół ciała chłopca leżą popękane zielone kule wielkości piłki futbolowej, a jego czoło oblepione jest pestkami. Will polizał lepiące się palce. Arbuz! Obok Cala stała inna uszkodzona skrzynka. Kiedy Will przesunął ją, by zrobić sobie więcej miejsca, z opakowania wysypały się mandarynki, gruszki i jabłka. Cal miał wyjątkowo miękkie lądowanie, trafił bowiem w skrzynki z owocami.

– Bogu dzięki – wyszeptał Will, delikatnie potrząsając Calem. Głowa chłopca wciąż przewracała się bezwładnie z boku na bok. Will nie wiedział, co jeszcze może zrobić, zdecydował się więc zbadać puls na nadgarstku.

– Zostaw mnie w spokoju! – Cal wyrwał rękę z dłoni Willa, po czym otworzył niemrawo oczy, pojękując przy tym żałośnie. – Boli mnie głowa – poskarżył się, pocierając delikatnie czoło. Podniósł drugą rękę i spojrzał ze zdumieniem na banana, którego trzymał w dłoni. Potem wciągnął w nozdrza aromatyczny zapach owoców i spojrzał na Willa, nic nie rozumiejąc.

– Co się stało? – spytał, przekrzykując łoskot pociągu.

– Ty szczęściarzu, spadłeś do wagonu restauracyjnego! – zachichotał Will.

– Co?

– Nieważne. Spróbuj usiąść – poprosił Will.

– Moment. – Cal był oszołomiony i skąpany po czubek głowy w soku z arbuzów, wydawało się jednak, że poza kilkoma otarciami i sińcami nie odniósł żadnych obrażeń. Will zszedł ze skrzynek i

rozejrzał się uważnie dokoła. Przypuszczał, że plecaki znajdują się w wagonach przed nimi, jednak poszukiwania mógł odłożyć na później. Imago zapewniał, że podróż będzie długa, postanowił więc najpierw zaspokoić ciekawość.

– Idę... – krzyknął do Cala.

– Co? – Cal przyłożył do ucha dłoń zwiniętą w trąbkę.

– Idę na zwiad – dokończył Will.

– Dobra! – odkrzyknął Cal.

Will przeszedł przez szalone morze świetlistych kul i wdrapał się na tylną ścianę. Zerknął w dół, na połączenia między wagonami i przesuwające się poniżej lśniące wstęgi torów. Potem spojrzął na sąsiedni wagon, oddalony zaledwie o metr, i, nie zastanawiając się dłużej, przeszedł na drugą stronę ścianki. Nieustanne kołysanie nie ułatwiało mu zadania, zdołał jednak zrobić krok do przodu i przedostać się z jednego pomostu końcowego na drugi. Teraz nie miał już innego wyjścia, jak tylko się wspiąć i skoczyć.

Wpadł do wnętrza następnego wagonu i przez chwilę turlał się bezwładnie po podłodze, aż w końcu zatrzymał się na stercie płóciennych worków. Nie było tam nic prócz kolejnych skrzynek, więc Will przeczołgał się przez wagon i ponownie wstał. Próbował dojrzeć koniec pociągu, lecz ciemność i dym skutecznie to uniemożliwiały.

– Ile ich tu jest? – krzyknął do siebie, pokonawszy kolejną ściankę. Powtarzając tę samą procedurę w kolejnych wagonach, nabrał w końcu wprawy i nauczył się zeskakiwać tak, by potem nie tracić równowagi i nie toczyć się po podłodze. Był ogromnie ciekaw, czy uda mu się dotrzeć do końca składu, z drugiej jednak strony obawiał się tego, co może napotkać po drodze. Imago ostrzegał go, że w wagonie strażniczym na pewno będzie jakiś Kolonista, musiał więc zachować daleko idącą ostrożność.

Wskoczył do wnętrza czwartego wagonu i właśnie przechodził na czworakach po warstwie ułożonego luzem brezentu, kiedy nagle coś się poruszyło obok niego.

– Co u... ? – Pewien, że wpadł w łapy Kolonistów, Will w akcie rozpaczyny zamachnął się nogą, najmocniej jak potrafił. Kopniak wymierzony z takiej pozycji nie mógł być zbyt skuteczny, ale jego stopa z pewnością w coś trafiła. Will przygotował się do zadania kolejnego ciosu.

– Zostaw mnie w spokoju! – burknął ktoś słabo, a brezent przesunął się w dół, odsłaniając skuloną postać. Will natychmiast podniósł świetlistą kulę.

– Hej! – zaprotestował piskliwie nieznajomy, próbując osłonić twarz przed blaskiem.

Spojrzał na Willa i zamrugał oczami, pod którymi ciągnęły się ślady łez, wąskie smużki przecinające warstwę brudu i sadzy na policzkach. Zastygł na moment w bezruchu i wciągnął głośno powietrze, a na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech. Była to twarz ogromnie zmęczona i wychudzona, ale nie dało się pomylić jej z żadną inną.

– Cześć, Chester – powiedział Will, siadając obok starego przyjaciela.

– Will? – zawołał Chester, wciąż nie dowierzając temu, co widzi. Potem krzyknął ponownie, na całe gardło:

– Will!

– Chyba nie myślałeś, że puszcę cię samego, co? – odkrzyknął Will. Dopiero teraz zrozumiał, co miał na myśli Imago. On wiedział, że Chester ma być Wygnany i wysłany do Głębi tym właśnie pociągiem. Szczwany lis wiedział o tym od samego początku.

Łoskot jadącego pociągu uniemożliwiał prowadzenie rozmowy, ale teraz nie miało to dla Willa większego znaczenia. Był szczęśliwy, że odnalazł w końcu Chestera, i że jego przyjaciel jest bezpieczny. Uśmiechnięty od ucha do ucha, oparł się plecami o ścianę wagonu i zamknął oczy, rozkoszując się myślą, że w końcu w tym koszmarze, którym żył od długiego już czasu, pojawił się jakiś optymistyczny akcent, że sprawy zaczęły wreszcie przybierać pomyślny obrót. Chester jest bezpieczny! To znaczyło dla niego bardzo wiele.

Jakby tego było mało, jechał właśnie śladem ojca, by wziąć udział w przygodzie swego życia, w podróży do nieznanych lądów. Doktor Burrows był jedyną częstką minionego życia, która nadawała mu sens, do której warto było wracać. Will zamierzał go odnaleźć bez względu na to, dokąd musiałby się udać. Wierzył, że kiedy już się to stanie, koszmar dobiegnie końca i znów wszyscy będą szczęśliwi – on, Chester i Cal, wszyscy razem. Ta myśl świeciła w jego głowie niczym latarnia morska wskazująca drogę do bezpiecznego portu.

Nagle przyszłość przestała mu się wydawać taka przerażająca.

Will otworzył oczy i nachylił się nad Chesterem, krzycząc mu do ucha:

– Przynajmniej nie musimy iść jutro do szkoły.

Obaj wybuchli niepohamowanym śmiechem, zagłuszonym przez łoskot pociągu, który, wciąż nabierając prędkości, zostawiał za sobą kłęby czarnego dymu i zabierał ich coraz dalej od Kolonii, coraz dalej od Highfield, coraz dalej od wszystkiego, co znali, zmierzając prosto do jądra ziemi.

EPILOG

Był początek stycznia, lecz słońce ogrzewało ziemię z taką siłą, że równie dobrze ten piękny, pogodny dzień mógłby zapowiadać nadejście wiosny. Na tle idealnie błękitnego nieba majaczyły jedynie białe sylwetki mew, unoszących się na wietrze. Gdyby nie samochody przejeżdżające od czasu do czasu drogą wzdłuż kanału, można by pomyśleć, że to jakaś nadmorska miejscowość, może senna rybacka wioska.

Lecz to był Londyn i miejsca przy drewnianych stolikach wystawionych przed pub zaczęły się stopniowo zapełniać, gdy czar pięknej pogody stał się zbyt kuszący. Trzej mężczyźni o anemicznych twarzach pracowników biurowych, odziani w ciemne garnitury, wymaszerowali dziarsko z pubu i usiedli przy stoliku, stawiając przed sobą szklanki z napojami. Pochyleni ku sobie, przekrzykiwali się i rechotali głośno niczym sprzecząc się wrony. Obok nich siedziało całkiem inne towarzystwo – studenci w dzinsach i wyblakłych koszulkach, którzy prawie w ogóle nie robili hałasu. Niemal szeptali do siebie, popijając piwo i od czasu do czasu skręcając papierosy.

Zupełnie sam na drewnianej ławce w cieniu budynku siedział Reggie i sącył powoli piwo, czwarte tego dnia. Trochę kręciło mu się w głowie, ale ponieważ nie miał żadnych planów na popołudnie, postanowił sobie dogodzić. Sięgnął do stojącej obok miski, wziął garść smażonych śledzi i przeżuwał je w zamyśleniu.

– Siemka, Reggie – przywitała go jedna z kelnerek, niosąc przed sobą całe naręczce pustych kufli zebranych ze stołów.

– Cześć – odparł niepewnie. Nigdy nie mógł zapamiętać imion pracowników tego baru.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego przyjaźnie, a potem otworzyła drzwi nogą i weszła do środka. Reggie pojawiał się u nich od lat, dawniej jednak wpadał tylko co jakiś czas, zaś ostatnio był już stałym klientem. Przychodził niemal codziennie i zamawiał swój przysmak – małe smażone śledziki lub dorsza i frytki.

Był cichym, zamkniętym w sobie człowiekiem. Prócz faktu, że dawał zawsze sute napiwki, od większości zwykłych klientów odróżniał go także wygląd, a w szczególności niesamowicie białe włosy. Czasami nosił je spięte w kucyk opadający centralnie na plecy, a niekiedy fruwały luźno wokół jego głowy, nastroszone niczym sierść świeżo wykapanego pudła. Zawsze, bez względu na pogodę, miał na nosie ciemne okulary z grubymi szklami, a jego ubrania były dziwne i staromodne, jakby wypożyczył je z teatru. Biorąc pod uwagę ekscentryczny wygląd mężczyzny, personel baru doszedł do wniosku, że musi to być jakiś bezrobotny muzyk albo aktor, a być może nawet nieodkryty artysta, od których aż roiło się w tej okolicy.

Reggie oparł się o ścianę i westchnął z zadowoleniem, przyglądając się młodej dziewczynie, która weszła właśnie do ogródka przed barem. Miała sympatyczną twarz, a na głowie bawełnianą chustę w kwiaty. W ratanowym koszyku niosła małe, owinięte folią bukieciki wrzosów, które usiłowała sprzedać klientom baru. Była to jakby scena przeniesiona żywcem z czasów wiktoriańskich. Reggie uśmiechnął się do siebie, rozbawiony i urzeczony faktem, że Cyganie wciąż handlują takimi towarami, podczas gdy wszędzie dookoła wielkie firmy nieustannie promują swoje marki na billboardach. – Imago.

Imię przypląnęło do niego w powiewie wiatru, dokładnie w chwili, gdy stary samochód wyjechał z piskiem opon zza rogu ulicy. Wzdrygnął się i spojrzał podejrzliwie na staruszka, który szedł powoli chodnikiem, podpierając się laską. Policzki starca pokryte były siwym zarostem, jakby zapomniał się rano ogolić.

Gdy minęła go dziewczyna z koszem pełnym wrzosów, Imago oderwał wzrok od staruszka i spojrzał ponownie na ludzi siedzących przy stołach. Nie, zrobił się ostatnio zbyt nerwowy. Nic się nie działo. Musiał się przesłyszeć. Postawił sobie miskę ze śledziami na kolanach i nabrał kolejną garść, którą popił haustem piwa. To się nazywa życie! Uśmiechnął się do siebie i wyprostował nogi.

Nikt nie widział, jak odrzucony do tyłu nagłym spazmem uderza o ścianę, a potem leci do przodu z twarzą wykrzywioną w karykaturalnym grymasie. Gdy upadł na ziemię, jego oczy obróciły się białkami do góry, a usta otworzyły, tylko raz, po czym zamknęły po raz ostatni.

Kiedy przyjechała karetka, było już dawno po wszystkim. Jako że zeszywniałe zwłoki mogły stoczyć się z noszy, sanitariusze postanowili przenieść je na rękach.

Tłum gapiów patrzył ze zgrozą, jak ciało Imaga, zastygłe w pozycji siedzącej niczym kamienny posąg, niknie we wnętrzu karetki. Sanitariusze nie mogli poradzić sobie z miską śledzi, którą rękę zmarłego trzymały tak mocno, że nie dało się jej niczym podważyć.

Biedny Reggie. Pracownicy baru, zazwyczaj niezbyt wrażliwi na los klientów, byli głęboko poruszeni jego śmiercią – szczególnie że kuchnia została zamknięta, a kilkoro z nich straciło pracę. Później poinformowano ich, że w jedzeniu Reggiego znaleziono dziwny związek chemiczny na bazie ołowiu; przedziwne zrządzenie losu, jedna zatruta ryba na milion. W wyniku porażającego wstrząsu toksycznego ciało mężczyzny po prostu się wyłączyło, a krew zastygła niczym szybko wiążący cement.

Podczas dochodzenia koroner niezbyt chętnie mówił o składzie trującej substancji. Właściwie nie wiedział nawet, jak opisać śladowe ilości złożonych substancji chemicznych, o których nigdy wcześniej nie słyszał.

Tylko jedna osoba, dziewczyna, która obserwowała karetkę z drugiej strony ulicy, знаła prawdę. Zdjęła z głowy chustę, wrzuciła ją do śmietnika i rozpuściła kruczoczarne włosy, uśmiechając się do siebie z zadowoleniem. Potem założyła ciemne okulary i zwróciła twarz ku słońcu. Odchodząc, nuciła cicho: „Słonko... jesteś moim słońkiem... „.

Jeszcze nie skończyła...

Książkę tę dedykujemy naszym cierpiącym w milczeniu rodzinom i przyjaciołom, którzy znosili nas przez ten wydłużający się okres szaleństwa, oraz Barry'emu Cunninghamowi i Immogen Cooper z Chicken House, za nieustające wsparcie i za to, że nie pozwolili nam zejść z wyznaczonej ścieżki, a także Peterowi Strausowi z Rogers, Coleridge and White za pomoc udzieloną dwóm facetom, którzy pojawili się z ulicy, i naszemu przyjacielowi Mike'owi Parsonsowi za to, że wykazał się niewiarygodnym męstwem.